

Kathy Reichs

# Zabójcza Podróż

Fatal Voyage

*Temperance Brennan 04*

Przełożyła Anna Dobrzańska



*Książkę tę dedykuje:*

*Kerry Elisabeth Reichs, J.D., M.P.P., Duke University,*

*Rocznik 2000*

*Courtney Annę Reichs, B.A., Uniwersytet Georgia,*

*Rocznik 2000*

*Brendanowi Christopherowi Reichs, B.A. (cum laude),*

*Uniwersytet Wake Forest,*

*Rocznik 2000*

*Hurra!!!*

# Podziękowania

Jak zwykle jestem dłużna podziękowania wielu osobom:

Ira J. Rimsonowi, P.E., oraz Kapitanowi Johnowi Gallagherowi (na emeryturze) za instruktaż dotyczący konstrukcji samolotów i technik śledczych wykorzystywanych w razie wypadków. Hughesowi Cicoine, C.F.E.I., za porady dotyczące pożarów i dochodzeń w sprawie eksplozji. Wasza cierpliwość była zdumiewająca.

Paulowi Śledzikowi, M.S., z Narodowego Muzeum Zdrowia i Medycyny oraz Instytutu Patologii Sił Zbrojnych za informacje na temat historii, struktur i działania systemu DMORT; Frankowi A. Ciaccio, M.P.A., z Biura do Spraw Rządu, Społeczeństwa i Rodziny, a także Narodowej Radzie Bezpieczeństwa Transportu za informacje dotyczące DMORT, NTSB i Planu Pomocy Rodzinie.

Arpadowi Vassowi, Ph. D., z Laboratorium Narodowego w Oak Ridge za intensywny kurs z dziedziny lotnych kwasów tłuszczowych.

Agentowi Specjalnemu Jimowi Corcoranowi z Federalnego Biura Śledczego, Oddział w Charlotte za przedstawienie działań FBI w Karolinie Północnej; Detektywowi Rossowi Trudelowi (na emeryturze) z Communaute Urbaine de Montreal Police za informacje na temat materiałów wybuchowych i dotyczących ich przepisów; Sierżantowi Detektywowi Stephenowi Rudmanowi (na emeryturze) z Communaute Urbaine de Montreal Police za szczegóły dotyczące ceremonii pogrzebowych w policji.

Janet Levy, Ph. D., z Uniwersytetu Karoliny Północnej w Charlotte za szczegóły na temat Departamentu Zasobów Kulturowych Karoliny Północnej i wprowadzenie mnie w tajniki archeologii; Rachel Bonney, Ph. D., z Uniwersytetu Karoliny Północnej w Charlotte i Barry'emu Hippsa'owi ze Stowarzyszenia Historycznego Indian Cherokee za informacje na temat plemienia Czirokezów.

Johnowi Buttsowi, M.D., z Biura Lekarza Sądowego stanu Karoliny Północnej, Michaelowi Sullivanowi, M.D., z Biura Lekarza Sądowego Hrabstwa Mecklenburg i Rogerowi Thompsonowi, kierownikowi Laboratorium Kryminalistycznego w Departamencie Policji Charlotte-Mecklenburg.

Marilyn Steeły, M.A., za wskazówki dotyczące Klubu Heli Fire; Jackowi C. Morganowi Jr., M.A.I., C.R.E., za oświecenie mnie w kwestii aktów własności, map i rejestrów podatkowych; Irene Bacznsky za pomoc w wyborze nazw samolotów.

Anne Fletcher, za to, że towarzyszyła mi w wyprawie w Góry Smoky.

Specjalne podziękowania dla mieszkańców Bryson City, w Karolinie Północnej, zwłaszcza dla Faye Bumgarner, Beverly Means i Donny Rowland z biblioteki Bryson City; Ruth Anne Sitton i Bess Ledford z Biura Podatkowego w hrabstwie Swain; Lindy Cable – Administratora Hrabstwa Swain; Susan Cutshaw i Dicka Schaddelee z Izby Handlowej Hrabstwa Swain; Moniki Brown, Marty’ego Martina i Misty Brooks z Freymont Inn, a przede wszystkim dla Jackie Fortner, Głównego Zastępcy z Biura Szeryfa Hrabstwa Swain.

Merci dla M. Yves St. Marie, Dr. Andre Lauzona i wszystkich kolegów z Laboratoire de Sciences Judiciaires et de Medecine Legale; podziękowania również dla Kanclerza Jamesa Woodwarda z Uniwersytetu Karoliny Północnej w Charlotte. Twoje nieustające wsparcie jest dla mnie prawdziwą podporą.

Dziękuję również Paulowi Reichsowi za cenne uwagi dotyczące rękopisu.

Podziękowania dla moich doskonałych redaktorów: Susanne Kirk i Lynne Drew.

Dziękuję także mojej agentce Jennifer Rudolph Walsh, która potrafi zdziałać cuda.

Moje opowieści nie byłyby tym, czym są, gdyby nie pomoc przyjaciół i znajomych.

Dziękuję im. Jak zwykle wszystkie błędy są wyłącznie mojego autorstwa.

# Rozdział 1

Spoglądałam na szybującą między drzewami kobietę. Głowę miała wysuniętą do przodu, podbródek uniesiony, a ramiona odchylone do tyłu niczym maleńka, chromowana bogini na masce Rolls-Royce'a. Różnica polegała na tym, że kobieta, na którą patrzyłam, była naga, a jej ciało kończyło się w okolicach talii. Pozbawiony życia tułów spoczywał uwieczony pośród zakrwawionych liści i gałęzi.

Spuszczając wzrok, rozejrzałam się dookoła. Oprócz wąskiej, żwirowej ścieżki, na której zaparkowałam samochód, był tu tylko gęsty las. Królowały w nim głównie sosny, choć rosące gdzieś drzewa liściaste ogłaszały koniec lata, mieniąc się różnymi odcieniami czerwieni, pomarańcza i żółci.

Mimo iż w Charlotte wciąż było gorąco, na tej wysokości wczesny październik zdawał się niezwykle przyjemny. Wiedziałam jednak, że już wkrótce zrobi się chłodno. Z tylnego siedzenia zabrałam wiatrówkę, stanęłam bez ruchu i wsłuchałam się w otaczające mnie odgłosy.

Śpiew ptaka. Wiatr. Niewielkie zwierzę skaczące wśród liści. Dobiegające z oddali nawoływanie, a chwilę później stłumiona odpowiedź.

Zawiązałam kurtkę wokół bioder, zamknęłam samochód i ruszyłam w kierunku głosów, rozrzebując stopami wyschnięte liście i sosnowe igliwie.

Dziewięć metrów dalej natknęłam się na siedzącego na ziemi mężczyznę. Opierał się o omszały kamień, a podkurczone nogi miał dosunięte do klatki piersiowej. Tuż obok leżał laptop. Mężczyzna nie miał ramion, a z jego lewej skroni wystawał maleńki, porcelanowy dzbanuszek.

Na laptopie leżał fragment oderwanej twarzy. Metalowy wianuszek aparatu ortodontycznego otaczał widoczne pomiędzy rozchylonych ust zęby faceta; w jednej z brwi lśnił subtelny, złoty kolczyk. Oczy ofiary były otwarte, a źrenice rozszerzone. Nadawało to twarzy pełen niepokoju wyraz. Poczułam, jak zbiera mi się na wymioty i szybko ruszyłam w głąb lasu.

Kilka metrów dalej zobaczyłam nogę, której stopa bezpiecznie spoczywała w bucie trekkingowym. Kończyna została oderwana od biodra i przez chwilę zastanawiałam się, czy nie należała przypadkiem do latającej bogini. Tuż za nogą dostrzegłam siedzących obok

siebie mężczyzn. Obaj mieli zapięte pasy, a ich szyje przypominały krwawe kwiaty. Jeden z nich siedział po turecku, jak gdyby czytał gazetę.

Ruszyłam głębiej w las. Od czasu do czasu do moich uszu dochodziły stłumione nawoływania. Odgarniając gałęzie i klucząc między skałami, powoli brnęłam do przodu. Wszędzie dookoła wały się bagaże i kawałki metalu. Większość walizek nie wytrzymała upadku. Gdzie nie spojrzeć poniewierała się ich zawartość. Ubrania, lokówki i elektryczne maszynki do golenia mieszały się z buteleczkami kremu do rąk, szamponu, płynu po goleniu i perfum. Niewielki podręczny bagaż wypluł setki skradzionych z hotelu przyborów toaletowych. Woń kosmetyków i paliwa mieszała się z zapachem sosen i świeżego, górskiego powietrza. Z daleka dochodził także zapach dymu.

Brnęłam przez otoczony stromymi ścianami żleb, do którego dna docierały jedynie pojedyncze plamy światła. Mimo iż w cieniu panował przyjemny chłód, czułam na twarzy słoną wilgoć, a mokre od potu ubrania kleiły się do ciała. Chwilę później zaczepiłam stopą o leżący na ziemi plecak i runęłam jak długa, rozdzierając rękaw o wystający konar.

Przez chwilę leżałam bez ruchu, starając się zapanować nad drżącymi rękami i nierównym, urywanym oddechem. Mimo iż uczono mnie, jak opanować emocje, czułam narastającą rozpacz. Tak wiele śmierci. Dobry Boże, ilu ich tam było?

Zamknęłam oczy. Próbowалаm zebrać myśli. Wreszcie dźwignęłam się z ziemi.

Jakiś czas później przeszłam nad gnijącą kłodą, ominęłam kępę rododendronów i zbliżając się do wciąż odległych głosów, przystanąłam, by zorientować się, gdzie tak naprawdę jestem. Stłumiony jęk syren podpowiadał, że gdzieś za wschodnim wzniesieniem gromadzą się ekipy ratunkowe.

Czas spytać kogoś o drogę, Brennan.

Nie było jednak czasu na pytania. Pierwsi, którzy docierają na miejsce katastrof lotniczych czy innych wypadków, mają zwykle dobre intencje. Nie mają jednak pojęcia, co robić, gdy jest duża liczba ofiar. Byłam w drodze z Charlotte do Knoxville, zbliżałam się do granicy stanów, gdy poproszono, abym dotarła na miejsce katastrofy tak szybko, jak to możliwe. Zawróciłam więc na I-40 i ruszyłam na południe w kierunku Waynesville, a następnie na zachód przez Bryson City, miejscinę w Karolinie Północnej oddaloną o około dwieście osiemdziesiąt kilometrów na zachód od Charlotte, osiemdziesiąt kilometrów na wschód od Tennessee i osiemdziesiąt kilometrów na północ od Georgii. Jechałam asfaltówką do miejsca, gdzie najwyraźniej kończyły się stanowe dotacje, a następnie żwirową ścieżką w kierunku wijącej się ku górze, leśnej drogi.

Chociaż otrzymałam dokładne instrukcje, przypuszczałam, że istniała lepsza trasa, jak choćby wycięty w lesie szlak, umożliwiający dostęp do pobliskiej doliny. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie powinnam wrócić do samochodu, jednak porzuciłam ten pomysł. Być może ci, którzy znajdowali się już na miejscu katastrofy, przybyli tam dokładnie w taki sam sposób, jak ja. Zdawało się, że należąca do Służb Leśnych droga kończyła się dokładnie w miejscu, gdzie zostawiłam samochód.

Po wyczerpującej wspinaczce w górę zbocza, chwyciłam pień pobliskiej daglezi, wbiłam stopę w podłoże i podciągnęłam się na szczyt wzniesienia. Prostując plecy, spojrzałam w oczy wykonane z guzików. Na wprost mnie wisiała do góry nogami lalka, jej sukienka zaplątała się w niższe partie gałęzi. Wyciągnęłam po nią rękę i natychmiast przypomniałam sobie, że taką samą lalkę miała moja córka.

Stop!

Opuściłam dłoń, pamiętając, że według procedury każdy przedmiot musi być wciągnięty w rejestr i odnotowany na mapie. Tylko wówczas ktoś mógł wyciągnąć rękę po te smętne pamiątki. Ze wzniesienia miałam doskonały widok na to, co – jak przypuszczałam – było miejscem katastrofy. Zobaczyłam silnik, do połowy zagrzebany w ziemi i szczątkach, oraz coś, co przypominało fragmenty lotki. Pozbawiona dna część kadłuba przypominała wykres, jaki dołącza się do instrukcji obsługi modeli samolotów. Zza okien wyzierały siedzenia pasażerów. Niektóre z nich wciąż były zajęte, jednak większość pozostawała pusta.

Szczałki samolotu i porozrzucane części ciał leżały na ziemi niczym wysypane w pośpiechu śmieci. Zwłoki przerażały swoją bledością na tle ciemnego poszycia, wnętrzości ludzkich i fragmentów samolotu. Na drzewach, pomiędzy gałęziami i liśćmi wisiały splecione szczątki. Materiał. Okablowanie. Metalowe płyty. Izolacja. Stopiony plastik.

Na miejscu były już lokalne ekipy ratunkowe, które zabezpieczały miejsce katastrofy i przeczesywały okolicę w poszukiwaniu żywych. Ekipy ratunkowe błąkały się między drzewami, a mundurowi otaczali teren katastrofy policyjną taśmą. Wszyscy mieli na sobie żółte kurtki z widocznym na plecach napisem Biuro Szeryfa Hrabstwa Swain. Pozostała część zgromadzonych stała w niewielkich grupkach, paląc, rozmawiając lub bez celu rozglądając się dookoła.

Między drzewami zauważyłam migające czerwone, niebieskie i żółte światła, które sygnalizowały, że do tego miejsca prowadziła jednak inna droga. Oczyma wyobraźni zobaczyłam policyjne patrole, straż pożarną, ekipy ratunkowe, karetki pogotowia i prywatne samochody pobliskich mieszkańców, które do jutra rana będą tarasować tę drogę.

Wiatr zmienił kierunek i powietrze wypełnił gryzący zapach dymu. Odwróciłam się.

Zobaczyłam unoszącą się zza kolejnego wzniesienia cienką, czarną smugę. Mój żołądek ścisnął się, gdy w nozdrza uderzył smród, zmieszany z gryzącą wonią.

Jako antropolog badam przyczyny nagłej śmierci. Na prośbę koronerów i lekarzy sądowych setki razy zetknęłam się z ofiarami pożarów, bez problemu więc rozpoznałam swąd spalonego mięsa. Za kolejnym wąwozem płonęli ludzie.

Z trudem przełknęłam ślinę i ponownie skupiłam wzrok na oddziałach ratunkowych. Ci, którzy jeszcze chwilę temu nie mieli nic do roboty, przeczesywali teren. Pochylony do przodu zastępca szeryfa spoglądał na leżące u jego stóp szczątki wraku. Kiedy wstał, coś błysnęło w jego lewej ręce. Chwilę później kolejny funkcjonariusz zaczął rozgrzebywać szczątki.

– Cholera!

Widząc to, zaczęłam biec w dół, chwytając się pobliskich krzewów, klucząc pomiędzy drzewami i głazami dla zachowania równowagi. Zbocze nasypu było strome. Wiedziałam, że każde potknięcie groziło niebezpiecznym upadkiem. Kiedy od podnóża nasypu dzieliło mnie już tylko dziewięć metrów, nadepnęłam na kawałek metalu i wyleciałam w górę niczym spadający z deski surfer. Chwilę później grzmotnęłam o ziemię. Leżąc na boku, sturlałam się w dół, ciągnąc ze sobą prawdziwą lawinę kamyków, gałęzi, liści i sosnowych szyszek. Szukałam punktu zaczepienia. Zanim jednak palce lewej ręki chwyciły się czegoś twardego, zdążyłam już zedrzyć skórę na dłoniach i połamać paznokcie. Nadgarstek, który przyjął na siebie ciężar całego ciała, eksplodował nagłym bólem. Przez moment zawisłam w bezruchu, by chwilę później położyć się na boku i napinając mięśnie ramion, dźwignąć się do pozycji siedzącej. Nie zwalniając uścisku, rozejrzałam się dookoła.

Przedmiot, który trzymałam w dłoniach, okazał się długim metalowym prętem wbitym w ziemię nieopodal skały, o którą oparłam się obolałym biodrem. Pręt strzelał w niebo, sięgając wierzchołka okaleczonego drzewa. Ostrożnie sprawdziłam grunt pod stopami i dźwignęłam się z ziemi. Wytarłam zakrwawioną dłoń o nogawkę spodni, rozwiązałam kurtkę i ostrożnie zaczęłam schodzić w dół zbocza.

W miarę jak zbliżałam się do podnóża, mój krok stawał się coraz szybszy i pewniejszy. Choć grunt pod nogami wciąż zdawał się niepewny, tym razem grawitacja była po mojej stronie. Kiedy w końcu dotarłam do zamkniętego obszaru, podniosłam policyjną taśmę i pochylając się, przeszłam na drugą stronę.

– Hej, paniusiu. Nie tak szybko.



Zatrzymałam się i odwróciłam w kierunku, skąd dochodził głos. Mężczyzna, który chwilę temu wypowiedział owe słowa, miał na sobie kurtkę z napisem Biuro Szeryfa Hrabstwa Swain.

– Jestem z DMORT.

– A czym do cholery jest DMORT? – zapytał szorstko.

– Znajdę tu szeryfa?

– A kto pyta? – Twarz zastępcy była nieruchoma, a usta zaciśnięte. Oczy mężczyzny przesłaniała pomarańczowa czapka z daszkiem.

– Doktor Temperance Brennan.

– Nie potrzebujemy lekarza.

– Jestem tu, żeby identyfikować ofiary.

– Jakiś dowód?

W obliczu masowej katastrofy każda agencja rządowa ma swoje obowiązki. Sztab kryzysowy OEP zarządza i kieruje służbami medycznymi powołanymi na wypadek katastrof narodowych, w skrócie NDMS. Zapewniają one opiekę medyczną, identyfikację ciał i usługi pogrzebowe. Aby sprostać swoim zadaniom, NDMS stworzyło grupę operacyjną DMORT oraz grupę medycznego wsparcia na wypadek katastrof, zwaną w skrócie DMAT. W razie katastrof DMAT oferuje pomoc żyjącym, podczas gdy DMORT zajmuje się zmarłymi.

Przez chwilę grzebałam w torbie, po czym pokazałam mężczyźnie swój identyfikator NDMS.

Zastępca szeryfa przez chwilę spoglądał na wizytówkę, po czym skinął głową w kierunku kadłuba.

– Szeryf rozmawia z komendantami straży. – Głos mężczyzny załamał się, a on sam zakrył usta dłonią.

Chwilę później spuścił wzrok, jak gdyby wstydził się tego, że okazał emocje.

Ta postawa nie była dla mnie żadnym zaskoczeniem. Nawet najtwardsi i najlepsi spośród gliniarzy i ratowników, bez względu na ilość szkoleń czy doświadczenie, nigdy nie są psychicznie gotowi na pierwszą, poważną sprawę. Poważne sprawy. Oto, jak Narodowa Rada Bezpieczeństwa Transportu nazywa podobne katastrofy. Nie byłam pewna, jakie okoliczności czynią sprawę „poważną”, ale brałam udział w kilku podobnych wypadkach i wiedziałam jedno: każda z nich była czymś koszmarnym. Życie nie przygotowało mnie na żadną z nich i dlatego teraz podzielałam ból swojego rozmówcy. Różnica polegała na tym, że nie okazywałam swoich emocji.

Brnąc w kierunku kadłuba, minęłam gliniarza zakrywającego jedno z ciał.

– Proszę to zdjąć – rozkazałam.

– Co takiego?

– Proszę nie przykrywać ciała.

– Kim pani jest?

Po raz kolejny pokazałam identyfikator.

– Ale one leżą na odkrytym terenie. – Głos brzmiał beznamiętnie niczym komputerowe nagranie.

– Wszystko musi zostać na swoim miejscu.

– Musimy przecież coś zrobić. Zaczyna się ściemniać. Niebawem niedźwiedzie wyczują tych – urwał, szukając odpowiedniego słowa – ludzi.

Wiedząc, co niedźwiedź czarny potrafi zrobić z ciałem człowieka, podzielałam obawy gliniarza. Mimo to musiałam przerwać mężczyźnie jego prace.

– Wszystko trzeba sfotografować i udokumentować, zanim ktokolwiek dotknie ciała.

Mężczyzna podniósł koc, a na jego twarzy pojawił się grymas bezbrzeżnego bólu. Patrząc na niego, wiedziałam dokładnie, co czuł. W jego oczach malowała się potrzeba zrobienia czegokolwiek i niepewność, czym właściwie było to cokolwiek. Poczucie bezsilności w obliczu druzgoczącej katastrofy.

– Proszę powiadomić innych, aby niczego nie ruszali. Później może pan poszukać żywych.

– Chyba pani żartuje. – Mężczyzna omiół wzrokiem otaczające nas szczątki. – Nikt nie mógł przeżyć czegoś takiego.

– Jeśli ktoś jednak przeżył, powinien obawiać się niedźwiedzi znacznie bardziej niż ci tutaj. – Mówiąc to, wskazałam ręką na leżące u jego stóp ciało.

– I wilków – dodał mężczyzna ściszym głosem.

– Jak się nazywa szeryf?

– Crowe.

– Który to?

Gliniarz spojrzał w kierunku kałuża.

– Wysoki, w zielonej marynarce.

Pospieszyłam w kierunku Crowe'a.

Szeryf przeglądał mapę. Towarzyszyła mu grupa sześciu członków ochotniczej straży pożarnej. Ich kombinezony sugerowały, że pochodzili z różnych jednostek. Lekko pochylony Crowe dominował wzrostem nad resztą grupy. Widoczne pod marynarką szerokie i

umięśnione ramiona z całą pewnością zawdzięczał regularnym treningom. Mogłam tylko mieć nadzieję, że między mną a górskim macho nie rozpęta się prawdziwa wojna.

Kiedy zbliżyłam się do grupy, strażacy przestali słuchać i jak jeden mąż spojrzeli w moją stronę.

– Szeryf Crowe?

Crowe obrócił się. Natychmiast zdałam sobie sprawę z błędu, jaki popełniłam.

Kobieta miała wysokie, szerokie kości policzkowe i gładką skórę w kolorze cynamonu. Niesfornie kosmyki, które wystawały spod szerokiego randa kapelusza były mocno kręcone i pomarańczowe niczym marchew. Jednak najbardziej moją uwagę przykuły jej oczy. Ich tęczy miały kolor starych butelek coca-coli. Rozświetlona firanką rudych rzęs i kontrastująca z płową cerą zieleń, była czymś naprawdę zjawiskowym. Przypuszczałam, że Crowe mogła mieć około czterdziestu lat.

– Kim pani jest? – Jej głos był głęboki i chropawy. Pomyślałam, że czeka nas szczerą, konkretną rozmowę.

– Doktor Temperance Brennan.

– Jaki jest powód pani przyjazdu?

– Jestem z DMORT.

Po raz kolejny wylegitymowałam się. Kobieta przez chwilę trzymała mój identyfikator w dłoni, po czym wręczyła mi go z powrotem.

– Usłyszałam informacje o katastrofie, kiedy jechałam z Charlotte do Knoxville. Kiedy zadzwoniłam do Earla Blissa, szefa Czwartej Strefy, poprosił mnie, bym zawróciła i sprawdziła, czy czegoś nie potrzebujecie.

Moje wyjaśnienie było znacznie bardziej dyplomatyczne, niż to, co faktycznie usłyszałam od Earla.

Kobieta nie odezwała się ani słowem. Następnie odwróciła się do zbitych w grupę strażaków, ściszonego tonem wydała kilka poleceń i mężczyźni wrócili do pracy.

Chwilę później nastąpiło krótkie powitanie. Takiego uścisku dłoni nie powstydziliby się żaden mężczyzna.

– Lucy Crowe.

– Proszę mówić mi Tempe.

Po tych słowach szeryf stanęła w rozkroku, splótła ramiona i zmierzyła mnie zielonymi oczyma.

– Nie sądzę, aby którakolwiek z tych biednych istot potrzebowała opieki lekarskiej.

– Jestem antropologiem sądowym, nie lekarzem. Sprawdzaliście, czy ktokolwiek przeżył?

W odpowiedzi Crowe delikatnie zadarła głowę. Był to gest, który wielokrotnie widziałam w Indiach.

– Myślałam, że to robota dla lekarza sądowego.

– To robota dla wszystkich. Czy ludzie z NTSB są już na miejscu? – Wiedziałam, że Narodowa Rada Bezpieczeństwa Transportu zawsze bardzo szybko dociera na miejsce katastrofy.

– Już jadą. Kontaktowały się ze mną wszystkie możliwe agencje. NTSB, FBI, ATF, Czerwony Krzyż, FAA, Służby Leśne, TVA, Departament Spraw Wewnętrznych. Nie zdziwiłabym się, gdyby sam papież przyjechał tu swoim papamobile.

– Departament Spraw Wewnętrznych i TVA?

– Większość tego stanu należy do federalnych: około osiemdziesiąt pięć procent lasów, pięć procent rezerwatów.

Mówiąc to, zatoczyła szeroki łuk ręką.

– Znajdujemy się w miejscu zwanym Big Laurel. Ciągnie się ono od Bryson City aż na północny zachód, dalej znajduje się Park Narodowy Great Smoky Mountains. Na północy leży Rezerwat Czirokezów, a na południe rezerwat dzikich zwierząt Nantahala i lasy.

Przełknęłam, aby złagodzić ciśnienie, które na tej wysokości dosłownie rozsadzało mi uszy.

– Na jakiej wysokości jesteśmy?

– Sto dwadzieścia osiem metrów.

– Nie chcę pani pouczać, ale wydaje mi się, że jest tu kilka osób, które nie powinny tu...

– Agent ubezpieczeniowy i adwokat. Pani antropolog, to prawda, że mieszkam w górach, ale proszę mi wierzyć, że od czasu do czasu bywam też na nizinach.

Nie miałam co do tego żadnych wątpliwości. Co więcej, byłam pewna, że nikt nie śmiał wchodzić z nią w słowne potyczki.

– Dobrze by było, gdyby usunięto stąd reporterów.

– Możliwe.

– Ma pani rację co do lekarza sądowego. Niebawem tu będzie. Jednak władze Karoliny Północnej w takich przypadkach wzywają przede wszystkim ludzi z DMORT.

Gdzieś w oddali usłyszałam stłumiony huk, a zaraz po nim serię rozkazów. Crowe zdjęła kapelusz i przetarła rękawem spocone czoło.

– Jak wiele pożarów mamy jeszcze na miejscu?

– Cztery. Robimy wszystko, by je ugasić, ale to dość ryzykowne. O tej porze roku w górach panuje susza. – Mówiąc to, uderzyła kapeluszem o umięśnione udo.

– Wiem, że pani ludzie robią wszystko, co w ich mocy. Zabezpieczyli teren i gaszą pożary. Jeśli nikt nie przeżył, to wszystko, co możemy zrobić.

– Moi ludzie nie są odpowiednio przeszkoleni na wypadek takiej katastrofy.

Za plecami Crowe starszy mężczyzna w kurtce policyjnego ochotnika grzebał w szczątkach samolotu.

– Jestem pewna, że uświadomiła im pani, że miejsce katastrofy jest traktowane w taki sam sposób, jak miejsce zbrodni.

W odpowiedzi Crowe ponownie skinęła głową.

– Są poirytowani. Chcą pomóc, ale nie wiedzą jak. Nie zaszkodzi raz jeszcze przypomnieć im, jak powinni się zachowywać.

Wskazałam skinieniem głowy na mężczyznę.

Crowe zakłęta pod nosem i sprężystym krokiem olimpijczyka podeszła do ochotnika.

Chwilę później mężczyzna odsunął się od szczątków.

– W takich przypadkach nic nie jest proste – powiedziałam. – Kiedy przyjadą ludzie z NTSB, to oni przejmą na siebie wszystkie obowiązki.

– Tak.

W tej samej chwili zadzwoniła komórka pani szeryf. W milczeniu przysłuchiwałam się rozmowie.

– Dzwonili z kolejnego okręgu – skwitowała, przyczepiając telefon do paska. – Charles Hanover, dyrektor generalny Air TransSouth.

Choć nigdy nie latałam tymi liniami, wiedziałam, że chodzi o niewielkiego przewoźnika kursującego między kilkunastoma miastami w Karolinie Północnej i Południowej, Georgii, Tennessee i Waszyngtonie.

– To ich samolot?

– Lot 228 z Atlanty do Waszyngtonu, miał opóźnienie. Przez około czterdzieści minut stał na pasie startowym. Wyleciał o dwunastej czterdzieści pięć. O godzinie pierwszej siedem, na wysokości ponad siedmiu i pół tysiąca metrów, samolot zniknął z radaru. Moje biuro dostało wezwanie około drugiej.

– Ilu pasażerów?

– Samolot to Fokker100. Na pokładzie było osiemdziesięciu dwóch pasażerów i sześciu członków załogi. To jednak nie wszystko.

Jej kolejne słowa były zapowiedzią zbliżającego się koszmaru.

## Rozdział 2

– Drużyny piłki nożnej Uniwersytetu Georgia?

Crowe pokiwała głową.

– Hanover powiedział, że zarówno mężczyźni, jak i kobiety lecieli na mecze, które miały odbyć się gdzieś w okolicach Waszyngtonu.

– Jezu. – W mojej głowie niczym błyski żarówki pojawiały się kolejne obrazy. Oderwana noga. Aparat ortodontyczny. Młoda kobieta pochwycona w locie przez drzewa.

Nagle poczułam paraliżujący strach.

Moja córka Katy studiowała w Virginii, ale często odwiedzała swą najlepszą przyjaciółkę w Athens, siedzibie Uniwersytetu Georgia. Lija była na stypendium sportowym. Czy chodziło o piłkę nożną?

O Boże. Tysiące myśli kłębiło się w mojej głowie. Czy Katy wspominała coś o podróży?

Kiedy miała przerwę semestralną? Z trudem powstrzymałam się od sięgnięcia po komórkę.

– Ilu studentów?

– Zgłoszono czterdziestu dwóch. Hanover przypuszcza, że większość z nich to studenci. Oprócz sportowców na pokładzie samolotu byli także nauczyciele, trenerzy, sympatie zawodników. Kilkoro kibiców. – Przetarła dłonią usta. – Normalna sprawa.

Normalna sprawa. Na samą myśl o tym, jak wiele młodych osób zginęło tego dnia, ścisnęło mi serce. Chwilę później wpadła mi do głowy kolejna myśl.

– W mediach rozpęta się prawdziwe piekło.

– Tego samego obawia się Hanover. – Głos Crowe był pełen sarkazmu.

– Kiedy sprawę przejmą ludzie z NTSB, to oni zajmą się prasą. I rodzinami ofiar – pomyślałam, choć nie śmiałam powiedzieć tego na głos. Rodziny przybędą na miejsce katastrofy, zawodząc i tuląc się do siebie. Bliscy będą rozglądać się dookoła przerażonym wzrokiem, niektórzy z nich zażądają natychmiastowych odpowiedzi, skrywając swą rozpacz pod maską agresji.

Dokładnie w tej samej chwili usłyszałam huk śmigieł. Naszym oczom ukazał się kołujący nad wierzchołkami drzew helikopter. Tuż obok pilota dostrzegłam znajomą sylwetkę; kolejny pasażer zajmował miejsce z tyłu kabiny. Śmigłowiec zatoczył dwa koła i

skierował się w przeciwnym kierunku od miejsca, gdzie – jak przypuszczałam – znajdowała się droga.

– Gdzie oni lecą?

– Nie mam pojęcia. Na tej wysokości nie ma zbyt wiele miejsc do lądowania. – Mówiąc to, Crowe spuściła wzrok i założyła kapelusz, upychając pod rondem niesforne kosmyki marchewkowych włosów.

– Kawy?

Pół godziny później główny lekarz sądowy stanu Karolina Północna dotarł na miejsce w towarzystwie wicegubernatora stanu. Podczas gdy pierwszy z nich miał na sobie buty trekkingowe i kombinezon w kolorze khaki, drugi ubrany był w garnitur. Obserwowałam, jak obaj mężczyźni ostrożnie przedzierają się przez szczątki. Patolog rozglądał się dookoła, chcąc oszacować sytuację. Polityk szedł ze spuszczoną głową, jak gdyby bał się, że choćby najmniejsze spojrzenie w bok albo przypadkowe zejście ze ścieżki sprawi, że podzieli los ofiar tej tragedii. W pewnym momencie obaj przystanęli. Lekarz sądowy powiedział coś do wicegubernatora. Następnie pomachał do mnie i pani szeryf i ruszył w naszym kierunku.

– Przeklęty upał. Gdyby nie on, mielibyśmy doskonałą sesję zdjęciową. – Rzuciła Crowe z takim samym sarkazmem, z jakim mówiła o Charlesie Hanoverze, naczelnym linii lotniczych Air TransSouth.

Po tych słowach zmięła w dłoni styropianowy kubek i wrzuciła go do torby.

Zastanawiając się nad agresją przejawiającą się w jej zachowaniu, wręczyłam jej swój kubek.

Czyżby pani szeryf nie zgadzała się z polityką wicegubernatora? A może jej niechęć do Parkera Davenporta wynikała z pobudek osobistych?

Kiedy mężczyźni podeszli do nas, lekarz sądowy okazał swój identyfikator Crowe. Pani szeryf zbyła to obojętnym machnięciem ręki.

– Nie ma potrzeby, doktorze. Wiem, kim pan jest.

Ja również wiedziałam. Pracowałam z Larkiem Tyrellem, odkąd w latach osiemdziesiątych mianowano go głównym lekarzem sądowym stanu Karolina Północna. Larke – cyniczny i despotyczny, był również najlepszym kierownikiem zespołu patologów w całym kraju. Przejął biuro w stanie kompletnego chaosu – skąpy budżet, bezwzględna biurokracja – i przekształcił je w najbardziej efektywną instytucję w Ameryce Północnej.

Kiedy Larke został powołany na swoje obecne stanowisko, moja kariera była w powijakach. Dopiero zdobyłam uprawnienia nadawane przez Amerykańską Radę Antropologów Sądowych. Poznaliśmy się dzięki pracy, którą wykonywałam na zlecenie



Stanowego Biura. Śledczego Karoliny Północnej, składając i identyfikując ciała dwóch dealerów zamordowanych i poćwiartowanych przez członków gangu motocyklowego. Byłam jedną z pierwszych osób, które Larke zatrudnił na stanowisku doradcy. Od tamtej pory miałam nieustannie do czynienia ze szkieletami, mumiami, spalonymi szczątkami lub okaleczonymi ciałami.

Wicegubernator wyciągnął dłoń, podczas gdy drugą przyciskał do ust chusteczkę, jego twarz przypominała swym kolorem żabie podbrzusze. Podczas wymiany uścisków dłoni nie odezwał się ani słowem.

– Cieszę się, że wróciłeś do kraju, Tempe – powiedział Larke, niemalże miażdżąc palce mojej dłoni. Przez chwilę zastanawiałam się, czemu miał służyć ten cały powitalny cyrk.

„Powrót do kraju” był swoistym idiomem, który Larke zaczerpnął jeszcze z czasów wojny w Wietnamie. Urodzony na wybrzeżu Karoliny Południowej, Larke dorastał w rodzinie związanej z korpusem amerykańskiej piechoty morskiej. Nim zdecydował, że poświęci swoją przyszłość medycynie, odsłużył swoje. Patrząc na niego, miałam nieodparte wrażenie, że wygląda i mówi niczym wymuszkana wersja Andy’ego Griffitha\* [Andy Griffith – aktor amerykański, urodzony 1 czerwca 1926 r. w Mount Airy w Karolinie Północnej (przyp. red.)]

– Kiedy wyjeżdżasz na północ?

– W przyszłym tygodniu mamy jesienną przerwę – odparłam.

Larke zmrużył oczy i po raz kolejny rozejrzał się po okolicy.

– Obawiam się, że tej jesieni Quebec będzie musiał się obejść bez ciebie, Tempe.

Dziesięć lat temu wzięłam udział w wymianie uniwersyteckiej. Mieszkałam w Montrealu i zaczęłam współpracować z Laboratoire de Sciences Judiciaires et Medecine Legale, mieszczącym się w laboratorium kryminalistyki sądowej w Quebecu. Z końcem roku władze prowincji zdecydowały, że potrzebują antropologa sądowego. Dofinansowały projekt, wyposażyły laboratorium i podpisały ze mną umowę.

Od tamtej pory podróżowałam między Quebeciem a Karoliną Północną – wykładałam antropologię fizyczną na Uniwersytecie Karoliny Północnej w Charlotte i jednocześnie służyłam swoją wiedzą i umiejętnościami dwóm wymiarom sprawiedliwości. Zajmowałam się przeważnie zwłokami w zaawansowanym stadium rozkładu. Bez problemu godziłam oba etaty. Moi pracodawcy uzgodnili między sobą, że w sytuacjach kryzysowych i w razie konieczności stawienia się w sądzie, będę zawsze do ich dyspozycji.

Katastrofa lotnicza z pewnością stanowiła sytuację kryzysową. Zapewniłam więc Larke’a, że odwołam swą październikową podróż do Montrealu.

– Jakim cudem zjawiłaś się tu tak szybko?

Po raz kolejny opowiedziałam o swojej wyprawie do Knoxville i rozmowie telefonicznej z szefem DMORT.

– Rozmawiałem już z Earlem. Jutro rano przyśle swoich ludzi. – Po tych słowach Larke zerknął na Crowe. – Chłopcy z NTSB będą tu jeszcze dziś wieczorem. Proszę powiedzieć swoim ludziom, że do tego czasu nie wolno im niczego dotykać.

– Już wydałam taki rozkaz – odparła Crowe. – Niełatwo tu dotrzeć. Zorganizuję dodatkową ochronę. Przypuszczam, że największym problemem będą zwierzęta. Zwłaszcza gdy ciała ofiar zaczną wydzielać pośmiertny fetor.

Wicegubernator wydał z siebie dziwny dźwięk, odwrócił się i chwiejnym krokiem odszedł na bok. Chwilę później zobaczyłam, jak opiera się o pień drzewa. Wymiotował.

Larke zerkał to na mnie, to na Crowe, mierząc nas szczerym, współczującym spojrzeniem.

– Dzięki wam, drogie panie, ta ciężka praca staje się o niebo łatwiejsza. Brak mi słów, by wyrazić, jak bardzo doceniam wasz profesjonalizm.

Chwilę później zwrócił się do Crowe.

– Pani szeryf, proszę wszystko zabezpieczyć.

I do mnie.

– Tempe, ty wracaj do Knoxville na swój wykład. Kiedy skończysz, weź niezbędny sprzęt i przyjedź tutaj jutro. Przypuszczam, że pozostaniesz tu przez jakiś czas, więc uprzedź uniwersytet. Dopilnujemy, żebyś miała gdzie spać.

Piętnaście minut później jeden z zastępców szeryfa podrzucił mnie do samochodu.

Miałam rację. Istniała lepsza droga dojazdu niż ta, którą wybrałam. Trochę ponad czterysta metrów od miejsca, w którym zaparkowałam, w głąb lasu biegła błotnista ścieżka. Używany niegdyś do przewozu drewna wąski szlak wił się dookoła góry, prowadząc niemalże do miejsca katastrofy.

Z minuty na minutę po obu stronach dróżki parkowało coraz więcej samochodów. Przed wschodem słońca zarówno leśna asfaltówka, jak i główne arterie hrabstwa będą całkowicie zakorkowane.

Gdy tylko usiadłam za kółkiem, natychmiast chwyciłam za telefon. Nie miałam zasięgu.

Trzykrotnie próbowałam wymanewrować, w końcu wyjechałam z parkingu i zjechałam w dół, w kierunku głównej drogi. Kiedy wyjechałam na trasę 74, ponownie spróbowałam zadzwonić. Sygnał powrócił, więc natychmiast wystukałam numer Katy. Po czterech sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka.

Zaniepokojona zostawiłam wiadomość, powtarzając sobie normalny w takich sytuacjach wdzięcznie brzmiący komentarz mojej córki: „nie bądź idiotką, mamó”. Przez kolejną godzinę próbowałam skupić myśli na wykładzie, starając się zapomnieć o masakrze, którą chwilowo zostawiłam za sobą i koszmarze, który czekał mnie w nadchodzących dniach. Nie było łatwo. Przed moimi oczami wciąż przewijały się martwe, pozbawione wyrazu twarze i fragmenty rozczłonkowanych kończyn.

Włączyłam radio. Na każdym kanale informowano wyłącznie o katastrofie. Prezenterzy patetycznym tonem mówili o śmierci młodych sportowców i spekulowali na temat przyczyn katastrofy. Wszyscy zgadzali się co do tego, że warunki pogodowe były dobre, więc domniemywano, że przyczyną była awaria lub uszkodzenie samolotu.

Włokąc się za samochodem mojego przewodnika, zauważyłam linię połamanych drzew.

Choć wiedziałam, że to właśnie tam samolot runął na ziemię, powstrzymałam się od jakichkolwiek spekulacji.

Niebawem wjechałam na krajową I-40 i po raz setny zmieniając kanał, natrafiłam na raport dziennikarza, który siedząc w śmigłowcu, relacjonował pożar jakiegoś magazynu.

Dźwięk helikoptera przypomniał mi o Larke’u. Uświadomiłam sobie, że nie spytałam go nawet, gdzie dokładnie wylądowali. Zbeształam się za to i postanowiłam zapytać o to przy najbliższej okazji.

O dziewiątej ponownie zadzwoniłam do Katy.

Wciąż nikt nie odbierał.

Kiedy przyjechałam do Knoxville, zameldowałam się w hotelu, zadzwoniłam do organizatora konferencji i zjadłam kurczaka, którego kupiłam w restauracji Bojangles na przedmieściach miasta. Potem zadzwoniłam do byłego męża i poprosiłam, by zaopiekował się Ptaśkiem. Pete zgodził się bez problemu, żartując, że wystawi mi rachunek za transport i dożywianie mojego kota. On również od kilku dni nie miał żadnych wieści od Katy. Przypomniał mi, jak w takich sytuacjach nasza córka reaguje na przesadną troskliwość i obiecał, że postara się z nią skontaktować.

Zadzwoiłam też do Pierre'a LaManche'a, mojego szefa w Laboratoire de Sciences Judiciaires et Médecine Légale, aby poinformować go, że w przyszłym tygodniu nie przyjadę do Montrealu. Najwyraźniej Pierre słyszał już raporty o katastrofie i oczekiwał mojego telefonu. Na samym końcu zadzwoniłam do wydziału antropologii Uniwersytetu Karoliny Północnej w Charlotte.

Kiedy obdzwoiłam już kogo trzeba, przez godzinę wybierałam slajdy i umieszczałam je w karuzelowych magazynkach do przeźroczy. Gdy wyszłam spod prysznica, po raz kolejny spróbowałam dodzwonić się do Katy. Telefon mojej córki milczał jak zakłęty.

Zerknęłam na zegarek. Jedenasta czterdzieści.

Nic jej nie jest. Na pewno poszła na pizzę albo siedzi w bibliotece. Tak. Biblioteka. Na studiach sama przesiadywałam tam godzinami.

Tej nocy długo nie mogłam zasnąć.

Rano wciąż nie miałam żadnych wiadomości od Katy; nie odbierała również telefonu.

Postanowiłam zadzwonić do Athens, do Liji. Usłyszałam jedynie automatyczną sekretarkę, która prosiła, bym zostawiła wiadomość.

Niebawem pojechałam do jedyne w Ameryce wydziału antropologii, który znajdował się na stadionie futbolowym, gdzie poprowadziłam najbardziej chaotyczny wykład w swojej dotychczasowej karierze. Organizator konferencji podkreślił na wstępie, że należę do DMORT i będę zajmowała się sprawą katastrofy liniowca Air TransSouth. Mimo iż miałam na ten temat niewiele informacji, pytania, którymi zasypano mnie po wykładzie dotyczyły głównie katastrofy. Byłam niemal przekonana, że ten krzyżowy ogień pytań nigdy się nie skończy.

Kiedy tłum ruszył w końcu w kierunku wyjścia, do podium zbliżył się mężczyzna.

Przypominał odzianego w krawat i rozpinany sweter stracha na wróble. Na jego piersi kołysały się leniwie okulary połówki zawieszzone na łańcuszku. Zawód antropologa nie cieszy się zbyt dużą popularnością, więc większość antropologów zna swoich kolegów, a nasze ścieżki krzyżują się od czasu do czasu na rozmaitych spotkaniach, seminariach i konferencjach.

Spotykałam Simona Midkiffa wielokrotnie i wiedziałam, że jeśli nie będę stanowcza, rozmowa z nim zajmie całą wieczność. Ostentacyjnie spoglądając na zegarek, zebrałam notatki, wepchnęłam je do aktówki i ruszyłam w kierunku schodów.

– Jak się masz, Simon?

– Doskonale. – Usta Midkiffa były popękane, a jego skóra wysuszona i złuszczone jak leżąca na słońcu, martwa ryba. Krzaczaste brwi niemal całkowicie zasłaniały przekrwione i popręciane drobnymi żyłkami białka jego oczu.

– Jak tam wykopaliska?

– Świetnie. Jednak człowiek musi coś jeść, dlatego zaangażowałem się w kilka projektów dla wydziału zasobów kulturowych w Raleigh. Przede wszystkim porządkuję dane.

Po tych słowach wybuchnął piskliwym śmiechem i poklepał się dłonią po policzku.

– Zdaje się, że w ciągu całej kariery zgromadziłem zadziwiającą ilość papierów.

W roku 1955 Simon Midkiff zrobił doktorat na Oksfordzie i przyjechał do Stanów, aby objąć stanowisko na Uniwersytecie Duke'a. Jednak wybitny pan archeolog nie opublikował żadnej ze swoich prac i sześć lat później stracił posiadłość. Jego kolejną szansą stał się Uniwersytet Tennessee, który jakiś czas później zwolnił go z tego samego powodu. Midkiff nie potrafił zdobyć stałego zatrudnienia, więc od trzydziestu lat obraca się w środowiskach akademickich, od czasu do czasu prowadząc kontraktowe kursy z dziedziny archeologii i nauczania, zastępując swoich zdolniejszych kolegów na terenie Karoliny Północnej i Południowej oraz Tennessee. Był stałym bywalcem wykopalisk, skrupulatnie wypełniał rozmaite raporty, których... zapomniał opublikować.

– Z chęcią posłuchałabym twoich opowieści, Simon, ale obawiam się, że muszę lecieć.

– Ależ tak, oczywiście. Taka straszna tragedia. Tak wielu młodych ludzi. – Poruszał głową z lewa na prawo. – Gdzie dokładnie doszło do katastrofy?

– Hrabstwo Swain. Słuchaj, naprawdę muszę już lecieć. – Mówiąc to, ruszyłam do wyjścia. Midkiff był szybszy – szurając po podłodze swymi wielkimi butami rozmiar 13, skutecznie zastąpił mi drogę.

– Gdzie jest hrabstwo Swain?

– Na południe od Bryson City.

– Mógłbym prosić o więcej szczegółów?

– Nie mogę podać ci współrzędnych. – Nie starałam się ukryć sarkazmu.

– Proszę, wybacz moją nieuprzejmość, ale prowadzę wykopaliska w hrabstwie Swain i obawiam się, że katastrofa mogła zniszczyć niektóre istotne obiekty. Nie chciałem, by zabrzmiało to samolubnie. – Po tych słowach znów zachichotał. – Przepraszam.

W tej samej chwili dołączył do nas organizator prelekcji.

– Mogę? – Mówiąc to, pomachał w naszym kierunku niewielkim aparatem marki Nikon.

– Jasne.

Na mojej twarzy pojawił się czarujący uśmiech.

– To do wydziałowego biuletynu. Nasi studenci chyba naprawdę go lubią.

Chwilę później mężczyzna podziękował za wykład i życzył mi owocnej pracy. Ja z kolei podziękowałam mu za pokój, po czym przeprosiłam obu mężczyzn, pozbierałam slajdy i niemalże wybiegłam z sali konferencyjnej.

Przed wyjazdem z Knoxville zajrzałam do miejscowego sklepu ze sprzętem sportowym. Kupiłam buty, skarpety i trzy pary spodni khaki, z których jedną od razu założyłam. W pobliskiej aptece nabyłam dwie paczki bawełnianych fig firmy Hanes Her Way. Nie był to szczyt moich marzeń, ale musiały mi wystarczyć. Wrzuciwszy spodnie i majtki do torby podróźnej, ruszyłam na wschód.

Appalachy, zaczynające się na wzgórzach Nowej Funlandii, przypominają Wschodnie Wybrzeże. Ciągną się z północy na południe, rozdzielają w okolicach Narodowego Parku Historycznego Harpers Ferry w Zachodniej Wirginii, tworząc łańcuchy górskie Great Smoky i Blue Ridge. Góry Great Smoky to jeden z najstarszych terenów wyżynnych świata, a jego najwyższy szczyt, Clingmans Dome, znajduje się na granicy Karoliny Północnej i Tennessee. Niecałą godzinę drogi od Knoxville minełam kolejno Sevierville, Pigeon Forge i Gatlinburg i jak zwykle urzeczona surrealistycznym pięknem tego miejsca jechałam wzdłuż pasma górskiego. Rzeźbione wiatrem i deszczem przez tysiące lat góry Great Smoky ciągną się wzdłuż południowej granicy, zmieniając ją w ławicę łagodnych dolin i wzniesień. Lasy są tu gęste i dzikie, podobne do tych, które zastali pierwsi osadnicy. Lasy Nantahala. Park Narodowy Pisgah. Rezerwat Czirokezów. Park Narodowy Great Smoky Mountains. Delikatna zieleń i błękitnawa mgiełka, od których góry zaczerpnęły swą nazwę, tworzą niepowtarzalny, baśniowy klimat.

Śmierć i zniszczenie jaskrawo kontrastowały z tą nierzeczywistą, uroczą scenerią.

Tuż za Cherokee, na terytorium Karoliny Północnej, po raz kolejny zadzwoniłam do Katy. I tym razem pomysł okazał się chybiony. Po kilku sygnałach włączyła się automatyczna sekretarka. Ponownie zostawiłam wiadomość:

Zadzwon do matki.

Staralam się nie myśleć o czekającym mnie zadaniu. Rozmyślałam o pandach z zoo w Atlancie, jesiennej ramówce NBC i odbiorze bagażu na lotnisku w Charlotte. Dlaczego zawsze trwał tak długo? Pomyślałam o Simonie Midkiffie. Cóż za dziwak. Jakie mogły być szanse, że samolot rozbije się w miejscu, gdzie przeprowadzał swoje wykopaliska? Mając dość radia, wsunęłam do odtwarzacza płytę Kiri Te Kanawa i włączyłam. Irving Berlin.

Dotarłam na miejsce tuż przed drugą. Skrzyżowanie łączące główną drogę z leśną asfaltówką było zablokowane przez stojące na nim patrole. Ruchem kierował facet z Gwardii Narodowej. To on decydował, kto wjedzie na górę, a kogo należy odesłać. Kiedy okazałam identyfikator, mężczyzna zerknął do swojego notesu.

– Jest pani na liście. Proszę wjechać na górę i zaparkować za ogrodzeniem.

Po tych słowach odsunął się na bok, a ja zaczęłam lawirować między radiowozami.

Obozowisko składało się z górującej nad okolicą przeciwpożarowej wieży obserwacyjnej i znajdującego się po drugiej stronie szosy niewielkiego poletka. Ściana klifu została przesunięta, dzięki czemu wewnętrzny szlak stawał się odrobinę szerszy. Rozrzucony dookoła żwir miał zabezpieczać teren przed opadami deszczu. To właśnie z tego miejsca stacje telewizyjne będą przekazywać najświeższe wieści. Tu także przybywać będą rodziny ofiar do momentu, gdy nie powstanie dla nich specjalne centrum pomocy.

Po obu stronach drogi roilo się od ludzi i samochodów. Przyczepy ze znakiem Czerwonego Krzyża. Telewizyjne vany ze strzelającymi w niebo nadajnikami. Suwy. Furgonetki. Ciężarówki z niebezpiecznymi materiałami. Po chwili wahania zaparkowałam mazdę pomiędzy Dodgem Durango a Fordem Bronco, zabrałam z siedzenia podrózną torbę i ruszyłam w kierunku asfaltówki.

Wychodząc z drugiej strony wzniesienia, zauważyłam stojącą obok wieży, składaną, szkolną ławkę, która jak gdyby nigdy nic tkwiła na zewnątrz furgonetki opatrzonej znakiem Czerwonego Krzyża. Na ławce umieszczono wielki ekspres do kawy odbijający promienie słońca. Wokół urządzenia, zbite w gromadkę, stały rodziny ofiar. Bliscy tulili się do siebie, wzajemnie się wspierając. Niektórzy płakali, inni pozostawali spięci i milczący. Wielu spośród nich ścisnęło w dłoniach jednorazowe kubki. Nieliczni rozmawiali przez telefon.

Pomiędzy żałobnikami dostrzegłam księdza, który na znak pocieszenia podawał im dłoń i poklepywał przygarbione ramiona. Przez chwilę przyglądałam się, jak duchowny pochyla się i rozmawia ze starszą kobietą. Jego zgięta sylwetka, łysa głowa i haczykowaty nos przywodziły na myśl padlinożerne ptaki, które widziałam na wschodnioafrykańskich równinach. Dopiero po chwili zrozumiałam, jak bardzo niewłaściwe jest to porównanie.

Przypomniałam sobie innego księdza i czuwanie przy umierającym. Wtedy pełne współczucia zachowanie duchownego sprawiło, że opuściła mnie wszelka nadzieja na to, że moja babcia wyzdrowieje. Przypomniałam sobie tamte katusze. Całym sercem współczułam tym, którzy tu i teraz zgromadzili się, by pożegnać zmarłych.

Reporterzy, operatorzy i dźwiękowcy zaciekle walczyli o dogodne miejsca wzdłuż niskiego, kamiennego murku, aby w czasie transmisji zapewnić sobie jak najlepsze tło.

Podobnie jak w 1999 roku podczas katastrofy linii Swissair w Peggy's Cove, w Nowej Szkocji, byłam przekonana, że malownicze krajobrazy będą w centrum każdej relacji telewizyjnej.

Zarzuciwszy na ramię torbę podróżną, ruszyłam w dół zbocza. Chwilę później kolejny strażnik wpuścił mnie na szlak do przewozu drewna, który w ciągu nocy służył jako żwirowa dwupasmówka. Droga prowadziła teraz wprost na miejsce katastrofy. Idąc tunelem świeżo wyrąbanych drzew, czułam orzeźwiający zapach sosen, zmieszany z delikatnym odorem, jaki wydziela ciało we wczesnym stadium rozkładu. Pod moimi stopami chrzęścił żwir. Wzdłuż barier ustawiono przyczepy ze sprzętem do odkazania i przenośne toalety, które skutecznie blokowały dostęp do miejsca katastrofy. Centrum Dowodzenia Kryzysowego znajdowało się wewnątrz obszaru zamkniętego. Zauważyłam też znajomą furgonetkę NTSB, ze sterzącą z dachu anteną satelitarną i niewielką budą na agregat prądowórczy. Tuż obok zaparkowano chłodnie, wokół których leżały worki ze zwłokami. Wiedziałam, że ta prowizoryczna kostnica jest tylko krótkim przystankiem na drodze do bardziej adekwatnego miejsca.

Tu i ówdzie dostrzegłam koparki, żurawie wysięgnikowe, wywrotki, wozy strażackie i patrolowe. Samotny ambulans wskazywał na zmianę charakteru całej akcji. Nie szukano już żywych, lecz umarłych. Niesiono pomoc tylko tym, którzy ucierpieli w trakcie poszukiwań.

Wewnątrz obozowiska Lucy Crowe rozmawiała z Larkiem Tyrellem.

– Jak idzie? – spytałam.

– Telefony się urywają. – W głosie Crowe słychać było zmęczenie. – Mało brakowało, a ubiegłej nocy wyrzuciłabym własną komórkę.

Za jej plecami grupa ludzi w maskach i kombinezonach Tyvek przeczesywała okolicę. Od czasu do czasu ktoś przykładał, oglądał znaleziony przedmiot i oznaczał jego położenie. Cały obszar dosłownie tonął w czerwonych, niebieskich i zielonych chorągiewkach. Wyglądały jak kolorowe pinezki przyklepione do mapy.

Kolejna grupa ludzi w białych kombinezonach uwijała się w okolicach kadłuba, skrzydła i silnika samolotu. Robili zdjęcia, notatki i nagrywali swoje spostrzeżenia na małe dyktafony. Błękitne czapeczki zdradzały, że byli to pracownicy NTSB.

– Widzę, że wszyscy są już na miejscu – zauważyłam.

– NTSB, FBI, SBI, FAA, ATF, CBS, ABC. No i oczywiście CEO. Możemy być pewni, że są tu wszelkie służby, które mają skróty od swoich nazw.



– To nic – odparł Larke. – Dajmy im dzień albo dwa. – Mówiąc to, ściągnął lateksową rękawiczkę i zerknął na zegarek. – Większość agentów DMORT jest teraz na szkoleniu w kostnicy, więc nie ma sensu, żebyś już teraz zakładała kombinezon, Tempe. Jedźmy tam.

Chciałam zaprotestować, jednak Larke przerwał mi w pół słowa.

– Wrócimy tu razem.

Larke udał się w kierunku przyczep ze sprzętem odkażającym, a Lucy wyjaśniła mi, jak dotrzeć do kostnicy. Nie było to konieczne. Jadąc tutaj, zauważyłam wzmożony ruch przy jednym z lokalnych budynków.

– Budynek Straży Pożarnej w Alarka. Około trzynastu kilometrów od miejsca katastrofy. Kiedyś była tam szkoła. Zaraz przy budynku znajdują się huštawki i zjeżdżalnie. Na pobliskim polu parkują wozy strażackie.

Wracając do obozowiska, Larke podzielił się ze mną najświeższymi informacjami. FBI otrzymało anonimową informację, że na pokładzie samolotu znajdowała się bomba.

– Któryś z obywateli był na tyle szczodry, że poinformował o tym CNN. Media kompletnie oszalały.

– Czterdziestu dwóch martwych studentów pomoże komuś dostać Pulitzera.

– To nie koniec złych wiadomości. Czterdzieści dwie osoby to prawdopodobnie nieaktualny wynik. Wygląda na to, że uniwersytet zabukował miejsca dla ponad pięćdziesięciu osób.

– Widziałeś listę pasażerów? – Z trudem wydusiłam z siebie to pytanie.

– Będzie do wglądu podczas szkolenia.

Poczułam, jak lodowaty chłód pełźnie w górę moich pleców.

– Tak – ciągnął Larke. – Jeśli tym razem coś spieprzymy, prasa pożre nas żywcem.

Po tych słowach rozstaliśmy się i każde z nas poszło w kierunku swojego samochodu.

Jadąc do kostnicy, złapałam zasięg. Mój telefon sygnalizował, że mam nową wiadomość głosową. W obawie, że utracę zasięg, nacisnęłam hamulec. Zakłócenia sprawiały, że z ledwością rozumiałam poszczególne słowa.

– Doktor Brennan, mówi Haley Graham, współlokatorka Katy. Hmm. Odsłuchałam pani wiadomości. Jeśli dobrze pamiętam, cztery. Tata Katy też się nagrał. Dzwonił do nas kilka razy. Słyszałam o katastrofie i – w aparacie dał się słyszeć nieprzyjemny szum – chciałam powiedzieć, że Katy wyjechała na weekend, a ja nie jestem pewna, dokąd właściwie się wybrała. Na początku tygodnia kilka razy dzwoniła do niej Lija, więc martwię się, że może Katy pojechała ją odwiedzić. Wiem, że to głupie, ale pomyślałam, że zadzwonię i spytam, czy może rozmawiała z nią pani. Cóż – kolejny szum – wiem, że zachowuję się jak

idiotka, ale proszę mi wierzyć, że poczuję się lepiej, wiedząc, że u Katy wszystko w porządku. Dziękuję i do usłyszenia.

Natychmiast po odsłuchaniu wiadomości zadzwoniłam do Pete'a. Jemu również nie udało się porozmawiać z Katy. Wybrałam kolejny numer, jednak Lija wciąż nie odbierała telefonu.

Uczucie chłodu nasiliło się. Przycupnęło w okolicach mostka.

Przejeżdżający pickup zatrąbił, bym zjechała z drogi.

Sunęłam w dół zbocza. Czułam lęk przed nadchodzącym spotkaniem i pytaniem, na które wciąż nie znałam odpowiedzi.

## Rozdział 3

Jednym z pierwszych zadań DMORT w przypadku masowych katastrof, jest znalezienie miejsca, które mogłoby zostać przekształcone w kostnicę. Najczęściej są to biura koronerów i lekarzy sądowych, szpitale, pobliskie kostnice, domy pogrzebowe, hangary, magazyny i należące do Gwardii Narodowej składy broni.

Kiedy przyjechałam do budynku straży pożarnej w Alarka, parking od strony ulicy był już pełen, a przed wejściem ustawiały się kolejne samochody. Widząc, co się święci, ustawiłam się w kolejce i czekałam na wjazd, bębniąc palcami w kierownicę i rozglądając się dookoła. Parking na tyłach budynku przeznaczono wyłącznie dla chłodni, które już niebawem zaczną transportować ciała. Przez chwilę przyglądałam się dwóm kobietom wieszającym na płocie nieprzejrystą, plastikową folię. Miała stanowić ochronę przed wścibskimi fotografami, którzy niebawem zjawią się na miejscu, by zakłócać spokój zmarłym. Wiatr targał i wykręcał folię, podczas gdy kobiety próbowały przyczepić ją do ogrodzenia.

W końcu udało mi się podjechać do wejścia. Po okazaniu identyfikatora, mogłam zaparkować samochód.

We wnętrzu budynku dziesiątki pracowników ustawiały stoły, instalowały przenośne pracownie rentgenowskie, wywoływacze, komputery, generatory, a nawet podgrzewacze do wody. Szorowano i dezynfekowano łazienki, przygotowywano szatnie i pomieszczenia, w których będą odpoczywać agenci DMORT. W jednym z odległych kątów stworzono niewielką salę konferencyjną. W innym powstawało centrum komputerowe i pracownia rentgenowska.

Kiedy weszłam do budynku, szkolenie już trwało. Obecni stali pod prowizorycznymi ścianami lub siedzieli przy stołach, które upchnięto pośrodku pomieszczenia. Zwisające z sufitu lampy fluorescencyjne rzucały na spięte, blade twarze błękitny blask. Po chwili wahania wślizgnęłam się na tyły pomieszczenia i usiadłam na jednym z krzeseł.

Nadzorujący śledztwo agent NTSB Magnus Jackson kończył właśnie omawiać działanie sztabu kryzysowego. Jackson, nazywany przez kolegów IIC, był chudy i rachityczny, niczym rasowy pinczer. Jego skóra miała charakterystyczny, ciemnawy kolor. Nosił owalne okulary w drucianych oprawkach i niemalże do skóry strzygł siwiejące włosy. Jackson rozvodził się nad panującym w NTSB systemem grupowym. Przedstawiał dowódców poszczególnych jednostek, którymi dowodził. Opowiadał o strukturach,

systemach, elektrowniach, pożarach i eksplozjach, warunkach pogodowych, radarach, sprzęcie do nagrywania i zeznaniach świadków. Śledczy, ubrani w czapeczki i koszulki z napisem NTSB, wstawali lub podnosili dłonie, podczas gdy Jackson przedstawiał harmonogram dyżurów.

Mimo że wiedziałam, że to właśnie ci ludzie ustalą, co przyczyniło się do katastrofy Air TransSouth 228, wciąż czułam w piersi dziwną pustkę. Nie potrafiłam myśleć o niczym innym, jak tylko o liście pasażerów.

Nagle przyszło mi do głowy pewne pytanie.

– Czy znaleziono już rejestrator rozmów w kokpicie i czarną skrzynkę?

– Jeszcze nie.

Rejestrator rozmów w kokpicie wychwytuje transmisje radiowe i rozmaite dźwięki, łącznie z głosem pilota i hałasem silnika. Czarna skrzynka zapisuje parametry lotu, takie jak wysokość, prędkość lotu i kierunek kursu. Każdy z tych czynników odgrywa istotną rolę w określeniu przyczyn katastrofy.

Kiedy Jackson skończył, specjalista NTSB do spraw rodziny omówił federalny plan pomocy rodzinom poszkodowanym w katastrofach lotniczych. Wyjaśnił również, że w tym przypadku NTSB odgrywać będzie rolę łącznika pomiędzy Air TransSouth i najbliższymi ofiar. Poinformował, że centrum pomocy powstaje właśnie w Sleep Inn – jednym z zajazdów w Bryson City. To tam będzie można uzyskać istotne informacje przekazywane przez rodziny zmarłych, które mogą przydać się podczas identyfikacji zwłok. Słyszając to, mimowolnie zadrżałam.

Następnie głos zabrał Charles Hanover. Spojrzałam na niego. Pomyślałam, że w żadnym wypadku nie przypomina dyrektora generalnego regionalnych linii lotniczych. Wyglądał zaskakująco niepozornie, jak farmaceuta albo członek stowarzyszenia Elks\* [Elks – stowarzyszenie finansujące programy dotyczące zaburzeń wymowy, słuchu i komunikacji u dzieci (przyp. red.)] Twarz miał ziemistą, drżały mu ręce. Nerwowy tik bezustannie przemykał jego lewe oko, kolejny unosił kącik ust, przez co zdawało się, że twarz mężczyzny pozostaje w ciągłym ruchu. Było w tym człowieku coś łagodnego, a zarazem smutnego. Przez chwilę zastanawiałam się, co sprawiło, że Crowe dostrzegła w nim gbura.

Hanover poinformował, że w związku z licznymi zapytaniem, Air TransSouth uruchomił bezpłatną linię telefoniczną. Telefony zostaną wkrótce zainstalowane w miejscowym centrum pomocy, a personel będzie regularnie rozmawiał z rodzinami ofiar, które dotarły na miejsce katastrofy, jak i tymi, które przybyć nie mogły. Robiono wszystko, by zapewnić najbliższym pomoc psychologów i wsparcie duchowe.

W miarę upływu czasu mój niepokój wzrastał. Wszystko, co zostało tutaj powiedziane, słyszałam już wcześniej, jedyną interesującą mnie rzeczą była lista pasażerów.

Reprezentant Federalnego Biura Zarządzania w Sytuacjach Kryzysowych omówił obowiązujący w takich przypadkach system łączności. Kwatera główna NTSB, znajdujące się na miejscu katastrofy centrum dowodzenia i kostnica były teraz połączone. Ustalono również, że FEMA\* [FEMA – Federalne Biuro Zarządzania w Sytuacjach Kryzysowych (przyp. red.)] będzie współpracować z NTSB w sprawie przekazywania wszelkich informacji.

Następnie głos zabrał Earl Bliss, który opowiedział o DMORT. Earl był wysokim, kościstym mężczyzną z rzadkimi, brązowymi włosami, zaczesanymi do tyłu i rozdzielonymi przedziałkiem. Już w szkole średniej pracował na pół etatu – szukał ciał zaginionych osób. Dziesięć lat później otworzył własny zakład pogrzebowy. Nazywany przez kolegów Early, z powodu przedwczesnego przyjścia na świat, Earl Bliss przez czterdzieści dziewięć lat mieszkał w Naslville, w stanie Tennessee. Gdy nie zajmował się ofiarami masowych katastrof, zakładał cienkie krawaty rodem z westernów i grywał na banjo w zespole country i western.

Earl przypomniał reprezentantom pozostałych agencji, że każda jednostka DMORT składa się z cywilnych osób o wyjątkowych kompetencjach, między innymi patologów, antropologów, dentystów, ekspertów w dziedzinie daktyloskopii\* [Daktyloskopia – technika śledcza zajmująca się badaniami porównawczymi linii papilarnych (przyp. red.)], przedsiębiorców pogrzebowych, techników medycznych, specjalistów od transkrypcji, techników RTG, psychoterapeutów, a także pracowników ochrony i administracji.

Jedna z dziesięciu lokalnych grup DMORT została włączona do śledztwa na prośbę lokalnych władz zajmujących się kłęskami żywiołowymi, katastrofami lotniczymi, pożarami, atakami bombowymi i terrorystycznymi, przypadkami masowych morderstw i samobójstw.

Earl wspominał również o ostatnich tego typu wydarzeniach. Bombardowaniu Biura Federalnego Murrah w Oklahoma City w 1995. Katastrofie kolejowej Amtrak w Bourbonnais w stanie Illinois w 1999. Katastrofach lokalnych linii lotniczych w Quincy, w stanie Illinois w 1996 roku i w Monroe, w stanie Michigan w roku 1997. Samolocie koreańskich linii lotniczych, lot 801, który rozbił się w roku 1997 na wyspie Guam; samolocie egipskich linii lotniczych, lot 990, który w roku 1999 rozbił się na Rhode Island oraz locie 261 Alaska Airlines, który w roku 2000 rozbił się w Kalifornii.

Słuchałam, jak Earl opisuje modułowy system kostnicy i wyjaśnia poszczególne etapy badania szczątków. Wszystkie ofiary i rzeczy osobiste miały być oznakowane, opatrzone kodem, sfotografowane i prześwietlone podczas sekcji identyfikacyjnej. Zostaną również

przygotowane kartony z nazwiskami ofiar. Ciała ofiar, ich części, a także tkanki będą niezwłocznie poddawane autopsji, ekspertyzie antropologicznej, dentystrycznej i daktyloskopijnej. W dziale identyfikacji wyniki sekcji zostaną wprowadzone do komputera. Tam również zostaną zapisane informacje podane przez rodziny, by można było niezwłocznie skonfrontować je z wynikami autopsji. Po przeprowadzeniu szczegółowej analizy, ciała zostaną przewiezione do obszaru zamkniętego, a tam wydane rodzinom.

Jako ostatni zabrał głos Larke Tyrell. Podziękował Earlowi, wziął głęboki oddech i powiódł wzrokiem po obecnych.

– Panie i panowie, mamy tu mnóstwo zrozpaczonych i potrzebujących pocieszenia rodzin. Magnus i jego chłopcy pomogą im, ustalając, co tak naprawdę było przyczyną katastrofy. Naszym zadaniem będzie identyfikacja zwłok. Możliwość pochówku pomaga pogodzić się ze stratą. Dlatego zrobimy wszystko, by do każdej z rodzin trafiła trumna z ciałem bliskiej osoby.

Słyszając to, przypomniałam sobie wędrówkę po lesie. Wiedziałam już, co tak naprawdę znajdzie się w trumnach. W nadchodzących tygodniach DMORT oraz lokalne i stanowe służby zadadzą sobie wiele trudu, by zidentyfikować każdy, nawet najmniejszy fragment tkanki. Odciski palców, dentystryczne i lekarskie raporty, DNA, tatuaże i rodzinne zdjęcia będą głównym źródłem informacji. Grupa antropologów dołoży wszelkich starań, by zidentyfikować szczątki. Najsmutniejsze było to, że pomimo naszych starań niektóre trumny pozostaną prawie puste. Urwana noga. Kawałek zwęglonego trzonowca. Fragment czaszki. W niektórych przypadkach to, co powróci do domu będzie ważyło zaledwie kilka gramów.

– Kiedy uporamy się już z pracą w terenie, wszystkie szczątki zostaną zabrane do kostnicy – ciągnął Larke. – Sądzimy, że transport rozpocznie się za kilka godzin. I dopiero wówczas czeka nas prawdziwa harówka. Wiecie, co robić, ale zanim się zamknę, chciałbym przypomnieć jeszcze o kilku sprawach. Oto pierwsza z nich.

W pomieszczeniu rozległ się stłumiony śmiech.

– Rzeczy osobiste mają pozostać przy ciałach aż do momentu, gdy zostaną sfotografowane i opisane.

Słyszając to, pomyślałam o szmacianej lalce.

– Nie wszystkie szczątki będą poddawane szczegółowej ekspertyzie. Chłopcy, do których trafiać będą ciała, zadecydują, gdzie co idzie. Jeśli jednak któreś z badań nie zostanie wykonane, należy to niezwłocznie odnotować w aktach ofiary. Nie chcę później zgadywać, czy ekspertyza dentystryczna nie została wykonana, ponieważ nie było żadnych zębów, czy może coś zostało przeoczone. Każdy najdrobniejszy szczegół ma zostać zapisany. Proszę,

upewnijcie się, że wszystkie informacje zostają umieszczone w raporcie dotyczącym konkretnego ciała. Żądam pełnej dokumentacji. Jeszcze jedno. Jestem pewien, że słyszeliście, iż FBI otrzymało informację o umieszczonej na pokładzie bombie. Proszę, abyście zwracali uwagę na jakiegokolwiek ślady wskazujące na eksplozję. Przeglądając zdjęcia rentgenowskie, szukajcie wszelkiego rodzaju odłamków. Obejrzyjcie dokładnie płuca i błonę bębenkową ofiar. Szukajcie na skórze oparzeń, które mógł spowodować wybuch. Znacicie procedurę.

Larke zamilkł i rozejrzał się po sali.

– Niektórzy z was są tu po raz pierwszy, inni są starymi wyjadaczami. Nie muszę mówić, jak trudne będą nadchodzące tygodnie. Róbcie sobie przerwy. Niech nikt nie pracuje dłużej niż dwanaście godzin dziennie. Jeśli poczujecie, że praca was przytłacza, porozmawiajcie z psychologiem. Wiercie mi, nie będzie to oznaką słabości. Psychologowie są tu po to, aby wam pomóc. Wykorzystajcie to.

Po tych słowach Larke schował długopis do notatnika.

– To chyba wszystko. Chciałbym jeszcze podziękować agentom DMORT za tak szybkie przybycie. Co do reszty, proszę, abyście opuścili kostnicę.

Kiedy pomieszczenie opustoszało, podeszłam do Larke'a, aby zapytać o listę pasażerów.

W tym samym momencie w pomieszczeniu pojawił się Magnus Jackson. Przywitał mnie skinieniem głowy. Współpracowałam z IIC kilka lat temu przy okazji katastrofy lokalnego samolotu, wiedziałam więc, że Jackson nie jest typem człowieka, który chciałby się bawić w wymianę uprzejmości.

– Siemasz, Tempe – rzucił ciepło Larke, po czym zwrócił się do Jacksona. – Widzę, że przywiózł pan cały zespół.

– Najwyraźniej będziemy pracować pod dużą presją. Do jutra liczba moich ludzi wzrośnie do pięćdziesięciu.

Wiedziałam, że badania wraku przeprowadzone na miejscu katastrofy będą pobieżne. Po zrobieniu szczegółowych zdjęć i spisaniu protokołów, szczątki samolotu zostaną usunięte i przewiezione do miejsca, w którym zostaną złożone i poddane analizie.

– Jakież wieści w sprawie bomby? – spytał Larke.

– Cholera, informację podał pewnie jakiś świr, ale media zdążyły już oszaleć. CNN nazywa go Terrorystą z Blue Ridge. Przeklętą geografia. ABC ochrzciła go mianem Piłkarskiego Terrorysty.

– FBI włączy się do śledztwa?

– Już tu są. Drapią łapami w ogrodzenie.

Czując, że nie wytrzymam ani chwili dłużej, postanowiłam przerwać tę pogawędkę.

– Mamy listę pasażerów?

Larke wyciągnął z notatnika kawałek papieru. Kiedy trzymałam go w dłoni, poczułam lęk, jakiego nigdy wcześniej nie doświadczyłam.

Proszę, Boże.

Patrząc na listę nazwisk, miałam wrażenie, że otaczający mnie świat stanął nagle w miejscu. Anderson. Beacham. Bertrand. Caccioli. Dignault.

Larke mówił coś do mnie, ale jego słowa trafiały w pustkę.

Po chwili, która zdawała się wiecznością, kamień spadł mi z serca.

Na liście nie było ani Katy Brennan Peterson, ani Liji Feldman.

Zamknęłam oczy i odetchnęłam z ulgą.

Kiedy ponownie je otworzyłam, napotkałam zdziwione spojrzenia. Bez słowa wyjaśnienia zwróciłam kartkę Larke'owi, a chwilowe uczucie ulgi zmieniło się w poczucie winy. Moja córka żyła, jednak wysoko w górach leżały martwe dzieci innych rodziców.

Chciałam natychmiast rzucić się w wir pracy.

– Co mam robić? – spytałam Larke'a.

– Earl poradzi sobie w kostnicy. Na razie możesz wrócić na miejsce katastrofy i zająć się odnajdywaniem szczątków. Będiesz tu potrzebna, kiedy tylko zacznie się transport.

Po powrocie na miejsce tragedii poszłam od razu do wozu ze środkami odkażającymi, założyłam maskę, rękawiczki i kombinezon. Kiedy przypominałam już astronautę, skinęłam głową do jednego ze strażników, okrążyłam barykadę i ciekawa najświeższych wieści ruszyłam w stronę kostnicy.

Szczegółowa lokalizacja każdego oflagowanego przedmiotu została wprowadzona do CAD – programu komputerowego opartego na technologii Total Station. Poszczególne części samolotu, należące do pasażerów przedmioty, a także szczątki ofiar zostały naniesione przez program na wirtualną siatkę, którą można było wydrukować. Ponieważ technika ta była znacznie szybsza i wymagała mniejszych nakładów pracy niż tradycyjny system kartograficzny z użyciem sznurków i siatek, usuwanie szczątków rozpoczęło się jeszcze przed moim przyjazdem. Gdy się o tym dowiedziałam, pospieszyłam na miejsce katastrofy.

Słońce powoli chyliło się ku linii drzew, a delikatne cienie kładły się na ziemi cienką, kruchą pajęczyną. Na miejscu katastrofy zapalono lampy łukowe. Woń rozkładu była teraz znacznie silniejsza. Poza tym nic się tu nie zmieniło od czasu mojej ostatniej bytności.



Przez kolejne trzy godziny asystowałam swoim kolegom przy znakowaniu, fotografowaniu i pakowaniu tego wszystkiego, co pozostało z pasażerów Air TransSouth 228.

Kompletne ciała, kończyny i korpusy trafiały do dużych, plastikowych worków, podczas gdy szczątki zamykano w niewielkich torebkach. Kolejnym etapem było przenoszenie worków na wzgórze i umieszczanie ich w chłodniach.

Temperatura na zewnątrz wciąż była wysoka, więc czułam, jak spływa po mnie pot.

Dookoła kłębiły się muchy, zwabione fetorem rozkładającego się, ludzkiego mięsa. Zbierając z ziemi wnętrzności i fragmenty mózgu, walczyłam z nudnościami. Wkrótce jednak mój nos i umysł popadły w stan całkowitego odrętwienia. Nie zauważyłam nawet, kiedy niebo nabrało krwistej barwy, a ustawione między drzewami reflektory rozbłysły oślepiającym światłem.

Podeszłam do dziewczyny. Leżała zwrócona twarzą w stronę nieba, a jej nogi wyginały się do góry w okolicach goleni. Wystająca spod nadgryzionej przez zwierzęta twarzy kość lśniła w promieniach słońca głębokim szkarłatem.

Widząc ją, wyprostowałam się, przycisnęłam dłonie do brzucha i próbowałam zapanować nad oddechem. Wdech, wydech. Wdech, wydech.

Dobry Boże. Czy upadek z ponad dziewięć tysięcy metrów nie był wystarczającym okrucieństwem? Czy zwierzęta musiały sprofanować ciało? Te dzieciaki tańczyły, grały w tenisa, jeździły kolejką górską i odbierały maile. Były spełnieniem marzeń swoich rodziców. Teraz pozostaną jedynie na zdjęciach zdobiących zamknięte, trumienne wieka.

Poczułam, że ktoś dotyka mojego ramienia.

– Czas na przerwę, Tempe.

Spoza wąskiej szczeliny pomiędzy maską i czapczką spoglądały na mnie oczy Earla.

– Nic mi nie jest.

– Zrób sobie przerwę. To rozkaz.

– Dobrze już, dobrze.

– Przynajmniej godzinę.

W połowie drogi do centrum dowodzenia NTSB dopadł mnie lęk przed chaosem, jaki czekał na mnie wewnątrz budynku. Zatrzymałam się. Potrzebowałam spokoju. Życia. Śpiewu ptaków, beztroskiej gonitwy wiewiórek i powietrza, które nie będzie przesycone zapachem śmierci. Po chwili zastanowienia zmieniłam kierunek i powlokłam się w kierunku lasów.

Okrążając miejsce katastrofy, dostrzegłam Luke w drzewach i przypomniałam sobie, że stamtąd właśnie nadeszli wicegubernator i Larke, kiedy helikopter przywiózł ich na miejsce tragedii. Wkrótce moim oczom ukazała się ścieżka. Ta kręta, pozbawiona drzew

dróżka, pełna skał i porastających ją krzewów, z pewnością była kiedyś leśnym szlakiem lub korytem górskiego potoku.

Chwilę później zdjęłam maskę i rękawiczki, i ruszyłam w głąb lasu.

Im głębiej wchodziłam w gąszcz drzew, tym bardziej oddalałam się od panującej dookoła wrzawy, zanurzając się w ciszy i spokoju. Niecałe trzydzieści metrów dalej wdrapałam się na pień złamanego kwaśnodrzewu, podkuliłam nogi i spojrzałam w niebo. Nadchodzący zmierzch przecinał bezmiar czerwieni żółtoróżowymi pasmami. Wkrótce zapadnie zmrok.

Wiedziałam, że niebawem będę musiała wracać.

Tymczasem pozwoliłam, by mój umysł sam wybrał tor, po którym miały błądzić moje myśli.

Dziewczyna z rozerwaną twarzą.

Nie. Inny temat.

Tym razem padło na żywych.

Katy. Moja córka miała ponad dwadzieścia lat i wiodła własne życie. Oczywiście tego chciałam, jednak odcinanie pępownicy było trudne i bolesne. Katy, do niedawna jeszcze dziecko, przemknęła przez moje życie i zniknęła. Teraz była młodą kobietą.

Gdzie ona się podziewa? – myślałam.

Kolejna zmiana tematu.

Pete. Żyliśmy w separacji i byliśmy lepszymi przyjaciółmi niż podczas trwania naszego małżeństwa. Od czasu do czasu Pete naprawdę ze mną rozmawiał i naprawdę mnie słuchał. Przez chwilę zastanawiałam się, czy poprosić o rozwód i żyć dalej, czy może utrzymać status quo.

Na to pytanie również nie znałam odpowiedzi.

Andrew Ryan. Ostatnio często o nim myślałam. Ryan był śledczym z wydziału zabójstw w Montrealu. Mimo iż znaliśmy się od prawie dziesięciu lat, dopiero w ubiegłym roku zgodziłam się na randkę.

Randka. To słowo sprawiało, że czułam się zażenowana. Musiał przecież istnieć lepszy termin dla singli po czterdziestce.

Znów brak odpowiedzi.

Dałam sobie spokój z nazewnictwem. Przecież randka z Ryanem nigdy nie doszła do skutku. Tuż przed pierwszym spotkaniem śledczy Andrew zapadł się pod ziemię i nie widziałam go przez kilka kolejnych miesięcy. W chwilach takich jak ta, strasznie mi go brakowało.

Las pogrążony był w ciszy. Nagle usłyszałam szelest liści i zaniepokojona wstrzymałam oddech. Kilka sekund później usłyszałam kolejny szmer, jednak tym razem dobiegał z innego kierunku. Takiego poruszenia nie mógł wywołać zając ani wiewiórka.

Moja podświadomość dawała mi znaki, że coś jest nie w porządku.

Myśląc, że być może Earl poszedł mnie szukać, wstałam i rozejrzałam się dookoła.

Byłam sama.

Przez kolejną minutę w lesie panowała absolutna cisza. Nagle liście pobliskiego rododendrona poruszyły się i usłyszałam stłumione warknięcie. Odwróciłam się, lecz wszędzie dookoła widziałam tylko liście i krzaki. Wbiłam wzrok w zarośla, ześlizgnęłam się z kłody i stanęłam na ziemi.

Chwilę później dało się słyszeć kolejne warknięcie, a zaraz po nim głośne skomlenie.

Stojąc bez ruchu, czułam, jak w zabójczym tempie wzrasta mi poziom adrenaliny.

Tak wolno, jak tylko potrafiłam, pochyliłam się i sięgnęłam po kamień. Coś poruszyło się za moimi plecami. Jak oszalała obróciłam się w kierunku, z którego dobiegał szelest.

Moje oczy napotkały spojrzenie innych oczu – czarnych i błyszczących. W gęstniejącym mroku dojrzałam białe, obnażone kły. Pomiedzy nimi spoczywało coś przerażająco znajomego.

Ludzka stopa.

Oszalały umysł szukał odpowiedzi.

Kły wbijały się w ludzką stopę.

Sięgnęłam pamięcią do ostatnich wydarzeń. Zmiażdżona twarz i słowa zastępcy szeryfa.

O Boże! Wilk? Byłam nieuzbrojona. Co robić? Wystraszyć go?

Zwierzę gapilo się na mnie, a jego wychudzone ciało zastygło w bezruchu.

Uciekać?

Nie. Musiałam odzyskać stopę. Należała przecież do człowieka. Człowieka, który miał rodzinę i przyjaciół. Nie zostawię jej padlinożercom.

W tej samej chwili spomiędzy drzew wyłonił się kolejny wilk, który zajął pozycję tuż za swoim towarzyszem. Patrząc na niego, widziałam tylko obnażone, białe kły i widoczne wokół pyska strużki lepkiej śliny. Powoli wstałam i podniosłam kamień.

– Precz!

Zwierzęta zatrzymały się, a urwana stopa upadła na ziemię. Węsząc w powietrzu, przy ziemi i znowu w powietrzu, wilk pochylił łeb, podniósł ogon i zrobił niepewny krok w moją stronę. Chwilę później uskoczył w bok, przystanął i znieruchomiał, obserwując każdy, nawet

najmniejszy, ruch. Drugi wilk poszedł w jego ślady. Czyżby się mnie obawiały? A może miały swój własny plan? Bardzo powoli zaczęłam się wycofywać, jednak trzask gałązki za plecami kazał mi się odwrócić. Tuż za mną stały kolejne trzy wilki. Dołączyły do swych towarzyszy i zaczęły mnie okrążać.

– Stop! – wrzasnęłam, ciskając kamieniem, który trafił najbliższe zwierzę w okolicę oka.

Wilki zaskowyczały, zerwały się i odskoczyły do tyłu. Na krótką chwilę reszta stada znieruchomiała, po czym wilki na nowo zaczęły krążyć wokół mnie.

Napierając plecami na zwałone drzewo, zaczęłam wyginać gałąź, by oderwać ją od drzewa.

Krąg zacieśniał się z każdą chwilą. Wyraźnie słyszałam zniecierpliwione dyszenie i czułam zapach wilczej sierści. Jedno ze zwierząt weszło do wnętrza kręgu. Chwilę później to samo zrobił kolejny wilk. Stałam nieruchomo, z przerażeniem wpatrując się w osaczające mnie stado.

W końcu udało mi się oderwać gałąź. Kiedy pękła z trzaskiem, wilk odskoczył do tyłu, przystanął i nieufnie spojrzał w moją stronę.

Teraz, kiedy miałam już jakąś broń, chwyciłam gałąź niczym kij baseballowy i wrzasnęłam.

– Niech was szlag, przeklęci padlinożerco! Wynoście się stąd!

Po tych słowach skoczyłam ku najbliższemu wilkowi, szaleńczo wymachując gałęzią.

Zwierzę z łatwością umknęło przed ciosem, skoczyło w bok i warcząc, wróciło do swych towarzyszy. Zrezygnowana przygotowywałam swe płuca do najgłośniejszego wrzasku, jaki kiedykolwiek wydobył się z moich ust, kiedy ktoś postanowił mnie uprzedzić.

– Spieprzajcie, przeklęte sierściuchy! No dalej! Ruszajcie stąd swoje tyłki!

Nieopodal przywódcy stada świsnął pocisk, a chwilę po nim kolejny.

Zwierzę obwąchało uważnie ziemię, odwróciło się i zniknęło w zaroślach. Pozostałe wilki wahały się przez chwilę, nim ruszyły za swym towarzyszem.

Czułam, jak drżą mi ręce. Upuściłam gałąź i oparłam się o zwałony pień.

Ktoś w masce firmy Tyvek ruszył w moją stronę, ciskając w uciekające wilki kolejnym kamieniem. Chwilę później podniósł dłoń i zdjął maskę. Mimo iż było już prawie ciemno, rozpoznałam twarz swego wybawcy.

To nie może być prawda – pomyślałam. – To zbyt nieprawdopodobne, by było prawdziwe.

## Rozdział 4

– Nieźle machnięcie. Wyglądałaś jak Sammy Sosa.

– To przekłete zwierzę chciało skoczyć mi do gardła! – Mówiąc to, uświadomiłam sobie, że mój głos przypomina piskliwy wrzask.

– One nie atakują żywych ludzi. Chciały odciągnąć cię od swojego obiadu.

– Czy któryś z nich powiedział ci to osobiście?

Andrew Ryan wyjął z moich włosów liść.

Nie, nie... przecież Ryan zaszył się w Quebecu, chowając się przed światem.

– Do cholery, co ty tu robisz? – spytałam odrobinę spokojniejszym głosem.

– To tak mi dziękujesz, Złotowłosa? Choć zważywszy na okoliczności, powinienem chyba zwracać się do ciebie per Czerwony Kapturku.

– Dzięki – mruknęłam, odgarniając z czoła niesforne kosmyki. Byłam mu wdzięczna, ale wolałam, by nie myślał, że uratował mi życie.

– Nieźle.

Po tych słowach Ryan po raz kolejny wyciągnął rękę w kierunku moich włosów, jednak tym razem zdołałam go powstrzymać. To już tradycja, że kiedy nasze drogi krzyżowały się, nie byłam w najlepszej formie.

– Chodzę po lesie, zbierając resztki mózgu, wataha robi wszystko, aby rozszarpać mnie na strzępy, a ty czepiasz się żelu do włosów?

– Możesz mi powiedzieć, jakim cudem znalazłaś się tu kompletnie sama?

Jego paternalizm zaczynał działać mi na nerwy.

– A może ty mi powiesz, dlaczego tu jesteś?

Ładna twarz Ryana stężała.

– Na pokładzie był Bertrand.

– Jean?

Lista pasażerów. Bertrand. Nazwisko było popularne, więc nawet nie przyszło mi do głowy, że chodzi o partnera Ryana.

– Eskortował więźnia. – Ryan wziął głęboki oddech i z trudem wypuścił powietrze. – W Dulles mieli przesiąść się na pokład liniowca Air Canada.

– O Boże. O mój Boże. Tak mi przykro.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu, dopóki nie usłyszeliśmy upiornego wycia, po którym dało się słyszeć piskliwe skomlenie. Czyżby wilki ponownie nabrały pewności siebie?

– Lepiej wracajmy – rzekł Ryan.

– Dobry pomysł.

Ryan rozpiął kombinezon, wyciągnął latarkę i podniósł ją na wysokość ramion.

– Ty prowadzisz.

– Zaczekaj. Daj mi ją na chwilę.

Ryan bez słowa podał mi latarkę, patrząc, jak podchodzę do miejsca, w którym zobaczyłam pierwszego wilka. Chwilę później ruszył moim śladem.

– To chyba nie jest odpowiednia pora na zbieranie grzybów – rzucił żartobliwie i zatrzymał się, gdy zobaczył, co leżało na ziemi.

W snopie żółtawego światła stopa wyglądała makabrycznie. Ciało, przypominające zgniecioną masę, kończyło się tuż nad kostką. Na złobieniach pozostawionych przez wilcze kły tańczyły upiorne cienie. Nic nie mówiąc, wyciągnęłam z kieszeni kolejną parę rękawiczek i naciągając jedną z nich, podniosłam stopę z ziemi. Drugą rękawiczkę zostawiłam na miejscu znaleziska i przycisnęłam ją kamieniem.

– Nie powinnaś zaznaczyć tego na mapie?

– Nie możemy ustalić, gdzie dokładnie wilki znalazły stopę. Poza tym, jeśli zostawimy ją tu, na pewno po nią wrócą.

– Ty tu rządzisz.

Idąc za Ryanem, trzymałam stopę tak daleko od siebie, jak to tylko było możliwe.

Kiedy wróciliśmy do kwatery głównej, Ryan natychmiast wszedł do przyczepy NTSB, a ja zaniósłam swoje znalezisko do kostnicy. Wyjaśniłam, gdzie znalazłam stopę i dlaczego zabrałam ją z miejsca katastrofy, a ludzie zajmujący się katalogowaniem szczątków przypisali jej numer, włożyli do torebki i wysłali do chłodni. Ja tymczasem wróciłam do zespołu.

Dwie godziny później Earl wręczył mi notatkę:

Zgłosić się do kostnicy o 7 rano.

Porucznik.

Następnie podał mi adres i poinformował, że na dziś skończyłam już robotę. Nie pomogły żadne argumenty. Zrezygnowana, powlokłam się do przyczepy sanitarnej, gdzie stałam pod strumieniami gorącej wody tak długo, jak byłam w stanie wytrzymać. Po prysznicu moja skóra była czerwona niczym bożonarodzeniowe wstążki, ale przynajmniej pozbyłam się słodkawego odoru śmierci.

Kiedy kompletnie wykończona schodziłam ze schodów, zauważyłam Ryana. Opierał się o jeden z radiowozów i rozmawiał z Lucy Crowe.

– Marnie wyglądasz – rzuciła Crowe, kiedy podeszłam bliżej.

– Nic mi nie jest – odparłam. – Earl kazał mi odpocząć.

– Jak wam idzie?

– Jakoś leci.

Rozmawiając z nimi, czułam się jak karzeł. Zarówno Ryan, jak i Crowe mieli prawie metr osiemdziesiąt wzrostu, nie mówiąc już o tym, że pani szeryf była bezkonkurencyjna, jeśli chodziło o szerokość ramion. Stojący przy niej Ryan wyglądał jak rozgrywający, podczas gdy Crowe prezentowała się niczym silny skrzydłowy.

Jako że nie byłam w nastroju na pogaduszki, spytałam Crowe o drogę do kwatery, przeprosiłam oboje i odeszłam.

– Zaczekaj, Brennan.

Pozwoliłam, by Ryan mnie dogonił, po czym posłałam mu wymowne spojrzenie, mówiące: „tylko nie zaczynaj”. Nie chciałam poruszać tematu wilków. Kiedy szliśmy w milczeniu, pomyślałam o Jeanie Bertrandzie, jego markowych marynarkach, idealnie dopasowanych krawatach i szczerzej twarzy. Bertrand zawsze sprawiał wrażenie człowieka, który za bardzo się starał i zbyt uważnie słuchał, w obawie, że może przeoczyć istotną wskazówkę lub najdrobniejszy szczegół. Przypomniałam sobie jego zabarwioną francuskim akcentem angielszczyznę i to, jak śmiał się z własnych dowcipów, nie mając pojęcia, że bawią wyłącznie jego.

Jak dziś pamiętam dzień, w którym poznałam Bertranda. Było to krótko po moim przyjeździe do Montrealu, kiedy poszłam na bożonarodzeniowe przyjęcie organizowane przez wydział zabójstw. Bertrand, który został właśnie partnerem Ryana, był lekko wstawiony. Ryan był dla miejscowej policji czymś w rodzaju legendy, więc Jean nie krył swojej fascynacji i okazywał mu szacunek na wszelkie możliwe sposoby. Pod koniec imprezy wszyscy mieli już dość jego służalczego zachowania. Zwłaszcza Ryan.

– Ile miał lat? – spytałam bez namysłu.

– Trzydzieści siedem. – Ryan najwyraźniej myślał o tym samym co ja.

– Chryste.

Doszliśmy do głównej drogi i zaczęliśmy mozolną wspinaczkę na szczyt wzgórza.

– Kogo eskortował?

– Faceta nazwiskiem Remi Petricelli, znanego również jako Pepper.

Znałam to nazwisko. Petricelli był grubą rybą w środowisku Quebeckich Aniołów Piekieł. Mówiono też, że był zamieszany w przestępczość zorganizowaną. Od lat rządy Stanów Zjednoczonych i Kanady miały go na oku.

– Co Pepper robił w Georgii?

– Ponad dwa miesiące temu w Subaru Outback zostały znalezione zwęglone włoki drobnego dealera, niejakiego Jacquesa Fonatana. Kiedy okazało się, że wszystkie dowody wskazują na Peppera, ten postanowił zakosztować gościnności u swego brata, na południu Stanów. W wielkim skrócie cała historia wyglądała tak: Pepper został namierzony w jednym z barów w Atlancie i zwinięty przez lokalną policję. W ubiegłym tygodniu władze Georgii zgodziły się na ekstradycję. Bertrand towarzyszył mu w drodze powrotnej do Quebecu.

Gdy Ryan kończył swą opowieść, dotarliśmy do mojego samochodu. Po drugiej stronie, w blasku punktowego reflektora, stał mężczyzna z mikrofonem. Kolejny – prawdopodobnie asystent – pudrował jego twarz.

– A to znaczy, że do gry dołączyli kolejni gracze – ciągnął grobowym głosem. Ryan.

– Co masz na myśli?

– Pepper wzbudzał szacunek. Gdyby zgodził się współpracować z policją, wielu z jego przyjaciół byłoby po szyję w gównie.

– Chyba nie nadażam.

– Pewnym wpływowym ludziom mogło zależeć na śmierci Peppera.

– Do tego stopnia, że byliby w stanie zabić osiemdziesiąt siedem innych osób?

– Bez chwili wahania.

– Przecież samolot był pełen dzieciaków.

– Ludzie, o których mówię, nie są jezuitami.

Byłam zbyt zszokowana.

Ryan najwyraźniej wyczytał to z wyrazu mojej twarzy i postanowił zmienić temat.

– Głodna?

– Muszę się przespać.

– Musisz też coś zjeść.

– Zatrzymam się po drodze na hamburgera – skłamałam.

Kiedy Ryan odsunął się, wsiałam do samochodu i odjechałam, zbyt zmęczona i przybita, by życzyć mu dobrej nocy. Ponieważ wszystkie pokoje w okolicy były zajęte przez dziennikarzy i agentów NTSB, zatrzymałam się w niewielkim hotelu B&B, na obrzeżach Bryson City. Zanim zdołałam go znaleźć, kilkakrotnie zgubiłam drogę i dwukrotnie pytałam miejscowych o dojazd. Zgodnie ze swą nazwą, High Ridge House znajdował się na



wzniesieniu, do którego prowadziła długa, wąska uliczka. Był to dwupiętrowy, biały, wiejski dom z misternie rzeźbionymi, drewnianymi drzwiami i oknami. Rzeźbienia zdobiły też belki, poręcze i balustrady szerokiej werandy, która opasywała budynek z trzech stron. W świetle wiszącej na ganku lampy dostrzegłam drewniane bujaki, wiklinowe donice i mnóstwo paproci. Wszystko tu było wiktoriańskie.

Zaparkowałam samochód obok sześciu innych, stojących na niewielkim parkingu i ruszyłam brukowaną ścieżką, przy której stały metalowe, ogrodowe krzesła. Gdy otwierałam drzwi, usłyszałam delikatny dźwięk dzwonek. Wnętrze domu pachniało pastą do polerowania drewna, środkami PineSol\* [PineSol – linia produktów czyszczących (przyp. red.)] i duszoną jagnięciną.

Spośród wszystkich dań najbardziej cenię sobie irlandzką potrawkę. Jej zapach – jak zwykle – przypominał mi moją babcię. Dwukrotnie w ciągu dwóch dni? Może to znak, że patrzyła na mnie z góry.

Chwilę później zobaczyłam kobietę. Była w średnim wieku, miała około metr pięćdziesiąt wzrostu, nie miała makijażu, a gęste, siwe włosy upięła na szczycie głowy w dziwny warkocz. Nosila długą, dżinsową spódnicę i czerwoną bluzę z krzykliwym napisem Chwalmy Pana.

Zanim zdążyłam cokolwiek powiedzieć, kobieta chwyciła mnie w ramiona. Zaskoczona tym niecodziennym powitaniem, stałam nieruchomo z wyciągniętymi rękami, tak by nie uderzyć jej swym bagażem lub torbą z laptopem.

W końcu kobieta cofnęła się i zmierzyła mnie wzrokiem, jakim obdarzają się przeciwnicy przed kolejnym serwem na boisku Wimbledonu.

– Doktor Brennan.

– Tempe.

– To, co robi pani dla tych biednych dzieciaków jest prawdziwym darem od Pana.

W odpowiedzi na jej stwierdzenie skinęłam głową.

– Cenna jest w oczach Pana śmierć jego dzieci. Tak napisano w Księdze Psalmów.

Jasna cholera.

– Nazywam się Ruby McCready i jestem zaszczycona, że postanowiłaś zatrzymać się w High Ridge House. Zamierzam opiekować się wami wszystkimi jak matka.

Przez chwilę zastanawiałam się, kto jeszcze był tu zameldowany, jednak przezornie postanowiłam milczeć. Wkrótce i tak wszystko stanie się jasne.

– Dziękuję, Ruby.

– Pozwól, że to wezmę. – Sięgnęła po moją torbę. – Zaprowadzę cię do pokoju.

Po tych słowach poprowadziła mnie przez salon i jadalnię na górę, rzeźbionymi, drewnianymi schodami i wzdłuż korytarza, po którego obu stronach znajdowały się zamknięte drzwi z maleńkimi, ręcznie malowanymi tabliczkami. Skręcając na samym końcu korytarza, stanęliśmy przed kolejnymi drzwiami. Tabliczka na nich głosiła, że dotarliśmy do pokoju o nazwie Magnolia.

– Jako że jesteś jedyną kobietą, ulokowałam cię w Magnolii. – Mimo że byliśmy same, głos Ruby przeszedł w konspiracyjny szept. – To jedyny pokój z WC. Pomyślałam, że będziesz potrzebowała prywatności.

WC? Czy na świecie istniały jeszcze pokoje hotelowe bez łazienek i toalet?

Ruby weszła za mną do pokoju, położyła torbę na łóżku i niczym boy hotelowy w Ritzu, zaczęła trzepać poduszki i opuszczać żaluzje.

Patrząc na tapety i tkaniny, pojęłam nazwę pokoju. W oknie wisiały zasłony, na stoliczkach leżały obrusy, a koronkowe obszycia zdobiły każdą powierzchnię Magnolii. Wykonane z drewna klonowego łóżko i bujany fotel, dosłownie ugięły się pod stosami poduszek, a na niewielkiej, przeszklonej komodzie tłoczyły się setki filigranowych figurek.

Patrząc na nie, zauważyłam ceramiczną Małą Sierotkę Annie i jej psa, Sandy, Shirley Tempie w stroju Heidi i owczarka collie, który – jak zgadywałam – odgrywał tu rolę Lassie. Osobiście w urządzaniu domu kieruję się prostotą i choć nigdy nie dbałam o współczesną ascetyczność wnętrza, do szczęścia wystarczają mi meble firmy Shaker albo Hepplewhite. W otoczeniu rupieci czuję się nieswojo.

– Jest uroczy – zwróciłam się do Ruby.

– Zostawię cię teraz samą. Obiad był o szóstej, ale ocaliłam troszkę potrawy dla ciebie. Masz ochotę na miszkę?

– Nie. Dziękuję. Chyba położę się spać.

– Jadłaś obiad?

– Nie jestem głod...

– Spójrz na siebie, jesteś chuda jak rosół w przytułku dla bezdomnych. Nie możesz iść spać z pustym żołądkiem.

Dlaczego nagle wszyscy interesowali się moją dietą?

– Przyniosę tacę.

– Dziękuję, Ruby.

– Nie dziękuj. Jeszcze jedno. W High Ridge House nie ma zamków, możesz więc wchodzić i wychodzić, kiedy zechcesz.

Mimo iż niedawno brałam prysznic, rozpakowałam kilka rzeczy i wzięłam długą, gorącą kąpiel. Ludzie pracujący na miejscu katastrof, podobnie jak ofiary gwałtów, często przesadzają z myciem się. Wynika to z wewnętrznej potrzeby oczyszczenia zarówno umysłu, jak i ciała.

Opuściłam łazienkę, kiedy w pokoju pojawiła się potrawka, razowy chleb i kubek gorącego mleka. Próbowałam złowić na widelec kawałek rzepy, kiedy zadzwonił mój telefon.

W obawie, że za chwilę włączy się poczta głosowa, rzuciłam się do torebki, wyrzuciłam całą jej zawartość na łóżko, grzebiąc pomiędzy lakierem do włosów, portfelem, paszportem, organizery, okularami przeciwsłonecznymi, kluczami i kosmetykami. Kiedy w końcu znalazłam telefon, modliłam się o to, by po drugiej stronie usłyszeć Katy.

Usłyszałam. Głos mojej córki wzbudził we mnie tak wielką radość, że z trudem panowałam nad emocjami.

Choć Katy nie chciała powiedzieć, gdzie aktualnie przebywa, zdawała się szczęśliwa i zdrowa. Kiedy podałam jej numer do High Ridge House, powiedziała tylko, że jest z kimś i wróci do Charlottesville w niedzielę wieczorem. Ponieważ nie chciałam pytać, a ona mówić, nie dowiedziałam się, kto towarzyszył mojej córce.

Mydło, woda i długo oczekiwany telefon od Katy zdziałały cuda. Nagle poczułam się głodna jak wilk. W ciągu kilku minut dosłownie pożarłam potrawkę Ruby, nastawiłam podróżny budzik i szczęśliwa położyłam się spać.

Ostatnią rzeczą, która przyszła mi do głowy, była myśl, że może wcale nie będzie tu tak źle.

Następnego ranka wstałam o szóstej, założyłam czyste spodnie koloru khaki, wyszorowałam zęby, upudrowałam twarz i wetknęłam włosy pod czapkę Charlotte Hornets. Wyglądałam nieźle. Zeszłam więc na dół, aby zapytać Ruby o pranie.

W jadalni, na stojącej przy długim, sosnowym stole ławce, siedział Andrew Ryan.

Siadając naprzeciw niego, odwzajemniłam radosne „dzień dobry” Ruby i w milczeniu czekałam, podczas gdy gospodyni wypełniała mój kubek świeżo zaparzoną kawą. Odezwałam się dopiero wtedy, gdy Ruby zniknęła za drzwiami kuchni.

– Co ty tu robisz?

– To wszystko, co masz mi do powiedzenia?

Czekałam.

– Pani szeryf poleciła mi to miejsce.

– Spośród wszystkich innych.

– Miło tu – odparł, rozglądając się dookoła. – Uroczo. – Po tych słowach wyciągnął kubek w kierunku wiszącego nad naszymi głowami przesłania: Jezus Jest Miłością. Napis został wypalony w drewnie sękatej sosny, a w trosce o potomnych także polakierowany.

– Skąd wiedziałeś, że tu jestem?

– Cynizm wywołuje zmarszczki.

– Wcale nie. Kto ci powiedział?

– Crowe.

– A co jest nie tak z Comfort Inn?

– Wszystkie pokoje zajęte.

– Kto tu jeszcze jest?

– Na górze jest kilku chłopców z NTSB i agent specjalny FBI. Ciekawe, co czyni takich ludzi specjalnymi?

Postanowiłam zignorować tę uwagę.

– Już widzę, jak w łazience rodzą się kolejne, męskie przyjaźnie. Na parterze jest jeszcze dwóch innych, a z tego, co słyszałem, w dodatkowym pokoju w piwnicy upchnięto też dziennikarzy.

– Jak udało ci się dostać tu pokój?

W błękitnych, nordyckich oczach Ryana pojawiła się udawana niewinność. – Musiałem trafić na odpowiedni moment albo Crowe ma tu duże chody.

– Nie myśl nawet, że pozwolę ci korzystać z mojej łazienki.

– Kolejny przykład cynizmu.

Chwilę później pojawiła się Ruby z szynką, jajami, smażonymi ziemniakami i tostami.

Choć zwykle moje śniadanie składa się z płatków i mleka, rzuciłam się na jedzenie niczym żołnierz na obozie dla rekrutów.

Jedliśmy w milczeniu, co pozwoliło mi uporządkować pewne rzeczy. Obecność Ryana działała mi na nerwy, choć sama nie wiedziałam dlaczego. Czyżby drażniła mnie jego wyjątkowa pewność siebie? Opiekuńczość? To że wtargnął na moje terytorium? Fakt, że niespełna rok temu porzucił mnie dla pracy i zniknął z mojego życia? A może świadomość, że pojawił się w momencie, kiedy desperacko potrzebowałam pomocy?

Sięgnęłam po tosta i uświadomiłam sobie, że nie powiedział nic na temat swego przyjazdu. Dobra. Poczekam, aż sam poruszy tę kwestię.

– Poproszę dżem.

Podał mi go bez słowa.

Ryan wyciągnął mnie z prawdziwych tarapatów.

Rozsmarowałam na kromce grubą warstwę dżemu jeżynowego.

Wilki to nie jego wina, podobnie jak katastrofa.

Ruby ponownie napełniła nasze kubki kawą.

Na Boga, przecież ten facet stracił właśnie swojego partnera.

Czułam, jak irytacja przegrywa ze współczuciem.

– Dzięki za pomoc w walce z wilkami.

– To nie były wilki.

– Co? – Uczucie złości wróciło ze zdwojoną siłą.

– To nie były wilki.

– Oczywiście, to była gromada cocker-spanieli.

– W Karolinie Północnej nie ma wilków.

– Zastępca Crowe mówił o wilkach.

– Facet pewnie nie odróżniłby wombata\* [Wombat – zwierzę przypominające wyglądem borsuka (przyp. red.)] od karibu\* [Karibu – ssak z rodziny jeleniowatych, zamieszkuje Kanadę, Alaskę i Grenlandię (przyp. red.)]

– Wilki wróciły do Karoliny Północnej. – Mówiąc to, byłam przekonana, że gdzieś o tym czytałam.

– Masz na myśli czerwone wilki, które żyją w rezerwacie, a nie w górach.

– Rozumiem, że jesteś specjalistą od dzikich gatunków zamieszkujących Karolinę Północną.

– W jaki sposób trzymały ogony?

– Co takiego?

– Trzymały ogony do góry czy w dół?

Musiałam chwilę pomyśleć.

– W dół.

– Wilki mają ogony podniesione do góry. Kojoty trzymają je opuszczone, a kiedy coś im zagraża, ustawiają je w poziomie.

Słyszając to, przypomniałam sobie moment, kiedy zwierzę węszyło przy ziemi, a następnie delikatnie uniosło ogon.

– Chcesz powiedzieć, że to były kojoty?

– Albo dingo.

– Czy w Appalachach są kojoty?

– Kojoty zamieszkują całą Amerykę Północną.

– I co z tego? – Mówiąc to, przysięgłam sobie, że sprawdzę te informacje.

- Nic. Pomyślałem, że chciałybyś wiedzieć.
- Cała sytuacja i tak była przerażająca.
- Wiem, ale w życiu przechodziłaś już gorsze rzeczy.

Ryan miał rację. Choć przerażająca, przygoda z kojotami nie należała do najgorszych w moim życiu, kolejne dni miały szansę zakwalifikować się do ścisłej czołówki. Każdą wolną chwilę spędzałam zagrzebana po łokcie w rozczłonkowanych ciałach, oddzielając pomieszane szczątki i robiąc wszystko, aby złożyć je do kupy. Jako członek grupy patologów, dentystów i innych antropologów określałam wiek, płeć, rasę i wzrost, analizowałam zdjęcia rentgenowskie, porównywałam wyniki sekcji z tym, co opowiedzieli nam o ofiarach ich najbliżsi oraz ustalałam źródła obrażeń. Była to podła robota, tym bardziej że większość ofiar stanowili młodzi ludzie.

Dla wielu spośród nas stres okazał się nie do zniesienia. Niektórzy balansowali na krawędzi, dopóki szok, łyzy i przerażające koszmary nie zawładnęły całkowicie ich umysłami. Wymagali zwykle intensywnej opieki psychologa. Inni, najzwyczajniej w świecie, spakowali swe rzeczy i wrócili do domu. Większość jednak oswoiła się z koszmarem, a to, co dla innych było nie do zaakceptowania, stało się dla nich chlebem powszednim. Wyglądało to tak, jak gdybyśmy wyłączyli się i automatycznie robili to, co do nas należało. Co noc kładąc się do łóżka, czułam się samotna i wyczerpana, a jedynym pocieszeniem był postęp, który poczyniliśmy minionego dnia. Myślałam o pogrążonych w rozpacz rodziny i wmawiałam sobie, że wszystko działa jak należy i niebawem zamkniemy całą sprawę.

Właśnie wtedy na moim stanowisku pracy pojawił się wycinek tkanki numer 387.

## Rozdział 5

Zapomniałam o stopie, aż do chwili, gdy jeden z ludzi pracujących przy odnajdywaniu ciała przyniósł ją do mnie.

Od czasu pierwszego wspólnego śniadania rzadko widywałam się z Ryanem. Wstawałam i znikałam z domu tuż przed siódmą, wracałam po zmroku, brałam prysznic i dosłownie padałam na łóżko. Nasze kontakty ograniczały się więc do wymiany uprzejmości w stylu „dzień dobry” czy „owocnej pracy”. A przecież wciąż nie wiedziałam, dlaczego śledczy Andrew Ryan pewnego dnia po prostu zniknął z mojego życia, ani jaką rolę odgrywał w obecnym śledztwie. Jedyne, co wiedziałam, to fakt, że na pokładzie samolotu był policjant z Quebecu. Kanadyjski rząd poprosił, by Ryan zaangażował się w tę sprawę, a Andrew się zgodził.

Starając się nie myśleć o Ryanie i kojotach, wyłożyłam zawartość worka na stół. W ciągu ostatnich kilku dni miałam do czynienia z dziesiątkami oderwanych kończyn, więc stopa nie zrobiła na mnie większego wrażenia. Co więcej, częstotliwość z jaką mniej lub bardziej zmasakrowane nogi pojawiały się na naszych stołach była tak wielka, że poświęcono im całe poranne spotkanie. Zarówno patolodzy, jak i antropolodzy przyznali, że w powtarzających się obrażeniach było coś niepokojącego.

Niewiele można powiedzieć, patrząc na ludzką stopę. Ta, na którą spoglądałam teraz, miała zgrubiałe, żółte paznokcie, boczne przesunięcie dużego koślawego palca. To wszystko sugerowało, że ofiarą była osoba dorosła. Rozmiar stopy wskazywał na kobietę. Mimo iż skóra miała kolor spieczonego tostów, nie zwracałam na to uwagi. Wiedziałam, że nawet krótkotrwałe wystawienie szczątków na działanie warunków atmosferycznych może sprawić, że skóra straci kolor lub pociemnieje.

Umieściłam zdjęcie rentgenowskie na ekranie negatoskopu\* [Negatoskop – służy do przejrzystej oceny zdjęć rentgenowskich (przyp. red.)]. W przeciwieństwie do innych, nie wykazało ono obecności żadnych obcych ciał. Od razu odnotowałam ten fakt w aktach ofiary.

Kość korowa była cienka, a w stawach palczkowych dostrzegłam liczne zmiany.

Zatem kobieta była starszą osobą. Artretyzm i ubytki kości pasowały do zapalenia torebki maziowej.

Nagle moją uwagę przykuł pewien szczegół. Na zdjęciu, pomiędzy kośćmi palców unosiły się maleńkie, białe obłoczki, a na obrzeżach pierwszego i drugiego stawu śródstopno-

palcikowego dostrzegłam dziwne zmiany. Od razu rozpoznałam symptomy. Podagra wynika z nieprawidłowego metabolizmu kwasu moczowego, prowadząc do odkładania się kryształków kwasu moczowego, zwłaszcza w okolicach dłoni i stóp. Na stawach tworzą się guzki dnawe, co w przypadkach chorób przewlekłych prowadzi do niszczenia kości. Podagra nie zagraża życiu, jednak chorzy cierpią na sporadyczne ataki bólu i opuchlizny. To dość powszechne schorzenie, które w dziewięćdziesięciu procentach przypadków dotyka mężczyzn.

Jakim cudem miałam więc przed sobą kobietę?

Wróciłam do stołu, sięgnęłam po skalpel i natrafiłam na drugą niespodziankę.

Choć chłodzenie może powodować wysuszenie i obkurczenie się ciała, ta stopa różniła się od szczątków, z którymi miałam do czynienia przez ostatnie kilka dni. Nawet w przypadku zwęglonych ciał, tkanka głęboka pozostała jędrna i czerwona. Tutaj mięso zdawało się wodniste i pozbawione koloru, jak gdyby coś przyspieszyło proces gnilny. Zaniepokojona, odnotowałam to spostrzeżenie, pamiętając, by spytać o opinię innych patologów.

Z pomocą skalpela odsunęłam na bok mięśnie i ścięgna, tak abym mogła przyłożyć suwmiarkę do najdłuższej w tym przypadku kości piętowej. Zmierzyłam jej długość i szerokość, podobnie jak długość kości śródstopia, a następnie zapisałam wszystko w aktach ofiary i w swoim osobistym notatniku.

Chwilę później ściągnęłam rękawiczki, umyłam ręce i zebrawszy notatki, poszłam do pomieszczenia, gdzie zostawiłam swój laptop. Uruchomiłam program Fordisc 2. 0, wprowadziłam dane i w oparciu o pomiary kości piętowej, poprosiłam o analizę funkcji wyróżników.

Wyniki, które otrzymałam, wskazywały, że stopa mogła należeć do czarnego mężczyzny, choć późniejsze dane wskazywały, że rezultaty wyszukiwania były tu bez znaczenia. Spróbowałam porównać mężczyznę i kobietę, bez podawania pochodzenia, jednak program po raz kolejny sklasyfikował ofiarę jako mężczyznę.

OK. Bokserki pasowały do podagry. Może facet był niski. Nietypowy wzrost tłumaczyłby błąd w przypadku rasy. Wracając po akta ofiary, minęłam sekcję, w której przeprowadzano identyfikację zwłok; miejsce pełne komputerów i ciągnących się po podłodze, dziesiątków kabli. Przy każdym stanowisku siedział specjalista od katalogowania i wpisywał do komputera dane przekazane przez rodziny ofiar oraz informacje dostarczone przez ekspertów w dziedzinie medycyny sądowej, takie jak odciski palców, zdjęcia rentgenowskie, badania antropologiczne, patologiczne i dentystyczne.



Przy jednym z biurk dostrzegłam znajomą postać. Kobieta miała osadzone na czubku nosa okulary połówki, a jej górne zęby zdawały się bezustannie skubać dolną wargę. Primrose Hobbs przez trzydzieści lat była pielęgniarką na oddziale urazowym, kiedy postanowiła zamienić defibrylator na pliki danych i przeniosła się do Presbyterian Hospital w Charlotte.

Mimo to nie uwolniła się w pełni od świata dramatycznych wydarzeń. Gdy dołączyłam do DMORT, Primrose była już zaprawioną w boju członkinią Regionu Czwartego. Tej cierplivej kompetentnej sześćdziesięciolatki absolutnie nic na tym świecie nie mogło już zdziwić.

– Możemy przez chwilę popracować razem? – spytałam, przyciągając do jej biurka składane krzesło.

– Chwileczkę, skarbie. – Primrose nie przestawała stukać w klawiaturę, a jej spokojną twarz rozświetlał blask monitora. Chwilę później zamknęła folder i odwróciła się w moją stronę.

– Co tam masz?

– Lewa stopa. Z pewnością należała do kogoś starszego. Prawdopodobnie do czarnoskórego mężczyzny.

– Zobaczmy, kto potrzebuje stopy.

Praca DMORT opiera się na pakiecie oprogramowania zwanym VIP. Program śledzi postęp w identyfikacji szczątków, przechowuje dane i ułatwia porównanie informacji sprzed i po sekcji. VIP zapisuje przeszło siedemset pięćdziesiąt szczegółów dotyczących ofiary i przechowuje cyfrowe zapisy, takie jak zdjęcia i radiogramy\* [Radiogram – obraz przedmiotu uzyskany na błonie fotograficznej lub papierze światłoczułym za pomocą promieni jonizujących (przyp. red. )]. W przypadku każdej potwierdzonej identyfikacji program tworzy również dokument zawierający wszystkie użyte parametry.

Primrose musnęła palcami klawiaturę i na ekranie pojawiła się tabela z wynikami autopsji. Pierwsza kolumna zawierała listę z numerami akt. Hobbs przesunęła kursor na kolumnę o nazwie „Brakujące Części Ciała” i rozwinęła listę. Jak do tej pory znaleziono tylko cztery ciała pozbawione lewej stopy. Primrose przejrzała kolumnę, podświetlając interesujące nas przypadki.

Numer 19 był białym mężczyzną około trzydziestki. Numer 38 to biała kobieta, w wieku około dwudziestu lat. Numer 41 został zidentyfikowany jako czarnoskóra kobieta około dwudziestki piątki. Pod numerem 52 zanotowano podbrzusze czarnoskórego mężczyzny, jego właściciel mógł mieć około czterdziestu pięciu lat.

– Całkiem możliwe, że jest to pięćdziesiąt dwa – powiedziałam.

Primrose przesunęła kursor na kolumnę: wzrost i waga. Mężczyzna oznakowany numerem 52 mógł mieć w przybliżeniu sto osiemdziesiąt dziewięć centymetrów wzrostu i ważył około sto trzynaście kilogramów.

– Nie ma szans – poprawiłam się. – To nie jest stopa zapaśnika sumo.

Primrose odchyliła się na krześle i poprawiła okulary. Kędzierzawe, siwe włosy opadały jej na czoło i skronie, wymykając się spod upiętego na czubku głowy koka.

– Ta sprawa jest bardziej skomplikowana niż analiza DNA. Zarejestrowałam kilka pojedynczych części ciała. – Mówiąc to, pozwoliła, aby wiszące na łańcuszku okulary opadły jej na piersi. – Jak do tej pory mamy kilka pasujących do siebie przypadków. Powinno być lepiej, kiedy będziemy już mieli wszystkie ciała, ale jeśli chodzi o tę stopę, musisz chyba poczekać na wyniki DNA.

– Wiem, ale myślałam, że może nam się poszczęści.

– Jesteś pewna, że to mężczyzna?

Wyjaśniłam jej, na czym polega analiza funkcji wyróżników.

– A więc program porównuje takiego delikwenta z grupami, na których przeprowadzono badania i pomiary?

– Dokładnie.

– I porównanie wykazało, że stopa należy do mężczyzny.

– Tak.

– Może program się pomylił.

– To bardzo prawdopodobne, biorąc pod uwagę fakt, że nie mam pewności co do rasy.

– Czy to istotne?

– Tak. Niektóre grupy etniczne są niższe od pozostałych. Wystarczy spojrzeć na Mbuti.

Słyszając to, Primrose uniosła swe siwe brwi.

– Pigmeje z lasu równikowego Ituri – wyjaśniłam.

– Tu nie ma pigmejów, słonko.

– Nie, ale na pokładzie mogli być Azjaci. Niektóre ludy azjatyckie są niższe od ludzi mieszkających na zachodzie, a co za tym idzie, mają też mniejsze stopy.

– Nie tak maleńkie jak moje. – Mówiąc to, roześmiała się i uniosła odzianą w but stopę.

– Jedyne, czego jestem pewna, to wiek. Osoba, do której należała stopa, była po pięćdziesiątce. Myślę nawet, że dobrze po pięćdziesiątce.

– Sprawdźmy więc listę pasażerów.

Hobbs założyła okulary, uderzyła w klawiaturę i na ekranie pojawiła się tabela z przedśmiertnymi szczegółami dotyczącymi pasażerów. Arkusz wyglądał podobnie jak ten z wynikami autopsji, z tą różnicą, że większość komórek zawierała już jakieś informacje. Były tu kolumny zawierające imię, nazwisko, datę urodzenia, grupę krwi, płeć, rasę, wagę, wzrost i szereg innych szczegółów. Primrose kliknęła na kolumnę o nazwie „wiek” i opcję, która pozwalała na uporządkowanie danych według podanego kryterium.

Na pokładzie Air TransSouth 228 było sześciu pasażerów, którzy przekroczyli pięćdziesiątkę.

– Byli zbyt młodzi, by dobry Pan wezwał ich do swego domu.

– Tak – odparłam, gapiąc się w monitor.

Przez chwilę siedzieliśmy w milczeniu. Primrose przesunęła kursor i obie pochyliłyśmy się do przodu. Czterech mężczyzn. Dwie kobiety. Wszyscy biali.

– Posegregujmy ich według rasy.

W tabeli ukazało się sześćdziesięciu ośmiu białych pasażerów, dziesięciu Afroamerykanów, dwóch Latynosów i dwóch Azjatów. Obsługa kabiny pasażerskiej i obaj piloci byli biali. Żaden z czarnoskórych pasażerów nie przekroczył czterdziestki. Obaj Azjaci mieli niewiele ponad dwadzieścia lat i prawdopodobnie byli studentami. Masako Takaguchi miała szczęście. Jako jedyna ofiara katastrofy została znaleziona w jednym kawałku i została już zidentyfikowana.

– Może spróbuj wpisać średnią wieku powyżej pięćdziesięciu lat. A, i jeszcze coś, ofiara cierpiała na podagrę.

– Mój były miał podagrę. Była to jedyna ludzka rzecz w tym człowieku.

Primrose zaśmiała się niskim, gardłowym śmiechem.

– Mmm. Mogę cię prosić o jeszcze jedną przysługę?

– Jasne, dziecinko.

– Sprawdź nazwisko Jean Bertrand.

Primrose znalazła odpowiedni rząd i przesunęła kursor na kolumnę z paskiem stanu.

Do chwili obecnej ciało Bertranda nie zostało zidentyfikowane.

– Wróć, kiedy dowiem się czegoś więcej – rzuciłam, zbierając akta numeru 387.

Wróciwszy do stopy, usunęłam i oznaczyłam niewielki fragment kości. Gdyby tylko udało mi się znaleźć odpowiednią próbkę, stary kamień żółciowy, zdjęty z grzebienia włosów lub płatek łupieżu, mogłabym wykonać badanie cytologiczne i dzięki DNA ustalić tożsamość ofiary. Jeśli nie, test DNA mógł określić płeć lub pozwolić odnaleźć w szczątkach inne

fragmenty ciała ofiary. Wystarczyłby tatuaż czy koronka i moglibyśmy odesłać szczątki do domu.

Kiedy zamykałam torbę z wycinkiem i wpisywałam do akt swoje spostrzeżenia, w mojej głowie kłębiły się pytania. Czy to możliwe, aby program komputerowy się pomylił? A może to ja miałam rację w swojej pierwotnej ocenie i stopa faktycznie należała do kobiety? Bardzo możliwe. Ale co z wiekiem? Byłam pewna, że kości należały do starszej osoby, mimo to żaden z pasażerów nie pasował do tego profilu. Czy oprócz podagry w grę wchodziło jeszcze inne schorzenie?

I co z daleko posuniętym rozkładem?

Zaniepokojona, wycięłam kolejną próbkę kości z najwyższej, nietkniętej partii piszczeli, oznakowałam ją i włożyłam do torebki. Jeśli stopa pozostanie niezidentyfikowana, postaram się dokładniej ustalić wiek na podstawie badań histologicznych. Analiza mikroskopowa musiała poczekać. Slajdy były wykonywane w biurze lekarza sądowego w Charlotte, a zaległości w pracy były ogromne.

Ponownie zapakowałam stopę, zwróciłam ją agentowi odpowiedzialnemu za odnajdywanie zwłok i rzuciłam się w wir pracy, który niczym nie różnił się od czterech poprzednich dni. Przez kolejne godziny sortowałam ciała lub ich szczątki, badając każdy, najdrobniejszy szczegół. Nie zwracałam uwagi na ludzi, którzy wchodzili i wychodzili z pomieszczenia, ani na szarzejący za oknami dzień.

Straciłam poczucie czasu, gdy nagle, w dalekim końcu remizy, dostrzegłam Ryana, który szerokim łukiem omijał stertę sosnowych trumien. Chwilę później podszedł do mojego stołu.

Jego twarz wyrażała wyjątkowe napięcie.

– Jak ci idzie? – spytałam, ściągając maskę.

– Minie następnych dziesięć lat, zanim to wszystko uporządkujemy.

Miał podkrążone oczy, a twarz bladą niczym leżący między nami kawałek ciała. Byłam zszokowana tą nagłą zmianą. Dopiero teraz zrozumiałam... Podczas gdy ja okazywałam swoje współczucie nieznanemu, ból, który odczuwał Ryan, miał podłoże personalne. On i Bertrand byli partnerami przez prawie dziesięć lat.

Chciałam go pocieszyć, ale do głowy przychodziły mi jedynie proste słowa.

– Przykro mi z powodu Jeana.

Ryan pokiwał głową.

– Trzymasz się jakoś? – spytałam łagodnie.

Mięśnie na jego twarzy napięły się, a po chwili rozluźniły.

Widząc to, sięgnęłam ponad stołem, chcąc dotknąć jego dłoni. Oboje spojrzeliśmy na zakrwawioną rękawiczkę.

– Daj spokój, nie okazuj mi współczucia.

Te słowa przełamały panujące między nami napięcie.

– Bałam się, że przywłaszczysz sobie mój skalpel – odparłam, chwytając narzędzie.

– Tyrell mówi, że dość się dziś napracowałam.

– Ale przecież...

– Jest już ósma. Jesteś tu od trzynastu godzin.

Spojrzałam na zegarek.

– Spotkajmy się na tyłach świątyni miłości i opowiem ci o szczegółach śledztwa.

Nagle uświadomiłam sobie, jak bardzo bolą mnie plecy i kark. Zmęczone oczy piekły, jak gdyby ktoś wsypał mi pod powieki ziarenka piasku. Chwilę później położyłam dłonie na biodrach i odchyliłam się do tyłu.

– A może pomogę ci się zrelaksować? – Kiedy wróciłam do pozycji siedzącej, Ryan patrzył na mnie spod uniesionych łobuzersko brwi.

– Zasnę, zanim przyłożę głowę do poduszki.

– Musisz coś zjeść.

– Chryste, Ryan. Skąd ta troska o moją dietę? Jesteś gorszy niż moja matka.

W tym samym momencie zauważyłam Larke'a Tyrella, który machał do mnie ręką. Po chwili wskazał na zegarek i przeciągnął ręką po gardle. W odpowiedzi skinęłam głową i unosząc kciuki, pokazałam mu, że wszystko gra.

Tłumacząc Ryanowi, że zabiorę tylko notatki, zapakowałam szczątki do worka, odnotowałam swe uwagi w aktach ofiary i zwróciłam wszystko jednemu z agentów. Potem przebrałam się, umyłam i opuściłam budynek.

Czterdzieści minut później Ryan i ja siedzieliśmy nad talerzami z klopsami w kuchni High Ridge House, a ja musiałam wysłuchiwać, jak mój towarzysz po raz trzeci skarży się na brak piwa.

– Pijak i obzartuch popadną w nędzę – odparłam, sięgając po butelkę ketchupu.

– Kto tak mówi?

– Według Ruby jest to cytat z Księgi Przysłów.

– A zatem wypicie małego piwa powinno być przestępstwem. – Na zewnątrz ochłodziło się. Ryan miał na sobie chabrowy, narciarski sweter, który idealnie pasował do koloru jego oczu.

– Tak powiedziała Ruby?

– Szekspir. Henryk VI.

– O co ci chodzi?

– Ruby jest taką samą despotką jak król.

– Opowiedz mi o śledztwie – poprosiłam, zatapiając zęby w kanapce.

– Co chcesz wiedzieć?

– Znaleziono już czarne skrzynki?

– One są pomarańczowe. Masz ketchup na brodzie.

– Znaleziono już rejestratory parametrów lotu? – Wytarłam twarz, zastanawiając się, jak mężczyzna mógł być zarazem tak atrakcyjny i denerwujący.

– Tak.

– I?

– Zostały wysłane do laboratorium NTSB w Waszyngtonie, ale miałem okazję przesłuchać nagrania z kabiny pilota. Wierz mi, były to najgorsze dwadzieścia dwie minuty w moim życiu.

Czekałam.

– Poniżej trzech tysięcy metrów panuje cisza. Przez pierwsze osiem minut piloci są niezwykle skupieni. Dopiero później mogą się zrelaksować, odpowiadają na komunikaty z wież kontrolnych, rozmawiają o swoich dzieciakach, lunchu i grze w golfa. Nagle słychać wystrzał i wszystko się zmienia. Słychać ciężkie oddechy i wzajemne nawoływania. – Ryan przełknął z trudem. – W tle słychać brzęczenie, później ćwierkanie, a w końcu zawodzenie. Jeden z dźwiękowców zdołał w trakcie odsłuchu zidentyfikować każdy kolejny dźwięk. Odłączenie się autopilota. Maszyna przyspieszyła. Ostrzeżenie, że samolot znajduje się poniżej bezpiecznej wysokości. To oznaczało, że przez chwilę udało się wyrównać lot. Słyszysz to i wyobrażasz sobie pilotów; którzy robią wszystko, by ocalić samolot i pasażerów. Jasna cholera.

Znowu przełknął.

– Później słychać już tylko mrozący krew w żyłach świst. System ostrzegający przed zderzeniem z ziemią. Donośny zgrzyt. Cisza.

Gdzieś w głębi domu trzasnęły drzwi, a w rurach popłynęła woda.

– Wiesz, jak to jest, kiedy ogląda się filmy przyrodnicze? Nie masz wątpliwości, że lew wybebeszy gazelę, a mimo to siedzisz wciąż przed telewizorem i kiedy w końcu tak się dzieje, czujesz niesmak i bezsilność. Tak właśnie jest. Słyszysz wszystkich tych ludzi, cały otaczający ich koszmar i choć wiesz, że za chwilę zginą, nie możesz nic z tym zrobić.

– Co z rejestratorem parametrów lotu?

– To zajmie tygodnie, może nawet miesiące. Fakt, że rejestrator głosu działał tak długo, wiele mówi o katastrofie. Zazwyczaj rejestratory przestają działać w momencie, gdy padają silniki i generator. Jedyne, co wiadomo, to fakt, że wprowadzanie danych zakończyło się nagle w trakcie pozornie rutynowego lotu. To może sygnalizować katastrofę powietrzną.

– Wybuch?

– Niewykluczone.

– Bomba albo usterka mechaniczna.

– Tak.

Zmierzyłam Ryana piorunującym spojrzeniem.

– Dokumenty z przeglądu wskazują na to, że w ciągu ostatnich dwóch lat w samolocie trafiały się drobne usterki. Zostały naprawione. Dwukrotnie zmieniano też jakiś przełącznik. Personel techniczny twierdzi jednak, że były to rutynowe naprawy.

– Jakież wieści o człowieku, który podał informację o bombie?

– Dzwoniono z automatu w Atlancie. Zarówno BBC, jak i FBI mają taśmy z nagraniem. Robią analizę głosu.

Ryan pociągnął łyk lemoniady, skrzywił się i odstawił szklanę.

– A co słyhać w waszych szeregach?

– To poufne, Ryan. Wszystkie oficjalne informacje muszą pochodzić od Tyrella.

Słyszając to, Ryan przejechał palcami po ustach.

– Znajdujemy wbite w ciała przedmioty i mnóstwo złamań dolnej partii nóg i kostek.

To nietypowe w przypadku zderzenia samolotu z ziemią.

Gdy to mówiłam, przed oczami stanęła mi niezidentyfikowana stopa. Intrygowała mnie.

Ryan najwyraźniej wyczytał to z mojej twarzy.

– Co tym razem, jaskierku?

– Mogę cię o coś zapytać?

– Wal śmiało.

– Wiem, że to może zabrzmieć dziwnie.

– Jakbyś na co dzień miewała zdrowe poglądy. Słyszając to, po raz kolejny spiorunowałam go wzrokiem.

– Pamiętasz stopę, którą ocaliliśmy przed kojotami?

Ryan skinął głową.

– Nie pasuje do żadnego z pasażerów.

– Co nie pasuje?

– Przede wszystkim wiek, a jestem prawie pewna, że w tej kwestii się nie mylę. Żaden z pasażerów nie był tak stary. Czy to możliwe, aby na pokładzie przebywał ktoś, kogo nie mamy na liście?

– Mogę się temu przyjrzeć. W wojsku zdarzało nam się jeździć na gapę, ale nie sądzę, by było to możliwe w przypadku lotu samolotem. Choć zdarza się, że pracownicy linii lotniczych latają za darmo. Mają tak zwane darmowe bilety. Mimo to ich nazwiska znajdują się na liście pasażerów.

– Byłeś w wojsku?

– Brałem udział w wojnie krymskiej.

Zignorowałam ten żart.

– Czy któryś z pasażerów mógł oddać swój bilet komuś innemu? Sprzedać go?

– Wsiadając na pokład, musisz okazać dokument ze zdjęciem.

– A co, jeśli posiadacz biletu zgłasza się do odprawy, pokazuje dokument i oddaje bilet komuś innemu?

– Zapytam.

Skończyłam jeść korniszona.

– Czy ktoś mógł przewozić próbki biologiczne? Ta stopa wygląda na bardziej sfatygowaną od pozostałych szczątków.

Ryan spojrzał na mnie z niedowierzaniem.

– Sfatygowaną?

– Proces gnilny tkanek wydaje się bardziej posunięty.

– Czy takie rzeczy nie zależą od środowiska?

– Jasne, że tak.

Przez chwilę grzebałam widelcem w ketchupie, po czym skończyłam kanapkę.

– Wydaje mi się, że przewożenie próbek biologicznych powinno zostać zgłoszone – zauważył Ryan.

Słyszac to, przypomniałam sobie czasy, kiedy przewoziłam kości w bagażu podręcznym. Zdarzyło się też, że transportowałam tkanki zamknięte w kubkach Tupperware, tak bym w trakcie lotu mogła badać ślady piły pozostawione na ciele ofiary przez seryjnego mordercę. Nie byłam więc przekonana co do słuszności spostrzeżenia Ryana.

– Może kojoty znalazły stopę w innym miejscu? – zasugerowałam.

– Na przykład?

– Na starym cmentarzu.

– Air TransSouth 228 uderzył w cmentarz?



– Nie bezpośrednio. – Przypomniałam sobie rozmowę z Simonem Midkiffem i jego obawy o wykopaliska. Wiedziałam, że to, co mówię, brzmi absurdalnie, jednak sceptycyzm Ryana działał mi na nerwy. – To ty jesteś ekspertem od dzikich zwierząt i z pewnością wiesz, że lubią przenosić różne rzeczy z miejsca na miejsce.

– Może jakiś uraz z przeszłości sprawił, że stopa wygląda na starszą, niż jest.

Musiałam przyznać, że było to możliwe.

– I szybciej się rozkłada.

– Może.

Po tych słowach wytarłam usta chusteczką i wyniosłam naczynia do zlewu.

– Posłuchaj, może wybierzemy się jutro do Kanionu Kojotów i sprawdzimy, czy faktycznie ktoś tam nie leży.

Odwróciłam się, by spojrzeć mu w oczy.

– Mówisz poważnie?

– Zrobię wszystko, by uspokoić twój strapiony umysł.

Okazało się jednak inaczej.

## Rozdział 6

Kolejny ranek spędziłam, oddzielając ciała czterech ofiar. Szczątki numer 432 pochodziły ze spalonego fragmentu kadłuba, leżącego w dolinie na północ od miejsca katastrofy. W worku na zwłoki znalazłam jedno względnie nienaruszone ciało. Ofiara nie miała pokrywy czaszki i dolnej części ramion. W worku znajdowała się również część głowy i nietknięte prawe ramię, w którego mięśniu trójgłowym tkwił fragment żuchwy. Jakby tego było mało, wszystko to zastygło, tworząc jednolitą masę.

Po wstępnych badaniach udało mi się ustalić, że ciało należało do czarnoskórej kobiety po dwudziestce, której wzrost w chwili śmierci wynosił sto siedemdziesiąt cztery centymetry. Zdjęcia rentgenowskie wykazywały zagojone złamania prawego ramienia i łopatki. Numer 432 sklasyfikowałam jako szczątki ludzkie, zanotowałam swoje spostrzeżenia i odesłałam ciało do odontologa\* [Odontolog – specjalista z dziedziny odontologii, czyli nauki o zębach (przyp. red.)].

Oznaczony numerem 432A fragment głowy, należał do białego mężczyzny przed dwudziestką. Jego również wysłałam do analizy dentystycznej. Odłamek żuchwy należał do kogoś starszego od numeru 432A, prawdopodobnie do kobiety. On także trafił do odontologa, oznaczony numerem 432C. Przyjrzałam się uważnie tkance kostnej i ustaliłam, że urwane ramię należało do osoby po dwudziestce. Obliczyłam górne i dolne normy dla wzrostu, jednak nie byłam w stanie określić płci ofiary, ponieważ rozmiar dłoni i ramienia był właściwy zarówno dla mężczyzn, jak i kobiet. Ramię, jako numer 432D, zostało odesłane do działu zajmującego się odciskami palców.

Była dwunasta piętnaście. Musiałam się spieszyć.

Zauważyłam Ryana przez niewielkie okienko w prowadzących do kostnicy, tylnych drzwiach. Siedział na schodach i rozmawiał przez telefon. Jedną nogę wyciągnął, na drugiej, podkurczonej opierał łokieć. Otworzywszy drzwi, usłyszałam, że wzburzonym głosem rozmawia po angielsku. Podejrzywałam, że nie chodziło o sprawy zawodowe.

– Tak właśnie będzie to wyglądało.

Kiedy mnie zauważył, obrócił się przez ramię, a jego odpowiedzi stały się krótkie i zwięzłe.

– Rób, co chcesz, Danielle.

Zaczekałam, aż skończy i przycupnęłam na schodach.

– Przepraszam za spóźnienie.

– No problemo.

Zatrzasnął klapkę i nerwowo wsunął telefon do kieszeni.

– Problemy na domowym froncie?

– Co zjesz na lunch? Rybę czy kurczaka?

– Dobry unik – odparłam z uśmiechem. – Prawie tak subtelny jak krótkie krycie.

– Domowy front nie jest twoją sprawą. Wystarczająco delikatnie?

Mimo otwartych ust, nie wydusiłam z siebie ani słowa.

– Mała różnica zdań.

– Dla mnie możesz się kłócić z samym Arcybiskupem Canterbury, tylko nie każ mi w tym uczestniczyć. – Mówiąc to, czułam, że się rumienię.

– Odkąd interesuje cię moje życie uczuciowe?

– Jeśli mam być szczerą, wcale mnie ono nie obchodzi – warknęłam.

– To stąd to dochodzenie.

– Co?

– Zapomnijmy o tym. – Ryan wyciągnął rękę, ale ja uchyliłam się przed jego dotykiem.

– To ty prosiłeś mnie, żebym się tu z tobą spotkała.

– Posłuchaj, oboje jesteśmy zaangażowani w to śledztwo.

– Ale ja się ciebie nie czepiam.

– Nie dam się znowu zastraszać – odparł, opuszczając na nos okulary.

– Zastraszać? – wrzasnęłam.

– Ryba czy kurczak – powtórzył spokojnie Ryan.

– Jedz sobie sam.

Po tych słowach odwróciłam się na pięcie, czując, jak twarz płonie mi z wściekłości. Poniżenia? A może po prostu poczułam się skrzywdzona?

Wracając do kostnicy, trzasnęłam drzwiami i oparłam się o nie plecami. Chwilę później usłyszałam dźwięk silnika, pisk hamulców i na parking wtoczyła się kolejna ciężarówka z ciałami. Odwróciłam głowę i zobaczyłam Ryana, który przez chwilę grzebał piętą w ziemi, a następnie skierował się do wynajętego samochodu.

Dlaczego tak mnie rozwścieczył? Po jego zniknięciu dużo o nim myślałam, ale dzieląca nas odległość stała się tak naturalna, że nawet nie przyszło mi do głowy, by w jego życiu mogła pojawić się inna kobieta. Czy o to właśnie chodziło? Pomimo trawiącej mnie ciekawości, nie zamierzałam pytać.

Kiedy w końcu odwróciłam się od drzwi, napotkałam czujne spojrzenie Larke'a Tyrella.

– Potrzebujesz przerwy.

– Dziś po południu zamierzam urwać się na dwie godziny. – Poprosiłam o chwilę wolnego, abyśmy wspólnie z Ryanem mogli przyjrzeć się okolicy, w której znalazłam stopę.

Teraz musiałam wrócić tam sama.

– Kanapkę? – Larke skinął głową w kierunku pomieszczenia dla pracowników.

– Jasne.

Chwilę później oboje siedzieliśmy przy rozkładanym stole.

– Kanapki i połamane chipsy – odezwał się Larke.

– Zazwyczaj tak to wygląda.

– Jak tam LaManche? – spytał, sięgając po coś, co wyglądało jak kanapka z tuńczykiem.

– Kłótniwy, jak zawsze.

Jako kierownik medyczno-prawnej jednostki, Pierre LaManche był odpowiednikiem Tyrella w laboratorium w Montrealu. Moi szefowie znali się od lat, jako że obaj byli członkami Krajowego Stowarzyszenia Lekarzy Sądowych i Amerykańskiej Akademii Medycyny Sądowej. Ubiegłej wiosny LaManche przeszedł zawał, jednak wrócił do zdrowia i jak zwykle rzucił się w wir pracy.

– Miło mi to słyszeć.

Odwijając celofan i odkręcając korek butelki z wodą, przypomniałam sobie dzień, w którym Larke pojawił się na miejscu katastrofy.

– Mogę cię o coś spytać?

– Jasne. – Przyglądał się uważnie. W świetle słonecznych promieni jego oczy zdawały się kasztanowe.

– Chryste, Larke. Nic mi nie jest, więc przypadkiem nie mów mi nic o stresie. Tak się składa, że śledczy Ryan okazał się właśnie prawdziwym dupkiem.

– Zauważyłem. Dobrze śpisz?

– Jak niemowlę. – Mówiąc to, z trudem opanowałam chęć przewrócenia oczami.

– O co chcesz spytać?

– Kiedy ty i wicegubernator przybyliście tu w ubiegłym tygodniu, gdzie wylądował wasz śmigłowiec?

Odwróciłam torebkę z chipsami, wysypując na dłoń resztkę okruchów.

– Niedaleko od miejsca katastrofy jest dom. Pilotowi spodobała się rzeźba terenu, więc tam wylądował.

– Jest tam prowizoryczny pas do lądowania?

– No coś ty, po prostu niewielka polanka. Davenport był przerażony, że ubrudzi sobie buty od Calvina Kleina. – Larke zachichotał.

– Wyglądało to jak scena z M\*A\*S\*H\*. Davenport powtarzał wciąż, że musimy wracać, na co pilot odpowiadał: „Tak, proszę pana. Tak, proszę pana”. W końcu jednak wylądował dokładnie tam, gdzie chcieliśmy.

Włożyłam do ust resztkę chipsów.

– Później poszliśmy od razu na miejsce katastrofy. Jeśli dobrze pamiętam, maszerowaliśmy pół kilometra.

– Jest tam dom?

– Stary dom letniskowy czy coś w tym stylu. Nie zwróciłem na to szczególnej uwagi.

– Widziałeś drogę?

Larke potrząsnął głową.

– Skąd te pytania?

Opowiedziałam mu o stopie.

– Nie zauważyłem żadnego cmentarza, ale nie zaszkodzi rozejrzeć się po okolicy. Jesteś pewna, że to były kojoty?

– Nie.

– Uważaj. Weź radio i puszkę gazu łzawiącego.

– Czy kojoty polują za dnia?

– Polują wtedy, kiedy mają na to ochotę.

Świetnie.

Drzewem, które symbolizuje Karolinę Północną jest sosna błotna, a krzewem dereń. Łódź rybacka, słonowodny okoń i żyjące na wschodzie zółwie również dostały tego zaszczytu. Powodem do dumy są także dzikie kucyki żyjące w Shackleford Bank oraz wzniesiony nad górą Grandfather Mountain najwyższy most wiszący w kraju. Stara Północ bierze swój początek na zachodzie, na szczytach południowych Appalachów, skąd opada na wzgórze, aż do rozlewisk, plaży i wysp na wschodnim brzegu. To góra Mitchell i Outer Banks. Blowing Rock i Przylądek Strachu. Wąwóz Linville i wyspa Bald Head.

Ukształtowanie terenu Karoliny Północnej dzieli jej mieszkańców zgodnie z ideologicznymi przekonaniem. Latem ludzie z terenów górskich lubują się w lotniarstwie, grze w ruletkę, spływach kajakowych, wspinaczce i wyprawach rowerowych. Zimą uprawiają

narciarstwo zjazdowe i snowboarding. Mniej zuchwali oddają się grze w golfa, kolekcjonują antyki, kochają muzykę bluegrass i podziwiają przyrodę.

Mieszkańcy równin cenią sobie morskie powietrze, rozgrzany piasek, połowy ryb w oceanie i spienione fale Atlantyku. Tam, gdzie temperatury są łagodne, miejscowi nie zaopatrują się w rękawiczki, nie kupują zimowych opon. Przyroda jest tam łaskawa, za wyjątkiem pojedynczych rekinów czy aligatorów. No i oczywiście wszędzie, gdzie się da są pola golfowe.

Jednak nie mogę zaprzeczyć, że nawet, gdy zachwycam się pięknem spienionych rzek, kaskadowych wodospadów i strzelających w niebo drzew, moje serce zawsze należy do morza. Uwielbiam otoczenie, w którym wystarczają szorty i sukienki na ramiączkach, a jedynym niezbędnym kosmetykiem jest krem do opalania. Dajcie mi katalog kostiumów kąpielowych, a zapomnę o ubraniach marki Eddie Bauer. Ze wszystkich miejsc na świecie, plaża jest moim ulubionym.

Takie właśnie myśli krążyły mi po głowie, kiedy wałęsałam się po miejscu katastrofy.

Dzień był piękny, choć wietrzny i nawet nieprzyjemna woń rozkładu wydawała się mniej intensywna. Choć ekipy zajmujące się zbieraniem ofiar dawały z siebie wszystko, na ziemi wciąż leżało jeszcze kilka ciał. Ludzie w kombinezonach wałęsali się dookoła, od czasu do czasu przetrząsając wrak samolotu. Niektórzy mieli czapeczki z napisem FBI.

Niebawem znalazłam ścieżkę i polanę, o której mówił Larke. Mimo iż słońce stało wysoko na niebie, temperatura w cieniu była znacznie niższa. Szłam teraz dróżką, którą znalazłam w ubiegłym tygodniu. Od czasu do czasu zatrzymywałam się i nasłuchiwałam. Nad głową słyszałam szum i skrzywienie gałęzi, a pod nogami szelest liści. Gdzieś w górze dzieciół wystukiwał niez mordowanie swoje staccato. Na chwilę przerwał, by za moment ponownie wrócić do pracy.

Nim wyszłam z kostnicy, założyłam jaskrawą, żółtą kurtkę. Nie chciałam, by moja obecność w lesie kogokolwiek zaskoczyła i liczyłam, że radosne kolory firmy Tommy Hilfiger zadziałają jak straszak na kojoty. Jeśli nie, zamierzałam potraktować swych futrzastych napastników gazem łzawiącym.

Kiedy dotarłam do zwalonego kwaśnodrzewu, przyklękłam i dokładnie obejrzałam leśne poszycie. Wstałam i rozejrzałam się dookoła. O przygodzie z kojotami przypominała mi porzucona gałąź.

Chwilę później ruszyłam wąską ścieżką. Ziemia była tu zapadnięta, tak więc musiałam uważać na ukryte pomiędzy liśćmi skały. Porastająca szlak roślinność zdawała się skarłowaciała, choć momentami sięgała mi do kolan.

Idąc, rozglądałam się dookoła, wypatrując zwierząt i śladów pochówku. Dom, o którym wspominał Larke, wskazywał, że w okolicy mieszkali ludzie, a stare obejścia nierzadko były miejscami grzebania zmarłych. Kilka lat temu kierowałam wykopaliskami na szczycie Chimney Rock. Pamiętam, że w pobliżu zbudowanej z drewnianych bali chaty, znaleźliśmy wówczas małego cmentarz, którego próżno było szukać w jakichkolwiek dokumentach.

Jakby tego było mało, natknęliśmy się również na gniazda grzechotników leśnych i mokasynów błotnych.

Przeciskając się przez pogrążoną w cieniu wąską szczelinę, czułam jak kolce i gałęzie chwytają moje ubrania, a insekty atakują twarz. Gwałtowne podmuchy wiatru sprawiały, że otaczający mnie półmrok zdawał się tańczyć i nabierać realnych kształtów. Chwilę później drzewa ustąpiły miejsca niewielkim polanom. Na środku jednej z nich stał jeleń, który podniósł głowę, spojrzął spłoszonym wzrokiem w moim kierunku i zniknął między drzewami.

Przede mną stał dom. Jego tylna część tuliła się do wznoszącej się w niebo na wysokość kilkuset metrów ściany klifu. Budynek miał solidne fundamenty, mansardowe okna i spadzisty dach z szerokim okapem. Z przodu widniał zadaszony ganek, podczas gdy z lewej strony wyzierała dziwna, kamienna ściana.

Podchodząc bliżej, pomachałam ręką. Zaczekałam. Krzyknęłam. Znowu zamachałam.

Nie powitał mnie żaden głos ani szczekanie psa. Wszystko pogrążone było w absolutnej ciszy.

Krzyknęłam jeszcze raz w nadziei, że żaden wieśniak rodem z filmu Wzbawienie nie weźmie mnie na muszkę.

Cisza.

W mojej głowie dzwięczało bandzo. Przecięłam niewielką łąkę. Promienie słońca zaatakowały mnie ze zdwojoną siłą, jednak nie założyłam okularów przeciwsłonecznych, które spoczywały bezpiecznie w mojej kieszeni. Wiedziałam, że oprócz wieśniaków, w górach stacjonowały paramilitarne jednostki neonazistów, którzy niechętnie witali swych gości.

Rozglądając się dookoła, zauważyłam, że wokół chaty na dobre rozpanoszyła się przyroda. To, co niegdyś było trawnikiem albo ogródkiem, zarosło i utonęło w powodzi skarłowaciałych, białych olch, kwaśnodrzewów, ośnieży i rozmaitych krzaków, których nazw nie byłam sobie w stanie przypomnieć. Tuż za nimi rosły osiki, magnolie, topole, klony, dęby, buki, występujące na wschodzie białe sosny i inne nieznane mi drzewa. Wszystko to spowite było splątaną, zieloną pajęczyną kurzu.

Kiedy podeszłam do frontowych schodów, poczułam na ramionach gęsią skórę. Dziwny niepokój spadł na mnie niczym zimny, wilgotny szal. W powietrzu czaiło się coś złowrogiego. Nie miałam pojęcia, skąd brały się moje obawy. Czy wpływał tak na mnie widok ciemnych, wysuszonych bali i zabitych deskami okien, czy leśnej gęstwiny, która wiodła swój żywot w wiecznym półmroku.

– Halo? – Już sam dźwięk mojego głosu sprawiał, że moje tętno nieznacznie przyspieszyło.

Cisza. Żadnych ludzi, żadnych psów.

Wystarczyło jedno spojrzenie, bym wiedziała, że dom nie został opuszczony w pośpiechu. Od chwili, gdy mieszkańcy się stąd wynieśli, najwyraźniej upłynęło sporo czasu.

Konstrukcja była solidna niczym londyńskie więzienie Newgate. Wątpiłam jednak, by George Dance naszkicował plany. Ktoś, kto zbudował chatę, podzielał nieufność architekta do otwartych przestrzeni. Ilość okien zredukowano tu do minimum, jak gdyby w obawie przed widokiem gór. Żadnych świetlików. Żadnych otwartych okien. Zbudowane ze skały i grubych, niebejcowanych bali, miejsce to miało być przede wszystkim funkcjonalne. Patrząc na nie, nie byłam w stanie określić, czy ostatni ludzie pojawili się tu ubiegłego lata, czy może u schyłku Wielkiego Kryzysu.

Nie wiedziałam nawet, czy ktoś jest w środku. Może obserwował każdy mój ruch przez szparę w drewnie albo co gorsza przez celownik.

– Halo! Jest tu kto?

Cisza.

Wspięłam się na ganek i zapukałam do drzwi.

– Halo?

Ani śladu życia.

Wychylając się w stronę okna, przytknęłam twarz do okiennicy. Ciężki, ciemny materiał zasłaniał wnętrze budynku. Obróciłam się, z nadzieją, że znajdę szczelinę, przez którą zajrzę do środka. Odpuściłam sobie, dopiero gdy poczułam na policzku lekki niczym piórko dotyk pajęczych nóg.

Chwilę później zeszałam ze schodów i okrążyłam dom. Idąc zarośniętą, wybrukowaną ścieżką, dotarłam na niewielkie, ponure podwórko. Miejsce otaczały wysokie na dwa i pół metra kamienne ściany porośnięte bzem. Jego soczyste, zielone liście zdawały się ciemne na tle złotozielonego lasu. Na ubitej, wilgotnej ziemi nie rośło nic prócz mchu.



Ponownie zerknęłam na dom. Na pobliskiej gałęzi wylądował kruk – czarna sylwetka na tle oślepiającego błękitu. Ptak krzyknął coś schrypniętym głosem, trzasnął dziobem i zerknął w moim kierunku.

– Przekaż swojej pani, że wstąpiłam do niej – powiedziałam, chcąc dodać sobie odwagi.

Kruk przez chwilę mierzył mnie uważnym spojrzeniem paciorkowatych oczu, po czym wzbił się do góry i zniknął. Gdy się odwracałam, moją uwagę przykuł błysk, jak gdyby światło odbiło się od odłamka szkła. Zamarłam. Czy mi się zdawało, czy widziałam na górze jakiś ruch? Czekałam przez minutę, jednak nic się nie wydarzyło.

Na podwórze prowadziła tylko jedna droga, tak więc zawróciłam, idąc po kocich łbach, i spojrzałam na przeciwległą część budynku. Przestrzeń pomiędzy domem a lasem wypełniały zarośla, których zwieńczeniem były rosnące przy chacie zwiędłe malwy. Chodziłam dookoła, ale nie zauważyłam żadnych śladów pochówku. Jedynym znaleziskiem okazał się złamany, metalowy pręt.

Sfrustrowana wróciłam na ganek, wcisnęłam pręt między okiennice i delikatnie próbowałam je podważyć. Drewno nawet nie drgnęło. Chwilę później napałam po raz kolejny, uważając, by niczego nie uszkodzić. Solidna konstrukcja nie dawała jednak za wygraną.

Zerknęłam na zegarek. Druga czterdzieści pięć. Moje starania nie miałyby sensu i byłyby głupotą, jeśli okazałoby się, że chata wcale nie jest opuszczona. Jeśli ktokolwiek tu mieszkał, albo wyjechał, albo chciał, aby tak myślano. Byłam zmęczona, spocona, a skóra swędziała mnie od tysiąca ugryzień i zadrapań.

Musiałam przyznać, że było w tym miejscu coś przerażającego i choć wiedziałam, że zachowuję się irracjonalnie, czułam, jak z chaty emanuje zło. W końcu dałam za wygraną. Wracając na miejsce katastrofy, przysięgłam sobie, że spróbuję wyciągnąć jakieś informacje od miejscowych.

W drodze do kostnicy rozmyślałam o opuszczonym domostwie. Kto je zbudował? Po co? Co takiego było w tym miejscu, że czułam się w nim nieswojo?

## Rozdział 7

Kiedy tuż po dziewiątej wróciłam do High Ridge House, Ryan już na mnie czekał. Nie zauważyłam go, dopóki się nie odezwał.

– Wygląda na to, że na pokładzie była eksplozja.

Słyszając to, zamarłam w bezruchu, ściskając klamkę w dłoni.

– Nie teraz, Ryan.

– Jackson wyda jutro oficjalne oświadczenie. Odwróciłam się w stronę stojącego na ganku bujaka.

Ryan opierał stopę o poręcz, leniwie huśtając się w przód i w tył. Kiedy zaciągał się papierosem, jego twarz rozświetlała delikatna, czerwona poświata.

– To pewne?

– Jak to, że Madonna nie jest już dziewicą.

Zawahałam się. Byłam ciekawa najświeższych wieści, jednak nie ufałam swojemu rozmówcy.

– To cholernie popieprzony dzień, Brennan. Przepraszam za swoje zachowanie.

Mimo iż miałam niewiele czasu na przemyślenia, nasze dzisiejsze spotkanie zmusiło mnie do podjęcia decyzji. Zamierzałam definitywnie zakończyć swój katastrofalny związek z Ryanem. Od tej chwili nasze wzajemne relacje będą miały wyłącznie podłoże zawodowe.

– Opowiadaj.

Ryan poklepał dłonią siedzisko bujaka. Podeszłam do niego, jednak nie usiadłam.

– Dlaczego eksplozja?

– Siadaj.

– Jeśli wymyśliłeś tę historyjkę, żeby mnie tu zwabić, to...

– Znaleźli lej i stopione włókna.

W półmroku twarz Ryana zdawała się pozbawiona życia. Chwilę później zaciągnął się papierosem i wyrzucił niedopałek pomiędzy paprocie. Spojrzałam na sypiące się w ciemności iskry i wyobraziłam sobie spadający z nieba Air TransSouth 228.

– Naprawdę chcesz tego słuchać?

Nie odpowiedziałam. Zamiast tego położyłam torbę na bujaku i przysiadłam na drugim końcu siedziska.

– Co to jest lej?

– Lej powstaje, kiedy ciecz albo ciało stałe gwałtownie zmieniają się w gaz.

– Jak przy wybuchu?

– Tak. Eksplozja sprawia, że temperatura wzrasta do kilkudziesięciu tysięcy stopni, tworząc falę uderzeniową, która oddziałuje na metal podobnie jak wybuch gazu. Tak właśnie opisali to spece od eksplozji. W trakcie dzisiejszego spotkania pokazali nam zdjęcia. Wygląda to mniej więcej jak skórka pomarańczy.

– Znaleźli kraterowanie?

– Dostrzegli je na różnych częściach samolotu. Pozwijane brzegi metalowej konstrukcji i przenikanie włókien są kolejnym dowodem.

Po tych słowach delikatnie rozbijał huśtawkę.

– Czym jest przenikanie włókien?

– W czasie ekspertyzy widać włókna wtopione w inne, nienaruszone części samolotu. Wszystko to można zobaczyć pod mikroskopem, który daje bardzo duże zbliżenie. Z tego co wiem, znaleziono też pęknięcia spowodowane wysoką temperaturą i stopione końce materiałów.

Poczułam, że jeśli Ryan nie przestanie kołysać huśtawką, zwymiotuję grecką sałatkę, którą zjadłam po wyjściu z kostnicy.

– Nie huśtaj.

– Niektóre ze zdjęć są naprawdę zadziwiające.

Zapięłam kurtkę i wsadziłam ręce do kieszeni. Mimo że dni wciąż były jeszcze ciepłe, wieczorami robiło się chłodno.

– A więc kraterowanie, poskręcany metal, stopione materiały i przenikanie włókien świadczą o eksplozji. To by pasowało do licznych obrażeń dolnych partii nóg.

– Podobnie jak fakt, że znaczna część kadłuba była prawie nienaruszona.

Oparłam stopę o poręcz, by zatrzymać huśtawkę.

– To wszystko pasuje do wybuchu.

– Spowodowanego przez?

– Bombę. Pocisk. Usterkę mechaniczną. Ludzie z grupy operacyjnej zajmującej się materiałami wybuchowymi przeprowadzą analizę chromatograficzną. Dzięki temu może uda się im ustalić, jakie substancje chemiczne znajdowały się na pokładzie. Radiografia\* [Radiografia – metoda badania struktury wewnętrznej obiektów przy pomocy przenikliwego promieniowania jonizującego (przyp. red.)] i dyfrakcja rentgenowska\* [Dyfrakcja rentgenowska – technika umożliwiająca badanie szerokiego zakresu materiałów zarówno w postaci ciekłej, jak i stałej (przyp. red.)] pozwolą określić rodzaj cząsteczek. I jeszcze coś.

Spektrofotometria<sup>1</sup> w podczerwieni. Nie wiem dokładnie, co to jest, ale brzmi nieźle. Może dzięki niej sprawa nie trafi do laboratorium FBI.

– Pocisk? – Nikt wcześniej nie wspominał o takiej ewentualności.

– Niezbyt prawdopodobne, ale pojawiła się taka opcja. Pamiętasz zamieszanie, kiedy okazało się, że przyczyną katastrofy TWA 800 był właśnie pocisk? Pierre Salinger był przekonany, że winę za to ponosiła marynarka wojenna.

Skinęłam głową.

– Wiesz przecież, że na wzgórzach ukrywają się bojówki. Może nazistowscy koleśie Erica Rudolpha przystąpili do handlu bronią i sprawili sobie nową zabawkę. Rudolph był poszukiwany w związku z atakami na kliniki aborcyjne oraz podejrzany o dokonanie zamachów bombowych na olimpiadzie w Atlancie w 1996 roku. Istniały plotki, że ukrywał się w górach.

– Wiadomo już, gdzie umieszczono ładunek?

– Zbyt wcześnie, by cokolwiek powiedzieć. Ludzie odpowiedzialni za badanie kabiny pilota próbują ustalić, w jakim stopniu zostały zniszczone siedzenia. To pomoże zlokalizować miejsce wybuchu.

Ryan odepchnął stopy od balustrady, jednak bujak pozostał nieruchomy.

– My robimy to samo w przypadku ran i złamań. W chwili obecnej wydaje się, że najbardziej ucierpieli pasażerowie siedzący z tyłu samolotu. – Badając obrażenia, antropolodzy i patolodzy sporządzali wykresy przedstawiające związek pomiędzy stanem, w jakim znajdowały się zwłoki, a miejscem, jakie ofiara zajmowała na pokładzie. – Co z zespołem pracującym nad zapisami z radarów?

– Żadnych niespodzianek. Po starcie samolot skierował się na północny-wschód, w kierunku Athens. Centrum kontroli lotów w Atlancie kończy swój zasięg na granicy Winston-Salem, gdzie kontrolę przejmuje Waszyngton. Samolot nigdy nie wyleciał poza strefę Atlanta ATC. Radar wykazał, że dwadzieścia minut i dziewiętnaście sekund po starcie pilot wzywał wieżę kontrolną. Około dziewięćdziesięciu sekund później obiekt rozpadł się na dwie lub nawet trzy części i zniknął z monitorów.

Gdzieś w oddali zobaczyłam światła reflektorów. Umilkliśmy. Patrzyliśmy, jak dwa jasne punkty pną się ku górze, wiją na podjeździe, aż w końcu gasną. Chwilę później na ścieżce zarysowała się jakaś postać. Kiedy zbliżyła się do ganku, Ryan postanowił zagadnąć.

– Długi dzień?

---

<sup>1</sup> [Spektrofotometria – dział spektroskopii, który umożliwia przeprowadzenie badania ilościowego widm substancji przy użyciu spektrofotometrów (przyp. red.)]

– Kto pyta? – Mężczyzna przypominał skazę na tle aksamitnie czarnego nieba.

– Andy Ryan.

– Cóż, bonsoir. Zapomniałem, że pan również się tu zameldował. – Sądząc po głosie, jego właściciel nie stronił od whisky. Zdążyłam też zauważyć, że był przysadzistym mężczyzną w czapeczce, jaką zwykle noszą operatorzy koparek.

– Żel pod prysznic o zapachu bzu jest mój.

– Respektuję to, detektywie Ryan.

– Postawiłbym ci piwo, ale bar jest już zamknięty.

Mężczyzna wspiął się na ganek. Chwilę później przyciągnął krzesło i postawił je naprzeciw huśtawki. Tuż przy krześle wylądowała wypchana torba, aż w końcu on sam zajął należne mu miejsce. W słabym świetle wiszącej nad naszymi głowami lampy dostrzegłam bulwiasty nos i policzki poprzecinane siateczką popękanych naczynek.

Byron McMahon, agent specjalny FBI, zdjął czapeczkę i ukłonił się w moim kierunku.

Gęste, siwe włosy okalały jego głowę niczym błazeńska czapka.

– Tym razem to ja stawiam. – Mówiąc to, McMahon rozpiął torbę i wyciągnął sześciopak piwa Coors.

– Diabelski trunek – mruknął z zadowoleniem Ryan, wyciągając puszkę.

– Dokładnie – zgodził się McMahon. – Niech go Bóg błogosławi. – Po tych słowach pomachał w moim kierunku puszką.

Spojrzałam na piwo i uświadomiłam sobie, że dawno niczego tak bardzo nie pragnęłam. Nagle przypomniałam sobie przyjemność, jaką sprawiał krążący w żyłach alkohol i rozlewające się po ciele ciepło. Uczucie ulgi i dobrego samopoczucia. Znałam jednak siebie. Opamiętanie przyszło po latach. Wiedziałam, że każda podwójna helisa była obietnicą składaną Bachusowi. Marzyłam, by ulec tej pokusie, jednak pamiętałam, że euforia nie potrwa długo, a gniew i nienawiść do samej siebie nie dadzą o sobie zapomnieć. Nie mogłam się napić.

– Nie, dzięki.

– W miejscu, gdzie je kupiłem, jest tego mnóstwo.

– W tym właśnie cały problem.

McMahon uśmiechnął się, wziął puszkę, a pozostałe włożył do torby.

– A zatem, co się mówi w FBI? – spytał Ryan.

– Że jakiś pieprzony sukinsyn wysadził samolot w powietrze.

– Macie jakichś podejrzanych?

– Większość z nas podejrzewa twoich koleś z gangu motocyklowego. Ten Petricelli był skorumpowaną szumowiną z papką zamiast mózgu, ale trzeba przyznać, że miał sporo znajomości.

– I?

– Mogli mieć go na celowniku.

Kosze kwiatów poruszyły się na wietrze, sprawiając, że na balustradach i deskach podłogowych zatańczyły czarne cienie.

– A oto wariant numer dwa: Pani Martha Siminglon zajmowała miejsce 1A. Trzy miesiące temu Haskell Simington ubezpieczył swoją żonę na dwa miliony dolarów.

– To kupa forsy.

– Na pewno pomoże biednemu mężulkowi ukoić ból po stracie żony. A, prawie bym zapomniał. Simingtonowie od czterech lat żyli w separacji.

– Pozostaje jeszcze pytanie, czy facet byłby na tyle popieprzony, żeby dla kasy zabić osiemdziesiąt osiem osób. – Ryan dopił Coorsa, a pustą puszkę wrzucił do torby McMahona.

– Właśnie zaczynamy nad nim pracować. – Mówiąc to, McMahon zapakował do torby kolejną pustą puszkę.

– Jest jeszcze inny scenariusz. Siedzenie 12F zajmował niejaki Anurudha Mahendran. Dzieciak z wymiany, pochodził ze Sri Lanki i był bramkarzem.

McMahon wyciągnął kolejne dwa piwa i wręczył jedno Ryanowi.

– Wuj Anurudhy pracuje w radiu Voice of Tigers.

– To coś jak Tamil Tigers?

– Tak, proszę pani. Facet ma niewyparzoną gębę i tamtejszy rząd z pewnością chciałby mu ją zamknąć.

– Podejrzewacie rząd Sri Lanki? – Byłam kompletnie zaskoczona.

– Nie, ale po obu stronach mamy ekstremistów.

– Jeśli nie możesz wyeliminować wujka, wyeliminuj dzieciaka. Przekaż wiadomość.

Ryan otworzył kolejne piwo.

– Może to kompletna bzdura, ale sprawdzamy każdą ewentualność. Nie możemy też zapomnieć o miejscowych.

– Miejscowych? – spytałam.

– Dwóch wiejskich kaznodziejach, którzy mieszkają niedaleko stąd. Wielebny Isaiah Claiborne zaklina się na wszystkie świętości, że człowiekiem, który przyczynił się do katastrofy jest wielebny Luke Bowman. – Puszka McMahona syknęła w półmroku. – Faceci są treserami węży i jawnie się nienawidzą.

– Treserami węży?

Zignorowałam pytanie Ryana.

– Czy Claiborne coś widział?

– Przysięga, że widział unoszącą się z za domu Bowmana białą smugę, po której nastąpiła eksplozja.

– Czy FBI traktuje go poważnie?

McMahon wzruszył ramionami.

– Czas się zgadza. Miejsce również, jeśli weźmiemy pod uwagę tor lotu.

– Jakże węże? – Ryan obstawał przy swoim.

– Wiadomo coś o mężczyźnie, który przekazał informację o bombie? – Zmieniłam temat, celowo unikając komentarzy na temat uduchowienia naszych górskich sąsiadów.

– Wiadomość została przekazana przez białego Amerykanina o pospolitym akcencie.

– To zawęża obszar poszukiwań do ilu milionów? Zauważyłam poruszenie w oczach McMahona, jak gdyby poważnie potraktował moje pytanie.

– Kilku.

Agent FBI dopił piwo, zgniótł puszkę i wrzucił ją do torby. Za chwilę podniósł się z krzesła, życzył nam dobrej nocy i skierował się w stronę drzwi. Usłyszałam dobiegający z wnętrza domu radosny dźwięk dzwoneczków. Niebawem w jednym z górnych okien zapaliło się światło. Ganek pograżył się w ciszy, którą od czasu do czasu przerywał cichy jęk zawieszonych pod sufitem donic. Ryan odpalił papierosa.

– Sprawdziłaś, co słychać u kojotów?

– Tak.

– I?

– Ani kojotów, ani trumien.

– Znalazłaś coś ciekawego?

– Dom.

– Kto w nim mieszka?

– Jaś i Małgosia, i krwiożercza wiedźma. – Mówiąc to, dźwignęłam się z huśtawki. – Skąd, do diabła, mam wiedzieć?

– Był ktoś w domu?

– Nie natknęłam się na komitet powitalny zapraszający mnie na herbatę.

– Miejsce jest opuszczone?

Przerzuciłam torbę przez ramię i zastanawiałam się przez chwilę nad odpowiedzią.

– Nie jestem pewna. Kiedyś był tam ogród, ale najwyraźniej trafił go szlag. Dom ma solidną konstrukcję, więc ciężko stwierdzić, czy ktoś się nim zajmuje, czy po prostu jest odporny na zniszczenia.

Ryan czekał.

– Jest jednak coś dziwnego. Z frontu budynek przypomina najzwyczajszą w świecie, niepomalowaną, górską chatę, ale z tyłu znajduje się kamienne ogrodzenie i podwórze.

Na twarzy Ryana pojawił się delikatny rumieniec, który po chwili utonął w mroku.

– Opowiedz mi o treserach węży. Macie w Karolinie Północnej treserów węży?

Zamierzałam odmówić, kiedy dzwoneczki w domu zadzwoniły po raz kolejny. Spojrzałam w kierunku drzwi, spodziewając się zobaczyć w nich McMahona, jednak nikt nie wyszedł na zewnątrz.

– Innym razem.

Zerkając do środka, zauważyłam, że ciężkie, drewniane drzwi wewnętrzne były otwarte na oścież. Kiedy weszłam, zamknęłam je i docisnęłam klamkę z nadzieją, że Ryan zrobi to samo. Chwilę później powlokłam się do pokoju, marząc o prysznicu i łóżku. Niemal natychmiast usłyszałam ciche pukanie.

Przekonana, że to Ryan, przybrałam surową minę i uchyliłam drzwi.

W korytarzu stała Ruby. Jej pełną powagi twarz przecinały głębokie bruzdy zmarszczek.

Miała na sobie szary, flanelowy szlafrok, różowe skarpety i brązowe pantofle w kształcie psich łap. Splecione dłonie tuliła kurczowo do piersi.

– Miałam zamiar położyć się spać – powiedziałam z uśmiechem.

W odpowiedzi Ruby zmierzyła mnie ponurym wzrokiem.

– Jadłam obiad – dodałam.

Kobieta uniosła drżącą dłoń, jak gdyby chciała pochwycić coś niewidzialnego.

– O co chodzi, Ruby?

– Diabeł ma wiele różnych postaci.

– Tak. – Ale założę się, że nie dorasta ci do pięt. Pragnienie prysznicu i snu stało się nie do zniesienia.

Wyciągnęłam dłoń, by dotknąć jej ramienia, jednak Ruby cofnęła się i ponownie splotła dłonie na piersi.

– Oni bratają się z Lucyferem w obliczu boskości. Bluźniercy.

– Kto taki?

– Zdobyli klucz do Hadesu i do śmierci. Tak napisano w Apokalipsie.



– Ruby, czy możesz mówić do mnie po ludzku?

Kąciki jej szeroko otwartych oczu były zaróżowione i wilgotne.

– Ty nie pochodzisz stąd, więc nie wiesz.

– Nie wiem czego? – Czułam, że zaraz wybuchnę. Nie byłam w nastroju na przypowieści i zagadki.

– W tym miejscu czai się zło. Chodziło jej o piwo?

– Detektyw Ryan...

– Nikczemni ludzie drwią z naszego Pana. Wiedziałam, że ta rozmowa prowadzi donikąd.

– Porozmawiajmy o tym jutro.

Chwyciłam za klamkę, jednak dłoń Ruby zamknęła się na moim ramieniu. Czułam przez materiał kurtki odciski na jej dłoniach.

– Nasz Pan zesłał znak. Zbliżyła twarz do mojego ucha. – Śmierć!

Po tych słowach ujęłam dłoń Ruby w swoje ręce, uścisnęłam ją delikatnie i cofnęłam się do pokoju. Zamykając drzwi, spoglądałam na nieruchome, małe ciało naszej gospodyni i warkocz, który oplatał czoło kobiety niczym martwy, siwy wąż.

## Rozdział 8

Kolejny dzień był świętem. Jeśli dobrze pamiętam, na cześć Krzysztofa Kolumba. Piekło rozpełtało się jeszcze przed południem. Jadąc do kostnicy, zmagalam się z mgłą tak gęstą, że przesłoniła nawet góry i skutecznie ograniczyła widoczność aż do wpół do jedenastej. W trakcie przerwy na kawę natknęłam się na Larke'a Tyrella, który siedział w pomieszczeniu dla personelu, czekając, aż napełnię kubek przemysłową lurą i zasypię go białym proszkiem.

– Jest coś, o czym chciałbym z tobą porozmawiać.

– Jasne.

– Nie tutaj. – Przez chwilę spoglądał na mnie.

Było w tym spojrzeniu coś, co przyprawiło mnie o dreszcze.

– O co chodzi, Larke?

– Chodź.

Mówiąc to, chwycił mnie za ramię i popchnął w kierunku tylnych drzwi.

– Nie wiem, jak ci to powiedzieć, Tempe. – Zamieszał kawę. Na powierzchnię wypłynęły opalizujące obłoczki.

– Po prostu wyduś to z siebie. – Odparłam spokojnym, wyważonym tonem.

– Złożono skargę. Czekałam.

– Strasznie mi głupio. – Przez chwilę spoglądał na kubek, po czym niechętnie podniósł wzrok. – Dotyczy ciebie.

– Mnie?

Skinął głową.

– Co takiego zrobiłam?

– Skarga dotyczy nieprofesjonalnego zachowania, które może zaszkodzić śledztwu.

– To znaczy?

– Wtargnięcia na miejsce katastrofy bez upoważnienia i nieumiejętne obchodzenie się z dowodami.

Patrzyłam na niego z niedowierzaniem.

– I wtargnięcia na teren prywatny.

– Wtargnięcia? – Czułam, jak lodowata pięść ścisnęła mi trzewia.

– Kręciłaś się po okolicy, o której rozmawialiśmy?

– Nie wtargnęłam tam. Chciałam porozmawiać z właścicielami.

– Próbowełaś się włamać?

– Jasne, że nie!

Przez krótką chwilę zobaczyłam siebie, jak próbuję wyważyć prętem jedną z okiennic.

– Poza tym w ubiegłym tygodniu uzyskałam pozwolenie wejścia na teren katastrofy.

– Czyje?

– Wysłał mnie tam Earl Bliss. Dobrze o tym wiesz.

– W tym właśnie cały problem, Tempe. – Larke potarł dłonią policzek. – Wówczas agenci DMORT nie brali jeszcze udziału w śledztwie.

Ta informacja ścięła mnie z nóg. – Co kryje się pod stwierdzeniem, że nieumiejętnie obchodziłam się z dowodami?

– Nawet boję się pytać. – Larke podrapał się po policzku. – Tempe...

– Po prostu spytaj.

– Czy zebrałaś szczątki, które nie zostały opisane?

Stopa.

– Mówiłam ci o tym.

– Nie denerwuj się.

– Byłam zmuszona podjąć samodzielną decyzję.

Larke milczał.

– Gdybym zostawiła tę stopę, zamiast niej mielibyście teraz gówno kojota. Pogadaj z Andrew Ryanem. On też tam był.

– Porozmawiam z nim.

Po tych słowach Larke uścisnął moje ramię.

– Wyjaśnimy to.

– Bierzesz te wszystkie bzdury na poważnie?

– Nie mam wyjścia.

– Dlaczego?

– Wiesz, że prasa tylko czyha, by dorwać mi się do tyłka. Jeśli się dowiedzą, rzucają się na nas jak ogar na ślepego zająca.

– Kto złożył skargę? – Mówiąc to, walczyłam ze łzami, które uporczywie cisnęły mi się do oczu.

– Nie mogę powiedzieć.

Opuścił dłoń i spojrzał na mgłę, spod której powoli zaczynał wyłaniać się znajomy krajobraz. Kiedy ponownie odwrócił twarz, w jego spojrzeniu było coś dziwnego.

– Powiem ci tylko, że w całą sprawę są zamieszani naprawdę wpływowi ludzie.

– Dalajlama? Połączone Kolegium Szefów Sztabu? – W moim głosie słychać było wściekłość.

– Nie wściekaj się na mnie, Tempe. To śledztwo to poważna sprawa. Jeśli wynikną problemy, nikt nie będzie chciał się z nimi borykać.

– Szykujecie mnie więc do roli kozła ofiarnego?

– Bzdura. Po prostu muszę działać zgodnie z pewnymi procedurami.

Wzięłam głęboki oddech.

– Co teraz?

Larke spojrzał mi prosto w oczy, a jego głos przeszedł w łagodny szept.

– Muszę cię prosić, żebyś wyjechała.

– Kiedy?

– Natychmiast.

Tym razem ja utkwiałam wzrok w mlecznych oparach mgły.

\*\*\*

W ciągu dnia High Ridge House stał zupełnie pusty. Zostawiłam Ruby wiadomość z podziękowaniem za gościnę, przeprosinami za swoje zachowanie ubiegłej nocy i nagły wyjazd. Następnie spakowałam swoje rzeczy, wrzuciłam je do mazdy i ruszyłam, wyrzucając spod kół grad żwiru. W drodze powrotnej do Charlotte to zatrzymywałam się, to znowu ruszałam z piskiem opon. Jak szalona ruszałam na światłach, a kiedy wyjechałam na autostradę, bez opamiętania zmieniałam pasy. Przez kolejne trzy godziny siedziałam ludziom na ogonie i trąbiłam jak szalona. Jakby tego było mało, gadałam do siebie, powtarzając niczym mantrę słowa: podły, nikczemny i wściekła. Po jakimś czasie zauważyłam, że inni kierowcy unikali mojego wzroku i trzymali się ode mnie w bezpiecznej odległości.

Byłam wściekła i przygnębiona z powodu niesprawiedliwości anonimowego oskarżenia i swojej własnej bezsilności. Przez tydzień pracowałam w nieludzkich warunkach, oglądając śmierć, czując ją i oddychając nią. Rzuciłam wszystko, bez reszty oddałam się pracy, aż w końcu zostałam wyrzucona jak służąca, którą podejrzewa się o kradzież. Nikt mnie nie wysłuchał. Nikt nie dał mi szansy na wyjaśnienie. Zamiast podziękowania usłyszałam: „spakuj się i wyjeżdżaj”. Oprócz upokorzenia zawodowego czułam zwykłe ludzkie rozczarowanie. Mimo iż Larke wiedział, jak skrupulatnie podchodziłam do spraw

etyki zawodowej, nie wystąpił w mojej obronie. Nie był tchórzem. Spodziewałam się po nim czegoś więcej.

Szalona jazda spełniła swoje zadanie. Na przedmieściach Charlotte wściekłość przerodziła się w determinację. Nie zrobiłam niczego złego i postanowiłam oczyścić się z zarzutów. Dowiem się, kto złożył skargę, położę kres pomówieniom, dokończę to, co zaczęłam i stanę twarzą w twarz z oszczercą.

Wszystkie postanowienia trafił szlag, kiedy wróciłam do pustego domu, w którym nikt na mnie nie czekał. Nie było w nim nikogo, kto mógłby mnie przytulić i pocieszyć, zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Ryan wyklócał się o drobnostki ze swoją Danielle, kimkolwiek była. Do tego zaznaczył, że jego życie prywatne nie jest moją sprawą. Katy wałęsała się gdzieś ze swoim bliżej nieokreślonym przyjacielem, a Ptasiek i Pete byli daleko poza miastem. Zrozpaczona rzuciłam rzeczy na podłogę, przycupnęłam na sofie i wybuchnęłam płaczem.

Dziesięć minut później leżałam w milczeniu, zbierając się do kupy niczym dziecko po ataku złości. Niczego nie osiągnęłam. Czułam się kompletnie wycieńczona. Chwilę później powlokłam się do łazienki, wytarłam nos i sprawdziłam pocztę głosową.

Nie dostałam żadnej wiadomości, która byłaby w stanie poprawić mój podły nastrój.

Student. Handlowiec. Moja siostra Harry z Teksasu. Przyjaciółka Anne pytała, czy mogłybyśmy wyskoczyć na lunch, zanim ona i Ted wyjadą do Londynu.

Świetnie. Jeśli dobrze zrozumiałam jej słowa, prawdopodobnie oboje jadali w hotelu Savoy. Postanowiłam odebrać Ptaśka. Przynajmniej będę miała kogoś, kto od czasu do czasu zamruczy mi na kolanach.

Pete wciąż mieszka w domu, który dzieliliśmy przez prawie dwadzieścia lat. Mimo iż jest on wart kilkaset tysięcy dolarów, chwiejący się płot podtrzymują drewniane bale, a na podwórku stoi rozsypująca się bramka – pamiątka z czasów, gdy Katy uwielbiała grać w piłkę. Domem opiekują się profesjonaliści, którzy malują go, udrażniają rynny, a nawet strzygą trawnik. Wnętrzem zajmuje się pokojówka. Jednak poza standardowym utrzymaniem, mój były-obecny mąż wyznaje zasadę leseferyzmu i łatania wszystkiego, czym popadnie. Nie czuje się w obowiązku dbać o dom. Kiedyś martwiłam się protestami sąsiadów, jednak separacja uwolniła mnie od tego brzemienia.

Kiedy wjechałam na podjazd, zza płotu obserwowała mnie kudłata, brązowa morda. Na mój widok morda zmarszczyła się i wydała z siebie głęboki, gardłowy pomruk.

– Zastałam go? – spytałam, trzaskając drzwiami samochodu.

Pies pochylił łeb, wywieszając purpurowy jęzor.

Podeszłam do drzwi i nacisnęłam dzwonek. Cisza.

Zadzwoiłam po raz kolejny. Wciąż jeszcze miałam klucz od domu, jednak nie miałam zamiaru go używać. Choć nie mieszkaliśmy ze sobą od przeszło dwóch lat, Pete i ja wciąż traktowaliśmy ten nowy stan rzeczy z pewną rezerwą. W posiadaniu wspólnych kluczy była pewna intymność, której nie chciałam sugerować.

Było czwartkowe popołudnie, Pete prawdopodobnie był jeszcze w biurze, a ja chciałam odzyskać swojego kota.

Przetrząsałam zawartość torebki, kiedy ktoś otworzył drzwi.

– Witaj, piękna nieznajoma. Szukasz noclegu? – Mówiąc to, Pete zmierzył mnie od stóp do głów.

Podczas gdy ja miałam na sobie spodnie khaki i marlensy, które założyłam o szóstej rano przed wyjściem do kostnicy, Pete był ubrany w idealny, trzyczęściowy garnitur i mokasyny od Gucciego.

– Myślałam, że jesteś w pracy.

Szybko wytarłam knykciami resztki rozmazanego tuszu i zerknęłam do wnętrza domu. Jeśli w tym momencie zobaczyłabym jakąś kobietę, umarłabym ze wstydu.

– Dlaczego nie jesteś w pracy?

Pete rozejrzał się dookoła, ściszył głos do konspiracyjnego szeptu i ruchem ręki przywołał mnie bliżej, jak gdyby chciał podzielić się ze mną długo skrywaną tajemnicą.

– Mam randkę z hydraulikiem.

Nie chciałam nawet pytać, co się stało, że Pan Złota Rączka postanowił wezwać eksperta.

– Przyjechałam po Ptaśka.

– Chyba jest wolny. – Mówiąc to, Pete odsunął się, a ja weszłam do holu oświetlonego żyrandolem, który należał niegdyś do mojej stryjecznej babki. – Napijesz się drinka?

W odpowiedzi zmierzyłam go spojrzeniem, które miało zdolność przecinania skaleni\* [Skaleń – minerał skałotwórczy, zazwyczaj ma barwę białą, czerwoną lub szarą (przyp. red.)]. Pete wielokrotnie jeździł ze mną na spotkania Anonimowych Alkoholików i dobrze wiedział, o co chodzi.

– Wiesz, co mam na myśli.

– Wystarczy dietetyczna cola.

Podczas gdy mój były-obecny mąż podzwaniał w kuchni szklankami i kostkami lodu, ja, stojąc przy schodach, wołałam Ptaśka. Ani śladu kota. Chwilę później powtórzyłam rytuał w salonie, jadalni i pokoju.

Dawno, dawno temu Pete i ja mieszkaliśmy razem w tych pomieszczeniach. To tu czytaliśmy, słuchaliśmy muzyki, kochaliśmy się. Wspólnie wychowywaliśmy Katy, patrząc, jak z niemowlęcia zmienia się w raczkującego bobasa i młodą kobietę. Odnawialiśmy jej pokój i przystosowywaliśmy nasze życia do każdego z kolejnych rozdziałów. Tu spoza kuchennego okna obserwowałam rozkwitające i przekwitające kapryfolium, witając następujące po sobie pory roku. To były baśniowe dni. Czas, gdy marzenia o spełnieniu się mojego własnego, amerykańskiego snu zdawały się rzeczywiste i osiągalne.

Pete powrócił do pokoju, porzucając sztywny strój adwokata na rzecz ciuchów miejskiego yuppie. Zdjął marynarkę i kamizelkę, poluzował krawat, a rękawy koszuli podwinął do łokci. Wyglądał dobrze.

– Gdzie jest Ptasiek? – spytałam.

– Odkąd na pokładzie pojawił się Boyd, trzyma się wyłącznie górnych pięter.

Po tych słowach wręczył mi kubek z wymalowanym na szkle lotewskim napisem: Uz to mums atkal jaiedzer! - Za to musimy wypić jeszcze jednego!

– Boyd to pies?

Skinienie głowy.

– Twój?

– To dość ciekawe. Usiądź i pozwól, że uraczę cię sagą o Boydzie.

Chwilę później przyniósł z kuchni pudełko precli i usiadł obok mnie na sofie.

– Boyd należy do Harveya Alexandra Dineena, dżentelmena, który potrzebował ostatnio obrońcy. Kompletnie zaskoczony swym aresztowaniem, ten samotny mężczyzna poprosił mnie, abym zaopiekowałam się jego psem, dopóki całe nieporozumienie nie zostanie wyjaśnione.

– I zgodziłeś się?

– Doceniłem zaufanie, jakim mnie obdarzył.

Pete zlizął sól z powierzchni precla, odgryzł spory kawałek i popił piwem.

– I?

– Boyd stanął w obliczu samotności, która mogła potrwać od dziesięciu do dwudziestu lat. Podejrzewałem, że przez ten czas mógłby trochę zgłodnieć.

– Co to za jeden?

– Facet uważa się za przedsiębiorcę, ale sędzia nazwał go oszustem i kryminalistą.

– Miałam na myśli psa.

– Boyd to w większości chow-chow. Żeby ustalić resztę, potrzebowalibyśmy testów DNA.

Po tych słowach włożył do ust kolejny kawałek precla.

– Natknęłaś się ostatnio na jakieś ciekawe ciała?

– Cholernie śmieszne. – Moja twarz najwyraźniej mówiła coś innego.

– Przepraszam. To musiało być naprawdę ponure.

– Jakoś sobie z tym radzimy.

Przez chwilę rozmawialiśmy o kompletnie nieistotnych rzeczach, po czym Pete zaprosił mnie na obiad. Tak było zawsze. On zapraszał, ja odmawiałam. Pomyślałam o zarzutach Larke'a, londyńskiej przygodzie Anne i Teda i własnym, pustym mieszkaniu.

– Co proponujesz? – spytałam.

Zaskoczony Pete uniósł brwi.

– Linguini z sosem vongole.

Specjalność Pete'a. Małże z puszki i rozgotowany makaron.

– Zróbmy tak. Ja zrobię steki, a ty zajmiesz się swoim hydraulikiem. Kiedy rury będą już drożne, upieczemy mięso.

– Chodzi o górną toaletę.

– Nie szkodzi.

– Dobrze byłoby, gdyby Ptasiek zobaczył, że wciąż jesteśmy przyjaciółmi. Mam niejasne wrażenie, że nadal czuje się winny.

Cały Pete.

\*\*\*

Podczas obiadu dołączył do nas Boyd. Pies siedział przy stole, wpatrywał się w steki i raz za razem szturchał nas w kolana, jak gdyby chciał się upewnić, że nie zapomnimy o jego obecności.

Pete i ja rozmawialiśmy o Katy, starych przyjaciółkach i zamierzonych czasach. On opowiadał mi o ostatnich procesach, ja uraczyłam go opowieścią o studencie, który został odnaleziony dziewięć miesięcy po tym, jak powiesił się w stodole własnej babci. Cieszyła mnie świadomość, że osiągnęliśmy pułap, na którym funkcjonowało pojęcie „normalnej rozmowy”. Czas mijał i wkrótce zapomniałam o Larke'u i całej sprawie.

Po deserze składającym się z truskawek i lodów waniliowych, zabraliśmy kawę do pokoju i włączyliśmy wiadomości. Tematem dnia była katastrofa Air TransSouth.



Na wzniesieniu stała spikerka z posepną twarzą. Za jej plecami wznosiły się szczyty gór Great Smoky. Kobieta opowiadała o zawodach i trzydziestu czterech sportowcach, którzy nigdy nie wezmą w nich udziału. Następnie przekazała, że wciąż jeszcze nie ustalono przyczyny katastrofy, choć było już niemal pewne, że samolot eksplodował w czasie lotu. Do chwili obecnej zidentyfikowano czterdzieści siedem ofiar, a śledztwo toczyło się przez dwadzieścia cztery godziny na dobę.

– To dobrze, że dali ci trochę odetchnąć – skomentował Pete.

Nie odpowiedziałam.

– A może przysłali cię tutaj z jakąś sekretną misją?

Słyszając to, poczułam w piersi nagły ucisk i w milczeniu wpatrywałam się w czubki butów.

Chwilę później Pete przysunął się do mnie i łagodnie spróbował unieść moją brodę.

– Hej, dziecinko. Ja tylko żartowałem. Wszystko w porządku?

Kiwnęłam głową, w obawie przed brzmieniem własnego głosu.

– Nie wyglądasz dobrze.

– Nic mi nie jest.

– Chcesz o tym pogadać?

Słowa wylały się ze mnie wartkim potokiem. Opowiedziałam Pete’owi o wszystkich upiornych dniach, o kojotach, o próbach ustalenia, skąd pochodziła stopa, anonimowej skardze i tym, jak zostałam odprawiona z kwitkiem. Opowiedziałam o wszystkim, z wyjątkiem Andrew Ryana. Kiedy w końcu ochłonęłam, uświadomiłam sobie, że siedzę z podkurczonymi nogami, przyciskając do piersi poduszkę. Pete przyglądał mi się uważnie.

Przez chwilę żadne z nas nie śmiało powiedzieć ani słowa. W upiornej ciszy słychać było tylko tykanie zegara. Zastanawiałam się, kto go nakręca.

Tik. Tak. Tik. Tak.

– No cóż, to był dopiero ubaw – powiedziałam, prostując nogi.

Pete ujął mnie za rękę. Jego wzrok był utkwiony w mojej twarzy.

– Co zamierzasz zrobić?

– A co mogę? – odparłam poirytowana, umykając przed jego dotykiem. Byłam wystarczająco zakłopotana swoją chwilową słabością i obawiałam się tego, co mnie czekało. W takich sytuacjach Pete zawsze miał dla mnie jedną radę. „Pieprzyć ich”.

Jednak tym razem mnie zaskoczył.

– Twój przełożony z DMORT wyjaśni sprawę wtargnięcia na miejsce katastrofy. Ważna jest stopa. Czy ktokolwiek był z tobą, kiedy ją podnosiłaś?

– Niedaleko mnie był gliniarz. – Mówiąc to, skupiłam się na poduszce.

– Miejscowy?

Potrząsnęłam głową.

– Widział kojoty?

– Tak.

– Znasz go?

A jakże.

Kiwnęłam głową.

– To powinno wystarczyć. Poproś tego gliniarza, żeby skontaktował się z Tyrellem i powiedział mu, co tak naprawdę się stało. – Po tych słowach Pete odchylił się do tyłu. – Najgorzej będzie z wtargnięciem na teren prywatny.

– To nie było wtargnięcie – zaprotestowałam.

– Ta stopa. Bardzo leży ci na sercu?

– Myślę, że nie pasuje do żadnego z nazwisk znajdujących się na liście. To dlatego węszyłam w okolicy.

– Nie pasuje z powodu wieku.

– Przede wszystkim. Proces gnilny jest też bardziej posunięty niż u reszty ciała.

– Możesz udowodnić wiek?

– Co masz na myśli?

– Jesteś absolutnie pewna, że człowiek, do którego należała, był stary?

– Nie.

– Czy istnieje jakiś test, dzięki któremu można ustalić wiek ofiary?

I to mówił Pete – adwokat.

– Przeprowadzę badania histologiczne, kiedy tylko dostanę próbki.

– To znaczy kiedy?

– Przygotowanie slajdów zajmuje całą wiecz...

– Jedź tam jutro. Zrób slajdy i siedź tam, dopóki nie poznasz rozmiaru kołnierza ofiary i imienia jej bukmachera.

– Mogę spróbować.

– Rób, co ci mówię.

Pete miał rację. Byłam mięczakiem.

– Zidentyfikuj właściciela stopy, a nazwisko podstaw pod nos Tyrellowi.

– Jak mam to zrobić?

– Jeśli stopa nie pochodzi z samolotu, musiała należeć do kogoś z miejscowych.

Czekałam.

– Zaczynij od dowiedzenia się, do kogo należy budynek.

– Jak mam to zrobić?

– Czy FBI sprawdzało już to miejsce?

– Zajmują się śledztwem, jednak dopóki nie mają dowodów sabotażu, nie mogą go oficjalnie przejąć. Poza tym, biorąc pod uwagę moją obecną sytuację, wątpię, aby chcieli mnie o czymkolwiek informować.

– A zatem dowiedz się sama.

– Jak?

– Sprawdź w administracji hrabstwa tytuł prawny do posiadłości i przejrzyj dokładnie listy podatkowe.

– Możesz mnie w tym przeszkolić?

Podczas gdy Pete mówił, ja robiłam notatki. Zanim skończył, moja determinacja wróciła. Koniec z jęczeniem i użalaniem się nad sobą. Będę tak długo badała stopę, aż poznam każdy szczegół z życia jej właściciela. Potem ustalę, skąd wzięła się na miejscu katastrofy, zidentyfikuję ofiarę, a gotową robotę podłożę Tyrellowi pod sam nos.

– Wielkie dzięki, Pete.

Mówiąc to, pochyliłam się i pocałowałam go w policzek. Zanim zdążyłam się odsunąć, mój były-obecny mąż oddał pocałunek, później kolejny, aż w końcu jego usta zaczęły błędzić po mojej szyi, uchu i ustach. Poczułam znajomą mieszaninę potu i płynu po goleniu Aramis. Moje myśli gnały jak szalone, przedstawiając kolejne obrazy. Dotknęłam ramion i piersi, które znałam od dwudziestu lat, a które niegdyś należały tylko do mnie.

Uwielbiałam kochać się z Petem. Od pierwszego, magicznego trzęsienia ziemi w jego małym pokoiku na Ciarke Avenue w Champaign, w stanie Illinois, aż po czasy, gdy seks z nim stał się bardziej powolny i głębszy, niczym melodia, którą znałam tak dobrze jak własne ciało. Seks z Petem był wszechogarniający. Głębia uczuć i absolutne oderwanie się od rzeczywistości. Właśnie czegoś takiego potrzebowałam w tej chwili. Czegoś znajomego i pocieszającego. Pragnęłam, by coś wstrząsnęło moją świadomością i choć na chwilę pozwoliło zatrzymać czas.

Pomyślałam o swoim cichym mieszkaniu, o Larke'u i jego „wpływowym ludziach”, Rynie i jego tajemniczej Danielle, o rozstaniach i odległości. Poczułam na piersi delikatną jak zawsze dłoń Petea.

– Pieprzyć ich – pomyślałam.

Później nie myślałam już o niczym innym.

## Rozdział 9

Obudził mnie dźwięk komórki. Pete zaciągnął zasłony. W pokoju panował półmrok, więc potrzebowałam kilku sygnałów, by zlokalizować przekłete urządzenie.

– Spotkaj się ze mną dziś wieczorem w Providence Road Sundries, a kupię ci hamburgera.

– Pete, ja...

– Stawiasz twarde warunki. Spotkaj się ze mną w Bijoux.

– To nie jest restauracja.

– Jutro wieczorem?

– Nie sądzę.

Linia zahuczała.

– Pamiętasz, jak rozwalilem volkswagena i upierałem się, żebyśmy jechali dalej?

– Z Georgii do Illinois bez reflektorów.

– Nie odezwałaś się do mnie, nim nie pokonaliśmy około dwustu metrów.

– To nie tak, Pete.

– Nie podobał ci się wczorajszy wieczór?

Podobał mi się i to nawet bardzo.

– Nie o to chodzi.

Gdzieś w tle usłyszałam głosy i odruchowo zerknęłam na zegarek. Ósma dziesięć.

– Jesteś w pracy?

– Tak, proszę pani.

– Dlaczego dzwonisz?

– Prosiłaś, żebym cię obudził.

– Aha. – Jak za dawnych czasów. – Dzięki.

– Nie ma problemu.

– I dziękuję za opiekę nad Ptaśkiem.

– Pojawił się?

– Na chwilę. Wyglądał na podenerwowanego.

– Stary Ptasiek ma swoje przyzwyczajenia.

– Nigdy nie lubił psów.

– Ani zmian.

– Ani zmian.

– Niektóre zmiany są dobre.

– Tak.

– Ja się zmieniłem.

Już to słyszałam. To samo mówił trzy lata temu po schadzce z protokółantką sądową i po krótkim epizodzie z pośredniczką w handlu nieruchomościami. Nie chciałam przerabiać tego po raz trzeci.

– To był dla mnie ciężki okres – ciągnął Pete.

– Wiem. Dla mnie też.

Po tych słowach rozłączyłam się i wzięłam długi prysznic, w czasie, którego rozmyślałam o naszych wadach. Pete był zawsze na miejscu, kiedy potrzebowałam rady, pocieszenia i wsparcia. Był moją siatką asekuracyjną, spokojem, którego szukałam po burzliwym dniu.

Koniec naszego związku był druzgocący, jednak obudził we mnie siłę, o której istnieniu nie miałam wcześniej pojęcia.

Wcześniej po prostu nie zdawałam sobie z niej sprawy.

Kiedy wytarłam się i owinęłam włosy ręcznikiem, spojrzałam na swoje lustrzane odbicie.

Pytanie: Co sobie myślałam ubiegłej nocy?

Odpowiedź: Nie myślałam. Byłam wściekła, zraniona, bezradna i samotna. Jakby tego było mało, od długiego czasu z nikim się nie kochałam.

Pytanie: Czy to się znowu powtórzy?

Odpowiedź: Nie.

Pytanie: Dlaczego nie?

Dlaczego nie? Wciąż przecież kochałam Pete'a. Kochałam go od chwili, gdy bosy i na wpół nagi pojawił się na schodach biblioteki prawniczej. Kochałam go, kiedy okłamywał mnie w sprawie Judy i Ellen. Kochałam go nawet wtedy, gdy dwa lata temu spakowałam swoje rzeczy i odeszłam. Do tego wciąż uważałam, że jest cholernie przystojny.

Moja siostra Harry ma takie teksańskie powiedzonko: Płaskodupa idiotka. Choć kocham Pete'a i uważam, że jest seksowny, nie jestem płaskodupa idiotką. Właśnie dlatego coś takiego więcej się nie powtórzy.

Starłam z lustra resztki pary, wspominając siebie z dawnych czasów. Kiedy wprowadziliśmy się do tego domu, byłam blondynką z prostymi włosami sięgającymi ramion.

Teraz mam krótkie włosy. Pozbyłam się też wyglądu złotowłosej surferki. Tu i ówdzie pojawiają się siwe kosmyki i niebawem będę musiała sięgnąć po sprawdzone brzozy firmy Clairol. Zauważyłam też, że drobna siateczka zmarszczek wokół oczu pogłębiła się i rozrosła, jednak linia szczęki wciąż pozostała jędrna, a powieki nie wydają się zwiotczałe.

Pete zawsze powtarzał, że moim największym atutem jest pupa. Ona też została na swoim miejscu, choć utrzymanie jej w takim stanie wymaga teraz odrobiny więcej wysiłku. W przeciwieństwie do swoich rówieśniczek, nie posiadam jednak spandeksu ani osobistego trenera. Nie mam w domu bieżni, steppera ani rowerka treningowego. Nie zapisuję się na aerobik czy kickboxing, a od pięciu lat nie brałam udziału w żadnym zorganizowanym biegu. Chodzę na siłownię w koszulkach i wiązanych tasiemką szortach FBI. Biegam, pływam, podnoszę kilka ciężarków i wychodzę. W ładny dzień biegam na świeżym powietrzu. Próbuję też kontrolować to, co jem. Dzienna dawka witamin. Czerwone mięso nie częściej niż dwa razy w tygodniu, a fast foody nie częściej niż pięć.

Właśnie miałam zakładać majtki, gdy zadzwoniła komórka. Pognałam do sypialni, wysypałam zawartość torebki, znalazłam telefon i nacisnęłam przycisk „odbierz”.

– Gdzie ty się podziewasz?

Głos Ryana był dla mnie kompletnym zaskoczeniem. Trzymając w jednej ręce majtki, w drugiej telefon, nie miałam pojęcia, co powiedzieć.

– Halo?

– Jestem tu.

– Tu, to znaczy gdzie?

– W Charlotte.

Przez chwilę w słuchawce panowała cisza, po czym znowu usłyszałam jego głos.

– Cała ta sprawa to pieprzone bzdur...

– Rozmawiałeś z Tyrellem?

– Krótko.

– Powiedziałeś mu o kojotach?

– Ze wszystkimi szczegółami.

– I co on na to?

– Dziękuję panu. – Ryan przeciągnął samogłoski, parodiując Tyrella.

– To nie był jego pomysł.

– Coś tu nie gra.

– Co masz na myśli?

– Nie jestem pewien.

– Co nie gra?

– Tyrell był nerwowy. Znam go zaledwie od tygodnia, ale przesadna nerwowość nie jest chyba w jego stylu. Coś wprawia go w zakłopotanie. Tyrell wie, że nie majstrowałaś przy szczątkach, podobnie jak wie, że to Earl Bliss nalegał, żebyś przyjechała tu w ubiegłym tygodniu.

– No więc kto złożył skargę?

– Nie wiem, ale zamierzam się dowiedzieć.

– To nie twój problem, Ryan.

– Nie.

– Jakies postępy w sprawie śledztwa? – Postanowiłam zmienić temat.

Usłyszałam trzask odpalanej zapalki i głęboki wdech.

– Simington wysunął się na prowadzenie.

– Facet, który ubezpieczył żonę?

– To jeszcze nie wszystko. Nasz wdowiec prowadzi firmę zajmującą się budową autostrad.

– I?

– Ma łatwy dostęp do plastiku X.

– Plastik X?

– Plastik wybuchowego. Takiego samego używano w Wietnamie, a teraz sprzedaje się go prywatnym przedsiębiorcom do budowania, wyburzania i zaminowywania terenu. Cholera, nawet farmerzy mogą go używać do wrywania pni z ziemi.

– Czy materiały wybuchowe nie są ściśle kontrolowane?

– Tak i nie. Przepisy prawne dotyczące transportu są bardziej surowe niż w przypadku przechowywania i używania. Jeśli droga jest w trakcie budowy, potrzeba specjalnej ciężarówki z eskortą i wytyczonej trasy, która przebiega z dala od terenów zabudowanych. Kiedy jednak ładunek znajdzie się już na miejscu, zwykle jest przechowywany w przyczepie, na której widnieje napis materiał wybuchowy. – Firma wynajmuje starego dziada, który pilnuje przyczepy i płaci mu minimalne wynagrodzenie, głównie po to, by spełnić wymogi odnośnie ubezpieczenia. Przyczepy mogą zostać okradzione, przewiezione albo mogą po prostu zniknąć.

Ryan zaciągnął się papierosem i wypuścił powietrze.

– Wojsko musi rozliczać się z każdej uncji plastiku wybuchowego, jednak firmy budowlane nie muszą być aż tak dokładne. Budowlaniec dostaje dziesięć lasek materiału wybuchowego, zużywa mniej więcej trzy czwarte każdej z nich, a resztę zatrzymuje dla

siebie. Nikt o niczym nie wie. Jedyne, czego facet potrzebuje to detonator i już jest w biznesie. Może też sprzedawać towar na czarnym rynku. Na materiały wybuchowe zawsze jest popyt.

– Załóżmy, że Simington ukradł materiały wybuchowe. Czy istniała możliwość, aby wniósł je na pokład samolotu?

– Najwyraźniej nie jest to takie trudne. Terroryci spłaszczają plastik do grubości pliku banknotów i wkładają go do portfeli. Ilu ochroniarzy tam zagłada? W dzisiejszych czasach możesz zdobyć detonator o rozmiarze koperty zegarka. Libijscy terroryci, którzy wysadzili nad Lockerbie Pan Am 103, włożyli materiał wybuchowy do opakowania po kasecie. Simington mógł być równie pomysłowy.

– Chryste.

– Mam też wieści z la belle province. Na początku tygodnia miejscowi nabrali podejrzeń w sprawie zaparkowanego na ich ulicy ferrari. Najwyraźniej sportowe samochody, które kosztują więcej niż sto tysięcy dolarów, nieczęsto zatrzymują się na noc w tej części Montrealu. Informacja była chyba trafiona. Policja znalazła właściciela wozu, niejakiego Alaina „Lisa” Barboli, upchniętego w bagażniku z dwoma kulkami w głowie. Barboli był członkiem Rock Machine i miał powiązania z mafią sycylijską. Sprawę przekazano Carcajou.

Grupa operacyjna Carcajou była organizacją prowadzącą dochodzenie w sprawie wyjętych spod prawa członków gangów motocyklowych na terenie prowincji Quebec. Współpracowałam z nimi przy okazji kilku morderstw.

– Carcajou przypuszczają, że śmierć Barboliego była aktem zemsty za Petricellego?

– Albo że Barboli był zamieszany w śmierć Petricellego, a chłopcy postanowili wyczyścić listę świadków.

– Jeśli Simington miał dostęp do materiałów; wybuchowych, Anioły Piekieł nie powinny mieć z tym żadnego problemu.

– To jak kupowanie Cheez Whiz<sup>2</sup> w 7-Eleven. Posłuchaj, może powinnaś tu wrócić i wyjaśnić wszystko Tyrellowi.

– Najpierw chcę zbadać próbki kości i upewnić się, że miałam rację co do wieku. Jeśli ta stopa nie pochodziła z samolotu, zarzuty Tyrella będą bezpodstawne.

– Wspomniałem mu o twoich podejrzeniach.

– I?

– I nic. Spłynęło to po nim.

---

<sup>2</sup> [Cheez Whiz – gęsty, serowy sos firmy Kraft (przyp. tłum.)]



Po raz kolejny poczułam przyływ złości.

– Znalazłeś jakichś pasażerów, których nie było na liście?

– Nie. Hanover zaklina się, że podróżowanie z bezpłatnym biletem jest ściśle regulowane przepisami prawnymi. Nie masz biletu, nie lecisz. Pracownicy Air TransSouth, z którymi rozmawialiśmy, potwierdzają jego słowa.

– Był na pokładzie ktoś, kto mógł przewozić części ciała?

– Żadnych anatomów, antropologów, pediatrów<sup>3</sup>, chirurgów ortopedycznych ani sprzedawców butów ortopedycznych. Jeffrey Dahmer<sup>4</sup> też już nie lata.

– Jesteś przezabawny.

Zanim zadałam następne pytanie, w słuchawce zapadła niezręczna cisza.

– Zidentyfikowali już Jeana?

– On i Petricelli figurują na liście osób zaginionych.

– Znajdą go.

– Wiem.

– Trzymasz się jakoś?

– Jasne. A ty? Nie czujesz się samotna?

– Nic mi nie jest – odparłam, spoglądając na puste łóżko.

Karolina Północna posiada scentralizowany system medycyny sądowej, z kwaterą główną w Chapel Hill i biurami regionalnymi w Winston-Salem, Greenville i Charlotte. Z powodu topografii i swego położenia filia w Charlotte, nazywana również Biurem Lekarza Sądowego Hrabstwa Mecklenburg, została wyznaczona do badania próbek zebranych na miejscu katastrofy i przetransportowanych do kostnicy w Bryson City. To tutaj, w zorganizowanej naprędce jednostce histologicznej, pracował obecnie wypożyczony z Chapel Hill technik. Biuro Lekarza Sądowego Hrabstwa Mecklenburg jest częścią kompleksu Harolda R. „Halla” Marshalla, usytuowanego po obu stronach College Street, pomiędzy Dziewiątą a Dziesiątą przecznicą na obrzeżach centrum. Niegdyś w budynku mieściło się Sears Garden Center i choć wygląda on jak architektoniczna sierota, wciąż robi wrażenie nowoczesnego i funkcjonalnego.

---

<sup>3</sup> [Podiatra – specjalista zajmujący się leczeniem chorób stóp (przyp. red.)]

<sup>4</sup> [Jeffrey Dahmer – seryjny morderca, nekrofil i kanibal, skazany za zamordowanie siedemnastu młodych mężczyzn i chłopców; zamordowany przez współwięźniów 28 lutego 1994 roku (przyp. tłum.)]

Jednak prawo własności do budynku stoi pod znakiem zapytania. Opuszczony przez lata obszar, na którym znajduje się centrum, wraz z widokami na działnice mieszkalne, sklepy i kafejki przyciągnął uwagę firm deweloperskich. Uznały one, że budynek bardziej nadaje się do komercyjnej ekspansji niż do tego, by znajdowały się w nim biura, parkingi i kostnica. Niebawem w miejscu, gdzie do niedawna spoczywały skalpele, nosze na kółkach i stoły do sekcji, może zarość się od złotych kart American Express, sprzedawców cappuccino i zwolenników Hornets i Panthers.

Dwadzieścia minut po tym, jak w końcu udało mi się założyć majtki, zaparkowałam przed Biurem Lekarza Sądownego. Po drugiej stronie College Street bezdomni ustawili się w kolejce, czekając na wydawane przy rozkładanych stołach hot-dogi i lemoniadę. Na omszałym pasie chodnika leżały koce pełne darmowych butów, koszul i skarpet. Wokół nich kręcili się bezdomni, niespiesznie przeglądając oferowane towary.

Zamknęłam samochód i skierowałam się ku niskiemu budynkowi z czerwonej cegły.

Radosne buczenie i szklane drzwi otworzyły się przede mną. Wchodząc, przywitałam się z siedzącymi przy wejściu paniami, po czym udałam się do gabinetu Tima Larabee, lekarza sądownego hrabstwa Mecklenburg. Tim zaprowadził mnie do komputera, na którym przetwarzano dane ofiar katastrofy i otworzył plik numer 387. Zważywszy na moją sytuację, to co robił, było prawdopodobnie pogwałceniem pewnych praw, jednak musiałam zaryzykować.

Badania DNA zostały przeprowadzone w laboratorium kryminalistycznym w Charlotte-Mecklenburg, tak więc ich wyniki nie były jeszcze znane. Była za to analiza histologiczna. Próbkę, którą wycięłam z kości stopy, zostały pocięte na kawałki grubości jednej setnej mikrona, przetworzone, zabarwione i umieszczone na szkiełkach, które teraz układałam pod mikroskopem.

Kości to miniaturowy wszechświat, w którym bez przerwy narodziny stykają się ze śmiercią. Podstawową jednostką strukturalną i funkcjonalną tkanki kostnej zbitej jest osteon, zbudowany z koncentrycznie ułożonych wokół kanału Haversa blaszek kostnych, komórek kostnych i nerwów. W przypadku żywej tkanki wciąż powstają nowe komórki, które w końcowej fazie zastępowane są nowymi jednostkami. Powiększone i umieszczone pod spolaryzowanym światłem, osteony przypominają małe wulkany, jajowate stożki z filigranowymi kraterami i bokami opadającymi ku podstawie kości. Ilość wulkanów wzrasta wraz z upływem czasu, podobnie jak liczba opuszczonych kalder. Określając gęstość ostatnich, możemy ustalić wiek ofiary.

Jak zwykle w takich wypadkach zwróciłam szczególną uwagę na ewentualne nieprawidłowości. W przekroju poprzecznym kości długiej, zwężenie trzonu, wystrzępienie wewnętrznych i zewnętrznych krawędzi lub nieprawidłowe osadzanie się tkanki kostnej, może sugerować rozmaite problemy, w tym zaleczone złamania i ślady po odtwarzaniu uszkodzonych części ciała. Tu jednak nie zauważyłam niczego podobnego.

Pełna nadziei, że być może uda się określić wiek ofiary, zwiększyłam podgląd do stu i umieściłam w okularze mikrometr. Siatka składała się ze stu kwadracików o boku długości jednego milimetra. Przesuwając kolejne slajdy, podziwiałam miniaturowe krajobrazy, obliczałam i notowałam kolejne wyniki. Kiedy skończyłam i podstawiłam wyniki do konkretnego wzoru, otrzymałam gotową odpowiedź.

Ofiara miała przynajmniej sześćdziesiąt pięć lat, choć moim zdaniem zbliżała się już do siedemdziesiątki.

Odchyliłam się na krzesło i po raz kolejny przeanalizowałam sytuację. Żadna z osób, których nazwiska znajdowały się na liście pasażerów, nie mieściła się w tym przedziale wiekowym. O czym więc to świadczyło?

Po pierwsze na pokładzie znajdowała się osoba nieuwzględniona na liście pasażerów.

Siedemdziesięcioletni pasażer z darmowym biletem? Podróżujący na gapę emeryt? Mało prawdopodobne.

Po drugie stopa była przewożona przez któregoś z pasażerów. Ryan mówił, że na liście nie było nikogo, kto mógłby zdradzać zainteresowanie ludzkimi szczątkami.

Po trzecie stopa nie miała nic wspólnego z katastrofą Air TransSouth 228.

Skąd zatem wzięła się na miejscu zdarzenia?

Po chwili zastanowienia wyciągnęłam z torby wizytówkę, sprawdziłam numer i zadzwoniłam.

– Biuro szeryfa hrabstwa Swain.

– Poproszę z Lucy Crowe.

– Kto dzwoni?

Przedstawiłam się i czekałam. Chwilę później usłyszałam w słuchawce zachrypnięty głos.

– Myślę, że w tej sytuacji nie powinniśmy rozmawiać.

– Słyszałaś.

– Tak, słyszałam.

– Mogłabym spróbować wszystko wyjaśnić, ale chyba sama nie do końca rozumiem całą sytuację.

- Nie znam cię aż tak dobrze, bym mogła cię oceniać.
- Więc dlaczego zgodziłaś się na rozmowę?
- Intuicja.
- Próbuję to wszystko wyjaśnić.
- Byłoby dobrze. Sprawiałaś, że w okolicy naprawdę zawrzało.
- To znaczy?
- Właśnie dzwonił do mnie Parker Davenport.
- Wicegubernator?
- We własnej osobie. Poleciał mi, abym trzymała cię z dala od miejsca katastrofy.
- Facet nie ma na głowie większych problemów?
- Najwyraźniej jesteś tematem numer jeden. Dziś rano mój zastępca odebrał telefon.

Jakiś facet chciał wiedzieć, gdzie mieszkasz i gdzie zatrzymałaś się po przyjeździe na miejsce katastrofy.

- Wiesz może, kto to był?
- Nie chciał podać nazwiska, a kiedy mój zastępca zaczął nalegać, gość najzwyczajniej w świecie rozłączył się.

- Jakiś pismak?
- Tych wyczuwamy na odległość.
- Jest coś, co możesz dla mnie zrobić.

Usłyszałam w słuchawce głuchy trzask.

- Pani szeryf?
- Tak, jestem.

Opowiedziałam Crowe o stopie i powodach, dla których wątpiłam, że była ona powiązana z katastrofą.

- Czy mogłabyś sprawdzić listę osób zaginionych w hrabstwie Swain i okolicach?
- Masz coś więcej niż tylko wiek?
- Wzrost sto sześćdziesiąt, sto sześćdziesiąt siedem centymetrów. Kiedy dostanę wyniki DNA, będę mogła podać płeć.
- Czas rozkładu?

Mimo iż tkanka miękka nie była w najgorszym stanie, zdecydowałam się na bardziej rozległy okres.

- Rok.
- Wiem, że w Swain mieliśmy kilka takich zgłoszeń. Przejrzę je. Myślę też, że nie zaszkodzi, jeśli spytam o to innych szeryfów.

Po skończonej rozmowie zamknęłam teczkę ze slajdami i oddałam ją technikom.

Wracając do domu, szukałam odpowiedzi na pytania, które pojawiały się w moim umyśle niczym podsycane złością i upokorzeniem iskry.

Dlaczego Larke Tyrell nie próbował mnie bronić? Wiedział przecież, jak bardzo oddana jestem pracy i zdawał sobie sprawę, że nigdy nie dopuściłabym do sytuacji, która w jakikolwiek sposób mogła narazić na szwank śledztwo. Czy mówiąc o „wplywowym ludziach”, miał na myśli Parkera Davenporta? Larke był urzędnikiem. Czy wicegubernator mógł wywierać na niego presję? Po co miałyby to robić? Czy stosunek Lucy Crowe do Davenporta miał swoje uzasadnienie? Czy Davenport dbał o swój wizerunek do tego stopnia, że zamierzał wykorzystać mnie do celów publicznych?

Pamiętam, jak zachowywał się po przyjeździe na miejsce katastrofy. Przyciśnięta do ust chusteczka i spuszczonego wzroku, jakby unikał kontaktu z tym całym pobojoziskiem.

A może to mnie unikał? Na myśl o tym ogarnęło mnie dziwne uczucie, które bezskutecznie próbowałam od siebie odegnąć. Mój mózg był niczym komputer pozbawiony funkcji „usuń”. Pomyślałam o radzie, którą dał mi Ryan. O tym, co powiedział Pete. Obaj powtarzali to samo.

Zadzwoiłam na informację i zamówiłam rozmowę.

Ruby odebrała po dwóch sygnałach.

Przedstawiłam się i spytałam, czy Magnolia wciąż jeszcze była wolna.

– Pokój jest pusty, ale zaproponowałam go jednemu z lokatorów mieszkających na parterze.

– Chciałabym się ponownie zameldować.

– Powiedzieli mi, że wyjechałaś na dobre. Wyczyściłam już twój rachunek.

– Zapłacę za dwa tygodnie z góry.

– To prawdziwa boska opatrność, że facet nie przeprowadził się jeszcze do Magnolii.

– Tak – odparłam bez entuzjazmu. – Boska opatrność.

## Rozdział 10

Charlotte to typowy przykład rozszczepienia osobowości, Sybilla pośród miast. To Nowe Południe dumne ze swych drapaczy chmur, lotniska, uniwersytetu, NBA Hornets, NFL Panthers i Narodowej Organizacji Wyścigów Samochodów Seryjnych. Siedziba główna Bank of America i First Union to drugie pod względem wielkości centrum finansów. Tu także znajduje się Uniwersytet Karoliny Północnej. Charlotte marzy o sławie i prestiżu. Mimo to wciąż wyczuwa się tu tęsknotę za Starą Północą. W zamożnym, południowoschodnim kwadrancie dominują okazałe domostwa i bungalowy, obsadzone azaliami, dereniami, rododendronami, judaszowcami południowymi i magnoliami. To tu znajdziecie kręte uliczki, ogrodowe bujaki i więcej drzew niż w jakimkolwiek innym miejscu na ziemi. Wiosną Charlotte to prawdziwy raj kolorów: różu, bieli, fioletu i czerwieni. Jesienią żółtopomarańczowe okolice zdają się płonąć żywym ogniem.

W Charlotte na każdym rogu stoi kościół, do którego przychodzą wierni, by porozmawiać o upadku nobliwego życia. Jednak ci sami ludzie, którzy tak bardzo ubolewają nad trawiącym społeczeństwo zepsuciem, chciwym okiem zerkają na notowania giełdowe.

Mieszkam w Sharon Hall, eleganckiej nieruchomości graniczącej z Myers Park. Ta niegdyś wytworna georgiańska rezydencja do roku 1950 popadła w ruinę i została ofiarowana miejscowemu college'owi. W połowie lat osiemdziesiątych budynek przeszedł w ręce deweloperów, którzy odrestaurowali go i przekształcili w nowoczesny kompleks mieszkaniowy. Podczas gdy większość lokatorów Sharon Hall mieszka w głównej części budynku lub niedawno odnowionych skrzydłach rezydencji, ja zajmuję maleńkie mieszkanie w zachodniej części kompleksu. Jak wynika z archiwów, budynek powstał jako przybudówka do wozowni, jednak nie potwierdzają tego żadne dokumenty. Zajmowane przeze mnie dwie kondygnacje nie oferują zbyt wiele miejsca, jednak pełno w nich słońca. Maleńkie patio idealnie nadaje się dla geranium, które – jako jedna z nielicznych roślin – jest w stanie przetrwać moje ogrodnicze starania. Mieszkam tu, odkąd rozpadło się moje małżeństwo i jest mi tu po prostu dobrze.

Tego dnia niebo było nadzwyczaj błękitne. Petunie i nagietki roztaczały wokół zapach jesieni, który mieszał się z subtelną wonią wyschniętych liści. Ściany Sharon Hall i otaczający je murek dosłownie tonęły w słońcu. Skręcając w kierunku przybudówki, zauważyłam zaparkowany przy patio samochód Pete'a. Przez okno od strony pasażera wysunął się

kosmaty pysk Boyda. Na mój widok pies postawił uszy i wywalił czerwony jęzor. Przez tylną szybę dostrzegłam zamkniętego w podróźnej klatce Ptaśka. Mój kot nie wyglądał na zachwyconego sposobem, w jaki go potraktowano.

Pete pojawił się w chwili, kiedy skończyłam parkować.

– Jezu, jak dobrze, że cię zastałem. – Na jego przystojnej twarzy malował się niepokój.

– Co się stało?

– Misterny plan mojego klienta właśnie trafił szlag. Sprawa wejdzie na drogę sądową, tak więc muszę spotkać się z ekspertami, zanim jacyś niedoszli inspektorzy kompletnie zawałą robotę.

– Spotkać się gdzie?

– W Indianapolis. Mam nadzieję, że weźmiesz Boyda na kilka dni.

Jęzor zniknął, by po chwili pojawić się ponownie.

– Wyjeżdżam do Bryson City.

– Boyd uwielbia góry. Zobacysz, będzie świetnym towarzyszem. Spójrz tylko na niego.

Boyd opierał łeb o otwartą szybę, zalewając bok samochodu litrami gęstej śliny.

– Będzie cię chronił.

– Niesamowite.

– Naprawdę. Harvey nie przepadał za nieproszonymi gośćmi, więc wytresował Boyda tak, aby wyczuwał obcych.

– Zwłaszcza tych w mundurach.

– Dobrych, złych, paskudnych, nawet tych pięknych. Boyd nie robi wyjątków.

– Nie możesz znaleźć hotelu dla psów, w którym mógłbyś go zostawić?

– Jest pełny. – Mówiąc to, Pete zerknął na zegarek i obdarzył mnie zniewalającym spojrzeniem. – Za godzinę mam lot.

Pete nigdy nie odmawiał, kiedy prosiłam go, by zaopiekował się Ptaśkiem.

– Idź. Coś wykombinuję.

– Jesteś pewna?

– Znajdę hotel dla psów.

Pete chwycił mnie za ramiona.

– Jesteś boginią.

W najbliższej okolicy są dwadzieścia trzy hotele dla psów. W ciągu godziny zdążyłam ustalić, że czternaście z nich było zajętych, w pięciu nikt nie odbierał telefonu, dwa nie przyjmowały zwierzaków ważących więcej niż sześć i pół kilo, a dwa pozostałe chciały najpierw porozmawiać z właścicielem.

– Co miałam robić?

Boyd na chwilę podniósł łeb, przekrzywił go, po czym wrócił do lizania kuchennej podłogi.

Zdesperowana, postanowiłam wykonać jeszcze jeden telefon.

Ruby była mniej drobiazgowa. Za trzy dolary dziennie zgodziła się opiekować psem i słowem nie wspomniała o jakichkolwiek przesłuchaniach.

Ptasiek trafił pod opiekę sąsiada, a ja i Boyd wyruszyliśmy w drogę.

Halloween wywodzi się z pogańskiego święta Samhain. Obchodzone wraz z nadejściem zimy, wyznaczało ono w kulturze celtyckiej nadejście nowego roku. To czas, gdy granica pomiędzy światem żywych i umarłych była tak cienka, że dusze przenikały do świata śmiertelników. W okresie Samhain gaszono ogień i rozpalano nowe, a ludzie przebierali się w dziwaczne kostiumy, by odegnać tych, którzy wrócili z zaświatów.

Mimo że do święta pozostały jeszcze dwa tygodnie, w Bryson City przygotowania ruszyły już pełną parą. Wszędzie wisiały ghule, pająki i nietoperze. Przed domami pojawiły się strachy na wróble i nagrobki, a na drzewach i gankach dyndały plastikowe szkielety, czarne koty, wiedźmy i duchy. Z niemal każdego okna spoglądała na mnie wydrążona, dyniowa twarz. Co bardziej pomysłowi mieszkańcy Bryson City wozili w bagażnikach gumowe repliki ludzkich stóp. To dobry czas na pozbycie się ciała – pomyślałam.

Przed piątą wypuściłam Boyda na tyły High Ridge House, a sama powlokłam się do Magnolii. Chwilę później pojechałam do biura szeryfa.

Kiedy stanęłam w drzwiach, Lucy Crowe rozmawiała przez telefon. Skinieniem ręki zaprosiła mnie do środka i wskazała jedno z dwóch krzesel. Znaczną część niewielkiego pomieszczenia zajmowało biurko, którego nie powstydziliby się dowódca Konfederatów. Równie antyczne było krzesło, na którym siedziała Crowe. Mebel obity był brązową skórą, a na lewym podłokietniku widać było rozdarcie, z którego wystawały cienkie nitki materiału.

– Ładne biurko – powiedziałam, kiedy Crowe odłożyła słuchawkę.

– To chyba jesion. – Zielone oczy, których kolor przywodził na myśl morską pianę, były równie zadziwiające, jak wówczas, gdy widziałam je po raz pierwszy. – Zrobił je dziadek mojego poprzednika.

Mówiąc to, odchyliła się na krzesło, które wydało z siebie melodyjny jęk.



- Powiedz mi, co przegapiłam.
- Mówią, że zrujnowałaś dochodzenie.

– Czasami człowiek ma złą prasę.

Crowe pokiwała głową ze zrozumieniem.

– Co masz?

– Stopa chodziła po ziemi przez przynajmniej sześćdziesiąt pięć lat. Żaden z pasażerów nie dostąpił tego zaszczytu. Muszę tylko udowodnić, że nie był to dowód w śledztwie.

Szeryf otworzyła folder i rozłożyła jego zawartość na księdze zatrzymań.

– Mam trzech zaginionych. Było czterech, ale jeden się odnalazł.

– Dawaj.

– Jeremiah Mitchell, czarnoskóry mężczyzna lat siedemdziesiąt dwa. Zaginął w Waynesville osiem miesięcy temu. Według stałych klientów Mighty High Tap, Mitchell opuścił bar około północy i poszedł kupić gorzałę. To było piętnastego lutego. Dziesięć dni później sąsiad Mitchella zgłosił zaginięcie. Od tamtego czasu nikt go nie widział.

– Jakaś rodzina?

– Nikogo, o kim byśmy wiedzieli. Mitchell był samotnikiem.

– Skąd ta sąsiedzka troska?

– Mitchell pożyczył siekiere i facet chciał ją odzyskać. Kilka razy odwiedził go w domu, jednak znużył się czekaniem i poszedł poszukać go w barze. Kiedy i tam go nie znalazł, wypełnił raport o zaginięciu. Najwyraźniej liczył, że policja odnajdzie Mitchella. – I siekiere.

– Facet jest niczym bez swoich narzędzi.

– Wzrost?

Crowe przejechała palcem po papierze.

– Sto siedemdziesiąt centymetrów.

– Zgadzałoby się. Miał prawo jazdy?

– Mitchell był alkoholikiem. Chodził piechotą. Okoliczni twierdzą, że na pewno się zgubił i zmarł z zimna.

– Kto jeszcze?

– George Adair. – Crowe zajrzała do kolejnego raportu. – Biały mężczyzna, wiek sześćdziesiąt siedem. Zamieszkały w Unahala. Zaginął dwa tygodnie temu. Żona utrzymuje, że poszedł z kumplem na ryby i nigdy nie wrócił.

– Co mówi kumpel?

– Kiedy obudził się rano, Adaira nie było w namiocie. Czekał na niego cały dzień, w końcu spakował się i wrócił do domu.

– Gdzie dokładnie łowili?

– W Little Tennessee. – Mówiąc to, obróciła się do wiszącej za plecami mapy i dźgnęła palcem maleńki punkcik. – To w górach Nantahala.

– A Unahala?

Crowe wskazała północny wschód.

– Gdzie znajduje się miejsce katastrofy? Palec pani szeryf prawie nie drgnął.

– Kim jest zawodnik numer trzy?

Crowe odwróciła się przy wtórze fotela.

– Daniel Wahnetah, lat sześćdziesiąt dziewięć. Czirokez z rezerwatu. Nie pojawił się dwudziestego siódmego lipca na urodzinach wnuka. Rodzina zgłosiła zaginięcie dwudziestego szóstego sierpnia, w dniu jego własnych urodzin. – Crowe przebiegła wzrokiem pozostałą część raportu. – Żadnej wzmianki na temat wzrostu.

– Rodzina czekała miesiąc?

– Za wyjątkiem zimy, Daniel większość czasu spędzał w pobliskich lasach. Miał tam kilka obozów, gdzie łowił ryby i polował.

Po tych słowach opadła na fotel, który zaskrzeczał nieznaną mi melodię.

– Wygląda na Tęczową Koalicję Jessego Jacksona. Jeśli to jeden z nich, wystarczy, że ustalisz rasę i po sprawie.

– Tylko tyle?

– Większość mieszkańców nigdzie się stąd nie rusza. Najwyraźniej chcą umierać we własnych łóżkach.

– Sprawdź, czy którykolwiek z nich miał problemy ze stopami albo czy zostały po nich jakieś buty. Mogą się przydać. Pomyśl też nad analizą DNA. Włosy. Usunięte zęby. Może być nawet szczoteczka do zębów, pod warunkiem, że nikt jej nie czyścił ani nie używał. Jeśli nie zdobędziemy żadnego z tych przedmiotów, porównamy próbki krwi z kimś z bliskiej rodziny.

Crowe zrobiła krótką notatkę.

– I bądź dyskretna. Jeśli reszta ciała wciąż znajduje się w lesie, a ktoś faktycznie jest za to odpowiedzialny, lepiej niech nie przyjdzie mu do głowy, by zakończyć to, co zaczęły kojoty.

– Nie pomyślałam o tym. – Głos Crowe był pełen sarkazmu.

– Przepraszam.

Obojętne skinienie głowy.

– Szeryfie, wie pani, kto jest właścicielem domu oddalonego około ćwierć mili od miejsca katastrofy? Właściwie to chata z ogrodzonym ogródkiem.

Crowe spojrzała na mnie, a jej oczy zmieniły się w bladozielone szmaragdy.

– Urodziłam się w tych górach, a funkcję szeryfa sprawuję od prawie siedmiu lat. Do tej chwili nie miałam pojęcia, że znajduje się tam coś więcej niż tylko sosny.

– Przypuszczam, że nie dostaniemy nakazu rewizji.

– Nie sędzę.

– Czy to nie dziwne, że nikt nie wie o tym miejscu?

– Mieszkańcy gór trzymają się razem.

– I umierają we własnych łóżkach.

Po powrocie do High Ridge House zabrałam Boyda na długi spacer, a może to on zabrał mnie. Pies zupełnie oszalał. Obwąchiwał i obsikiwał każdą roślinę i każdy przydrożny kamień, podczas gdy ja zachwyciałam się widokiem gór, które kłębiąc się po horyzont, przywodziły na myśl obrazy Moneta. Powietrze było chłodne i wilgotne, przesycone zapachem sosen, gliny i dymu. Szykujące się do snu ptaki sprawiły, że drzewa wokół mnie ożyły i wybuchły radosną wrzawą.

Wędrówka pod górę okazała się mniej przyjemna. Boyd ciągnął mnie za sobą niczym sunący w psim zaprzęgu Biały Kieł. Zanim dotarliśmy do kojca, nie czułam prawego ramienia, a łydki miałam tak obolałe, że z trudnością się poruszałam.

Zbliżałam się do bramy, kiedy usłyszałam głos Ryana.

– Kim jest twój nowy przyjaciel?

– Ma na imię Boyd i jest naprawdę bezwzględny. – Wciąż brakowało mi tchu. Moje słowa wydawały się ciche i urywane.

– Specjalizuje się w ekstremalnych spacerach?

– Miłej nocki – zwróciłam się do Boyda, który jak oszalały rzucił się na brązowe granulki, przypominające skamieniałe, suszone mięso.

– Rozmawiasz z psami, a nie chcesz pogadać ze starym partnerem?

Odwróciłam się i wbiłam wzrok w Ryana.

– Jak leci, koleś?

– Nie rań moich uszu tą gadką. Nieźle, a co u ciebie?

– Doskonale. A przy okazji, nigdy nie byliśmy partnerami.

– Ustaliłaś wiek?

– Miałam rację.

Sprawdziłam zamykanie, po czym ruszyłam w kierunku domu.

– Szeryf Crowe ma trzech zaginionych starsuszków. Jakież wieści w sprawie chaty?

– Nic. Nikt nie wie o istnieniu tego miejsca. Nawet jeśli ktoś tam mieszka, ludzie nie chcą o tym gadać.

– Zamierzam jutro sprawdzić spisy podatkowe w sądzie. Crowe zajmie się zaginionymi.

– Jutro jest sobota.

– Cholera. – Mówiąc to, w ostatniej chwili zapanowałam nad chęcią uderzenia się w czoło.

Zaabsorbowana decyzją Larke'a zupełnie straciłam poczucie czasu. W weekendy budynki rządowe były zamknięte.

– Cholera – powtórzyłam i skierowałam się w stronę domu.

Ryan szedł obok.

– Mieliśmy dziś ciekawe spotkanie.

– Naprawdę?

– NTSB sporządziło wstępny raport dotyczący uszkodzeń. Przyjdź jutro do kwatery głównej, pokażę ci go.

– Nie będziesz miał przez to problemów?

– Oszalałaś?

Śledztwo toczyło się na większości obszaru Bryson City. W okolicach Big Laurel, gdzie znajdowało się centrum dowodzenia NTSB oraz stworzona na potrzeby katastrofy kostnica, prace toczyły się bez przerwy. Dokładniejszej identyfikacji zwłok dokonywano w remizie Alarka, podczas gdy centrum pomocy rodzinom ofiar niezmiennie miało swą siedzibę na Veterans Boulevard w Sleep Inn. Jak gdyby tego było mało, rząd federalny wynajął miejsce w siedzibie straży pożarnej w Bryson City, w której przebywały teraz jednostki FBI, NTSB, AFT oraz przedstawiciele innych organizacji.

O dziesiątej rano następnego dnia Ryan i ja siedzieliśmy przed komputerem w jednym z maleńkich pomieszczeń na piętrze budynku. Towarzyszyli nam Jeff Lowery z NTSB, zajmujący się dokumentacją dotyczącą wnętrza kabiny, oraz Susan Katzenberg z jednostki zajmującej się konstrukcją.

Podczas gdy Katzenberg objaśniała wykresy sporządzone przez jej jednostkę, ja z niepokojem wypatrywałam Larke'a Tyrella. Mimo że byłam wśród federalnych, a moja obecność nijak nie naruszała jego decyzji, nie miałam ochoty na konfrontację.

– Ten trójkąt to obszar, na którym znaleźliśmy szczątki. Jego wierzchołek znajduje się bezpośrednio w miejscu katastrofy, a ta linia to ciągnący się na długości sześć i pół kilometra tor lotu. Odpowiada on parabolicznemu upadkowi z wysokości ponad siedmiu tysięcy metrów, przy czym ustaliliśmy, że samolot wzbijał się średnio sześć i pół tysięcy metrów na minutę, aż do upadku.

– Niektóre ciała znajdowały się przeszło tysiąc sześćset metrów od miejsca katastrofy – zauważyłam.

– Kabina ciśnieniowa uległa uszkodzeniu w trakcie lotu, co sprawiło, że ciała pasażerów zostały dosłownie wyssane z wnętrza samolotu.

– Gdzie były czarne skrzynki? – spytałam.

– Znalaziono je wraz z fragmentami tylnego kadłuba, mniej więcej w połowie drogi od miejsca katastrofy. – Mówiąc to, Katzenberg dotknęła palcem monitora. – W F100 czarne skrzynki umieszcza się w tylnym kadłubie za wręgą. Skrzynki wypadły jeszcze przed tym, zanim coś rozerwało tylną część samolotu.

– A więc rozmieszczenie szczątków wskazuje na to, że do eksplozji doszło w powietrzu?

– Tak. Wszystko, co nie posiada skrzydeł, czyli aerodynamicznej zdolności do wzbijania się w powietrze, spada z balistyczną trajektorią, przy czym należy pamiętać, że przedmioty ciężkie spadają znacznie szybciej.

Po tych słowach wskazała palcem grupę przedmiotów i przesunęła dłoń wzdłuż widocznego na monitorze szlaku.

– Najpierw na ziemię spadają niewielkie, lekkie przedmioty.

Odsunęła się od monitora i spojrzała na mnie i na Ryana.

– Mam nadzieję, że to w czymś pomoże. Niestety, muszę już iść.

Kiedy zniknęła, jej miejsce zajął Lowery. Gdy pochylił się nad klawiaturą, emanujące z monitora światło sprawiło, że zmarszczki na jego twarzy zmieniły się w głębokie bruzdy. Chwilę później na monitorze pojawił się kolejny wykres, przypominający namalowany w barwach podstawowych obraz Seurata<sup>5</sup>.

– W pierwszej kolejności ustaliliśmy zbiór wytycznych dotyczących stanu siedzeń, które udało nam się odzyskać.

Mówiąc to, wskazał widoczne na monitorze kolory.

---

<sup>5</sup> [Georges Seurat – (1859-1891) francuski malarz, neoimpresjonista (przyp. red.)]

– Minimalnie uszkodzone siedzenia oznaczone są kolorem jasnoniebieskim, te z poważniejszymi uszkodzeniami zaznaczyliśmy na granatowo, a te, które doznały najpoważniejszych uszkodzeń, mają kolor zielony. Siedzenia z kategorii „zniszczone” oznaczone są na żółto, a te z grupy „porozrywane” na czerwono.

– Co dokładnie oznaczają poszczególne kategorie? – spytałam.

– Jasnoniebieskie oznaczają, że nogi, oparcie, siedzisko i podłokietniki są nienaruszone, podobnie jak system napinania pasów. W przypadku granatowych jeden lub kilka spośród tych elementów zostało zniekształcone. Siedzenia oznaczone kolorem zielonym są połamane i zdeformowane. Żółte to siedzenia, przy których brakuje przynajmniej dwóch elementów lub są one złamane. Czerwone wskazują na uszkodzenie więcej niż trzech elementów.

Wykres przedstawiał wnętrze samolotu wraz z toaletą, częścią kuchenną i ukrytymi za kokpitem wnękami. Osiem siedzeń w pierwszej klasie i osiemnaście rzędów w klasie turystycznej, podwójne po lewej stronie, potrójne po prawej. Za ostatnim rzędem, w którym po obu stronach znajdowały się dwa siedzenia, dostrzegłam kolejną część kuchenną i toalety. Nawet dziecko nie miałooby problemów z interpretacją tego, co zobaczyliśmy. Chłodny błękit przechodził w rażącą czerwień, sugerując, że miejsca z przodu samolotu były prawie nietknięte. Siedzenia pasażerów ze środkowej części samolotu uległy nieznacznym uszkodzeniom, podczas gdy te, które znajdowały się za skrzydłami były niemal doszczętnie zniszczone. Największe skupisko czerwonych punktów znajdowało się w tylnej, lewej części samolotu.

Lowery uderzył w klawisze i na ekranie pojawił się nowy wykres.

– Oto, jak naszym zdaniem rozmieszczono pasażerów. Należy jednak pamiętać, że nie wszystkie miejsca zostały zabukowane i ofiary mogły przemieszczać się po pokładzie. Znajdujący się w kokpicie rejestrator głosu sugeruje, że kapitan nie wyłączył znaku „Zapiąć pasy”, tak więc większość pasażerów powinna być zapięta. Rejestrator wykazał też, że kapitan pozwolił stewardesom rozpocząć obsługiwanie pasażerów, a zatem członkowie załogi mogli być dosłownie wszędzie.

– Czy kiedykolwiek uda wam się ustalić, kto siedział, a kto przemieszczał się po pokładzie?

– Siedzenia pasażerów będą poddane szczegółowej analizie co do stopnia napięcia pasów, obciążenia, uszkodzenia pasów i deformacji związanej z ciężarem pasażerów. Dysponując wynikami z grupy medyczno-antropologicznej, spróbujemy porównać stopień uszkodzenia siedzeń ze stopniem uszkodzenia ciał.

Słuchałam, wiedząc, że ciała ofiar zostaną opatrzone takimi samymi kodami jak siedzenia pasażerów. Jasnoniebieski: ciało nietknięte. Zielony: roztrzaskana głowa lub brak przynajmniej jednej kończyny. Żółty: ciało pozbawione dwóch kończyn, z roztrzaskaną głową lub bez głowy. Czerwony: utrata trzech, czterech kończyn lub rozerwane ciało.

– Raporty z autopsji wykażą też, gdzie siedzieli pasażerowie z obrażeniami cieplnymi, chemicznymi i które z ran zostały spowodowane przez obecne w samolocie przedmioty – ciągnął Lowery. – Staramy się znaleźć związek między obrażeniami a deformacją foteli pasażerów.

– Co wam to powie? – spytał Ryan.

– Wysoki stopień współzależności wykaże, że podczas katastrofy pasażerowie w większości pozostali na swoich miejscach. Niski stopień oznaczał będzie, że albo nie zajmowali przypisanych im miejsc, albo szybko zostali z nich wyrwani.

Myśl o tym, co działo się w samolocie tuż przed jego upadkiem sprawiła, że przeszedł mnie dreszcze.

– Lekarze prześlą nam także informacje na temat obrażeń przed – i pośmiertnych. Je również porównamy ze stanem, w jakim znajdowały się fotele pasażerów przed katastrofą i po niej.

– Po co? – spytał Ryan.

– Zakłada się, że siła, z jaką samolot mknie do przodu i ochrona, jaką fotele zapewniają pasażerom, składają się często na wyniki przedśmiertnych obrażeń.

– Pod warunkiem, że wcześniej pasażer nie zostanie wyrwany z fotela.

– Zgadza się. Wiemy również, że gdy obiekt spada w dół z zawrotną prędkością, fotele ulegają deformacji w podobnym kierunku, jak ten, w którym leci samolot. Teoria ta zawodzi, w przypadku gdy maszyna rozpada się w trakcie lotu.

– I?

– Jak do tej pory siedemdziesiąt procent zbadanych przez nas foteli wskazuje na to, że największe spustoszenie miało miejsce na tyłach samolotu. Spośród nich mniej niż czterdzieści procent zostało zdeformowanych w kierunku kadłuba.

– Co znaczy, że maszyna eksplodowała w powietrzu.

– Nie mamy co do tego żadnych wątpliwości. Grupa Susan wciąż bada sposób, w jaki samolot rozpadł się na części. Spróbują zrekonstruować kolejność całego wydarzenia, jednak to prawie pewne, że mamy do czynienia z nagłą katastrofą powietrzną. Oznacza to, że jako pierwsze spadły na ziemię fragmenty kadłuba. Dziwi mnie to, że niemal to samo stało się ze wszystkimi częściami samolotu, ale katastrofy lotnicze rządzą się swoimi prawami i trudno

mówić tu o przykładach książkowych. Jasne natomiast jest to, że po analizie foteli widać niemal identyczną siłę uderzenia.

Po raz kolejny stuknął w klawisze i na ekranie pojawił się pierwszy wykres.

– Mamy też niewielkie wątpliwości co do miejsca, w którym nastąpił wybuch.

Mówiąc to, wskazał na plamę czerwieni w lewej, tylnej części kabiny.

– Eksplozja niekoniecznie oznacza, że na pokładzie znajdowała się bomba.

Odezwał się Magnus Jackson, który pojawił się w drzwiach. Mężczyzna przez długi czas spoglądał na mnie, jednak postanowił przemilczeć moją obecność. Ekran za naszymi plecami mienił się kolorami tęczy.

– Istnieją nowe dowody na to, że przyczyną eksplozji mogła być wystrzelona w kierunku samolotu rakietą – ciągnął.

Czekaliśmy na dalszy ciąg rewelacji.

– Mamy już trzech świadków, którzy twierdzą, że widzieli lecący w kierunku maszyny przedmiot.

Ryan przewiesił ramię przez oparcie krzesła.

– Rozmawiałem z czcigodnymi Claibornem i Bowmanem i śmiem twierdzić, że ludzie są tu równie krótkowzroczni, co włochate gąsienice.

Zastanawiałam się, skąd Ryan wiedział o włochatych gąsienicach.

– Wszyscy świadkowie podają praktycznie ten sam czas i opisują zjawisko w taki sam sposób.

– Może dlatego, że wszyscy mają ten sam kod genetyczny? – zażartował Ryan.

– Zostaną poddani badaniom na wykrywaczu kłamstw? – spytałam.

– Tacy ludzie wierzą, że mikrofalówka usmaży im przyrodzenie – dodał Ryan.

Na twarzy Jacksona pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu, ale mnie żarty Ryana zaczynały naprawdę drażnić.

– Masz rację – odparł Jackson. – W takich regionach jak ten, ludzie są podejrzliwi w stosunku do władz i nauki. Nasi świadkowie nie zgodzili się na test wykrywaczem kłamstw, twierdząc, że rząd mógłby użyć technologii, aby zmienić ich mózgi.

– I dać im lepsze?

Jackson uśmiechnął się przelotnie. Chwilę później spojrzał na mnie i wyszedł bez słowa.

– Moglibyśmy jeszcze raz zobaczyć ten wykres z fotelami pasażerów? – spytałam.

Lowery musnął palcami klawiaturę i na ekranie pojawił się diagram.

– Można nałożyć na to wykres przedstawiający stopień zniszczenia foteli?



Kilka uderzeń w klawiaturę i obraz Seurata był już na swoim miejscu.

– Gdzie siedziała Martha Simington?

Lowery wskazał palcem pierwszy rząd pierwszej klasy. – 1A. Bładobłękitny.

– A student ze Sri Lanki, który przyjechał na wymianę?

– Anurudha Mahendran – 12F, tuż przed prawym skrzydłem.

Ciemnoniebieski.

– A Jean Bertrand i Remi Petricelli?

Palec agenta przesunął się w kierunku ostatniego rzędu po lewej.

– 23A i B. Płonąca czerwień.

Strefa zero.

## Rozdział 11

Kiedy instruktaż dobiegł końca, Ryan i ja kupiliśmy lunch w Hot Dog Heaven i jedząc, spoglądaliśmy na turystów tłoczących się wokół dworca kolejowego Smoky Mountains. Na dworze zrobiło się cieplej i o pierwszej trzydzięci temperatura wynosiła dwadzieścia siedem stopni. Dzień był słoneczny, a delikatny wiatr przywodził na myśl stłumiony szept.

Prawdziwe babie lato w Cherokee.

Ryan obiecał mi, że popyta, na jakim etapie była identyfikacja zwłok, a ja zapewniłam, że wieczorem zjem z nim kolację. Kiedy odjechał, poczułam się jak gospodyni domowa, której dzieci wyszły właśnie do szkoły. Miałam przed sobą długi, nudny dzień.

Po powrocie do High Ridge House wzięłam Boyda na kolejny spacer. Mimo iż pies wydawał się zachwycony, tak naprawdę to ja byłam tą, która potrzebowała przebieżki. Byłam niespokojna, podenerwowana i potrzebowałam fizycznego wysiłku. Crowe nie zadzwoniła, a budynek sądu do poniedziałku pozostawał zamknięty. Ponieważ nie miałam wstępu do kostnicy, a wśród kolegów byłam postrzegana jako persona non grata, śledztwo w sprawie stopy na jakiś czas utknęło w martwym punkcie.

Po powrocie ze spaceru próbowałam poczytać, jednak nie mogłam zebrać myśli.

Poirytowana całą sytuacją, chwyciłam portfel i kluczyki i udałam się w nieznane.

Zaraz po wyjeździe z Bryson City minęłam kierunkowskaz do Cherokee. Daniel Wahnetah pochodził z plemienia Czirokezów. Czy w chwili swego zniknięcia mieszkał na terenie rezerwatu? Nie mogłam sobie przypomnieć.

Piętnaście minut później byłam już na miejscu.

Ponad dwieście siedemnaście tysięcy kilometrów kwadratowych Ameryki Północnej należało niegdyś do plemienia Czirokezów. W przeciwieństwie do Indian żyjących na równinach, tak popularnych wśród producentów westernów, Czirokezi mieszkali w długich chatkach, nosili turbany i przyjęli europejski styl ubierania się. Dzięki alfabetowi Sekwoi<sup>6</sup>, w latach dwudziestych osiemnastego wieku, język Czirokezów doczekał się swego pisemnego odpowiednika.

---

<sup>6</sup> [Sekwoja – po matce Czirokez, twórca pisma sylabicznego, stosowanego przez plemię Czirokezów (przyp. red.)]

W roku 1838 miała miejsce jedna z najbardziej niechlubnych zrad w historii nowożytnej. Wówczas to Czirokezi zostali wygnani ze swych domów i zmuszeni do wędrówki na zachód, na terytorium obecnej Oklahomy – przeszli wówczas niemal dwa tysiące kilometrów. Jedna czwarta nie przeżyła tego marszu śmierci, który do dziś nazywany jest Drogą Łez. Ci, którzy przetrwali, nazwali siebie Czirokezami z Zachodu. Czirokezi ze Wschodu to potomkowie tych, którzy znaleźli schronienie w Górach Smoky i tam też pozostali.

Mijając znaki informujące o indiańskiej wiosce Oconaiuftee, Muzeum Indian Czirokezów i spektaklu o tytule Ku Wzgórzom, poczułam złość z powodu arogancji i okrucieństwa, z jakimi Amerykanie traktowali innych. Nastawione na zysk współczesne projekty, stanowiły próbę zachowania dziedzictwa narodowego, demonstrując przy tym nieustępliwość rdzennych Amerykanów wykiwanych podstępem przez moich szlachetnych, pionierskich przodków. Ustawione przy drodze billboardy reklamowały Kasyno Harrah i hotel Hilton Cherokee – żywy dowód tego, że potomkowie Sekwoi dzielili jego zamiłowanie do zapożyczeń. Podobnie było z samym miastem, w którym sklepy z białymi koszulkami, skórą, nożami i mokasynami walczyły o palmę pierwszeństwa z pełnymi pamiątek centrami handlowymi, sklepami ze słodyczami, lodziarniami i sieciami fast foodów. Sklep indiański. Spotted Pony. Mini-Mal Tomahawk. Buck and Squaw. Widoczne na dachach tipi i ustawione przy wejściach totemy. Tubylczy kicz w najgorszej postaci.

Przez jakiś czas jeździłam w tę i z powrotem szosą numer 19, aż w końcu stanęłam na niewielkim parkingu, kilka przecznic od głównej drogi. Na kolejną godzinę wtopiłam się w tłum. Oceniałam oryginalne, czirokeskie popielniczki, breloczki, drapaczki do pleców i tamtamy. Oglądałam najprawdziwsze w świecie, drewniane tomahawki, figurki bizonów wykonane z ceramiki, akrylowe koce i plastikowe strzały, słysząc dookoła znajomy stuk kas sklepowych. Czy w Karolinie Północnej kiedykolwiek żyły bizony?

I kto tu kogo wykiwał? – pomyślałam, patrząc na chłopca, który ściskając w dłoni przeszło siedem dolarów, przymierzał się do kupna kolorowego pióropusza.

Pomimo napierającej na mnie zewsząd komercjalizacji, cieszyła mnie myśl, że choć na chwilę wyrwałam się ze świata, który uważałam za normalny. Nie było tu kobiet, których piersi nosiły ślady pogryzień. Maluchów z waginalnymi otarciami. Topielców, których brzuchy pełne były płynów przeciw zamarzaniu. Odciętych stóp. Kolorowe pióropusze z gęsich piór są zdecydowanie miłsze dla oka niż przemoc i śmierć.

Z ulgą przyjąłm również fakt, że wyrwałam się z trzęsawiska skomplikowanych związków. Kupiłam pocztówki, krówki o smaku masła orzechowego, jabłko zapiekane w karmelu. Czułam, jak moje problemy z Larkiem Tyrellem, Petem i Ryanem, stają się coraz bardziej odległe i nierzeczywiste.

Przechodząc obok Boot Hill Leather Shop, doznałam nagłego olśnienia. Przy łóżku Pete'a zauważyłam domowe pantofle, które dostał od Katy, gdy nasza córka miała zaledwie sześć lat. Kupię mu mokasyny, dziękując w ten sposób za to, że obudził we mnie ducha walki.

Czy mogłam mieć na myśli jakiegokolwiek innego ducha?

Kolejny pomysł przyszedł mi do głowy, gdy przetrząsałam sklepowe koszyki. Być może tradycyjne, indiańskie obuwie sprawi, że i Ryan poczuje się lepiej po stracie partnera. OK. Dwie pary za cenę jednej.

Z Petem poszło gładko. Rozmiar 42 to w języku mokasynów „duże”. Gorzej było z Ryanem. Jak duże były, do cholery, jego stopy? Porównywałam rozmiary, medytując nad tym, czy XL wystarczy dla kogoś takiego jak pół-Irlandczyk pół-Kanadyjczyk z Nowej Szkocji, gdy w mojej głowie rozszalała się prawdziwa burza.

Kości stopy. Żołnierze w południowej Azji. Sposób na odróżnienie szczątków Azjaty od białych i czarnych obywateli Ameryki.

Czy takie coś miało szansę powodzenia?

Czy dokonałam niezbędnych pomiarów?

Chwyciwszy jedną parę butów w rozmiarze XL i jedną w rozmiarze L, zapłaciłam i pobiegłam na parking, myśląc wyłącznie o tym, by wrócić do Magnolii i zajrzeć do swoich notatek.

Byłam już przy samochodzie, kiedy usłyszałam ryk silnika. Podniosłam wzrok i zobaczyłam jadące w moim kierunku czarne volvo. Z początku nie dostrzegłam zagrożenia, jednak samochód jechał szybko, zbyt szybko jak na strefę parkingową.

Wtedy przypomniałam sobie. Prędkość! Trajektoria!

Samochód pędził wprost na mnie!

Rusz się, Brennan!

Przez chwilę nie wiedziałam, dokąd uciec. W końcu rzuciłam się na lewo i przypadłam do ziemi. Kilka sekund później volvo przemknęło obok, zasypując mnie gradem żwiru i piasku. Poczułam pęd powietrza, gdzieś w pobliżu jęknęła skrzynia biegów, a moje nozdrza wypełnił zapach spalin.

Ryk silnika oddalił się.

Przez chwilę leżałam przyciśnięta do ziemi, nasłuchując bicia własnego serca.

Coś jednak mnie zaniepokoiło. Podnieś wzrok, Brennan – dudniło w mojej głowie.

Kiedy odwróciłam głowę, volvo skręcało za rogiem. Słońce wisiało tuż nad ziemią, świecąc mi prosto w oczy. Oślepiiona, zerknęłam w stronę kierowcy. Siedział pochylony nad kierownicą, a jego twarz ginęła w cieniu czapki z daszkiem.

Chwilę później usiadłam na ziemi, otrzepałam ubrania z kurzu i rozejrzałam się dookoła.

Oprócz mnie na parkingu nie było żywej duszy.

Czułam, jak drżą mi nogi, jednak podniosłam się, cisnęłam torbę i zakupy na tylne siedzenie, usiadłam za kierownicą, włączyłam blokadę drzwi i przez chwilę masowałam obolałe ramię.

Co to, do cholery, było?

W drodze powrotnej do High Ridge House analizowałam całą sytuację. Byłam paranoiczką, czy może naprawdę ktoś próbował mnie przejechać? Może kierowca był pijany?

Ślepy? Głupi?

Czy powinnam zgłosić całe wydarzenie? Powiedzieć o tym Crowe? Może McMahanowi?

Czy sylwetka kierowcy nie wyglądała znajomo? Myślałam o „nim” jako o mężczyźnie, ale czy naprawdę nim był?

Postanowiłam, że przy obiedzie porozmawiam z Ryanem.

Po powrocie do High Ridge House zrobiłam sobie kawę i niespiesznie delektowałam się jej smakiem.

Zanim weszłam do pokoju, zdążyłam się uspokoić, ustąpiło nawet drzenie rąk. Pierwszą rzeczą, jaką zrobiłam, był telefon do uniwersytetu w Charlotte, choć szczerze wątpiłam, aby ktokolwiek podniósł słuchawkę. Zaskoczenie było tym większe, że niemal natychmiast zrobiła to moja asystentka.

– Jest sobota, co robisz w laboratorium?

– Oceniam prace studentów.

– To dobrze. Doceniam twoje zaangażowanie, Alex.

– Ocenianie to część mojej pracy. Gdzie jesteś?

– W Bryson City.

– Myślałam, że jesteś tam skończona. To znaczy, chciałam powiedzieć, że twoja praca tam dobiegła już końca. To znaczy... – Przerwała, nie wiedząc, co dodać.

Z jej zakłopotania wywnioskowałam, że na uniwersytecie mieli już najświeższe wieści.

- Wyjaśnię wszystko, kiedy wrócę.
- Pokaż im... – rzuciła bez przekonania Alex.
- Posłuchaj, czy możesz wziąć laboratoryjną kopię mojej książki?
- Osiemdziesiąt sześć czy dziewięćdziesiąt osiem?

W przeszłości byłam redaktorem naczelnym książki o technikach wykorzystywanych w medycynie sądowej. Dla niektórych pozycja ta stała się prawdziwą biblią, przede wszystkim ze względu na wybitne nazwiska specjalistów, których udało mi się nakłonić do współpracy. Sama również napisałam kilka rozdziałów. Po dwunastu latach pozycja została zaktualizowana i ponownie wydana.

- Wersja numer jeden.
- Zaczekaj.

Minęło kilka sekund, zanim ponownie usłyszałam w słuchawce głos Alex.

- Czego potrzebujesz?
- Jest tam rozdział o klasyfikacji kości piętowej według rasy. Masz go?
- Mam.
- Jak duży jest procent poprawności, kiedy porównujemy osobników typu mongoidalnego z kośćmi białych i czarnych?

W słuchawce zapadła długa cisza. Czekałam, wyobrażałam sobie, jak Alex przebiega wzrokiem tekst, marszczy czoło, a jej okulary osuwają się niemalże na czubek nosa.

- Tuż poniżej osiemdziesięciu procent.
- To niedobrze.
- Zaczekaj. – Znowu cisza. – To dlatego, że ciężko jest odróżnić kości osobników białych od czarnych. Dokładność identyfikacji w przypadku przedstawicieli typu mongoidalnego waha się pomiędzy osiemdziesiąt trzy a dziewięćdziesiąt dziewięć procent. To chyba nieźle.

- OK. Podaj mi listę wymiarów.

Notując słowa Alex, miałam złe przeczucia.

- Teraz sprawdź, czy jest tam gdzieś tabela z nietypowymi, dopuszczalnymi wyróżnikami dla Indian, białych i czarnych mieszkających w Ameryce. – Potrzebowałam ich, by porównać je ze współczynnikami niezidentyfikowanej stopy.

Cisza.

- Tabela numer cztery.

– Przefaksujesz mi ten rozdział?

– Jasne.

Podalam Alex nazwisko Primrose Hobbs i numer faksu do kostnicy w Bryson City. Po skończonej rozmowie wyciągnęłam własne notatki na temat sprawy numer 387.

Kiedy wybrałam kolejny numer i spytałam o Primrose Hobbs, głos po drugiej stronie oznajmił mi, że nie było jej w pracy i spytał, czy chciałabym jej numer do Riverbank Inn. Primrose – podobnie jak Alex – odebrała niemal natychmiast. Najwyraźniej miałam swój szczęśliwy dzień.

– Cześć, słoneczko, jak sobie radzisz?

– Całkiem nieźle, Primrose.

– Nie przejmuj się tymi oszczerstwami. Teraz wszystko w rękach Boga, a On dobrze wie, że to brednie.

– Nie przejmuję się.

– Przyjdzie taki dzień, że usiądziemy, będziemy się przekomarzać, grać w karty i śmiać się z tego wszystkiego.

– Wiem.

– Choć muszę przyznać, Tempe Brennan, że jak na tak inteligentną kobietę jesteś najgorszym z możliwych graczy. – Mówiąc to, wybuchnęła głębokim, gardłowym śmiechem.

– Nie jestem najlepsza w gry karciane.

– Masz absolutną rację.

Kolejny wybuch śmiechu.

– Primrose, chciałam cię prosić o przysługę.

– Cokolwiek zechcesz, skarbie.

Pokrótko opowiedziałam jej historię stopy, a Primrose obiecała, że jutro z samego rana uda się do kostnicy, przeczyta faks, zadzwoni do mnie, a ja podam jej brakujące dane. Chwilę później ponownie skomentowała atak na moją osobę i skrytykowała Larke'a za to, że nie wsadził sobie rzekomych oskarżeń głęboko w dupę.

Podziękowałam Primrose za lojalność i rozłączyłam się.

\*\*\*

Ryan postanowił, że na obiad wybierzemy się do Injun Joe's Chili Joint. Ja wybrałam The Misty Mountain Cafe, ze względu na nouvelle cuisine oraz oszałamiające widoki na

Balsam Mountain i Maggie Valley. Kiedy stało się oczywiste, że rozmowa nie doprowadzi nas do kompromisu, postanowiliśmy rzucać monetą. The Misty Mountain wyglądała niczym zbudowana z belek, górską chatka z wysokimi stropami, kominkami i mnóstwem szkła. Po przyjeździe zostaliśmy poinformowani, że stół zwolni się za około dziewięćdziesiąt minut, jednak przez ten czas możemy posiedzieć na patio przy kieliszku wina.

W Injun Joe's nie musieliśmy czekać, zasiedliśmy przy stoliku i niemal natychmiast zrozumiałam, że nawet gdy czuję, że odniosłam zwycięstwo, tak naprawdę odnotowuję kolejną porażkę. Wystarczyło jedno spojrzenie i wiedziałam już, że le joint nie miał nic wspólnego z le café. W sześciu telewizorach transmitowano mecz futbolowy, a przy barze tłoczyli się mężczyźni w czapczkach. W boksach i przy stolikach siedziały pary bądź grupy ludzi, z których większość ubrana była w dżinsy. Rozglądając się dookoła, musiałam przyznać, że odwiedziny u fryzjera czy poranne golenie były wśród lokalnych mężczyzn prawdziwą rzadkością. Pomędzy miejscowymi przemykali turyści w kolorowych wiatrówkach. Dostrzegłam też kilka znajomych osób, zaangażowanych w dochodzenie. Stojący za barem dwaj mężczyźni bezustannie odkręcali kurki, wypełniali szklanki lodem i sięgali po stojące przed brudnym, lustrem butelki. Obaj mieli ziemistą cerę, upięte w koński ogon cienkie, brązowe włosy i zawiązane wokół głów bandany. Żaden z nich nie wyglądał na Indianina i żaden nie ubierał się u Armaniego. Jeden miał na sobie koszulkę z reklamą

Johnson Brown Ale, drugi najwyraźniej lubił grupę o nazwie Bitchin' Tits.

Na zbudowanym z tyłu podeście, naprzeciwko stołu bilardowego i kilku flipperów, instalował się zespół pod wodzą kobiety w czarnych, skórzanych spodniach i makijażu à la Cruella de Vii<sup>7</sup>. Co kilka sekund słyszeliśmy spotęgowane przez nagłośnienie stukanie jej palców i odliczanie: raz, dwa, trzy, cztery. Próby dźwięku z ledwością przebijały się przez płynący z telewizorów zgiełk i hałas, który robiły flippery.

Mimo to kapela zachowywała się, jak gdyby drzemający w niej potencjał mógł dotrzeć do Buenos Aires.

Zdecydowałam, że nadszedł czas, by zamówić coś do jedzenia.

Ryan rozejrzał się dookoła i niedbale machnął ręką. Chwilę później przy naszym stoliku pojawiła się mniej więcej czterdziestoletnia kobieta z nastroszonymi od pianki włosami i nienaturalną jak na tę porę roku opalenizną. Plastikowa plakietka na piersi zdradzała, że kobieta miała na imię Tammi. Pisane przez i.

– Co podać? – Ołówek, który trzymała w dłoni, zawisnął nad notatnikiem.

---

<sup>7</sup> \* [Cruella de Vii – bohaterka 101 Dalmatyńczyków (przyp. tłum.)]



– Czy mogę prosić menu? – spytałam.

Tammi westchnęła, przyniosła z baru dwie karty dań i cisnęła je na stolik. Chwilę później spojrzała na mnie złowrogo.

Klik. Klik. Klik. Ding. Ding. Ding. Ding.

Nie zastanawiałam się długo. Injun Joe oferował dziewięć rodzajów chili, cztery rodzaje burgera, hot dogi i górskie klopsiki.

Zamówiłam burgera Climbingbear i dietetyczną colę.

– Słyszałem, że serwujecie tu zabójcze chili. – Ryan obdarzył Tammi czarującym uśmiechem.

– Najlepsze na zachodzie. – Odpowiedź Tammi była jeszcze bardziej czarująca.

Stuk. Stuk. Stuk. Stuk. Raz. Dwa. Trzy. Cztery.

– Pewnie ciężko jest czekać, aż każdy z klientów podejmie decyzję. Zastanawiam się, jak to robisz.

– Urok osobisty. – Tammi uniosła brodę i delikatnie wysunęła biodro.

– Co powiesz o Walkingstick Chili?

– Ostre. Zupełnie jak ja.

Z trudem opanowałam wybuch śmiechu.

– Chyba się skuszę. Do tego butelka Carolina Pale.

– Jasne, kowboju.

Klik. Klik. Klik. Klik. Ding. Ding. Ding. Ding. Ding.

Stuk. Stuk. Stuk. Stuk. Raz. Dwa. Trzy. Cztery.

Zaczekałam, aż Tammi odejdzie wystarczająco daleko, by nie usłyszała moich słów. Przy panującym w barze zgiełku wystarczyło, że oddaliła się o zaledwie dwa kroki.

– Dobry wybór.

– Przynajmniej jedno z nas powinno zbratać się z miejscowymi.

– Jeszcze dziś rano byłeś wobec nich bardzo krytyczny.

– Ktoś musi trzymać rękę na pulsie lokalnych mężczyzn.

– I kobiet. – Stuk. Stuk. – Kowboju.

Przy stoliku pojawiła się Tammi z butelką piwa i dietetycznej coli. Szczrzyła zęby w uśmiechu. W podziękowaniu odprowadziłam ją uśmiechem aż do samej kuchni.

– Coś nowego od rana? – spytałam, kiedy upewniłam się, że Tammi zniknęła.

– Wygląda na to, że Haskell Simington nie jest chyba głównym podejrzanym. Facet wart jest miliony, więc kwota, na którą ubezpieczył żonę to dla niego nic wielkiego. Poza tym jedynymi spadkobiercami są jego dzieci.

– To wszystko?

Ryan przeczekał kolejną próbę dźwięku.

– Ludzie z grupy konstrukcyjnej zgłosili, że trzy czwarte samolotu zostały usunięte ze zbocza góry. Teraz składają je do kupy w hangarze nieopodal Asheville.

Stuk. Stuk. Stuk. Raz. Piiiiiiiiik. Dwa. Trzy. Cztery. Ryan spojrzał na wiszący nad moją głową telewizor.

– To wszystko?

– Tak. Skąd te odciski pomarańczowych łap?

– To lokalna drużyna z Clemson.

Spojrzał na mnie pytająco.

– Nieistotne.

Tammi pojawiła się po trzech kolejnych wybiciach.

– Dołożyłam ekstra ser – mruknęła, pochylając się nad Ryanem tak, by mógł dokładnie zobaczyć głęboki rowek między jej piersiami.

– Uwielbiam ser. – Ryan obdarzył ją kolejnym promienistym uśmiechem.

Stuk. Stuk. Raz. Dwa. Trzy. Cztery.

Kiedy piersi Tammi zniknęły mi sprzed oczu, spiorunowałam go wzrokiem.

– To wszystko?

– Ketchup. – Podniosłam do góry samotną frytkę.

– Ktoś coś mówił na temat mojej wizyty w kwaterze głównej?

Próbowałam podnieść hamburgera, jednak roztopiony ser przywarł do talerza.

– Agent specjalny McMahon stwierdził, że dobrze wyglądasz w dzinsach.

– Nie widziałam, żeby tam był. – Na talerz spadały rozmiękłe okruchy bułki.

– Ale on cię widział. Przynajmniej od tyłu.

– Co mówi FBI o tym, że odsunięto mnie od sprawy?

– Nie mogę mówić w imieniu całego biura, ale wiem, że McMahon nie przepada za twoim przełożonym.

– Nie jestem pewna, czy za całą tą sprawą nie stoi Davenport.

– Niezależnie od tego, McMahon nie ma dla niego czasu. Nazwał Davenporta bezmózgim dupkiem. – Ryan włożył do ust porcję chili i przepił ją piwem. – My, Irlandczycy, w głębi serca jesteśmy poetami.

– Ten bezmózgi dupek prawdopodobnie może odesłać cię z powrotem do Kanady.

– Jak twoje popołudnie?

– Pojechałam do rezerwatu.

– Widziałaś Tonto?<sup>8</sup>

– Skąd wiedziałam, że o to zapytasz?

Po tych słowach sięgnęłam do torby i wyjęłam mokasyny.

– Chciałam podarować ci coś z kraju moich przodków.

– Chcesz odpokutować za sposób, w jaki ostatnio mnie traktowałaś?

– Traktowałam cię jak kolegę.

– Kolegę, który chciałby ssać twoje palce u stóp.

Poczułam w żołądku miłe łaskotanie.

– Rozpakuj prezent.

– Niesamowite.

Opierając stopę na kolanie, Ryan przymierzył but. Stojąca przy barze ufryzowana kobieta przestała zdzierać etykietkę z butelki Coors i zerknęła w naszym kierunku.

– Zrobione osobiście przez Siedzącego Byka?

– Siedzący Byk był Siuksem. Te mokasyny prawdopodobnie zostały uszyte przez niejakiego Wang Chou Lee.

Ryan przymierzył kolejny but, podczas gdy kobieta szturchnęła łokciem swojego towarzysza.

– Chyba nie zamierzasz w nich tu siedzieć?

– Owszem, zamierzam. To w końcu prezent od koleżanki.

Mówiąc to, zapakował swoje buty do torby i wrócił do jedzenia chili.

– Spotkałaś jakichś ciekawych tubylców?

Już chciałam powiedzieć, że „nie”, kiedy...

– Tak.

Ryan podniósł wzrok znad talerza i spojrzał na mnie oczami tak błękitnymi, że mogły rywalizować z całą wioską niebieskookich Finów.

– Właściwie powinnam chyba powiedzieć, że niewiele brakowało.

Opowiedziałam Ryanowi o przygodzie z volvo.

– Chryste, Brennan. Jak...

– Wiem. Jak to jest, że zawsze pakuję się w jakieś kłopoty. Myślisz, że to coś poważnego? – Miałam nadzieję, że zaprzeczy.

Dzyń. Dzyń. Dzyń. Dzyń.

---

<sup>8</sup> [Prawdopodobnie chodzi o Tonto National Monument – amerykański pomnik narodowy znajdujący się w stanie Arizona. Na jego obszarze znajdują się ruiny osad wybudowanych przez Indian w pionowym urwisku (przyp. tłum.)]

Stuk. Stuk. Raz. Dwa. Trzy. Cztery.

Chili.

Piwo.

Urwane fragmenty rozmów.

– Dekonstrukcyoniści mówią, że nic nie jest rzeczywiste, jednak odkryłem w życiu dwa lub trzy truizmy. Pierwszy z nich brzmi: kiedy pędzi wprost na ciebie rozpędzone volvo, traktuj to poważnie.

– Nie jestem pewna, czy facet chciał mnie przejechać. Może po prostu mnie nie widział.

– Wtedy też tak myślałaś?

– Mogło się tak wydawać.

– Drugi truizm: pierwsze wrażenie, jeśli chodzi o volvo, jest zazwyczaj trafne.

Skończyliśmy obiad i Ryan poszedł do toalety. Nagle zauważyłam Lucy Crowe, która przeciskała się przez tłum w kierunku baru. Miała na sobie mundur i wyglądała na uzbrojoną i śmiertelnie poważną.

Kiwnęłam do niej ręką, jednak Crowe najwyraźniej mnie nie zauważyła. Chwilę później wstałam i pomachałam raz jeszcze, słysząc za plecami głęboki, męski głos.

– Zasłaniasz ekran. Siadaj na tyłku albo wyjdź.

Postanowiłam zignorować krzykacza i wyciągnęłam w górę obie ręce. Crowe zauważyła moje starania, skinęła głową i podniosła palec wskazujący. Siadając z powrotem, zauważyłam, że barman podał jej szklankę i szepnął jej coś do ucha.

– Cześć, słodziutki tyłeczku!

Nie ma nic gorszego, niż wzgardzony wieśniak. Podczas gdy ignorowałam jego zaczepki, on najwyraźniej dopiero się rozkręcał.

– Hej, ty z długimi ramionami.

Facet dźwigał się z krzesła, ale zauważył idącą w moją stronę Crowe. Kiedy zdał sobie sprawę ze swego błędu, pociągnął łyk piwa i powrócił do oglądania meczu.

Ryan i Crowe pojawili się przy stoliku dokładnie w tej samej chwili. Szeryf zerknęła na stopy Ryana i zmierzyła mnie pytającym spojrzeniem.

– To Kanadyjczyk.

Ryan przemilczał tę uwagę i usiadł na krześle. Crowe postawiła na stoliku szklankę 7UP i przysiadła się do nas.

– Dr Brennan chciałaby się z panią podzielić pewną historią – rzekł Ryan, wyciągając papierosy.

Słyszając to, posłałam mu lodowate spojrzenie. Wolałam spędzić życie, przeglądając księgi rachunkowe, niż opowiedzieć Crowe historię z volvo.

Szeryf w milczeniu wysłuchała, co miałam do powiedzenia.

– Masz numer rejestracyjny?

– Nie.

– Możesz opisać kierowcę?

– Miał na sobie czapkę.

– Jaką czapkę?

– Nie jestem w stanie powiedzieć. – Czuję, jak moje policzki płoną z upokorzenia.

– Czy ktoś jeszcze widział całe zajście?

– Nie. Sprawdziłam to. Proszę posłuchać, to wszystko mogło być zwykłym przypadkiem. Może za kierownicą siedział dzieciak popisujący się jazdą samochodem ojca.

– Tak myślisz? – Zielone oczy Crowe lustrowały moją twarz.

– Nie. Nie wiem.

Położyłam dłonie na stole, ale natychmiast zdjęłam je i wytarłam w dżinsy. Na stoliku było rozlane piwo.

– Kiedy byłam w rezerwacie, wpadłam na pomysł, który może nam pomóc rozwikłać zagadkę stopy – powiedziałam, zmieniając temat.

– Tak? Jaki?

Opowiedziałam o badaniach, jakie przeprowadziłam i wyjaśniłam, w jaki sposób pomiary stopy mogą pomóc w ustaleniu rasy ofiary.

– Możliwe więc, że uda mi się określić, kto faktycznie brał udział w Tęczowej Koalicji.

– Jutro porozmawiam z rodziną Daniela Wahnetah.

Crowe zamieszała lód w szklance.

– Ja osobiście odkryłam kilka interesujących faktów o George’u Adairze.

– Tym wędkarzu?

Szeryf skinęła głową.

– W ciągu ostatniego roku Adair aż dwanaście razy odwiedzał swego lekarza. Siedem razy miał problemy z gardłem. Reszta wizyt była związana z obolałymi stopami.

– Świetnie!

– To nie wszystko. Tydzień po jego zaginięciu pogrążona w żałobie żona wyjechała do Las Vegas w towarzystwie sąsiada.

Odczekałam chwilę, podczas gdy Crowe dopiła 7UP.

- Ten sąsiad to najlepszy przyjaciel George'a.
- I kolega, z którym łowił ryby?
- Dokładnie.

## Rozdział 12

Następnego ranka spałam do ósmej, nakarmiłam Boyda i przedobrzyłam z górskim śniadaniem Ruby. Moja gospodyni zawarła przymierze z Boydem, tak więc tego dnia Pismo Święte wychwalało żyjące w morzu ryby, latające w powietrzu ptactwo i pełzające po ziemi boskie stworzenia. Przez chwilę zastanawiałam się, czy Boyd należał do tych ostatnich, jednak przezornie nie spytałam o to Ruby.

Ryan, którego nie widziałam cały poranek, albo wyszedł bez śniadania, albo wziął ze sobą gorące naleśniki i płatki owsiane. Kiedy wczoraj około jedenastej wróciliśmy z Injun Joe's, zaproponował, abym jeszcze chwilę posiedziała z nim przed domem. Jakkolwiek propozycja była kusząca, zostawiłam go na bujaku zupełnie samego.

Właśnie wchodziłam na piętro, kiedy usłyszałam dźwięk komórki. Dzwoniła Primrose z kostnicy.

- Chyba wstałaś z kurami – przywitałam ją.
- Byłaś już na dworze? – spytała.
- Jeszcze nie.
- Jest wymarzony poranek na wczesny spacer.
- Dostałaś faks?
- Jasne. Przejrzałam wszystkie opisy i wykresy i dokonałam niezbędnych pomiarów.
- Jesteś niesamowita, Primrose.

Kilka ostatnich stopni pokonałam w zadziwiającym tempie, wpadłam do pokoju i otworzyłam akta na sprawie numer 387. Kiedy zapisałam już wszystkie cyfry, porównaliśmy dane Primrose z tymi, które udało mi się zebrać do tej pory.

– Twoje wyniki zgadzają się co do joty z moimi – powiedziałam. – Jesteś naprawdę dobra.

- Nie zaprzeczę.

Upewniwszy się, że nie mylimy się co do zgodności oceny, podziękowałam jej i spytałam, kiedy będę mogła odebrać przefaksowany rozdział. Primrose zaproponowała, abyśmy spotkały się za dwadzieścia minut przy bramie parkingowej. Jak sama przyznała, wstęp na teren kostnicy był w moim przypadku wciąż wzbroniony.

Primrose musiała czekać na mój przyjazd, ponieważ kiedy tylko zjechałam z autostrady, opuściła kostnicę tylnym wejściem i zaczęła przedzierać się przez parking. W jednej dłoni trzymała torbę, podczas gdy drugą opierała na lasce.

Zanim zdążyła podejść do samochodu, z budynku wyszedł strażnik, który sprawdził moją tablicę rejestracyjną i przez chwilę szukał czegoś w swych notatkach. Chwilę później potrząsnął głową, zatrzymał mnie ruchem ręki i nakazał mi zawrócić. Widziałam, że Primrose próbuje mu coś wyjaśnić, jednak wciąż kręcił głową. W końcu Primrose pochyliła się ku niemu i szepnęła do ucha kilka słów. Stara czarnoskóra kobieta i młody czarnoskóry mężczyzna. To musiało zadziałać. Strażnik przewrócił oczami, splótł ramiona i ze stoickim spokojem obserwował, jak staruszka idzie w kierunku mojego wozu.

Opierając się na lasce, Primrose zatrzymała się przy drzwiach kierowcy i przez otwarte okno podała mi torbę. Przez chwilę miała śmiertelnie poważną minę. Nagle w jej oczach zatańczyły wesołe ogniki i kobieta poklepała mnie po ramieniu.

– Nie przejmuj się tym, Tempe. Nie zrobiłaś nic złego i już wkrótce się o tym przekonają.

– Dzięki, Primrose. Masz rację, ale nie jest łatwo.

– Oczywiście, że nie jest, ale modłę się za ciebie.

Jej głos był tak łagodny jak Koncert Brandenburski.

– Tymczasem ciesz się każdym dniem. Każdym, cholernym dniem.

Po tych słowach odwróciła się i ruszyła w kierunku kostnicy.

Rzadko słyszałam, żeby Primrose Hobbs przeklinała.

Kiedy wróciłam do pokoju, przejrzałam rozdział, przyjrzałam się tabeli numer IV, wprowadziłam niezbędne dane i zabrałam się za obliczenia.

Wyniki wskazywały, że stopa należała do Indianina.

Policzyłam wszystko ponownie, tym razem przy pomocy innej funkcji.

Mimo iż wynik zbliżył się do granicy, za którą znajdowali się Afroamerykanie, stopa wciąż pozostawała w przedziale odpowiadającym rdzennym mieszkańcom Ameryki. George Adair był biały, Jeremiah Mitchell czarny. To tyle, jeśli chodziło o rybaka i faceta, który pożyczył siekiere od sąsiada.

Jeśli okaże się, że Daniel Wahnetah nie wrócił do rezerwatu, istniało prawdopodobieństwo, że to właśnie jego stopę znalazłam w lesie.

Zerknęłam na zegarek. Dziesiąta czterdzieści pięć. Odpowiednia pora.



Pani szeryf nie było w gabinecie. Nie. Nie mogli zadzwonić do niej do domu. Nie. Nie mogli podać mi numeru jej pagera. Czy chodziło o coś pilnego? Przekazała wiadomość, że dzwoniłam.

Niech to szlag. Dlaczego nie wzięłam od Crowe numeru pagera?

Przez kolejne dwie godziny zajmowałam się błahostkami, które miały przynieść uczucie ulgi i sprawić, że choć na chwilę zapomnę o swych problemach. Behawioryści nazywają to przeniesieniem.

Po tym jak wyprałam bieliznę w łazienkowej umywalce, przejrzałam i posegregowałam zawartość mojej aktówki, usunęłam z laptopa niepotrzebne pliki, sprawdziłam książeczkę czekową i poprzestawiałam należące do Ruby szklane zwierzaki. Zadzwoniłam do córki, siostry i męża, z którym pozostawałam w separacji.

Pete nie odebrał telefonu, tak więc przypuszczałam, że wciąż jeszcze przebywał w Indianie. Co do Katy, która również nie odebrała, nie miałam żadnych przypuszczeń. Harry wisiła na telefonie przez dobrych czterdzieści minut. Zamierzała rzucić pracę, miała problemy z zębami i spotykała się z jakimś Alvinem z Denton. A może źle zrozumiałam i facet nazywał się Denton, a pochodził z Alvin.

Zastanawiałam się, do kogo jeszcze zadzwonić, gdy usłyszałam upiorne ujadanie, rodem z filmów z Belą Lugosi<sup>9</sup>.

Wyjrzałam przez okno i zobaczyłam Boyda. Pies siedział pośrodku wybiegu i odrzuciwszy do tyłu głowę, wył jak opętany.

– Boyd.

Zwierzę przestało ujadać i rozejrzało się dookoła. Gdzieś daleko w górach usłyszałam dźwięk syreny.

– Tu jestem.

Pies wstał, przechylił łeb i wywalił purpurowy jęzor.

– Tu, na górze.

Boyd przekrzywił łeb w drugą stronę.

– Na górze! – klasnęłam.

Psisko obróciło się, podbiegło do ogrodzenia i podjęło przerwana pieśń.

Pierwszą rzeczą, która rzuca się w oczy na widok Boyda, jest jego nieproporcjonalnie duży łeb. Powoli stawało się dla mnie jasne, że w tym przypadku rozmiar czaszki nijak miał się do intelektu.

---

<sup>9</sup> [Bela Lugosi – (1882-1956) aktor pochodzenia węgierskiego, kojarzony przede wszystkim ze stworzonym przez siebie klasycznym wizerunkiem wampira Drakuli (przyp. red.)]

Chwyciwszy kurtkę i smycz, wybiegłam na zewnątrz.

Temperatura wciąż była dość wysoka, jednak ciemne chmury powoli i nieubłaganie zasnuwały niebo. Wiatr targał moją kurtkę, a silniejsze podmuchy nawiewały na drogę zwiędłe liście i sosnowe igły.

Tym razem pobiegliśmy pod górę. Boyd jak zwykle wrywał się do przodu, sapiąc i charcząc, gdy obroża zaciskała się na jego krtani. Pędził od drzewa do drzewa, obwąchiwał i obsikiwał wszystko, co wydało się godne jego zainteresowania, podczas gdy ja zerkałam na widoczną z góry dolinę. Każde z nas na swój własny sposób cieszyło się spacerem.

Niemal kilometr od domu Boyd podniósł łeb i zamarł w bezruchu. Sierść na jego grzbiecie zjeżyła się, a z na wpół otwartego pyska wydobył się głęboki pomruk.

– O co chodzi, piesku?

Ignorując moje pytanie, Boyd rzucił się do przodu i wrywając mi smycz, pognął w kierunku lasu.

– Boyd!

Wściekła, tupnęłam nogą i potarłam obolałą dłoń.

– Cholera!

Chwilę później usłyszałam między drzewami wściekle ujadanie. Boyd zachowywał się jak pies strzegący składu złomu.

– Boyd, wracaj tu!

Szczekanie nie ustało.

Przeklinając pełzające po ziemi boskie stworzenia, zesłam z drogi i ruszyłam w kierunku, z którego dobiegało ujadanie. Boyd stał dziesięć metrów od brzegu lasu, rzucając się to w przód, to w tył i szczekając na coś, co niewątpliwie leżało pod jednym z dębów.

– Boyd!

Pies jakby w ogóle nie słyszał mojego głosu. Biegał dookoła pnia, kłapiąc zębami i szczekając jak oszalały.

– BOYD!

Zwierzę znieruchomiało i spojrzało w moją stronę.

Psy mają stałą muskulaturę pyska, dlatego nie jesteśmy w stanie nic z niej odczytać. Nie potrafią się uśmiechać, marszczyć brwi, krzywić się. Mimo to brwi Boyda poruszyły się w taki sposób, że mogłabym przysiąc, że wyrażały jawne niedowierzanie.

Oszalałaś? – mówiły.

– Boyd, siad! – wyciągnęłam palec i wymierzyłam go w pysk zwierzęcia.

Pies spojrzał na dąb, na mnie i w końcu usiadł. Nie opuszczając palca, podeszłam do niego i chwyciłam smycz.

– No chodź, tropicielu – powiedziałam, klepiąc go po głowie i ciągnąc w kierunku drogi.

W tej samej chwili Boyd odwrócił się i skowycząc, spojrzał w kierunku dębu. Następnie powtórzył sztuczkę z brwiami.

– Co jest?

Pies odpowiedział serią krótkich poszczekiwań.

– OK. Pokaż, co tam masz.

Mówiąc to, poluzowałam smycz i dałam się pociągnąć w kierunku drzewa. Pies zatrzymał się pół metra od pnia, szczeknął i podekscytowany obrócił się w moją stronę. Najostrożniej jak tylko mogłam, rozgarnęłam butem zwiędłe liście.

Na wilgotnej ziemi, pośród kępek ostu, leżała martwa wiewiórka. Brązowe futerko osnuwające ciało zdawało się przyklejone do kruchych kości niczym ciemny, skórzasty całun.

Puste oczodoły zwierzątka wpatrywały się w nicłość.

Spojrzałam na psa.

– To cię tak rozjuszyło?

Boyd przypadł do ziemi, by chwilę później odskoczyć w tył.

– Ona jest martwa, Boyd.

Pies przekrzywił głowę i poruszył brwiami.

– Idziemy, tropicielu.

Reszta spaceru przebiegła nadzwyczaj spokojnie. Boyd nie znalazł żadnej martwej zwierzyny, tak więc podróż w dół zbocza trwała znacznie krócej. Kiedy mijaliśmy ostatni zakręt, zauważyłam zaparkowany pod drzewami High Ridge House radiowóz. Na bocznych drzwiach widniał znak Departamentu Szeryfa Hrabstwa Swain. Na schodach przed domem stała Lucy Crowe. W jednej ręce trzymała puszkę Dr. Peppera, w drugiej kapelusz. Na jej widok Boyd zamachał ogonem i wywalił jęzor, który przypominał teraz purpurowego węgorza. Szeryf zawiesiła kapelusz na balustradzie i pieszczotliwie zmierzwiła grube futro. Boyd okazał swą wdzięczność, liżąc ją po rękach, po czym oparł głowę na przednich łapach i zamknął oczy. Tak według Pete'a wyglądał śmiertelnie niebezpieczny pies.

– Ładne psisko – przywitała mnie Crowe, wycierając wilgotną rękę w materiał spodni.

– Opiekuję się nim przez kilka dni.

– Psy to dobrzy towarzysze.

– Jasne – mruknęłam.

Widocznie szeryf Crowe nigdy nie spędziła chwili z psem pokroju Boyda.

– Rozmawiałam z rodziną Wahnetah. Daniel wciąż nie wrócił.

Milczałam, podczas gdy Crowe pociągnęła łyk wody.

– Mówią, że miał około stu siedemdziesięciu czterech centymetrów wzrostu.

– Jakież problemy ze stopami?

– Z tego, co wiem, nigdy nie skarżył się na zdrowie. Był małomówny, typ samotnika.

Znalazłam jednak coś ciekawego. Jedno z obozowisk Daniela znajdowało się przy strumieniu Running Goat.

– Gdzie to jest?

– Rzut beretem od twojej górskiej chaty.

– Żartujesz.

– Obawiam się, że nie.

– To tam właśnie przebywał w chwili zaginięcia?

– Rodzina nie jest pewna, ale było to pierwsze miejsce, jakie sprawdzili.

– Ja też mam ciekawostkę.

Opowiedziałam Crowe o funkcji dyskryminacyjnej<sup>10</sup>, która wykazała, że kości stopy należały prawdopodobnie do Indianina.

– Czy teraz możemy dostać nakaz? – spytałam.

– Na jakiej podstawie?

Wyliczyłam, powody na palcach.

– W hrabstwie zaginął starszy Indianin. Jestem w posiadaniu części ciała, która pasuje do profilu. Szczątki zostały odnalezione w pobliżu miejsca, gdzie – jak udało nam się ustalić – osoba ta często przebywała.

Crowe uniosła brew i sama zaczęła wyliczać.

– Mamy część ciała, która może lub nie być związana z katastrofą lotniczą. Staruszka, który może, ale nie musi być martwy i dom, który może, bądź też nie, być powiązany z którąkolwiek z tych sytuacji.

Przecucie antropologa, który może, choć wcale nie musi być szatańskim pomiotem – pomyślałam, jednak ugryzłam się w język.

– Przynajmniej wróćmy tam i rozejrzyjmy się – nalegałam.

Crowe myślała przez chwilę, po czym zerknęła na zegarek.

---

<sup>10</sup> [Funkcja dyskryminacyjna – używana do rozstrzygania, które zmienne pozwalają w najlepszy sposób dzielić dany zbiór przypadków na występujące w naturalny sposób grupy. Analiza funkcji dyskryminacyjnej jest bardzo zbliżona do analizy wariancji (przyp. red.)]

– To da się załatwić.

– Potrzebuję dosłownie pięć minut. – Mówiąc to, wskazałam na Boyda.

Szeryf kiwnęła głową.

– Chodź, piesku.

Zwierzę podniosło łeb i zmarszczyło brwi.

Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. Martwa wiewiórka. Zwykle jestem wyczulona na woń rozkładu, jednak tym razem nie czułam dosłownie nic. Boyd wyczuł truchło z odległości dziesięciu metrów.

– Możemy wziąć psa? – spytałam. – Nie jest szkolony do odnajdywania zwłok, ale całkiem nieźle radzi sobie z martwymi zwierzętami.

– W porządku, ale siedzi z tyłu..

Otworzyłam drzwi i gwizdnęłam. Tyle wystarczyło, by Boyd wskoczył do samochodu. Minęło jedenaście dni od katastrofy Air TransSouth. Wszystkie szczątki zostały zabrane do kostnicy, a resztki samolotu usunięto ze zbocza góry. Ekipy poszukiwawcze kończyły swoją misję.

Droga stanowa była już otwarta, choć zastępca szeryfa wciąż strzegł wjazdu do lasu.

Rodziny ofiar i dziennikarze opuścili miejsce zdarzenia, a na zboczach pozostało jedynie kilka samochodów.

Crowe wyłączyła silnik w miejscu, gdzie kończyła się droga – niecały kilometr od miejsca katastrofy. Po prawej stronie zauważyłam masywną, granitową wychodnię. Lucy przypięła radio do paska, przecięła żwirową drogę i obserwując linię drzew, zaczęła piąć się ku górze.

Ja tymczasem wzięłam psa na smycz i trzymając go tak blisko siebie, jak to było możliwe, ruszyłam za nią. Po pięciu minutach szeryf skręciła w lewo i zniknęła za porośniętym drzewami nasypem. Kiedy tylko dałam Boydowi odrobinę swobody, natychmiast szarpnął mnie w jej kierunku.

Teren wznosił się do góry, by chwilę później wyrównać się i spaść ku dolinie. W miarę jak oddalałyśmy się od drogi, las wokół nas gęstniał, sprawiając, że wszystko wyglądało tak samo. Punkty orientacyjne przekazane Lucy Crowe przez rodzinę Wahnetah okazały się niezastąpione. Wkrótce szeryf odnalazła ścieżkę i odbiegający od niej wąski, piaszczysty szlak. Nie byłam w stanie określić, czy był to ten sam szlak przeznaczony do wywozu drewna, który biegł nieopodal miejsca katastrofy, czy może bliźniacza ścieżka.

Odnalezienie chaty Daniela zajęło Crowe około czterdziestu minut. Skromny budynek stał pośród buków i sosen, ukryty na krawędzi niewielkiego strumyka.

Obóz wyglądał, jak gdyby wzniesiono go w czasie zaledwie jednego popołudnia. Chatę wykonano z drewna, podłogę zastępowało klepisko, a zamiast dachu zauważyłam falistą blachę, która chroniła przed deszczem stojącą przy drzwiach prowizoryczną ławkę. Na lewo od domu stał drewniany stół, kolejna ławka i pieńek. Z tyłu dostrzegłam stos butelek, puszek, opon i innych śmieci.

– Jak myślisz, skąd wzięły się tu te opony? – spytałam.

Crowe wzruszyła ramionami.

Chwilę później ostrożnie uchyliłam drzwi i zajrzałam do wnętrza chaty. W półmroku zauważyłam łóżko polowe, aluminiowe, składane krzesło, stojącą na składanym stoliku zardzewiałą kuchenkę i kolekcję plastikowych naczyń.

Z wbitych w ścianę gwoździ zwisał sprzęt do łowienia ryb, wiadro, łopata i latarnia. Na podłodze wałały się puszek z naftą. Tyle, jeśli chodziło o wystrój.

– Myślisz, że staruszek zostawiłby sprzęt do łowienia ryb, gdyby zamierzał przenieść się w inne miejsce?

Szeryf ponownie wzruszyła ramionami.

Nie mając żadnego, konkretnego planu, postanowiłyśmy się rozdzielić. Crowe przeszukiwała brzeg strumyka, podczas gdy ja przeczesywałam okoliczne lasy. Boyd z zadowoleniem obwąchiwał i obsikiwał każde napotkane drzewo.

Kiedy wróciłam do chaty, przywiązałam go do stołu, otworzyłam drzwi i zabezpieczyłam je kamieniem. We wnętrzu domostwa unosił się zapach pleśni, nafty i muszkatu.

Przestawiając przedmioty, zauważyłam uciekające w panice krocionogi, a w pewnym momencie na moim ramieniu wylądował kosarz. Nie znalazłam nic, co pomogłoby nam ustalić, gdzie dokładnie przebywał Daniel Wahnetah, kiedy i dlaczego opuścił chatę. Przeglądałam leżącą za chatą stertę śmieci, gdy wróciła Crowe. W czasie jej nieobecności zdążyłam przerzucić dziesiątki butelek po winie, puszek po krakersach i potrawce z wołowiny Dinty Moore. W końcu dałam za wygraną.

Drzewa szeptały na wietrze. Suche liście dryfowały przy ziemi niczym kolorowe jachty podczas regat, a narzucona na chatę falista blacha, unosiła się i opadała z bolesnym jękiem. Mimo iż powietrze zdawało się gęste i ciężkie, otaczający nas las tętnił życiem. Crowe wiedziała, co chodziło mi po głowie. W milczeniu wyciągnęła miniaturowy atlas i zaczęła kartkować strony.

– Pokaż mi – powiedziała, wyciągając go w moim kierunku.

Mapa, którą wybrała, była zbliżeniem hrabstwa Swain, na którego terytorium obecnie się znajdowałyśmy. Przyglądając się zaznaczonym na mapie wysokościami, drogom i szlakom, odnalazłam miejsce katastrofy. Chwilę później ustaliłam, gdzie mniej więcej mogła znajdować się chata i wskazałam miejsce palcem.

– Tu.

Crowe przyjrzała się topografii wokół mojego palca.

– Jesteś pewna, że to właśnie tam jest chata? – W jej głosie słychać było powątpiewanie.

– Tak.

– To mniej niż półtora kilometra stąd.

– Pieszko?

Wolniej niż zwykle skinęła głową.

– Z tego co wiem, nie prowadzi tam żadna droga, więc równie dobrze możemy iść pieszo.

– Potrafisz ją znaleźć?

– Potrafię.

Przez kolejną godzinę przedzieraliśmy się przez drzewa i krzewy. Wspięliśmy się na jeden grzbiet i zeszliśmy z kolejnego, podążając szlakiem, który Crowe widziała jak na dłoni, a który dla mnie wciąż pozostawał niewidoczny. W końcu dotarliśmy do starej, sękatej sosny i wyszliśmy na ścieżkę, którą nawet ja potrafiłam rozpoznać.

Podeszliśmy do wysokiej ściany, którą jak przez mgłę pamiętałam z poprzedniej wizyty. Idąc wzdłuż niej, czułam, jak moje zmysły wyostrajają się. Gdzieś pośród drzew zaskrzeczała sójka, a jej przesywający wrzask sprawił, że skurczyłam się w sobie. Coś czaiło się w tym miejscu. Wiedziałam to.

Boyd najwyraźniej nie wyczuł mego niepokoju, bo beztrząsco obwąchiwał miejsce, od czasu do czasu posapując. Widząc to, owinęłam smycz wokół dłoni i wzmocniłam uścisk. Kilka metrów dalej ściana skręcała pod kątem dziewięćdziesięciu stopni. Szłam teraz za Crowe, ściskając smycz z taką siłą, że czułam jak paznokcie wbijają mi się w dłoń.

Mniej więcej w połowie ściany drzewa stały się rzadsze. Crowe zatrzymała się na skraju lasu, czekając na mnie i na Boyda. Przed nami, po lewej stronie, zauważyłam kolejną kamienną ścianę, za którą wznosiła się skała. Widząc ją, wiedziałam już, gdzie jesteśmy.

Szlak zaprowadził nas na tyły domu, który wtulony w skalną ścianę stał teraz przed nami. Kamienny mur otaczał większy obszar, niż byłam w stanie zauważyć przy pierwszej wizycie.

Podwórze również zdawało się większe.

– A niech mnie. – Crowe sięgnęła do pasa i odbezpieczyła broń.

Tym razem to ona zaczęła nawoływać.

Kiedy stało się jasne, że nikt nie odpowie, ruszyliśmy w kierunku domu i weszliśmy na schody. Okienne wcióż były zamknięte, zasłony zaciągnięte. Nagle ogarnęło mnie to samo złe przeczucie, którego doświadczyłam, gdy przyszłam tu po raz pierwszy.

Crowe odsunęła się od drzwi i ruchem ręki kazała mi zrobić to samo. Kiedy stanęłam za jej plecami, delikatnie zapukała. Nikt nie odpowiedział.

Zapukała ponownie, jednak tym razem przedstawiła się. Cisza.

Chwilę później podniosła wzrok i rozejrzała się dookoła.

– Żadnych linii telefonicznych ani linii wysokiego napięcia.

– Mogli używać komórki i generatora.

– Możliwe. Choć też całkiem prawdopodobne, że od dawna nikt tu nie był.

– Chcesz rozejrzeć się po podwórzu?

– Bez nakazu, nie.

– Ale...

– Nie ma nakazu, nie ma wstępu. – Mówiąc to, spojrzała na mnie. – Idziemy. Postawię ci Dr. Peppera.

W tej samej chwili na ziemię spadły pierwsze krople deszczu. Stojąc pośrodku lasu, słuchałam, jak rozpryskują się na dachu i czułam wzbierającą we mnie złość. Crowe miała rację. W swej ocenie kierowałam się wyłącznie przeczuciami. Mimo to wiedziałam, że w zasięgu ręki mamy coś ważnego. Coś złego.

– Czy Boyd i ja możemy obejść chatę? Może pies coś znajdzie.

– Trzymaj go z daleka od ścian. Ja sprawdzę, czy prowadzi tu jakaś droga. Jeśli faktycznie ktoś tu przebywa, musi przyjeżdżać samochodem.

Przez piętnaście minut Boyd i ja przeczesywaliśmy zarośla na wschód od domu, jednak pies zachowywał się niezwykle spokojnie. Mimo iż przypuszczałam, że incydent z wiewiórką był niczym więcej jak tylko zbiegiem okoliczności, postanowiłam zaprowadzić Boyda na skraj lasu, aż do miejsca, gdzie drzewa spotykały się z kamienną ścianą. To było dziewicze terytorium.

Byliśmy sześć metrów od ściany, kiedy Boyd gwałtownie uniósł łeb. Jego ciało naprężyło się niczym struna, a sierść na grzbiecie stanęła dęba. Pies obrócił pysk i węsząc w powietrzu, wydał z siebie znajomy, gardłowy pomruk – dziki i wściekły. Chwilę później wyrwał się do przodu, charcząc i warcząc, jak gdyby coś go opętało.



Smycz w mojej dłoni napięła się do granic możliwości, a ja sama ruszyłam za nim chwiejnym krokiem.

– Boyd! Stop!

Wbiłam stopy w ziemię i chwyciłam smycz obiema rękami. Zwierzę szarpnęło się jak oszalałe, młóćąc powietrze przednimi łapami.

– O co chodzi, piesku?

W chwili, gdy zadawałam pytanie, oboje znaleźliśmy już odpowiedź.

Zawahałam się, czując dudnienie własnego serca. Chwilę później wypuściłam smycz i patrzyłam, jak spada na ziemię. Boyd pognał w kierunku ściany i w odległości mniej więcej dwóch metrów na południe od zakrętu, kompletnie oszalał. Teraz zauważyłam, że w miejscu, w którym stał, był skruszony kawałek zaprawy. Najwyraźniej kilka kamieni wypadło ze ściany, pozostawiając przerwę pomiędzy ziemią a fundamentem.

Podbiegłam do psa, przykucnęłam i przyjrzałam się swojemu odkryciu. Ziemia była wilgotna i odbarwiona. Kiedy odwróciłam jeden z kamieni, zobaczyłam dziesiątki małych, brązowych drobinek.

Niemal natychmiast pojęłam, co znalazł Boyd.

## Rozdział 13

W poniedziałek nie pojechałam do gmachu sądu hrabstwa Swain. Ruszyłam na wschód do Tennessee i przed południem byłam już pięćdziesiąt kilometrów na północny wschód od Knoxville, przed Laboratorium Badawczym w Oak Ridge. Dzień był wilgotny i ponury, a moje wycieraczki leniwie rysowały na przedniej szybie dwa rozłożyste wachlarze. Przez boczną szybę dostrzegłam staruszkę z dzieciakiem, karmiących łabędzie na brzegu niewielkiej laguny. W wieku dziesięciu lat miałam starcie z brzydkim kaczątkiem, które – jak wówczas mi się zdawało – mogło dać radę jednostce do zadań specjalnych. Przez moment zastanawiałam się nad sensem takich spacerów.

Chwilę później pokazałam wartownikowi mój identyfikator i wjechałam na rozległy parking w okolicach recepcji. Mój gospodarz już na mnie czekał, wpisał mnie na listę i oboje wróciliśmy do samochodu. Kilkaset metrów dalej po raz kolejny zweryfikowano moje tablice rejestracyjne i plaketkę ORNL<sup>11</sup>, po czym pozwolono mi wjechać na teren zamknięty.

– Niezłą tu macie ochronę. Można by pomyśleć, że to departament energetyki.

– W pewnym sensie tak właśnie jest. Nasza praca polega głównie na ochronie energii, komputerów i robotyki, ochronie biomedycznej i środowiskowej, rozwoju radioizotopów medycznych i tym podobnych rzeczy. Chronimy intelektualne mienie DOE<sup>12</sup> i jego dobra materialne. Mamy też na miejscu wysokostrumieniowy reaktor izotopowy.

Laslo Sparkes był po trzydziestce, jednak zdążył się już dorobić pokaźnego brzuszka.

Miał krótkie, lekko przygięte kończyny i okrągłą twarz, upstrzoną bliznami po trądziku. Oak Ridge narodziło się jako cudowne dziecko drugiej wojny światowej, a jego budowa w 1943 roku zajęła zaledwie trzy miesiące. Podczas gdy w Europie i Azji umierały miliony ludzi, Enrico Fermi i jego koledzy rozszczepili jądro atomu na boisku do squasha, pod trybunami stadionu futbolowego, na uniwersytecie w Chicago. Zadanie Oak Ridge było jasne: skonstruować bombę atomową.

Laslo poprowadził mnie labiryntem wąskich uliczek. Tutaj skręć w prawo. W lewo. W lewo. W prawo. Za wyjątkiem swoich rozmiarów, siedziba ORNL przypominała kompleks apartamentowców w Bronksie.

---

<sup>11</sup> [ORNL – Oak Ridge National Laboratory – Laboratorium Krajowe w Oak Ridge (przyp. tłum.)]

<sup>12</sup> [DOE – Department of Energy – Amerykański Departament Energii (przyp. tłum.)]

Wkrótce Laslo wskazał budynek z ciemnej cegły, podobny do wielu innych, które mijaliśmy po drodze.

– Zaparkuj tutaj.

Zatrzymałam się i wyłączyłam silnik.

– Naprawdę doceniam twoją natychmiastową pomoc.

– Ty też mi pomogłaś, kiedy cię o to prosiłem.

Kilka lat temu, kiedy Laslo pisał pracę magisterską z antropologii, potrzebował kości, na których mógłby przeprowadzić badania. Wówczas to ja pospieszyłam mu z pomocą. Byliśmy w kontakcie, kiedy robił doktorat i przez kolejne dziesięć lat, gdy pracował jako naukowiec w Oak Ridge.

Teraz czekał w milczeniu, podczas gdy ja wyjmowałam z bagażnika niewielką chłodziarkę. Chwilę później poprowadził mnie do budynku i schodami do swego laboratorium. Pokój był mały i pozbawiony okien. Każdy milimetr powierzchni zajmowały sfatygowane, stalowe biurka, komputery, drukarki, lodówki oraz miliony świecących i szumiących maszyn. Na blatach stały szklane fiołki, pojemniki na wodę, narzędzia z nierdzewnej stali i opakowania lateksowych rękawiczek. Pod nimi kartonowe pudła i plastikowe wiadra.

Laslo zaprowadził mnie do przestrzeni roboczej na tyłach pomieszczenia laboratorium i niemal natychmiast poprosił o chłodziarkę. Wypakował ją z plastikowej torby, odkleił taśmę i zajrzał do środka.

– Opowiedz mi wszystko jeszcze raz – poprosił, wachając zawartość torebki.

Podczas gdy ja opisywałam całą sytuację, Laslo przesypał ziemię do szklanego pojemnika. Wkrótce potem zaczął uzupełniać formularz.

– Skąd pobrałaś próbkę?

– Z miejsca, które wskazał mi pies, spod muru i leżących przy nim kamieni. Pomyślałam, że ziemia będzie doskonałą warstwą ochronną.

– Dobrze. W normalnych warunkach ziemia chroni ciało, jednak kamienie mają podobne właściwości.

– Czy w tym wypadku deszcz może okazać się problemem?

– W bezpiecznym środowisku ciężkie, śluzowate wydzieliny wytwarzane w trakcie beztlenowej fermentacji związują glebę, sprawiając, że czynniki takie jak deszcz nie mają właściwie żadnego znaczenia.

Słuchając go, miałam wrażenie, że czyta jeden z artykułów opublikowanych w „Journal of Forensic Sciences”.

– Mów do mnie prostym językiem. W końcu to nie moja działka.

– Znalazłaś miejsce rozkładu.

– Właściwie zrobił to mój pies. – Mówiąc to, wskazałam na plastikową torbę. – Zaniepokoiły mnie poczwarki.

Laslo wyciągnął słoik, odkręcił pokrywkę i wysypał na dłoń kilka tulejek.

– A więc czerwce zaczęły już swoją migrację.

– Jeśli próbki pochodzą z miejsca, gdzie odbył się proces gnilny. – Przez całą noc zastanawiałam się nad znaleziskiem Boyda. Mimo iż wiedziałam, że jego nos i moje przypuszczenia były trafne, potrzebowałam na to niezbitego dowodu.

– Poczwarki czerwce są niezbitym dowodem na obecność zwłok. – Laslo wymienił tulejki. – Myślę, że twój pies to wyczuł.

– Możesz ustalić, czy przypadkiem nie chodzi o zwierzę?

– Ilość lotnych kwasów tłuszczowych powie nam, czy ciało ważyło ponad czterdzieści pięć kilogramów. Bardzo niewielka liczba ssaków osiąga taką wagę.

– Może ktoś coś upolował? Jelenie i niedźwiedzie są dość ciężkie i duże.

– Znalazłaś jakąś sierść?

Potrząsnęłam głową.

– Rozkładające się zwierzęta zostawiają po sobie tony sierści. No i oczywiście kości.

Kiedy organizm umiera, niemal natychmiast staje się rajem dla padlinożerców, insektów i mikrobów. Niektóre żerują na nim od zewnątrz, inne od wewnątrz, dopóki z ciała nie zostaną gołe kości. Proces ten nazywa się rozkładem.

Ruby określiłaby to biblijnym terminem: „z prochu powstałeś, w proch się obrócisz”, jednak w praktyce proces ten jest dużo bardziej skomplikowany.

Mięśnie, które stanowią od czterdziestu do pięćdziesięciu procent naszej wagi, składają się z protein. Te z kolei składają się z aminokwasów. Z chwilą śmierci fermentacja tłuszczu i protein wytwarza lotne kwasy tłuszczowe, zwane inaczej VFA. Wraz z postępującym rozkładem, ciało wydziela płyny zawierające VFA. To właśnie koronerzy nazywają rozkładem.

Badania Laslo miały na celu określenie ilości drobnoustrojów oraz analizę składników organicznych obecnych w glebie i okolicach ciała. Lata pracy wykazały zależność pomiędzy procesem gnilnym a wydzielaniem VFA.

Teraz patrzyłam, jak Sparkes przesiewa ziemię przez sito z nierdzewnej stali.

– Czego tak właściwie szukasz w glebie?

– Nie interesuje mnie gleba, ale poziom jej rozpuszczalności.

Najwyraźniej musiałam mieć głupkowaty wyraz twarzy, bo zaraz później dodał.

– Składniki płynne pomiędzy cząsteczkami gleby. Najpierw jednak muszę ją oczyścić.

Chwilę później zważył próbkę.

– Kiedy płyny ustrojowe wsiąkają w ziemię, materia organiczna wnika w glebę. Do oddzielenia jej nie mogę użyć chemicznych ekstraktów, ponieważ mogłyby doprowadzić do częściowego rozpuszczenia się lotnych kwasów tłuszczowych z rozkładającego się ciała.

– I tym samym zmienić wyniki.

– Dokładnie.

Po tych słowach wrzucił ziemię do wirówki i zmieszał ją z wodą.

– Używam zdejonizowanej wody w proporcji dwa do jednego.

Substancje przez minutę łączyły się w mieszalniku. Po tym czasie Laslo przelał mieszanekę do wirówki i zamknął pokrywę.

– Temperatura w środku wynosi pięć stopni. Po upływie czterdziestu minut przefiltruję próbkę, by usunąć z niej jakiegokolwiek mikroorganizmy. Potem to już bułka z masłem. Sprawdzę pH, zakwaszę roztworem kwasu mrówkowego i wrzucę wszystko do gazowego chromatografu.

– Co powiesz na przyspieszony kurs?

Laslo dokonał niezbędnych ustawień i ruchem ręki zaprosił mnie, bym usiadła przy biurku.

– OK. Jak wiesz, interesują mnie lotne kwasy tłuszczowe, czyli produkty uboczne rozkładu mięśni i tkanki tłuszczowej. Znasz cztery podstawowe stadia rozkładu? Antropolodzy i lekarze sądowi patrzą na ciała przez pryzmat czterech stadiów: świeżego, rozdętego, gnijącego i zeszkieletyzowanego.

Skinęłam głową.

– Kiedy zwłoki są świeże, nie ma istotnych zmian w lotnych gazach tłuszczowych. W fazie drugiej, beztlenowa fermentacja, która zaczyna się w jelitach, sprawia, że ciało staje się rozdęte. To powoduje uszkodzenia skóry i wyciekanie produktów ubocznych fermentacji, bogatych w kwas masłowy.

– Kwas masłowy?

– Lotne kwasy tłuszczowe zawierają czterdzieści jeden rozmaitych związków organicznych, z których jednym jest kwas masłowy. Kwasy masłowy, mrówkowy, octowy, propionowy, walerianowy, kapronowy, heptanowy są wykrywalne w roztworze gleby, ponieważ rozpuszczają się w wodzie. Dwa z nich, kwas mrówkowy i octowy są w naturze tak powszechne, że nie stanowią żadnego pożytku.

– Kwas mrówkowy to ten, który wywołuje ból po ugryzieniu przez mrówkę, tak?  
– Tak. Kwasy kapronowy i heptanowy występują w większych ilościach tylko w czasie chłodniejszych miesięcy. Propionowy, masłowy i walerianowy, oto, co mnie interesuje. To one uwalniają się z gnijącego ciała i w pewnych proporcjach są przechowywane w glebie.

Słuchając go, poczułam się, jak gdybym wróciła do Biochem 101.

– Ponieważ kwasy masłowy i propionowy wytwarzane są w jelitach przez bakterie beztlenowe, ich poziom znacznie wzrasta, kiedy ciało zaczyna pęcznieć.

Kiwnęłam głową.

– Bakterie beztlenowe biorą też udział w procesie rozkładu.

– A zatem w fazie trzeciej następuje gwałtowny wzrost VFA.

– Tak, ale na początku fazy czwartej ich poziom gwałtownie spada.

– Nie ma ciała, nie ma bakterii.

– Jadłodajnia zostaje zamknięta.

Wirówka za naszymi plecami mrucała cichutko.

– Odkryłem też, że stężenie kwasów tłuszczowych jest największe tuż po tym, jak czerwie rozpoczynają swą wędrówkę.

– Kiedy larwy opuszczają zwłoki, by przepoczwaczyć się.

– Tak. Do tego momentu obecność insektów ogranicza wyciek płynów ustrojowych do gleby.

– Czy przepoczwarczenie się nie następuje przy około czterystu stopniach ADD<sup>13</sup>? – Termin ADD oznacza „skumulowane stopnie dzienne”. Tę wartość otrzymuje się poprzez dodawanie do siebie temperatur z poszczególnych dni.

– W przeważającej mierze. Ale dobrze, że o tym wspomniałaś. Produkcja VFA jest zależna od temperatury. Dlatego można jej użyć do określenia czasu śmierci.

– Ponieważ ciało wydziela taką samą ilość kwasu propionowego, masłowego i walerianowego w każdym z upływających dni.

– Zgadza się. Tak więc ilość lotnych kwasów tłuszczowych pomaga określić w przybliżeniu czas zgonu.

– Zdobyłeś dane z krajowego instytutu meteorologii?

Laslo podszedł do regału z półkami i wyciągnął wydruk.

---

<sup>13</sup> [ADD – Accumulated Degree Days (przyp. tłum.)]

– Wszystko poszło zadziwiająco sprawnie. Zazwyczaj potrzebuję na to więcej czasu. Mimo to mamy problem. Do ustalenia dokładnej daty śmierci będę potrzebował trzech rzeczy. Po pierwsze, dokładnych proporcji kwasów tłuszczowych.

Mówiąc to, wskazał na podłączony do gazowego chromatografu monitor komputera.

– Te będziemy mieć już niebawem. Druga rzecz, to dane z instytutu meteorologii, dotyczące miejsca, w którym znaleziono ciało.

Po tych słowach potrząsnął wydrukami.

– Trzecia, to informacje na temat wagi i stanu, w jakim zostało odnalezione ciało. A ty nie masz ciała – zaśpiewał.

– Każdy jest komikiem.

– Istotne są dwie zmienne: wilgotność gleby i waga ciała z okresu przed rozkładem. Ponieważ każdy człowiek ma inne proporcje tkanki tłuszczowej i mięśniowej, w przypadku gdy nie posiadamy ciała, używam standardowych sześćdziesięciu ośmiu kilogramów, a następnie nanoszę poprawki. Myślę, że spokojnie możemy założyć, że twój denat ważył od czterdziestu pięciu do stu trzydziestu sześciu kilogramów?

– Tak, ale w tym wypadku szlag trafia moje teorie na temat ofiary.

– Niestety. Próbowalaś reguły kciuka?

Jako że uwalnianie lotnych kwasów tłuszczowych dobiega końca przy skumulowanej temperaturze tysiąca dwustu osiemdziesięciu pięciu stopni, plus minus sto dziesięć, możliwe jest ustalenie chwili śmierci poprzez podzielenie tej temperatury przez temperaturę z dnia, w którym odnaleziono ciało. To właśnie zrobiłam dla Lucy Crowe. Wczoraj średnia temperatura w Bryson City wynosiła 18°C, czyli od chwili śmierci upłynęło maksymalnie siedemdziesiąt jeden dni.

– Do tego czasu zapewne doszłoby już do pełnego zeszkielewania, a obecność VFA byłaby niemożliwa do wykrycia.

Laslo zerknął na zegar ścienny.

– Zobaczmy, jak dokładne były twoje obliczenia.

Po tych słowach wstał, przefiltrował i zamieszał próbkę roztworu, sprawdził kwaśność i umieścił tubkę w gazowym chromatografie. Po zamknięciu i zabezpieczeniu komory, wyregulował ustawienia i spojrzał na mnie.

– Dajmy mu kilka minut. Kawy?

Kiedy wróciliśmy do laboratorium, na monitorze pojawiły się różnokolorowe wykresy, lista składników i ich stężenie.

– Każda krzywa wskazuje stężenie lotnego kwasu tłuszczowego w gramie suchej gleby. Najpierw wprowadzę poprawki dotyczące rozcieńczenia i wilgotności gleby.

Mówiąc to, Laslo uderzył w klawisze klawiatury.

– Teraz mogę obliczyć ADD dla każdego VFA. Zaczął od kwasu masłowego. – Siedemset skumulowanych stopni.

Chwilę później przeprowadził dalsze obliczenia, używając kolejnych kwasów. Za wyjątkiem jednego przypadku, temperatura wahała się między sześćset siedemdziesiąt pięć a siedemset siedemdziesiąt pięć stopni.

– Teraz wykorzystam dane z instytutu meteorologii i na ich podstawie określę liczbę dni, niezbędną do otrzymania sześciuset siedemdziesięciu pięciu do siedmiuset siedemdziesięciu pięciu skumulowanych stopni. Być może będziemy musieli dokonać niezbędnych poprawek, jeśli odczyty z miejsca, w którym znaleziono ciało, będą różniły się od temperatur odnotowanych przez instytut. Zazwyczaj wolę znać je wcześniej, ale nie jest to problem.

Palce Laslo zatańczyły na klawiaturze, podczas gdy ja wstrzymałam oddech.

– Czterdzieści jeden do czterdziestu ośmiu dni. Pokrywa się z twoimi przypuszczeniami. Według twoich obliczeń pełne zeszkieletyzowanie nastąpiłoby w ciągu siedemdziesięciu jeden dni.

– A więc ofiara zmarła sześć – siedem tygodni temu.

Laslo pokiwał głową.

– Pamiętaj jednak, że ramy czasowe zostały ustalone na podstawie szacunkowej, a nie rzeczywistej wagi przedśmiertnej.

– Z chwilą, kiedy powstała plama, ciało znajdowało się w stanie daleko posuniętego rozkładu.

Kolejne skinienie.

– Ale ja nie mam ciała.

– I nikt się o nie nie martwi.

Pojechałam prosto do biura Lucy Crowe. Deszcz ustał, jednak spuchnięte od wilgoci chmury wciąż wisiały nad górami.

Kiedy weszłam do gabinetu, szeryf siedziała za biurkiem z czasów wojny secesyjnej, zjadając parówkę w cieście. Na mój widok starła z ust okruchy, a patyczek i papier wyrzuciła do kosza w przeciwległym kącie pomieszczenia.

– Dwa punkty – zauważyłam.

– Zawsze trafiam. Nie dotknę nawet krawędzi.



Dopiero wówczas położyłam na jej biurku wydruk z laboratorium i usiadłam na krześle. Crowe oparła łokcie na blacie i masując palcami skronie, przez kolejną minutę studiowała raport. Następnie spojrzała na mnie.

– Wiem, że zaraz wszystko mi wytłumaczysz.

– Lotne kwasy tłuszczowe.

– To znaczy?

– W kamiennej ścianie doszło do rozkładu ciała.

– Czyjego?

– Stężenie VFA sugeruje, że od chwili śmierci upłynęło sześć, siedem tygodni. Ostatnio widziano Daniela Wahnetah pod koniec lipca, a zaginięcie zgłoszono w sierpniu. Teraz mamy październik. Rachunek jest prosty.

– Załóżmy, że jest to prawda, choć nie do końca jestem o tym przekonana. Jakim cudem stopa Wahnetah znalazła się na miejscu katastrofy?

– Jeśli Boyd wyczuł woń rozkładu, czuły ją także kojoty. Prawdopodobnie wyciągnęły stopę spod ściany, w miejscu, gdzie został skruszony fundament.

– I zostawiły resztę ciała?

– Najpewniej nie były w stanie wyszarpać niczego innego.

– A jak Wahnetah dostał się na podwórko?

Wzruszyłam ramionami.

– Jak umarł?

– To już robota dla szeryfa. Ja zajmuję się stroną naukową.

Gdzieś z korytarza dobiegał głos Hanka Williamsa śpiewającego Long Gone Lonesome Blues. Panująca w budynku cisza sprawiła, że piosenka brzmiała, jak gdyby nagrano ją w poprzednim stuleciu.

– Czy to wystarczy byśmy dostały nakaz? – spytałam.

Crowe po raz kolejny przestudiowała papiery. W końcu podniosła wzrok, utkwiała we mnie zielonookie spojrzenie i sięgnęła po telefon.

Kiedy opuszczałam biuro szeryfa, z nieba siąpiła mżawka. Reflektory, światła stopu i neony lśniły i migały w szarych godzinach wczesnego zmierzchu. Powietrze było ciężkie i cuchnęło niczym skunks.

Boyd leżał w budzie i oparłszy pysk o przednie łapy, wpatrywał się w krople deszczu.

Kiedy go zawołałam, podniósł głowę i zmierzył mnie spojrzeniem, które stanowczo dawało do zrozumienia, że powinnam coś zrobić. Gdy zobaczył, że nie zamierzam, westchnął

i z rezygnacją opuścił łeb. Aby zagłuszyć budzące się we mnie poczucie litości, nasypałam mu karmy i zostawiłam go na pastwę smętnego, wilgotnego świata.

W High Ridge House panował dziwny spokój. Idąc po schodach, słyszałam miarowe tykanie wiszącego w przedpokoju zegara. Tik. Tak. Tik. Tak. Sypialnie pogrążone były w ciszy.

Wychodząc zza rogu na końcu korytarza, zauważyłam, że drzwi Magnolii są delikatnie uchylone. Chwilę później pchnęłam je do środka i zaniemówiłam.

Szuflady w moim pokoju zostały przetrząśnięte, a skłębiona pościel leżała w nieładzie.

Zawartość aktówki została wysypana, a na podłodze walały się papiery i foldery.

Mój mózg zareagował na to w jeden sposób.

Nie! Nie! Nie!

Cisnęłam torebkę na łóżko, podbiegłam do szafy i otworzyłam drzwi.

Laptop znajdował się w tym samym miejscu, w którym go zostawiłam. Kompletnie zdeorientowana, wyjęłam komputer i natychmiast włączyłam..

Co tu się stało? Co tu się stało? Co tu się, DO CHOLERY, stało?

Dokonałam w głowie błyskawicznej inwentaryzacji. Kluczyki do samochodu. Karty kredytowe. Prawo jazdy. Paszport. To wszystko miałam przy sobie.

Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Ktoś szukał tu kosztowności, a może czegoś konkretnego? Co takiego mógł chcieć?

Co? Co? Co?

Sprawdziłam najważniejsze pliki. Wszystko zdawało się nietknięte.

Poszłam do łazienki i spryskałam twarz zimną wodą. Chwilę później zamknęłam oczy i zagrałam w dzieciinną grę, która zawsze mnie uspokajała. W ciszy przypominałam sobie słowa pierwszej piosenki, która przyszła mi do głowy. Honky Tonk Women. Chwilowe obcowanie z Mickiem i Stonesami działało cuda. Spokojniejsza i bardziej opanowana wróciłam do pokoju i zaczęłam zbierać porozrzucane dokumenty.

Porządkowałam papiery, kiedy usłyszałam ciche pukanie. Za drzwiami stał Andrew Ryan. Trzymał w prawej dłoni dwa opakowania DoveBar.

Natychmiast zauważył bałagan.

– Co tu się, kurwa, stało?

W odpowiedzi spojrzałam na niego, jak gdybym obawiała się odezwać.

– Coś zginęło?

Tym razem niepewnie przełknęłam ślinę.

– Jediną wartościową rzeczą był komputer, ale na szczęście go nie wzięli.

- To wyklucza napad rabunkowy.
- Chyba że ktoś przeszkodził włamywaczom.
- Wygląda na to, że czegoś tu szukali.
- Albo chcieli zrobić mi kawał.

Dlaczego?

- Masz ochotę na lody?

Jedząc DoveBar, zastanawialiśmy się nad rozsądnym wytłumaczeniem. Niestety, żadne nie było wystarczająco dobre. Dwa najbardziej prawdopodobne zakładały, że ktoś włamał się do pokoju w poszukiwaniu pieniędzy lub zupełnie nie liczył się z moją prywatnością.

Kiedy Ryan wyszedł, uporządkowałam resztę folderów i zamierzałam wziąć kąpiel.

Kolejna niespodzianka czekała na mnie za wiszącą nad wanną zasłoną.

Na dnie wanny leżała strzaskana figurka Sierotki Annie. Porcelanowa twarz została zmiażdżona, a kończyny odłupane. Z sitka natryskowego zwisała jej towarzyszka – suczka Sandy z okręconą wokół szyi prowizoryczną pętlą.

Widząc to, poczułam, jak ogarnia mnie paniczny strach. Ta wiadomość nie miała nic wspólnego z pieniędzmi. Ktoś jasno dawał mi do zrozumienia, co o mnie myśli.

Nagle przypomniałam sobie volvo. Czy to także była groźba? Czy i tym razem ktoś próbował mnie nastraszyć? Z trudem powstrzymałam się przed ucieczką do pokoju Ryana.

Pomyślałam o pozbawionych zamków drzwiach i o tym, by przyprować do domu Boyda. Kto wówczas byłby zagrożony?

Godzinę później leżałam w łóżku i zastanawiałam się nad wzburzeniem, jakie wywołała we mnie myśl, że ktoś zakłócił moją prywatność. Co tak naprawdę je wywołało? Wściekłość?

Lęk? Na kogo powinnam się wściekać? Czego powinnam się bać?

Tej nocy niełatwo było mi zasnąć.

## Rozdział 14

Kiedy następnego ranka zeszłam na dół, Ryan wypytywał Ruby o mojego prześladowcę.

Naprzeciw niego siedział Byron McMahon, który przysłuchiwał się rozmowie i delektował się jajecznicą.

Ruby skwitowała wszystko jednym zdaniem.

– Są wśród nas słudzy szatana.

Nonszalancja, z jaką podchodziła do tego, co się stało, działała mi na nerwy, jednak postanowiłam puścić tę uwagę mimo uszu.

– Coś zginęło? – spytał McMahon. Dobrze. A zatem FBI interesowało się moją sprawą.

– Nie sądzę.

– Wkurzałaś kogoś ostatnio?

– Może mój pies. Wiesz, psy mają w zwyczaju czekać. – Chwilę później opisałam, co stało się z figurkami Annie i Sandy.

Ryan zmierzył mnie dziwnym spojrzeniem, jednak nie powiedział ani słowa.

– To miejsce nie przypomina Los Alamos. Każdy może tu wejść i wyjść. – McMahon nabiał na widelec pieczonego ziemniaka. – Czym jeszcze zajmowałaś się ostatnio? Nie widziałem cię zbyt często.

Opowiedziałam mu o stopie, górskiej chacie i profilu VFA, który dostałam dwa dni temu. Nie wspomniałam o fakcie, że zostałam wykluczona ze śledztwa, jednak powiedziałam wystarczająco wiele, by mógł się tego domyślać. W miarę, jak moja historia nabierała tempa, uśmiech na twarzy McMahona stawał się coraz bardziej niewyraźny.

– A więc Crowe zamierza zdobyć nakaz? – spytał chłodno.

Miałam odpowiedzieć, kiedy mój telefon rozbrzmiał uwerturą do Wilhelma Tella.

Mężczyźni wymienili znaczące spojrzenia.

Dzwonił Laslo Sparkes z Oak Ridge. Przez chwilę słuchałam go w skupieniu, podziękowałam i rozłączyłam się.

– Dzwonił Rossini? – spytał Ryan.

– Bawiłam się dzwonekami i zapomniałam go zmienić. – Mówiąc to, dźgnęłam gotowane jajko, patrząc, jak żółtko rozlewa się po stole. – Nie przypuszczałam, że lubicie operę.

– Ciekawe. – McMahon sięgnął po kawałek tosta.

– Dzwonił antropolog z Oak Ridge.

– Niech zgadnę. Stwierdził, że ciało należało do D. B. Coopera<sup>14</sup>.

Ryan w przeciwieństwie do mnie był w nastroju do żartów. Postanowiłam go zignorować i zwróciłam się do McMahona.

– Filtrując ziemię, natknął się na coś dziwnego.

– To znaczy?

– Nie chciał powiedzieć. Stwierdził tylko, że to może pomóc w śledztwie. Jeszcze w tym tygodniu wybiera się do Asheville, więc po drodze wpadnie do Bryson City.

Chwilę później w jadalni pojawiła się Ruby, która zebrała talerze i natychmiast wyszła.

– Wybierasz się do gmachu sądu? – spytał Ryan.

– Tak – odparłam zwięźle.

– Widzę, że naprawdę chcesz coś znaleźć.

– Ktoś musi to zrobić.

– Dobrze byłoby wiedzieć, do kogo należy ta chata. – McMahon opróżnił filiżankę. – Po dzisiejszym spotkaniu muszę wpaść do Charlotte i porozmawiać z jakimś idiotą, który, jak twierdzi, posiada informacje na temat ukrywających się w hrabstwie Swain bojówek. Gdybym nie musiał tam jechać, pojechałbym z tobą.

Po tych słowach wyciągnął z portfela wizytówkę i położył ją na stole.

– Jeśli ci w sądzie nie będą zbyt chętni do współpracy, pokaż im to. Czasami akronimy czynią cuda.

– Dzięki – odparłam, chowając wizytówkę do kieszeni.

Chwilę później w jadalni zostaliśmy tylko ja, Ryan i trzy puste kubki.

– Jak myślisz, kto przetrząsnął twój pokój?

– Nie mam pojęcia.

– Czego szukali?

– Twojego żelu pod prysznic.

---

<sup>14</sup> [D. B. Cooper – 24 listopada 1971 r. mężczyzna o tym pseudonimie porwał Boeinga 727 (lot z Portland do Seattle). Na pokładzie było 42 pasażerów. Porywacz wyskoczył nad Górami Kaskadowymi z 200 tys. dolarów okupu. D. B. Coopera nie udało się nigdy ująć (przyp. red.)]

– Nie lekceważyłbym tego. Co powiesz na to, żebym troszkę pomyszkował i popytał tu i ówdzie?

– Wiesz przecież, że to nic nie da. Takie rzeczy zawsze pozostają niewyjaśnione.

– Dzięki temu ludzie dowiedzą się, że ktoś się jednak tym interesuje.

– Pogadam z Crowe.

Wstałam od stołu, szykując się do wyjścia, jednak Ryan chwycił mnie za rękę.

– Potrzebujesz wsparcia w drodze do sądu?

– Na wypadek, gdyby zaatakował mnie uzbrojony archiwista?

Ryan zerknął w bok i znowu na mnie.

– Chcesz, żebym towarzyszył ci w drodze do sądu?

– Nie idziesz na spotkanie NTSB?

– Może zastąpić mnie McMahon. Mam tylko jeden warunek.

Czekałam.

– Zmień dzwonek w telefonie.

– Tak jest, proszę pana.

Budynek administracji i gmach sądu hrabstwa Swain stanął na miejscu swego poprzednika w 1982 roku. Usytuowana nad brzegiem rzeki Tuckasegee prostokątna, betonowa konstrukcja z niskim dachem z czerwonego, ocynkowanego metalu, mimo iż nie jest tak urocza jak kopulaste gmachy sądu w Everett czy Main, ma w sobie dużo ciepła, przestrzeni i lśni czystością. Urząd skarbowy mieści się na parterze, tuż za wyłożonym kafelkami, ośmiokątnym holem. Kiedy weszliśmy do środka, cztery siedzące przy komputerach kobiety podniosły wzrok znad klawiatury. Dwie z nich siedziały w okienkach na wprost wejścia, pozostałe po lewej stronie pomieszczenia. Kiedy wyjaśniłam, po co przyjechaliśmy, kobieta numer trzy skierowała nas do drzwi na tyłach holu.

– Wydział Ewidencji Gruntów – powiedziała.

Kierując się ku drzwiom, czułam na sobie spojrzenie czterech par oczu.

– To tam muszą archiwizować grunty – szepnął Ryan.

Chwilę później weszliśmy do pomieszczenia, gdzie w kolejnym okienku siedziała wysoka, szczupła kobieta o nijakiej, trójkątnej twarzy. Jej widok przywodził na myśl stare zdjęcia Stana Musiała\* [Stanisław Frank Musiał – amerykańska gwiazda baseballu polskiego pochodzenia. Jego ojciec był Polakiem, (przyp. tłum.)]

– W czym mogę pomóc?

– Chcielibyśmy zobaczyć spis nieruchomości hrabstwa Swain.

Kobieta zakryła usta dłonią, jak gdyby nasza prośba wprawiła ją w zakłopotanie.

– Spis nieruchomości?

Zaczęłam podejrzewać, że nikt wcześniej nie żądał od kobiety czegoś podobnego. Widząc, co się kroi, wyciągnęłam z kieszeni wizytówkę Byrona McMahona i trzymając ją przed sobą niczym tarczę, podeszłam do okienka.

Pani Musiał zerknęła okiem na kartonik.

– Czy to naprawdę FBI?

Kiedy podniosła wzrok, skinęłam głową.

– Byron?

– To panięskie nazwisko – uśmiechnęłam się ujmująco.

– Ma pani broń?

– Nie przy sobie. – W ogóle nie miałam broni, jednak takie wyznanie zepsułoby mój wizerunek.

– Czy to ma coś wspólnego z katastrofą?

Słyszac to, nachyliłam się w stronę kobiety. Pachniała miętą i szamponem.

– Informacje, których szukamy, mogą okazać się niezwykle istotne dla śledztwa.

Poczułam, jak stojący za moimi plecami Ryan wierci się niespokojnie.

– Mam na imię Dorothy. – Mówiac to, kobieta zwróciła mi wizytówkę. – Zaraz przyniosę dokumenty.

Chwilę później podeszła do szafy z mapami, wysunęła jedną z szuflad i wyciągnęła dużą płachtę, którą następnie rozłożyła na blacie.

Ryan i ja pochyliłiśmy się nad mapą. Patrząc na granice powiatu, drogi i inne charakterystyczne punkty, określiliśmy miejsce, w którym znajdowała się chata. Dorothy obserwowała każdy nasz ruch – czujna niczym pochyłony nad papirusem egiptolog.

– Teraz chcielibyśmy zobaczyć szczegółową mapę regionu sześć-dwadzieścia jeden.

Dorothy uśmiechnęła się, jak gdyby chciała podkreślić, że ona również ma w tej sprawie swój niewielki udział, po czym podeszła do kolejnej szuflady i wróciła z dokumentem.

W przeszłości, jako niedoświadczony antropolog, godzinami ślęczałam nad mapą geograficzną Stanów Zjednoczonych, wiedziałam więc, jak interpretować poszczególne symbole legendy. Teraz doświadczenie to okazało się naprawdę pomocne. Patrząc na obszary położone na określonej wysokości nad poziomem morza, strumyki i drogi, Ryan i ja bez trudu zlokalizowaliśmy chatę.

– Sekcja sześć-dwadzieścia jeden, działka cztery.

Nie odrywając palca od mapy, podniosłam wzrok.

Twarz Dorothy była tuż obok.

– Ile czasu zajmie wyciągnięcie listy podatkowej właścicieli tej nieruchomości?

– Około minuty.

Musiałam wyglądać na zaskoczoną.

– Hrabstwo Swain to nie jakaś tam zabita dechami dziura. Jesteśmy skomputeryzowani.

Po tych słowach Dorothy przeszła na tyły pomieszczenia i zdjęła chroniące monitor i klawiaturę plastikowe nakładki. Ryan i ja czekaliśmy, aż z pedantyczną starannością złoży osłony, umieści je na górnej półce i włączy komputer. Kiedy ładowanie dobiegło końca, Dorothy wpisała kilka poleceń. Mijały sekundy. W końcu znalazła numer podatnika i na ekranie pojawiły się dziesiątki informacji.

– Chcecie wydruk?

– Tak.

Teraz przyszedł czas na uruchomienie drukarki Hewlett-Packard Bubble Jet, która do złudzenia przypominała mój pierwszy, własny egzemplarz. I tym razem Dorothy zdjęła z urządzenia plastikowy pokrowiec, złożyła go, wyjęła z szuflady kartkę papieru i włożyła ją do podajnika. Na sam koniec wcisnęła przycisk, patrząc, jak kartka znika w drukarce, a po chwili pojawia się.

– Mam nadzieję, że to coś pomoże – powiedziała, wręczając mi gotowy wydruk.

Na papierze widniał dość skąpy opis miejsca i budynków, jego domniemana cena, imię właściciela, adres pocztowy i adres, na który przesyłano rachunki.

Czując, jak uchodzi ze mnie powietrze, przekazałam wydruk Ryanowi.

– H&F Investment Group, LLP – odczytał na głos. – Adres do korespondencji to skrytka pocztowa w Nowym Jorku.

Chwilę później spojrzał na mnie.

– Czym do cholery jest H&F Investment Group?

Wzruszyłam ramionami.

– A LLP?

– Spółka z ograniczoną odpowiedzialnością – odparłam.

– Możecie jeszcze iść do pomieszczenia, gdzie przechowujemy akta własności.

Słyszając to, spojrzeliśmy na Dorothy, której policzki zdawały się teraz delikatnie zaróżowione.

– Możecie sprawdzić, kiedy H&F zakupiło posiadłość i odszukać nazwisko poprzedniego właściciela.



– Jesteś pewna, że będą mieli tam takie rzeczy?

Dorothy skinęła głową.

\*\*\*

Rejestr aktów własności znajdował się tuż obok gmachu sądu. Aby wejść do pomieszczenia, w którym przechowywano archiwa, należało minąć okienko i przejść przez drewniane, wahadłowe drzwi. Na ustawionych wzdłuż ścian półkach i w poukładanych tu i ówdzie skrzyniach zalegały zgromadzone na przestrzeni setek lat akta własności. Najświeższe z nich były kwadratowe i czerwone, a ich numery zapisano czytelnym, złotym pismem. Stare, opasłe tomiska były bogato zdobione, niczym oprawne w skórę, pierwsze wydania poczytnych ksiąg. Cała sytuacja przypominała poszukiwanie skarbów, podczas gdy każdy kolejny tom przenosił nas coraz dalej w czasie. Mimo to dowiedzieliśmy się, że: H&F Investment Group było spółką z ograniczoną odpowiedzialnością zarejestrowaną w Delaware. Własność opodatkowanej działki numer cztery została sprzedana spółce przez niejakiego Edwarda E. Arthura w 1949 roku. Opis własności był czarujący, jednak – jak na obecne wymogi – dość pobieżny. Odczytałam go na głos Ryanowi:

– Posiadłość zaczyna się przy stojącym na wzniesieniu, starym, hiszpańskim dębie i ciągnie się na długości czterystu pięćdziesięciu dwóch metrów do linii Bellingforda i w górę, aż do kasztanowca na trakcie S. Q. Barkera...

– Skąd miał ją Arthur?

Darowałam sobie resztę oględzin miejsca i czytałam dalej.

– Chcesz usłyszeć fragment o tym, kto sprzedawał ziemię?

– Nie.

– ... posiadając tę samą ziemię, scedowaną aktem prawnym przez Victora T. Livingstone'a i żonę J. E. Clampett w dniu 26 marca 1933 roku, zapisano w akcie notarialnym Hrabstwa Swain, Karolina Północna numer 52, strona 315.

Po tych słowach podeszłam do półki i wyciągnęłam kolejny tom.

Arthur uzyskał ziemię od Victora T. Livingstone'a w 1933 roku. Livingstone musiał więc nabyć ją od samego Boga, jako że w archiwum nie było żadnych wcześniejszych dokumentów.

– Przynajmniej wiemy, że działka zmieniała szczęśliwych właścicieli.

– W aktach własności Livingstone’a i Arthura znajduje się wzmianka o drodze wjazdowej.

– Albo wjazdowo-wjazdowej. – Wciąż nie byłam przekonana, czy posiadłość faktycznie jest opuszczona. – Crowe znalazła tam ścieżkę łączącą chatę ze starym szlakiem do przewozu drewna. Wyjazd na szlak jest odcięty przez prowizoryczną bramę i kompletnie porośnięty kudzu. Kiedy pokazała mi wejście, nie wierzyłam własnym oczom. Mógłbyś przechodzić albo przejeżdżać tamtędy milion razy i dalej byś go nie zauważył.

Ryan milczał.

– Co teraz?

– Teraz czekamy na nakaz Crowe.

– A w międzyczasie?

Ryan uśmiechnął się, a wokół jego oczu pojawiła się drobna pajęczynka zmarszczek.

– W międzyczasie porozmawiamy z prokuratorem generalnym stanu Delaware i dowiemy się czegoś o H&F Investment Group.

Boyd i ja jedliśmy na ganku High Ridge House sandwicza klubowego i frytki, kiedy na drodze pojawił się radiowóz Crowe. Podczas gdy ja patrzyłam, jak samochód pani szeryf toczy się niespiesznie w kierunku wjazdu, Boyd tęsknym wzrokiem obserwował kanapkę.

– Chwila oddechu? – spytała Crowe, zbliżając się do schodów.

– Boyd mówi, że ostatnio go zaniedbywałam.

Mówiąc to, wyciągnęłam kawałek szynki. Boyd zadarł głowę i delikatnie pochwycił go przednimi kłami. Następnie opuścił pysk, położył plasterek na podłodze, dwukrotnie polizał i połknął w całości. Sekundę później jego pysk wrócił na moje kolano.

– Są jak dzieci.

– Mmm. Dostałaś nakaz?

Oczy Boyda wędrowały za moją ręką, wypatrując kolejnej porcji mięsa i frytek.

– Odbyłam szczerą rozmowę z sędzią pokoju.

– I?

Westchnęła i zdjęła kapelusz.

– Mówi, że to za mało.

– Nie wierzę. – Byłam kompletnie zszokowana. – My tu sobie gadamy, a ciało Daniela Wahnetah być może rozkłada się na czymś podwórku.

– Znasz termin „brudna nauka”? Bo ja tak. Dziś rano rzucono mi go w twarz kilkanaście razy. Coś mi się widzi, że stary Frank zamierza stworzyć swoją własną grupę wsparcia. Brudna Nauka Anonimowych Ofiar.

– Czy ten facet jest idiotą?

– Pewnie nie wybierze się do Szwecji po nagrodę, ale zazwyczaj zachowuje się rozsądnie.

Boyd podniósł głowę i odetchnął przez nos. Kiedy opuściłam dłoń, obwąchał ją, a zaraz później polizał.

– Znowu go zaniedbujesz.

W odpowiedzi podałam psu kawałek jajka. Upuścił je na podłogę, polizał, obwąchał, znowu polizał i ostatecznie stracił zainteresowanie.

– Ja też nie przepadam za jajkami w kanapkach – przyznała Crowe.

Boyd delikatnie zastrzygł uchem, jak gdyby chciał dać nam do zrozumienia, że przez cały czas przysłuchuje się rozmowie, jednak jego oczy wciąż obserwowały mój talerz.

– Jest jeszcze gorzej – ciągnęła Crowe.

Jasne. Czemu nie?

– Były kolejne skargi.

– Na mnie?

Kiwnęła głową.

– Kto tym razem?

– Sędzia nie chciał zdradzić szczegółów. Wiem tylko, że jeśli zbliżysz się do miejsca katastrofy, kostnicy, dowodu śledztwa czy rodziny którejkolwiek z ofiar, mam cię aresztować pod zarzutem, utrudniania pracy wymiarowi sprawiedliwości. To samo dotyczy górskiej chaty.

– Co się tu dzieje, do cholery? – Czułam, jak żołądek ściska mi się z wściekłości.

Crowe wzruszyła ramionami. – Nie jestem pewna, ale zostałam na dobre wykluczona ze śledztwa.

– Wolno mi chociaż pójść do biblioteki publicznej? – syknęłam.

Szeryf w milczeniu rozmasowała kark, po czym usiadła na ostatnim stopniu. Pod kurtką rysowała się broń.

– Coś tu jest cholernie nie tak.

– Słucham.

– Wczoraj ktoś splądrował mój pokój.

– Domyślasz się kto?

Opowiedziałam jej o znalezionych w wannie figurkach.

– To dość nietypowe powitanie.

– Pewnie Boyd dał komuś popalić – powiedziałam z nadzieją, jednak sama nie wierzyłam w to, co mówię.

Na dźwięk swojego imienia Boyd postawił uszy, za co dostał plasterek bekonu.

– Lubi szczekać?

– Nie bardzo. Pytałam Ruby, czy faktycznie hałasuje, kiedy jestem poza domem.

Powiedziała, że trochę wyje, ale nie ma w tym nic dziwnego.

– A co ona sądzi o tym wszystkim?

– Mówi, że to sprawka sługusów szatana.

– Może masz coś, na czym zależy innym?

– Nic nie zginęło, choć wszystkie dokumenty dosłownie fruwały po pokoju.

Przetrząsnęto każdy kąt.

– Miałaś jakieś notatki dotyczące stopy?

– Zabrałam je ze sobą do Oak Ridge.

Crowe spojrzała na mnie w milczeniu, po czym skinęła głową.

– Tym bardziej wypadek z volvo wydaje się podejrzany. Uważaj na siebie.

No tak.

Po tych słowach pochyliła się, strzepnęła z czubka buta niewidoczny pyłek i zerknęła na zegarek.

– Zobaczę, czy uda mi się przekonać prokuratora okręgowego.

W tej samej chwili w dolinie pojawił się wynajmowany przez Ryana samochód. Okno po stronie kierowcy było otwarte, a on sam wydawał się mroczną sylwetką na tle wnętrza pojazdu. Przez chwilę obie patrzyłyśmy, jak pnie się w górę zbocza i skręca w kierunku pojazdu. Kiedy był już wystarczająco blisko, dostrzegłam, że jego twarz jest pełna napięcia.

– O co chodzi?

Kapelusz Crowe delikatnie otarł się o jej udo. Ryan zawahał się przez moment, jednak w końcu odparł.

– Wciąż nie mogą odnaleźć ciała Jeana.

Ton jego głosu zdradzał, jak bardzo jest tym faktem przygnębiony i jak bardzo obwinia za to samego siebie. Przekonanie, że to z powodu jego nieobecności Bertrand znalazł się na pokładzie samolotu, nie dawało mu spokoju. Detektywi bez partnerów mają ograniczone możliwości, dlatego często eskortują skazańców.

– Znajdą go – odparłam.

Ryan spojrzał na horyzont. Kark miał sztywny, a mięśnie szyi napięte niczym poskręcane liny. Po minucie otrząsnął się i chroniąc płomień przed wiatrem, zapalił papierosa.

– Jak minęło popołudnie? – Mówiąc to, zgasił zapałkę.

Opowiedziałam mu o rozmowie Crowe z sędzią pokoju.

– Twoja stopa może nie mieć tu żadnego znaczenia.

– Jak to?

Ryan wypuścił dym i wyciągnął coś z kieszeni marynarki.

– Znaleźli też to.

Po tych słowach rozwinął kartkę i wręczył mi ją.

Rozdział 15

Patrzyłam najpierw z niedowierzaniem, później z rosnącym zdumieniem.

Ryan pokazał mi wydruk, zrobiony na kolorowej drukarce. Były na nim trzy obrazki, z których każdy przedstawiał kawałek plastiku. Na pierwszym udało mi się odczytać fragment słowa b-i-o-h-a-z. Na drugim widniał urwany napis – sługi – aboratoryjne. Na trzecim znajdował się czerwony symbol. Coś takiego widziałam dziesiątki razy w laboratoriach, dlatego natychmiast wiedziałam, o co chodzi.

Spojrzałam na Ryana.

– To pojemnik na szkodliwe odpady.

Skinienie głowy utwierdziło mnie w przekonaniu, że miałam rację.

– Którego nie było na pokładzie.

– Tak.

– I wszyscy przypuszczają, że właśnie tam przechowywano stopę.

– Istnieje takie podejrzenie.

Boyd szturchnął moją dłoń, a ja w zamyśleniu podałam mu całą kanapkę. Pies spojrzał na mnie, jak gdyby chciał się upewnić, że nie popełniłam błędu, po czym chwycił zdobycz i na wypadek gdybym się rozmyśliła, odsunął się.

– A więc przyznają, że stopa nie należała do żadnego z pasażerów.

– Niezupełnie, jednak biorą to pod uwagę.

– Co to ma wspólnego z nakazem? – spytałam Crowe.

– Z pewnością nie pomoże w jego zdobyciu.

Po tych słowach podniosła się ze schodów i stając pewnie na ziemi, nałożyła kapelusz.

– Ale coś jest w tej ścianie i zamierzam się dowiedzieć, co to takiego.

Crowe skinęła głową, odwróciła się i ruszyła w kierunku samochodu. Chwilę później patrzyłam w milczeniu, jak zjeżdża w dół zbocza.

Poczułam na sobie wzrok Ryana i spojrzałam na niego.

– Dlaczego sędzia nie chce wydać nakazu?

– Najwyraźniej facet zamierza wstąpić do Fiat Earth Society<sup>15</sup>. Na dodatek zagroził, że jeśli dotknę którejkolwiek z tkanek, wyda nakaz aresztowania mnie pod zarzutem utrudniania śledztwa. – Czułam, że moje policzki płoną z wściekłości.

Boyd wrócił na ganek, kołysząc na boki opuszczonym łbem. Kiedy podszedł do huśtawki, obwąchał moją nogę, usiadł i spojrzał na mnie radosnym wzrokiem.

Ryan po raz ostatni zaciągnął się papierosem i wyrzucił niedopałek. Boyd spoglądał to na niego, to na mnie.

– Dowiedziałeś się czegoś o H&F? Wiedziałam, że pojechał do swojego „biura”, by zadzwonić do Delaware.

– Myślałem, że sprawa nabierze tempa, jeśli zainteresuje się nią FBI. Poprosiłem więc McMahona, żeby zadzwonił. Na resztę popołudnia muszę wrócić do wydziału rekonstrukcji, ale zapytam go wieczorem.

Wydział rekonstrukcji. Miejsce, w którym smętne szczątki na powrót stawały się samolotem. Rekonstrukcja pochłania mnóstwo czasu, pieniędzy i siły, czyli tego wszystkiego, z czym nie radziło sobie NTSB. Z tego, co wiedziałam, NTSB nie angażowało wszystkich środków w każdą poważną sprawę, a i pod naciskiem opinii publicznej starało się zachować umiar. Podjęli się rekonstrukcji TWA 800, ponieważ Brytyjczycy zrobili to samo z Pan Am 103. Najwyraźniej nie chcieli, by ktoś pomyślał, że są gorsi od innych. Tak więc składano teraz samolot, na którego pokładzie zginęło pięćdziesięciu studentów.

Przez ostatnie dwa tygodnie ciężarówki wywoziły szczątki Air TransSouth z miejsca katastrofy, przewożąc je do specjalnie wynajętego hangaru na lotnisku w Asheville. Części układano na siatce współrzędnych odpowiadającej Fokkerowi 100. Te z nich, których nie udało się posegregować według poszczególnych sekcji, układano zgodnie z ich strukturą. Niezidentyfikowane fragmenty składowano według miejsca, w którym zostały odnalezione.

Wiedziałam, że nawet najmniejszy z nich zostanie skatalogowany i poddany szczegółowym testom, a następnie przyczepiony do ogromnej, metalowo-drewnianej konstrukcji. W miarę upływu czasu konstrukcja nabierze kształtu i zmieni się w samolot, poskładany z milionów maleńkich fragmentów. Bywałam w wydziale rekonstrukcji przy okazji innych katastrof, wiedziałam więc, jak nużąca była to praca. W tym wypadku istniała jednak szansa, że proces odbudowy przebiegnie znacznie szybciej niż w przypadku, gdy samolot roztrzaskiwał się o ziemię. Air TransSouth rozpadł się bowiem w powietrzu, a znalezione w górach fragmenty były znacznie większe.

---

<sup>15</sup> [Fiat Earth Society – Towarzystwo Płaskiej Ziemi – organizacja, która głosi pogląd, że Ziemia jest dyskiem z centrum na biegunie północnym (przyp. tłum.)]

Ja ich jednak nie zobaczę. Zostałam skazana na banicję.

Rozpacz musiała się wyraźnie malować na mojej twarzy.

– Mogę przełożyć spotkanie. – Ryan położył dłoń na moim ramieniu.

– Nic mi nie jest.

– Masz jakieś plany na popołudnie?

– Posiedzę trochę z Boydem i skończę lunch. Później pojadę do miasta, kupię karmę dla psa, maszynki do golenia i szampon.

– Dasz sobie radę?

– Nie wiem, czy uda mi się znaleźć takie z dwoma ostrzami, ale jakoś przeżyję.

– Potrafisz być upierdliwa, Brennan.

– Widzisz, naprawdę nic mi nie jest. Mówiąc to, zdobyłam się na słaby uśmiech.

– Idź na spotkanie.

Kiedy zostałam sama, dałam Boydowi ostatnią frytkę.

– Masz jakieś ulubione żarcie? – spytałam.

Pies nie odpowiedział.

Patrząc na niego, podejrzewałam, że jadł wszystko, oprócz gotowanych jaj.

Pakowałam resztki po naszym posiłku do dużej, papierowej torby, gdy z domu wybiegła

Ruby i chwyciła mnie za rękę.

– Szybko! Chodź szybko!

– Co się...

Ruby niemalże ściągnęła mnie z huśtawki i powlokła w stronę domu. Zdezorientowany Boyd tańczył wokół moich nóg, chwytając mnie za nogawki. Nie byłam pewna, czy niecierpliwość Ruby wywołała w nim ten przedziwny stan, czy też może oszalał na samą myśl, że być może uda mu się wtargnąć na zakazany teren. Ruby zawlokła mnie wprost do kuchni, gdzie na desce do prasowania leżała para dżinsów marki Levi's. Pod deską stał wiklinowy kosz po brzegi wypełniony zmiętym jeszcze praniem, podczas gdy starannie wyprasowane ubrania wisały na uchwytych kuchennych szafek. Ruby wskazała stojący po drugiej stronie deski, dwunastocalowy, czarnobiały telewizor. Na widocznym u dołu ekranu pasku przepływały kolejno najważniejsze informacje. Prezenter mówił coś ponurym, spokojnym głosem. Mimo kiepskiego odbioru, natychmiast rozpoznałam towarzyszącą mu osobę.

Przez krótką chwilę otaczająca mnie rzeczywistość przestała istnieć. Jedyne, co do mnie docierało, to głos i delikatnie zaśniewany obraz.

„... informację z pierwszej ręki, że jeden z antropologów został odsunięty od śledztwa i toczy się w jego sprawie postępowanie. Nie postawiono jeszcze żadnych zarzutów. Nie wiadomo również, czy ucierpi na tym samo śledztwo i czy sprawa ta będzie miała wpływ na identyfikację zwłok. Kiedy skontaktowaliśmy się z głównym lekarzem sądowym Karoliny Północnej, Larkiem Tyrellem, odmówił w tej sprawie jakichkolwiek komentarzy. W dalszej części wiadomości...”

– Chodzi o ciebie, prawda?

Głos Ruby sprowadził mnie z powrotem na ziemię.

– Tak – odparłam.

Boyd przestał biegać dookoła kuchni i z zapamiętaniem obwąchiwał podłogę w okolicach zlewu. Na dźwięk mego głosu, podniósł łeb.

– O czym on mówi? – Oczy Ruby były wielkie niczym Frisbee.

W tym momencie coś we mnie pękło, a mój gniew przetoczył się po pomieszczeniu niczym fala tsunami.

– To pomyłka! Pieprzona pomyłka! – Usłyszałam swój własny głos. Był wrzaskliwy i pełen goryczy, mimo iż wcale nie chciałam, aby tak brzmiał.

W kuchni zrobiło się gorąco, a zapach pary i słodkiego płynu do zmiękczenia tkanin stały się nagle nie do zniesienia. Czując, że dłużej nie wytrzymam, odwróciłam się i ruszyłam w kierunku drzwi.

Boyd wybiegł za mną i słyszałam tylko, jak jego miękkie łapy uderzają o chodnik. Chwilę później wypadłam przez drzwi i przecięłam trawnik, zostawiając za sobą delikatny dźwięk dzwonek. Ruby musiała pomyśleć, że opanował mnie sam szatan.

Kiedy otworzyłam samochód, Boyd natychmiast usadowił się na tylnym siedzeniu i oparł pysk pomiędzy przednimi fotelami. Nie miałam, siły ani ochoty, by go stamtąd wyrzucać. Usiadłam za kółkiem, odetchnęłam głęboko i starałam się zapomnieć o całej sprawie. Oszałały puls wrócił do normy, a wściekłość zmieniła się we wstyd i palące poczucie winy. Mimo to nie zdobyłam się na powrót do kuchni i przeprosiny.

Widząc, co się święci, Boyd polizał moje ucho.

Przynajmniej on nie kwestionuje mojej prawości – pomyślałam.

– Jedziemy.

Po drodze do Bryson City odbierałam telefon za telefonem. Za każdym razem dzwoniли reporterzy. Po siódmym: „Nie mam w tej sprawie nic do powiedzenia”, wyłączyłam telefon. Boyd miotał się na tylnej kanapie, reagując z zajądłością na samochody, pieszych i inne zwierzęta. Po jakimś czasie przestał zawiadamiać wszystkich o swojej obecności i ze



spokojem podziwiał śmigające za oknem widoki. Wszystko, czego potrzebowałam, znalazłam w supermarkecie Ingles, na południu miasta. Szampon Herbal Essences i maszynki Gillette dla mnie, karma Kibbles'n Bits dla Boyda. W nagłym przypiływie hojności kupiłam też pudełko ciastek dla psów Milk-Bone. Fakt, że zdobyłam odpowiednie maszynki, sprawił, że postanowiłam wybrać się na wycieczkę.

Mniej więcej trzy mile za Bryson City ulica Everett zmienia się w malowniczą drogę, która niczym wąż wiję się pomiędzy Parkiem Narodowym Great Smoky Mountains, biegnąc aż do północnego brzegu jeziora Fontana. Oficjalnie droga ta nazywa się Lakeview Drive, jednak mieszkańcy nazywają ją „Drogą Donikąd”.

W latach czterdziestych dwupasmowa asfaltówka biegła z Bryson City, wzdłuż Tuckasegee i Little Tennessee River, aż do Deal's Gap na granicy stanu Tennessee. Mając świadomość, że utworzenie jeziora Fontana przyczyni się do zalania autostrady, TVA\* [TVA – Tennessee Valley Authority, federalna agencja rządowa w USA o charakterze korporacyjnym, utworzona w 1993 roku, w celu ujarznienia i regulacji rzeki Tennessee oraz jej dopływów (przyp. tłum.)] obiecało budowę nowej drogi na północnym brzegu. Prace ruszyły w roku 1943 i w efekcie wybudowano tunel długości trzystu sześćdziesięciu pięciu metrów. Później budowa stanęła w miejscu, pozostawiając hrabstwo Swain z drogą i tunelem donikąd oraz głębokim poczuciem, że wielki świat stracił nim swoje zainteresowanie.

– Masz ochotę na przejażdżkę? – spytałam Boyda.

Pies okazał entuzjazm, opierając głowę na moim ramieniu i radośnie liżąc mnie po twarzy. Jediną rzeczą, którą naprawdę podziwiałam w tym stworzeniu, była jego przyjazna natura. Jakkolwiek przed nami roztaczały się zachwycające widoki, sam tunel okazał się pomnikiem upamiętniającym głupotę państwa. Boyd jak oszalały biegał z jednego końca na drugi, podczas gdy ja stałam pośrodku, rozglądając się dookoła. Przejażdżka zdecydowanie poprawiła mi humor, jednak radość okazała się krótkotrwała. Zaraz po wyjeździe z parku mój samochód wydał z siebie dziwny dźwięk. Trzy kilometry przed miastem zazgrzytał znowu, jęknął ociężale, a spod maski rozległ się donośny odgłos tarcia.

Tego było już za wiele. Zjechałam na pobocze, wyłączyłam silnik, objęłam rękami kierownicę i oparłam na nich głowę. Chwilowa radość natychmiast ustąpiła miejsca przynębnieniu i wściekłości. Nie wiedziałam nawet, czy była to zwykła awaria, czy być może ktoś grzebał w moim samochodzie. Boyd położył pysk na moim ramieniu, jak gdyby chciał dać mi do zrozumienia, że nie jestem paranoiczką i że on także zadaje sobie to pytanie. Siedzieliśmy tak przez kilka minut, gdy nagle pies zaczął warczeć. Zignorowałam go, myśląc, że na pewno zauważył wiewiórkę lub inne zwierzę. Nic z tego. Sekundę później Boyd

poderwał się z siedzenia i niczym moja mazda wydał z siebie serię krótkich, urywanych szcęknięć.

Podniosłam wzrok i zobaczyłam mężczyznę, który zbliżał się do samochodu od strony autostrady. Mężczyzna był niski, miał może sto sześćdziesiąt centymetrów wzrostu i zaczesane do tyłu, ciemne włosy. Czarny, idealnie skrojony garnitur pochodził prawdopodobnie z początku lat sześćdziesiątych.

Chwilę później człowiek wyciągnął rękę, by zapukać w okno samochodu, jednak na widok Boyda opuścił ją z rezygnacją.

– Spokojnie, piesku.

Dostrzegłam zaparkowanego na poboczu, starego pickupa. Drzwi od strony kierowcy były otwarte, a wewnątrz zdawało się puste.

– Zobaczmy, co ma nam do powiedzenia ten dżentelmen.

Delikatnie opuściłam szybę.

– Jest pani chora? – Głos mężczyzny był głęboki, dźwięczny i nijak nie pasował do jego kruchej postury. Haczykowaty nos i ciemne oczy przywodziły na myśl kogoś znajomego, choć sama nie wiedziałam kogo. Zachowanie Boyda mówiło mi, że pies już podjął decyzję i najwyraźniej uważał, że mężczyzna jest nikim innym, jak samym Kaligulą.

– Chyba coś mi nawaliło. – Nie wiedziałam, co powiedzieć, a ta formułka zdawała się najbardziej odpowiednia.

– Może pani pomóc?

Boyd warknął podejrzliwie.

– Jestem w drodze do miasta, więc mogę panią podrzucić do najbliższego warsztatu.

Nagle doznałam olśnienia. Facet wyglądał i brzmiał, jak miniaturowy Johnny Cash.

– Jeśli jest gdzieś w pobliżu warsztat, który może pan polecić, zadzwonię tam i poproszę o holowanie.

– Tak, naturalnie. Przy tamtej drodze jest mechanik. Mam chyba nawet w schowku jego numer.

Boyd kompletnie stracił panowanie nad sobą.

– Cicho, piesku. – Mówiąc to, sięgnęłam, do tyłu i pogłaskałam go po łbie.

Mężczyzna podszedł do samochodu, przez chwilę grzebał w schowku, po czym wrócił, ściskając w dłoni kawałek żółtego papieru. Widząc to, opuściłam szybę odrobinę niżej, wyciągnęłam komórkę i sięgnęłam po kartkę.

Formularz wyglądał jak pisany przez kalkę rachunek za naprawę. Pismo było prawie nieczytelne, jednak przybita pieczęta zdradzała, że warsztat nazywał się P&T Auto Repair, był też numer i adres w Bryson City. Przez chwilę próbowałam rozszyfrować podpis klienta, ale tusz był zbyt rozmazany. Kiedy włączyłam komórkę, na ekranie pojawiła się informacja o jedenastu nieodebranych połączeniach. Nie znałam żadnego z numerów, więc od razu zadzwoniłam do warsztatu. Chwilę później wytłumaczyłam któremuś z pracowników moją sytuację i poprosiłam o holowanie. Zanim się rozłączyłam, musiałam odpowiedzieć na kilka nieskomplikowanych pytań.

Jak będę płaciła?

Kartą Visa.

Gdzie jestem?

Podalam namiary.

Czy mam jakiś środek transportu?

Tak.

Facet zaproponował mi, abym zostawiła samochód, przyjechała do warsztatu i zaczekała, aż ściagną tam moją mazdę. Wszystko miało potrwać najwyżej godzinę.

Słyszac to, powiedzialam swemu rozmowcy, ze uslugi P&T polecil mi przypadkowy mezczyzna i ze to wlasnie z nim przyjadę do warsztatu. Nastepnie przeczytalam numer rachunku, liczac na to, ze P lub T bedzie laskaw go zanotowac.

W koncu opuscilam szybe, usmiechnalam sie do Johnny'ego Casha i wybrałam kolejny numer. Najglósniej, jak potrafilam, zostawilam detektywowi Ryanowi wiadomosc z dokladnym adresem warsztatu i spojrzalam na Boyda. Pies mierzyl wzrokiem mezczyzne w ciemnym garniturze.

Zamknawszy okno, chwycilam torebke i torbe z zakupami.

– Co gorszego moglo sie jeszcze wydarzyc?

Boyd uniosl brwi, ale nie powiedzial ani slowa.

Rzuciwszy torbe na tylne siedzenie, usadowilam sie po sredku, pozwalajac, by Boyd zajal miejsce przy szybie. Kiedy nasz wybawca zamknal drzwi, pies wystawil glowe przez okno i odprowadzil go wzrokiem do drzwi kierowcy. Fascynacja Johnnym Cashem dobieгла konca z chwila, gdy Boyd zauwazyl mijajacego nas pickupa oraz siedzace na tylnej kanapie, urocze, weimarskie wyzly. Kiedy probowal sie dzwignac, przycisnelam jego zad do kanapy.

– To ladny pies, prosze pani.

– Tak.

– Z takim towarzyszem nikt pani nie zaczepi.

– Jako pies obronny potrafi być bardzo agresywny. Jechaliśmy w milczeniu, kiedy zadzwonił mój telefon.

Sprawdziłam numer i odrzuciłam połączenie. Chwilę później miniaturowy Johnny Cash podjął na nowo rozmowę.

– Widziałem panią w telewizji, prawda?

– A widział pan?

– Nie lubię ciszy, dlatego kiedy jestem sam, zawsze włączam telewizor. Właściwie nie przykładałam większej uwagi do tego, co akurat dzieje się na ekranie, po prostu od czasu do czasu sprawdzę, o czym mówią. To tak, jakbym miał towarzystwo.

Po tych słowach uśmiechnął się, jak gdyby zdał sobie sprawę z własnej głupoty.

– Ale mam pamięć do twarzy. W mojej pracy to dość przydatna sprawa.

Mówiąc to, wyciągnął dłoń w moim kierunku. Zauważyłam, że skóra była szara i nienaturalnie gładka, jak gdyby ciało mężczyzny spuchło i nigdy więcej nie wróciło do normalnego kształtu.

– Jestem pewien, że widziałem panią dzisiaj. – Dłoń wróciła na kierownicę, a jastrzębie oczy patrzyły to na mnie, to na drogę. – Bierze pani udział w śledztwie dotyczącym katastrofy.

Uśmiechnęłam się. Albo facet nie słuchał uważnie, albo po prostu starał się być miły.

Ręka znów wyciągnęła się w moim kierunku.

– Nazywam się Bowman.

Uścisk jego dłoni był niczym imadło.

– Temperance Brennan.

– To wpływowe nazwisko, młoda damo.

– Dziękuję.

– Jest pani z Ligi Antyalkoholowej?

– Nie rozumiem.

– Należę do ludzi, którzy uważają, że alkohol to główna przyczyna zbrodni, ubóstwa i przemocy, które nękają ten cudowny kraj. Alkohol to najpotężniejszy oręż samego Lucyfera i największy wróg podstawowej komórki społecznej, jaką jest rodzina.

Bowman. Teraz już wiedziałam.

– Czy pan jest Lukem Bowmanem?

– Tak.

– Wielebnym Lukem Bowmanem?

– Słyszała pani o mnie?

– Zatrzymałam się u Ruby McCready w High Ridge House. – Nie wiem, po co mówiłam mu to wszystko, ale na swój sposób czułam się bezpieczna.

– Siostra McCready nie należy do mojej trzódki, ale to dobra kobieta. High Ridge House to przyzwoity, chrześcijański dom.

– Czy jest jakiś pan McCready? – Pytanie to od jakiegoś czasu nie dawało mi spokoju, jednak nigdy nie miałam śmiałości go zadać.

Tym razem wielebny nawet na mnie nie spojrział. Mijały sekundy i pomyślałam, że nie doczekam się odpowiedzi.

– Nie odpowiem pani na to pytanie. Najlepiej, aby siostra McCready opowiedziała pani całą historię.

Ruby miała do opowiedzenia jakąś historię?

– Jak się nazywa pana kościół?

– Zielonoświątkowy Dom Boży Wiecznego Światła. Południowe Appalachy to siedziba fundamentalistycznej, chrześcijańskiej sekty o nazwie Kościół Boga z Widocznymi Znakami, znanej także jako Kościół Świętości. Zainspirowani biblijnymi przypowieściami wyznawcy, szukają łaski Ducha Świętego, żałując za grzechy i prowadząc pobożne życie. Wierzą, że tylko w ten sposób mogą zostać namaszczeni, a co za tym idzie, dostąpią łaski odczytywania bożych znaków. Znaki te to umiejętność władania językami, przepędzanie demonów, uzdrawianie chorych, poskramianie węży i przyjmowanie substancji trujących.

Na bardziej zaludnionych obszarach kaznodzieje zakładają trwałe wspólnoty religijne.

Jeszcze gdzie indziej, wędrują wśród swoich owieczek. Posługi trwają kilka godzin, a punktem kulminacyjnym jest picie strychniny i osvajanie jadowitych węży. Kaznodzieje zdobywają sławę i wyznawców dzięki umiejętnościom oratorskim i odporności na truciznę. Każdego roku umierają ludzie. Deformacja dłoni Bowmana powoli zaczynała nabierać sensu. Mężczyzna przynajmniej raz musiał zostać ukąszony.

Samochód skręcił w lewo kilka budynków za supermarketem, w którym jeszcze niedawno robiłam zakupy, a następnie w prawo, na zrytą koleinami ulicę. Warsztat samochodowy P&T znajdował się między warsztatem szklarza a punktem drobnych napraw.

To właśnie tam wielebny zatrzymał się i wyłączył silnik.

Budynek miał kształt obitego błękitnym aluminium prostokąta, na którego końcu znajdowało się biuro. Przez otwarte drzwi dostrzegłam kasę, kontuar i trzy głowy w zadaszonych czapkach. Drugi koniec warsztatu mieścił garaż, w którym aktualnie stał zdezelowany chevrolet kombi. Jego otwarte drzwi i pozycja, w jakiej opierał się na lewarku, sprawiały, że samochód wyglądał, jak gdyby szykował się do lotu.

Na zewnątrz biura stał zaparkowany stary ford pinto oraz dwa pickupy.

Kiedy Bowman wyszedł z samochodu, Boyd wydal z siebie niski, przeraźliwy pomruk.

Podążając za jego wzrokiem, ujrzałam leżącego na progu biura, brązowo-czarnego psa.

Zwierzę wyglądało jak rasowy pit bull.

W mgnieniu oka skóra na pysku Boyda skurczyła się, odsłaniając kły. Jego ciało napięło się niczym struna, a gardłowy pomruk przeszedł w złowieszcze warczenie.

Cholera. Czemu nie wzięłam smyczy?

Zaciskając palce na obroży, otworzyłam drzwi i pociągnęłam Boyda za sobą. Niemal natychmiast pojawił się Bowman, który ścisnął w dłoni zwój liny.

– Wożę ją w bagażniku – powiedział. – Flush potrafi być drażliwy.

Podziękowałam i przywiązałam linę do obroży Boyda, który ani na chwilę nie odrywał wzroku od swego przeciwnika.

– Chętnie się nim zajmę, kiedy pani będzie rozmawiała z mechanikiem.

Spojrzałam na Boyda. Zwierzę gapiło się na pit bulla niczym na kawał soczystego steku.

– Dzięki. To chyba najlepsze rozwiązanie.

Przebiegłam parking, przestąpiłam próg biura i ostrożnie, jak tylko mogłam, ominęłam Flusha. Pies zastrzygł uchem, jednak nie podniósł wzroku. Być może pit bull zachowują spokój, wiedząc, że z łatwością zabiją każdego, kto ten spokój naruszy. Miałam tylko nadzieję, że Boyd nie będzie próbował go sprowokować i zachowa bezpieczną odległość.

Wnętrze biura niczym nie różniło się od innych warsztatów. Był tam wydzierany kalendarz ze zdjęciami Wielkiego Kanionu. Automat z papierosami. Szklany pojemnik z latarkami, mapami i częściami samochodowymi. Trzy kuchenne krzesła i pit bull.

Kiedy weszłam, dwa krzesła były zajęte przez staruchów, na trzecim siedział mężczyzna w poplamionej olejem roboczej koszuli i takich samych spodniach. Na mój widok mężczyźni przerwali rozmowę, jednak żaden z nich nie podniósł się z krzesła.

Wnioskując, że najmłodszy z nich to zapewne P lub T, przedstawiłam się i spytałam o holowanie.

Mężczyzna odparł, że laweta była już w drodze i powinna wrócić za około dwadzieścia minut. Dodał też, że rzuci okiem na mój samochód, jak tylko upora się z chevroletem. Spytałam, ile to może potrwać. Nie potrafił określić, ale na wypadek gdybym

chciała zaczekać, zaproponował mi krzesło. Powietrze w biurze przesycone było zapachami. Benzyna. Olej. Dym papierosowy.

Starcy. I pies. Zdecydowałam, że poczekam na zewnątrz.

Kiedy wróciłam do Luke'a Bowmana, podziękowałam mu za uprzejmość i odebrałam Boyda. Zwierzę szarpało się na prowizorycznej smyczy, nawet na chwilę nie spuszczając wzroku z pit bulla. Flush albo spał, albo udawał pogrążonego we śnie, czekając tylko, by

Boyd podszedł wystarczająco blisko.

– Da pani sobie radę?

– Niebawem powinni przywieźć samochód. Czekam też na znajomego detektywa. W razie gdyby naprawa potrwała dłużej, odwiezie mnie do High Ridge House. Mimo to jeszcze raz dziękuję. Uratował mi pan życie.

Po raz kolejny zadzwonił mój telefon. Jak zwykle w takich sytuacjach sprawdziłam numer i zignorowałam rozmowę. Bowman stał wciąż na swoim miejscu, jak gdyby niespieszne mu było się ze mną rozstawać.

– Siostra McCready wynajmuje pokoje kilku osobom związanym ze śledztwem, prawda?

– Kilka osób faktycznie tam mieszka.

– Ta katastrofa to straszna rzecz. – Mówiąc to, chwycił się za nos i potrząsnął głową. Nie odpowiedziałam.

– Czy wiadomo już, dlaczego samolot się rozbił?

Najwyraźniej wielbny Bowman zobaczył coś w mojej twarzy.

– Nie słyszała pani mojego nazwiska od Ruby McCready, prawda, pani Temperance?

– Pojawiło się na zebraniu.

– Boże Wszechmogący.

Na krótką chwilę oczy Bowmana stały się zupełnie czarne. Mężczyzna spuścił głowę i nerwowo rozmasował skronie.

– Zgrzeszyłem i Zbawiciel chce, bym przyznał się do winy.

O czym on gada, do cholery.

Kiedy Bowman podniósł wzrok, jego oczy były wilgotne od łez. Łamiącym się głosem wypowiedział kolejne zdanie.

– Bóg przysłał panią na świadka.

## Rozdział 16

Zwierzzenia zajęły Luke'owi Bowmanowi pół godziny. W tym czasie ludzie z mediów dzwoniли do mnie cztery razy. W końcu wyłączyłam telefon.

Słuchając wielebnego, wciąż myślałam o „utrudnianiu pracy wymiarowi sprawiedliwości”. Znowu zaczęło padać. Siedząc w samochodzie Bowmana, patrzyłam na rozpryskujące się na szybie grube krople i delikatne bańki na powierzchni kałuży. Boyd, który pojął, że lepiej zostawić Flusha w spokoju, leżał skulony u moich stóp.

Niebawem zobaczyłam swój samochód na lawecie. Przypominał wypłute przez morze szczątki wraku. Bowman nie przerywał swego monologu.

Kiedy chevrolet dołączył do stojących na parkingu forda pinto i pickupów, mężczyzna w usmarowanym kombinezonie otworzył drzwi i manewrując kierownicą, wepchnął moją mazdę do garażu. Chwilę później zajrzał pod maskę.

Bowman ciągle gadał, szukając rozgrzeszenia.

W końcu zakończył opowieść i zamilkł, jak gdyby wyczuł, że odzyskał należne sobie miejsce u boku Pana. Właśnie wtedy na parkingu pojawił się Ryan.

Kiedy wysiadł z samochodu, opuściłam szybę i zawołałam do niego. Chwilę później detektyw Andrew Ryan stał przy samochodzie Bowmana, opierając przedramiona na opuszczonej szybie. Przekonana, że obaj panowie powinni się poznać, przedstawiłam Ryanowi wielebnego Luke'a Bowmana.

– My już się znamy. – Krople deszczu lśniły na włosach Ryana niczym aureola.

– Wielebny opowiedział mi właśnie ciekawą historię.

– Czyżby?

– Możliwe, że okaże się ona pomocna w śledztwie. Może nie. W każdym razie, proszę pamiętać, że to najszczerza prawda.

Bowman zerknął na zegarek.

– Pozwolę, aby ta urocza dama przekazała panu moje słowa.

Mówiąc to, przekręcił kluczyk. Zaniepokojony Boyd podniósł głowę. Kiedy Ryan otworzył drzwi pasażera, pies przeciągnął się i podenerwowany wyskoczył z wozu.

– Jeszcze raz dziękuję.

– Cała przyjemność po mojej stronie. – Bowman spojrzał na Ryana. – Wie pan, gdzie mnie znaleźć.



Chwilę później patrzyłam, jak samochód wielebnego kołysze się na drodze, rozchlapując na boki zgromadzoną w koleinach wodę.

Nigdy wcześniej nie miałam do czynienia z człowiekiem pokroju Bowmana. Dlaczego opowiedział mi to wszystko? Ze strachu? Z poczucia winy? A może najzwyczajniej w świecie bał się o swój tyłek? O czym myślał w tej chwili? O wieczności? Żalu za grzechy? Wieprzowych kotletach, które rozmrozi na kolację?

– Co z twoim samochodem? – Głos Ryana sprowadził mnie na ziemię.

– Potrzyмай Boyda, a ja pójdę sprawdzić.

Oddając Ryanowi linę, pobiegłam do garażu, gdzie P lub T wciąż grzebał pod maską. Według niego problemem mogła być pompka wody, jednak całkowitą pewność mógł mieć dopiero następnego dnia. Zostawiłam mu numer komórki i powiedziałam, że zatrzymałam się u Ruby McCready. Kiedy wróciłam do samochodu, Ryan i Boyd siedzieli już w środku. Zanim dołączyłam do nich, stałam z włosów krople deszczu.

– Czy pompka wody może tak bardzo hałasować? – spytałam.

Ryan wzruszył ramionami.

– Jakim cudem wróciłeś tak wcześnie z Asheville?

– Wypadło mi coś innego. Posłuchaj, umówiłem się na obiad z McMahonem. Może dołączysz do nas i opowiesz nam historię Bowmana.

– Odwieźmy najpierw psa.

Miałam nadzieję, że tym razem nie pojedziemy do Injun Joe's.

Nie pojechaliśmy.

Zostawiliśmy Boyda w High Ridge House i udaliśmy się do Bryson City Diner. Lokal był długi i wąski niczym wagon kolejowy. Po jednej stronie znajdowały się boksy, zaopatrzone w osobne tace z przyprawami, kółka do serwetek i miniaturowe szafy grające. Po przeciwnej umieszczono chromowany kontuar i przytwierdzone do podłogi, barowe stołki. Resztę wystroju stanowiła czerwona, winylowa tapicerka, plastikowe talerze na ciastka, wiszący przy drzwiach wieszak i znajdujące się na tyłach lokalu toalety. Miejsce robiło wrażenie. Nie było tu górskich widoków ani etnicznych doznań. Żadnych zagmatwanych akronimów czy zamierzonych błędów ortograficznych, mających na celu przydać lokalowi aliteracyjnej słodyczy. Zgodnie z nazwą serwowano tu obiady. Pora na obiad była wczesna, nawet jeśli wziąć pod uwagę fakt, że znajdowaliśmy się w górach. Przy kontuarze siedziało zaledwie kilku gości, którzy ściszonymi głosami rozprawiali o pogodzie i problemach w pracy. Kiedy weszliśmy, większość z nich podniosła wzrok.

Przez krótką chwilę zastanawiałam się, czy nie rozmawiali o mnie. Gdy szłam do narożnego boksu, czułam na plecach ciekawskie spojrzenia i wyczuwałam, że ludzie na mój widok trącają się łokciami. A może takie obrazy podpowiadała mi jedynie moja wyobraźnia? Jeszcze dobrze nie usiedliśmy, gdy przy naszym, stoliku pojawiła się kobieta w białym fartuszku i różowej sukience, wyciągając ku nam laminowane, ręcznie spisane menu. Na przypiętej do lewej piersi plakietce widniało imię; „Cynthia”. Zamówiłam mięso duszone z jarzynami, podczas gdy Ryan i McMahon zdecydowali się na klopsy.

– Coś do picia?

– Dla mnie mrożona herbata. Niesłodzona.

– Dla mnie to samo – dodał McMahon.

– Ja poproszę lemoniadę. – Ryan był śmiertelnie poważny, jednak tym razem wiedziałam, co chodzi mu po głowie.

Cynthia przyjęła zamówienie, przez długi czas wpatrywała się we mnie, po czym zatknęła ołówek za ucho. Wchodząc za kontuar, wyrwała kartkę z notatnika i przypięła ją do drutu przy okienku serwisowym.

– Dwie szóstki i czwórka – krzyknęła, po raz kolejny zerkając w moją stronę.

Jej ukradkowe spojrzenia na nowo obudziły we mnie paranoiczne myśli.

Ryan zaczekał na drinki i dopiero wówczas poinformował McMahona o mojej rozmowie z Lukem Bowmanem.

– Co, do cholery, robiłaś w towarzystwie tego człowieka? – Jego głos zdradzał zaniepokojenie, choć nic wiedziałam, czy była to troska o moje bezpieczeństwo, czy obawa o to, że mogę zostać aresztowana pod zarzutem utrudniania śledztwa.

– Zepsuł się mi samochód, a Bowman najzwyczajniej w świecie zaoferował pomoc. Nie pytajcie, co takiego skłoniło go do późniejszych wyznań.

Mówiąc to, wyjęłam słomkę i włożyłam ją do herbaty.

– Chcecie wiedzieć, co mi powiedział?

– Mów.

– Zdaje się, że wielebny Bowman i wielebny Claiborne przez jakiś czas walczyli o strefy wpływów. Ruch Świętości nie jest już tym, czym był kiedyś i duchowni są zmuszeni zabiegać o względy swych owieczek. Częścią gry stała się umiejętność zainteresowania swą osobą szerszej publiczności.

– Mogłabyś mówić jaśniej? Mówimy tu o węzach, tak? – spytał Ryan.

Skinęłam głową.

– Co węże mają wspólnego ze świętością?

Tym razem nie zignorowałam jego pytania.

– Wyznawcy Ruchu Świętości interpretują Biblię dosłownie, cytując fragmenty mówiące o poskramianiu węży.

– Jakie fragmenty? – W głosie Ryana słychać było pogardę.

– „Te zaś znaki towarzyszyć będą tym, którzy uwierzą; w imię moje złe duchy będą wyrzucać, nowymi językami mówić będą; węże brać będą do rąk i jeśli by co zatrutego wypili, nie będzie im szkodzić”<sup>16</sup>. Ewangelia Marka, rozdział szesnasty, wersy siedemnasty i osiemnasty.

Ryan i ja spojrzeliśmy na McMahona.

– „Oto dałem wam władzę stąpania po węzach i skorpionach, i po całej potędze przeciwnika, a nic wam nie zaszkodzi”<sup>17</sup>. Ewangelia Łukasza, rozdział dziesiąty, wers dziewiętnasty – kontynuował McMahon.

– Skąd to wiesz? – spytał Ryan.

– Wszyscy nosimy to samo brzemie.

– Myślałem, że szkolisz się z zakresu inżynierii.

– Bo to prawda.

Ryan wydawał się zaintrygowany gadami.

– Czy węże są w jakiś sposób oswajane, przyzwyczajone do tego, że ludzie biorą je do rąk? Mają wyrwane zęby jadowe? A może pozbawia się je jadu?

– Z tego co wiem, nie – odparł McMahon. – Najbardziej popularne są grzechotniki diamentowe i mokasyny błotne, o które nietrudno na wzgórzach. Jeśli dobrze pamiętam, w wyniku tych praktyk zginęło już kilkoro ludzi.

– Czy to nie jest nielegalne?

– Owszem – odparł agent. – Jednak w Karolinie Północnej tresowanie węży rzadko jest traktowane jako wykroczenie.

Cynthia, która nagle pojawiła się przy stoliku, postawiła przed nami talerze z jedzeniem i natychmiast wróciła za kontuar. Ryan i ja rzuciliśmy się na sól i pieprz, podczas gdy

McMahon dosłownie utopił swoją porcję w sosie.

– No, Tempe, opowiadaj – zwrócił się do mnie.

– Postaram się opowiedzieć wszystko najlepiej, jak potrafię.

---

<sup>16</sup> [Cytat za Biblia Tysiąclecia, wydanie piąte, 2000 (przyp. tłum.)]

<sup>17</sup> [Cytat za Biblia Tysiąclecia, wydanie piąte, 2000 (przyp. tłum.)]

Spróbowałam zielonego groszku. Był pyszny, a godziny gotowania w cukrze i bekonie sprawiły, że nabrał cudownego, słodko-tłustego smaku. Niech Bóg błogosławi południowe stany.

– Choć w rozmowie z NTSB zaprzeczył wszystkiemu, tamtego dnia Luke Bowman faktycznie był na zewnątrz i wystrzeliwał w niebo pewne rzeczy.

Przerwałam, by skosztować suszonki. Była tak wyśmienita jak groszek.

– Ale nie były to rakiety.

Ryan i McMahan czekali, aż nabiję na widelec kolejną porcję mięsa, które dosłownie rozpływało się w ustach.

– Naprawdę dobre – mruknęłam.

– No więc co wyrzucał w powietrze?

– Gołębie.

Ryan zamarł z widelcem uniesionym w połowie drogi do ust.

– To znaczy, ptaki?

Skinęłam głową.

– Wygląda na to, że nasz walebnny serwuje swym owieczkom efekty specjalne.

– Tanie sztuczki?

– On nazywa to przedstawieniem w imię Boga. Nieistotne. W każdym razie powiedział, że tamtego popołudnia, kiedy Air TransSouth 228 runął z nieba, on odbywał próbę.

Ryan machnął widelcem, zachęcając mnie do dalszej opowieści.

– Bowman przygotowywał homilię na temat dziesięciu przykazań. Zamierzał wymachiwać glinianymi tablicami i ostentacyjnie zniszczyć je jak Mojżesz, który widząc, że Hebrajczycy porzucili wiarę, roztrzaskał oryginały. Gwoździem programu miało być zniszczenie tablic i nakłonienie wiernych do żalu za grzechy. Gdyby ci błagali o wybaczenie, Bowman zamierzał wypuścić w niebo kłęby dymu i stado gołębi. Myślał, że coś takiego zrobi na ludziach spore wrażenie.

– Fantastyczne – mruknął Ryan.

– A więc to jest to szokujące wyznanie? Facet siedział w ogrodzie, bawiąc się gołębiami i dymem? – skomentował McMahan.

– To jego wersja.

– Facet robi takie rzeczy regularnie?

– Chyba lubi widowiska.

– I skłamał w trakcie przesłuchania, bo bał się, że wierni odkryją jego mistyfikację?

– Tak twierdzi. Wkrótce jednak dostał znak od Wszechmogącego i zaczął drżeć o własną duszę.

– Albo o to, że skończy w federalnym więzieniu. – Pogarda w głosie Ryana była niemal namacalna.

Skończyłam groszek.

– To ma sens – zaczął McMahon. – Pozostali świadkowie, w tym wielebny Claiborne, twierdzą, że widzieli, jak coś leciało ku niebu. Znając zawodną naturę naocznych świadków, faktycznie mogły to być gołąbki.

– Gołębie – poprawiłam go. – Brzmiały bardziej papiesko.

– NTSB i tak praktycznie wykluczyło teorię z rakieta – ciągnął McMahon.

– Tak?

– Z kilku powodów.

– Podaj chociaż jeden.

– W promieniu ośmiu kilometrów od miejsca katastrofy nie znaleziono ani śladu pocisku.

McMahon nakrył klopa papką z tłuczonych ziemniaków.

– I nie natknięto się na bliźniakowanie?

– Co to jest bliźniakowanie?

– To deformacja plastyczna metali, takich jak miedź, żelazo czy stal. Aby doszło do bliźniakowania, obiekt musi spadać z prędkością większą niż osiem tysięcy metrów na sekundę. W praktyce oznacza to wojskowy ładunek wybuchowy, taki jak RDC czy C4.

– Czyli ani śladu bliźniakowania?

– Jak do tej pory.

– To znaczy?

– Materiały używane do konstrukcji bomb domowej roboty, takie jak proch, materiały wybuchowe i dynamit, nie są wystarczająco silne. Pole rażenia tych ładunków sięga do tysiąca metrów w ciągu sekundy. To nie wystarczy, by doszło do bliźniakowania, jednak siła eksplozji może zniszczyć samolot. Tak więc brak bliźniakowania nie oznacza, że na pokładzie nie doszło do wybuchu. – Mówiąc to, McMahon wsunął do ust kawałek klopa. – Poza tym wszystko wskazuje na to, że w samolocie eksplodował ładunek wybuchowy.

W tym samym momencie zadzwonił telefon Ryana. Detektyw odebrał rozmowę i mruknął coś po francusku. Mimo iż rozumiałam jego słowa, nie miałam, pojęcia, o co chodziło.

– Wygląda na to, że od zeszłego tygodnia NTSB nie poczyniło wielkich postępów. Coś wybuchło na tyłach samolotu, ale wciąż nie mają pojęcia co i dlaczego.

– Na to wygląda – przyznał McMahon. – Bogaty mężulek został wykluczony z kręgu podejrzeń. Facet ma nawet szansę zostać świętym. W ubiegłym roku, kiedy odnalazł się jego kot, gość wpłacił ćwierć miliona dolarów na Humane Society.

– A co z chłopakiem ze Sri Lanki?

– Jego wuj wciąż pracuje w radiu i jak do tej pory nie było żadnych gróźb, liścików, publicznych oświadczeń, ani niczego podobnego. Ten trop to prawdopodobnie ślepa uliczka, mimo to wciąż go sprawdzamy.

– Czy FBI przejęło śledztwo?

– Oficjalnie nie, ale dopóki istnieje podejrzenie, że był to zamach terrorystyczny, pozostaniemy na miejscu.

Ryan zakończył rozmowę i sięgnął po papierosa. Nie byłam w stanie odczytać wyrazu jego twarzy, jednak mając w pamięci wpadkę z Danielle, postanowiłam o nic nie pytać.

McMahon nie miał jednak w tej kwestii żadnych skrupułów.

– Co się stało?

Nastąpiła chwila milczenia, po czym Ryan stwierdził.

– Zaginęła żona Petricellego.

– Wyjechała?

– Niewykluczone.

Ryan odpalił papierosa i zerknął na stolik w poszukiwaniu popielniczki. Chwilę później wetknął zapalną w pudding ze słodkich ziemniaków. Zanim zaczął mówić dalej, przy stoliku zapadła niezręczna cisza.

– Wczoraj w Montrealu aresztowano niejakiego Andre Metraux, ćpuna jadącego na cracku. Przerażony, że będzie musiał odstawić kokainę, Metraux postanowił sypać.

Ryan zaciągnął się głęboko i wypuścił nosem kłęby dymu.

– Koleś przysięga, że w ubiegłą sobotę widział Peppera Petricellego w Plattsburghu, w stanie Nowy Jork. Rzekomo Petricelli był w jednym z miejscowych steakhouse'ów.

– To niemożliwe – wybuchłam. – Petricelli nie żyje...

Ryan oderwał wzrok od talerza i utkwił we mnie umęczone spojrzenie.

– Do tej pory nie zidentyfikowano czterech osób. Wśród nich są Bertrand i Petricelli.

– Chyba nie myślą, że... – O Boże, o czym on mówił?

Ryan i McMahon wymienili ukradkowe spojrzenia.

Czułam, że coś wisi w powietrzu.

– Co przede mną ukrywacie?

– Nie panikuj. Niczego przed tobą nie ukrywamy. Miałaś ciężki dzień i pomyśleliśmy, że ta wiadomość może poczekać do jutra.

Czułam, jak wzbiera we mnie wściekłość.

– Mówcie – powiedziałam ze spokojem.

– Tyrell przyszedł dzisiaj na odprawę, żeby przedstawić nam aktualne dane dotyczące urazów.

Myśl, że zostałam niesłusznie zaatakowana i wyłączona ze śledztwa, sprawiła, że poczułam się podle.

– Oto najnowsze wieści.

– Tyrell poinformował, że ma szczątki, które nie pasują do żadnego z pasażerów.

Gapiłam się na niego, zbyt zaskoczona, by wydusić z siebie choćby słowo.

– Wciąż nie odnaleziono czterech osób. Wszystkie zajmowały miejsca na tyle samolotu. Ich fotele były kompletnie zniszczone, więc istnieje przypuszczenie, że z tych osób niewiele zostało.

Ryan po raz kolejny zaciągnął się papierosem i po chwili wypuścił dym.

– Miejsca dwadzieścia dwa A i B zajmowało dwóch studentów. Bertrand i Petricelli siedzieli za nimi, w rzędzie dwadzieścia trzy. Tyrell twierdzi, że w trakcie badań natknął się na tkankę niepasującą do żadnego z osiemdziesięciu czterech zidentyfikowanych ciał, ani do nikogo z tej czwórki.

– To znaczy?

– Fragment ramienia z dużym tatuażem.

– Ktoś mógł zrobić sobie tatuaż tuż przed wylotem.

– Kawałek szczęki z mostkiem.

– Odciski palców – dodał McMahon.

Potrzebowałam chwili, by to wszystko przyswoić.

– Co to oznacza?

– Może to oznaczać mnóstwo rzeczy. McMahon dostrzegł Cynthię i skinieniem dłoni poprosił o rachunek.

– Może członkowie gangu motocyklowego podstawili dublera, a Petricelli faktycznie zajadał się befsztykiem w Nowym Jorku. – Głos Ryana był chłodny niczym stal.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Jeśli Petricellego nie było na pokładzie samolotu, mamy dwa rozwiązania. Albo Bertrand przeszedł na stronę wroga i postanowił zmienić kierunek swej kariery...

Ryan po raz ostatni zaciągnął się papierosem i zgasił niedopałek w papce z ziemniaków.

– ... albo został zamordowany.

\*\*\*

Wróciwszy do pokoju, sprawiłam sobie długą, gorącą kąpiel, po której przyszedł czas na łyk coli. Delikatnie odprężona, pachnąca wiciokrzewem i bzem, padłam na łóżko, podciągnęłam kolana pod brodę, okryłam się kocami i sięgnęłam po komórkę. Siedemnaście nieodebranych połączeń, jednak żadnego znajomego numeru. Chwilę później usunęłam wiadomości i wykonałam telefon.

Mimo iż uniwersytecka przerwa jesienna dobiegła końca i od wczoraj zajęcia ruszyły pełną parą, poprosiłam o przedłużenie urlopu. W tym czasie zamierzałam dokładniej przyjrzeć się miejscu, w którym – jak przypuszczałam – ukryte było ciało. Nie powiedziałam tego otwarcie, podobnie jak nie wyprowadziłam z błędu mojego przełożonego, który był przekonany, że wciąż biorę udział w identyfikacji zwłok. W pewnym sensie tak właśnie to wyglądało.

Obława, jaką media urządziły na moją osobę, budziła we mnie obawy. Wzięłam głęboki oddech, znalazłam numer Mike'a Perrigio i wcisnęłam: „połącz”. Zamierzałam rozłączyć się po siedmiu sygnałach, gdy nagie usłyszałam w słuchawce kobiecy głos. Kiedy spytałam o Mike'a, nastąpiła długa cisza, przerywana dobiegającym z oddali harmidrem i spazmatycznym łkaniem dziecka.

Głos, który usłyszałam chwilę później, był chłodny i niemalże opryskliwy. Mike poinformował mnie, że znalazł już zastępstwa na moje zajęcia. Poprosił, bym od czasu do czasu dała znak życia i rozłączył się.

Zaskoczona gapiłam się w telefon, kiedy znowu zadzwonił.

Tym razem moje zdumienie było jeszcze większe.

Larke Tyrell spytał, jak się mam. Słyszał już, że wróciłam do Bryson City i chciał wiedzieć, czy znajdę jutro czas, by się z nim spotkać o dziewiątej w centrum pomocy rodzinom ofiar. Przytakując, cały czas życzył mi miłego wieczoru i rozłączył się.

Gapiąc się w telefon, nie wiedziałam, czy śmiać się, czy płakać. Mój przełożony na uniwersytecie najwyraźniej znał ostatnie wieści, a to nie wróżyło nic dobrego. Z drugiej strony, Larke Tyrell chciał porozmawiać.



Czyżby naczelny lekarz sadowy przeszedł na moją stronę? A może zagadkowa tkanka przekonała go, że znaleziona przeze mnie stopa nie pochodziła z miejsca katastrofy?

Szukając odpowiedzi, zgasiłam stojącą przy łóżku lampkę i słuchając odgłosów świerszczy, poczułam, że sprawy idą wreszcie ku lepszemu. Byłam pewna, że zostanę oczyszczona z zarzutów i nawet nie przyszło mi do głowy, by spytać o cel tego spotkania.

Niebawem miałam się przekonać, że był to poważny błąd.

## Rozdział 17

Pierwszą rzeczą, jaką zauważyłam po przebudzeniu, był leżący na plecionym dywaniku kawałek papieru.

Zegar wskazywał siódmą dwadzieścia.

Wygrzebałam się spod kołdry, podniosłam kartkę i przejrzałam jej zawartość. Był to faks z listą sześciu nazwisk.

Drżąc z zimna, ubrana w majtki i koszulkę, zerknęłam na nagłówek: Nadawca: Biuro Prokuratora Generalnego, Stan Delaware. Odbiorca: Agent Specjalny Byron McMahon.

Temat: H&F, LLP.

Była to lista przedstawicieli H&F. McMahon musiał zapomnieć o niej ubiegłego wieczoru i wsunął ją pod drzwi. Przeczytałam nazwiska, jednak żadne z nich nie wydało mi się znajome.

Przemarznięta, wsunęłam faks do zewnętrznej kieszeni torby na laptop, pobiegłam na palcach do łazienki i wskoczyłam pod prysznic. Tam czekało mnie pierwsze tego dnia rozczarowanie. Sięgając po szampon, przypomniałam sobie, że zostawiłam zakupy w samochodzie Bowmana.

Nalałam wody do niemalże pustej butelki i umyłam włosy rozcieńczoną mieszanką. Po wyjściu spod prysznica wysuszyłam je, zrobiłam delikatny makijaż, założyłam spodnie khaki, biały podkoszulek i spojrzałam na swoje odbicie.

Kobieta w lustrze wyglądała dobrze, choć odrobinę zbyt swobodnie. Po chwili zastanowienia wrzuciłam na siebie rozpinany sweter i tak, jak robiła to Katy, zapięłam kilka górnych guzików. Nie chciałam przecież wyglądać jak idiotka.

Po raz kolejny zerknęłam w lustro. Całość prezentowała się stylowo i profesjonalnie, tak więc uspokojona pobiegłam na dół.

Zbyt zdenerwowana, by cokolwiek przełknąć, napiłam się kawy i nakarmiłam Boyda resztkami karmy Alpo. Chwilę później chwyciłam torebkę, ruszyłam w kierunku drzwi i zatrzymałam się w połowie drogi.

Nie miałam przecież samochodu.

Elegancka i spanikowana stałam na ganku, kiedy w drzwiach pojawił się mniej więcej siedemnastoletni chłopak. Jego włosy były zafarbowane na niebiesko i ogolone po bokach,

tak, że od czoła do podstawy szyi biegł jaskrawy pas błękitu. Nos, brwi i uszy dzieciaka miały w sobie więcej metalu niż sklep dla harleyowców.

Zignorował mnie, zeskoczył ze schodów i zniknął za domem.

Tuż za nim pojawił się Ryan, ściskając w rękach kubek parującej kawy.

– Co tam, jaskierku?

– Kim do cholery był ten dzieciak?

– Ten nabity ćwiekami smurf? – Mówiąc to, Andrew pociągnął łyk kawy. – Eli, siostrzeniec Ruby.

– Ciekawy image. Ryan, przepraszam, że cię o to proszę, ale za dwadzieścia minut mam spotkanie z Tyrellem, a właśnie dotarło do mnie, że mój samochód jest w warsztacie.

Ryan pogrzebał w kieszeniach i rzucił mi kluczyki.

– Weź mój. Pojadę z McMahonem.

– Jesteś pewien?

– Nie masz umowy najmu, więc lepiej niech cię nie aresztują.

\*\*\*

W przeszłości centra pomocy rodzinom ofiar znajdowały się nieopodal miejsca katastrofy, w celu ułatwienia przepływu danych. Sytuacja uległa zmianie, kiedy psychologowie odkryli, jak wpływa na rodziny ofiar obcowanie z miejscem, w którym zginęli ich najbliżsi.

W przypadku katastrofy Air TransSouth 228 centrum pomocy znajdowało się w Sleep Inn w Bryson City. Pokoje zostały przekształcone w biura, a łóżka zastąpione szafkami, biurkami, krzesłami, telefonami i laptopami. To tu zbierano informacje na temat ofiar, tu odbywały się spotkania, a rodziny dowiadywały się o tym, że właśnie zidentyfikowano ciała ich bliskich.

Teraz wszystko było już skończone. Za wyjątkiem dwóch pokoi, pomieszczenia, w których jeszcze niedawno roiło się od pogrążonych w żałobie ludzi, personelu NTSB, lekarzy sądowych i przedstawicieli Czerwonego Krzyża, odzyskały swój pierwotny wygląd.

Zmniejszono także środki ochrony. Wjeżdżając na parking, ze zdziwieniem zauważyłam dziennikarzy, którzy popijając kawę ze styropianowych kubków, czekali na sensacyjne wieści.

Tak bardzo chciałam dotrzeć na czas, że przez myśl mi nie przeszło, iż to właśnie ja mam być ową rewelacją.

Kątem oka dostrzegłam operatora, który zarzucił na ramię swoją minikamerę.

– Już jest.

Nagle dookoła zaroilo się od kamer, a mikrofony wystrzeliły do góry niczym żwir spod elektrycznej kosiarki.

– Dlaczego dotykała pani szczątków?

– Czy fałszowała pani raporty na temat ofiar?

– Dr Brennan...

– Czy to prawda, że w sprawach, które pani prowadziła, brakuje dowodów?

– Doktor...

Lampy błyskowe świeciły mi prosto w oczy. Mikrofony szturchały podbródek, czoło i pierś, a napierające na mnie ciała ciągnęły się za mną niczym oślizgłe wodorosty. Patrzyłam przed siebie, nie odpowiadając na żadne pytania. Miałam jeden cel: przedrzeć się przez tłum jak dobijający do brzegu pływak. Jednak przestrzeń dzieląca mnie od motelu zdawała się oceanem nie do pokonania.

Chwilę później ktoś chwycił mnie za rękę i znalazłam się w budynku. Stojący obok policjant zamykał szklane drzwi, spoglądając na stłoczony za nimi motłoch.

– Nic pani nie jest?

Nie odpowiedziałam, bojąc się brzmienia własnego głosu.

– Tędy proszę.

Podeszłam za nim do windy. Kiedy wjeżdżaliśmy na górę, mężczyzna splótł ramiona i delikatnie rozstawił nogi. Ja tymczasem, starałam się odzyskać jasność umysłu i opanować drżenie nóg.

– W jaki sposób ci z prasy dowiedzieli się o spotkaniu? – spytałam.

– Nie wiem, proszę pani.

Kiedy wysiedliśmy na drugim piętrze, funkcjonariusz podszedł do pokoju 201 i oparł się plecami o ścianę.

– Drzwi są otwarte. – Mówiąc to, spojrział w zupełnie innym kierunku.

Wzięłam dwa głębokie wdechy, pociągnęłam za klamkę i weszłam do środka.

W dalekim końcu pomieszczenia dostrzegłam siedzącego za biurkiem wicegubernatora Karoliny Północnej. Spośród milionów myśli, które walczyły w mojej głowie o palmę pierwszeństwa, pamiętam tę jedną: skóra Parkera Davenporta wyglądała zdrowiej, niż kiedy widziałam go po raz ostatni.

Po lewej ręce wicegubernatora siedział Larke Tyrell, a po prawej Earl Bliss. Lekarz sądowy przywitał mnie skinieniem głowy. Głównodowodzący DMORT nawet na mnie nie spojrzał.

– Proszę usiąść, dr Brennan. – Davenport skinął w kierunku fotela po drugiej stronie biurka.

Kiedy usiadłam, wicegubernator odchylił się w fotelu i splótł palce na piersi. Widok za jego plecami był oszałamiający jak pocztówka z gór Smokey, namalowana w jaskrawych barwach jesieni. Mrużąc oczy w oślepiającym słońcu, natychmiast zrozumiałam tę przedziwną grę. Gdyby dowodził tu Tyrell, byłabym przekonana, że wybór miejsca to czysta strategia. Nie miałam jednak pewności, czy Davenport był na tyle bystry.

– Napije się pani kawy? – spytał wicegubernator.

– Nie, dziękuję.

Patrząc na niego, zastanawiałam się, jakim cudem wytrwał tak długo na stanowisku publicznym. Nie był ani wysoki, ani niski. Jego włosy nie były ani ciemne, ani jasne, a skóra ani gładka, ani pobrużdżona. Włosy i oczy tego człowieka miały przedziwny, brązowy odcień. Nawet jego głos brzmiał nijako, jak gdyby Davenport nie chciał zadawać sobie wystarczająco wiele trudu, by pokusić się o modulację. W systemie, który wybiera swych przywódców, kierując się aparycją i elokwencją, Davenport był nikim. Krótko mówiąc, nie rzucał się w oczy. Ale może to właśnie było jego największym atutem. Ludzie głosowali na Davenporta i niemal natychmiast o nim zapominali.

Chwile później wicegubernator rozplótł palce, spojrzał na swoje dłonie i na mnie.

– Dr Brennan, dotarły do mnie bardzo niepokojące wieści.

– Cieszę się, że możemy w końcu je wyjaśnić.

– Tak. – Davenport pochylił się w stronę biurka i otworzył leżącą przed nim teczkę. Na blacie, po lewej stronie, leżała kasetka video i jakieś dokumenty. W pokoju zapadła cisza, w czasie której Davenport pobieżnie przejrzał dokumentację.

– Przejdźmy do sedna sprawy.

– Oczywiście.

– Czy czwartego października, przed przyjazdem NTSB i funkcjonariuszy biura lekarza sądowego, weszła pani na miejsce katastrofy samolotu Air TransSouth?

– Ponieważ byłam w pobliżu, Earl Bliss poprosił mnie, bym udała się na miejsce zdarzenia. – Mówiąc to, spojrzałam na głównodowodzącego DMORT, który w milczeniu oglądał swoje dłonie.

– Czy miała pani oficjalne pozwolenie na wejście?

– Nie, proszę pana, ale...

– Czy podała pani błędne informacje, mówiąc, że jest pani reprezentantką NDMS?

– Nie.

Davenport zerknął na kolejną kartkę.

– Czy ingerowała pani w pracę lokalnych władz, mając na celu odszukanie i identyfikację zwłok?

– W żadnym wypadku! – Poczułam falę gorąca, która oblewała moją szyję i twarz.

– Czy nakazała pani zastępcy szeryfa, Anthony’emu Skinnerowi, usunąć z ciała ofiary folię zabezpieczającą, wiedząc, że w okolicy grasują dzikie zwierzęta?

– To standartowa procedura.

Zerknęłam na Earla i Larke’a, jednak żaden z nich nie zaszczycił mnie swoim spojrzeniem. Spokojnie – pocieszyłam się w duchu.

– Mamy zeznania, że pogwałciła pani procedurę – Davenport ostentacyjnie podkreślił ostatnie słowo – usuwając szczątki, zanim zostały skatalogowane.

– To była wyjątkowa sytuacja i wymagała ode mnie natychmiastowej reakcji. Musiałam podjąć samodzielną decyzję, o czym informowałam już dr. Tyrella.

Davenport pochylił się do przodu, a jego głos stał się jeszcze bardziej nieprzyjemny.

– Czy kradzież tychże szczątków była również podyktowana podjęciem samodzielnej decyzji?

– Co takiego?

– Szczątki, o których mówimy, zniknęły z kostnicy.

– Nic o tym nie wiem.

Davenport zmrużył wyblakłe, brązowe oczy.

– Naprawdę?

Wicegubernator wziął kasetę, podszedł do magnetowidu i wsunął ją do środka. Kiedy nacisnął „play”, na ekranie pojawił się upiorny, szarawy obraz – natychmiast rozpoznałam nagranie z kamery monitorującej. Chwilę później ujrzałam autostradę, wjazd na parking i zajeżdżający przed kostnicę mój własny samochód. Stojący przy bramie ochroniarz przegnał mnie niecierpliwym ruchem ręki. Z budynku wyszła Primrose, zamieniła z mężczyzną kilka słów, podeszła do samochodu i wręczyła mi torbę. Chwilę rozmawialiśmy, po czym Primrose poklepała mnie po ramieniu i odjechała.

Davenport nacisnął „stop” i przewinał taśmę. Kiedy wrócił do biurka, zerknęłam na pozostałych mężczyzn. Tyrell i Bliss patrzyli na mnie, jednak ich twarze pozostały niewzruszone.

– Pozwoli pani, że podsumuję – odezwał się Davenport. – Po dość niefortunnej serii zbiegów okoliczności, szczątki, o których rozmawiamy, czyli te, które rzekomo uratowała pani przed kojotami, najwyczejniej w świecie zniknęły.

– Co to ma wspólnego ze mną?

Davenport wziął do rąk kolejną kartkę.

– Wczesnym rankiem, w niedzielę, Primrose Hobbs, techniczka odpowiedzialna za wprowadzanie danych, wyjęła z chłodni fragmenty ludzkiej tkanki o numerze 387. Następnie udała się do pomieszczenia zawierającego dokumentację, skąd wyciągnęła akta dotyczące tej właśnie sprawy. Później, tego samego dnia, widziano, jak pani Hobbs przekazuje pani torbę. Transakcja ta została nagrana i właśnie mieliśmy okazję ją obejrzeć.

Davenport utkwiał we mnie swoje spojrzenie.

– Zarówno szczątki, jak i akta zginęły, dr Brennan. Mamy podstawy przypuszczać, że są w pani posiadaniu.

– Radziłabym porozmawiać z panią Hobbs – odparłam lodowatym głosem.

– To właśnie zamierzaliśmy uczynić, jednak w tym tygodniu pani Hobbs nie pojawiła się w pracy.

– Gdzie więc jest?

– Nie wiadomo.

– Czy wymeldowała się z motelu?

– Dr Brennan, zdaję sobie sprawę, że jest pani uznanym antropologiem sądowym o międzynarodowej renomie. Wiem, że w przeszłości konsultowała się pani z doktorem Tyrellem i koronerami na całym, świecie. Powiedziano mi, że pani kwalifikacje są w najwyższym stopniu niepodważalne. Tym bardziej dziwi mnie pani zachowanie w tej sprawie.

Po tych słowach spojrzał na swych towarzyszy, jak gdyby liczył na wsparcie.

– Nie mamy pojęcia, dlaczego ta sprawa stała się dla pani prawdziwą obsesją. Wiemy jednak, że pani zainteresowanie wykracza poza wszelkie ramy zarówno profesjonalne, jak i etyczne.

– Nie zrobiłam nic złego.

Tym razem odezwał się Earl.

– Być może twoje intencje były dobre, jednak bezprawne usunięcie szczątków ofiary wskazuje, że źle oceniłaś sytuację.

Po tych słowach opuścił głowę i strzepnął ze spodni niewidzialny pyłek.

– A to już ciężkie przestępstwo – dokończył Davenport.

Ignorując go, zwróciłam się bezpośrednio do głównodowodzącego DMORT.

– Earl, znasz mnie. Wiesz, że nigdy bym tego nie zrobiła.

Zanim Earl zdążył cokolwiek powiedzieć, wicegubernator sięgnął po leżącą na biurku brązową kopertę i wyciągnął z niej dwa zdjęcia. Zerknął na większe z nich, położył je na blacie i palcem przesunął w moją stronę.

Przez chwilę myślałam, że to żart.

– To pani, doktor Brennan, prawda?

Na zdjęciu Ryan i ja jedliśmy hot dogi naprzeciw dworca kolejowego Great Smoky Mountains.

– I porucznik detektyw Andrew Ryan z Quebecu. – Ostatnie słowo zabrzmiało w jego ustach niczym Quibec.

– Jakie to ma znaczenie, panie Davenport? – Mimo wściekłości starałam się panować nad głosem.

– Właśnie. Co łączy panią z tym człowiekiem?

– Detektyw Ryan i ja od lat pracujemy razem.

– Nie myślę się jednak, sądząc, że łączy was coś głębszego, prawda?

– Nie mam zamiaru odpowiadać na pytania dotyczące mojego życia prywatnego.

– Rozumiem.

Davenport podsunął mi kolejne zdjęcie. Widząc je, dosłownie zaniemówiłam.

– Sądząc po pani reakcji, wnioskuję, że zna pani mężczyznę sfotografowanego w towarzystwie detektywa Ryana.

– Jean Bertrand był partnerem Ryana. – Widok dwóch uśmiechniętych mężczyzn kompletnie mną wstrząsnął.

– Czy wie pani, że ten Bertrand jest podejrzany o spowodowanie katastrofy Air TransSouth?

– Nie wiem, o co panu chodzi.

– Doktor Brennan, czy mam to przeliterować? Pani – udał, że zastanawia się nad doborem odpowiednich słów – kolega ma powiązania z głównym podejrzanym. Pani natomiast zachowywała się w sposób – kolejna spektakularna przerwa – nieodpowiedzialny.

– Nie zrobiłam nic złego – powtórzyłam.

Davenport pokiwał głową, a na jego twarzy pojawił się dziwny grymas. Chwilę później westchnął, jak gdyby chciał dać mi do zrozumienia, ile nerwów kosztuje go cała ta sytuacja.



– Być może – jak zauważył pan Bliss – jedynym przestępstwem, jakie pani popełniła, była mylna ocena sytuacji. Jednak w przypadku takiej tragedii, kiedy mamy na karku media i pograżone w żałobie rodziny ofiar, nie możemy sobie pozwolić na jakąkolwiek nieprawidłowość.

Czekałam, podczas gdy Davenport zaczął zbierać papiery.

– Raporty o domniemanych wykroczeniach są przesyłane do Służby Medycznej w Razie Katastrof Narodowych, Amerykańskiego Stowarzyszenia Antropologów Sądowych i Komisji Etyki w Amerykańskiej Akademii Medycyny Sądowej. Poinformujemy także rektora pani uniwersytetu.

Słyszając to, poczułam na plecach lodowaty chłód.

– Czy jestem podejrzana o popełnienie zbrodni?

– Musimy brać pod uwagę każdą ewentualność.

Coś we mnie pękło. Zerwałam się z fotela i zacisnęłam dłonie w pięści.

– Nie ma nic bezstronnego w tym spotkaniu, panie Davenport i nie ma pan nawet zamiaru traktować mnie sprawiedliwie. Mnie ani detektywa Ryana. Coś tu jest nie tak, bardzo nie tak, a ja zostałam w to wrobiona.

Pod powiekami czułam łzy. To przez to gniewne spojrzenie – mówiłam sobie. – Nawet nie waż się płakać.

– Kto zmienił to spotkanie w medialny cyrk?

Na policzkach Davenporta pojawiły się szkarłatne plamy, które w połączeniu z bladą cerą zdawały się dziwne i nie na miejscu.

– Nie mam pojęcia, w jaki sposób prasa dowiedziała się o spotkaniu. Mogę panią zapewnić, że przeciek nie pochodził z mojego biura.

– A zdjęcia z kamery monitorującej? Kto kazał je zrobić?

Davenport nie odpowiedział, a w pokoju zapanowała śmiertelna cisza.

Rozprostowałam palce, wzięłam głęboki oddech i utkwiłam wzrok w twarzy wicegubernatora.

– Wykonuję swoje obowiązki dokładnie, zgodnie z obowiązującą etyką, w trosce o żywych i umarłych, wicegubernatorze Davenport. – Mówiąc to, starałam się panować nad głosem. – Nie odstępuję od protokołu. Panowie Tyrell i Bliss doskonale o tym wiedzą.

Spojrzałam na Larke'a, ten jednak unikał mojego wzroku. Uwaga Earla nadał koncentrowała się na jego spodniach. Widząc to, po raz kolejny zwróciłam się do Davenporta.

– Nie wiem, co się tu dzieje i nie wiem, dlaczego tak jest, ale dowiem się tego.

Uniosłam palec tak, aby podkreślić każde słowo.

– Proszę mi wierzyć. Dowiem. Się. Tego.

Po tych słowach odwróciłam się i opuściłam pokój, cicho zamykając drzwi. Mundurowy odprowadził mnie do windy i towarzyszył mi podczas wyjścia.

Droga przez parking była powtórką dantejskich scen, które rozegrały się zaraz po moim przyjeździe. Mimo iż funkcjonariusz osłaniał mnie z jednej strony, dziennikarze atakowali mnie z pozostałych. Widziałam kamery, poszturchujące mnie mikrofony i błyski lamp.

Wykrzykiwane mi do ucha pytania sprawiały, że nie byłam w stanie usłyszeć własnych myśli.

Przeciskając się przez tłum z pochyloną głową i ramionami przyciśniętymi do piersi, czułam się bardziej osaczona niż wówczas, gdy otaczało mnie stado kojotów.

Kiedy dotarliśmy do samochodu Ryana, funkcjonariusz starał się powstrzymać napierający tłum, podczas gdy ja próbowałam otworzyć drzwi. W końcu udało mu się odepchnąć najbardziej agresywnych reporterów i chwilę później wyjechałam na autostradę. Poczułam na twarzy chłodny powiew. Oszałały puls zaczynał wracać do normy, jednak w głowie roily się miliony pytań. Jak długo byłam obserwowana? Czy miało to związek z przeszukaniem mojego pokoju? Jak daleko się posuną? I dlaczego?

Czy wrócą?

Kim byli „oni”?

Kątem oka zerknęłam w lusterko wsteczne.

Gdzie, na Boga, podziąła się stopa? Czy ktoś naprawdę ją ukradł? Jeśli tak, po co?

Skąd wiedzieli, że zniknęła? Komu potrzebna była na poniedziałek? Dlaczego?

Gdzie była Primrose Hobbs?

Biuro wicegubernatora zwykle nie zajmowało się sprawami katastrof. Dlaczego więc Davenport tak bardzo interesował się tą sprawą?

Czy naprawdę mogli oskarżyć mnie o morderstwo? Czy powinnam szukać obrońcy?

Pytania te tak bardzo pochłonęły moją uwagę, że prowadziłam jak automat, widząc i reagując na otoczenie, jednak niczego nie rejestrując. Nie wiem, jak długo jechałam. Dopiero wycie policyjnej syreny sprawiło, że spojrzałam w lusterko. Tuż za moim zderzakiem jechał radiowóz, migając światłami niczym oszałały stroboskop.

## Rozdział 18

Zwolniłam i zjechałam na pobocze. Dokładnie to samo zrobił radiowóz.

Mijały mnie kolejne samochody, a w nich zwykli ludzie w drodze do zwykłych miejsc.

Siedziałam wpatrzona w lusterko, gdy drzwi radiowozu otworzyły się i zobaczyłam Lucy Crowe. W pierwszej chwili poczułam ulgę, jednak widząc, że Crowe zakłada kapelusz, domyśliłam się, że nie chodzi o przyjacielską pogawędkę. Przez chwilę zastanawiałam się, czy nie powinnam wysiąść z samochodu, ale zdecydowałam, że pozostanę w środku. Crowe podeszła do drzwi kierowcy, wysoka i dostoja w swym służbowym mundurze.

Widząc to, otworzyłam drzwi.

– Dzień dobry – usłyszałam.

Odpowiedziałam jej skinieniem głowy.

– Nowy samochód? – Mówiąc to, rozstawiła nogi i oparła dłonie na biodrach.

– Pożyczony. Mój poszedł na nieplanowany urlop.

Crowe nie zażądała prawa jazdy, nie zadawała też rutynowych pytań, więc zaczęłam przypuszczać, że przyczyną zatrzymania nie było żadne wykroczenie. Zamiast tego zaczęłam się zastanawiać, czy nie przyjechała mnie aresztować.

– Mam coś, czego prawdopodobnie nie chciałybyś usłyszeć.

Słyszac trzask przypiętego do paska radia, ustawiła pokrętko.

– Daniel Wahnetah pojawił się ubiegłej nocy.

Tego się nie spodziewałam.

– Żywy?

– Jak najbardziej. Około siódmej zapukał do domu swojej córki, zjadł obiad z rodziną i poszedł spać. Dziś rano zadzwoniła do mnie z tą wiadomością. – Crowe podniosła głos, żeby przekrzyczeć przejeżdżające obok samochody.

– Gdzie się podziewał przez trzy miesiące?

– W Zachodniej Wirginii.

– Co tam robił?

– Tego mi nie powiedziała.

Daniel Wahnetah żył. Nie mogłam w to uwierzyć.

– Jakież wieści na temat George'a Adaira czy Jeremiaha Mitchella?

– Ani słowa.

– Żaden z nich tak naprawdę nie pasuje do profilu. – Byłam spięta.

– To chyba niezbyt dobrze.

– Nie.

Mimo iż nigdy nie powiedziałam tego głośno, liczyłam, że stopa należała do Daniela Wahnetah. Teraz wróciłam do punktu wyjścia.

– Cieszę się, że się odnalazł.

– Wahnetahowie to dobrzy ludzie.

Crowe spojrzała na moje palce, które bezwiednie zaciskały się na kierownicy.

– Słyszałam o raporcie.

– Dostaję tyle telefonów, że wyłączyłam komórkę. Właśnie wracam ze spotkania z Parkerem Davenportem. Przed Sleep In zaatakował mnie tłum dziennikarzy.

– Davenport... – Crowe oparła łokieć o drzwi samochodu. – To prawdziwa gnida.

– Co masz na myśli?

Szeryf zerknęła na drogę i z powrotem na mnie. W jej słonecznych okularach zatańczyły promienie słońca.

– Wiedziałaś, że Parker Davenport urodził się niedaleko stąd?

– Nie.

Na chwilę Crowe pogrążyła się we wspomnieniach.

– Zakładam, że go nie lubisz.

– Powiedzmy, że jego plakat nigdy nie zawiśnie nad moim łóżkiem.

– Davenport powiedział mi, że ktoś wykradł stopę z kostnicy i oskarżył o to mnie. – Mówiąc to, starałam się opanować drżenie głosu. – Powiedział też, że zniknęła techniczka, która pomagała mi przy pomiarach.

– To znaczy?

– Starsza, czarnoskóra kobieta, Primrose Hobbs.

– Popytam o nią.

– Wiesz, że to wszystko gówno prawda – powiedziałam. – Nie rozumiem tylko, dlaczego Davenport atakuje właśnie mnie.

– Parker Davenport ma swoje zdanie na temat wielu rzeczy.

Przejeżdżająca ciężarówka dmuchnęła w nas falą gorącego powietrza. Crowe wyprostowała się.

– Pogadam z naszym prokuratorem okręgowym. Może on załatwi nam nakaz.

Nagle coś przyszło mi do głowy. W dniu, kiedy oddalono mnie od śledztwa, Larke Tyrell zarzucił mi wkroczenie na teren prywatny. Dziś nikt nawet o tym nie wspomniał.

– Sprawdziłam właścicieli.

– Słucham.

– Od 1949 roku budynek jest własnością grupy inwestycyjnej H&F. Przedtem należał do Edwarda E. Arthura, a jeszcze wcześniej do Victora T. Livingstone’a.

Crowe potrząsnęła głową.

– Nawet nie pamiętam tamtych czasów.

– W pokoju mam listę urzędników H&F. Mogę podrzucić ci ją do biura, ale najpierw sprawdzę, co z moim samochodem.

– Po rozmowie z prokuratorem wpadnę jeszcze do Fontany. Mamy tam szalonego Foksa Muldera\* [Fox Mulder – bohater serialu Z archiwum X (przyp. tłum.)], który twierdzi, że znalazł kosmitę. – Mówiąc to, zerknęła na zegarek. – Powinnam wrócić przed czwartą.

Wróciłam do High Ridge House pełna obaw. Żeby złagodzić stres, zabrałam Boyda na krótką przebieżkę. Chciałam mu też wynagrodzić kiepskie śniadanie, na co przystał z szaleńczym entuzjazmem.

Droga była wilgotna od wczorajszego deszczu i w błotnistym żwirze moje stopy i jego łapy wydawały zabawne, mlaszczące odgłosy. Słyszałam dyszenie Boyda i delikatne dzwonienie przyczepionych do jego obroży przywieszek. W panującej dookoła ciszy nawoływały się sójki i radośnie trajkotały wróble.

Widok przypominał impresjonistyczne malowidło – niezmierną przestrzeń dolin i gór, wypolerowaną i skąpaną w promieniach słońca. W ciągu nocy wiatr zmienił kierunek i zapowiadał nadejście zimy. Za każdym razem, gdy wstępowaliśmy w cień, czułam na twarzy jej mroźny powiew i docierało do mnie, jak szybko kurczą się kolejne dni.

Jogging odrobinę mnie uspokoił, jednak wracając do pokoju, przypominałam sobie poniedziałkowe wtargnięcie i poczułam w piersi nieprzyjemny ucisk. Dziś drzwi do Magnolii były zamknięte, a moje rzeczy leżały w najlepszym porządku.

Wzięłam prysznic i przebrałam się. Kiedy włączyłam telefon, ten niemalże zadzwonił mi w dłoń. Zesztywniałymi palcami odebrałam połączenie. Kolejny dziennikarz. Rozłączyłam się i wybrałam numer Pete’a.

Jak zwykle przywitała mnie automatyczna sekretarka. Mimo że chciałam wiedzieć, jak w świetle prawa wyglądała moja obecna sytuacja, zdawałam sobie sprawę, że nie ma sensu dzwonić pod inne numery. Pete miał radiotelefon i komórkę, jednak naładowanie

któregokolwiek z nich stanowiło dla niego odwieczny problem. Jeśli już to zrobił, zapominał je włączyć albo zostawiał jedno i drugie na desce rozdzielczej czy nocnym stoliku.

Poirytowana, wyciągnęłam faks McMahona, wrzuciłam go do torby i zesłałam na dół.

Byłam w trakcie przygotowywania kanapek z sałatką jajeczną, kiedy do kuchni weszła Ruby, niosąc przed sobą niebieski, plastikowy kosz na bieliznę. Miała na sobie białą bluzkę, sztuczne perły, dresowe spodnie, skarpety i kapcie. Świeżo polakierowane, upięte włosy i górna część garderoby wskazywały, że niedawno wróciła z miasta.

– Pomóc ci? – spytała.

– Dam sobie radę.

Ruby odstawiła kosz i klapiąc kapciami, podeszła do zlewu.

– Przykro mi z powodu tego, co się stało w twoim pokoju.

– Nie było tam nic cennego.

– Ktoś musiał wejść do domu, gdy byłam na zakupach. – Mówiąc to, podniosła ścierkę do naczyń i powąchała ją. – Czasami zastanawiam się, dokąd zmierza ten świat. Pan...

– Takie rzeczy się zdarzają.

– W tym domu nikt nigdy niczego nie ukradł. – Ze ścierką w dłoni odwróciła się w moją stronę. – Nie dziwię się, że jesteś wściekła.

– Nie jestem zła na ciebie.

Ruby wzięła głęboki oddech, otworzyła usta i natychmiast je zamknęła. Przez chwilę myślałam, że miała zamiar coś powiedzieć, ale zmieniła zdanie, wiedząc, jakie mogą być tego konsekwencje. Dobrze. Byłam zbyt zmęczona, by wysłuchiwać czyichś słów pocieszenia.

– Zrobić ci drinka?

– Masz lemoniadę?

Ruby cisnęła ścierkę do kosza, podeszła do lodówki, wyjęła plastikowy dzbanek i naląła do szklanki lemoniady.

– Do tego całe to zamieszanie z telewizją.

– W szkole też nie należałam do najbardziej lubianych dzieciaków.

Uśmiechnęłam się, by nie zauważyła, jak bardzo byłam poruszona. Efekt był żalospny.

– To nie jest śmieszne. Nie powinnaś im na to pozwalać.

– Nie mogę kontrolować mediów, Ruby.

W odpowiedzi Ruby wzięła papierowy talerz i położyła na nim moją kanapkę.

– Masz ochotę na ciastka?

– Jasne.

Obok kanapki wylądowały trzy słodzone ciasteczka, a Ruby spojrzała mi w oczy.

– „Błogosławieni jesteście, gdy wam urągają i prześladują was i gdy z mego powodu mówią kłamliwie wszystko złe o was”<sup>18</sup>.

– Ci, na których mi zależy, wiedzą, że są to pomówienia.

– Więc może powinnaś kontrolować kogoś innego? Po tych słowach dźwignęła kosz, oparła go na biodrze i bez słowa wyszła z kuchni.

Licząc na bardziej racjonalną rozmowę, wyszłam na dwór zjeść lunch w towarzystwie Boyda. Nie rozczarowałam się. Pies dosłownie pożarł ciasteczka i bez słowa patrzył, jak kończę kanapkę i rozmyślałam nad swoim położeniem.

W warsztacie dowiedziałam się, że problem z samochodem nie był niczym poważnym, ale potrzebna była nowa pompa. To właśnie po nią pojechał do Asheville P lub T. Krótko mówiąc, wszystko było w jak najlepszym porządku i istniała szansa, że jutro po południu samochód będzie gotowy do odbioru.

Istniała szansa. Zauważyłam, że chevrolet, pinto i pozostałe pickupy stały dokładnie tam, gdzie widziałam je po raz ostatni.

Zerknęłam na zegarek. Druga trzydzieści. Crowe z pewnością jeszcze nie wrócił.

Co teraz?

Poprosiłam o książkę telefoniczną i otrzymałam śmierdzącą smarem edycję z 1996 roku, z okazałymi, oślimi uszami. Żeby przewracać kolejne strony, potrzebowałam obu rąk.

Nie znalazłszy Zielonoświątkowego Domu Bożego Wiecznego Światła, sprawdziłam wpisy dla L. Bowmana przy Swayney Creek Road. P lub T znał skrzyżowanie, jednak nie umiał powiedzieć nic więcej. Nie pozostało mi nic innego, jak podziękować i wrócić do samochodu Ryana.

Jechałam według wskazówek mechanika i już wkrótce byłam za miastem. Tak jak przewidywał P lub T, Swayney Creek kończyła się ślepą uliczką, wpadając na Highway 19, pomiędzy Ela i Bryson City. Zatrzymałam się na stacji benzynowej i spytałam o dom Bowmana.

Chłopak na stacji miał nie więcej niż szesnaście lat i zatknięte za uszy tłuste, czarne włosy. Upstrzony łupieżem przedziałek przywodził na myśl pokryty śniegiem, błotnisty strumyk.

Dzieciak odłożył komiks, spojrzał na mnie i zmrużył oczy, jak gdyby nie mógł znieść widoku światła. Chwilę później zaciągnął się papierosem i kiwnął głową w kierunku Swayney Creek.

---

<sup>18</sup> [Cytat za: Biblia Tysiąclecia, wydanie piąte, 2000 (przyp. tłum.)]

– To mniej więcej trzy kilometry na północ – rzucił, posyłając w powietrze kłęby dymu.

– Po której stronie?

– Proszę szukać zielonej skrzynki na listy. Odchodząc, czułam na plecach spojrzenie zmrużonych oczu.

Swayney Creek okazała się cienkim, asfaltowym jeźorem wypadającym z ust autostrady.

Droga ciągnęła się przez niecały kilometr, wyrównywała się i biegła przez mieszany, iglasty las. Po jednej stronie dostrzegłam strumyk. W krystalicznie czystej wodzie można było zobaczyć leżące na dnie kamienie.

Jadąc na północ, minęłam kilka domów. Później droga skręcała na wschód i delikatnie pięła się w górę. To właśnie tam zauważyłam niewielką polanę i zardzewiałą, zieloną skrzynkę na listy. Na przychepionej do dwóch krótkich łańcuchów tabliczce widniało nazwisko Bowman.

Skręciłam w piaszczystą dróżkę z nadzieją, że odnalazłam właściwego Bowmana.

Strzelające w niebo smukłe sosny, świerki i cykuty, skutecznie filtrowały promienie słońca.

Czterdzieści pięć metrów dalej zauważyłam dom Luke'a Bowmana, który niczym samotny strażnik strzegł dostępu do lasu. Wielebny mieszkał w podniszczonym parterowcu z gankiem po jednej stronie i szopą po drugiej. Zarówno w jednym, jak i drugim zgromadzono wystarczająco dużo drewna, by można nim było ogrzać średniowieczny zamek. Nad oknami, po obu stronach drzwi, wisały turkusowe markizy. Patrząc na nie, pomyślałam, że pasują do tego posępnego miejsca tak, jak złożone łuki pasowały do synagogi.

Widoczny przed domem ogródek skąpany był w cieniu i przykryty grubą warstwą liści oraz sosnowych igieł. Przecinająca go żwirowa ścieżka łączyła drzwi wejściowe z widocznym na końcu drogi żwirowym trójkątem.

Zaparkowałam obok pickupa Bowmana, wyłączyłam silnik i włączyłam telefon. Nie zdążyłam wyjść z samochodu, kiedy drzwi do domu otworzyły się, a w progu stanął wielebny. I tym razem ubrany był na czarno, jak gdyby ubrania miały przypominać mu o powadze jego powołania.

Na mój widok nie uśmiechnął się, jednak na jego twarzy odmalowała się wyraźna ulga.

Wysiadłam z samochodu i podeszłam do wejścia, obserwując rosnące przy ścieżce małe, brązowe grzyby.



- Przepraszam, że przeszkadzam, ale zostawiłam zakupy w pańskim samochodzie.
- Zgadza się. Są w kuchni. – Mówiąc to, Bowman cofnął się do wnętrza domu. –

Proszę wejść.

Mijając go, wkroczyłam do ciemnego korytarza przesyconego zapachem pieczonego bekonu.

- Napije się pani czegoś?
- Nie, dziękuję. Niestety nie mogę zostać.
- Proszę usiąść.

Ruchem dłoni zaprosił mnie do pełnego mebli, niewielkiego salonu. Sprzęty wyglądały, jak gdyby wyniesiono je ze sklepu i ustawiono w tej samej konfiguracji, jednak na znacznie mniejszej przestrzeni.

- Dziękuję.

Usiadłam na brązowej, welurowej kanapie, wciąż przykrytej folią zabezpieczającą. Mimo iż na dworze panował chłód, okna w pokoju były otwarte, a brązowe zasłony w szkocką kratę leniwie nadymały się pod wpływem wiatru.

- Przyniosę pani rzeczy.

Bowman otworzył drzwi, wpuszczając do pokoju stłumione głosy i oklaski telewizyjnej gry.

Rozejrzałam się dookoła.

W pomieszczeniu nie było żadnych przedmiotów osobistych. Żadnych zdjęć upamiętniających ślub czy ukończenie szkoły. Brakowało roześmianych, dziecięcych twarzyczek i zdjęć psa w papierowej czapeczce. Jedyne obrazy przedstawiały świętych.

Rozpoznałam Jezusa i mężczyznę, który mógł uchodzić za Jana Chrzciciela.

Bowman wrócił kilka minut później. Kiedy podniosłam się z kanapy, folia zaszeleściła.

- Dziękuję.
- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Temperance.
- Dziękuję również za wczorajszą pomoc.
- Cieszę się, że mogłem się przydać. Peter i Timothy to najlepsi mechanicy w całym hrabstwie. Od lat naprawiam u nich samochody.
- Wielebny, mieszka pan tu od wielu lat, prawda?
- Całe życie.
- Wie pan coś na temat drewnianego domu w pobliżu miejsca katastrofy?

– Pamiętam, jak tata opowiadał mi o obozie nieopodal strumienia Running Goat, ale nigdy nie wspominał o żadnej chacie.

Nagle naszła mnie pewna myśl. Wyciągnęłam z torby faks McMahona i podałam go Bowmanowi.

– Czy któreś z tych nazwisk wydaje się panu znajome?

Wielebny zerknął na kartkę, jednak jego twarz nie drgnęła.

– Przykro mi.

Oddał mi faks.

– Słyszał pan kiedyś o człowieku o nazwisku Victor Livingstone?

Bowman potrząsnął głową.

– A o Edwardzie Arthurze?

– Wiem, że ktoś o takim nazwisku mieszka niedaleko stąd, w okolicach Sylva. Kiedyś należał do Ruchu Świątości, jednak kilka lat temu opuścił zgromadzenie. Brat Arthur twierdził, że sam George Hensley zaprowadził go przed oblicze Ducha Świętego.

– George Hensley?

– Pierwszy człowiek, który poskromił węże. Brat Arthur mówił, że spotkali się w czasie, gdy wielebny Hensley przebywał w Dolinie Grasshopper.

– Rozumiem.

– Jeśli dobrze liczę, brat Arthur zbliża się już do dziewięćdziesiątki.

– A zatem wciąż żyje.

– Jak słowo naszego Pana.

– Był członkiem pańskiego kościoła?

– Był jedną z owieczek w stadzie mojego ojca, tak oddaną Bogu jak żadna inna. Zmienił się, odkąd wrócił z wojska. Kilka lat po wojnie był jeszcze zagorzałym wyznawcą, jednak później przestał podążać za znakami.

– Kiedy to było?

– Około czterdziestego siódmego albo ósmego. Nie. Źle liczę. – Mówiąc to, wyciągnął sękaty palec. – Ostatnią posługą, w jakiej brał udział brat Arthur, był pogrzeb siostry Edny Farrell. Pamiętam to, bo tata modlił się wówczas, by człowiek ten odzyskał swą wiarę. Mniej więcej tydzień później tata złożył mu wizytę, jednak brat Arthur przywitał go z bronią w rękę.

– Kiedy zmarła Edna Farrell?

– W tysiąc dziewięćset czterdziestym dziewiątym. Edward Arthur sprzedał swoją ziemię grupie inwestycyjnej H&F dziesiątego kwietnia 1949 roku.

## Rozdział 19

Zastałam Edwarda Arthura w maleńkim ogródku warzywnym na tyłach drewnianej chaty.

Miał na sobie kraciatą, bawełnianą koszulę, dżinsowe ogrodniczki, gumowe buty i słomkowy kapelusz, który z powodzeniem mógł należeć do gondoliera. Gdy mnie zauważył, znieruchomiał, by chwilę później wrócić do przekopywania ziemi.

– Pan Arthur? – spytałam.

Staruszek dźgnął widłami ziemię i oparł na nich drżącą stopę. Miał tak mało siły, że zęby z ledwością wbiły się w podłoże, jednak raz za razem ponawiał starania.

– Edward Arthur? – spytałam trochę głośniejszym głosem. Mężczyzna nie odpowiedział. Widły jęknęły głucho, gdy po raz kolejny spróbował wbić je w ziemię.

– Panie Arthur, widzę, że jest pan zajęty, ale chciałam zadać panu kilka pytań – uśmiechnęłam się zachęcająco.

Arthur wyprostował się na tyle, na ile pozwalały jego starcze kości. Bez słowa podszedł do taczki pełnej kamieni i wyschniętych roślin. Kiedy zdjął koszulę, zobaczyłam wychudłe ramiona i dłonie pokryte plamami wątrobowymi, wielkimi niczym ziarna limeńskiej fasoli.

Zamieniwszy widły na motykę, mężczyzna wrócił na grządkę.

– Chciałam zapytać o chatę nieopodal strumienia Running Goat.

Tym razem Arthur zerknął na mnie. Miał wilgotne, zaczerwienione oczy, a ich tęczy były tak jasne, że zdawały się wyprane z koloru.

– Z tego co wiem, był pan właścicielem sąsiedniej działki.

– Po co pani do mnie przyszła? – Jego świszczący oddech przywodził na myśl zasysane przez filtr powietrze.

– Ciekawi mnie, kto kupił pana ziemię.

– Jest pani z FBI?

– Nie.

– Zajmuje się pani tą katastrofą?

– Jeszcze do niedawna zajmowałam się.

– Kto panią przysłał?

– Nikt mnie nie przysłał, panie Arthur. Odnalazłam pana dzięki Luke'owi Bowmanowi.

– Dlaczego nie spyta pani jego?

– Wielebny Bowman nie wiedział nic na temat pana ziemi, za wyjątkiem tego, że w przeszłości znajdował się tam jakiś obóz.

– Tak powiedział?

– Tak, proszę pana.

Arthur wyciągnął z kieszeni zieloną chusteczkę i wytarł nią spoconą twarz. Następnie cisnął motykę i przygarbiony ruszył w moją stronę. Kiedy był już wystarczająco blisko, zobaczyłam sterczące z nosa, szyi i uszu siwe włosy.

– Niewiele wiem o jego synu, ale Thaddeus Bowman był najbardziej nieznośnym człowiekiem, jaki kiedykolwiek chodził po tej ziemi. Przez czterdzieści lat kierował kościołem.

– Był pan jednym z jego uczniów?

– Dopóki nie dowiedziałem się, że wypędzanie demonów i mówienie wieloma językami było niczym więcej jak kupą łajna.

Arthur odkaszlnął i splunął na ziemię gęstą flegmą.

– Rozumiem. Sprzedał pan ziemię po wojnie?

Staruszek ciągnął, jak gdyby w ogóle nie usłyszał mojego pytania.

– Thaddeus Bowman nękał mnie, abym żałował za grzechy, ja jednak miałem na głowie inne rzeczy. Cholerny głupiec, nie chciał pogodzić się z moim odejściem, więc przegnałem go strzelbą na wiewiórki.

– Panie Arthur, przysłałam tu, aby zapytać o posiadłość, którą kupił pan od Victora Livingstone'a.

– Nie kupiłem niczego od Victora Livingstone'a.

– W aktach jest napisane, że Livingstone przekazał panu prawo do ziemi w 1933 roku.

– W 1933 miałem dziewiętnaście lat. Ożeniłem się. Rozmowa najwyraźniej zmierzała donikąd.

– Z Sarah Masham. Zmarła przy porodzie. Odpowiedzi starca były tak chaotyczne, że zaczęłam wątpić w jego zdrowe zmysły.

– Dostaliśmy w prezencie siedemnaście akrów ziemi. Jak to się nazywało?

W miarę jak mężczyzna przypominał sobie kolejne rzeczy, zmarszczki wokół jego oczu stawały się głębsze.

– Panie Arthur, przykro mi, że odrywam pana od pracy, ale...

– Posag. Właśnie tak. To był jej posag.

– Co było jej posagiem?

– Przecież pytała pani o ziemię przy Running Goat.

– Tak, proszę pana.

– To był prezent od ojca Sarah. Później umarła.

– Victor Livingstone był ojcem pańskiej żony?

– Sarah Masham Livingstone – moja pierwsza żona. Byliśmy małżeństwem od trzech lat, kiedy umarła. Nie miała więcej niż osiemnaście lat. Jej ojciec był tak zrozpaczony, że sam zabrał się na tamten świat.

– Tak mi przykro, panie Arthur.

– To wtedy przeniosłem się tutaj i dołączyłem do George’a Hensleya nad Tennessee. To on nauczył mnie oswajać węże.

– Co stało się z posiadłością przy Running Goat?

– Jakiś facet z miasta spytał, czy mógłby ją wynająć i założyć tam niewielki obóz. Nie chciałem mieć z tym miejscem nic do czynienia, więc się zgodziłem. Poza tym, mogłem szybko zarobić.

Znowu odchrząknął i splunął na ziemię.

– To tam znajdował się obóz?

– Przychodzili tam na polowania i połowy, ale tak sobie myślę, że przede wszystkim chcieli się ukryć przed swoimi żonami.

– Czy był tam dom?

– Spali w namiotach przy ognisku, dopóki nie wybudowałem tej chaty. – Mówiąc to, potrząsnął głową. – Aż dziw bierze, jak człowiek pomyśli o tym, co inni uważają za świetną zabawę.

– Kiedy zbudował pan ten dom?

– Przed wojną.

– Już wtedy był tam mur?

– Co to, do cholery, za pytanie?

– Czy to pan zbudował mur i podwórze?

– Nie budowałem żadnego cholernego Camelot.

– Sprzedał pan ziemię w roku 1949?

– Chyba tak.

– W tym samym roku rozstał się pan z Thaddeusem Bowmanem.

– Taa.

– Luke Bowman pamięta, że opuścił pan zgromadzenie po śmierci Edny Farrell.

Zmarszczki wokół oczu pogłębiły się.

– Czy pani coś sugeruje, młoda damo?

– Nie, proszę pana.

– Edna Farrell była dobrą chrześcijanką. Powinni się nią lepiej zająć.

– Czy może mi pan powiedzieć, kto kupił obóz?

– A pani może mi powiedzieć, co panią tak interesuje?

Patrząc na Edwarda Arthura, zbyt szybko dokonałam jego oceny. Ponieważ był stary i małomówny, oczekiwałam kogoś zniedołężniałego. Jednak człowiek, z którym miałam do czynienia, był równie nieufny co sam Kasparow. Zdałam się na szczerłość.

– Nie jestem już zaangażowana w śledztwo, ponieważ oskarżono mnie o niewłaściwe zachowanie. Zarzuty są bezpodstawne.

– Taa.

– Przypuszczam, że w tej chacie dzieje się coś niedobrego i chciałabym poznać prawdę. Dzięki tym informacjom mogłabym oczyścić się z zarzutów, jednak obawiam się, że ktoś utrudnia mi pracę.

– Była tam pani?

– Nie w środku.

Starzec zaczął coś mówić, gdy potężny podmuch wiatru zerwał z jego głowy kapelusz i cisnął nim o ziemię. Chude niczym u stracha na wróble ramiona wystrzeliły przed siebie, a czerwone usta zacisnęły się na bezzębnych dziąsłach.

Widząc to, rzuciłam się do przodu i nadepnęłam kapelusz. Następnie otrzepałam go i zwróciłam Arthurowi.

Mężczyzna zadrżał i przytulił zgubę do piersi.

– Podać panu koszulę?

– Zaczyna robić się chłodno – odparł, idąc w kierunku taczki.

Kiedy uporał się już z guzikami, pomogłam mu zebrać narzędzia i na taczce przewiozłam je do stojącej za domem szopy. Chwilę później ponowiłam pytanie.

– Kto kupił pana ziemię, panie Arthur?

Starzec zamknął drzwi na kłódkę, pociągnął za nią dwa razy i spojrzał na mnie.

– Lepiej niech się pani trzyma z dala od tego miejsca, młoda damo.

– Obiecuję panu, że nie pójde tam sama. Mężczyzna spoglądał na mnie w milczeniu.

Byłam pewna, że nie doczekam się odpowiedzi. Jednak podszedł do mnie i podnosząc głowę, rzekł:

– Prentice Dashwood.

Wymówił imię Prentice z taką siłą, że poczułam na brodzie krople śliny.

– Prentice Dashwood kupił pana ziemię?

Starzec pokiwał głową, a jego wilgotne oczy pociemniały.

– Sam diabeł wcielony – syknął.

Zadzwoiłam do biura Crowe. Poinformowano mnie, że pani szeryf wciąż jeszcze była w Fontanie. Przez chwilę siedziałam w samochodzie i wpatrując się w chatę Arthura, uderzałam kluczykami o kierownicę.

W końcu uruchomiłam silnik i odjechałam.

Mimo iż niebo zasnuwane było grubymi, ciężkimi chmurami, opuściłam szyby i włączyłam klimatyzację. Wiedziałam, że niebawem zerwie się wiatr i zacznie padać deszcz, jednak potrzebowałam powietrza.

Zjeżdżając na autostradę numer 19, ruszyłam w kierunku Bryson City. Ponad trzy kilometry na południe od miasta dostrzegłam mały, drewniany znak i skręciłam w wysypaną żwirem drogę. Niecały kilometr dalej, nad brzegiem Tuckasegee River, znajdowała się Kiverbank Inn. ten jednopiętrowy, otynkowany na żółto budynek pochodził z lat pięćdziesiątych i wyglądał jak malownicze ranczo. Było tu szesnaście pokoi, każdy miał osobne wejście i werandę. Na werandach stały plastikowe, halloweenowe dynie, a z pobliskiego drzewa zwisał podświetlony szkielet.

W przeciwieństwie do scenerii, architektura i dekoracje nie były najmocniejszą stroną motelu.

Parkując tuż obok biura, zauważyłam dwa inne pojazdy: czerwonego Pontiac Grand Am na tablicach z Alabamy i niebieskiego FORDA Taurus z Karoliny Północnej. Samochody zaparkowano przed pokojami dwa i siedem. Kiedy minęłam dyndający na drzewie szkielet, usłyszałam zawodzący jęk i mechaniczny, piskliwy śmiech. Przez chwilę zastanawiałam się, jak często słyszała go Primrose.

Motelowy hol przypominał High Ridge House. Powieszony na drzwiach dzwoneczki, perkalowe zasłony i sękata sosna. Wisząca na drzwiach plakietka witała gości, informując, że właścicielami motelu byli Ralph i Brenda Stover. Z kontuaru szczyrzyła się do mnie kolejna wydrążona dynia. Tuż obok niej siedział mężczyzna w dżinsowej kurtce Redskins, kartkując niespiesznie magazyn „PC World”. Na dźwięk dzwoneczków oderwał wzrok od lektury i przywitał mnie czarującym uśmiechem. Sądząc po tym, co widniało na plakietce, mężczyzna musiał być Ralphem.

– W czym mogę pomóc? – Ralph miał cienkie, jasne włosy i zdrową, różową cerę.

– Nazywam się Temperance Brennan, jestem lekarzem – odparłam, wyciągając rękę.

– Ralph Stover.

Kiedy uścisnął moją dłoń, bransoletka z identyfikatorem medycznym zadzwoniła niczym przypięte do drzwi dzwonki.

– Jestem przyjaciółką Primrose Hobbs – wyjaśniłam.

– Tak?

– Czy pani Hobbs mieszkała u państwa przez ostatnie dwa tygodnie?

– Bierze udział w śledztwie dotyczącym katastrofy.

– Znam panią Hobbs – odparł z uśmiechem Ralph.

– Czy jest teraz w swoim pokoju?

– Jeśli pani chce, mogę do niej zadzwonić.

– Byłabym wdzięczna.

Ralph wybrał numer, przez chwilę nasłuchiwał, po czym odłożył słuchawkę.

– Pani Hobbs nie odbiera. Może zostawi pani wiadomość?

– Rozumiem, że się nie wymeldowała.

– Nie, pani Hobbs wciąż widnieje na liście gości.

– Widział ją pan dziś?

– Nie.

– Kiedy widział ją pan po raz ostatni?

– Nie jestem w stanie zapamiętać każdego spotkania i naszymi gośćmi.

– Pani Hobbs od niedzieli nie pojawiła się w pracy i martwię się o nią. Czy może mi pan powiedzieć, w którym pokoju się zatrzymała?

– Przykro mi, ale nie mogę tego zrobić. – Uśmiechnął się szeroko. – Sama pani rozumie. Przepisy.

– Może jest chora.

– Gdyby tak było, pokojówka na pewno by to zgłosiła.

Ralph był równie uprzejmy co policjant z drogówki. W porządku – pomyślałam. Ja też potrafię być grzeczna.

– To naprawdę ważne. – Mówiąc to, dotknęłam dłonią jego nadgarstka i spojrzałam mu w oczy. – Może powie mi pan, czym jeździ pani Hobbs, abym mogła sprawdzić, czy jej samochód jest na parkingu.

– Nie, nie mogę.

– Czy możemy iść razem do jej pokoju?

– Nie.



– Może więc pan pójdzie, a ja tu zaczekam.

– Nie, proszę pani.

Cofając dłoń, pomyślałam o innej taktyce.

– Może pani Stover pamięta, kiedy ostatnio widziała panią Hobbs?

Ralph splótł palce. Włoski na jego przedramionach zdawały się blade i szorstkie.

– Zadaje pani te same pytania co pani poprzednicy i odpowiem pani dokładnie to samo. Nie otworzymy pokoju i nie powiemy nic na temat żadnego z naszych gości, dopóki nie przedstawi nam pani pisemnego nakazu. – Jego głos był łagodny, choć stanowczy.

– Moi poprzednicy?

Ralph wziął głęboki oddech, jak gdyby chciał się uspokoić.

– Czy jest jeszcze coś, w czym mógłbym pomóc?

Tym razem nie wytrzymałam.

– Jeśli z powodu pańskich głupich przepisów coś stanie się Primrose Hobbs, pożałuje pan, że nie brał udziału w kursie zarządzania hotelem.

Ralph zmrużył oczy, jednak wciąż się uśmiechał. Chwilę później wyjęłam z torby wizytówkę i zapisałam na odwrocie numer telefonu.

– Jeśli zmieni pan zdanie, proszę zadzwonić. Odwróciłam się i ruszyłam w kierunku drzwi.

– Miłego dnia, proszę pani. – Usłyszałam szelest odwracanej strony i delikatny brzęk bransoletki.

Uruchomiłam silnik, wyjechałam z parkingu, pomknęłam autostradą na północ i czterdzieści pięć metrów dalej zjechałam na pobocze. Znałam ludzką naturę i wiedziałam, że ciekawość zaprowadzi Stovera wprost do pokoju Primrose. Chwilę później zamknęłam w pośpiechu samochód i pobiegłam w kierunku zjazdu. Jakiś czas kluczyłam między drzewami, biegnąc równolegle do wysypanej żwirem drogi, aż w końcu ujrzałam motel.

Miałam rację. Ralph zbliżał się właśnie do pokoju numer cztery. Stanął przed drzwiami, rozejrzał się dookoła, przekręcił klucz i wślizgnął się do środka. Mijały minuty. Pięć. Dziesięć. Mój oddech wrócił do normy. Niebo pociemniało i zerwał się nieprzyjemny, chłodny wiatr. Strzeliste sosny gięły się niczym baleriny w sur les pointes. Pomyślałam o Primrose. Mimo iż znałyśmy się od lat, niewiele o niej wiedziałam. Wyszła za męża, rozwiodła się. Miała syna. Nic poza tym. Dlaczego? Czyżby nie chciała o tym mówić, a może to ja nigdy nie pytałam. Może traktowałam ją jak kogoś, kto dostarcza nam pocztę, spisuje raporty i sprząta nasze domy, podczas gdy my gonimy za własnym interesem, niepomni na to, co dzieje się dookoła?

Możliwe. Jednak znałam Primrose Hobbs na tyle dobrze, by wiedzieć o niej jedną rzecz: nigdy, przenigdy, nie zostawiłaby niedokończonej pracy.

Czekałam. Ze spuchniętej, sinej chmury strzeliła błyskawica, rozświetlając jej wnętrze niczym węzeł o mocy miliona wat. Chwilę później usłyszałam pomruk burzy. Niebawem rozpęta się prawdziwe piekło.

W końcu Stover opuścił pokój, zamknął drzwi i pognął do wejścia. Kiedy zniknął w biurze, zaczęłam krążyć wokół motelu, zachowując bezpieczną odległość i używając drzew jako naturalnej zasłony. Po jednej stronie miałam tył budynku, po drugiej rzekę. Pośród nich pas drzew. Klucząc w gęstniejącym półmroku, podeszłam do miejsca na tyłach pokoju numer cztery i zaczęłam nasłuchiwać.

Szum przewalającej się po skałach wody. Trzeszczące na wietrze konary. Gwizd pociągu.

Dudnienie serca. Grzmot, teraz jakby cichszy. Szybciej.

Podpełzałam do krawędzi drzew i ostrożnie uniosłam głowę.

Zobaczyłam rząd drewnianych werand z przybitymi do poręczy numerami z kutego żelaza. I tym razem intuicja mnie nie zawiodła. Od pokoju numer cztery dzieliło mnie zaledwie cztery i pół metra krótko przystrzyżonej trawy.

Wzięłam głęboki oddech, przebiegłam przez otwartą przestrzeń i pędem pokonałam niskie schody. Stojąc na werandzie, szarpnęłam drzwi z siatką przeciw owadom. W panującej dookoła ciszy rozległo się przeraźliwe skrzypienie. Wiatr ustał, a ja zamarłam bez ruchu.

Cisza.

Wślizgnąwszy się pomiędzy drzwi a futrynę, pochyliłam się i przyciskając nos do szyby, zajrzałam do pokoju. Widok przesłaniała mi bawełniana zasłonka w zielono-białą kratę.

Spróbowałam przekręcić gałkę. Nic z tego.

Najciszej jak mogłam, zamknęłam drzwi z siatką na owady i podeszłam do okna. Tu także wisiała kraciasta zasłona. Chwilę później zauważyłam niewielką szparę pomiędzy oknem a parapetem. To była moja jedyna szansa. Wsunęłam palce pod okno i delikatnie szarpnęłam do góry, patrząc na odpadające z ramy, złuszczone kawałki farby.

Kolejne szarpnięcie i okno drgnęło. Znieruchomiałam. Gdzieś w głowie pojawiło się ostrzeżenie, że lada chwila zobaczę wybiegającego z biura z rewolwerem Smith & Wesson Ralpa.

Mimo to po raz kolejny szarpnęłam ramę okna.

Wiedziałam, że to co robię jest nielegalne. Włamanie do pokoju Primrose w mojej obecnej sytuacji było kolejnym gwoździem do trumny. Musiałam mieć jednak pewność, że nic jej nie jest. Gdyby okazało się inaczej, byłabym spokojniejsza, wiedząc, że zrobiłam wszystko, by jej pomóc. Robiłam to też dla siebie. Musiałam wiedzieć, co stało się ze stopą. Musiałam odnaleźć Primrose i udowodnić wszystkim, jak bardzo się mylili. Stałam w delikatnym rozkroku i po raz kolejny pociągnęłam w górę ramę. Przesunęła się o kolejne dwa i pół centymetra.

Na drewnianą podłogę spadły pierwsze, tłuste krople deszczu. Następne zostawiły wokół moich stóp duże, wilgotne plamy.

Kolejne pięć centymetrów w górę.

Właśnie wtedy rozpętała się burza. Niebo rozświetliła błyskawica, a gdzieś nad moją głową przetoczył się ogłuszający huk. Na ziemię spłynęły oszalałe strumienie deszczu, które niemal natychmiast zmieniły werandę w rwący potok.

Oskoczyłam od okna i przylgnęłam do ściany z nadzieją, że niewielki okap ochroni mnie przed ulewą.

Kilka sekund później byłam już cała mokra. Woda kapiała mi z nosa i uszu, a mokre ubrania kleiły się do ciała niczym papier mache do metalowego stelaża. Krople ściekały z dachu wprost na werandę, wgryzały się w trawę, łączyły i spływały potokami. Rynna nad moją głową przypominała koryto rwącej rzeki. Wiatr targał liśćmi, które kleiły się do ścian i nóg, niosąc ze sobą zapach wilgotnej ziemi i drewna.

Drżałam z zimna, tuliłam się do ściany i chowałam dłonie pod pachami. Przez chwilę patrzyłam, jak kolejne krople tulą się do pajęczyny, która stopniowo ugina się pod ich ciężarem. Patrzył też pająk, przypominający mały, brązowy tobołek, przycupnięty na zewnętrznej krawędzi swego dzieła.

Na moich oczach rodziły się wyspy. Kontynenty zmieniały swe położenie, a niektóre gatunki na zawsze znikwały z powierzchni ziemi.

Niespodziewany dźwięk telefonu niemal zupełnie wytrącił mnie z równowagi.

Odebrałam.

– Żadnych komentarzy! – wrzasnęłam do słuchawki, spodziewając się, że dzwoni kolejny dziennikarz.

Nad wierzchołkami drzew przemknęła błyskawica i rozległ się potężny huk.

– Gdzie ty, do cholery, jesteś? – spytała Lucy Crowe.

– Złapała mnie burza.

– Jesteś na dworze?

– Wróciłaś już do Bryson City?

– Wciąż jestem nad jeziorem Fontana. Może zadzwonisz, kiedy dotrzesz do domu?

– To może chwilę potrwać. – Nie zamierzałam informować Crowe co, jak i dlaczego.

Chwilę później usłyszałam, jak zwraca się do kogoś innego i znów do mnie.

– Obawiam się, że mam kolejne złe wieści.

W tle słyszałam głosy i trzask policyjnego radia.

– Wygląda na to, że znaleźliśmy Primrose Hobbs.

## Rozdział 20

Podczas gdy ja odbywałam poważną rozmowę z szanownym wicegubernatorem i jego przyjaciółmi, właściciele przystani jachtowej odnaleźli ciało. Jak zwykle Glenn i Irene Boynton wstali o świcie i w pośpiechu przystąpili do porannej krzątania. Wynajmowali łódki, sprzedawali przynętę, wypełniali lodówki lodem, kanapkami i puszkowanymi napojami. Kiedy Irene poszła sprawdzić łódź, która ubiegłego wieczoru dość późno zawinęła do przystani, zobaczyła na wodzie dziwne zmarszczki. Podchodząc na skraj doku, kobieta spojrzała w wodną toń, skąd spoglądały na nią mętne, pozbawione powiek oczy.

Podążając za wskazówkami Crowe, odnalazłam jezioro Fontana i prowadzącą do przystani wąską, piaszczystą dróżkę. Deszcz ustał, jednak liście wciąż ociekały wodą. Przez jakiś czas kluczyłam między kałużami, rozpryskując na boki błotnistą breję. W końcu ujrzałam przystań i zaparkowane nieopodal lawetę, ambulans i dwa radiowozy, których koguty rzucały na okoliczne drzewa czerwone, niebieskie i żółte refleksy. Przystań ciągnęła się wzdłuż brzegu, w odległym końcu parkingu. W jej skład wchodziły: rozpadające się biuro, stacja benzynowa, sklep wielobranżowy i wiszące nad wodą drewniane pomosty. Z boku budynku powiewał rażąco kolorowy rękaw lotniskowy. Jego obecność zdawała się nie na miejscu i działała mi na nerwy.

Na wysuniętym na południe pomoście jeden z zastępców szeryfa przesłuchiwał parę odzianą w dzinsowe spodnie i wiatrówki. Ich ciała były napięte niczym struny, a blade twarze przywodziły na myśl bryły kitu. Stojąca na schodach Crowe rozmawiała z Tommym Albrightem, szpitalnym patologiem, który od czasu do czasu na prośbę lekarza sądowego przeprowadzał autopsje. Albright był chudym, pomarszczonym mężczyzną z zaczesanymi na tył łysiejacej głowy, rzadkimi, siwymi włosami. Sekcje zwłok były dla niego chlebem powszednim, jednak nigdy nie miałam okazji z nim pracować.

Zauważył mnie i wyciągnął rękę na powitanie.

Wymieniliśmy uścisk dłoni, skinęłam głową w stronę Crowe.

– Rozumiem, że znałaś ofiarę.

Albright wskazał na ambulans. Za otwartymi drzwiami dostrzegłam leżący na składanych noszach lśniący, biały worek. Jego rozmiary zdradzały, że w środku znajdowało się już ciało.

– Wyciągnęliśmy ją na chwilę przed rozpoczęciem burzy. Chcesz zajrzeć do środka?

– Tak.

Nie! Nie chciałam tego robić. W ogóle nie chciałam tu być. Nie chciałam identyfikować martwego ciała Primrose Hobbs.

Mimo to podeszłam do karetki i wspierałam się na tyły. Nawet przy otwartych drzwiach czuć było woń śmierci. Przełknęłam z trudem ślinę.

Albright odsunął zamek i w nozdrza uderzyła nas przyprawiająca o mdłości mieszanka zastygłego błota, wodorostów, ryb i gnijącego ciała.

– Sądząc po niewielkich uszkodzeniach, leżało w wodzie od mniej więcej dwóch, trzech dni.

Wstrzymałam, oddech i zajrzałam do wnętrza plastikowego worka.

To na co patrzyłam, było i zarazem nie było Primrose Hobbs. Twarz rozdęta niczym balon i opuchnięte usta, które przywodziły na myśl skojarzenie z tropikalną rybą. Na ciemnej skórze tu i ówdzie było widać tkankę martwiczą, odsłaniającą błądy naskórek. Ciało przypominało ohydny, cętkowany balon. Węgorze lub jakieś inne ryby zdążyły już zjeść powieki, zostawiając na czole, policzkach i nosie maleńkie dziury.

– W tym przypadku nie będzie najmniejszych problemów z ustaleniem przyczyny zgonu – rzekł Albright. – Choć oczywiście Tyrell będzie żądał sekcji.

Nadgarstki Primrose związano taśmą izolacyjną. Dostrzegłam też wrzynający się w jej szyję cienki drut.

Czułam, jak żółć podchodzi mi do gardła. Po raz kolejny z trudem przełknęłam ślinę.

– Uduszenie?

Albright pokiwał głową.

– Sukinsyn zawiązał to dookoła jej szyi i przy pomocy jakiegoś narzędzia zacisnął z tyłu. Niezły sposób na zablokowanie tchawicy.

Zatkałam dłonią nos i usta, i pochyliłam się nad workiem. Szyję Primrose szpecily poszarpane linie. Ślad świadczący o tym, że mimo skrępowanych rąk walczyła o życie.

– To ona – szepnęłam, wychodząc z ambulansu. Potrzebowałam powietrza. Niezliczonej ilości świeżego powietrza.

Chwilę później pobiegłam na daleki koniec pomostu, gdzie zgięta wpół próbowałam dojść do siebie. Gdzieś daleko usłyszałam skrzypienie łodzi. Toń wody zmarszczyła się. W porastającej brzegi trawie rozległo się rechotanie żab. Życie toczyło się dalej... Pomyślałam o Primrose i o tym, jak kuśtykała ku mnie podczas ostatniego spotkania. Ciemnoskóra sześćdziesięciodwulatka, pielęgniarka z nadwagą, biegła w pisaniu raportów, znana ze szczególnej słabości do ciasta z rabarbarem. A jednak coś o niej wiedziałam.

Czułam, jak wzbiera we mnie rozpacz.

Uspokój się.

Wzięłam nierówny wdech.

Pomyśl.

Co zrobiła, o czym wiedziała lub co zobaczyła Primrose, że ściągnęła na siebie wyrok śmierci? Czy zamordowano ją, ponieważ odważyła się mi pomóc?

Zadrzałam i zachłannie wciągnęłam powietrze.

A może to, co się wydarzyło, nie miało nic wspólnego z moją osobą? Może Hobbs zginęła przez przypadek? W końcu Ameryka jest prawdziwą mekką dla zabójców. Czy Primrose Hobbs została związana i uduszona, bo miała samochód? Czy zginęła z tak błahego powodu? To nie miało sensu. Nie w przypadku uduszenia przy użyciu taśmy izolacyjnej. Ktoś zaplanował to zabójstwo, a Primrose miała być jego ofiarą. Ale dlaczego?

Słyszając trzask zamykanych drzwi, odwróciłam się. Ratownicy wsiadali do ambulansu.

Chwilę później usłyszałam ryk silnika i samochód z ciałem Primrose wyjechał na piaszczystą drogę.

Żegnaj, stara przyjaciółko. Jeśli jestem winna twojej śmierci, proszę, wybacz. Zagryzłam wargi. Czułam, że zbiera mi się na płacz.

Nie będziesz płakać. Dlaczego nie? Po co wstrzymywać łzy będące wyrazem szacunku dla dobrej i delikatnej osoby?

Mój wzrok powędrował ponad taflę jeziora. Zaczęło się wypogadzać, a nadchodzący, purpurowy zmierzch sprawił, że rosnące na dalekim brzegu sosny przypominały przyczajonych w oddali olbrzymów.

Primrose Hobbs kochała zachody słońca. Spoglądałam w niebo i płakałam, dopóki nie ogarnęła mnie złość. Wściekłość. Poczułam palący gniew.

Okiełznaj go, Brennan. Wykorzystaj.

Obiecałam sobie, że znajdę odpowiedzi na wszystkie nurtujące mnie pytania, wzięłam głęboki oddech i wróciłam do Crowe i Albrighta.

– Czym jeździła? – spytałam.

Crowe zajrzała do notatnika.

– Niebieską hondą civic z dziewięćdziesiątego czwartego roku, na tablicach z Karoliny Północnej.

– Samochód nie jest zaparkowany przed Riverbank lun.

Crowe spojrzała na mnie dziwnym wzrokiem.

– Samochód może być w drodze do Arabii Saudyjskiej – rzekł Albright.

- Mówiłam ci, że ofiara pomagała mi w śledztwie.
- O tym właśnie chciałabym z tobą porozmawiać – rzuciła Crowe.
- Znaleźliście coś? – spytałam.

– Wciąż szukamy.

– Ślady opon? Odciski palców? – Pytanie było głupie i wiedziałam o tym z chwilą, gdy je zadałam. Ulewny deszcz zmył zapewne wszystkie dowody.

Crowe potrząsnęła głową.

Spojrzałam na pozostawione przez rybaków i miłośników łodzi pickupy i SUV-y. Pod pokrowcami zauważyłam dwa, wysokie na pięć metrów, aluminiowe silniki przyczepne.

– Jakiś związek z przystanią?

– To tylko wynajem.

– To znaczy, że codziennie przewijają się tu mnóstwo ludzi. Niezłe miejsce, by pozbyć się ciała.

– Wynajęte łodzie muszą być zwrócone do ósmej wieczorem. Wtedy robi się tu odrobinę spokojniej.

Wskazałam na parę w dzinsach. Stali samotnie na pomoście i wetknawszy dłonie w kieszenie, nie wiedzieli, co mają ze sobą zrobić.

– To właściciele?

– Glenn i Irene Boynton. Twierdzą, że są tu codziennie aż do jedenastej i wracają rano około szóstej. Mieszkają przy drodze.

Crowe machnęła ręką w stronę dróżki.

– Utrzymują, że w nocy przyjeżdżają tu jakieś samochody. Najwyraźniej obawiają się, że dzieciaki majstrują coś przy łodziach, ale od trzech dni nie widzieli ani nie słyszeli niczego podejrzanego. Zresztą, co to da. Przestępca i tak nie powie, że przyjechał tu, by pozbyć się ciała.

Zielone oczy zlustrowały okolicę, po czym spojrzały na mnie.

– Ale masz rację. To dość dziwny wybór. Niecały kilometr stąd jest wąska droga, która łączy się z brzegiem jeziora. Przypuszczamy, że właśnie tam zrzucano ciało.

– Dwa, trzy dni to trochę za długo, by prądy przeniosły je tutaj – dodał Albright. – Możliwe, że morderca przetrzymywał ciało przez jakiś czas, aż w końcu postanowił je wywlec.

– Wywlec? – warknęłam, wściekła na jego bezdusność.

– Wybacz. To stary termin, używany podczas wyrębu drzew. Odnosi się do wywozu bali.



Miałam obawy, by zadać kolejne pytanie.

– Czy została wykorzystana seksualnie?

– Znalaziono ją w ubraniu i bieliźnie. Mimo to zrobię testy na obecność nasienia.

Staliśmy w milczeniu, podczas gdy mrok wokół nas gęstniał z każdą chwilą. Gdzieś za plecami słyszałam trzask i skrzypienie drewnianych pomostów. Wiejący od wody chłodny wiatr niósł zapach ryb i benzyny.

– Po co ktoś miałby dusić staruszkę? – Spytałam, choć sama szukałam odpowiedzi.

– Dlaczego te chore sukinsyny zawsze robią to, co robią? – odpowiedział pytaniem Albright.

Chwilę później opuściłam jego i Crowe i podeszłam do samochodu Ryana. Ambulans i laweta dawno już odjechały, jednak radiowóz został, zalewając parking pulsującym, mdłym światłem. Siedziałam, patrząc na setki odcisków stóp, pozostawionych na miejscu przez ratowników, kierowców lawety, policjantów, patologa i samą siebie.

Przekręciłam kluczyk w stacyjce i czując na policzkach piekące łzy, ruszyłam w kierunku Bryson City.

Kiedy późnym wieczorem sprawdzałam wiadomości, zauważyłam, że jedna z nich została wysłana przez Lucy Crowe. Natychmiast oddzwoniłam i opowiedziałam jej wszystko, co wiedziałam na temat Primrose Hobbs, włącznie z naszym ostatnim spotkaniem na parkingu przed kostnicą.

– Czyli stopa i związane z nią dokumenty po prostu zniknęły.

– Tak mi powiedziano. Prawdopodobnie Primrose była ostatnią osobą, która je widziała.

– Parker Davenport powiedział ci, że to ona wypisała ją z listy ofiar. Interesuje mnie, czy wpisała ją ponownie.

– Dobre pytanie.

– Opowiedz mi o zabezpieczeniach.

– Wszyscy agenci DMORT i ME<sup>19</sup> mają identyfikatory, podobnie jak twoi ludzie z wydziału policji w Bryson City. Przy ogrodzeniu strażnik sprawdza identyfikator i albo wpuszcza cię do środka, albo odprawia z kwitkiem. Mamy też inne zabezpieczenia, jak choćby kolorowe kropki stawiane na plakietkach każdego dnia.

– Po co?

---

<sup>19</sup> [ME – medical examiner – lekarz sądowy (przyp. tłum.)]

– Gdyby komuś udało się podrobić identyfikator i tak nie będzie wiedział, jaki dzień oznaczają poszczególne kropki.

– A po godzinach?

– Liczba pracowników kostnicy jest teraz znacznie mniejsza. Przede wszystkim są to specjaliści od akt, komputerów i personel medyczny. W nocy nie ma tam nikogo, poza twoim zastępcą albo gliniarzem z Bryson City.

Mówiąc to, przypomniałam sobie wicegubernatora i jego kasetę.

– Na bramie wisi kamera monitorująca.

– A co z komputerami?

– Każdy użytkownik ma swoje hasło i tylko nieliczni mają dostęp do danych lub mogą je usuwać.

– Załóżmy, że Hobbs zwróciła stopę. Po co w ogóle była jej potrzebna?

– Z końcem dnia wszystko trafia do chłodni oznaczonych jako „niezidentyfikowane”, „w trakcie badania” i „zidentyfikowane”. Na podstawie tych trzech kategorii sprawy są wpisywane do komputerów.

– Czy wiele czasu zajmuje włamanie się do takiego komputera?

– Banda młodych hakerów włamała się do Pentagonu.

Po drugiej stronie usłyszałam stłumione głosy.

– Szeryfie, uważam, że Primrose Hobbs została zamordowana z powodu tej stopy.

– Może był to materiał biologiczny.

– Kobieta bada przedmiot będący źródłem wielu kontrowersji, przedmiot znika, a trzy dni później znajdujemy jej ciało. Jeśli coś nie łączy tych dwóch spraw, to mamy do czynienia z jakimś cholernym zbiegiem okoliczności.

– Bierzemy pod uwagę każdą ewentualność.

– Wiadomo już dlaczego nikt nie zgłosił zaginięcia?

– Najwyraźniej część ludzi wraca już do Charlotte. Kiedy w poniedziałek Hobbs nie pojawiła się w kostnicy, jej współpracownicy pomyśleli, że pojechała do domu, podczas gdy ludzie w Charlotte przypuszczali, że wciąż jest w Bryson City. W każdą sobotę Hobbs dzwoniła do swojego syna, tak więc chłopak nie mógł przypuszczać, że coś jest nie tak.

Pomyślałam o synu Primrose. Czy miał żonę? Dzieci? Czy był w wojsku? Może był gejem? Czy z matką łączyły go bliskie stosunki? Czasami praca wymaga ode mnie przekazywania ludziom najgorszych wieści. Podczas takich wizyt patrzę na zdruzgotane rodziny, mając świadomość, że ich życie już nigdy nie będzie takie samo. Pete powiedział kiedyś, że w czasie wojny w Wietnamie większość oficerów piechoty morskiej prędzej

zdecydowałyby się przejść na stronę wroga, niż odwiedzić rodzinę zmarłego żołnierza i przekazać jej tragiczne wieści. W zupełności zgadzałam się z tymi słowami.

Wyobraziłam sobie twarz syna Primrose. Jak wszystkie inne, na początku będzie wyrażała otepienie i zmieszanie, by w miarę upływu czasu zmienić się w przerażającą maskę, pełną bólu i smutku. Myśląc o tym, zamknęłam oczy i przez chwilę poczułam jego cierpienie.

– Wstąpiłam do Riverbank Inn.

Głos Crowe wyrwał mnie z zamyślenia.

– Wracając z przystani, wpadłam do Ralpa i Brendy na krótką pogawędkę – ciągnęła.

– Przyznali, że nie widzieli Hobbs od niedzieli, ale nie widzieli w tym nic niezwykłego. W czasie pobytu dwukrotnie opuszczała motel, nie mówiąc ani słowa. Myśleli więc, że i tym razem wyjechała.

– Gdzie wyjechała?

– Przypuszczali, że odwiedzała rodzinę.

– I?

– Jej pokój mówił coś innego. Wszystkie przybory toaletowe były na miejscu.

Szczoteczka do zębów, nić dentystyczna, krem do twarzy. Jednym słowem rzeczy, bez których kobieta nigdzie się nie rusza. Ubrania Hobbs wciąż były w szafce, a pod łóżkiem znaleźliśmy pustą walizkę. Na nocnym stoliku położyła lek na artretyzm.

– A portfel? Kluczyki do samochodu?

– Nic. Wygląda na to, że sama opuściła pokój, ale planowała wrócić na noc.

Chwilę później poinformowałam Crowe o swojej wizycie w Riverbank Inn, a jedyną rzeczą, którą zataiłam, były moje złodziejskie zamiary.

– Jak myślisz, dlaczego Ralph poszedł do jej pokoju?

– Pewnie miałaś rację i zrobił to z czystej ciekawości. Albo wie więcej, niż nam się zdaje. Może chciał wynieść coś z pokoju. Nie jestem pewna, ale z pewnością będziemy go obserwować. Porozmawiamy też z każdym, kto znał ofiarę i poszukamy świadków, którzy mogli ją widzieć po tym, jak zaginęła. Znasz procedurę.

– Znaleźć podejrzanych.

– W hrabstwie Swain nie będzie ich zbyt wielu.

– W pokoju nie było kompletnie niczego, co mogłoby pomóc ustalić, dokąd udała się Hobbs? Żadnego adresu? Mapy? Rachunku za bilet?

Linia zatrzeszczała.

– Przy telefonie leżała kartka z zanotowanymi dwoma numerami.

Kiedy Crowe odczytywała kolejne cyfry, poczułam w żołądku lodowaty ucisk.

Pierwszy numer należał do High Ridge House. Drugi był numerem mojej komórki.

\*\*\*

Godzinę później leżałam w łóżku, starając się uporządkować i ocenić to, co wiedziałam.

Fakt: Stopa nie należała do Daniela Wahnetah. Założenie: Należała do kogoś zamordowanego w okolicach górskiej chaty. Ziemia w pobliżu muru zawierała lotne kwasy tłuszczowe. Coś zatem musiało się tam rozkładać. Założenie: Stopa była stopą jednego z pasażerów Air TransSouth 228. Na miejscu katastrofy znaleziono pojemniki z napisem „Zagrozenie biologiczne”, a także inne zagadkowe szczątki.

Fakt: Zarówno stopa, jak i dotyczące jej dokumenty zaginęły. Założenie: Primrose Hobbs zatrzymała materiał. Założenie: Primrose Hobbs zwróciła materiał, który został skradziony przez kogoś innego.

Fakt: Do chwili obecnej nie zidentyfikowano szczątków Jeana Bertranda i Peppera Petricellego. Założenie: Żadnego z nich nie było na pokładzie samolotu. Założenie: Zarówno detektyw, jak i więzień byli na pokładzie, jednak eksplozja kompletnie zniszczyła ich ciała.

Fakt: Jean Bertrand był podejrzanym w sprawie.

Fakt: Świadek twierdzi, że widział Peppera Petricellego w Nowym Jorku. Założenie: Bertrand przeszedł na stronę wroga. Założenie: Ciało Bertranda zostało spalone.

Fakt: Zostałam oskarżona o kradzież dowodów. Założenie: Nie ufano mi z powodu mojego związku z Andrew Ryanem, partnerem Bertranda. Założenie: Zrobiono ze mnie kozła ofiarnego, by odwrócić moją uwagę od śledztwa. Pytanie tylko, od którego śledztwa. Czy tego związanego z katastrofą, czy tego w sprawie górskiej chaty. Założenie: Byłam w niebezpieczeństwie. Ktoś próbował mnie przejechać i przetrząsnął mój pokój. Ukłucie strachu. Wstrzymałam oddech, nasłuchując odgłosów domu. Cisza.

Fakt: Primrose Hobbs została zamordowana. Założenie: Jej śmierć była dziełem przypadku. Bardziej prawdopodobne: Jej śmierć miała związek ze znaną przeze mnie stopą.

Fakt: Edward Arthur stał się właścicielem ziemi w okolicach strumienia Running Goat w roku 1933 dzięki małżeństwu z Sarah Livingstone. Wynajął miejsce ludziom, którzy założyli tam obozowisko, wybudował chatę i w 1949 roku sprzedał ziemię niejakiemu Prentice'owi Dashwoodowi. Prawo do posiadania ziemi przypadło jednak grupie inwestycyjnej H&F, LLP.

Arthur nie wybudował żadnych murów ani podwórza. Kim był Prentice Dashwood?

Zapaliłam lampkę, znalazłam faks, który McMahon zdobył w Delaware i dzwoniąc zębami, wróciłam biegiem do łóżka. Kiedy na powrót opatuliłam się kocami, zerknęłam na nazwiska.

W. G. Davis, F. M. Payne, C. A. Birkby, F. L. Warren, P. H. Rollins, M. P. Veckhoff.

Veckhoff – jedyne nazwisko, które brzmiało dziwnie znajomo. Pat Veckhoff z Charlotte przez sześć lat był senatorem Karoliny Północnej. Zmarł niespodziewanie ubiegłej zimy.

Teraz zastanawiałam się, czy był jakiś związek między nim, a Veckhoffem z listy.

W końcu zgasiałam światło i leżąc w ciemnościach, szukałam jakiegokolwiek związku pomiędzy strzępami informacji. Pomysł okazał się chybiony, jedyną rzeczą, jaką potrafiłam sobie wyobrazić, była znajoma twarz Primrose Hobbs.

Primrose siedząca przy komputerze. Zatknięte na czubku nosa okulary. Primrose na parkingu. Primrose na miejscu katastrofy z 1997 roku w Kinston, w Karolinie Północnej. Primrose w Charlotte. Stołówka w Szpitalu Prezbiteriańskim. Pamiętam, że jadłam wówczas wegetariańską pizzę, ale nie pamiętałam, po co spotkałam się z Primrose.

Zawinięte w plastikowy worek ciało.

Boże, dlaczego?

Może stała się częścią jakiejś chorej, zawiłej intrygi? Ktoś ją wybrał, wyszedł, obezwładnił i w bestialski sposób pozbawił życia. A może wszystko to było dziełem przypadku? Może Primrose padła ofiarą kaprysu psychopaty, który postanowił, że zabije właściciela pierwszej napotkanej niebieskiej hondy albo czwartą kobietę, która opuści sklep.

Czy jej śmierć była częścią planu? A może w pewnym nieodwracalnym momencie rzeczy wymknęły się spod kontroli?

Przemoc wobec kobiet nie jest niczym nowym. To na naszych kościach budowano historię ludzkości. Masowy grób w Cahokia. Święte miasto Chichén Itzá. Krótkowłosa dziewczynka z epoki żelaza, którą skrupowano i z zawiązanymi oczami zaprowadzono na mokradła.

Kobiety są słabsze. Przyspieszają, słysząc za sobą czyjeś kroki. Zanim otworzą drzwi, zerkają przez wizjer. Gdy jadą pustą windą, stoją zawsze przy przyciskach. Boją się ciemności. Czy Primrose była kolejną postacią w niekończącej się paradzie kobiecych ofiar?

Kogo chciałam oszukać? Znałam przyczynę jej śmierci i nie miałam wątpliwości.

Primrose Hobbs została zamordowana, ponieważ spełniła prośbę. Moją prośbę. Odebrała faks, zrobiła pomiary i zgromadziła dane. Pomogła mi, a tym samym komuś zagroziła.

To ja ją w to wpakowałam, a ten ktoś postanowił się jej pozbyć. Poczucie winy i smutek ciążyły mi niczym niewidzialny ciężar.

Jakim cudem ktoś pokroju Primrose mógł stanowić zagrożenie? Czy odkryła coś, o czym nie miałam pojęcia? Zdawała sobie sprawę z wagi swojego odkrycia czy może w ogóle nie była jej świadoma? Czy zamknięto jej usta, ponieważ wiedziała zbyt wiele, a może ktoś obawiał się tego, czego mogła się dowiedzieć?

Gdzie w tym wszystkim byłam ja? Czy ja również stanowiłam zagrożenie dla jakiegoś szaleńca?

Nagle usłyszałam dobiegające z dołu upiorne zawodzenie. Wygrzebałam się z łóżka, założyłam dzinsy, bluzę i traperę i idąc na palcach, wymknęłam się z domu.

Boyd siedział obok budy. Zadzierał pysk w kierunku nieba. Na mój widok poderwał się z ziemi i radośnie machnął ogonem. Chwilę później oparł się na przednich łapach, wyciągnął szyję i zaskomlał.

Kiedy podrapałam go za uszami, ciepłym wilgotnym jęzorem polizał moją dłoń, a gdy zapinałam smycz, spod potężnych łap posypały się grudy ziemi.

– Spokojnie – powiedziałam, grożąc mu palcem. – To wbrew zasadom.

Pies spojrział na mnie, wywalił jęzor, uniósł brwi i łagodnie dał się poprowadzić w stronę domu.

Chwilę później leżeliśmy w ciemnościach. Ja na łóżku, Boyd na dywanie. Kiedy opierał pysk na przednich łapach, usłyszałam ciche westchnienie.

Zasnęłam, muskając dłońią jego łeb.

## Rozdział 21

Obudziłam się wcześniej. Nieokreślone uczucie chłodu i pustki dusiło mnie niczym ciężki, wilgotny koc.

Primrose nie żyła.

Uczucie straty połączone z poczuciem winy było tak paraliżujące, że potrafiłam jedynie leżeć w łóżku, nie mając ochoty na kontakt ze światem.

Kiedy Boyd trącił pyskiem moje biodro, obróciłam się i podrapałam go za uszami.

– Masz rację, piesku. Użalanie się nad sobą do niczego nie prowadzi.

Po tych słowach zwlokłam, się z łóżka, ubrałam się i wyprowadziłam Boyda z domu.

Kiedy wróciłam, na drzwiach do Magnolii wisiała notatka. Ryan informował, że spędzi kolejny dzień w towarzystwie McMahona i nie będzie potrzebował samochodu. Kluczyki, które zostawiłam na komodzie, należały do mnie.

Na sekretarce mojego telefonu czekało pięć wiadomości. Cztery od reporterów i jedna z warsztatu.

Kiedy oddzwoniłam, poinformowano mnie, że naprawa przeciągnęła się i samochód będzie gotowy na jutro. Rozmowa nie należała do najprzyjemniejszych, zwłaszcza że przestałam prosić, a zaczęłam wymagać.

Co teraz?

Pomysł, na który wpadłam, był stary jak świat i stanowił najlepszą ucieczkę dla smutnych i niespokojnych dziewczynek. W żaden sposób mi nie zaszkodzi, a przy odrobinie szczęścia mogłam dowiedzieć się czegoś ciekawego.

Co więcej, przez kilka godzin będę anonimowa i nieuchwytna.

Zjadłam tosta i lukrowane płatki Frosted Flakes i pojechałam do publicznej biblioteki

Marianna Black, piętrowego budynku z czerwonej cegły na rogu Everett i Academy. Przy wejściu powitały mnie tekturowe manekiny, trzymające w dłoniach otwarte książki. Za kontuarem stał czarnoskóry mężczyzna. Jego szczery, radosny uśmiech odsłaniał garnitur złotych zębów. Towarzyszyła mu starsza kobieta, wieszająca nad ladą wycięty z papieru łańcuch, którego ogniwiemi były miniaturowe dynie. Na mój widok oboje podnieśli wzrok.

– Dzień dobry.

– Dzień dobry. – Zęby mężczyzny błysnęły złotem. Jego liliowowłosa towarzyszka zerknęła na mnie podejrzliwie.

– Chciałabym zobaczyć archiwalne numery lokalnych gazet – powiedziałam z rozbajającym uśmiechem.

– „The Smokey Mountain Times”? – spytała kobieta, odkładając spinacz.

– Tak.

– Z jakiego okresu?

– Macie numery z lat trzydziestych i czterdziestych?

Na czole kobiety pojawiły się zmarszczki.

– Najstarsze numery pochodzą z 1895 roku.

Wtedy jeszcze gazeta nazywała się „Bryson City Times” i była tygodnikiem. Oczywiście starsze publikacje znajdują się na mikrofilmie. Sama pani rozumie, nie można przeglądać oryginałów.

– Wystarczy mi mikrofilm.

Mężczyzna zaczął układać książki na półkach. Przez chwilę patrzyłam na jego wypolerowane paznokcie i nieskazitelnie czyste ubranie.

– Przeglądarka znajduje się w pomieszczeniu z książkami, obok działu genealogicznego. Może pani przeglądać jeden film na raz.

– Dziękuję.

Bibliotekarka otworzyła jedną z dwóch metalowych szafek i wyciągnęła małe, szare pudełko.

– Lepiej wyjaśnię, jak obsługiwać urządzenie.

– Proszę nie robić sobie kłopotu. Wiem, jak obsługiwać przeglądarki mikrofilmów.

Biorąc do rąk pudełko, zerknęłam na jej twarz i natychmiast spostrzegłam, w czym tkwił problem. Cywil pomiędzy cennymi zbiorami – oto, czego się obawiała.

Ustawiłam urządzenie i sprawdziłam przyklejoną do pudełka etykietkę: 1931-1937.

Pomyślałam o Primrose i łzy napłynęły mi do oczu.

Przestań. Dość rozpaczania.

Po co w ogóle tutaj przyszłam? Jaki był mój cel? Czy w ogóle jakiś miałam, czy też najzwyczajniej w świecie uciekałam od ludzi?

Nie. Miałam cel.

Byłam przekonana, że przyczyną moich problemów była góraska chata i chciałam wiedzieć, komu zawdzięczam wydarzenia ostatnich dni. Arthur powiedział, że sprzedał ziemię Prentice’owi Dashwoodowi. Mimo to wciąż nie wiedziałam, czego naprawdę szukam.

Prawdę powiedziawszy, nie spodziewałam się znaleźć tu żadnych rewelacji. Po prostu skończyły mi się pomysły. Wiedziałam tylko, że muszę oczyścić się z zarzutów. Bez



samochodu nie mogłam wrócić do Charlotte, a odsunięcie mnie od sprawy zamknęło przede mną niemal wszystkie furtki. Niekiedy historia bywa zaskakująca.

Przypomniałam sobie słowa, które widziałam na wiszącym w biurze Pete'a plakacie:  
Niezdeterminowanie jest Kluczem do Elastyczności.

Jeśli maksyma ta była dobra dla oficerów-prawników z korpusu amerykańskiej piechoty morskiej, była dobra i dla mnie. Postanowiłam szukać dosłownie wszystkiego.

Chwilę później włożyłam kliszę do wyświetlacza i nawinęłam ją na przeglądarkę.

Urządzenie było staroświeckim modelem na korbkę, pochodzącym sprzed czasów, gdy bracia Wright odbyli pierwszy lot nad Kitty Hawk. Tekst i ilustracje zdawały się rozmyte i już niebawem poczułam nadciągający niczym burza ból głowy.

Przeglądałam szpulę za szpulą, odbywając regularne wycieczki do kontuaru. Kiedy docierałam do wczesnych lat czterdziestych, bibliotekarka okazała się człowiekiem i pozwoliła zabrać na raz sześć pudeł. Przebiegałam wzrokiem informacje o wydarzeniach charytatywnych, myjniach samochodowych, kościelnych zgromadzeniach i lokalnych tragediach. Przystępstwa, które zdarzały się w okolicy, nie były niczym szokującym. Najczęściej pisano o wykroczeniach drogowych, pijaństwie i awanturach, kradzieżach i aktach wandalizmu. Odnotowywano również narodziny, zgony i śluby. Reklamowano wystawione na sprzedaż garaże i stodoły. Wojna zebrała w hrabstwie Swain obfite żniwo. W latach 42-45 strony gazety wypełniały nazwiska i zdjęcia żołnierzy, a każda śmierć urastała tu do rangi filmu fabularnego. Niektórzy mieszkańcy umierali we własnych łóżkach. W grudniu 1943 roku na pierwszą stronę trafił zmarły Henry Arlen Preston. Całe życie spędził w hrabstwie Swain, pracując jako adwokat, sędzia i dziennikarz. Jego karierę opisano w najdrobniejszych szczegółach, rozwodząc się nad kadencją senatora stanowego w Raieigh oraz publikacją dwutomowego dzieła na temat ptaków Karoliny Północnej. Preston zmarł w wieku osiemdziesięciu dziewięciu lat, zostawiając żonę, czwórkę dzieci, czternaścioro wnucząt i dwadzieścioro troje prawnucząt.

Tydzień po jego śmierci w „Timesie” zamieszczono informację o zaginięciu niejakiego Tuckera Adamsa. Artykuł zajmował dwie miniaturowe kolumny na szóstej stronie, jednak nie przedstawiał zdjęcia zaginionego.

Ta niejasna wzmianka zwróciła moją uwagę. Czyżby Adams potajemnie zaciągnął się do wojska i zmarł z dala od domu jak inni żołnierze? A może wrócił, zaskakując swych sąsiadów opowieściami o Włoszech i Francji, a potem wyjechał, by żyć własnym życiem? Może spadł z klifu? Uciekł do Hollywood? Mimo iż szukałam kolejnej notki na jego temat, nic nie znalazłam.

Tereny górskie również bywały zdradliwe. W roku 1939 Hilda Miner wyszła z domu, aby zanieść wnuczce ciasto truskawkowe. Jak się okazało, nigdy nie dotarła na miejsce, a formę do ciasta znaleziono na brzegu rzeki Tuckasegee. Pomimo iż nigdy nie odnaleziono ciała, uznano, że kobieta utonęła. Dziesięć lat później te same wody zabrały dr. Sheldona Brodie, biologa z uniwersytetu stanowego Appalachian. Dzień po tym, jak ciało profesora zostało wyrzucone na brzeg, woda pochłonęła Ednę Farrell. Podobnie jak w przypadku Miner, nigdy nie odnaleziono ciała.

Odchyliłam się na krzesło i przetarłam oczy. Co powiedział staruszek na temat Farrell? Powinni się nią lepiej zająć. Kim byli „oni”? Lepiej zająć? W jaki sposób? Czy miał na myśli to, że nie odnaleziono ciała? A może był niezadowolony z odprawionego przez Thaddeusa Bowmana nabożeństwa żałobnego?

W roku 1959 ofiarą lokalnej fauny padł siedemdziesięcioletni Charlie Wayne Tramper z plemienia Czirokezów. Dwa tygodnie po zaginięciu, w jednej z dolin znaleziono jego strzelbę. Sądząc po niedźwiedzich śladach, Tramper został rozszarpany przez zwierzęta.

Pochowano go ze wszystkimi plemiennymi honorami.

Jako antropolog sądowy miałam do czynienia z ofiarami ataków niedźwiedzi.

Wiedziałam więc, co zostało z Charliego Wayne'a i czym prędzej chciałam zapomnieć o całej sprawie.

Lista ofiar, które przegrały starcie z matką naturą, nie miała końca. W roku 1972 czteroletnia dziewczynka oddaliła się od obozu w Maggie Valley. Następnego dnia wyciągnięto z jeziora jej małe ciało. Zimą następnego roku dwóch biegaczy narciarskich zamarzło, kiedy zaskoczyła ich burza śnieżna. W 1986 roku sadownik Albert Odell poszedł do lasu zbierać smardze i nigdy nie wrócił.

Nie znalazłam żadnej wzmianki na temat Prentice'a Dashwooda, urzędników z grupy inwestycyjnej H&F czy należącej do Arthura ziemi. Przeszłam do rozkładówki z maja 1959 roku, wtedy właśnie na autostradzie numer 19 doszło do poważnego wypadku. Sześciu rannych, czterech zabitych. Zdjęcia przedstawiały splątane wraki. Sześćdziesięcioośmioletni mieszkaniec Cullowhee, dr Anthony Allen Birkby, zmarł w wyniku licznych obrażeń, trzy dni po wypadku. Ta informacja przykuła moją uwagę. Choć nazwisko było dość popularne, niejaki CA. Birkby figurował na faksie McMahona.

Przed południem ból głowy stał się nie do wytrzymania, a cukier we krwi spadł do poziomu krytycznego. Czułam, że nadszedł czas na przerwę. Wyjęłam z torebki batonik muesli i pochylona nad kolejną kliszą, rozkoszowałam się jego smakiem.

Numery z ostatnich lat nie były zapisane na mikrofilmach, dlatego wczesnym popołudniem zaczęłam przeglądać wydruki. Tymczasem ból głowy narastał, rozlewał się na płaty: czołowy, skroniowy i potyliczny, nasilając się w okolicach prawego oka.

Przeciągnęłam się. Ból nie ustępował. Marzyłam, żeby wrócić do domu. Nagle przypomniałam sobie staruszkę.

Cholera.

Przeglądałam gazety z bieżącego roku, czytałam nagłówki i oglądałam zdjęcia, kiedy niespodziewanie coś przykuło moją uwagę. George Adair. Zaginiony rybak.

Artykuł na temat zniknięcia Adaira był szczegółowy. Podawał dokładny czas i miejsce fatalnej w skutki wyprawy, przedstawiał szczegółowy rysopis zaginionego, łącznie z opisem sygnetu, który George nosił od czasów szkoły średniej, i medalika ze świętym Błażejem.

Znów stanęły mi przed oczami obrazki z dzieciństwa. Pastor. Błogosławienie gardeł w dniu świętego Błażeja. O co tak naprawdę chodziło? Podobno święty Błażej uratował dziecko, które zakrztusiło się rybią ością. Crowe wspominała, że Adair miał problemy z gardłem, więc taki medalik-talizman był mu potrzebny.

Kiedy George zaginął, przesłuchano jego przyjaciela, żonę, znajomych, byłego pracodawcę i księdza. Obok historii zamieszczono ziarnistą fotografię, na której medalik Adaira był widoczny jak na dłoni.

Kim była trzecia zaginiona osoba? Próbowałam zmusić obolałą głowę do myślenia.

Jeremiah Mitchell. Luty. Wróciłam do numerów sprzed ośmiu miesięcy. Czułam, że pozornie niezwiązane ze sobą fakty zaczynają układać się w logiczną całość.

Zaginięciu Jeremiaha Mitchella poświęcono jeden, krótki akapit. Piętnastego lutego siedemdziesięciodwuletni, czarnoskóry mężczyzna opuścił Mighty High Tap i przepadł jak kamień w wodę. Każdy, kto posiada jakiegokolwiek informacje bla, bla, bla.

Trudno pozbyć się starych nawyków – pomyślałam, czując, jak wzbiera we mnie gniew, jeśli zaginionym jest „biały”, gazety zamieszczają obszerną informację, jeśli „czarny”, znajdujemy krótką wzmiankę na stronie siedemnastej. A może chodzi o status zaginionego?

George Adair miał pracę, znajomych, rodzinę. Jeremiah Mitchell był samotnym, bezrobotnym alkoholikiem.

Ale i on miał kiedyś rodzinę. W marcowym numerze pojawiła się kolejna, krótka wzmianka na jego temat. Proszono w niej o informacje i podawano nazwisko babki ze strony matki: Marthy Rose Gist. Przez chwilę gapiłam się na nazwisko. Mogłabym przysiąc, że już je gdzieś widziałam.

Wróciłam do pudeł i przeglądałam cierpliwie kolejne numery. Nekrolog pojawił się szesnastego maja 1952 roku. Martha Rose Gist zdobyła lokalną sławę jako garncarka.

Dołączony do nekrologu krótki artykuł okraszono zdjęciem pięknie zdobionej misy, jednak nigdzie nie było zdjęcia artystki.

Do diabła!

Upewniłam się, że jestem sama i włączyłam, telefon. Miałam sześć nieodebranych wiadomości. Mimo to zignorowałam je i chowając aparat pod kurtką, wybrałam numer Crowe.

– Szeryf Crowe.

Nie zawracałam sobie nawet głowy przedstawianiem się.

– Znasz alfabet sylabiczny Sekwoi? – spytałam szeptem.

– Jesteś w kościele?

– W bibliotece w Bryson City.

– Jeśli Iris zauważy, że rozmawiasz przez telefon, wyrwie ci usta i wrzuci je do niszczarki.

A więc fioletowowłosa smoczyca, którą spotkałam przy wejściu, miała na imię Iris.

– Sekwoja opracował alfabet dla języka Czirokezów. Każdy, kto zabawi tutaj trochę dłużej, prędzej czy później dostanie popielniczkę ozdobioną znakami tego alfabetu – odparła Crowe.

– Jak się nazywała rodzina Sekwoi?

– Chcesz usłyszeć odpowiedź?

– Mówię poważnie.

– Zgadnij.

– Crowe, to naprawdę ważne – syknęłam przez zaciśnięte zęby.

– W zależności od transliteracji nazywał się Guess albo Gist. Czemu pytasz?

– Babka Jeremiaha Mitchella ze strony matki nazywała się Martha Rose Gist.

– Ta garncarka?

– Tak.

– Niech mnie diabli.

– Wiesz, co to oznacza?

Nie czekałam na odpowiedź.

– Mitchell był w połowie Czirokezem.

– Na Boga, to jest biblioteka!

Oddech Iris uderzył mnie w twarz.

Zignorowałam ją, unosząc palec.

– Proszę natychmiast się rozłączyć! – upomniała mnie tak głośno, jak tylko potrafi szepczący.

– Czy w rezerwacie ukazuje się jakaś gazeta?

– „The Cherokee One Feather”. Jeśli dobrze pamiętam, w muzeum znajduje się archiwum plemiennych zdjęć.

– Kończę. – Po tych słowach rozłączyłam się i wyłączyłam komórkę.

– Obawiam się, że muszę poprosić panią o opuszczenie biblioteki. – Iris stała tuż obok. Z opartymi na biodrach dłońmi, wyglądała jak gestapowska strażniczka słowa.

– Mam odnieść pudełko?

– To nie będzie konieczne.

Zanim znalazłam to, czego szukałam, musiałam zatrzymać się w trzech miejscach. Dzięki wizycie w siedzibie „The Cherokee One Feather”, w Centrum Rady Plemienia, dowiedziałam się, że gazeta ukazywała się od 1966 roku. Jak poinformowano mnie, jej poprzedniczka nosiła nazwę „The Cherokee Phoenix”, jednak w archiwach nie mieli żadnych zdjęć czy starych numerów.

Związek Historyczny Plemienia Czirokeezów był w posiadaniu fotografii, z których większość została wykonana na potrzeby promocyjne spektaklu Do Tych Wzgórz.

Następnie udałam się do położonego po przeciwnej stronie drogi Muzeum Indian Czirokeezów. Kiedy powiedziałam, o co mi chodzi, zaprowadzono mnie do biura na drugim piętrze budynku, zaopatrzone w parę bawełnianych rękawiczek i pozwolono przejrzeć zdjęcia i numery archiwalne lokalnych gazet.

W ciągu godziny znalazłam potwierdzenie.

Martha Rose Standingdeer urodziła się w 1889 roku w Qualla Boundary. W 1908 roku poślubiła Johna Patricka Gista, a rok później urodziła córkę Willow Lynette. W wieku siedemnastu lat Willow poślubiła w Amerykańskim Kościele Syjonu w Karolinie Południowej Jonasa Mitchella. Na ślubnym zdjęciu widniała drobna dziewczyna w krótkim welonie i sukni w stylu empire. Ścisnęła w dłoniach bukiet stokrotek. U jej boku stał mężczyzna, którego skóra była znacznie ciemniejsza od skóry panny młodej.

Przyjrzałam się zdjęciu. Mimo iż Jonas Mitchell wydawał się wychudzony i niezbyt przystojny, było w nim coś pociągającego. W dzisiejszych czasach mógłby występować w reklamach Benetton.

W 1929 roku Willow Mitchell urodziła Jeremiaha, a zimą 1930 zmarła na gruźlicę. Od tego czasu w gazecie nie było już żadnej wzmianki na temat Jonasa i jego syna.

Zastanawiałam się nad wszystkim, czego się dowiedziałam.

Jeremiah Mitchell przynajmniej w połowie był Indianinem. Kiedy zaginął, miał siedemdziesiąt dwa lata. Stopa musiała więc należeć do niego.

Skąd zatem niezgodność w datach?

Mitchell zaginął w lutym. Profil z VFA wskazywał, że zgon nastąpił mniej więcej sześć, siedem tygodni temu, czyli w okolicach sierpnia lub na początku września. Może Mitchell opuścił Mighty High Tap i jakoś przetrwał noc. Może odszedł, wrócił i pół roku później zmarł z zimna.

Odszedł?

Gdzie niby miał iść? Na wyprawę?

Siedemdziesięciodwuletni alkoholik bez samochodu i pieniędzy?

Takie rzeczy się zdarzają.

Zmarł z wyziębienia? Latem?

Usiadłam. Byłam kompletnie zbита z tropu i podenerwowana tym, że mimo tak wielu faktów, nic nie układa się w logiczną całość.

Miałam nadzieję, że chociaż ból głowy wkrótce minie. Przeszłam do archiwum zdjęć.

Moją uwagę zwróciło kilka szczegółów.

Przejrzałam pięćdziesiąt, może sześćdziesiąt folderów, gdy nagle natrafiłam na czarnobiałe zdjęcie o wymiarach osiem na dziesięć. Fotografia przedstawiała obłożoną kwiatami trumnę i żałobników w workowatych garniturach z bufiastymi ramionami lub w tradycyjnych strojach Czirokezów. Na umieszczonej z tyłu, poźółkłej nalepce zapisano wyblakłym atramentem: Pogrzeb Charliego Waynea Trampem. 17 maja, 1959. Mężczyzna, który został rozszarpany przez niedźwiedzia.

Zerknęłam na twarze żałobników, dłużej przyglądając się twarzom dwóch młodych mężczyzn stojących z boku.

Mimo iż zdjęcie zrobiono przeszło czterdzieści lat temu, natychmiast rozpoznałam jednego z nich. W 1959 roku mężczyzna musiał mieć około trzydziestu lat, a więc dopiero co przyjechał z Anglii. Profesor archeologii na Uniwersytecie Duke'a. Akademicka gwiazda, która dość szybko się wypaliła.

Co Simon Midkiff robił na pogrzebie Charliego Wayne'a Trampera?

Zerknęłam w prawo i aż jęknęłam ze zdumienia.

Simon Midkiff stał ramię w ramię z... wicegubernatorem.

Parker Davenport.

A może nie? Przyjrzałam się twarzy. Tak. Nie. Mężczyzna na zdjęciu był dużo młodszy i szczuplejszy.

Zawahałam się i rozejrzałam dookoła. Od przeszło pół wieku nikt nie przeglądał tych akt, a zatem to, co robiłam, nie było kradzieżą. Za kilka dni zwrócę fotografię.

Wsunęłam zdjęcie do torebki, odłożyłam teczkę na półkę i wyszłam z budynku.

Niemal natychmiast zadzwoniłam na informację telefoniczną w Raleigh i poprosiłam o numer do Wydziału Zasobów Kulturowych. Chwilę później czekałam na połączenie. Kiedy w słuchawce odezwał się głos, spytałam o Carol Burke. Mniej więcej dziesięć sekund później usłyszałam:

– Carol Burke.

– Carol, tu Tempe Brennan.

– Dobrze, że dzwonicz, właśnie miałam zamykać. Zamierzasz rozkopać kolejny cmentarz?

Oprócz wielu innych zadań, Departament Zasobów Kulturowych Karoliny Północnej zajmuje się ochroną i pielęgnacją dziedzictwa kulturowego. Kiedy pojawia się propozycja rozwoju regionalnego z udziałem stanowych lub federalnych funduszy, zezwoleń, licencji czy ziemi, Carol i jej koledzy nakazują wykopaliska i badania mające na celu określenie, czy w trakcie inwestycji nie ulegną zniszczeniu prehistoryczne i zabytkowe miejsca. Nie ma znaczenia, czy w grę wchodzi budowa autostrady, lotniska czy też kanału ściekowego – bez ich oficjalnej zgody nic nie ruszy z miejsca.

Carol i ja poznałyśmy się w czasach, kiedy interesowałam się głównie archeologią.

Dwukrotnie firmy deweloperskie zatrudniały mnie przy przenoszeniu zabytkowych cmentarzy. Carol nadzorowała wówczas oba projekty.

– Nie tym razem. Potrzebuję informacji.

– Zrobię, co będę mogła.

– Interesuje mnie miejsce, które rozkopuje dla ciebie Simon Midkiff.

– Chodzi o obecne projekty?

– Tak.

– Na chwilę obecną Midkiff nie dostał od nas żadnych zleceń. Przynajmniej takich, o których bym wiedziała.

– Nie prowadzi wykopalisk w hrabstwie Swain?

– Nie sądzę. Zaczekaj.

Nim ponownie usłyszałam jej głos w słuchawce, zdążyłam wrócić do samochodu i otworzyć drzwi.

– Nie. Midkiff nie pracuje dla nas od dwóch lat i chyba nieprędko wróci do łask, bo wciąż nie oddał raportu z ostatniego kontraktu.

– Dzięki.

– Boże, gdybym mogła odpowiadać tak szybko na wszystkie pytania.

Ledwie skończyłam rozmowę, gdy zadzwonił telefon. Dziennikarz z „Charlotte Observer” po raz kolejny przypomniiał mi o mojej złej sławie. Rozłączyłam się, nie komentując całej sprawy.

Głowa pulsowała tępy bólem. Nic nie miało sensu. Dlaczego Midkiff kłamał? Dlaczego razem z Davenportem brali udział w pogrzebie Trampera? Czy już wówczas się znali? Potrzebowałam aspiryny. Potrzebowałam lunchu. Potrzebowałam, by ktoś mnie wysłuchał.

Boyd.

Po powrocie do High Ridge House łyknęłam dwie aspiryny i zabrałam Boyda na przejażdżkę. Psisko siedziało na siedzeniu pasażera, wystawiając łeb przez okno, węsząc w powietrzu i reagując nerwowo na każdy zapach. Kiedy obserwowałam jego zachowanie w Burger Kingu dla zmotoryzowanych, przypomniłam sobie o wiewiórcie i otaczającym górską chatę murze. Do czego tak naprawdę Boyda wyszkolił poprzedni właściciel?

Niespodziewanie przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Idealne miejsce na piknik i zapoznanie się z nazwiskami.

Cmentarz w Bryson City mieści się na wzgórzu Schoolhouse, gdzie z jednej strony widać Veterans Boulevard, natomiast z drugiej przepiękną, górską dolinę. Aby się tam dostać, potrzebowałam siedmiu minut. Boyd, który najwyraźniej nie był w stanie zrozumieć, dlaczego jeszcze nie jemy, bezustannie lizał i szturchał papierową torbę. Efekt był taki, że zanim dotarliśmy na cmentarz, kartonowa taca była tak wilgotna, że aby się nie rozpadła, musiałam ją nieść w obu rękach.

Boyd ciągnął mnie od nagrobka do nagrobka, od czasu do czasu obsikując niektóre z nich i drapiąc łapami brukowane alejki. W końcu zatrzymał się przy kolumnie z różowego granitu, spojrzał na mnie i szczechnął.

Syhia Hotchkins

Przyszła na świat 12 stycznia 1945 roku

Odeszła z tego świata

20 kwietnia 1968 roku

Wiosna jej życia trwała zbyt krótko

Sześćdziesiąty ósmy był ciężki dla nas wszystkich, Sylvio.



Zakładając, że dziewczyna nie miała by nic przeciwko mojemu towarzystwu, usiadłam przy jej grobie, w cieniu wielkiego dębu. Boyd przycupnął obok, nie odrywając wzroku od kartonowej tacy.

Kiedy wyciągnęłam burgera, poderwał się z ziemi.

– Siad.

Usiadł i wygłodniałym wzrokiem patrzył, jak odwijam papier i podaję mu kanapkę.

Chwilę później, jak gdyby nigdy nic, rozłożył ją na czynniki pierwsze i w nabożnym skupieniu zjadł mięso, bułkę, sałatę i pomidory. Po skończonej uczcie podniósł umazany ketchupem pysk i wbił wzrok w mojego Whoppera.

– Siad.

Pies posłusznie wykonał polecenie. Kiedy rozsypałam przed nim frytki, jedną po drugiej brał delikatnie do pyska, jak gdyby obawiał się, że któraś z nich może zagubić się w zielonym morzu trawy. Tymczasem ja rozpakowałam Whoppera i włożyłam słomkę do pojemnika z napojem.

– Oto umowa.

Boyd podniósł łeb, by po chwili wrócić do pochłaniania frytek.

– Po co Simon Midkiff poszedł na pogrzeb siedemdziesięcioletniego Czirokeza, zabitego przez niedźwiedzia?

Wciąż nie znałam odpowiedzi na tak wiele pytań.

– Midkiff jest archeologiem. Być może prowadził wykopaliska w Eastern Band Cherokee. Może Tramper był jego przewodnikiem i historykiem?

Boyd jak urzeczony wpatrywał się w moją kanapkę.

– OK. Kupuję to.

Mówiąc to, wgrzyłam się w bułkę.

– Ale skąd wziął się tam Parker Davenport?

Pies spojrzął na mnie, nie podnosząc łba z ziemi.

– Davenport dorastał tutaj. Możliwe, że znał Trampera.

Boyd zastrzygł uszami, połknął ostatnią frytkę i zerknął na kolejną paczkę, którą kupiłam z myślą o sobie. Rzuciłam mu kilka złocistych paluszków.

– Być może Tramper i Davenport mieli w rezerwacie wspólnych znajomych. A może Davenport już wówczas zaczynał karierę polityczną?

Rzuciłam Boydowi kolejną porcję frytek.

– Może Davenport i Midkiff już wtedy byli znajomymi?

Pies podniósł łeb, nastroszył brwi i wywalił purpurowy jęzor.

– Jeśli tak, to gdzie się poznali?

Boyd przekrzywił łeb i patrzył na resztki Whoppera w mojej dłoni. Rzuciłam mu ostatnią porcję frytek i w milczeniu sączyłam dietetyczną colę.

– To jeszcze nie wszystko, Boyd.

Zebrałam opakowania i wrzuciłam je do papierowej torby. Widząc, że uczta dobiegła końca, pies położył się na boku, westchnął i zamknął oczy.

– Midkiff mnie okłamał. Davenport chce mojej głowy. Gdzie tu związek?

Boyd milczał.

Oparłam się plecami o pień dębu i przez chwilę rozkoszowałam się ciepłem słonecznych promieni. Cmentarne powietrze pachniało świeżo skoszoną trawą, suchymi liśćmi i spieczoną od słońca ziemią. W pewnym momencie Boyd poderwał się z ziemi, obrócił się dookoła, jak gdyby gonił za własnym ogonem i położył się przy mnie.

Na wzgórzu pojawił się mężczyzna z collie. Na jego widok Boyd poderwał się i szczełnął radośnie. Najwyraźniej późne popołudnie na cmentarzu służyło nie tylko mnie. Wstałam i zapięłam smycz.

W nadciągającym zmierzchu spacerowaliśmy między nagrobkami. Mimo iż nie zauważyłam nikogo z listy H&F, ani żadnych Dashwoodów, niektóre nazwiska wydały mi się znajome. Thaddeus Bowman. Victor Livingstone i jego córka Sarah Masham Livingstone. Enoch McCready.

Wciąż miałam w pamięci słowa Luke’a Bowmana i zastanawiałam się, co było przyczyną śmierci męża Ruby. Szukałam odpowiedzi, lecz zamiast nich w mojej głowie rodziło się coraz więcej pytań. Mimo to udało mi się rozwiązać pewną zagadkę i odnalazłam jedną z zaginionych osób. Skręcając do wyjścia w południowej części cmentarza, nieomal potknęłam się o prostą płytę.

Wyryty na niej napis głosił.

Tucker Adams

1871-1943

R. I. P

## Rozdział 22

Po wyjściu z cmentarza pojechałam do High Ridge House, zostawiłam Boyda i nie wiedząc, że nadchodzący wieczór upłynie pod znakiem telefonów, wróciłam do pokoju.

Zdażyłam włączyć światło, gdy zadzwonił Pete.

– Hej, jak tam wielki B?

– Rozkoszuje się górskim jedzeniem i fauną. Wróciłeś już do Charlotte?

– Nie, utknałem w gminie Hossier. Boyd bardzo daje ci się we znaki?

– Ma wyjątkowe podejście do życia.

– A co u ciebie?

Opowiedziałam mu o Primrose.

– Cholera, skarbie. Naprawdę mi przykro. Trzymasz się jakoś?

– Nic mi nie będzie – skłamałam. – Poza tym, to nie wszystko.

Pokrótkie streściłam spotkanie z Davenportem i przedstawiłam Pete’owi skargi, które wicegubernator zamierzał przesłać do moich przełożonych.

– Ten facet to wpływowi skurwysyn.

– Nie próbuj imponować mi tym waszym prawniczym żargonem.

– Ta sprawa musi mieć podłoże polityczne. Domyślasz się, o co chodzi?

– Facetowi nie podoba się mój kolor włosów.

– Mnie się podoba. Dowiedziałaś się czegoś nowego na temat stopy?

Opowiedziałam Pete’owi o wynikach badań histologicznych, swoich przypuszczeniach co do rasy ofiary i zaginionych Danielu Wahnetah oraz Jeremiahu Mitchellu.

– Póki co, stawiam na Mitchella.

Poczułam, że w końcu mogę się wyżalić. Powiedziałam Pete’owi o zdjęciu z pogrzebu Charliego Wayne’a Trampera i telefonie do Raleigh.

– Dlaczego Midkiff miałby cię okłamywać?

– Jemu też nie podobają się moje włosy. Może powinnam wynająć adwokata?

– Już go masz.

– Dzięki, Pete.

Po telefonie Pete'a zadzwonił Ryan. On i McMahon skończyli pracę późnym wieczorem, a rano musieli wrócić do działu rekonstrukcji, tak więc postanowili spędzić noc w Asheville.

– Masz jakieś problemy z telefonem?

– Media są żądne krwi, więc wyłączam komórkę. Poza tym większość dnia spędziłam w bibliotece.

– Dowiedziałas się czegoś?

– Życie w górach nie służy starszym ludziom.

– Co masz na myśli?

– Nie wiem, ale większość z nich łąduje w rzece, zamarza albo kończy jako przekąska dzikich zwierząt. Osobiście wolę równiny. Jak tam śledztwo?

– Chemicy znajdują dziwne ślady.

– Ładunki wybuchowe?

– Niekoniecznie. Opowiem ci jutro.

– Znaleźli Bertranda i Petricellego?

– Nie.

W tym momencie komórka oznajmiła głośnym piknięciem, że dzwoni Lucy Crowe.

Pożegnałam Ryana i przełączyłam telefon na kolejną rozmowę. Jak się okazało, szeryf nie miała ani nakazu, ani żadnych wieści.

– Prokurator okręgowa nie ma zamiaru uprzedzać działań sędziego pokoju bez istotnych dowodów.

– Czego oni, do cholery, chcą? Panienki Scarlett w bibliotece, ze świecznikiem w dłoni?

– Uznała twoje argumenty za sprzeczne.

– Sprzeczne?

– Profil VFA wskazuje na to, że coś lub ktoś zmarł latem. Mitchell zaginął w lutym. Pani prokurator jest przekonana, że plama, którą znalazłaś, pochodzi od zwierzęcia. Mówi, że nie można przymknąć obywatela za gnijące na jego podwórku mięso.

– A stopa?

– Pochodzi od ofiary katastrofy.

– Jakież wieści na temat śmierci Primrose?

– Wygląda na to, że Ralph Stover nie jest prostakiem. Facet miał firmę w Ohio i patent na jakieś mikroukłady. Po operacji serca, w osiemdziesiątym szóstym, Ralph zmienił się.

Sprzedził firmę za kosmiczne pieniądze i kupił Riverbank. Od tego czasu jest wyłącznie właścicielem motelu.

- Był notowany?
- Dwukrotnie, za prowadzenie pojazdu w stanie nietrzeźwym. Poza tym, jest czysty.
- Widzisz w tym jakiś sens?
- Może naoglądał się powtórek Newheart i zamarzył mu się motel.

Kolejną osobą, która zadzwoniła, był dobry znajomy z Oak Ridge. Laslo Sparkes spytał, czy może wpaść do mnie rano. Umówiliśmy się na dziewiątą. Liczyłam na to, że ma wyniki badań gleby.

Jako ostatni zadzwonił szef mojego wydziału i od razu przeprosił mnie za swą wtorkową opryskliwość.

– Mój trzyletni syn wrzucił kociaka do suszarki. Żona właśnie ratowała biedaka i wszyscy w domu dostali hysterii. Dzieciaki płakały. Żona również. Robiła wszystko, by kot zaczął oddychać.

- Okropieństwo. Przeżył?
- Jakoś doszedł do siebie, ale ma chyba problemy ze wzrokiem.
- Wszystko wróci do normy.

Po tych słowach w słuchawce zapanowała niezręczna cisza i przez chwilę słyszałam wyłącznie jego oddech.

– OK, Tempe, nie jest mi łatwo, ale muszę to powiedzieć. Rektor zaprosił mnie dziś na pogawędkę. Otrzymał skargę dotyczącą twojego zachowania na miejscu katastrofy i postanowił zawiesić cię na czas trwania śledztwa.

Milczałam. Mimo iż byłam zatrudniona przez uniwersytet, moje działania w Bryson City nie były patronowane przez uczelnię.

– To samo dotyczy pensji. Rektor przyznaje, że nie wierzy w ani jedno ich słowo, ale nie ma wyboru.

– Dlaczego? – Zapytałam, choć znałam odpowiedź.

– Obawia się, że to wydarzenie może przynieść złą reputację uczelni. Zdaje się, że w całą sprawę jest zaangażowany wicegubernator i to on jest prawdziwym wrzodem na tyłku.

– Jak wiadomo, uniwersytet jest finansowany przez zgromadzenie ustawodawcze. – Mówiąc to, zacisnęłam dłoń na słuchawce.

- Użyłem wszystkich możliwych argumentów, jednak rektor pozostał niewzruszony.
- Dzięki, Mike.
- Wracaj na wydział, kiedy tylko zechcesz i pamiętaj, że możesz złożyć odwołanie.

– Nie. Najpierw uporządkuję kilka spraw.

Po skończonej rozmowie odprawiłam cowieczorny rytuał. Pasta do zębów, mydło, krem Oil of Olay oraz krem do rąk. Wymyta i natłuszczona, zgasiłam światła, zagrzebałam się pod kocami i krzyczałam, tak głośno, jak tylko mogłam. Kiedy to nic nie dało, podciągnęłam kolana pod brodę i rozplakałam się jak dziecko.

Nadszedł czas, by złożyć broń. Zwykle nie poddaję się tak łatwo, jednak musiałam stawić czoła rzeczywistości. Wszystkie moje starania prowadziły donikąd. Nie miałam żadnych dowodów potrzebnych do uzyskania nakazu, w gmachu sądu nie dowiedziałam się prawie niczego, szukałam pomocy w gazetach, ukradłam zdjęcie z biblioteki i prawie dopuściłam się włamania.

Wszystko to na nic. Mogłam przeprosić wicegubernatora, zrezygnować z członkostwa w DMORT i wrócić do normalnego życia.

Normalnego życia.

Czym było dla mnie normalne życie? Sekcje zwłok? Ekshumacje? Ofiary szaleńców i masowych katastrof?

Stałe słyszę pytanie, dlaczego realizuję się w tak chorym zawodzie. Dlaczego zajmuję się okaleczonymi i rozkładającymi się ciałami?

Czas i wnikliwa introspekcja sprawiły, że zrozumiałam swój wybór. Chciałam służyć zarówno żywym, jak i umarłym. Zmarłym przysługuje prawo do tego, by zostali zidentyfikowani. By ich opowieści dobiegły końca, a oni sami zajęli należne im miejsce w naszych wspomnieniach. Jeśli zginęli z rąk innych ludzi, mają prawo żądać, by ich zabójcy zostali osądzeni.

Żywi zasługują na nasze wsparcie, kiedy śmierć najbliższych już na zawsze odmienia ich życie. Rodzice, którzy z rozpaczą czekają na wiadomość o zaginionym dziecku. Rodzina mająca nadzieję, że szczątki ich bliskich odnajdą się na Iwo Jimie, w Chosin, czy Hue. Wieśniacy w masowych grobach w Gwatemali i Kurdystanie. Matki, mężowie, przyjaciele i kochankowie oszołomieni tym, co ujrzeli w górach Smoky. Wszyscy oni mają prawo do informacji i wyjaśnień.

To dla nich – ofiar i ich krewnych – wydobywam z kości pośmiertne opowieści.

Niezależnie od moich starań, martwi pozostaną martwymi, jednak wciąż istnieje kwestia odpowiedzi i odpowiedzialności. Nie możemy żyć w świecie, który akceptuje utratę życia, nie pytając o nic i nie szukając sprawiedliwości.

Pogwałcenie zasad etyki oznaczałoby dla mnie koniec kariery. Jeśli wicegubernator dopnie swego, dostanę dożywotni zakaz wykonywania zawodu. Biegły sądowy, który musi

odejść w niełasce, jest traktowany na przesłuchaniach jak banita. Kto uwierzy w choćby jedno moje słowo?

Czułam, jak wzrasta we mnie wściekłość. Nie pozwolę, by wysrane z palca oskarżenia i chore insynuacje zniszczyły mi życie. Nie mogłam się poddać. Musiałam udowodnić, że mam rację. Byłam to winna samej sobie, a przede wszystkim Primrose Hobbs i jej pogrążonemu w żałobie synowi.

Ale jak?

Co miałam zrobić?

Miotalam się i wierciłam jak pająk na deszczu. Doświadczylam ataku ze strony ludzi silniejszych ode mnie. Powoli opadałam z sił, by znów się podnieść i stawić im czoła.

W końcu zasnęłam, jednak sen nie przyniósł wymarzonej ulgi.

Kiedy coś mnie niepokoi, męczą mnie psychodeliczne majaki, tak więc cała noc wydawała się jedynie chaotycznym kolażem.

Byłam w kostnicy. Sortowałam części ciał. Gdzieś obok przemknął Ryan. Zawołałam go.

Pytałam, co stało się ze stopą. Nie zatrzymał się. Próbowałam go dogonić, jednak nie mogłam się ruszyć. Krzyczałam więc i machałam rękami, jednak Ryan był już tylko maleńką kropką na horyzoncie.

Boyd ganiał po cmentarzu, trzymając w zębach martwą wiewiórkę.

Willow Lynette Gist i Jonas Mitchell pozwolili do ślubnego zdjęcia. W dłoniach panny młodej, zamiast bukietu stokrotek, spoczywała zakrwawiona ludzka stopa.

Sędzia Henry Arlen Preston wyciągał księgę w kierunku starego człowieka. Mężczyzna spojrział na niego i odszedł. Preston pognął za nim, upierając się, by staruszek przyjął podarunek. W końcu starzec odwrócił się, a książka wypadła z dłoni sędziego. Boyd chwycił ją w zęby i uciekł wąską zwirową dróżką. Kiedy go złapałam i wyjęłam książkę z jego pyska, okazało się, że pies trzyma w zębach kamienną tabliczkę z wyrytym na niej imieniem „Tucker Adams” i datą 1943. Rok, w którym zmarli Preston i Adams. Jeden jako szanowany obywatel, drugi zapomniany przez wszystkich.

Simon Midkiff siedział na krześle w warsztacie samochodowym P & T. Tuż przy nim stał mężczyzna z długimi, siwymi warkoczami, a jego głowę oplatała przepaska Indian Czirokezów.

– Dlaczego tu jesteś? – spytał Midkiff.

– Nie mogę wyjechać – odparłam. – W tej katastrofie zginęli ludzie.

– Czy Birkby nie żyje? – spytał Indianin.

– Tak.

– Czy znaleźli Ednę?

– Nie.

– A zatem mnie też nie znajdują.

Nagle twarz mężczyzny rozmyła się i przybrała dobrze znane mi rysy Ruby McCready, by za chwilę przemienić się w nabrzmiałą twarz Primrose Hobbs.

Krzyknęłam, tłukąc głową o poduszkę. Zerknęłam na zegarek. Piąta trzydzieści.

Mimo panującego w pokoju chłodu, plecy miałam złane potem, a wilgotne włosy kleiły się do czoła. Najciszej jak potrafiłam, wygramoliłam się z łóżka i pobiegłam do łazienki napić się wody. Zerknęłam w lustro i musnęłam czoło zimną szklanką.

Chwilę później wróciłam do pokoju i zapaliłam światło. Na okiennej szybie pojawiły się pierwsze nieśmiałe nitki szronu.

Założyłam sportową bluzę i skarpety, wyciągnęłam notatnik i usiadłam przy stole.

Wyrwałam kilka kartek, podzieliłam je na części i na każdej z nich zaczęłam rysować obrazy ze swego snu.

Henry Arlen Preston. Stopa. Starzec z siwymi warkoczami. Czy tak właśnie wyglądał Charlie Wayne Tramper? Zapisałam imię i opatrzyłam je znakiem zapytania. Edna Farrell. Tucker Adams. Birkby. Jonas i Willow Mitchell. Ruby McCready. Simon Midkiff.

Następnie spisałam wszystko, co wiedziałam o tych osobach.

Henry Arlen Preston: Zmarł w 1943 roku. Wiek: 89 lat. Adwokat, sędzia, pisarz. Ptaki.

Dobry mąż i ojciec.

Stopa: Należała do starszego mężczyzny o indiańskich korzeniach. Wzrost: około 170 cm. Zmarł ubiegłego lata. Znaleziony w okolicach chaty Arthura/H&F. Pasażer TransSouth?

Charlie Wayne Tramper: Czirokez. Zmarł w 1959. Wiek: 74 lata. Zaatakowany przez niedźwiedzia. W pogrzebie brali udział Midkiff i Davenport.

Edna Farrell: Zmarła w 1949 roku. Członkini Kościoła Świętości. Utonęła. Zwłok nie odnaleziono.

Tucker Adams: Urodzony w 1871. Zaginął i zmarł w 1943 roku.

Anthony Allen Birkby: Zmarł w 1959. Wypadek samochodowy. Nazwisko CA. Birkby znajduje się na liście członków zarządu H&F.

Jonas Mitchell: Afroamerykanin. Poślubił Willow Lynette Gist. Ojciec Jeremiaha Mitchella.



Willow Lynette Gist: Córka Marthy Rose Gist, garnarki z plemienia Czirokezów. Matka Jeremiaha Mitchella. Zmarła na gruźlicę w 1930 roku.

Mimo iż Jeremiah Mitchell nie pojawił się w moim śnie, o nim również zanotowałam kilka informacji. Afroamerykanin z domieszką krwi indiańskiej. Urodzony w 1929. Samotnik. Zaginął w lutym.

Ruby McCready: Żyje i ma się dobrze. Mąż Enoch zmarł w 1986 roku.

Simon Midkiff: Doktorat na Oxfordzie w 1955. Uniwersytet Duke'a 1955-1961.

Uniwersytet Tennessee 1961-1968. Obecny na pogrzebie Trampera w roku 1959. Znał Davenporta (a przynajmniej brał udział w tym samym pogrzebie). Skłamał, twierdząc, że pracuje dla Departamentu Zasobów Kulturowych.

Kiedy skończyłam, rozłożyłam kartki na stole i przyjrzałam się swemu dziełu. Następnie zaczęłam układać je według pewnych kryteriów, z których pierwszym była płeć. Kupki różniły się. Mniejsza z nich zawierała wyłącznie trzy nazwiska: Edna Farrell, Willow Lynette Gist i Ruby McCready. Na kolejnej kartce zapisałam nazwisko Marthy Rose Gist. Choć starałam się znaleźć jakiś związek między tymi kobietami, nie dopatryłam się żadnego. Przyszła kolej na segregowanie bohaterów mojego koszmaru według rasy. Charlie Wayne Tramper i wszyscy z linii genealogicznej Gist-Mitchell wylądowali na jednej kupce, do której dorzuciłam również kartkę z notkami o stopie. Chwilę później narysowałam wykres i połączyłam stopę z nazwiskiem Jeremiaha Mitchella.

Wiek. Zaskakująco duża była liczba starszych osób. Choć Henry Arlen Preston zmarł we własnym łóżku, jak przystało na wybitnego sędziego, inni nie mieli tyle szczęścia. Tucker Adams – siedemdziesiąt dwa lata. Charlie Wayne Tramper – siedemdziesiąt cztery lata. Jeremiah Mitchell – siedemdziesiąt dwa. Na osobnej karteczce zapisałam nazwisko zaginionego rybaka. George Adair – siedemdziesiąt siedem lat. Wszyscy w podeszłym wieku. Aksamitna czerń okien powoli zmieniała barwę na ciemny grafit. Posortowałam nazwiska według daty urodzin. Nic. Daty śmierci.

Sędzia Henry Arlen Preston zmarł w 1943 roku. W tym samym roku odszedł także Tucker Adams, jeśli wierzyć temu, co napisano na jego nagrobku. Pomyślałam o rozwlekłym artykule na temat Prestona i zdawkowej notatce z informacją o zaginięciu Adamsa. Kartki z nazwiskami obu mężczyzn wylądowały na jednej kupce.

A. A. Birkby zmarł w 1959 roku, podobnie jak Charlie Wayne Tramper. Kiedy miała miejsce katastrofa, w której zginął Birkby? W tym samym miesiącu, w którym zginął Charlie Wayne.

Czyżby?

Odłożyłam obie kartki.

Edna Farrell zmarła w 1949. Jeśli dobrze pamiętałam, dzień wcześniej ktoś się utopił.

Sheldon Brodie, profesor biologii na Uniwersytecie Stanowym Appalachian. Ciało Brodiego zostało znalezione. Edny Farrell, nie.

Zapisałam na kartce nazwisko Brodiego i połączyłam je z nazwiskiem Edny Farrell.

Przez chwilę patrzyłam na wszystkie trzy zestawy. Czy to, co widziałam, nie przypominało pewnego schematu? Ktoś zostaje zamordowany lub umiera, a kilka dni później miasteczkiem wstrząsa informacja o kolejnej śmierci. Czy tutejsi ludzie zawsze odchodzą parami?

Zaczęłam spisywać na kartce listę pytań.

Wiek Edny Farrell?

Wcześniejsze utonięcia. Ciasto truskawkowe. Wiek? Data?

Przyczyna śmierci Tuckera Adamsa?

Jeremiah Mitchell – luty. George Adair – wrzesień.

Pozostali?

Ściany Magnolii rozświetliły promienie wschodzącego słońca. Gdzieś za zamkniętym oknem usłyszałam nieśmiałe kwilenie ptaka, a na stole pojawiły się trójkątne refleksy, które kładły się światłem na moich notatkach.

Spojrzałam na leżące przede mną kartki. Czułam, że jest w nich coś istotnego, choć jeszcze nie potrafiłam skonkretyzować co.

Kiedy przyjechałam do Everett Street Diner, Laslo zjadał bułeczki z sosem pieczeniowym. Zamówiłam naleśniki z orzechami pekan, sok i kawę. Podczas posiłku Laslo opowiedział mi o czekającej go konferencji w UNC-Asheville<sup>20</sup>. Ja z kolei wspomniałam o problemach ze zdobyciem nakazu.

– A więc starzy, dobrzy chłopcy dość sceptycznie podchodzą do całej sprawy – odparł, dając znak kelnerce.

– I dziewczęta. Prokurator okręgowy jest kobietą.

– W takim razie to, co mam, może okazać się bez znaczenia.

Mówiąc to, wyciągnął z aktówki kartkę papieru i wręczył mi ją. Przejrzałam jej zawartość, podczas gdy kelnerka napełniała nasze kubki gorącą kawą. Chwilę później podniosłam wzrok.

– W zasadzie wyniki pokrywają się z tym, co mówiłeś w laboratorium.

---

<sup>20</sup> [UNC-Asheville – University of North Carolina at Asheville filia Uniwersytetu Karoliny Północnej w Asheville (przyp. tłum.)]

– Tak, za wyjątkiem danych dotyczących stężenia kwasu kapronowego i heptanowego.

– Chodzi ci o to, że jest ono nadzwyczajnie wysokie?

– Tak.

– Co to oznacza?

– Podniesiony poziom długołańcuchowych lotnych kwasów tłuszczowych zwykle wskazuje na to, że ciało zostało wystawione na działanie zimna lub że okres aktywności owadów i bakterii został w jakiś sposób zredukowany.

– Czy to zmienia twoje przypuszczenia co do czasu, w którym nastąpił zgon?

– Wciąż uważam, że rozkład rozpoczął się pod koniec lata.

– Więc jakie to ma znaczenie?

– Nie jestem pewien.

– Czy takie wyniki zdarzają się często?

– Niezbyt.

– Świetnie. Przekonam tym niedowiarków.

– Może to okaże się bardziej pomocne.

Tym razem wyciągnął z aktówki niewielką, plastikową fiolkę.

– Znalazłem to w trakcie filtrowania próbek ziemi. Fiolka zawierała maleńki, biały odprysk, niewiekszy niż ziarnko ryżu. Zaintrygowana, odkręciłam pokrywkę i położyłam odłamek na dłoni.

– Fragment korzenia zębowego – stwierdziłam.

– Też tak sądzę, dlatego oczyściłem go z ziemi i nie przeprowadziłem żadnych badań.

– Jasna cholera.

– To samo pomyślałem.

– Badałeś to pod mikroskopem?

– Tak.

– Jak wygląda komora miazgi zęba?

– Wypełniona po brzegi.

Podpisaliśmy formularz wymiany dowodów, a ja włożyłam raport i próbkę do torby.

– Mogę mieć do ciebie jeszcze jedną prośbę?

– Jasne.

– Jeśli mój samochód jest już na chodzie, mógłbyś pomóc mi odstawić ten, którym jeżdżę i podrzucić mnie do warsztatu?

– Nie ma sprawy.

Kiedy, zadzwoniłam do P&T, poinformowano mnie, że wydarzył się prawdziwy, motoryzacyjny cud. Mój samochód był gotowy. Laslo pojechał za mną do High Ridge House, podwiózł mnie do warsztatu, a potem udał się na konferencję. Tymczasem ja odbyłam krótką dyskusję na temat pomp i przewodów, zapłaciłam rachunek i usiadłam za kierownicą.

Zanim wyjechałam z warsztatu, włączyłam telefon, przejrzałam listę numerów i zatrzymawszy się na jednym z nich, wcisnęłam: „połącz”.

– Wydział policji Charlotte-Mecklenburg, laboratorium kryminalistyczne.

– Poproszę z Ronem Gillmanem.

– Kto dzwoni?

– Tempe Brennan.

Chwilę później usłyszałam w słuchawce głos Gillmana.

– Nieszławna doktor Brennan.

– Słyszałeś już.

– Jasne. Będziemy zdejmować odciski palców i tworzyć kartotekę?

– Bardzo zabawne.

– Chyba jednak nie. Nie pytam nawet, czy jest w tym odrobina prawdy. Starasz się to jakoś rozwiązać?

– Próbuję, ale chyba będę potrzebowała pomocy.

– Wal.

– Mam odłamek zęba i potrzebuję profilu DNA. Chciałabym też, żebyś porównał ten wynik z profilem stopy, którą znalazłam na miejscu katastrofy. Możesz to dla mnie zrobić?

– Jasne.

– Jak dużo czasu potrzebujesz?

– Rozumiem, że sprawa jest pilna.

– Bardzo.

– W takim razie zrobię to w trybie przyspieszonym. Kiedy dostarczysz nową próbkę?

Zerknęłam na zegarek.

– O drugiej.

– Zadzwonię do speców od DNA, żeby przyspieszyć całą sprawę. Do zobaczenia o drugiej.

Przekreśliłam kluczyk w stacyjce i włączyłam się do ruchu. Przed wyjazdem z Bryson City musiałam jeszcze załatwić kilka rzeczy.

## Rozdział 23

Tym razem fioletowowłosa smoczyca była sama.

– Muszę tylko sprawdzić kilka szczegółów na mikrofilmach – zwróciłam się do niej z promiennym uśmiechem.

Twarz Iris wyrażała sprzeczne uczucia. Zaskoczenie. Podejrzenie. Powagę.

– Byłabym wdzięczna, gdyby pozwoliła mi pani brać na raz kilka rolek. Wczoraj była pani tak uprzejma.

Twarz kobiety złagodniała. Smoczyca z teatralnym westchnieniem podeszła do szafki, wyjęła sześć pudełek i bez słowa położyła je na kontuarze.

– Bardzo pani dziękuję – szepnęłam.

Gdy wychodziłam z pomieszczenia, usłyszałam skrzypienie stołka i poczułam na plecach baczne spojrzenie.

– Jesteśmy w bibliotece. Proszę pamiętać, że używanie telefonów komórkowych jest tu zabronione! – przypomniała.

Tym razem sięgałam tylko po niektóre zdjęcia, skupiając się na szczegółach i robiąc notatki.

W ciągu niespełna godziny znalazłam to, czego szukałam.

\*\*\*

Nie zastałam Tommy’ego Albrighta, jednak uprzejmy, kobiecy głos obiecał, że przekaze wiadomość. Patolog oddzwonił, kiedy wjeżdżałam na przedmieścia Bryson City.

– W 1959 Czirokez nazwiskiem Charlie Wayne Tramper zginął zaatakowany przez niedźwiedzia. Myślisz, że gdzieś jeszcze są akta tej sprawy?

– Może tak, może nie. To było jeszcze przed centralizacją. Co chcesz wiedzieć?

– Pamiętasz tę sprawę?

– Pewnie, że tak. W końcu badałem to, co zostało z biednego staruszka.

– To znaczy?

– Widziałem już ludzi rozszarpanych przez niedźwiedzie, ale Tramper bił ich na głowę. Sukinsyny dosłownie wyrwały mu flaki i urwały głowę.

– Nie odnaleziono czaszki?

– Nie.

– Jak go zidentyfikowałeś?

– Żona rozpoznała strzelbę i ubranie.

Zastałam wielebnego Luke'a Bowmana na zbieraniu gałęzi w ogrodzie. Na niemalże identyczne ubranie, jakie miał na sobie podczas naszego ostatniego spotkania, zarzucił czarną wiatrówkę.

Bowman przyglądał się, jak parkuję obok pickupa, rzucił gałęzie na ułożony przy podjeździe stos i podszedł do samochodu. Rozmawialiśmy przez otwarte okno.

– Witam, panno Temperance.

– Dzień dobry. Piękny dzień na ogrodowe porządki.

– Zgadzam się, panienko. – Kurtka Bowmana upstrzona była fragmentami kory i wyschniętych liści.

– Czy mogę o coś spytać?

– Naturalnie.

– Ile lat miała Edna Farrell, kiedy zmarła?

– Jeśli dobrze pamiętam, siostra Farrell zbliżała się do osiemdziesiątki.

– Pamięta pan mężczyznę o nazwisku Tucker Adams?

Bowman zmrużył oczy i musnął czubkiem języka spierzchnięte wargi.

– Adams był w podeszłym wieku, zmarł w 1943 roku – odpowiedziałam.

Wielebny milczał przez chwilę, po czym wymierzył we mnie sękaty palec.

– Oczywiście, że pamiętam. Miałem dziesięć lat, kiedy staruszek oddalił się od farmy. Brałem nawet udział w poszukiwaniach. Brat Adams był ślepy i na wpół głuchy, więc wszyscy włączyli się do poszukiwań.

– Jak zmarł?

– Doszliśmy do wniosku, że musiał skonać gdzieś w lasach. Nigdy nie znaleźliśmy ciała.

– Na wzgórzu Schoolhouse znalazłam jego grób.

– Mogiła jest pusta. Kilka lat po zaginięciu siostra Adams zamówiła nagrobek.

– Dziękuję. Bardzo mi pan pomógł.

– Widzę, że chłopcy naprawili pani samochód.

– Tak.

– Mam nadzieję, że nie policzyli sobie za dużo.

– Nie, proszę pana. Byli bardzo uczciwi.

Wjechałam na parking przed biurem szeryfa tuż za Lucy Crowe. Pani szeryf zaparkowała radiowóz i z rękami na biodrach czekała, aż wyłączę silnik i wezmę aktówkę. Jej twarz zdawała się wymizerowana i ponura.

– Ciężki ranek?

– Jacyś idioci ukradli z klubu wózek golfowy i porzucili go półtora kilometra dalej, w okolicach Conleys Creek Road. Rankiem znalazło go dwóch siedmiolatków, którzy roztrzaskali się o drzewo. Jeden złamał obojczyk, drugi ma wstrząśnienie mózgu.

– Nastolatki?

– Prawdopodobnie.

Nie przerywałyśmy rozmowy, idąc do biura.

– W sobotni ranek dyżur w kostnicy miał jeden z moich zastępców. Pamięta, jak około ósmej Hobbs wchodziła do budynku. Pamięta też ciebie. Informacje komputerowe wskazują, że Hobbs wypisała stopę o dziewiątej piętnaście i wpisała ją z powrotem o drugiej.

– Czyli miała ją jeszcze długo po naszym spotkaniu.

– Najwyraźniej.

Weszłyśmy po schodach, a radosne buczenie otworzyło drzwi i zakratowaną, więzienną bramę. Crowe poprowadziła mnie długim, wąskim korytarzem poprzez zewnętrzną pracownię, wprost do swojego gabinetu.

– Hobbs opuściła kostnicę o trzeciej dziesiątej. Popołudniową zmianę miał wtedy gliniarz z wydziału policji w Bryson City. Facet mówi, że nie pamięta, aby Hobbs opuszczała budynek.

– A kamera?

– Uważaj, to będzie dobre.

Mówiąc to, Crowe odpięła radio, położyła je na szafce, a sama usiadła w fotelu. Ja zajęłam miejsce po drugiej stronie biurka.

– Wszystko rozegrało się około drugiej w niedzielę i do poniedziałku rano nikt o tym nie wiedział.

– Czy ktokolwiek widział Primrose po tym, jak opuściła kostnicę?

– Nie.

– Znalazłaś coś w jej pokoju?

– Hobbs najwyraźniej miała świra na punkcie karteczek przyklepanych. Zapisywała na nich numery telefonów, godziny, imiona. W jej pokoju aż roiło się od notatek, głównie tych związanych z pracą.

– Primrose zawsze gubiła okulary, dlatego nosiła je na łańcuszku. Bała się, że zacznie zapominać o różnych rzeczach. – Poczulałam ukłucie chłodu. – Ktoś wie, dokąd pojechała w niedzielę po południu?

– Niestety nie.

Do gabinetu wszedł zastępca Crowe i złożył na biurku plik papierów. Szeryf przejrzała je w milczeniu, po czym spojrzała na mnie.

– Widzę, że masz już samochód. Najwyraźniej o mojej mazdzie sporo się mówiło w hrabstwie Swain.

– Wybieram się do Charlotte, ale przed wyjazdem chciałam pokazać ci kilka rzeczy.

Mówiąc to, wręczyłam Lucy skradzione zdjęcie, na którym został uwieczniony pogrzeb Trampera.

– Poznajesz kogoś?

– A niech mnie. Parker Davenport, nasz czcigodny wicegubernator. Ten jełop wygląda mi tutaj na piętnastolatka. – Crowe zwróciła mi fotografię. – O co tu chodzi?

– Nie jestem pewna.

Następnie przedstawiłam Lucy raport Lasla i w milczeniu czekałam na jej reakcję.

– A więc prokurator okręgowa miała rację.

– Albo ja.

– To znaczy?

– Co powiesz na taki scenariusz: Jeremia Mitchell zmarł po tym, jak w lutym opuścił Mighty High Tap. Jego ciało przez jakiś czas przechowywano w chłodni albo w lodówce, aż w końcu ktoś wyniósł je na zewnątrz.

– Po co ktoś miałby to robić? – Crowe próbowała ukryć niedowierzanie.

Tym razem wyciągnęłam notatki, które zrobiłam w bibliotece, wzięłam głęboki oddech i zaczęłam.

– Henry Arlen Preston zmarł w 1943. Trzy dni później zaginął siedemdziesięciodwuletni farmer – Tucker Adams. Jego ciała nigdy nie odnaleziono.

– Co to ma wspólnie...

Uniosłam dłoń, przerywając jej w pół słowa.

– W 1949 w rzece Tuckasegee utonął profesor biologii, niejaki Sheldon Brodie. Dzień później zniknęła Edna Farrell. Miała mniej więcej osiemdziesiąt lat. Jej ciało również nigdy nie zostało odnalezione.

Crowe wyjęła długopis, położyła zatyczkę na księdze zatrzymań, i zaczęła obracać go między palcami.



– W 1959 Allen Birkby zginął w wypadku samochodowym na autostradzie numer 19. Dwa dni później zaginął Charlie Wayne Trampler. Trampler miał siedemdziesiąt cztery lata. Jego ciało znaleziono, jednak wyglądało, jak gdyby ktoś przepuścił je przez wyżymaczkę. Brakowało też głowy. Ofiarę zidentyfikowano wyłącznie na podstawie poszlak.

Podniosłam wzrok i zerknęłam na Crowe.

– To wszystko?

– Kiedy zaginął Jeremiah Mitchell?

Crowe odłożyła długopis, otworzyła szufladę i wyciągnęła akta sprawy.

– Piętnastego lutego.

– Dwunastego lutego w Charlotte zmarł niejaki Martin Patrick Veckhoff.

– W lutym umiera mnóstwo ludzi. To naprawdę parszywy miesiąc.

– Nazwisko Veckhoff widnieje na liście przedstawicieli H&F.

– To ta grupa inwestycyjna, która kupiła chatę przy strumieniu Running Goat?

Skinęłam głowę.

– Tak samo jak Birkby.

Szeryf odchyliła się w fotelu i potarła kącik oka. W tym czasie wyjęłam znalezisko Lasla i postawiłam fiolkę na stole.

– Laslo Sparkes znalazł to w ziemi, której próbkę pobrałam w okolicach muru przy Running Goat.

Crowe zerknęła na fiolkę, jednak nie wzięła jej do rąk.

– To kawałek zęba. Zabieram go do Charlotte na testy DNA, żeby przekonać się, czy pasuje do stopy.

Zadzwoił telefon, jednak szeryf zignorowała połączenie.

– Musisz zdobyć podobną próbkę z ciała Mitchella.

– Mogę spróbować – odparła po chwili wahania.

– Szeryfie.

Crowe utkwiała we mnie spojrzeniem zielonych oczu.

– Ta sprawa może dotyczyć większej ilości osób.

Trzy godziny później Boyd i ja przecięliśmy Little Rock Road, jadąc na północ drogą I- 85. W oddali, niczym widoczne na pustyni Sonora olbrzymie kaktusy, majaczyła linia dachów Charlotte.

Podeksytowana powrotem do domu, pokazywałam Boydowi kolejne budynki.

Gigantycznego fallusa, który w rzeczywistości był siedzibą Bank of America Corporate Center. Przypominający ogromną strzykawkę budynek Charlotte City Club, z

podobnym do zielonej zatyczki okrągłym dachem, ze środka którego strzelała w niebo wysoka antena. Budynek One First Union Center, do złudzenia przypominający szafę grającą.

– Popatrz na to, piesku. Seks, narkotyki i rock and roli.

Boyd zastrzygł uszami.

Podczas gdy przedmieścia Charlotte mogą wydawać się prowincjonalne, śródmieście to miasto polerowanych kamieni i przyciemnianych szyb oraz gliniarzy. Wydział policji okręgu Charlotte-Mecklenburg znajduje się w Centrum Egzekwowania Prawa – ogromnym, betonowym budynku na rogu Czwartej i McDowell. CMPD zatrudnia około tysiąca dziewięciuset funkcjonariuszy i prawie czterystu cywilów. W budynku znajduje się drugie co do wielkości laboratorium kryminalistyczne, które rangą ustępuje jedynie laboratorium SBI<sup>21</sup>. Nieźle jak na 600 000 mieszkańców.

Zjechałam z autostrady, ruszyłam w kierunku centrum i zaparkowałam na wybudowanym przy LEC<sup>22</sup> parkingu dla gości.

Funkcjonariusze, którzy wchodzili i wychodzili z budynku, mieli na sobie ciemnoniebieskie mundury. Kiedy jeden z nich przeszedł tuż obok samochodu, Boyd warknął ostrzegawczo.

– Widzisz naszywkę na rękawie? To gniazdo szerszeni.

Boyd zaskomlał, jednak nie oderwał nosa od szyby.

– W czasie wojny rewolucyjnej generał Cornwallis napotkał w Charlotte tak wielki opór, że nazwał miasto „gniazdem szerszeni”.

Boyd nie zareagował.

– Muszę wejść do środka. Ty zostajesz tutaj.

Pies wstał, jawnie demonstrując swe niezadowolenie.

Obiecałam, że nie będzie mnie najwyżej przez godzinę, oddałam Boydowi mój ostatni batonik muesli, zamknęłam okna i wyszłam z samochodu.

Znalazłam Rona Gillmana w narożnym biurze na czwartym piętrze.

Ron był wysokim, siwowłosym mężczyzną, jego sylwetka zdradzała zamiłowanie do koszykówki lub tenisa. Jediną widoczną skazą była pokaźna szpara między zębami.

Kiedy przedstawiałam swoją teorię na temat Mitchella i zagadkowej stopy, Gillman słuchał mnie z uwagą, ani razu nie przerywając wylewającego się z moich ust potoku słów. Dopiero kiedy opowieść dobiegła końca, odezwał się.

– Zobaczmy, co tu mamy.

---

<sup>21</sup> [SBI – State Bureau of Investigation – Stanowe Biuro Śledcze (przyp. tłum.)]

<sup>22</sup> [LEC – Law Enforcement Committee – Komisja Utrzymania Porządku Prawnego (przyp. tłum.)]

Założył okulary w rogowych oprawkach i obracając fiolkę, przyjrzał się odpryskowi.

Chwilę później podniósł słuchawkę i połączył się z kimś z wydziału DNA.

– Wystarczy, że poprosimy, a sprawy od razu nabierają tempa – rzekł, odkładając słuchawkę.

– Wystarczy, że wyniki będą w miarę szybko – odparłam.

– Poszukałem też próbki kości, o którą prosiłaś. Mamy ją. Profil został przesłany do bazy danych, którą stworzyliśmy specjalnie dla ofiar wypadków. Mając wyniki tego – machnął ręką w kierunku fiolki – porównamy je i poszukamy podobieństw.

– Nie wiem, jak ci dziękować.

Giliman odchylił się na krześle i założył ręce za głowę.

– Naprawdę nadepnęłaś komuś na odcisk.

– Chyba tak.

– Wiesz komu?

– Parkerowi Davenportowi.

– Wicegubernatorowi?

– Zgadza się.

– Czym go tak rozwścieczyłaś?

W odpowiedzi opuściłam bezradnie dłonie i wzruszyłam ramionami.

– Ciężko pomóc komuś, kto niechętnie mówi o pewnych sprawach.

Spojrzałam na niego. Podzieliłam się swoją teorią z Lucy Crowe, ale wtedy byłam jeszcze w hrabstwie Swain. Tu byłam u siebie. Ron Gillman kierował drugim co do wielkości laboratorium kryminalistycznym w całym stanie. Nawet jeśli pracowali tu miejscowi, pieniądze pochodziły z dotacji federalnych, administrowanych przez Raleigh. Podobnie było z biurem lekarza sądowego i uniwersytetem.

Zresztą, co mi tam.

Pokrótkie opowiedziałam Gillmanowi to, o czym wcześniej mówiłam Lucy Crowe.

– Myślisz, że M.P. Veckhoff z twojej listy to tak naprawdę senator Pat Veckhoff z Charlotte?

Skinęłam głową.

– I że Pat Veckhoff i Parker Davenport mają ze sobą coś wspólnego?

Przytaknęłam.

– Davenport i Veckhoff. Wicegubernator i senator stanowy. Brzmi dość poważnie.

– Henry Preston był sędzią.

– A co on ma z tym wspólnego?

Zanim zdążyłam odpowiedzieć, w drzwiach stanął mężczyzna z wyhaftowanym na fartuchu nazwiskiem „Krueger”. Gillman przedstawił go jako technicznego szefa sekcji DNA. To właśnie Krueger i jego kolega zajmowali się badaniem dowodów i ustalaniem kodu DNA. Po krótkiej wymianie uprzejmości Gillman wręczył Kruegerowi fiolkę i wyjaśnił, o co mi chodziło.

– Jeśli coś tu jest, znajdziemy to – pocieszył mnie analityk.

– Ile to zajmie?

– Będziemy musieli oczyścić próbkę i wszystko udokumentować. Za cztery, pięć dni mogę podać pani wstępne wyniki analizy.

– Byłabym naprawdę wdzięczna. – Mimo to pomyślałam, że wolałabym skrócić czas oczekiwania do czterdziestu ośmiu godzin.

Krueger i ja podpisaliśmy formularze wymiany dowodów i analityk opuścił biuro.

Zadzwoił telefon. Przez chwilę czekałam, aż Gillman skończy rozmowę. Kiedy się rozłączył, spytałam.

– Znałeś Pata Veckhoffa?

– Nie.

– A Parkera Davenporta?

– Poznałem go.

– I?

– Jest popularny. Ludzie głosują na niego.

– I?

– Jest prawdziwym wrzodem na dupie.

Wyciągnęłam zdjęcie z pogrzebu Trampera.

– To on, ale parę ładnych lat temu.

– Tak.

Gillman oddał mi zdjęcie.

– Jak to wszystko wytłumaczyć?

– Nie mam pojęcia.

– Dowiesz się?

– Dowiem.

– Mogę jakoś pomóc?

– Jest coś, co mógłbyś dla mnie zrobić.

Kiedy wróciłam do samochodu, Boyd smacznie spał wśród okruchów muesli. Na dźwięk otwieranych drzwi poderwał się z kanapy i szczechnął, a gdy mnie zobaczył, oparł łapy

na przednich fotelach i przeciągnął się. Ja tymczasem usiadłam za kółkiem i zaczęłam skrupulatnie usuwać makijaż.

Czterdzieści minut później podjechałam pod dom, którego adres dostałam od Gillmana.

Mimo iż budynek znajdował się zaledwie dziesięć minut od centrum miasta i pięć minut od mojego mieszkania w Sharon Hall, przedarcie się przez ruchliwą Queens Road granoczyło z cudem. Nazwy ulic w Charlotte odzwierciedlają schizoidalną naturę miasta. Podejście ludzi, którzy wymyślali te miana było niezwykle proste – po prostu „wygrzebywali” zwyczaję i czepiali się go niczym rzep. Dlatego właśnie w Charlotte istnieją Queens Road, Queens Road West i Queens Road East. Sharon Road, Sharon Lane, Sharon Amity, Sharon View i Sharon Avenue. Właśnie stałam na skrzyżowaniu Rea Road i Park Road. W Charlotte równie popularne były motywy biblijne. Stąd właśnie: ulica Opatrzności, ulica Karmelitańska i droga Sardis.

Z drugiej strony, przez kilka kolejnych kilometrów, nazwy ulic nijak się mają do swoich poprzedniczek i stają się dużo bardziej fantazyjne. Tyvola przechodzi w Fairview, a następnie w Sardis. Istnieje też skrzyżowanie, na którym Providence według skrajnej prawicy pozostaje nadal ulicą Providence i łączy się z Queens Road, która niemal natychmiast zmienia nazwę na Morehead, podczas gdy lewa strona Queens Road nosi nazwę Selwyn. Billy Graham Parkway daje początek Woodlawn, po czym natychmiast zmienia nazwę na Runnymede. Podobnie zresztą jest w przypadku Wendover, która ustępuje miejsca Eastway.

Najgorsze ze wszystkich są jednak siostrzane ulice Queens. Kiedy turyści lub nowo przybyli pytają mnie o drogę, mam dla nich zawsze jedną, niezawodną radę: Jeśli dotrzecie do czegokolwiek o nazwie Queens, spadajcie stamtąd. W moim przypadku to zawsze działa. Marion Veckhoff mieszkała w potężnym, kamiennym domu w stylu Tudorów na Queens Road East. Musiałam przyznać, że od zewnątrz budynek prezentował się naprawdę okazale: kremowe tynki, stolarka z ciemnego drewna i parterowe okna, z których każde zdawało się miniaturowym dziełem sztuki w dziedzinie łączenia ołowiu i szkła. Granice posesji wyznaczał starannie przystrzyżony żywopłot, a kolorowe rabaty przydawały jej uroku. Od frontu budynku strzegły dwie gigantycznych rozmiarów magnolie.

Kobieta w perłach, balerinkach i turkusowym spodnim podlegała bratki po obu stronach ścieżki. Jej blada skóra kontrastowała z włosami w kolorze imbirowego piwa.

Ostrzegłam Boyda, wysiadłam z samochodu i zamknęłam drzwi. Chwilę później zawołałam do niej, jednak kobieta nie zwróciła na mnie najmniejszej uwagi.

– Pani Veckhoff? – powtórzyłam, podchodząc bliżej.

Obróciła się, oblewając moje stopy wodą. Kiedy to spostrzegła, natychmiast skierowała wąż z powrotem na trawnik.

– O Boże. O jejku. Tak mi przykro.

– To nic – odpowiedziałam i odsunęłam się od niewielkiej kałuży, która zebrała się na prowadzących do domu kocich łbach. – Pani Veckhoff?

– Tak, moja droga. Jesteś siostrzenicą Carli?

– Nie, proszę pani. Jestem doktor Brennan. Kobieta zerknęła w bok, jak gdyby spoglądała na wiszący w powietrzu, niewidoczny kalendarz.

– Zapomniałam o wizycie?

– Nie, pani Veckhoff. Zastanawiam się, czy mogłabym zadać pani kilka pytań na temat pani męża.

Spojrzała na mnie i powiedziała.

– Pat był senatorem stanowym przez szesnaście lat. Jest pani reporterką?

– Nie. Cztery kadencje to fantastyczny wynik.

– Praca odciągała go od domu, ale on to uwielbiał.

– Dokąd podróżował pani mąż?

– Przede wszystkim do Raleigh.

– Czy kiedykolwiek był w Bryson City?

– A gdzie to jest, moja droga?

– W górach.

– Och, Pat uwielbiał góry. Jeździł tam, gdy tylko miał czas.

– Jeździła pani z nim?

– Skądże. Mam artretyzm i... – przerwała, jak gdyby nie wiedziała, co powiedzieć.

– Artretyzm bywa bardzo bolesny.

– Właśnie. Poza tym był to czas, który Pat spędzał z chłopcami. Nie będzie pani przeszkadzało, jeśli skończę podlewać?

– Nie, nie. Proszę bardzo.

Szłam wzdłuż okalających ścieżkę bratków.

– Pan Veckhoff wyjeżdżał w góry z synami?

– Nie. Pat i ja mamy córkę. Jest już mężatką. Pat wyjeżdżał w góry z kumplami. – Jej śmiech był gardłowy i przypominał czkawkę. – Twierdził, że dzięki temu chcieli choć na chwilę uciec od swoich kobiet i poczuć, że znowu żyją.

– A więc pan Veckhoff jeździł w góry z innymi mężczyznami?

– To byli jego bliscy przyjaciele ze szkolnych czasów. Strasznie brakuje im Pata i Kendalla. No cóż, starzejemy się...

– Kendalla?

– Tak. Kendalla Rollinsa. On pierwszy odszedł. Kendall był poetą. Zna pani jego wiersze?

Potrząsnęłam głową. Choć starałam się zachować spokój, serce waliło mi jak oszalałe. Nazwisko „Rollins” figurowało na liście H&F.

– Kendall zmarł na białaczkę w wieku pięćdziesięciu pięciu lat.

– Dość młodo. Kiedy to było, proszę pani?

– W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym szóstym.

– Gdzie pani mąż i jego koledzy zatrzymywali się w górach?

Twarz Marion Veckhoff stężała, a widoczne pod lewym okiem zmarszczki delikatnie drgnęły.

– Mieli tam jakiś domek letniskowy. Dlaczego pani pyta?

– W okolicach Bryson City roztrzaskał się samolot. Robię, co mogę, by dowiedzieć się czegoś na temat tej chaty. Pani mąż mógł być jednym z właścicieli.

– Chodzi o tę katastrofę, w której zginęli studenci jadący na zawody?

– Tak.

– Dlaczego młodzi ludzie muszą umierać? Jeden z gości lecących na pogrzeb mojego męża też zginął. Młody człowiek, miał czterdzieści trzy lata. – Mówiąc to, pokiwała głową.

– O kim pani mówi?

Kobieta zerknęła gdzieś w bok.

– Był synem jednego z przyjaciół Pata. Mieszkał w Alabamie, więc nie miałam okazji go poznać. Mimo to wiadomość o jego śmierci była dla mnie prawdziwym ciosem.

– Wie pani, jak się nazywał?

– Nie.

Jej wzrok błędził gdzieś ponad moim ramieniem.

– Zna pani nazwiska innych osób, które wyjeżdżały w góry z pani mężem?

Kobieta, jak gdyby nie słyszała mojego pytania, w zamyśleniu bawiła się końcówką węża.

– Pani Veckhoff?

– Pat nigdy nie rozmawiał o tych wycieczkach. Ja z kolei nie pytałam. Wiedziałam, że potrzebował odrobiny prywatności. Wie pani jak to jest, kiedy ludzie bez przerwy patrzą na ręce.

– Słyszała pani o grupie inwestycyjnej H&F?

– Nie. – Mimo iż nie widziałam jej twarzy, zdawała się poruszona, gdy wspomniałam o H&F.

– Pani Veck...

– Już późno. Muszę wracać do domu.

– Chciałabym wiedzieć, czy pani mąż interesował się tą chatą.

Kobieta wyłączyła spryskiwacz, zwinęła wąż i ruszyła w kierunku domu.

– Dziękuję, że poświęciła mi pani swój czas i przepraszam, że zajęłam pani go tak dużo.

Stała w uchylonych drzwiach i trzymając dłoń na klamce, odwróciła się w moją stronę. Z wnętrza domu dobiegł delikatny dźwięk dzwoneczków Westminster.

– Pat zawsze powtarzał, że zbyt wiele mówię. Zaprzeczałam i wmawiałam mu, że to nie gadulstwo, a jedynie przyjazne usposobienie. Teraz, kiedy o tym myślę, przyznaję mu rację. Oto, co robi z człowiekiem samotność.

Drzwi zamknęły się i usłyszałam szcęk zamka.

W porządku, pani Veckhoff – pomyślałam. Pani opowieści były stekiem bzdur, ale jakże uroczym stekiem bzdur. Bardzo pouczającym.

Chwilę później wyciągnęłam z torebki wizytówkę, zapisałam na odwrocie swój adres i numer telefonu, po czym wetknęłam ją w drzwi.



## Rozdział 24

Było po ósmej, kiedy przybył mój pierwszy gość. Po tym, jak opuściłam posesję pani Veckhoff, kupiłam w Roasting Company kurczaka z rożna i odebrałam Ptaśka od sąsiada. Podzieliłam się kurą z Boydem i Ptaśkiem, który wywijał ogonem za każdym razem, gdy Boyd naruszał jego niewidzialną sferę prywatności. Właśnie zbierałam resztki z talerzy, gdy ktoś zapukał do drzwi.

Na ostatnim stopniu schodów stał Pete, trzymając w dłoni uroczy bukiet stokrotek. Kiedy otworzyłam, zgiął się wpół i teatralnym gestem wręczył mi kwiaty.

– W imieniu mojego czworonożnego przyjaciela.

– Są piękne, ale nie musiałeś ich kupować. – Uchyliłam szerzej drzwi, wpuszczając Pete'a do kuchni.

Na dźwięk jego głosu, Boyd położył pysk na przednich łapach, wystawił do góry zad i poderwawszy się z podłogi, zaczął krążyć po kuchni. Jego zachowanie najwyraźniej rozczuliło Pete'a. Klasnął w dłonie i zawołał psa po imieniu. Boyd kompletnie oszalał. Szczekał, zataczał koła, skakał. Ptasiek postanowił nie brać udziału w całym tym przedstawieniu i przezornie wyniósł się z kuchni.

– Przestań. Podrapie podłogę.

Pete usiadł przy stole.

– Siad.

Pies spojrzał na niego, uniósł brwi i usiadł, opierając pysk na kolanach pana. Pete nagroził go pieszczotliwym drapaniem za uszami.

– Masz jakieś piwo?

– Korzenne.

– Może być. Jak się dogadywaliście?

– Nieźle.

Otworzyłam butelkę Hire i postawiłam ją przed Petem.

– Kiedy wróciłaś? – Mówiąc to, Pete zdjął butelkę i postawił ją pod pysk Boyda.

– Dziś. Jak ci poszło w Indianie?

– Śledczy zajmujący się podpaleniami byli równie wyrafinowani, co bliźniacy Bobbsey<sup>23</sup>, ale największym problemem okazał się reprezentujący dekarza rzeczoznawca z wydziału ubezpieczeń od odpowiedzialności cywilnej. Kiedy wybuchł pożar, jego klient pracował na dachu z palnikiem acetylenowym.

Pete wytarł butelkę wierzchem dłoni i pociągnął łyk.

– Ten dupek znał przyczynę. My znaleźliśmy przyczynę. Wiedzieliśmy, że on wiedział, że my wiemy, ale facet uparł się, że potrzebuje dalszego śledztwa.

– Sprawa trafi do sądu?

– Zależy, co nam zaoferują. – Opuścił dłoń i pozwolił Boydowi napić się piwa. – Ale przynajmniej odpocząłem trochę od tego psiska.

– Przecież kochasz tego psa.

– Nie tak bardzo jak ciebie. – Uśmiechnął się promiennie.

– Hmm.

– A jak tam sprawa DMORT. Coś się ruszyło?

– Może.

Pete zerknął na zegarek.

– Chętnie bym o tym posłuchał, ale jestem skonany. Dopił piwo i dźwignął się z krzesła.

Boyd zerwał się z podłogi.

– Chyba zabiorę go na spacer.

Stałam w oknie i z rozbawieniem obserwowałam, jak Boyd tańczył wokół nóg Pete'a.

Kiedy oderwałam wzrok od szyby, zauważyłam Ptaśka, który gotowy do ucieczki, czaił się w korytarzu.

– Krzyż na drogę – powiedziałam. Bolało mnie, że przeklęty pies nawet raz nie odwrócił się, by zerknąć w moją stronę.

Ptasiek i ja oglądaliśmy *The Big Sleep*<sup>24</sup>. Kot ułożył się na moich kolanach, a ja niczym nieskrępowana siedziałam ubrana w podkoszulek, majtki i stary, flanelowy szlafrok, kiedy sielankę przerwało pukanie do drzwi. Nie miałam najmniejszej ochoty na czyjąkolwiek wizytę.

---

<sup>23</sup> [Bliźniacy Bobbsey – bohaterowie powieści dla dzieci, autorstwa Edwarda Stratemeyera (przyp. tłum.)]

<sup>24</sup> [*The Big Sleep* – Wielki Sen, film z 1946 roku, w rolach głównych wystąpili Humphrey Bogart i Lauren Bacall (przyp. tłum.)]

W progu stał Ryan. W świetle wiszącej na ganku lampy jego skóra miała ziemisty, niezdrowy wygląd. Postanowiłam nie zadawać zbędnych pytań. Prędzej czy później sam mi powie, co robił w Charlotte.

– Skąd wiedziałaś, że tu jestem?

Ryan zignorował moje pytanie.

– Jesteś sama?

Skinęłam głową w kierunku pokoju.

– W gabinecie są jeszcze Bacall i Bogart.

Otworzyłam drzwi. Ryan bez słowa wszedł do kuchni, wlokąc za sobą delikatną woń papierosów i potu.

– Nie będą mieli nic przeciwko, jeśli dołączę do waszej trójki? – Mimo iż silił się na wesołość, wiedziałam, że nie jest mu do śmiechu.

– To dość ugodowe towarzystwo.

Po tych słowach weszliśmy do pokoju i usiedliśmy po przeciwnych stronach kanapy.

Wyłączyłam telewizor.

– Zidentyfikowali Bertranda.

Czekałam.

– Głównie na podstawie zębów i innych – przełknął z trudem, jak gdyby to, co zamierzał powiedzieć, utkwilo mu w gardle – fragmentów.

– Co z Petricellim?

Potrząsnął głową.

– Siedzieli w strefie zero, więc Petricelli mógł dosłownie wyparować. Szczątki Bertranda, a właściwie to, co z nich zostało, znaleziono w dolinie, dość daleko od miejsca katastrofy – dodał drżącym głosem. – Wbite w drzewo.

– Tyrell zabrał już ciało?

– Dziś rano. W niedzielę zabieram je do Montrealu.

Chciałam otoczyć go ramionami, przytulić policzek do jego piersi i matczynym gestem zmierzić włosy. Mimo to siedziałam bez ruchu.

– Rodzina chce, aby w pogrzebie brali udział najbliżsi. Żadnej pompy, żadnego rozgłosu. Dlatego SQ zorganizuje pogrzeb w środę.

– Jadę z tobą – odparłam bez wahania.

– Nie musisz. – Jego dłonie pozostawały w ciągłym ruchu, a zbiegające się kłykcie przywodziły na myśl rząd otoczek.

– Jean był także moim przyjacielem.

– To długa podróż.

Ryan odchylił głowę, zatrzepotał rzęsami i przetarł dłońmi wilgotne oczy.

– Chcesz, żebym z tobą pojechała?

– A rozgrywka z Tyrellem?

Wspomniałam o fragmencie zęba, zachowując dla siebie resztę szczegółów.

– Ile zajmie ustalenie profilu?

– Cztery, pięć dni. Nie mam powodu, by tu siedzieć i czekać. Chcesz, żebym jechała?

Spojrzał na mnie i zacisnął usta.

– Mam wrażenie, że i tak to zrobisz.

Wiedząc, że w ciągu kolejnych dwóch dni będzie musiał zorganizować transport, spotkać się z McMahonem i wpaść do siedziby FBI, Ryan wynajął pokój w Adams Mark Hotel nieopodal centrum. O nic go nie pytałam. Wystarczająco kiepsko wyglądał.

Następnego dnia przejrzałam nazwiska na liście H&F i wreszcie dowiedziałam się czegoś istotnego. Nie mając do dyspozycji własnego laboratorium, musiałam ograniczyć moje techniki śledcze do minimum.

Mimo to spędziłam poranek w bibliotece, przeglądając archiwalne numery „Charlotte Observer”. Z tego, co przeczytałam, wynikało, że senator stanowy Pat Veckhoff był poślednim urzędnikiem, ale nienagannym obywatelem. Poza tym nie znalazłam kompletnie nic.

W Internecie natrafiłam na kilka wzmianek o poezji Kendalla Rollinsa, poety, o którym wspomniała pani Veckhoff. To tyle. Davis. Payne. Veckhoff. Birkby. Warren. Popularne nazwiska, prowadzące do labiryntu nieistotnych informacji. W dziale telefonów prywatnych były ich setki.

Wieczorem zabrałam Ryana na kolację do Selwyn Pub. Wydawał się nieobecny i zatroskany.

W niedzielne popołudnie Ptasiek pojechał do Pete’a, a Andrew i ja poleciliśmy do Montrealu. To, co zostało z Jeana Bertranda, podróżowało pod pokładem w lśniącej, metalowej trumnie.

Na lotnisku Dorval Airport czekał na nas przedsiębiorca pogrzebowy, dwóch pracowników zakładu pogrzebowego i czterech umundurowanych oficerów Sûreté du Québec<sup>25</sup>. Przetransportowaliśmy ciało Jeana do miasta.

---

<sup>25</sup> [Sûreté du Québec – Policja Prowincji Quebec (przyp. tłum.)]

Październik w Montrealu to coś pięknego. Kościelne iglice i drapacze chmur toną w błękitnie nieba. Górskie szczyty płoną w promieniach słonecznych. Czasem na miasto opada szarość, okraszona opadami deszczu, deszczu ze śniegiem lub samym śniegiem.

Tego dnia powietrze przesycił lodowaty chłód, a nad miastem wisiały ciężkie, ciemne chmury. Drzewa zdawały się nagie i czarne, a na trawnikach i parkingach zalegała gruba warstwa szronu. Opatulone grubym płótnem krzewy, przypominające drżące z zimna, wyschnięte mumie roślin, stały na straży domów i biurowców.

Zanim dowieźliśmy ciało Bertranda do Urgel Bourgie na St-Lambert, minęła siódma. Po wszystkim Ryan pojechał do swojego mieszkania w Habitat, ja do swojego w Centre-Ville.

Rzuciłam torbę podróżną na łóżko, włączyłam ogrzewanie, sprawdziłam liczbę wiadomości na automatycznej sekretarce i zajrzałam do lodówki.

Pierwsza była zapchana niczym błękitna linia sieci Kmart, druga świeciła pustkami, bielą ścian i poplamionych, szklanych półek.

LaManche. Isabelle. Czterech telemarketerów. Absolwent z uniwersytetu McGill.

LaManche.

Wyciągnęłam z szafki kurtkę i rękawiczki i poszłam do Le Faubourg po zakupy.

Kiedy wróciłam, w mieszkaniu było już znacznie cieplej. Mimo to rozpałam w kominku, bo bardziej niż ciepła potrzebowałam spokoju, który dawał mi widok płomieni. Czułam się równie przygnębiona jak wówczas, gdy siedząc w Sharon Hall rozmyślałam o tajemniczej Danielle, z tą różnicą, że teraz przytłaczała mnie wizja pogrzebu Bertranda. Jadłam fasolkę i przegrzebki. Opady deszczu ze śniegiem przybierały na sile, a ja, siedząc przy kominku, rozmyślałam o człowieku, którego pogrzeb przywiódł mnie do Montrealu.

Od lat pracowałam razem z Jeanem. Połączyły nas ofiary morderstw. To dzięki nim nauczyłam się rozumieć detektywa. Bertrand nie był skomplikowanym człowiekiem – widział jedynie czerń i biel otaczającego go świata. Wierzył, że istnieje granica moralności – gliniarze po jednej, a przestępcy po drugiej stronie. Wierzył w system i nawet przez chwilę nie wątpił, że jest on w stanie oddzielić dobrych ludzi od złych.

Ubiegłej wiosny przyjechał do mojego mieszkania, zdruzgotany wiadomością, że jego współpraca z Ryanem niespodziewanie dobiegła końca. Przypomniałam sobie, jak tamtej nocy siedział na kanapie. Jego wściekłość, niedowierzanie i brak słów do złudzenia przypominały to, co przeżywał teraz Andrew.

Po obiedzie włożyłam naczynia do zmywarki, podsyciłam płomień w kominku, wzięłam słuchawkę i usiadłam na sofie. Przystawiłam się na francuski i wybrałam domowy numer LaManche'a.

Mimo przykrych okoliczności, szef wyraźnie ucieszył się z mojego powrotu do Montrealu i oznajmił, że w laboratorium czekały na mnie dwie sprawy.

– W ubiegłym tygodniu, w okolicach Parc Nicholas-Veil, znaleziono ciało kobiety w stanie daleko posuniętego rozkładu. Była naga i owinięta kocem.

– Gdzie to jest?

– W wysuniętej na północ części miasta.

– CUM?

Communaute Urbaine de Montréal Police, znana również jako Miejska Policja Dzielnicowa Miasta Montreal, sprawuje jurysdykcję nad wszystkim, co dzieje się na wyspie.

– Oui. Sierżant detektyw Luc Claudel.

Claudel. Wysoce ceniony detektyw o wyglądzie i manierach buldoga. Facet, który traktował pracę ze mną jak zło konieczne i nijak nie dał się przekonać, że kobieta antropolog może okazać się przydatna w egzekwowaniu prawa. Tylko tego było mi trzeba.

– Zidentyfikowaliście ofiarę?

– Mamy pewne przypuszczenia. Zatrzymano też domniemanego sprawcę. Podejrzany twierdzi, że kobieta upadła, jednak Monsieur Claudel ma co do tego pewne wątpliwości. Chciałbym, żebyś przyjrzała się obrażeniom czaszki. – Francuszczyzna LaManche'a była jak zawsze nienaganna.

– Zajmę się tym jutro.

Kolejna sprawa nie była już tak pilna. Dwa lata temu w Chicoutimi rozbił się niewielki samolot. Nigdy nie odnaleziono ciała drugiego pilota. Niedawno, w okolicy, woda wyrzuciła na brzeg kawałek trzonu kości długiej. LaManche chciał, abym ustaliła, czy była ludzka.

Zapewniłam go, że zajmę się również tą sprawą.

Podziękował mi, zapytał o rekonstrukcję Air TransSouth i wyraził ubolewanie z powodu śmierci Bertranda. Nie pytał o moje problemy z władzami. Wiedziałam, jak szybko roznoszą się takie wieści, jednak LaManche był zbyt subtelny i taktowny, by poruszać tak drażliwe tematy.

Zignorowałam wiadomości od telemarketerów.

Absolwent z Uniwersytetu McGilla dawno otrzymał wymagane referencje, więc nie oddzwoniłam do niego.

W ubiegłą sobotę moja przyjaciółka Isabelle organizowała jeden ze swych wieczorków. Przeprosiłam ją za to, że nie odebrałam telefonu i nie wpadłam na kolację. Isabelle zapewniła mnie, że już niebawem przygotuje kolejną.

Ledwie zdążyłam odłożyć słuchawkę, kiedy zadzwoniła moja komórka. Gnając przez pokój, rzuciłam się do torby, po raz kolejny obiecując sobie w duchu, że znajdę lepsze miejsce do przechowywania telefonu. Kiedy w końcu odebrałam połączenie, minęła dobra chwila, nim rozpoznałam głos.

– Anne?

– Co ty wyprawiasz? – spytała.

– Finalizuję kwestię pokoju na świecie. Właśnie rozmawiałam z Kofi Annanem.

– Gdzie jesteś?

– W Montrealu.

– Po jaką cholere wróciłaś do Kanady?

Opowiedziałam jej o Jeanie.

– To dlatego jesteś taka wściekła?

– Po części. Jesteś w Charlotte? Jak tam Londyn?

– Co to znaczy: „po części”?

– Wierz mi, wolałabym nie wiedzieć.

– Oczywiście, że chcę wiedzieć. Co się stało? Skoro tego chcesz – pomyślałam i wywaliłam z siebie całe plugastwo ostatnich dni. Po dwudziestu minutach wzięłam głęboki oddech, czując, że jeśli tego nie zrobię, rozpłaczę się jak dziecko.

– Czyli chata w górach i stopa nie mają nic wspólnego ze skargą dotyczącą katastrofy?

– Tak jakby. Nie sądzę, aby stopa należała do któregoś z pasażerów, ale muszę to udowodnić.

– Myślisz, że chodzi o tego Mitchella, który zaginął w lutym?

– Tak.

– A NTSB wciąż nie ma pojęcia, co tak naprawdę było przyczyną katastrofy?

– Na to wygląda.

– O chacie wiesz tyle, że jakiś Livingstone podarował ją w prezencie ślubnym komuś nazwiskiem Arthur, a ten z kolei sprzedał ją niejakemu Dashwoodowi.

– Aha.

– Ale na akcie własności nie widnieje żaden Dashwood, a nazwa grupy inwestycyjnej.

– H&F z siedzibą w Delaware.

– I nazwiska niektórych przedstawicieli pokrywają się z nazwiskami osób, które zmarły, nim doszło do zaginięcia.

– Niezła jesteś.

– Robiłam notatki.

– Brzmi bezsensownie?

– Tak. Nie wiesz, dlaczego Davenport tak się na ciebie wziął?

– Nie.

Na linii łączącej dwa kraje zapadła głucha cisza.

– Słyszeliśmy o jakimś angielskim lordzie o nazwisku Dashwood. Z tego co pamiętam, był bliskim przyjacielem Benjamina Franklina.

– To wszystko tłumaczy. Jak było w Londynie?

– Świetnie, ale za dużo wycieczek typu KCK.

– KCK?

– Po kolejnych cholernych katedrach. Ted lubi historię. Zaciągnął mnie nawet do jakichś jaskiń. Kiedy wracasz do Charlotte?

– W czwartek.

– Gdzie wybierzemy się na Święto Dziękczynienia?

Anne i ja poznałyśmy się w czasach, kiedy obie byłyśmy ciężarne. Ja nosiłam pod sercem Katy, Anne swojego syna – Brada. Latem spakowałyśmy siebie i dzieciaki i we czworo spędziłyśmy tydzień nad oceanem. Od tego czasu Święto Dziękczynienia oznaczało wyjazd na plażę.

– Dzieciaki lubią Myrtle. Ja wolę Holden.

– A ja chciałabym w końcu pojechać na Pawleys Island. Umówmy się na lunch. Ustalimy wszystko i opowiem ci o Londynie. Zobaczysz, Tempe, już niebawem wszystko wróci do normy.

Usnęłam, słuchając odgłosów deszczu, rozmyślając o piasku i palmach, i zastanawiając się, czy moje życie kiedykolwiek wróci do normy.

Laboratoire de Sciences Judiciaires et Médecine Légale jest centralnym, medycznoprawnym laboratorium kryminalistycznym prowincji Quebec, z siedzibą na dwóch najwyższych piętrach budynku Edifice Wilfrid-Derome, znanego też jako Sûreté du Québec albo SQ. O dziewiątej trzydzieści, w poniedziałek, siedziałam w laboratorium antropologicznoodontologicznym. Wcześniej wzięłam udział w porannym spotkaniu i odebrałam od patologów „Demande d’Expertise en Anthropologie”. Ustaliłam, że fragment



kości długiej nie mógł należeć do zaginionego pilota. Kość była prawdopodobnie kością muła lub jelenia.

Napisałam krótki raport i oddałam go asystentce Claudela.

Ułożyłam kości w anatomicznym porządku, zrobiłam spis i sprawdziłam dane dotyczące wieku, płci, rasy i wzrostu, ustalając ich zgodność z domniemaną ofiarą.

Było to niezwykle istotne z uwagi na to, że ofiara była bezzębna, a w rejestrze nie znaleziono żadnych raportów stomatologicznych. O trzynastej trzydzieści zrobiłam sobie przerwę. Wyjrzałam przez okno na przepływające pod mostem Jacques Cartier Bridge łodzie, zjadłam bajgla z kremem serowym, banana i ciastka Chips Ahoj!. Przed czternastą wróciłam do pracy a nim wybiła szesnasta trzydzieści, zakończyłam analizę.

Pęknięcie czaszki oraz uszkodzenie szczęki, oczodołu i kości policzkowej mogły być wynikiem upadku. Pod warunkiem, że ofiara wypadła z balonu wypełnionego ciepłym powietrzem lub wieżowca. Zadzwoiłam do Claudela. Potwierdziłam, że jego przypuszczenia co do morderstwa zdawały się słuszne i opuściłam biuro.

W domu czekała mnie kolejna samotna noc, a jedynymi pomysłami na zabicie czasu okazało się upieczenie i zjedzenie piersi z kurczaka, powtórka Przystanku Alaska i kilka rozdziałów powieści Jamesa Lee Burke'a. Zasnęłam przed dwudziestą trzecią.

Kolejny dzień upłynął pod znakiem dokumentacji. Fotografowałam zwłoki, zapisywałam swoje wnioski wyciągane na podstawie biologicznego profilu ofiary, rysowałam wykresy, opisywałam i wyjaśniałam źródła urazów. Późnym popołudniem sporządziłam szczegółowy raport i zaniiosłam go do sekretariatu. Zdejmowałam fartuch, kiedy w drzwiach pojawił się Ryan.

– Podrzucić cię na pogrzeb?

– Ostatnie dni były dość ciężkie, co? – spytałam, wyciągając torbę z szuflady biurka.

– Nastroje wśród ludzi nie są najlepsze.

– Wiem – odparłam, patrząc mu w oczy.

– I ta cholerna sprawa Petricellego.

– Rozumiem.

– Wygląda na to, że Metraux nie jest pewien, czy faktycznie widział Peppera.

– Myślisz, że to z powodu Bertranda?

Ryan wzruszył ramionami.

– Ci skurwiele sprzedaliby własne matki, byleby tylko wyrwać się z domu na popołudnie.

– Dość niespotykane podejście.

- Jak bieżąca woda w Tijuana. Podwieźć cię?
- Jeśli nie stanowi to problemu.
- Przyjadę po ciebie o ósmej piętnaście.

Ponieważ detektyw sierżant Jean Bertrand zginął na służbie, został pochowany ze wszystkimi honorami. La Direction des Communications of the Sûreté du Québec poinformowała o jego pogrzebie policję Ameryki Północnej, używając kanadyjskiego systemu CPIC<sup>26</sup> i amerykańskiego NCIC<sup>27</sup>.

Przy stojącej w zakładzie pogrzebowym lśniącej, metalowej trumnie czuwali członkowie gwardii honorowej. Oni też eskortowali ciało z zakładu do kościoła i z kościoła na cmentarz. Choć wiedziałam, że na cmentarzu zjawi się mnóstwo ludzi, nie przypuszczałam, że przyjdzie aż taki tłum. Oprócz rodziny i przyjaciół Bertranda na cmentarzu pojawili się jego koledzy z policji, członkowie CUM i pracownicy laboratorium medyczno-sądowego. Wyglądało to tak, jak gdyby każdy wydział policji w Kanadzie i niemal każdy ze Stanów wysłał tu swojego delegata. Francuskie i brytyjskie media przysłały też swoich reporterów.

Przed południem szczątki Jeana Bertranda spoczęły na cmentarzu Notre-Damedes-Neiges, a Ryan i ja odjechaliśmy w kierunku Centre-Ville.

- Kiedy wracasz? – spytał Andrew, zjeżdżając z Côte-des-Neiges w St-Mathieu.
- Jutro o jedenastej pięćdziesiąt.
- Wpadnę po ciebie o dziesiątej trzydzieści.
- Jeśli starasz się o posadę szofera, uprzedzam, że płacę podłe.

Za moment żałowałam, że w ogóle otworzyłam usta.

– Wracam tym samym lotem.

– Po co?

– Ubiegłej nocy policja w Charlotte aresztowała Pecana Billiego Holmesa, szumowinę z Atlanty.

Wyciągnął z kieszeni paczkę Du Marieur i stukając nią o kierownicę, wyjął papierosa.

Potem odpalił go od płomienia zapalniczki, zaciągnął się i wypuścił dym nosem.

---

<sup>26</sup> [CPIC – Canadian Police Information Centre – Policijne Centrum Informacji w Kanadzie (przyp. tłum.)]

<sup>27</sup> [NCIC – National Crime Information Center – Centrum Informacji stworzone przez FBI (przyp. tłum.)]

– Wygląda na to, że facet ma informację na temat człowieka, który zadzwonił do FBI.

## Rozdział 25

Kolejne dni przypominały zjazd kolejką górską w parku rozrywki Six Flags. Po tygodniach długiej i żmudnej wspinaczki nagle wszystko zaczęło się walić. Z tą różnicą, że życie to nie roller coaster, a to, co się działo, nie było zabawne.

Wylądowaliśmy w Charlotte późnym popołudniem. Jesień na dobre zagościła już w Karolinie Północnej i wiatr szarpał nasze kurtki, kiedy w milczeniu szliśmy do podziemnego parkingu.

Natychmiast pojechaliśmy do centrum, kierując się do położonego przy Drugiej Alei i Tryon biura FBI. McMahon skończył właśnie przesłuchiwać Pecana Billiego Holmesa i czekał na nas w swym gabinecie.

– Holmes był kompletnie zaćpany, kiedy przywieźli go do aresztu. Wrzeszczał i ryczał, oferując, że postawi wszystkie oszczędności na mecz ulubionej drużyny.

– Kim jest ten facet? – spytał Ryan.

– Trzydziestoosmioletnim gościem z trzema porażkami na koncie. Ostatnio trzymał z gangiem motocyklowym z Atlanty.

– Anioły Piekieł?

McMahon skinął głową.

– Nie jest taką głupią mendą, jak przypuszczaliśmy. Klub tolerował go tak długo, jak był im potrzebny.

– Co Holmes robił w Charlotte?

– Prawdopodobnie przyjechał na uroczysty lunch dla członków klubu Rotary.

– Facet wie, kto dzwonił do FBI? – spytałam.

– O czwartej rano miał się z kimś spotkać. Dlatego aresztujący go gliniarze zadzwonili do nas. Zanim zdążyłem dojechać, Pecan wymiękł i zgodził się sypać.

McMahon podniósł stojący na biurku kubek i przyjrzał się jego zawartości.

– Na szczęście w czasie aresztowania był pod nadzorem sądowym za wystawianie lewych czeków. Dzięki temu przekonaliśmy go, że współpraca z policją leży w jego interesie.

– I?

– Holmes przysięga, że brał udział w przygotowywaniu planu.

– Gdzie?

– Claremont Lounge w centrum Atlanty. To mniej więcej sześć przecznic od automatu, z którego dzwoniło do FBI.

McMahon odstawił kubek.

– Holmes mówi, że pił i ładował kokainę z dwoma Aniołami; niejakim Harveyem Poteetem i Nealem Tannahillem. Chłopcy rozmawiali podobno o Pepperze Petricellim i katastrofie, kiedy Poteet uznał, że byłoby dobrze naprowadzić FBI na fałszywy trop.

– Dlaczego?

– Błyskotliwość barowego stołka. Jeśli Petricelli faktycznie żył, wiadomość zmusiłaby go do milczenia. Jeśli zginął w katastrofie, ludzie dowiedzieliby się o tym. Wystarczy słowo, a ci, których nazywałeś braćmi, zmiotą cię z powierzchni ziemi. Za darmo.

– Czemu tych dwóch miałyby rozmawiać o interesach w obecności kogoś z zewnątrz?

– Poteet i Tannahill wachali kokę w samochodzie Holmesa. W tym czasie nasz bohater leżał prawie nieprzytomny na tylnym siedzeniu – przynajmniej tak się im wydawało.

– A więc to wszystko było jedną, wielką mistyfikacją – stwierdziłam.

– Na to wygląda. – McMahon odsunął kubek od księgi zatrzymań.

– Metraux zmienia swoje zeznania w sprawie Petricellego – dodał Ryan.

– To dopiero niespodzianka.

Gdzieś w korytarzu zadzwonił telefon. Usłyszałam krzyk i tupot stóp.

– Wygląda na to, że twój partner i jego podopieczny trafili na feralny lot.

– Czyli Lankijczycy są czyści, Simington ubiega się o tytuł Humanitarysty Roku, a Anioły to banda wesołych dowcipnisiów. Wracamy do punktu wyjścia. Mamy katastrofę lotniczą i żadnych racjonalnych wyjaśnień – skwitował Ryan.

– Kiedy wyjeżdżałem z Bryson City, zadzwonił Magnus Jackson. Twierdzi, że są dowody na to, że pożar rozprzestrzenił się powoli.

– Jakie dowody? – spytałam.

– Geometryczne ślady spalania na szczątkach samolotu.

– Co to oznacza?

– Że zanim doszło do eksplozji, na pokładzie wybuchł pożar.

– Usterka mechaniczna?

McMahon wzruszył ramionami.

– Mogą ustalić, które części samolotu spłonęły przed katastrofą, a które po tym, jak maszyna uderzyła w ziemię?

– Dla mnie to stek bzdur.

McMahon chwycił kubek i dźwignął się z krzesła.

– A zatem Pecan ma szansę zostać prawdziwym bohaterem.

Ryan i ja wstaliśmy i skierowaliśmy się do wyjścia.

– A Metraux wypada z branży – dodał Ryan.

– Nie byłbym tego taki pewien.

Nie mówiłam Ryanowi o insynuacjach Davenporta na temat jego i Bertranda. Zrobiłam to dopiero teraz, przed hotelem Adams Mark. Ryan wysłuchał mnie, patrząc przed siebie i przyciskając dłonie do kolan.

– Cholerny, bezmózgi kutas. – Światła nadjeżdżającego samochodu oświetliły jego wściekłą twarz, zniekształcając rysy i nadając jej groteskowy wygląd.

– To powinno dać mu do myślenia.

– Tak.

– Jestem pewna, że jego nagonka na moją osobę nie ma nic wspólnego ani z tobą, ani z Bertrandem. Ten facet ma jakiś plan, a ja stanęłam mu na drodze.

– Jaki plan?

– Tego właśnie zamierzam się dowiedzieć.

Ryan zacisnął i rozluźnił szczęki.

– Za kogo on się, kurwa, uważa?

– Za kogoś, kto ma władzę.

Dłonie Ryana ześlizgnęły się po nogawkach dżinsów. Chwilę później Andrew ujął mnie za rękę.

– Jesteś pewna, że nie chcesz zjeść ze mną obiadu?

– Muszę odebrać kota.

Ryan opuścił dłonie, pociągnął za klamkę i wysiadł z samochodu.

– Zadzwoń rano – powiedziałam.

Chwilę później zostałam zupełnie sama.

Kiedy wróciłam do domu, na wyświetlaczu sekretarki widniała informacja o czterech nieodebranych wiadomościach.

Anne.

Ron Gillman.

Dwa przerwane połączenia.

Zadzwoiłam na pager Gillmana. Oddzwonił, zanim zdążyłam napełnić miski Ptaśka.

– Krueger mówi, że masz profil DNA.

Poczułam, jak mój żołądek i migdałki zamieniają się miejscami.

– To pewne?

– Nie ma mowy o pomyłce.

– To znaczy, że odłamek zęba i stopa pochodzą od tej samej osoby? – wciąż nie mogłam w to uwierzyć.

– Tak. Zdobądź nakaz.

Zadzwoiłam do Lucy Crowe. Nie było jej. Zastępca obiecał, że spróbuje ją znaleźć.

Ryan nie odbierał telefonu, za to Anne odebrała po pierwszym sygnale.

– Wiecie już, kto podłożył bombę?

– Wiemy, kto jej nie podłożył.

– To już jakiś postęp. Co powiesz na obiad?

– Gdzie jest Ted?

– Na spotkaniu handlowym w Orlando.

Byłam tak podekscytowana, że siedzenie w domu byłoby dla mnie prawdziwą torturą. Poza tym w kuchni miałam wyłącznie kocią karmę.

– Za pół godziny w Foster's?

– Jasne.

Foster's Tavern to podziemna kryjówka z posępną boazerią z ciemnego drewna i tuftowaną czarną skórą, sięgającą połowy ścian, rzeźbionym barem po jednej stronie pomieszczenia i podniszczonymi stolikami po drugiej. Podobnie jak w bliźniaczym Selwyn Avenue Pub jest tu ciasno, mrocznie i bardzo irlandzko.

Anne zamówiła potrawkę o wdzięcznej nazwie Guinness i kieliszek Chardonnay, ja wybrałam peklowaną wołowinę z kapustą i Perrier z limonką. Zazwyczaj proszę o cytrynę, jednak tego dnia zieleń, limonki wydała mi się bardziej odpowiednia.

– A zatem kogo skreśliliście z listy? – spytała Anne, wyjmując palcami pływający w winie paproszek.

– Nie bardzo mogę o tym rozmawiać, ale wydarzyło się coś jeszcze.

– Udało ci się ustalić początkową temperaturę systemu układu słonecznego.

Mówiąc to, strzepnęła z palców wyłowioną drobinę. W przydymionym świetle jej włosy zdawały się jeszcze jaśniejsze, niż je zapamiętałam.

– To było w ubiegłym tygodniu. Rozjaśniałaś włosy?

– To był mój błąd. Opowiadaj.

Powiedziałam jej o profilu DNA.

– Czyli twoja stopa należy do kogoś, kto zgnił we wnętrzu muru.

– I nie był to jeleń.

– A więc kto?

– Założę się, że chodzi o Jeremiaha Mitchella.

– Tego ciemnoskórego Czirokeza?

– Tak.

– Co teraz?

– Czekam na telefon z hrabstwa Swain. Mam zgodność DNA, więc szeryf nie powinna mieć problemów ze zdobyciem nakazu. Nawet ze strony tego sędziwego, szurniętego sędziego.

– Ładna aliteracja.

– Dzięki.

Podczas obiadu zdecydowałyśmy, że w Święto Dziękczynienia wybierzemy się do Wild Dunes. Potem Anne opowiedziała mi o swoim wyjeździe do Anglii.

– Widziałaś cokolwiek poza katedrami i zabytkami? – spytałam, wykorzystując moment, kiedy przyjaciółka chwyciła oddech.

– Jaskinie.

– Jaskinie?

– Kompletnie dziwactwa. Ten facet, Francis Dashwood, wykopał je gdzieś w osiemnastym wieku. Miał fioła na punkcie gotyckiej atmosfery, więc kazał wybudować przy wejściu trójboczną, kamienną osłonę. Okna rodem z katedry, drzwi i łukowate sklepienia, pośrodku kamienny portal, a po obu stronach czarny płot z kutego żelaza. Wszystko to przypomina dziedziniec. Gotycki styl uzupełnia sklep z pamiątkami i tania restauracja z plastikowymi krzesłami. Pociągnęła łyk wina.

– Do jaskiń prowadzi długi, biały tunel z niskim, okrągłym sklepieniem.

– Dlaczego biały?

– Daj spokój, to wszystko imitacja. Jaskinie zostały wykopane w kredzie.

– Gdzie dokładnie jest to miejsce?

– W West Wycombe, w Buckinghamshire. Mniej więcej godzinę jazdy na północny zachód od Londynu. Ktoś powiedział Tedowi o tym miejscu, więc postanowiliśmy zajrzeć tam w drodze do Oxfordu. – Mówiąc to, przewróciła oczami.

– Tempe, te jaskinie to kompletne dziwactwo. Wszędzie nic tylko przejścia, kręte odgałęzienia, wąskie szczeliny i maleńkie pomieszczenia. Do tego wszystko pokryte odrażającymi rzeźbami.

– Odrażającymi?

– Większość z nich wygląda jak dziecięce bohomyzy, ale wierz mi, nawet dzieci nie mogłyby namalować czegoś tak straszego.



– To znaczy?

– Twarz z wrytym na czole krzyżem, na głowie kapelusz czarodzieja, oczy i usta w kształcie idealnej litery „O”. – Na twarzy Anne pojawił się koszmarny grymas. – Tunele rozdzielają się, łączą i bez powodu zmieniają nagle kierunek. Jest tam Sala Bankietowa i rzeka Styks. Wszystko ozdobione sztucznymi stalagmitami. Musisz przez nie przejść, żeby dostać się do Wewnętrznej Świątyni. Osobiście najbardziej podobał mi się ślepy zaułek, pełen tandetnych manekinów przedstawiających Dashwooda i jego kumpli.

– Po co Dashwood wykopał te jaskinie?

– Może miał więcej pieniędzy niż rozumu. Facet wybudował sobie świątynię, która wygląda jak Koloseum.

Anne dopiła wino i kontynuowała swoje domysły.

– A może Francis był osiemnastowiecznym Waltem Disneyem. Zamierzał zbić majątek na tym miejscu. Wiesz, taka atrakcja turystyczna.

– Nie wyjaśnili wam skąd się to wszystko wzięło i po co?

– Jasne. Na zewnątrz jest długi ceglany korytarz ze zdjęciami i historią tego upiornego miejsca. Nie czytałam jej, bo robiłam zdjęcia. Za to Ted przeczytał wszystko od deski do deski.

Anne zajrzała do kieliszka, jak gdyby chciała upewnić się, że jest pusty.

– Nieopodal jaskiń jest niesamowita, angielska rezydencja o nazwie Medmenham Abbey. Posiadłość została zbudowana w dwunastym wieku przez zakon cystersów, a Dashwood kupił ją, odrestaurował i zrobił z niej swą wiejską kryjówkę. Mówię ci, gotyckie ściany, popadające w ruinę wejście i wyrzeźbione nad nim motto robią wrażenie – dodała szeptem. Anne to urodzony pośrednik w handlu nieruchomościami i niekiedy słuchając jej, odnoszę wrażenie, że rozmawia ze mną, jak z potencjalnym klientem.

– Co głosi motto?

– Niech mnie szlag, jeśli wiem.

Na naszym stole pojawiła się kawa i śmietanka.

– Po naszej rozmowie telefonicznej nie mogłam przestać myśleć o nazwisku Dashwood.

– Jest dość popularne.

– Co to znaczy: „dość”?

– Nie podam ci liczb.

– Znasz jakiegoś Dashwooda?

– Nie.

– Czyli chyba nie jest zbyt popularne. Powoli zaczynałam gubić się w tej rozmowie.

– Francis Dashwood żył dwieście pięćdziesiąt lat temu.

Anne teatralnie wzruszyła ramionami. Nagle zadzwonił mój telefon. Odebrałam tak szybko, jak tylko mogłam i spoglądając przepraszająco na przyjaciółkę, zerwałam się z krzesła. Uważam, że rozmawianie przez komórkę w restauracji to szczyt chamstwa, jednak nie mogłam ryzykować, że przegapię telefon od Lucy Crowe.

Biegąc do wyjścia, opowiadałam jej o swoich odkryciach.

– Wystarczy, żeby zdobyć nakaz.

– A co, jeśli nie wystarczy?

– Zamierzam wpaść do Battle'a. Jeśli wciąż będzie się upierał, coś wymyślę.

Zanim wróciłam do stołu, Anne zdążyła zamówić kolejny kieliszek Chardonnay, a na stole pojawiła się kupka zdjęć. Przez kolejne dwadzieścia minut podziwiałam okolice Westminster, Buckingham Pałace, the Tower, the Bridge i niemal każdego muzeum w Londynie.

Dochodziła jedenasta, gdy wróciłam do Sharon Hall. Kiedy parkowałam obok przybudówki, w świetle reflektorów dostrzegłam leżącą na werandzie dużą, brązową kopertę. Na jej widok niemal natychmiast zatrzymałam samochód, wyłączyłam silnik i lekko uchyliłam szybę.

W otaczającej dom głuchej ciszy słyszałam jedynie cykanie świerszczy i uliczny zgiełk dobiegający od strony Queens Road. Żałowałam, że nie ma ze mną Boyda. Pognałam do tylnego wyjścia i wślizgnęłam się do domu, gdzie przywitał mnie znajomy szum lodówki i tykanie stojącego na kominku, babcinego zegara. Chwilę później w wejściu pojawił się Ptasiek. Zwierzę spojrzało na mnie i z leniwą gracją wyciągnęło tylną łapkę.

– Ktoś tu był, Ptaśku?

Kot usiadł, zmierzył mnie spojrzeniem okrągłych, żółtawych oczu, polizał przednią łapkę i obojętnie musnął nią prawe ucho.

– Jak zwykle nie przejmujesz się intruzami.

Poszłam do salonu, przycisnęłam ucho do drzwi i po chwili przekreśliłam gałkę. Ptasiek obserwował każdy mój ruch. Odczekałam chwilę, zdecydowałam, że w pobliżu nie ma nikogo, chwyciłam kopertę i zatrasnęłam drzwi. Na kopercie widniało moje nazwisko, skreślone wprawną, kobiecą ręką. Nie było adresu zwrotnego.

– To dla mnie, Ptaśku?

Kot spojrzał na mnie, mrużąc oczy.

– Widziałeś, kto to zostawił?

Potrząsnęłam kopertę.

– Chłopcy z brygady antyterrorystycznej robią to chyba inaczej.

Oderwałam róg koperty i zajrzałam do środka. Wewnątrz, owinięta w papier, znajdowała się książka. Uspokojona tym widokiem, rozerwałam kopertę i wyciągnęłam gruby, oprawny w skórę dziennik. Do okładki przyklejono kartkę brzoskwiniowej papeterii, zapisaną starannym, kobiecym pismem.

Na samym dole widniał czytelny, elegancki podpis.

Marion Louise Willoughby Veckhoff.

## Rozdział 26

*Dr Brennan.*

*Jestem bezużyteczną, starą kobietą. Nigdy nie pracowałam ani nie piastowałam żadnego stanowiska. Nie napisałam książki ani nie zaprojektowałam ogrodu. Nie mam talentu do poezji, malarstwa czy muzyki. Wiem jednak, że przez cały czas trwania mojego małżeństwa byłam oddaną i posłuszną żoną. Kochałam męża i ślepo go wspierałam. Tak bowiem zostałam wychowana.*

*Martin Patrick Veckhoff był odpowiedzialnym za rodzinę człowiekiem, kochającym ojcem i uczciwym biznesmenem. Teraz, kiedy siedzę zasluchana w ciszę kolejnej bezsennej nocy, w moim umyśle rodzą się nowe pytania. Czy to możliwe, aby człowiek, z którym przeżyłam prawie sześćdziesiąt lat, miał drugą twarz? Czy był zamieszany w jakieś podejrzaną sprawę?*

*Przesyłam pani pamiętnik, który mój mąż trzymał pod kluczem. Żony mają swoje sekretne sposoby, Dr Brennan; zwłaszcza gdy mają świadomość upływającego czasu. Znalazłam ten pamiętnik kilka lat temu. Wracałam do niego, słuchałam wiadomości i obserwowałam uważnie, co dzieje się wokół. Mimo to postanowiłam milczeć.*

*Mężczyzna, który zginął w drodze na pogrzeb Pata, nazywał się Roger Lee Fairely. Na nekrologu znajdzie pani datę. Proszę przeczytać ten pamiętnik i dołączone do niego wycinki.*

*Nie jestem pewna, co to wszystko znaczy, jednak pani wizyta naprawdę mnie przeraziła.*

*Przez ostatnie kilka dni wielokrotnie zaglądałam do wnętrza swej duszy. Teraz uznałam, że dość już tego. Nie zniosę kolejnej nocy pełnej lęku i obaw.*

*Jestem już stara, niedługo umrę. Proszę tylko o jedną rzecz. Jeśli to, czego się obawiam okaże się prawdą, proszę nie znieśćawić naszej córki.*

*Przepraszam za swoje piątkowe zachowanie.*

*Z żalem,*

*Marian Louise Willoughby Veckhoff.*

Drżąc z ciekawości, dwukrotnie sprawdziłam alarm, zrobiłam sobie filiżankę herbaty i zebrawszy wszystko, przeniosłam się do gabinetu. Przygotowałam notatnik i pióro, po czym otworzyłam dziennik i wyciągnęłam dołączoną do niego kopertę.

Na biurko posypały się starannie wycięte fragmenty gazet. Niektóre z nich nie podawały źródła, inne pochodziły z „Charlotte Observer”, „The Raleigh News & Observer”, „The WinstonSalem Journal”, „The Asheville Citizen-Times”, znanego też jako „Głos Gór” i „Charleston Post and Courier”. Większość wycinków stanowiły nekrologi. Znalazłam też kilka obszernych artykułów, z których każdy opisywał śmierć znanego obywatela.

Poeta Kendall Rollins zmarł 12 maja 1986 roku na białaczkę. Pośród tych, którzy go przeżyli, był jego syn Paul Hardin Rollins.

Czytając nazwisko, poczułam, jak włosy na karku stają mi dęba. Nazwisko RH. Rollins znajdowało się na liście przedstawicieli H&F. Natychmiast zapisałam to w swoim notatniku.

Roger Lee Fairely zginął osiem miesięcy temu, gdy niewielki samolot, którym leciał, spadł w okolicach Alabamy. Dokładnie o tym mówiła pani Veckhoff. Zapisałam nazwisko i datę. 13 lutego. Najstarszy wycinek pochodził z 1959 roku i opisywał wypadek, w którym zginął Anthony Allen Birkby.

Pozostałe nazwiska były mi obce. Mimo to wpisałam je na listę, przy każdym zanotowałam datę śmierci, odłożyłam wycinki i sięgnęłam po dziennik.

Pierwszego wpisu dokonano 17 czerwca 1935 roku. Ostatni pochodził z listopada 2000.

Przerzucając kolejne kartki, zauważyłam, że pamiętnik nie był pisany przez jednego człowieka. Ostatnie trzy dekady opisano smukłym, ściśniętym pismem; tak drobnym, że trudno było je odczytać.

Martin Patrick Veckhoff chyba faktycznie skrywał jakieś tajemnice – pomyślałam, wracając do pierwszej strony.

Przez kolejne dwie godziny przedzierałam się przez linijki wyblakłego atramentu i myśląc o Lucy Crowe, od czasu do czasu zerkałam na zegarek.

Pamiętnik nie podawał żadnych nazw własnych. Zamiast nich autorzy posługiwali się kodami i pseudonimami. Omega. Ilos. Khaffre. Chac. Itzmana.

W niektórych nazwach rozpoznawałam imiona egipskich faraonów, w innych greckie litery. Kilka haseł brzmiało dziwnie znajomo, kolejne były mi zupełnie obce. Były tu rozmaite raporty finansowe: wpłaty i wypłaty. Koszty napraw. Zakupy. Nagrody. Wydatki. Na kolejnych stronach odnotowywano poszczególne wydarzenia. Obiad. Spotkanie w interesach. Dyskusja literacka.

Z początkiem lat czterdziestych w pamiętniku pojawiła się nowa forma zapisu.

Przypominała ona listę zakodowanych nazwisk i dziwnych symboli. Spojrzałam na kilka z nich. Rok po roku na stronicach pojawiały się te same kody i hasła. Gdy raz zniknęły, na ich miejscu niemal natychmiast zapisywano kolejne.

Zaczęłam liczyć. Na liście nigdy nie znajdowało się więcej niż osiemnaście nazwisk.

Kiedy w końcu oderwałam się od lektury, stojąca na biurku herbata była zimna, a moja szyja zdawała się sztywna niczym schnąca na wietrze krochmalona koszula. Ptasiek spał słodko na kanapie.

– Dobra. Podejdźmy do tego z innej strony.

Kot przeciągnął się, jednak nie otworzył oczu.

Zerkając na spisane z wycinków daty, przeglądałam kolejne strony pamiętnika. Lista zakodowanych imion pojawiła się cztery dni po śmierci Birkby'ego. W spisie widniało zagadkowe nazwisko Sinuhe, zniknęła z niego równie zagadkowa Omega. Szybko przejrzałam kolejne listy. Omega już nigdy nie pojawiła się na żadnej z nich.

Czyżby grecka litera oznaczała Anthony'ego Birkbyego?

Idąc tym tropem, przeskoczyłam do roku 1986.

Kilka dni po śmierci Kendalla Rollinsa w pamiętniku pojawiła się kolejna lista. Tym razem zniknął tajemniczy Mani, a na jego miejscu pojawiło się imię Piankhy.

Podeksytowana zaczęłam przyglądać się kolejnym datom z gazet.

John Morgan zmarł w 1972 roku. Trzy dni później pojawiła się kolejna lista i kolejne nazwisko – Arrigatore. Zniknął za to Itzmana.

William Glenn Sherman zmarł w 1979. Pięć dni później Veckhoff zapisał listę. Tym razem debiutował niejaki Ometeotl, a do historii przeszedł Rho.

Każda wzmianka o śmierci, wycięta z gazet przez panią Veckhoff, pociągała za sobą kolejny, zagadkowy spis. Gdy z rejestru znikało jedno imię, na jego miejscu pojawiało się inne. Łącząc wycinki z kolejnymi wpisami do dziennika, ustalałam prawdziwe nazwiska ludzi, którzy zginęli po 1959 roku.

A. A. Birkby – Omega; John Morgan – Itzmana; William Glenn Sherman – Rho; Kendall Rollins – Piankhy.

– A co z wcześniejszymi latami? – spytałam Ptaśka.

Kot najwyraźniej nie miał pojęcia.

– Dobra, wróćmy do poprzedniego systemu. Przewróciłam kolejną kartkę w notesie. Za każdym razem, kiedy w dzienniku pojawiał się wpis, jedno nazwisko znikało zastąpione kolejnym, zagadkowym imieniem. Zwróciłam uwagę na daty i niemal natychmiast otrzymałam odpowiedź.

W 1943 roku Ilosa zastąpiła Omega. Czy to możliwe, aby w tym roku Birkby dołączył do H&F?

W 1949 Narmer zastąpił niejakiego Khaffre.

Pojawiło się nazwisko Pharaoh, a potem zniknęło. Chryste, czy miałam do czynienia z jakimś stowarzyszeniem wolnomularzy?

Przejrzałam późniejsze zapiski, za każdym razem odnotowując rok, w którym pojawiały się kolejne spisy.

1959, 1972, 1979, 1986.

Jak urzeczona wpatrywałam się w kolejne daty. Chwilę później podbiegłam do aktówki, wyciągnęłam swoje notatki i porównałam zapiski.

– Sukinsyn!

Zerknęłam na zegarek. Była trzecia dwadzieścia w nocy. Gdzie, do cholery, podziewała się Lucy Crowe?

Powiedzenie, że tej nocy spałam dość kiepsko, byłoby równoznaczne ze stwierdzeniem, iż Quasimodo cierpiał na ból pleców. Przez całą noc rzucałam się i przewracałam z boku na bok, balansując na krawędzi jawy i snu.

Kiedy zadzwonił telefon, byłam już na nogach, sortowałam pranie, zamiatałam werandę, obcinałam suche gałęzie i piłam kawę za kawą.

– Dostałaś nakaz? – krzyknęłam do słuchawki.

– Powtórz, o co ci chodziło.

– Nie mogę teraz rozmawiać, Pete.

– Czekasz na telefon.

– Dlaczego dzwonisz o siódmej rano?

– Muszę wracać do Indiany, żeby ponownie porozmawiać ze śledczymi.

Nim dotarło do mnie, co powiedział, minęła dobra chwila.

– Bliźniacy Bobbsey?

– Zdegradowałem ich. Dzwonię, żeby ci powiedzieć, że Boyd spędzi urlop w Granbar Kennel.

– Co? Mój dom mu nie wystarcza?

– Nie chciał się narzucać.

– Granbar jest chyba cholernie drogi.

– Boyd doskonale wie, że jego właścicielem jest bogaty prawnik, zaczął więc wymagać ode mnie luksusów.

– Mogłabym się nim zająć.

– Lubisz go, co? – drażnił się ze mną Pete.

– Ten pies to idiota, ale nie ma potrzeby, żebyś wydawał na niego ciężkie pieniądze, kiedy wciąż mam w domu pięć kilogramów karmy Alpo.

– Ludzie z Granbar będą zdruzgotani.

– Jakoś to przeżyją.

– Podrzucę go za godzinę.

Czyściłam kubeł na śmieci, kiedy zadzwonił telefon i usłyszałam porytowy głos Lucy Crowe.

– Dalej nie mamy nakazu. Nie rozumiem. Frank to normalny, rozsądny facet, ale dziś rano wściekł się do tego stopnia, że zaczęłam się obawiać, iż dostanie zawału. Cholera, tak mnie wystraszył, że odpuściłam sobie.

Powiedziałam, co znalazłam w dzienniku Veckhoffa.

– Możesz sprawdzić nazwiska deputowanych z lat tysiąc dziewięćset siedemdziesiąt dwa – siedemdziesiąt dziewięć?

– Jasne.

Przez chwilę w słuchawce panowała głucha cisza, przerwana w końcu przez Crowe.

– Kiedy ostatnio byliśmy w pobliżu chaty, zauważyłam leżący za gankiem metalowy pręt.

– Tak?

Wiedziałam, że chodzi o pręt, którym próbowałam wyważyć okiennicę. Kolejna chwila ciszy.

– Jeśli nieopodal chaty zostaną odnalezione fragmenty samolotu, moje biuro ma prawo przejąć kontrolę nad tym terenem.

– Rozumiem.

– Dotyczy to wyłącznie spraw związanych z katastrofą. Mam wówczas obowiązek sprawdzić, czy któryś z pozostałych przy życiu pasażerów nie oddalił się od wraku i nie zginął w okolicach domu.

– Albo na podwórzu.

– Jeśli znajdziemy coś podejrzanego, potrzebny będzie nakaz.

– Oczywiście.

– Nadal nieznanym jest los dwóch pasażerów.

– Tak.

– Nie wydaje ci się, że ten pręt mógłby być szczątkami wraku?

– Mnie przypomina fragment podłogi pokładowej.



- Mnie również. Chyba powinnam się mu lepiej przyjrzeć.
- Mogę przyjechać o drugiej.
- Zaczekam.

Przed trzecią Boyd i ja siedzieliśmy na tylnym siedzeniu dżipa. Prowadziła Crowe, a siedzący obok niej zastępca miał na wszystko baczenie. W jadącym za nami drugim samochodzie siedziało dwóch funkcjonariuszy.

Boyd był równie podekscytowany jak ja, choć powody dla których oboje czuliśmy to samo, były zupełnie inne. Zwierzę wystawiło łeb przez okno i węszyło w powietrzu. Co jakiś czas musiałam klepać psa po zadzie, by choć na chwilę usiadł, jednak niemal natychmiast podrywał się z siedzenia.

Radio w dżipie charczało jak oszalałe.

Kiedy mijaliśmy budynek straży pożarnej w Alarka, zauważyłam stojące na parkingu samochody. Przed bramą wjazdową stał policyjny radiowóz z Bryson City, a kierowca był zatopiony w lekturze rozłożonego na kierownicy magazynu.

Crowe dojechała do końca asfaltówki, po czym skręciła w leśną drogę, gdzie trzy tygodnie wcześniej zaparkowałam swój samochód. Ignorując zakaz wjazdu na miejsce katastrofy, szeryf przejechała kolejny kilometr i skręciła w leśny szlak. Dżip mozolnie piał się pod górę. W końcu Crowe zatrzymała samochód, rozejrzała się dookoła, ruszyła w górę zbocza i zjechała ze ścieżki. To samo zrobił drugi samochód.

Nasz dżip podskakiwał i kotłował się na boki, podczas gdy gałęzie, bezlitośnie drapały dach i karoserię. Prerażony Boyd skulił się i przypominał teraz żółwia schowanego w skorupie. Patrzyłam, jak zwierzę ochlapuje śliną wszystko dookoła. Zastępca szeryfa wyjął z kieszeni chusteczkę i ostentacyjnie otarł szyję, jednak nie odezwał się ani słowem. Przez chwilę próbowałam przypomnieć sobie jego imię. Craig? Gregg?

Niebawem drzewa rozstały się, ustępując miejsca wąskiej, piaszczystej ścieżce.

Dziesięć minut później Crowe zahamowała, wysiadła z samochodu i zaczęła rozgarniać rękami gęste zarośla. Kiedy ponownie usiadła za kierownicą i ruszyła, zobaczyłam, że to co wzięłam początkowo za splątany gąszcz, tak naprawdę było bramą, całkowicie porośniętą kudzu i bluszczem. Tuż za nią znajdował się dom Arthura.

– A niech mnie – jęknął zastępca. – Mamy to w wykazie budynków?

– Podobno jest opuszczony – odparła Crowe. – Sama nie wiedziałam o jego istnieniu.

Lucy zatrzymała dżipa przed chatą i dwa razy nacisnęła na klakson. Drzwi do chaty nawet nie drgnęły.

– Z boku chaty jest podwórko – kiwnęła głową w stronę muru. – Powiedz George’owi i Bobby’emu, żeby zabezpieczyli wejście. Wejdziemy od przodu.

Po tych słowach wysiedli z samochodu i przezornie rozpięli kabury. Widząc, że jej zastępca podchodzi do drugiego dżipa, Crowe wykorzystwała moment i zwróciła się do mnie.

– Ty zostajesz w samochodzie.

Chciałam zaprotestować, jednak wystarczyło jedno spojrzenie zielonych oczu, bym wiedziała, że nic nie wskóram.

– Zostajesz w samochodzie.

Przewróciłam oczami, jednak nie odezwałam się ani słowem. Czułam w uszach dudnienie własnego serca, a nagły przyływ adrenaliny sprawił, że byłam bardziej niespokojna od Boyda.

Crowe rzuciła okiem na górne okna i po raz kolejny zatrąbiła. Chwilę później przy samochodzie pojawił się zastępca. Mężczyzna przyciskał do piersi strzelbę Winchester i razem z Crowe podszedł do wejścia.

– Szeryf hrabstwa Swain – w panującej dokoła ciszy głos Lucy Crowe zdawał się dziwnie piskliwy. – Policja. Proszę otworzyć.

Mówiąc to, Lucy zapukała do drzwi.

Cisza.

Crowe powiedziała coś do swojego zastępcy i mężczyzna stanął w lekkim rozkroku, podnosząc strzelbę. Chwilę później kopnęła drzwi; te jednak nie ustąpiły.

Po raz kolejny warknęła coś do zastępcy i mężczyzna skierował lufę wprost na drzwi.

Tym razem szeryf wróciła do dżipa. Widoczne pod kapeluszem niesforne, rude kosmyki były wilgotne od potu. Crowe przez chwilę grzebała w bagażniku, aż w końcu wyciągnęła z niego długi łom.

Wcisnąwszy pręt pomiędzy okiennice, napała na niego całym ciężarem. Jej starania przypominały bardziej stanowczą próbę tego, co jeszcze kilka dni temu sama starałam się skutecznie.

Szeryf ponowiła próbę. Z jej ust wydobył się donośny okrzyk w stylu Moniki Seles.

Słyszając delikatny jęk drewna, wcisnęła łom jeszcze głębiej i napała na niego z taką siłą, że wyrwana okiennica z hukiem uderzyła o ścianę.

Widząc to, Crowe zebrała siły i wymierzyła szybko potężnego kopniaka. Usłyszałam dźwięk tłuczonego szkła, a na ganek spadł prawdziwy grad odłamków, które niczym diamenty odbijały promienie słońca. Tymczasem Crowe wciąż kopała szybę, zachęcana przez przeraźliwe ujadanie Boyda.

Kiedy wybita szyba przypominała wyszczerbione kły mitycznego potwora, szeryf cofnęła się i przez chwilę nasłuchiwała. Następnie wsunęła głowę w to, co zostało z roztrzaskanego okna i krzyknęła. W końcu wyciągnęła broń i w asyście swego zastępcy zniknęła we wnętrzu chaty.

Minęła wieczność, zanim drzwi domu stanęły otworem, a na ganku pojawiła się Crowe.

Dopiero teraz szeryf spojrzała w moją stronę i ruchem ręki przywołała do siebie. Drżącymi rękami przypięłam smycz do obroży Boyda i owinęłam ją wokół nadgarstka. Kiedy sięgałam po ukrytą w torbie latarkę Maglite, czułam w uszach oszałamiające dudnienie krwi.

– Spokojnie! – wymierzyłam w Boyda palec wskazujący.

Zwierzę jak gdyby w ogóle nie słyszało moich słów i niemal wywlokło mnie z samochodu, gnając w kierunku schodów.

– Nikogo tu nie ma.

Spojrzałam na Crowe z nadzieją, że zdołam wyczytać coś z jej twarzy; ta jednak przypominała zastygłą w bezruchu maskę. Nie wyrażała żadnych emocji: zaskoczenia, niepokoju czy odrazy.

– Lepiej zostaw psa tutaj.

Przywiązałam Boyda do poręczy, włączyłam latarkę i weszłam do wnętrza domu.

Powietrze było zatęchłe. Pachniało dymem, pleśnią i czymś słodkawym.

Gdy je wdychałam, przychodziła mi do głowy jedna myśl. Kościół.

Kościół?

Chwilę później zaczęłam rozróżniać poszczególne zapachy. Kwiaty. Kadzidło.

Drzwi wejściowe prowadziły wprost do salonu, który zajmował całą szerokość domu. W skąpym świetle latarki zdołam dostrzec zbite w gromadki i przykryte prześcieradłami sofy, fotele i niewielkie stoliki. Po obu stronach pomieszczenia znajdowały się sięgające sufitu półki z książkami.

Północną ścianę zajmował masywny, kamienny kominek; południową zdobiło misternej roboty lustro. Jego matowe szkło odbijało nasze sylwetki i snop światła, który niczym widmo przesuwiał się po pokrytych całunem meblach.

Chwilę później zaczęliśmy badać każdy z pokoi. Nasze stopy wzbijały w powietrze drobinki kurzu, które wirowały w świetle latarki niczym płatki brudnego śniegu. Spłoszone ćmy czmychały na boki. Zastępca szeryfa szedł za nami, ściskając w dłoniach strzelbę. Crowe trzymała swój pistolet oburącz, przyciskając go do policzka.

Salon prowadził do wąskiego korytarza. Po prawej stronie znajdowały się schody, po lewej jadalnia, a na wprost kuchnia.

W jadalni nie było niczego poza polerowanym, prostokątnym stołem i kompletem krzeseł. Zaczęłam liczyć. Osiem po każdej stronie i po jednym na końcu. Osiemnaście krzeseł.

Kuchnia znajdowała się na tyłach domu. Za otwartymi na oścież drzwiami dostrzegłam porcelanowy zlew, pompę, piecyk i wiekową lodówkę.

– Gdzieś tu musi być generator – zauważyłam.

– Prawdopodobnie w piwnicy.

Sądząc po dobiegających z dołu głosach, zastępcy szeryfa przeczesywali właśnie tę część chaty.

Górze domu zajmowały cztery sypialnie, oddzielone od siebie wąskim korytarzem. W każdej znaleźliśmy dwa piętrowe łóżka domowej roboty. Na końcu korytarza wybudowano prowadzące na poddasze niskie, spiralne schody. Pod okapem znaleźliśmy kolejne dwa łóżka.

– Chryste – jęknęła Crowe. – Wygląda jak Spin i Marty na ranchu R.

Moim zdaniem miejsce przypominało siedzibę kultu Heaven's Gate w San Diego, jednak przezornie ugryzłam się w język.

Właśnie schodziliśmy na dół, gdy na schodach pojawił się jeden z zastępców Crowe. Jego spocona twarz zdawała się nienaturalnie czerwona.

– Szeryfie, musi pani zobaczyć piwnicę.

– Co się stało, Bobby?

Po twarzy funkcjonariusza stoczyła się kropla potu. Mężczyzna otarł ją niedbałym ruchem dłoni.

– Niech mnie szlag, jeśli wiem.

## Rozdział 27

Drewniane schody prowadziły z kuchni wprost do piwnicy. Szeryf poleciła swemu zastępcy, by zaczekał na nas na górze. Tymczasem my zesliśmy na dół. Jako pierwszy szedł funkcjonariusz Bobby, tuż za nim ja, podczas gdy Crowe zamykała milczący pochód. Na dole z latarką czekał na nas George.

Powietrze było tu zimne, a panujący w domu półmrok ustąpił miejsca atramentowej czerni. Stojąca za moimi plecami Crowe włączyła latarkę, której światło oświetlało teraz moje stopy.

Przez chwilę staliśmy w milczeniu.

W panującej dokoła martwej ciszy nie było słycać tupotu mysich łapek ani szmeru skrzydeł nietoperzy. Wycelowałam latarkę wprost w ciemność.

Piwnica okazała się dużym, pozbawionym okien pomieszczeniem z drewnianym sufitem i cementową podłogą. Wnętrze zostało otynkowane, za wyjątkiem ściany będącej częścią skarpy, do której przylegał dom. To właśnie tu umieszczono ciężkie, drewniane drzwi. Cofając się, poczułam na ramieniu dotyk miękkiego materiału. Tuż za moimi plecami znajdował się rząd wieszaków. Wisiały na nich identyczne, czerwone kostiumy. Bez słowa podałam latarkę George'owi i sięgnęłam po jeden z nich. Kostium okazał się ciężką szatą z kapturem, podobną do tych, które noszą klasztorni mnisi.

– Matko Święta – jęknął Bobby, przecierając twarz, a może czyniąc znak krzyża.

Odebrałam latarkę z rąk George'a i podobnie jak Crowe rozejrzałam się po pomieszczeniu.

Wystarczyło jedno spojrzenie, by zauważyć, że nie było tu niczego niezwykłego.

Żadnego stołu, żadnych narzędzi, nawet kosza na bieliznę. Co dziwne, nie było tu także mysich odchodów, pajęczyn czy leżących na podłodze martwych świerszczy.

– Cholernie tu czysto. – Mój głos odbił się echem od cementu i skały.

– Spójrzcie na to. – George skierował snop światła na miejsce, w którym tynk łączył się z sufitem.

Z ciemności spoglądał na nas niedźwiedziopodobny stwór, którego cielsko pokrywały rozdziawione, zakrwawione usta. Tuż pod nim zapisano: Baxbakualanuxsiwae.

– Francis Bacon? – spytałam bardziej siebie niż swoich towarzyszy.

– Bacon malował ludzi i szczerzące się psy, ale nigdy czegoś takiego – szepnęła Crowe.

George skierował światło latarki na sąsiednią ścianę i naszym oczom ukazało się przerażające malowidło. Tym razem spoglądaliśmy na lwią grzywę, wyłupiaste oczy i rozdziawioną paszczę, gotową pożreć bezgłowe ciało noworodka, które potwór ścisnął w dłoniach.

– To fatalna replika jednego z mrocznych obrazów Goi – jęknęła Crowe. – Widziałam oryginał w muzeum Prado w Madrycie.

Im lepiej poznawałam tę kobietę, tym większy budziła we mnie szacunek.

– Co to za kreatura? – spytał George.

– To jeden z greckich bogów.

Trzecie malowidło przedstawiało tratwę z powiewającym żaglem. Na pokładzie leżały ciała konających i martwych ludzi. Niektóre z nich do połowy nurzały się w wodzie.

– Urocze – rzucił George.

Crowe zbyła jego uwagę milczeniem i podeszła do drewnianych drzwi. Wrota były zawieszane na czarnych zawiasach z kutego żelaza, które ktoś wwiercił w skałę i zabezpieczył cementem. Kawalek łańcucha łączył kulistą gałkę z kutego żelaza z przymocowanym do futryny, pionowym prętem. Wisząca na nim kłódka lśniła nowością, a w granicie widać było świeże zadrapania.

– To z pewnością pojawiło się tu niedawno.

– Odsuńcie się – rzuciła Crowe.

Cofając się w głąb pomieszczenia, dostrzeżliśmy wyryte w nadprożu słowa. Chwilę później uniosłam latarkę, by dokładnie przyjrzeć się inskrypcji.

Fay ce que voudras

– To francuski? – spytała Crowe, chowając latarkę za pas.

– Chyba starofrancuski...

– Poznajesz te gargulce?

Dopiero teraz zauważyłam zdobiące nadproże groteskowe figury. Tę, która przypominała mężczyznę, podpisano „Harpocrates”; druga, podobna do kobiety, została nazwana „Angerona”.

– Brzmi jak egipski.

Crowe dwukrotnie nacisnęła spust i pomieszczenie wypełnił zapach kordytu. Chwilę później szeryf podeszła do drzwi i jednym szarpnięciem zerwała łańcuch. Zabezpieczający wejście niewielki rygiel ustąpił za pierwszym razem.

Przekręciła gałkę i drzwi otwały się na zewnątrz. Zza nich napłynęło do piwnicy zimne powietrze, niosąc ze sobą woń wilgoci i podziemnego życia.

– Chyba powinnaś go przyprowadzić – rzuciła Crowe.

Słyszając to, skinęłam głową i popędziłam na górę.

Boyd powitał mnie z takim samym entuzjazmem, z jakim reagował na każde wyjście. Biegał dookoła, kłapał zębami, próbując pochwycić powietrze, lizał moje dłonie i tańczył wokół moich nóg. Kiedy szliśmy do domu, nic nie przykuło jego uwagi.

Dopiero gdy schodziliśmy do piwnicy, poczułam, jak jego ciało tężeje.

Czując, co się święci, owinęłam smycz dookoła dłoni i pozwoliłam, by to on przejął kontrolę. Pies, jak gdyby wyczuł moje intencje, chwilę później rzucił się w dół schodów i pognął w kierunku Crowe.

Trzy stopy od drzwi rozpętało się prawdziwe piekło. Pies szarpał się i ujadał, jak wówczas, gdy wyczuł coś w okolicach muru.

Poczułam nieprzyjemną falę chłodu, która przechodziła przez moje ciało.

– Dobra, trzymaj go – krzyknęła Crowe.

Chwyając obrożę obiema rękami, odciągnęłam Boyda do tyłu i podałam smycz Bobby'emu. Pies miotał się i warczał, próbując zmusić funkcjonariusza, by ten ruszył do przodu. Ja tymczasem dołączyłam do Crowe.

W świetle latarki zobaczyłam podobny do jaskini tunel, po którego obu stronach znajdowały się niewielkie nisze. Podłoga przypominała klepisko, podczas gdy sufity i ściany wykuto w skale. Korytarz był wysoki na mniej więcej dwa metry i szeroki na metr. Nie byłam w stanie określić jego długości. Zaledwie cztery i pół metra od wejścia tunel zmieniał się w czarną, bezdenną otchłań.

Czułam, jak gwałtownie wzrastający poziom adrenaliny rozsadza mi czaszkę.

Minęła chwila, zanim weszliśmy do tunelu, oświetlając podłogę, łukowate sklepienie, ściany i wydrążone w skale wnęki. Niektóre z nich były zaledwie pustymi wgłębieniami. Inne przypominały jaskinie oddzielone od świata furtkami z metalowych prętów.

– Piwniczki na wino? – Głos Crowe zdawał się stłumiony.

– Jeśli tak, to gdzie są półki?

– Spójrz na to.

Szeryf skierowała snop światła na wyryte w skale imiona, które zdawały się ciągnąć wzdłuż całego korytarza. W miarę jak posuwaaliśmy się do przodu, zaczęła odczytywać je na głos.

– Sawney Beane. Innocenty III. Dionizos. Montezuma... Dość osobliwe towarzystwo. Papież, radosny bóg urodzaju i władca Azteków.

– Kim jest Sawney Beane? – spytałam.

– A niech mnie, jeśli wiem...

Przerwała i skierowała snop światła w pustkę. Chwilę później jej ręka wystrzeliła w bok niczym grodzący drogę drewniany kikut stracha na wróble. Zamarłam w bezruchu. Skierowałyśmy światło latarek na klepisko, jednak w majaczącej przed nami ciemności nie było żadnego uskoku. Skręciliśmy za rogiem i centymetr po centymetrze sunęliśmy w głąb tunelu. Sądząc po odgłosach, byłam pewna, że weszliśmy do obszernej jaskini i idziemy wzdłuż jej ścian. Wszędzie wyryto imiona. Thyestes. Polyphemos. Christie o' The Cleek. Kronos. Jedno z nich znalazłam w dzienniku Veckhoffa.

Podobnie jak w tunelu, tu również natknęliśmy się na nisze. Niektóre z nich zostały zakratowane, inne zdawały się puste i niestrzeżone. Dokładnie naprzeciw wejścia znalazłyśmy kolejne drewniane drzwi, zbliżone do tych, które prowadziły do podziemi i zabezpieczone w taki sam sposób. Crowe rozprawiła się z nimi podobnie jak z poprzednimi. Z chwilą gdy drzwi otworzyły się do wewnątrz, owiało nas zimne, cuchnące powietrze. Z oddali usłyszałam szaleńcze ujadanie Boyda.

Odór rozkładu zależy od sposobu, w jaki zabito ofiarę. Używając odpowiedniej trucizny, można sprawić, by był on słodkawy. Wówczas ciało wydziela zapach podobny do gruszki, migdałów lub czosnku. Niektóre chemikalia spowalniają proces gnilny bądź przyspieszają go. Mimo to nie da się całkowicie pozbyć ciężkiego, cuchnącego odoru gnijącego ciała. Za tymi drzwiami leżało coś martwego.

Przekroczyliśmy próg, skręciliśmy w lewo i trzymając się ściany, ruszyliśmy w głąb pomieszczenia. Półtora metra od wejścia zauważyłam w podłodze podejrzaną wypukłość.

Najwyraźniej Crowe dostrzegła to samo, bo chwilę później obie skierowałyśmy latarki na grudy czarnej ziemi.

Bez słowa podałam Lucy swoją latarkę i wyciągnęłam z plecaka składaną łopatę.

Następnie oparłam dłoń na skale, przykucnęłam i delikatnie zaczęłam rozgrzebywać ziemię. Crowe włożyła broń do kabury, zdjęła kapelusz i skierowała na ziemię bliźniacze snopy światła. Granica między świeżo spulchnioną ziemią i twardym, ubitym klepiskiem była bardzo wyraźna. Podobnie jak odór rozkładu, który wzrastał wraz z każdą odrzuconą przeze mnie łopatą ziemi.

Kilka minut później natrafiłam na coś miękkiego i jasnoniebieskiego.



– Wygląda jak dzins. – Oczy Crowe błyszcząły, a skóra w świetle latarki przybrała odcień bursztynu.

Próbowałam odkryć jak najwięcej niebieskiego materiału, który spowijał wyschniętą, patykowatą nogę. Chwilę później naszym oczom ukazała się skurczona, brązowa stopa wykręcona w kostce pod nienaturalnym kątem.

– Wystarczy. – Rozkazujący ton Crowe wyrwał mnie z zamyślenia.

– Co?

– To nie jest żaden z pasażerów.

– Nie.

– Nie mam zamiaru zadeptywać śladów na miejscu zbrodni. Wynosimy się stąd. Nie ruszajmy tego, dopóki nie dostanę nakazu.

Tym razem nie zaprotestowałam. Ofiara spoczywająca w tym płytkim grobie zasługiwała, by ktoś przedstawił jej historię w sądzie. Nie miałam zamiaru narażać na szwank kolejnego dochodzenia.

Podniosłam się z ziemi i delikatnie uderzyłam łopatą w skalną ścianę. Chwilę później wrzuciłam saperkę do plecaka i sięgnęłam po latarkę.

Snop światła padł na coś spoczywającego w odległym końcu wnęki.

– Co to jest, do cholery? – spytałam, mrużąc oczy w ciemnościach.

– Wynosmy się stąd – parsknęła Crowe.

– Nie sądzisz, że powinniśmy uraczyć twojego sędziego tyłoma dowodami, ile będziemy w stanie zdobyć?

Po tych słowach ruszyłam w kierunku znaleziska. Crowe wahała się przez chwilę, jednak podążyła za mną.

W miejscu, gdzie podłoga łączyła się ze skałą, leżał długi tobołek. Ktoś przezornie zawinął go w zasłony prysznicowe, z których jedna była przezroczysta, a druga miała barwę transparentnego błękitu. Całość została związana liną.

Przykucnęłam i musnęłam dłonią pomarszczoną powierzchnię.

W górnej partii tobołka dostrzegłam kilka istotnych szczegółów. Splątane włosy, czerwoną, tartanową koszulę i związane w nadgarstkach, kredowobiałe dłonie. Wyciągnęłam z plecaka rękawiczki i ostrożnie obróciłam zawiniątko.

Crowe zakryła usta dłonią.

Zza błękitnego plastiku spoglądały na nas mlecznobiałe, na wpół przymknięte oczy.

Twarz była fioletowa i nabrzmiała, a pomiędzy spierzchniętych ust wystawał opuchnięty język, który tulił się do zasłon niczym ogromna pijawka.

Moją uwagę przykuł wiszący na szyi ofiary medalik.

Nie pytając Crowe o pozwolenie, wyciągnęłam z plecaka niewielki nóż i delikatnie rozciąłam plastik. Chwilę później w jaskini dał się słyszeć przeciągły syk, a powietrze wypełnił odór zgnilizny.

Czułam, jak żołądek podchodzi mi do gardła. Mimo to pozostałam na miejscu i wstrzymując oddech, rozciąłam kolejny fragment zasłony.

Na maleńkim, srebrnym medaliku widniała sylwetka mężczyzny ze złożonymi nabożnie rękami. Wryte w srebrze litery tworzyły wokół jego głowy osobliwą aureolę.

Próbowałam odczytać imię.

Święty Błażej.

Oto w mroku i chłodzie jaskini odnalazłyśmy zaginionego rybaka z chorym gardłem.

George'a Adaira.

Teraz, kiedy miałyśmy dowody, plan powrotu do miasta uległ zmianie. Bobby i George zostali w chacie, by zabezpieczyć miejsce zbrodni, a ja i Crowe wróciłyśmy do Bryson City i oderwałyśmy Byrona McMahona od meczu, który oglądał w salonie High Ridge House.

Razem przygotowaliśmy pisemne oświadczenie, które agent zawiózł bezpośrednio do federalnego sędziego pokoju w Asheville.

Niespełna dwie godziny później McMahon zadzwonił do Crowe. W związku z podejrzeniem o zabójstwo na tle rasowym, popełnionym w okolicy rezerwatu i parku narodowego, sędzia wydał nakaz rewizji. Mnie przypadł w udziale telefon do Larke'a Tyrella.

Zastałam go w domu. Sądząc po odgłosach, oglądał ten sam mecz, co jeszcze chwilę temu Byron McMahon.

Mimo iż lekarz sądowy był bardzo serdeczny podczas rozmowy, wiedziałam, że mój telefon wytrącił go z równowagi. Nie miałam jednak czasu ani ochoty, by łagodzić sytuację i przeproszać, że niepokoję go o tak później porze. Tyrell w milczeniu wysłuchał ostatnich wieści. Kiedy skończyłam, w słuchawce zapanowała głucha cisza. Przez chwilę pomyślałam, że coś nas rozłączyło i niepewnym głosem powiedziałam.

– Larke?

Kiedy odezwał się znowu, jego ton był zupełnie inny.

– Chcę, żebyś się tym zajęła. Czego potrzebujesz? Wymieniłam kilka niezbędnych przedmiotów.

– Mogę przywieźć je do kostnicy?

– Tak.

– Życzysz sobie ekipę?

– Kto jest na miejscu?

– Maggie i Stan.

Maggie Burroughs i Stan Fryeburg byli koronerami z biura lekarza sądowego w Chapel Hill. Sprowadzono ich do Bryson City w związku z katastrofą Air TransSouth 228. Oboje uczestniczyli w warsztatach, które prowadziłam na uniwersytecie – byli świetni.

– Przekaż im, żeby byli gotowi o siódmej.

– Dobra.

– Larke – zaczęłam – ta sprawa nie ma nic wspólnego z katastrofą.

– Wiem. Na moim terenie odkryto kolejne zwłoki. Nastąpiła długa pauza, w czasie której usłyszałam w słuchawce nerwowy głos komentatora i wiwatujących kibiców.

– Tempe, ja...

Milczałam.

– To zaszło za daleko.

Potem słyszałam już tylko sygnał. Co, do cholery, miał na myśli? Nie wiedziałam i nie byłam pewna, czy chcę wiedzieć. W tej chwili miałam na głowie inne rzeczy.

Następnego dnia wstałam o świcie i przed siódmą trzydzieści byłam w domu Arthura.

Przez noc wiele się tu zmieniło. Przy porośniętej kudzu bramie stał teraz zastępca szeryfa, podczas gdy inni funkcjonariusze strzegli frontowych i tylnych drzwi. Uruchomiono też generator, tak więc w domu świeciły się wszystkie światła. Kiedy przyjechałam, George i McMahon pakowali do kartonowych pudeł książki i dokumenty. Bobby posypywał białym pudrem gzyms kominka.

W drodze do kuchni zerknęłam na McMahona, który powitał mnie figlarnym mrugnięciem i życzył szczęścia.

Przez kolejne cztery dni pracowałam niczym górnik. Wczesnym rankiem schodziłam do piwnicy, przed południem wychodziłam na powierzchnię, by zjeść kanapkę i wypić kawę, a potem do późnego wieczora siedziałam w podziemiach. Niebawem do chaty przywieziono kolejny generator, który oświetlał płataninę podziemnych korytarzy i przemienił wieczną noc w niekończący się dzień.

Rankiem pierwszego dnia na miejsce przyjechał Tommy Albright. Po zbadaniu i sfotografowaniu znaleziska, ciało George'a Adaira zostało wyciągnięte z plastikowych zasłon i przewiezione do Harris Regional Hospital w Sylva. Podczas gdy Maggie badała teren w okolicach muru, Stan pomagał mi fotografować piwniczną podłogę. Wyciągnęliśmy zakopane

w ziemi ciało, opisaliśmy pozycję, w jakiej zostało znalezione, zapisaliśmy wymiary grobu i zaczęliśmy badać niemal każdą grudkę ziemi.

Ofiara leżała twarzą w dół na szarym, wełnianym kocu. Jedno ramię zostało ułożone pod klatką piersiową, drugie spoczywało na głowie. Ciało znajdowało się w stanie daleko posuniętego rozkładu, narządy wewnętrzne zdążyły zmienić się już w gęstą papkę, a głowa i ręce uległy znacznemu zeszkieletyzowaniu.

Po dokładnych oględzinach i sporządzeniu szczegółowej dokumentacji, przystąpiliśmy do usuwania ciała. Gdy przenosiliśmy zwłoki do plastikowego worka, zauważyłam, że lewa nogawka spodni została rozdarta, a noga denata kończyła się tuż pod kolaniem.

Zwróciłam też uwagę na koncentryczne złamania w prawej, skroniowo-ciemieniowej części czaszki. Linearne pęknięcia zaczynały się w okolicy wgniecenia, zmieniając czaszkę w drobną pajęczynę spękanych kości.

– Ktoś naprawdę zmalretował tego faceta. – Stan przerwał badania, by zerknąć na czaszkę ofiary.

– Na to wygląda.

Czułam wściekłość, która zawsze towarzyszyła mi w takich sytuacjach. Ofierze zadano potężny cios, który dosłownie zmiażdżył czaszkę, a następnie zwłoki zakopano w ziemi niczym ubiegłoroczny kompost. Jaki potwór był zdolny zrobić coś podobnego?

Chwilę później przyszła mi do głowy kolejna myśl.

Ofiarę zakopano zaledwie kilka centymetrów pod powierzchnią ziemi. Mimo daleko posuniętego rozkładu na ciele zachowała się dość spora ilość tkanki miękkiej, co sugerowało, że zgon nastąpił stosunkowo niedawno. Czy istniała możliwość, że pod tym ciałem spoczywały kolejne zwłoki? Czy zakopano je w innych niszach?

Drugiego dnia dołączyła do nas Maggie, która zakończyła pracę w okolicach muru, po tym jak wykopała kwadrat o boku trzech metrów i głębokości trzydziestu centymetrów. Mimo iż praca była nużąca, jej wysiłek nie poszedł na marne. W ziemi znalazła bowiem kolejne dwa zęby.

Podczas gdy Stan kończył przesiewać ziemię z miejsca, w którym znaleziono zwłoki George'a Adaira, Maggie i ja badałyśmy każdy milimetr podłogi, szukając zakopanych przedmiotów i porównując gęstość gleby. Wkrótce natrafiłyśmy na osiem podejrzanych miejsc: dwa w pierwszej niszy, dwa w głównej jaskini i kolejne cztery w ślepym zaułku, w zachodniej części pomieszczenia.

Późnym popołudniem pobrałyśmy z każdego z nich próbkę ziemi. Te, które pochodziły z głównego pomieszczenia, okazały się jedynie jałową glebą. Kolejne sześć wykazało obecność ludzkich kości.

Dopiero gdy mieliśmy wyniki, wyjaśniłam Stanowi i Maggie, jak w takiej sytuacji wygląda procedura. Najpierw musiałam poprosić szeryfa o pomoc w sfotografowaniu i zabezpieczeniu miejsca. W tym czasie Stan miał zająć się niszą, w której znaleziono zwłoki Adaira. Maggie i ja miałyśmy rozpocząć badania w tunelu.

Znów poczułam się jak fachowiec w swojej dziedzinie. Jednak stanowczy, opanowany ton głosu i malujący się na mojej twarzy spokój stanowiły zupełne zaprzeczenie tego, co działo się w mojej głowie. Nie miałam pojęcia, ile ciał przyjdzie nam jeszcze odkryć i dlaczego w ogóle tutaj były.

Wspólnie z Maggie rozkopywałyśmy pierwsze z podejrzanych miejsc, kiedy w oświetlonym generatorem wejściu pojawiła się postać. Nie byłam w stanie zidentyfikować sylwetki i przez chwilę zastanawiałam się, czy przypadkiem nie był to ktoś z ekipy zajmującej się transportem zwłok.

Chwilę później już wiedziałam.

Ten dostoyny krok i wyprostowane plecy mogły należeć wyłącznie do Larke'a Tyrella. Podniosłam się z ziemi, jednak nie powitałam go.

– Próbowałem dodzwonić się na komórkę.

– Wyłączyłam ją ze względu na dziennikarzy.

Tyrell najwyraźniej nie chciał drażnić tematu.

– Co mamy?

– Jak do tej pory dwa rozkładające się ciała i dwa szkielety. W czterech innych miejscach wykryto obecność ludzkich kości.

Jego wzrok spoczął na dziurach w ziemi, z których wyciągałyśmy kolejne szkielety. Każda z ofiar miała związane kończyny.

– Te szkielety wyglądają tak, jakby pochodziły z zamierzchłych czasów.

– Tak, ale nie pochodzą.

Tyrell zmierzył mnie przenikliwym wzrokiem.

– Wiedziałybyś o tym.

– Tak.

– Tommy wysłał dwa ciała do Harris Regional, ale na miejscu powiedzieli mu, że nie chcą blokować sobie sali autopsyjnej. Każę przewieźć wszystko do tymczasowej kostnicy i

postaram się, żebyś dostała niezbędny sprzęt. Możesz trzymać go tak długo, jak będziesz potrzebowała.

Nie odpowiedziałam.

– Zajmiesz się tym?

– Oczywiście.

– Panujesz nad tym?

– Sam zobacz.

– W takim razie czekam na raport.

– Mam doskonały charakter pisma.

– Pomyślałem, że powinnaś wiedzieć, iż zidentyfikowaliśmy ostatnich pasażerów Air TransSouth.

– Petricellego i studentów z 22A i B?

– Petricellego i jednego ze studentów.

– Tylko jednego?

– Dwa dni temu młody człowiek z miejsca 22B zadzwonił do swojego ojca. Jak się okazało, chłopak poleciał innym lotem do... Kostaryki.

– Nie było go na pokładzie?

– Kiedy siedział w poczekalni, jakiś facet zaproponował mu tysiąc dolców za bilet.

– Czemu dzieciak nie zadzwonił wcześniej?

– Był gdzieś w lasach deszczowych, kompletnie odcięty od świata. Nie miał pojęcia o katastrofie, dopóki nie wrócił do San Jose. Kilka dni zwlekał z telefonem do domu, bo bał się, że ojciec zrugą go za opuszczony semestr.

– Kim był ten facet, który poleciał zamiast niego?

– Największym pechowcem świata.

Czekałam.

– Doradcą podatkowym z Buckhead. Zidentyfikowaliśmy go na podstawie odcisku kciuka.

Po tych słowach Larke Tyrell spojrzał na mnie. Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy, a napięcie między nami było niemal namacalne.

– To nie jest odpowiednie miejsce, Tempe, ale musimy pogadać. Jestem uczciwym człowiekiem, choć zachowałem się nie fair. Były naciski z góry.

– Skargi – poprawiłam go.

Mimo iż Maggie nie podniosła wzroku, łopatką, którą trzymała w ręku, zawisała bezwładnie nad ziemią. Wiedziałam, że dziewczyna przysłuchuje się naszej rozmowie.

– Nawet mądrzy ludzie podejmują głupie decyzje.

Po tych słowach Larke Tyrell opuścił piwnicę.

Przez chwilę zastanawiałam się, co miał na myśli. O czyich głupich decyzjach mówił? Moich? Swoich? Kogoś innego?

Kolejne czterdzieści osiem godzin spędziłam w towarzystwie ogrodniczych łopatek, pędzelków i ludzkich kości. Podczas gdy my kopaliśmy i sporządzaliśmy dokumentację, zastępcy szeryfa wynosili i przesiewali ziemię. Ryan przyniósł mi kawę, pączki i nowinki w sprawie katastrofy. McMahon przywiózł raporty dotyczące tego, co działo się na powierzchni. Przekazałam mu pamiętnik Veckhoffa i w czasie kolejnych przerw na lunch wyjaśniałam swoje teorie i zapiski.

Zapomniałam o wrytych w skale imionach. Zapomniałam o namalowanych na ścianach jaskini przerażających stworach, które w milczeniu obserwowały naszą pracę. Zapomniałam o sieci przedziwnych, podziemnych korytarzy, w których spędziłam ostatnie dni.

W sumie znaleźliśmy osiem ciał; ostatnie w Halloween.

Następnego dnia dowiedzieliśmy się, kto wysadził w powietrze samolot Air TransSouth 228.

## Rozdział 28

Fajka. Taka, którą wkładasz do ust i pykasz.

McMahon skinął głową.

– W sprawdzonym bagażu? – W moim głosie pobrzmiwało niedowierzenie.

– Pracownik linii lotniczych pamięta, jak powiedział facetowi, który przyjechał w ostatniej chwili, że jego bagaż jest zbyt duży, by zmieścić się do schowka nad głowami pasażerów i będzie musiał go sprawdzić. Facet był spocony i zdenerwowany, więc zanim oddał torbę bagażowemu, włożył do niej sportową marynarkę. Obaj mężczyźni twierdzą, że pasażer musiał zostawić w kieszeni zapaloną fajkę.

– A co z czujnikami dymu i ognia?

– Nie są zainstalowane w schowkach na bagaże. Ryan, McMahon i ja siedzieliśmy na rozkładanych krzesłach w pomieszczeniu instruktażowym siedziby NTSB. Na końcu rzędu dostrzegłam Larke'a Tyrella. Przednią część pomieszczenia zajmowali agenci ze sztabu kryzysowego i śledczy, podczas gdy na tyłach sali tłoczyli się dziennikarze.

Magnus Jackson wydawał oświadczenie, posiłkując się zdjęciami, które pojawiły się na wiszącym za jego plecami ekranie.

– Air TransSouth roztrzaskał się na skutek zaskakującego splotu wydarzeń, który zakończył się pożarem, eksplozją, dekompresją i katastrofą powietrzną. Przedstawię państwu poszczególne etapy tego wydarzenia. Potem będą mogli państwo zadawać pytania.

Jackson musnął palcami klawiaturę laptopa i na ekranie pojawił się diagram przedstawiający kabinę pasażerską.

– Czwartego października, około godziny jedenastej czterdzieści pięć, pasażer Walter Lindenbaum zgłosił się do agenta Air TransSouth, Jamesa Sartore, z prośbą o wpuszczenie go na pokład. Agent Sartore zakończył właśnie boarding. W swych zeznaniach utrzymuje, że pan Lindenbaum był niezwykle poruszony i zaniepokojony, iż z powodu spóźnienia utraci miejsce na pokładzie.

– Pan Lindenbaum miał dwa bagaże. Jeden z nich był mały, drugi przypominał płócienny worek marynarski. Agent Sartore poinformował Lindenbauma, że w schowkach na bagaże nie ma wystarczająco dużo miejsca, by zmieścić tam worek i że jest on zbyt duży, by schować go pod siedzeniem. Następnie opatrzył bagaż przywieszką i powiedział, aby pasażer



zostawił go przy wejściu, gdzie workiem zajmie się bagażowy. Pan Lindenbaum zdjął wówczas bawełnianą marynarkę, włożył ją do worka i wszedł na pokład.

Jackson podniósł w górę pokwitowanie z karty kredytowej.

– Wyciągi z karty kredytowej pana Lindenbauma pokazują, że dzień przed odlotem zakupił on litrową butelkę rumu Demerara.

Jego palce ponownie zatańczyły na klawiaturze i na ekranie pojawiły się zdjęcia spalonego, płóciennego worka.

– Oto bagaż pana Lindenbauma i jego zawartość. Spośród wszystkich odnalezionych przedmiotów, właśnie te – przerwał, by spojrzeć na zgromadzony w sali tłum – noszą geometryczne ślady spalania i jak państwo widzicie, są bardziej uszkodzone od wewnątrz niż od zewnątrz.

Pokazał laserowym wskaźnikiem kolejne dowody.

– Rozmowy z rodziną ujawniły, że Walter Lindenbaum był nałogowym palaczem fajki. Kiedy wchodził na teren dla niepalących, chował fajkę do kieszeni i odpalał ją po wyjściu. Wszystkie dowody wskazują na to, że w chwili gdy bagaż pana Lindenbauma został przeniesiony do przedziału ładunkowego, fajka w kieszeni marynarki wciąż jeszcze się tliła. Na tyłach pomieszczenia dał się słyszeć pomruk dezaprobaty. Dziennikarze zaczęli machać rękami i wykrzykiwać kolejne pytania. Jackson zignorował je i wyświetlił kolejne zdjęcia przedstawiające nadpalone ubrania.

– Wewnątrz przedziału bagażowego, fragmenty tłącego się tytoniu i popiołu wypadły z fajki, powodując zapalenie się worka, który niemal natychmiast stał się punktem zapalnym.

Tym razem Jackson pokazał kolejne zdjęcia spalonego płótna i ubrań.

– Pozwolą państwo, że powtórzę jeszcze raz. Geometryczne ślady spalania nie zostały odnalezione na żadnych innych przedmiotach pochodzących z samolotu. Nie będę wdawał się w szczegóły. Z oficjalnego komunikatu prasowego dowiedzie się państwo, czym różni się powolne spalanie ubrań, z jakim mieliśmy do czynienia w tym wypadku, od spalania po tak zwanym wybuchu powietrznym.

Kolejne zdjęcia przedstawiały poczerńiałe od dymu fragmenty szkła.

– Oto butelka rumu zakupiona przez pana Lindenbauma. We wnętrzu płóciennego worka dym rozchodził się przy temperaturze odpowiadającej spalaniu miejscowemu. Zawartość butelki nie przyczyniła się do powstania pożaru. Jak państwo widzą, butelka pozostała nietknięta, ale osadził się na niej dym. Widoczny na ekranie osad został zbadany w naszym laboratorium. Obecne w dymie cząsteczki rozkładu wskazują, że to one były ogniskiem pożaru. Pośród innych śladów, na butelce odnaleziono cząsteczki tytoniu. Eksperci

medycyny sądowej porównali je z usuniętym z fajki tytoniowym osadem, a także włóknami tytoniu, które nie uległy spaleni.

Po tych słowach Jackson przedstawił schemat samolotu.

– W samolocie typu Fokker100 przewody paliwowe biegną pod podłogą kabiny, nad przedziałami bagażowymi i od zbiorników paliwa umieszczonych na końcu skrzydeł do znajdujących się z tyłu silników.

Pokazywał na schemacie kolejne szczegóły. Chwilę później zrobił zbliżenie przewodów paliwowych i poszczególnych elementów instalacji.

– Nasi eksperci znaleźli także pęknięcie w instalacji przewodów paliwowych w okolicach wręgi wzmocnionej, na tyłach przedziału bagażowego. Najprawdopodobniej powstało ono na skutek wadliwego wykonania elementu instalacji i przyczyniło się do pożaru.

Tym razem na ekranie pojawiło się zbliżenie pęknięcia włoskowatego.

– Wzrastająca temperatura poszerzyła szczelinę, sprawiając, że niewielka ilość parującego paliwa przedostała się z przewodów do luku.

Jego słowa potwierdził widoczny na ekranie, odbarwiony fragment metalowego odlewu.

– Spadek ciepła, objawiający się miejscowym odbarwieniem, można zauważyć w miejscu, w którym pęknięcie zostało wystawione na działanie wysokiej temperatury. Pozwolą państwo, że przejdę teraz do symulacji.

Jackson stuknął w klawisze, a na ekranie niemal natychmiast pojawiła się animacja przedstawiająca F100 w locie. Widoczny na górze ekranu zegar odmierzał kolejne sekundy.

W rogu, na tyłach przedziału ładunkowego, tuż pod siedzeniami 23A i B, leżał płócienny worek Waltera Lindenbauma. Obserwowałam, jak zmienia kolor z różowego na łososiowy i z łososiowego na czerwony.

– Ogień w płóciennym worku pana Lindenbauma – komentował Jackson. – To tu rozpoczął się pożar.

Z wnętrza worka zaczęły ulatywać błękitne drobinki.

– Dym.

Cząsteczki utworzyły chmurę przezroczystej mgły.

– W luku bagażowym jest utrzymywane zwiększone ciśnienie, podobnie jak w kabine pasażerów. Oznacza to, że jest w nim odpowiednia ilość tlenu. Wszędzie dookoła jest mnóstwo ciepłego powietrza.

Widoczna na ekranie mgła rozwiała się, a wokół bagażu Lindenbauma pojawiły się rażące, czerwone punkty.

– Mimo iż przez jakiś czas dym pozostawał we wnętrzu worka, w końcu wydostał się na zewnątrz. Od płomieni zajęły się sąsiednie bagaże.

Wokół przewodów paliwowych pojawiły się maleńkie, czarne kropki, które stopniowo rozprzestrzeniały się na całej długości wewnętrznych ścian luku bagażowego. Patrzyłam jak urzeczona, podczas gdy kropeczki rozproszyły się lub zostały wchłonięte przez panujący w przedziale ruch powietrza.

– Wówczas rozpoczął się drugi etap pożaru. Kiedy paliwo zaczęło wyciekać z przewodów, jego ilość była tak znikoma, że niemal natychmiast parowała i mieszała się z powietrzem. Ponieważ opary paliwa są cięższe od powietrza, w miarę upływu czasu zaczęły osiadać. Dopiero wówczas można było wykryć ich obecność i poczuć specyficzną woń.

W kabinie pasażerów pojawiła się błękitnawa mgiełka.

– Dym przedostawał się do kabiny pasażerów poprzez przewody wentylacyjne, ogrzewanie i system klimatyzacyjny. Wydostawał się także na zewnątrz przez zawory wylotowe.

Pomyślałam o Jeanie Bertrandzie. Czy wyczuł dziwny zapach? Zauważył dym? Na ekranie pojawił się rozbłysk. Z bagażu Lindenbauma sypnęły czerwone iskry, a na tyłach luku bagażowego pojawiła się poszarpana dziura.

– Dwadzieścia minut i dwadzieścia jeden sekund po starcie ulatniające się paliwo dotarło do iskrzącego zwoju kabli i doprowadziło do potężnej eksplozji. Jej dźwięk został nagrany przez rejestrator rozmów w kokpicie.

Przypomniałam sobie Ryana, który powtarzał zapisane przez urządzenia ostatnie słowa pilota. Poczułam się równie bezsilna jak on wówczas.

– Zawiodła elektryka.

Pomyślałam o pasażerach. Czy czuli wstrząs? Słyszeli eksplozję? Czy mieli świadomość, że za chwilę zginą?

– Eksplozja w utrzymywanej pod ciśnieniem kabinie bagażowej przeniosła się do nieciśnieniowego kadłuba, a ładunek powietrza zaczął odrywać poszczególne części samolotu. W tym momencie doszło do kolejnego wycieku paliwa, a luk towarowy został rozerwany.

Jackson identyfikował kolejne przedmioty, które spadały na ziemię.

– Powłoka tylnego kadłuba. Hamulce.

W pomieszczeniu zapanowała martwa cisza.

– Ładunek powietrza wydostał się przez statecznik pionowy, odrywając stabilizator poziomy i stery wysokości.

Skierowany dziobem w dół samolot pędził teraz ku ziemi, jednak kabina pasażerska pozostała nietknięta. Jackson uderzył w klawiaturę i obraz znikł. Cisza w pomieszczeniu była przerażająca. Mijały sekundy. Gdzieś z tyłu usłyszałam stłumiony szloch i głębokie westchnienie. Ktoś zakasłał. Chwilę później sala eksplodowała dziesiątkami głosów.

– Panie Jackson...

– Dlaczego czujniki dy...

– Panie Jacks...

– Jak długo...

– Będę odpowiadał na pojedyncze pytania. Mówiąc to, Jackson wskazał kobietę w okularach à la Buddy Holly.

– Ile czasu upłynęło pomiędzy wzrostem temperatury w bagażu a wybuchem pożaru?

– Pozwolą państwo, że wyjaśnię jedną rzecz. Mówimy tu o żarzeniu się, rodzaju ognia powstałym w momencie, gdy niewielka ilość tlenu wchodzi w bezpośrednią reakcję z ciałami stałymi, takimi jak węgiel czy żar. Nie mówimy o pożarze płomieniowym. W czymś tak niewielkim jak podróży bagaż żarzenie się mogło osiągnąć temperaturę pięciuset – sześciuset stopni Fahrenheita.

Po tych słowach wskazał kolejnego dziennikarza.

– W jaki sposób butelka z rumem przetrwała pożar w bagażu pasażera?

– To proste. Żarzenie może osiągnąć tysiąc sto do tysiąca dwustu stopni Fahrenheita, czyli tyle co zapalona fajka lub papieros. Temperatura ta nie jest wystarczająco wysoka, by uszkodzić butelkę z płynem.

– A znaleziony na butelce osad z dymu?

– Owszem, ale tylko wtedy, gdyby został wystawiony na działanie intensywnego czy długotrwałego ognia. Jak państwo wiecie, w tym przypadku nie mogło być o tym mowy.

Jackson wskazał palcem kolejną osobę.

– Czy są znaki świadczące o zmęczeniu metalu?

– Aby stopić stal, potrzeba dwóch tysięcy pięciuset stopni Fahrenheita, jeśli nie wyższej. Przy niższej temperaturze widać jedynie ślady wygięcia, tak jak w przypadku, o którym mówimy.

Tym razem wskazał na reportera z „Charlotte Observer”.

– Czy pasażerowie mieli świadomość tego, co się dzieje?

– Ci, którzy siedzieli najbliżej punktu krytycznego, na pewno odczuli wstrząs. Wszyscy pozostali słyszeli eksplozję.

– A co z dymem?

– Dym przedostawał się do kabiny pasażerów przez ogrzewanie i system klimatyzacyjny.

– Czy pasażerowie przez cały czas byli przytomni?

– Typ spalania, o którym mówiłem, powoduje wydzielanie się trujących gazów, które mogą bardzo szybko wpłynąć na ludzi.

– Jak szybko?

– Zależy od wieku, jednak sądzę, że w tym konkretnym przypadku możemy mówić o dziewięćdziesięciu sekundach.

– Czy gazy mogły przedostać się do kabiny pasażerów?

– Tak.

– Czy na ciałach ofiar odkryto ślady dymu lub trujących gazów?

– Tak. Niebawem doktor Tyrell wyda w związku z tym oświadczenie.

– Przy takiej ilości dymu, skąd pewność co do źródła osadu na butelce? – Mężczyzna zadający pytanie wyglądał na dociekliwego szesnastolatka.

– Znalaziono fragmenty fajki pana Lindenbauma i poddano analizie resztki tytoniu znajdującego się w cybuchu. Osad na butelce był produktem ubocznym, powstałym na skutek spalania się tego właśnie tytoniu.

– Jak mogło dojść do wycieku paliwa? – spytał ktoś z tyłu.

– Kiedy w luku towarowym wybuchł pożar, uderzenie ciepła spowodowało uszkodzenie zaledwie części przewodów paliwowych. To pociągnęło za sobą kolejne awarie.

Jackson wskazał reportera, który wyglądał i zachowywał się jak Dick Cavett.

– Chce pan powiedzieć, że pierwszy pożar nie był przyczyną eksplozji?

– Tak.

– Co zatem ją spowodowało? – Dziennikarz nie dawał za wygraną.

– Awaria elektryczna.

– Jaką ma pan pewność?

– Prawie całkowitą. Kiedy usterka elektryczna powoduje eksplozję, energia elektryczna musi zostać uziemiona. Dowody takiego właśnie uziemienia znaleziono w tej samej części przewodów paliwowych. Podobne zniszczenia widuje się zwykle na miedzianych częściach; znacznie rzadziej na stalowych.

– Nie wierzę, że pożar w walizce pasażera nie miał wpływu na wybuch. – Cavett nie próbował nawet ukryć swych wątpliwości. – Czy nie byłaby to normalna kolej rzeczy?

– Pańskie pytanie ma sens. Na początku myśleliśmy tak samo. Jednak, widzi pan, będąc tak blisko źródła emisji, opary nie wymieszały się wówczas z wystarczającą ilością

powietrza. By wybuch był potężny, musi do tego dojść, nim nastąpi zapłon. W górę wystrzeliła kolejna ręka.

– Czy analiza była przeprowadzana przez wykwalifikowanych w dziedzinie pożarów i eksplozji ekspertów?

– Tak. Sprowadziliśmy na miejsce wybitnych fachowców.

Następny dziennikarz wstał, szykując się do zadania pytania.

Zginęło osiemdziesiąt osiem, osób, ponieważ pan Lindenbaum obawiał się, że utraci miejsce na pokładzie. Wszystko z powodu jednego, tragicznego błędu.

Zerknęłam na zegarek, wiedząc, że czeka na mnie Crowe.

Chwilę później wymknęłam się z pomieszczenia. Czekają na mnie ofiary, których śmierć nie była wynikiem ludzkiej bezmyślności.

Samochody-chłodnie zniknęły już sprzed budynku straży pożarnej w Alarka. Na parkingu stały wyłącznie puste wozy strażackie i samochody moich współpracowników. Bramy strzegł samotny, znudzony funkcjonariusz.

Crowe była już na miejscu. Na mój widok wysiadła z radiowozu i trzymając w dłoni małą, skórzaną teczkę, czekała, aż zaparkuję. Niebo miało kolor brudnego grafitu, a na otwartej przestrzeni przed budynkiem hulał lodowaty wiatr. Jego porywy zadzierały do góry rondo kapelusza pani szeryf, sprawiając, że układał się na jej głowie pod dziwnym kątem.

Chwilę później weszliśmy do budynku, gdzie do niedawna przechowywano ciała pasażerów. Za wyjątkiem Stana i Maggie, którzy przy stołach autopsyjnych układali z kości kolejne, makabryczne puzzle, nikogo tu nie było. Na kolejnych czterech stołach stały zamknięte, kartonowe pudła.

Po krótkim powitaniu udałam się do niewielkiego pomieszczenia, które służyło mi za biuro. Podczas gdy przebierałam się w sterylny, laboratoryjny fartuch, Crowe usiadła przy biurku i wyciągnęła z teczki plik dokumentów.

– W 1979 nie wydarzyło się nic, co mogłoby nas zainteresować. Za to od 1972 mieliśmy dwa przypadki zaginięć.

Mówiąc to, otworzyła pierwsze akta.

– Mary Francis Rafferty, biała kobieta, osiemdziesiąt jeden lat. Mieszkała sama w Dillsboro. Córka odwiedzała ją każdej niedzieli. W czasie jednej z wizyt nie zastała matki w domu. Od tamtej pory nikt więcej nie widział Mary. Przypuszczano, że oddaliła się od domu i zmarła z wyziębienia.

– Ile razy już to słyszałam?

Crowe zbyła pytanie milczeniem i przeszła do kolejnych akt.

– Sarah Ellen Deaver. Biała kobieta, dziewiętnaście lat. Wybierała się do pracy – sklep ogólnospożywczy przy autostradzie 74. Nigdy nie dotarła na miejsce.

– Wątpię, abyśmy mieli ją w jednym z tych pudeł. Jakież wieści od Tommy’ego Albrighta?

– Mamy George’a Adaira – potwierdziła Crowe.

– Analiza dentystyczna? – spytałam.

– Tak. – Lucy milczała. – Wiesz, że pierwsze ciało znalezione w piwnicy nie miało lewej stopy?

– Dzwonił do mnie Albright. – Córka Jeremiaha Mitchella rozpoznała część ubrań. Zamierzamy pobrać próbkę krwi od jego siostry.

– Albright prosił, żebym dostarczyła mu próbki kości. Tyrell obiecał, że je podrzuci. Sprawdzając pozostałe daty?

– Rodzina Alberta Odella dała mi namiary na jego dentystę.

– To ten sadownik?

– Odell jest jedyną osobą, która zaginęła w osiemdziesiątym szóstym.

– Wielu dentystów nie trzyma raportów dłużej niż dziesięć lat.

– Doktor Welch nie wydawał się szczególnie bystry. Po południu jadę do Lauda. Zobaczę, co tam ma.

– Co z pozostałymi? – Jeszcze zanim zadałam pytanie, wiedziałam, jaka będzie odpowiedź.

– Będzie trudniej. Od śmierci Adamsa minęło już ponad pięćdziesiąt lat, a w przypadku Trampera ponad czterdzieści.

Chwilę później wyciągnęła kolejne dokumenty i rozłożyła je na biurku.

– Oto, co udało mi się zdobyć. – Mówiąc to, wstała. – Dam ci znać, czego dowiedziałam się od dentysty.

Kiedy wyszła, rzuciłam okiem na akta. Te dotyczące Tuckera Adamsa zawierały wyłącznie wycinki z prasy, które widziałam już wcześniej.

Lepiej było z aktami Edny Farrell. Wśród nich znalazłam ręczne notatki z czasu, kiedy zaginęła. Zapoznałam się z zeznaniami Sandry Jane Farrell, która opowiadała o ostatnich dniach, gdy widziała matkę. Był też szczegółowy opis zaginionej. W młodości Edna spadła z konia, dlatego – według zeznań Sandry – jej twarz była „koślawa”.

Przez chwilę patrzyłam na czarnobiałą fotografię, której brzegi wycięto w półokrągłe ząbki. Mimo iż obraz był nieco niewyraźny, asymetria twarzy kobiety była widoczna jak na dłoni.

– Kupa czasu, Edno.

W dokumentach zostawionych przez Crowe były również zdjęcia Charliego Wayne’a Trampera oraz wycinki z gazet informujące o jego zaginięciu i śmierci. Poza tym nie znalazłam niczego nowego.

\*\*\*

Kolejne dni do złudzenia przypominały dzień po katastrofie. Od świtu do nocy obcowałam ze zmarłymi. Godzina po godzinie sortowałam i układałam kości, określałam płeć i rasę ofiar, próbowałam ustalić ich wiek i wzrost. Szukałam śladów pourazowych, śladów chorób, cech szczególnych i wątków łączących wszystkie te sprawy. Dla każdego szkieletu opracowałam najbardziej szczegółowy profil, jaki udało mi się określić na podstawie oględzin szczątków pozbawionych żywej tkanki.

W pewien sposób przypominało to identyfikację ofiar katastrofy, kiedy dysponowałam, jedynie nazwiskami z listy pasażerów. Znajac dziennik Veckhoffa, byłam przekonana, że mam do czynienia z określoną liczbą ofiar. Zapisane w pamiętniku daty dokładnie wskazywały czas zniknięcia poszczególnych mieszkańców hrabstwa Swain i innych okolicznych hrabstw. 1943 Tucker Adams; 1949 Edna Farrell; 1959 Charlie Wayne Tramper; 1986 Albert Odell.

Rozpoczęliśmy badania od czterech ciał znalezionych w tunelu, wierząc, że to właśnie one znalazły się tam jako pierwsze. Podczas gdy Stan i Maggie czyścili, sortowali, numerowali, fotografowali i robili zdjęcia rentgenowskie, ja badałam kości.

Zidentyfikowanie Edny Farrell nie było trudne. Szkielet numer cztery należał do starszej kobiety, której prawa kość policzkowa i żuchwa były zdeformowane z powodu fatalnie zrosniętych złamań.

Szkielet numer pięć okazał się niekompletny. Brakowało fragmentów klatki piersiowej, ramion i dolnych partii nóg. Spustoszenia, jakich dokonały zwierzęta, były rozległe. Kości miednicy wskazywały na mężczyznę w podeszłym wieku. Kulista czaszka, szerokie kości policzkowe i łopatkowaty kształt przednich zębów zdradzały indiańskie pochodzenie. Analiza statystyczna wykazała, że czaszka należała do osobnika z grupy mongoloidalnej. Czyżby szkielet numer pięć należał do Charliego Wayne’a Trampera?

Szkielet numer sześć – w najgorszym stanie – należał do starszego mężczyzny rasy białej, który w chwili śmierci był zupełnie bezzębny. Z jego kości nie wyczytałam nic



nadzwyczajnego, poza tym, że mężczyzna miał ponad sto osiemdziesiąt centymetrów wzrostu. Tucker Adams?

Szkielet numer trzy należał do starszego mężczyzny ze zrośniętymi złamaniami nosa, szczęki górnej, trzeciego, czwartego i piątego żebra oraz prawej kości strzałkowej. Wydłużona, wąska czaszka, zaokrąglona kość nosowa o gładkich końcach i wysunięta dolna szczęka sugerowały, że ofiara była czarna. Moje przypuszczenia potwierdził program Fordisc 2.0. Podejrzywałam, że szkielet należał do kogoś, kto zmarł w 1979 roku.

Następnie zajęłam się badaniem szkieletów znalezionych w tym samym pomieszczeniu, w którym porzucono ciała Mitchella i Adaira.

Szkielet numer dwa należał do starszego, białego mężczyzny. Artretyczne zmiany kości prawego ramienia i ręki sugerowały, że ofiara często trzymała dłoń nad głową. Od razu pomyślałam o zbierającym jabłka sadowniku. W oparciu o stan tkanki kostnej ustaliłam, że mężczyzna zmarł później niż osoby pochowane w tunelu. To również potwierdzałoby moje przypuszczenia, że miałam przed sobą Alberta Odella.

Szkielet numer jeden należał do starszej białej kobiety. Stan kości wskazywał na zaawansowany artretyzm. Ofiara miała zaledwie siedem zębów. Czyżby Mary Francis Rafferty; kobieta z Dillsboro, która zaginęła w 1972 roku?

W sobotę późnym popołudniem byłam już pewna, że połączyłam kości z właściwymi nazwiskami. Potwierdziła to Lucy Crowe, która zdobyła raporty stomatologiczne Alberta Odella, a także wielebny Luke Bowman, który dokładnie pamiętał wzrost Tuckera Adamsa.

Sto dziewięćdziesiąt dwa centymetry.

Miałam też pewne przypuszczenia, jak zginęły ofiary.

Kość gnykowa to mała kostka w kształcie podkowy, umieszczona w tkance miękkiej szyi, poniżej zuchwy. W przypadku osób starszych, których kości są zwykle kruche, wystarczy ścisnąć rogi kości gnykowej, na przykład podczas duszenia.

Tommy Albright zadzwonił, kiedy szykowałam się do wyjścia.

– Znalazłaś kolejne złamania kości gnykowej?

– Pięć na sześć przypadków.

– U Mitchella też. Zafundowali gościowi niezłą jatkę. Kiedy nie mogli go udusić, rozwalili mu czaszkę.

– Co z Adairem?

– Nic. Znalazłem jedynie ukrwotocznienie wybroczynowe.

Wybroczyny to maleńkie, krwiste plamki, pojawiające się na gałkach ocznych i gardle, które wskazują, że ofiara została uduszona.

– Kto, do cholery, chciałby dusić starszych ludzi?

Nie odpowiedziałam. Podczas badania szkieletów odkryłam jeszcze inne urazy. Urazy, które wydały mi się dziwne. Nie chciałam o tym rozmawiać, dopóki sama nie zrozumiełam istoty problemu.

Po skończonej rozmowie wróciłam do szkieletu numer cztery, wzięłam kości udowe i położyłam je pod szkłem powiększającym.

A zatem nie myliłam się. To naprawdę tu było.

Jedną po drugiej zbierałam kości udowe każdej ofiary i umieszczałam je pod mikroskopem. Na każdym trzonie widać było maleńkie żłobienia, które niczym miniaturowe tory biegnęły na całej długości kresy chropawej. Kolejne, tym razem poziome nacięcia dostrzegłam nad i pod powierzchnią stawów. To samo znalazłam na kolejnych kościach, choć ilość maleńkich żłobień bywała różna.

Odkręciłam śrubę makrometryczną tak mocno, jak było to możliwe i zerknęłam przez okular. Widoczne pod nim rowki przypominały widzianą w przekroju literę V. Nacięcia. Jakim cudem znalazły się na kościach? Już wcześniej spotkałam się z czymś podobnym, ale dotyczyło to tylko przypadków poćwiartowania. Tu – za wyjątkiem Charliego Wayne’a Trampera i Jeremiaha Mitchella – wszystkie ciała pochowano w jednym kawałku.

A zatem, skąd pochodziły te ślady? Dlaczego zrobiono je na prawej kości udowej i czy tylko tam?

Zamierzałam po raz kolejny zbadać każdą kość, gdy do kostnicy wpadł Andrew Ryan. Maggie, Stan i ja spojrzeliśmy na niego kompletnie zaskoczeni.

– Słuchaliście wiadomości? – spytał Ryan, który mimo panującego na zewnątrz chłodu był czerwony na twarzy i spocony.

W milczeniu potrząsnęliśmy głowami.

– Trzy godziny temu znaleziono ciało Parkera Davenporta.

## Rozdział 29

Ciało?

Poczułam nagły przyptyw emocji. Szoku. Współczucia. Gniewu i nieufności.

– Jak to?

– Ktoś wpakował mu kulkę w łeb. Współpracownik znalazł ciało w domu.

– Samobójstwo?

– Raczej zabójstwo.

– Tyrell już tam jest?

– Tak.

– Media wiedzą?

– O tak. Zupełnie oszalały i polują na kolejne informacje.

Poczułam ulgę na wieść, że skończyła się nagonka na moją osobę. Chwilę później przyszło opamiętanie i uczucie przytłaczającego poczucia winy. Brennan, zginął człowiek, a ty myślisz tylko o sobie.

– Sprawa wydaje się bardziej skomplikowana niż amerykański plan wojenny.

– Czy Davenport zostawił jakąś wiadomość?

– Nic nie znaleziono. Co to jest? – Wskazał ręką w kierunku stołów do sekcji.

– Masz chwilkę?

– Niedawno ogłoszono, że katastrofa była wynikiem ludzkiej bezmyślności i usterki mechanicznej. – Po tych słowach teatralnie rozłożył ręce. – Od dziś jestem wolnym człowiekiem.

Zegar ścienny wskazywał dziewiętnastą czterdzieści pięć. Odesłałam Stana i Maggie do domu, a sama zaprowadziłam Ryana do swojego biura i opowiedziałam mu o dzienniku Veckhoffa.

– Chcesz powiedzieć, że za każdym razem gdy w okolicy ginął szanowany obywatel, ktoś mordował przypadkowych starców?

Mimo usilnych starań, Ryan nie mógł zapanować nad własnym niedowierzaniem.

– Właśnie to chcę powiedzieć.

– I nikt niczego nie zauważył?

– Zaginięcia nie zdarzały się na tyle często, by ktoś mógł połączyć je w logiczną całość. Poza tym, wiek ofiar nie budził niczyich podejrzeń.

– I takie polowanie na starszków trwało według ciebie przez pół wieku?

– Nawet dłużej.

Wiedziałam, że moje słowa zabrzmiały niedorzecznie. Kiedy mam wrażenie, że głoszę nieprawdopodobieństwa, staję się nerwowa. A gdy staję się nerwowa, robię się pyskata.

– Poza tym starcy są niezłą zwierzyną.

– Chcesz powiedzieć, że przestępcy używali domu Arthura, by pozbyć się ciał?

– Tak, ale chodziło o coś więcej.

– Istniała jakaś tajna organizacja, w której wszyscy posługiwali się zaszyfrowanymi imionami?

– Owszem – warknęłam.

Nastała chwila ciszy.

– Chcesz powiedzieć, że istnieje tu jakiś kult?

– Nie. To znaczy tak. Nie sądzę, ale przypuszczam, że ofiar użyto podczas jakiegoś chorego rytuału.

– To znaczy?

– Chodź, coś ci pokażę.

Prowadziłam Ryana od stołu do stołu, omawiając wszystko i kładąc szczególny nacisk na istotne szczegóły. W końcu podeszliśmy do mikroskopu. Poprosiłam, by Andrew przyjrzał się prawej kości udowej Edny Farrell. Podczas gdy Ryan gapił się w okular, wyciągnęłam kolejno kości Adamsa, Rafferty i Odella.

Ślady nie pozostawiały żadnych wątpliwości. Te same nacięcia. To samo miejsce.

– Co to?

– Nacięcia.

– Zrobiono je nożem?

– Czymś ostrym.

– Co oznaczają?

– Nie wiem.

Kości stuknęły cicho, kiedy jedną po drugiej odkładałam na stalowe stoły. Ryan w milczeniu taksował mnie pełnym niedowierzania wzrokiem.

Podeszłam do umywalki, a chwilę później udałam się do biura, by zdjąć fartuch i założyć kurtkę. Kiedy wróciłam, Ryan pochylał się nad szkieletem Alberta Odella.

– Wiesz, kim oni są?

– Tak, wyłączając tego dżentelmena.

Mówiąc to, wskazałam dłonią kości starego, czarnoskórego mężczyzny.

– Sądysz, że zostali uduszeni?

– Tak.

– Ale po co, do cholery?

– Pogadaj z McMahonem. To robota dla policji.

Ryan wyszedł za mną na parking. Kiedy siadałam za kierownicą, odważył się zadać kolejne pytanie.

– Jaki pokręcony świr polowałby na starszych ludzi, dusił ich i bawił się ciałami?

Odpowiedź na to pytanie nadeszła z nieoczekiwanego źródła.

Po powrocie do High Ridge House zrobiłam sobie kanapkę z szynką, chwyciłam paczkę chrupek Sunchips, garść cukrowych ciastek i wyszłam zjeść w towarzystwie Boyda. Mimo iż z całego serca przeprosiłam go za ostatni tydzień, pies z rzadka poruszał brwiami i w ogóle nie wystawiał jęzora. Było oczywiste, że jest na mnie obrażony.

Jego widok obudził we mnie poczucie winy.

Chwilę później oddałam mu kanapkę, chipsy i ciastka, nalałam do misek świeżej wody i obiecałam, że następnego dnia zabiorę go na długi spacer. Kiedy opuszczałam kojec, Boyd obwąchiwał karmę Alpo.

W drodze do pokoju wpadłam do kuchni i zabrałam kolejną porcję zapasów. Na podłodze pod drzwiami Magnolii czekała na mnie notatka. Sądząc po sposobie, w jaki została doręczona, zostawił ją agent McMahon.

Nie myliłam się. Byron McMahon prosił, bym jutro zajrzała do siedziby FBI.

Po kolacji nadszedł czas na gorącą kąpiel i telefon do znajomego z UNC w Chapel Hill. Chociaż było po dwudziestej trzeciej, znałam Jima i wiedziałam, że wciąż jeszcze był na nogach. Nie prowadził porannych zajęć. Wracał do domu około osiemnastej. Po obiedzie biegał na dystansie ośmiu kilometrów i siedział w laboratorium do drugiej nad ranem. Kiedy nie brał udziału w wykopaliskach, prowadził nocny tryb życia.

Po krótkiej wymianie uprzejmości i nowinek, poprosiłam go o pomoc.

– Prowadzisz jakieś badania archeologiczne? – spytał.

– To bardziej zabawa niż praca – odparłam wymijająco.

Opowiedziałam mu o dziwnych nacięciach i rowkach, ale nie zdradziłam szczegółów sprawy.

– Ile lat mają szczątki?

– Nie są takie stare.

– Dziwne, że nacięcia pojawiają się wyłącznie na jednej kości, ale to, o czym mówisz, brzmi podejrzanie. Wyślę ci faksem trzy ostatnie artykuły i trochę zdjęć.

Podziękowałam i podałam numer do kostnicy.

– Gdzie to jest?

– W hrabstwie Swain.

– Pracujesz z Midkiffem?

– Nie.

– Ktoś mi mówił, że prowadzi tam wykopaliska.

Następnie zadzwoniłam do Katy.

Rozmawiałyśmy o zajęciach, Boydzie, spódnicy, którą widziała w katalogu Victoria's Secret i planach na Święto Dziękczynienia. Nie mówiłam córce o serii dziwnych morderstw i własnych obawach.

Po skończonej rozmowie zakopałam się w pościeli i leżąc w ciemnościach, myślałam o szkieletach. Mimo iż nigdy wcześniej nie spotkałam się z czymś podobnym, wiedziałam, co oznaczają dziwne ślady i nacięcia.

Pytanie tylko: „dlaczego”?

Poczułam przerażenie i niedowierzanie. Później nie czułam już nic, aż do godziny siódmej, kiedy nieśmiałe promienie słońca musnęły moją twarz.

Kiedy przyjechałam do kostnicy, na faksie leżały artykuły i zdjęcia przesłane przez Jima. „Nature”, „Science” i „American Antiquity”. Przeczytałam wszystkie i przyjrzałam się zdjęciom. Chwilę później zbadałam każdą czaszkę i kość udową, robiąc zdjęcia wszystkiego, co wydało mi się podejrzane.

Wciąż jednak nie mogłam uwierzyć. Coś takiego mogło się zdarzyć w starożytnych czasach, wśród starożytnych ludów, a nie we współczesnej Ameryce.

Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl.

Niewiele myśląc, chwyciłam za telefon i wybrałam numer do Kolorado. Dwadzieścia minut później dostałam kolejny faks.

Drżącą ręką chwyciłam kartkę i jak urzeczona wpatrywałam się w jej treść.

Dobry Boże. Teraz byłam pewna...

Zastałam McMahona w budynku straży pożarnej Bryson City, gdzie mieściła się tymczasowa siedziba FBI. Podobnie jak w kostnicy i tu zaszły duże zmiany. Zamiast ślęczyć nad katastrofą Air TransSouth 228, McMahon i jego koledzy zajmowali się badaniem miejsca zbrodni.

Przestrzeń, którą do niedawna okupowali agenci NTSB, ziała teraz pustkami, a kilka wolnych pomieszczeń przekształcono na policyjną salę odpraw. Na tablicach ogłoszeń, na których kilka dni temu wisiały nazwiska terrorystów i członków radykalnych bojówek,

wisiały zdjęcia szczątków znalezionych w piwnicy. Widniały tu fotografie zidentyfikowanych ofiar: Edny Farrell, Alberta Odella, Jeremiaha Mitchella i George'a Adaira. Do tablicy przypięto również nazwiska tych, których los wciąż pozostawał zagadką. John Doe. Tucker Adams. Charlie Wayne Trampler. Mary Francis Rafferty.

Mimo iż przy każdym nazwisku zapisano datę zniknięcia, informacje o każdej z ofiar znacznie się różniły.

Na tablicy w drugim końcu pomieszczenia zawieszono fotografie domu Arthura. Patrząc na nie, rozpoznałam stojące na strychu łóżka, jadalniany stół i ogromnych rozmiarów kominek. Patrzyłam na zdjęcia przerażających malowideł, kiedy za moimi plecami pojawił się McMahon.

– Radosne, prawda?

– Szeryf Crowe uważa, że to kopia Goi.

– Ma rację. To Saturn pożerający swoje dzieci.

Chwilę później postukał długopisem w malunek przedstawiający tratwę.

– To Théodore Géricault. Znasz go?

Pokręciłam głową.

– Tytuł obrazu: Tratwa Meduzy.

– O co tu chodzi?

– Sprawdzamy.

– Kim jest człowiek-niedźwiedź?

– Tym też się zajmujemy. Sprawdziliśmy imię, ale nic nie znaleźliśmy. Przypuszczam, że na świecie nie ma zbyt wielu postaci o imieniu Baxbakualanuxsiwae.

Mówiąc to, wyjął z tablicy pinezkę i wręczył mi listę.

– Rozpoznajesz któreś z nich?

– Nazwiska ze ścian tunelu?

– Tak. Pracuje nad nimi Rayner, agent specjalny. Na tyłach pomieszczenia stały trzy składane stoły. Na jednym postawiono komputer, na kolejnych kartonowe pudła, na których zapisano datę i pochodzenie. Kuchenna szuflada L3. Pokój gościnny – biblioteczka na północnej ścianie, inne pudła pozostawiono na podłodze.

Przy komputerze siedział młody mężczyzna pod krawatem. Widziałam go już w domu Arthura, jednak nie zostaliśmy sobie przedstawieni. McMahon dopiero teraz postanowił nadrobić zaległości.

– Roger Rayner, Tempe Brennan.

Rayner podniósł wzrok znad klawiatury, uśmiechnął się i wrócił do pracy.

– Rozgryźliśmy część zagadki. Na przykład wpadliśmy na to, że niektóre z imion określają greckich i rzymskich bogów.

Zapisywałam kolejne słowa, notując przy nich dziwaczne imiona. Kronos. Dionizos. Córki Mineusa. Córki Peliasa. Polifem.

– Mamy też papieża i azteckiego władcę. Wciąż jednak nie wiemy, kim, do cholery, są Dasakumaracarita, Abd al-Latif czy Hamatsa. – Wymawiał imiona sylaba po sylabie. – Przynajmniej umiem wymówić „Sawney Beane” czy „John Gregg”.

Mówiąc to, agent przeczesał dłonią zmierzwiłone włosy.

– Pomyślałem, że może antropolog rozpozna w którymś z tych imion jakąś dawno zapomnianą boginię czy coś podobnego.

Patrzyłam na jedno z imion i czułam, jak ciarki pełzną mi po grzbiecie. Hamatsa. Montezuma. Aztekowie. Saturn pożerający swoje dzieci.

– Możemy porozmawiać na osobności? – Mój głos wydawał się piskliwy i roztrzęsiony.

McMahon spojrział na mnie zdziwiony, po czym zaprowadził do sąsiedniego pomieszczenia, gdzie przez chwilę milczałam, starając się zebrać myśli.

– To, co zamierzam powiedzieć, zabrzmii niedorzecznie, ale chciałabym, żebyś wysłuchał mnie do końca.

Agent odchylił się na krześle i splatając dłonie, oparł je na brzuchu.

– U Indian Kwakiutl mianem Hamatsa określało się plemienną elitę. Młodzi mężczyźni, którzy pragnęli stać się jej częścią, poddawani byli długiemu okresowi izolacji.

– Coś w rodzaju ślubów kapłańskich?

– Tak. W tym czasie żyli w lesie i tylko od czasu do czasu pojawiali się w okolicach wioski. Wyglądali jak obłąkani, krzyczeli, miotali się i jedli mięso z ramion i torsów tych, którzy stanęli im na drodze. Później na powrót znikali w lasach.

McMahon w milczeniu spoglądał na swoje dłonie.

– Na krótko przed końcem wygnania każdemu nowicjuszowi przynoszono zmumifikowane ciało, które moczono w słonej wodzie, myto i rozcinano. Podczas końcowego rytuału młodzieniec musiał uwędzić ciało, a potem skosztować mięsa. Z trudem przełknęłam ślinę.

– W czasie rytuału pretendent i starszyzna Hamatsa jedli kawałki ludzkiego ciała.

McMahon nie podniósł wzroku.

– Wiesz coś na temat Azteków?

– Tak.



– Aby ugłaskać swych bogów, jedli ludzkie mięso.

– Kanibalizm?

Tym razem agent spojrział mi prosto w oczy.

– Na wielką skalę. Kiedy Cortez i jego ludzie wkroczyli do Tenochtitlan, pośrodku miasta znaleźli kopce usypane z ludzkich czaszek i nabite na pale ludzkie głowy. Mówiono, że było ich przeszło sto tysięcy.

Na chwilę zapadła głucha cisza, którą przerwał McMahon.

– Saturn jadł swoje dzieci.

– Polifem schwytał Ulissesa i pożarł jego załogę.

– Dlaczego papież?

– Nie jestem pewna.

McMahon wyszedł, aby po chwili wrócić z powrotem.

– Rayner go sprawdzi. – Zerknął na notatkę i podrapał się w głowę.

– Rayner znalazł informacje o obrazie Gericault. Podobno przedstawia on wrak francuskiej fregaty z 1816 roku. La Méduse. Według opowieści, ci którzy przeżyli, jedli ciała swych martwych towarzyszy.

Zamierzałam pokazać McMahonowi własne odkrycia, kiedy w drzwiach stanął Rayner.

W dłoniach ścisnął kartkę ze spisanyymi naprędce notatkami.

– Nie sądzę, żeby interesował was cały życiorys, dlatego wybrałem najbardziej pikantne szczegóły. Papież Innocenty III zasłynął przede wszystkim z tego, że w roku 1215 zwołał Czwarty Sobór Luterski. Miał się stawić na nim każdy, kto znaczył coś w świecie chrześcijańskim.

Rayner podniósł wzrok znad kartki.

– Trochę parafrazuję. Kiedy wszystkie szychy przybyły na miejsce, Innocenty ogłosił, że od tej chwili słowa hoc est corpus meum będą odczytywane dosłownie, a wiernym nakazał wierzyć w transsubstancjację. To przekonanie, że w czasie mszy chleb i wino zmieniają się w ciało i krew Chrystusa.

Znowu podniósł wzrok, jak gdyby chciał się przekonać, czy nadażamy za jego słowami.

– Innocenty ogłosił, że akt ten nie jest symbolem, ale czymś prawdziwym. Najwyraźniej kwestia ta przez prawie tysiąc lat była tematem sporów, tak więc papież postanowił rozprawić się z nią raz na zawsze. Od tamtej pory jeśli ktokolwiek wątpił w przeistoczenie, był uznawany za heretyka.

– Dzięki, Roger.

– Nie ma sprawy. – Po tych słowach Rayner wyszedł z pomieszczenia.

– Innocenty zdefiniował najświętszy obrządek religii chrześcijańskiej, sprowadzając go do rangi jedzenia boskiego ciała. To właśnie antropolodzy nazywają rytualnym ludożerstwem.

Wspomnienie z dzieciństwa. Zakonnica w habicie, z krzyżem na piersi i kredą w dłoni.

– Znasz pochodzenia słowa hostia?

McMahon potrząsnął głową.

– Hostia po łacinie oznacza: „ofiara”.

– Chcesz powiedzieć, że mamy do czynienia z grupą szaleńców, którzy pożerają ludzi?

Odetchnęłam.

– Myślę, że to coś znacznie gorszego.

– Gorszego od...?

Oboje odwróciliśmy się. W drzwiach stał Ryan. McMahon wskazał mu krzesło.

– Gorszego niż makabryczne mity i alegoryczne malowidła. Cieszę się, że jesteś, Andrew. Będziesz mógł potwierdzić to, co powiem.

Wyciągnęłam, z torby zdjęcia Jima i wręczyłam jedno McMahonowi.

– Oto zrekonstruowana kość nogi jelenia. Nacięcia zostały zrobione ostrym narzędziem, prawdopodobnie kamiennym nożem. Zwróćcie uwagę, jak skupiają się wokół ścięgna, więzadeł i stawów.

McMahon podał zdjęcie Kyanowi i wziął kolejne.

– To także kości zwierząt. Zauważcie, że nacięcia i złobienia mają podobny układ.

Kolejne zdjęcie.

– To fragmenty ludzkiej kości. Znalaziono je w tej samej jaskini w południowowschodniej Francji, gdzie odkryto kości zwierząt.

– Żłobienia wyglądają identycznie.

– Bo są takie same.

– To znaczy?

– Ofiary zostały zarżnięte. Kości obdarto z mięsa i poprzecinano lub powykręcano stawy.

– Ile to ma lat?

– Sto tysięcy, góra sto tysięcy dwieście. Na tych terenach mieszkali neandertalczyki.

– Uważasz, że to użyteczne?

Pokazałam mu kilka kolejnych wydruków.

– To także ludzkie kości. Zostały znalezione w pobliżu Mesa Verde, w południowozachodnim Kolorado.

– Anasazi? – spytał Ryan.

– Tak.

– Kim, do cholery, są Anasazi? – jęknął McMahon.

– Przodkowie takich plemion jak Hopi i Zuni. W okresie 1130 do 1150, czyli w okresie suszy, tereny Mesa Verde zamieszkiwała mała grupa Indian. Wykopaliska prowadził mój znajomy z Chapel Hill. To jego zdjęcia. W wiosce zarżnięto co najmniej trzydzieścioro pięcioro dorosłych i dzieci. Zwróćcie uwagę, że ślady na kościach wyglądają identycznie.

Podalam McMahanowi kolejną fotografię.

– To kamienne narzędzia, które znaleziono w pobliżu ludzkich kości. Testy wykazały obecność ludzkiej krwi.

Kolejne zdjęcie.

– W tym ceramicznym naczyniu przechowywano ludzką tkankę.

– Skąd wiadomo, że ślady te nie są wynikiem otarć albo dziełem zwierząt? Mogły też powstać w trakcie jakiegoś rytuału, który odprawiano na zmarłych. Możliwe, że rozczłonkowanie ciał miało przygotować zmarłych do życia po śmierci. To tłumaczyłoby obecność narzędzi i naczyń.

– Tak samo myśleli ci, którzy znaleźli szczątki. Przynajmniej do chwili, gdy nie natknęli się na to.

Podalam agentowi następną fotografię.

– Co to, kurwa, jest? – McMahon podał zdjęcie Ryanowi.

– Po tym jak zamordowano siedem osób ugotowano ich ciała i zjedzono je w małym, podziemnym pomieszczeniu, jeden z gości przykucnął nad zimnym paleniskiem i wypróżnił się.

– A niech mnie.

– Dokładnie. Archeolodzy nazywają takie rzeczy koprolitami. W tym przypadku testy biochemiczne wykazały obecność protein pochodzących z przetrawionych, ludzkich mięśni.

– Czy proteiny mogły dostać się tam w jakiś inny sposób?

– Nie mioglobina. Testy wykazały również, że osiemnaście godzin przed defekacją facet nie jadł prawie niczego oprócz mięsa.

– To naprawdę świetne, Tempe, ale mam tu ośmiu sztywniaków i tłumy reporterów, którzy krążą wokół mnie niczym sępy. Jakie znaczenie mają te fotografie, poza tym, że pokazują bandę świrów z dziwnymi upodobaniami do kuchni, literatury i sztuki? Pokazujesz mi zdjęcia ludzi, którzy umarli wieki temu.

W odpowiedzi położyłam na biurku trzy fotografie.

– Słyszałeś kiedyś o Alfredzie G. Packerze?

McMahon spojrział na zegarek, a dopiero później rzucił okiem na zdjęcia.

– Nie.

– Alfie Packer to człowiek, który zimą 1874 roku prawdopodobnie zabił i zjadł w Kolorado pięcioro ludzi. Został osądzony i skazany za morderstwo. Niedawno ekshumowano zwłoki ofiar i dokonano analizy.

– Po jaką cholere?

– Historyczna dokładność.

Ryan stanął za plecami McMahona. Podczas gdy obaj mężczyźni spoglądali na kości ofiar Packera, rozłożyłam na biurku własne zdjęcia wykonane Polaroidem.

– Dziś rano zrobiłam je w kostnicy.

Ryan i Byron niczym widzowie na meczu tenisa spoglądali na dzieło neandertalczyków, Indian Anasazi, Packera i fotografie mojego autorstwa. W pomieszczeniu zapadła głucha cisza.

Pierwszy odezwał się McMahon.

– Jezusie, Maryjo i święty Józefie.

## Rozdział 30

Nikt nie miał nic do dodania.

– Kim, do cholery, są ci szaleńcy? – Tym razem to Ryan przerwał milczenie.

– Grupa Inwestycyjna H&F jest bardziej zagrzebana w ziemi niż Wąwóz Olduvai<sup>28</sup>. Veckhoff nie żyje, więc nie mamy co liczyć na jego pomoc. Idąc za twoją radą, Tempe, odszukaliśmy Rollinsa i Birkby’ego. Rollins mieszka w Greenville i uczy angielskiego w miejscowym college’u. Birkby jest właścicielem sieci sklepów sprzedających meble po okazjnych cenach. Ma dwa domy w Rock Hill i Hilton Head. Obaj panowie mówią to samo: odziedziczyli udziały w H&F, nie mają pojęcia o górskiej chacie i nigdy tam nie byli – wyjaśnił McMahon.

Usłyszałam trzask drzwi i dobiegające z korytarza głosy.

– W. G. Davis jest emerytowanym inwestorem bankowym, mieszkającym w Banner Elk. F. M. Payne to profesor filozofii z Uniwersytetu Wake Forest, a Warren pracuje jako adwokat w Fayetteville. Znaleźliśmy go w drodze na lotnisko i odrobinę popsuliśmy mu wyjazd do Antigua.

– Potwierdzili, że się znają?

– Wszyscy mówią to samo. H&F to wyłącznie interesy i nigdy nie mieli okazji się spotkać. Ich noga nigdy nie powstała na posiadłości Arthura.

– A co ze śladami, które znaleźliście w domu?

– Technicy zebrali ich tysiące. Badamy wszystkie, ale to zajmie trochę czasu.

– Szukaliście w policyjnych archiwach?

– W 1974 roku profesor Payne został zatrzymany za posiadanie trawki. Poza tym niczego nie znaleźliśmy. Mimo to sprawdzamy każdy trop. Jeśli któryś z nich choćby odlał się pod drzewem w czasie Woodstock, zdobędziemy próbkę. To banda cholernych brudasów, którzy pójdą siedzieć za morderstwa.

W drzwiach pojawił się wyraźnie strapiony Larke Tyrell. McMahon powitał go i wyszedł, by przynieść coś do siedzenia. Tymczasem Larke zwrócił się do mnie.

– Cieszę się, że tu jesteś.

Nie odpowiedziałam.

---

<sup>28</sup> [Wąwóz Olduvai – wąwóz w północnowschodniej Tanzanii, znany z jednego z najsłynniejszych stanowisk archeologicznych (przyp. tłum.)]

Chwilę później McMahon wrócił, wlokąc za sobą składane, metalowe krzesło. Kiedy Tyrell usiadł, zauważyłam, że jego plecy były tak sztywne, że w ogóle nie dotykały oparcia.

– Co mogę dla pana zrobić, doktorze? – zaczął McMahon.

Tyrell wyciągnął z kieszeni chusteczkę, przetarł czoło i złożył ją w idealną kostkę.

– Mam dość istotną informację. Zmierzył wzrokiem każdego z nas, jednak nie powiedział, o co chodzi.

– Jestem pewien, że słyszeliście już, że wczoraj od rany postrzałowej zginął wicegubernator Parker Davenport. Wygląda to na samobójstwo, jednak w całej tej sprawie jest coś niepokojącego, jak choćby niespotykane wysokie stężenie trifluoperazyny we krwi.

Widząc nasze skonsternowane miny, Tyrell wyjaśnił.

– Popularna nazwa to stelazyna. Środek ten jest stosowany w leczeniu psychotycznych napadów lękowych i stanów depresyjnych. Davenport nie miał recepty na stelazynę, a jego lekarz nie ma pojęcia, dlaczego miałby brać ten lek.

– Facet z jego pozycją nie miał chyba problemów ze zdobyciem tego, co chciał – zauważył McMahon.

– To prawda.

Tyrell odchrząknął znacząco.

– W ciele Primrose Hobbs również wykryto śladowe ilości trifluoperazyny, jednak proces gnilny i fakt, że zwłoki leżały w wodzie, znacznie skomplikowały sprawę.

– Czy szeryf Crowe wie o tym? – spytałam.

– Wie o Hobbs. O Davenportcie poinformuję ją później.

– Wśród rzeczy należących do Hobbs nie znaleziono stelazyny.

– Nie miała również recepty. Poczułam w żołądku nieprzyjemny ucisk. W życiu nie widziałam, żeby Primrose brała coś innego poza aspiryną.

– Niepokojące są również rozmowy telefoniczne, które Parker Davenport odbył wieczorem w dniu swej śmierci – kontynuował Tyrell. Po tych słowach wręczył McMahonowi billing.

– Myślę, że rozpozna pan niektóre numery.

McMahon przejrzał wydruk i podniósł wzrok znad kartki.

– Sukinsyn. Nasz wicegubernator dzwonił do przedstawicieli H&F na kilka godzin przed tym, jak strzelił sobie w łeb.

– Co? – jęknęłam.

– Albo kazał im się zabić – dodał Ryan.

McMahon podał mi listę. Sześć numerów, pięć nazwisk.

W. G. Davis, F. M. Payne, F. L. Warren, C. A. Birkby, P. H. Rollins.

– Do kogo był szósty telefon?

– Numer prowadzi do wynajętej chaty w Cherokee. Szeryf Crowe już zajmuje się tą sprawą.

– Tempe, pokaż doktorowi Tyrellowi to, co przed chwilą pokazałaś nam.

McMahon sięgnął po telefon.

– Pora wytropić tych skurwysynów.

Larke chciał najpierw przyjrzeć się śladom, dlatego pojechaliśmy prosto do kostnicy.

Chociaż było już po trzynastej, a od wypitej o godzinie siódmej porannej kawy nie miałam nic w ustach, kompletnie nie chciało mi się jeść. Wciąż miałam przed oczami Primrose i zastanawiałam się, co takiego odkryła. Dla kogo stanowiła zagrożenie? Czy jej morderca był w jakiś sposób powiązany ze śmiercią wicegubernatora?

Przez kolejną godzinę Larke i ja ślęczeliśmy nad kośćmi. Tyrell przyglądał się i słuchał, od czasu do czasu zadając jakieś pytanie. Skończyliśmy, kiedy zadzwonił mój telefon. Lucy Crowe była w Waynesville i koniecznie chciała ze mną porozmawiać. Umówiliśmy się około dwudziestej pierwszej w High Ridge House.

Zanim rozmowa dobiegła końca, szeryf zadała mi jedno pytanie.

– Znasz archeologa Midkiffa?

– Tak.

– To na jego numer dzwonił Davenport tuż przed śmiercią. Jeśli facet spróbuje się z tobą kontaktować, na nic się nie zgadzaj.

W czasie gdy rozmawiałam z Crowe, Larke kopiował zdjęcia i artykuły. Kiedy skończył, powiedziałam mu o rewelacjach Crowe.

W odpowiedzi usłyszałam tylko jedno pytanie.

– Dlaczego?

– Bo to szaleńcy – odparłam, mając w pamięci przestrożę Crowe. – A Parker Davenport był jednym z nich.

Tyrell schował zdjęcia i artykuły do torby i spojrzał na mnie zmęczonym wzrokiem.

– Użył profesjonalnego sabotażu, żeby odsunąć cię od sprawy i zadbać, byś nie kręciła się wokół domu. – Mówiąc to, machnął ręką w kierunku stołów. – Żeby odwrócić twoją uwagę od tego.

Nie odpowiedziałam.

– A ja dałem się podpuścić.

Wciąż milczałam.

– Jest coś, co mógłbym ci powiedzieć?

– Nie, ale są rzeczy, które powinienś powiedzieć moim kolegom.

– Natychmiast wyślę listy do AAFS, ABFA i NDMS. – Po tych słowach chwycił mnie za nadgarstek. – W poniedziałek z samego rana zadzwonię do każdej organizacji, żeby osobiście wyjaśnić całą sprawę.

– A prasa? – Choć wiedziałam, że cierpi, nie byłam w stanie wykrzesać z siebie choćby odrobiny ciepła. Jego nielojalność zraniła mnie jako człowieka i profesjonalistę.

– Tym również się zajmę. Najpierw jednak muszę pomyśleć, jak najlepiej to rozegrać.

Najlepiej dla kogo? – pomyślałam.

– Jeśli to cię pocieszy, Earl Bliss postąpił wbrew moim zaleceniom. Ani przez chwilę nie wierzył w to, co o tobie mówiono.

– Większość z tych, którzy mnie znają, nie wierzyła w te brednie.

Tyrell puścił moją rękę, jednak wciąż patrzył mi prosto w oczy. Pomyślałam, że to niemożliwe, aby ktoś taki jak on przez jedną noc zmienił się w starego, zmęczonego człowieka.

– Tempe, wyszkolono mnie jak żołnierza. Wierzę, że należy wykonywać rozkazy i komendy moich przełożonych. Właśnie przez to nie zakwestionowałem rzeczy, które powinienem był zakwestionować. Nadużywanie władzy to potworna rzecz. Uleganie presji również zasługuje na pogardę. Czas, aby stary pies podniósł się z ziemi i zszedł z ganku.

Patrząc, jak odchodzi, czułam głęboki smutek. Larke i ja byliśmy przyjaciółmi od wielu długich lat. Teraz zastanawiałam się, czy da się naprawić nasze relacje.

Robiłam kawę i myślałam o Simonie Midkiffie. Jasne. Teraz wszystko łączyło się w logiczną całość. Jego nadmierne zainteresowanie katastrofą. Kłamstwa o wykopaliskach w hrabstwie Swain. Zdjęcie z Parkerem Davenportem na pogrzebie Charliego Wayne'a Trampera. Midkiff był jednym z nich.

Nagle przyszła mi do głowy pewna myśl. Czarne volvo. Człowiek za kierownicą wyglądał znajomo. Czy to możliwe, aby mężczyzną za kółkiem był Simon Midkiff?

Kończyłam raport dotyczący Edny Farrell, kiedy po raz kolejny zadzwoniła moja komórka.

– Sir Francis Dashwood był prawdziwym ogierem rozplodowym.

Słowa pochodziły z zupełnie innej galaktyki niż ta, po której orbitowały moje myśli.

– Słucham?

– To ja, Anne. Porządkowałam rzeczy po powrocie z Londynu i natknęłam się na broszurkę, którą Ted kupił w jaskiniach West Wycombe.



– Anne, to nie jest..

– W okolicach aż roi się od Dashwoodów.

– Roi?

– Mówię o potomkach Sir Francisa, znanego także jako Lord Le Despencer. Na stronie z drzewami genealogicznymi, na której jestem zalogowana, wpisałam dla zabawy nazwisko Prentice Dashwood. Nie uwierzysz, ile znalazłam linków. Jeden z nich wydał mi się szczególnie interesujący.

Czekałam.

Cisza.

Po chwili pękłam.

– Masz zamiar bawić się ze mną w dwadzieścia pytań?

– Prentice Elmore Dashwood, jeden z wielu potomków Sir Francisa, opuścił Anglię w 1921 roku. Otworzył stoisko z pasmanterią w Albany, w stanie Nowy Jork, zarobił mnóstwo kasy i przeszedł na emeryturę.

– To wszystko?

– W czasie pobytu w Ameryce Dashwood napisał i opublikował własnym sumptem dziesiątki broszur, z których jedna opowiadała historię jego praprapra coś tam, Sir Francisa Dashwooda Drugiego.

– A co z innymi broszurami? – Gdybym nie spytała, opowieści Anne nie miałyby końca.

– Wybieraj. Fragmenty pieśni australijskich Aborygenów. Podania Czirokezów. Biwakowanie. Łowienie na muchę. Mitologia grecka. Krótka etnografia Indian Carib. Prentice był człowiekiem renesansu. Napisał trzy broszury i kilka artykułów na temat Szlaku Appalachów. Najwyraźniej pan P. był prawdziwym miłośnikiem szlaku, który powstał w latach dwudziestych.

Czyżby? Będący prawdziwą mekką dla turystów i wędrowców, Szlak Appalachów zaczyna się w Mount Katahdin w stanie Maine i biegnie wzdłuż grzbietu Appalachów aż do Springer Mountain w stanie Georgia. Jego znaczna część prowadzi przez Great Smoky Mountains, w tym przez hrabstwo Swain.

– Jesteś tam jeszcze?

– Jestem. Czy Dashwood bywał w Karolinie Północnej?

– Napisał pięć broszur na temat gór Great Smoky. – Usłyszałam szelest papieru. – Drzewa. Kwiaty. Fauna. Folklor. Geologia.

Mając w pamięci opowieści Anne o wyprawie do West Wycombe, przypomniałam sobie jaskinie pod domem H&F. Czy to możliwe, aby facet, o którym mówiła moja przyjaciółka, był tym Prenticem Dashwoodem z hrabstwa Swain w Karolinie Północnej? Było to charakterystyczne nazwisko. Może więc istniał jakiś związek z Dashwoodami z Anglii.

– Czego jeszcze dowiedziałas się na temat Prentice’a Dashwooda?

– Niczego, ale mówię ci, w osiemnastym wieku stary wujek Francis trzymał z tłumem jakichś szaleńców. Nazywali siebie Mnichami z Medmenham. Posłuchaj tylko tych nazwisk. Lord Sandwich, który przez pewien czas dowodził Królewską Marynarką, John Wilkes...

– Polityk?

– Tak. William Hogarth, malarz, i poeci: Paul Whitehead, Charles Churchill i Robert Lloyd.

– Wytrawne towarzystwo.

– Bardzo. Każdy z nich był jakimś deputowanym w Izbie Lordów, poetą albo inną szychą. Od czasu do czasu zaglądał do nich nasz drogi Ben Franklin, choć nigdy nie był oficjalnym członkiem stowarzyszenia.

– Czym się zajmowali?

– Z niektórych relacji wynika, że byli zaangażowani w jakieś satanistyczne rytuały. Według broszury Prentice’a, którą przywieźliśmy z Anglii, mnisi byli grupą wesółków, którzy od czasu do czasu spotykali się we własnym gronie, by czcić Wenus i Bachusa, co według m nie oznacza kobiety i wino.

– Organizowali w jaskiniach orgie?

– W jaskiniach i w Medmenham Abbey. Prentice przyznaje, że jego przodkowie lubili seksualne igraszki, zaprzecza jednak, jakoby czcili szatana. Według niego zgromadzenie miało dość lekceważący stosunek do chrześcijaństwa. Stąd plotki o satanizmie. Z tego co wyczytałam, wynika, że ci kolesie wymyślali dla siebie różne nazwy, jak choćby Rycerze Świętego Franciszka.

Usłyszałam, jak Anne gryzie jabłko.

– Wszyscy inni nazywali ich Klubem Heli Fire.

Na dźwięk tej nazwy poczułam, jak gdyby ktoś rąbnął mnie w głowę dwuręcznym młotem.

– Co powiedziałaś?

– Klub Heli Fire. Popularny w Irlandii w latach 1730-1740. Ten sam scenariusz. Wpływowi ludzie kpili z religii, upijali się i pieprzyli z kim popadło.

Anne miała niezwykły dar upraszczania.

– Z tego co wiem, próbowano położyć kres ich działalności, jednak wszelkie próby okazały się bezowocne. Dashwood i jego kobieciarze po prostu zapożyczyli nazwę. Heli Fire. H&F.

Powoli przełknęłam ślinę.

– Jak długa jest ta broszura?

– Trzydzieści cztery strony.

– Możesz przefaksować mi kopię?

– Jasne.

Podalam jej numer i wróciłam do raportu. Kilka minut później usłyszałam znajomy dźwięk faksu, który charcząc i trzeszcząc zaczął wypluwać z siebie kolejne kartki. Mimo trawiącej mnie ciekawości, skupiłam się na opisie zdeformowanej twarzy Edny Farrell.

Niebawem faks znowu zazgrzytał i wyrzucił kolejną porcję informacji.

Ukończyłam raport i zabrałam się za pisanie kolejnego. Jednak panująca w mojej głowie gonitwa myśli nie pozwalała mi skupić się, a stojące przed oczami obrazy nie dawały spokoju. Primrose Hobbs. Parker Davenport. Prentice Dashwood. Sir Francis. Klub Heli Fire. H&F. Czy coś łączyło wszystkie te sprawy? Wskazywały na to kolejne dowody. Musiał istnieć jakiś związek.

Czy Prentice Dashwood obudził na nowo tradycję swych przodków i kontynuował ją tu, w Karolinie Północnej? Czy członkowie H&F byli kimś więcej niż tylko bandą hedonistycznych dyletantów? Czego jeszcze się dowiem? Na myśl o pokiereszowanych kościach zadrzałam.

O szesnastej w drzwiach pojawił się strażnik, informując mnie, że jeden z zastępców szeryfa rozchorował się, a drugi utknął w zepsutym samochodzie. On sam przyjął zgłoszenie o rodzinnej awanturze, wyglądało więc na to, że zostanę sama. Zapewniłam go, że dam sobie radę i wróciłam do pracy. Oprócz mnie i szczątków ofiar w kostnicy pozostała wyłącznie cisza, która z każdą chwilą zdawała się coraz bardziej nienaturalna. Teraz słyszałam już tylko własny oddech, miarowe bicie serca, stuk palców na klawiaturze i mrużącą łagodnie lodówkę. Gdzieś nad moją głową gałęzie uporczywie drapały o szyby. Słyszałam gwizd nadjeżdżającego pociągu. Ujądanie psa. Świerszcze i żaby.

Żadnych klaksonów, ruchu ulicznego czy ludzi. Cisza.

Nagły przyptyw adrenaliny sprawił, że coraz częściej popełniałam błędy i nerwowo rozglądałam się dookoła. Bardziej niż kiedykolwiek zatęskniłam za towarzystwem Boyda.

Przed dziewiętnastą skończyłam raporty Farrell, Odella, Trampera i Adamsa. Piasek w oczach, obolałe plecy i tępy ból głowy wskazywały, że poziom cukru we krwi spadł poniżej

normy. Tym razem dałam za wygraną. Zgrałam pliki na dyskietkę, wyłączyłam laptop i odebrałam faks.

Choć zamierzałam zająć się lekturą o osiemnastowiecznym Sir Francisie, byłam zbyt zmęczona, głodna i podenerwowana, by silić się na obiektywizm. Zdecydowałam więc, że wrócę do High Ridge House, pójde na spacer z Boydem, porozmawiam z Crowe i dopiero w łóżku przeczytam broszurę.

Zbierałam kolejne strony, gdy usłyszałam coś, co przypominało chrzęst żwiru pod nogami.

Zamarłam, nasłuchując.

Co to było? Opony? Czyjeś kroki?

Minęło piętnaście sekund. Trzydzieści.

Nic.

– Strachy na lachy – pocieszyłam się.

Mimo to nadal byłam niespokojna. Poruszałam się niezgrabnie i nerwowo, przez co upuściłam kilka stron. Kiedy zbierałam je z podłogi, zauważyłam, że jedna różniła się od pozostałych. Czcionka była większa, a tekst zdawał się ułożony w równe kolumny.

Przejrzałam pozostałe kartki. Oprócz przefaksowanej okładki znalazłam kolejne strony broszury.

Nagle przypomniałam sobie, że w trakcie drukowania nastąpiła krótka przerwa. Czy to możliwe, aby dziwaczna strona została przesłana przez kogoś innego? Zerknęłam, jednak na kartce nie było numeru zwrotnego.

W pośpiechu zebrałam wszystkie dokumenty i wróciłam do biura. Tym razem ciekawość wzięła górę nad rozsądkiem. Wrzuciłam broszurę do torby, spojrzałam na dziwną kartkę i zaniemówiłam.

Lewa kolumna okazała się listą zakodowanych imion, podczas gdy prawa zawierała prawdziwe nazwiska. Przy niektórych z nich widniały daty, które spisane jedna pod drugą tworzyły niekompletną, trzecią kolumnę.

Ilos Henry Arlen Preston 1943

Khaffr Sheldon Brody 1944

Omega A. A. Birkby 1959

Narmer Martin Patrick Veckhoff

Sinuhe C. A. Birkby

Itzmana John Morgan 1972

Arrigatore F. L. Warren

Rho William Glenn Sherman 1979

Chac John Franklin Battle

Ometeotl Parker Davenport

Tylko jedno spośród nazwisk brzmiało obco. John Franklin Battle.

Czy aby na pewno? Gdzieś już je słyszałam.

Myśl, Brennan. Myśl.

Nie. To nie tak.

Franklin Battle.

Pustka w głowie.

Frank Battle.

Sędzia pokoju, który blokował wydanie nakazu!

Czy szeregowy sędzina mógł być członkiem stowarzyszenia?

Czyżby Battle chronił własności H&F? Czy to on wysłał mi faks? Dlaczego?

Dlaczego ostatnia data pochodziła sprzed ponad dwudziestu lat? Czyżby lista była niekompletna?

Chwilę później przyszła mi do głowy przerażająca myśl.

Kto wiedział, że tu jestem?

Sama.

Po raz kolejny zamarłam, nasłuchując choćby najmniejszego szmeru. Drżącą ręką podniosłam skalpel i najciszej jak umiałam wymknęłam się do głównej sali autopsyjnej.

Na masywnych stołach z nierdzewnej stali leżało sześć szkieletów. Tuż obok widniały ich żuchwy, a jeszcze niżej smukłe, zbiegające kości rąk i nóg. Sprawdziłam komputer i pracownię rentgenowską, kuchenną wnękę i prowizoryczną salę konferencyjną. Serce waliło mi tak głośno, że w panującej dookoła ciszy wyraźnie słyszałam jego dudnienie.

Zamierzałam zerknąć do męskiej toalety, kiedy po raz kolejny zadzwonił telefon.

Głos, który usłyszałam po drugiej stronie, był jedwabisty niczym podwójna kawa latte.

– Jesteś martwa – ogłosił.

Chwilę później w słuchawce zapadła głucha cisza.

## Rozdział 31

Zadzwoiłam do McMahona. Nie odbierał. Do Crowe. Cisza. Zostawiłam wiadomości:

Dziewiętnasta trzydzieści osiem. Wyjeżdżam z Alarka do High Ridge House. Zadzwoniłam.

Wyobrażając sobie pusty parking i równie wyludnioną drogę, wybrałam numer Ryana. Przed moimi oczami stanął kolejny przerażający obraz. Ryan leżący twarzą na skutej lodem drodze. Wtedy w Quebecu, kiedy został postrzelony, też poprosiłam go o pomoc.

Ryan nie jest twoim ochroniarzem, Brennan – pomyślałam.

Zamiast: „połącz”, nacisnęłam: „wyjdź”.

Myśli tłukły się po głowie niczym metalowa kulka we flipperze.

Ktoś powinien wiedzieć, gdzie jestem. Ktoś, kto nie narazi przy tym swojego życia.

Była niedziela wieczór. Zadzwoniłam pod swój stary numer.

– Halo? – Usłyszałam jedwabisty, kobiecy głos, który przywodził na myśl mruczenie kota.

– Zastałam Pete’ a?

– Jest pod prysznicem.

W tle usłyszałam dźwięk dzwoneczków. Dzwoneczków, które lata temu zawiesiłam za oknem sypialni.

– Przekazać coś?

Rozłączyłam się.

– Pieprzyć to – mruknęłam. – Sama potrafię o siebie zadbać.

Wpakowałam laptop do torby i ściskając w jednej dłoni skalpel, a w drugiej kluczyki do samochodu, uchyliłam drzwi i wyjrzałam na zewnątrz.

Oprócz wozów strażackich na parkingu stała tylko moja mazda, która w gęstniejącym mroku wyglądała jak guziec stawiający czoła grupie hipopotamów.

Głęboki oddech.

Bieg.

Gdy dobiegłam do samochodu, wskoczyłam za kierownicę, zatrzasnęłam drzwi i zamki, odpaliłam silnik i jak szalona wyjechałam z parkingu.

Niecałą milę dalej zaczęłam się uspokajać, a zamiast lęku poczułam wściekłość.

Wściekłość na samą siebie.

Chryste, Brennan. Jesteś jak bohaterka filmów klasy B. Dzwoni do ciebie jakiś świr, a ty od razu wrzeszczysz i wzywasz na pomoc wielkiego osiłka.

Widząc na poboczu znak ostrzegający przed dzikimi zwierzętami, zerknęłam na prędkościomierz. Osiemdziesiąt. Zwolniłam i na nowo podjęłam przerwany monolog.

Nikt nie wyskoczył zza budynku, ani nie ukrył się pod samochodem, żeby złapać cię za kostkę.

Prawda. Ale faks był prawdziwy. Ktokolwiek go wysłał, wiedział, że to ja go odbiorę.

Wiedział, że byłam sama w kostnicy.

Pędząc w kierunku Bryson City, obsesyjnie spoglądałam w lusterko. Dekoracje z okazji Halloween przestały mnie bawić i nagle wydały mi się przerażająco groźne. Szkielety i nagrobki boleśnie przypominały o tym, co wydarzyło się w okolicy. Ścisnęłam kierownicę, zastanawiając się, czy dusze leżących w kostnicy sześciu ofiar błąkały się po świecie, szukając sprawiedliwości.

Zastanawiałam się też, czy mordercy tej szóstki błąkali się po świecie, szukając mnie.

\*\*\*

Kiedy dojechałam do High Ridge House, wyłączyłam silnik i z niepokojem zerknęłam na majaczącą w dole drogę. Żadne światła nie kroili atramentowej ciemności.

Zawinęłam skalpel w serwetkę firmy Wendy i wsunęłam go do kieszeni kurtki. Chwilę później zebrałam swoje rzeczy i pognałam w stronę domu.

Powitała mnie cisza, podobna to tej, która panuje w pustym kościele. Kuchnia i pokój gościnny świeciły pustkami. W drodze na piętro nie spotkałam nikogo z domowników. Przez chwilę nasłuchiwałam pod drzwiami Ryana i McMahona – żadnych odgłosów.

Zdażyłam zdjąć kurtkę, kiedy usłyszałam ciche pukanie.

– Kto tam? – spytałam drżącym głosem.

– To ja, Ruby.

Twarz Ruby była spięta i blada, a blask jej włosów mógłby przyćmić niejedno zdjęcie z „Vogue’a”. Kiedy otworzyłam drzwi, wręczyła mi kopertę.

– Przyszła dziś.

Zerknęłam na adres zwrotny. Wydział antropologii uniwersytetu Tennessee.

– Dziękuję.

Zamierzałam zamknąć drzwi, gdy Ruby wyciągnęła rękę.

– Jest coś, o czym powinnaś wiedzieć. Muszę ci coś powiedzieć.

– Jestem strasznie zmęczona, Ruby.

– Twojego pokoju nie splądrował żaden intruz. To był Eli.

– Twój siostrzeniec?

– On nie jest moim siostrzeńcem... Przerwała.

– Ewangelia Mateusza naucza nas, że jeśli ktokolwiek porzuca żonę...

– Po co Eli miałby przetrząsać moje rzeczy? – Nie byłam w nastroju do religijnych wywodów.

– Mój mąż porzucił mnie dla innej kobiety. Ona i Enoch mieli dziecko.

– Eliego?

Ruby skinęła głową.

– Życzyłam im strasznych rzeczy. Rzuciałam wielokrotnie przekleństwa, żeby smażyli się w piekle. Pomyślałam: „jeśli więc oko twoje jest ci powodem do grzechu, wyłup je i odrzuć od siebie”. Później wyrzuciłam ich ze swego życia.

Gdzieś na dworze usłyszałam stłumione szczekanie Boyda.

– Kiedy Enoch odszedł, poczułam, że Bóg wejrzał w moje serce. Nie sądz, a nie będziesz sądzony; nie potępiaj, a nie będziesz potępiony; wybacz, a zostanie ci wybaczone.

Po tych słowach westchnęła głęboko.

– Matka Eliego zmarła sześć lat temu. Chłopak nie miał nikogo, więc go przygarnęłam.

Spuściła oczy, by chwilę później spojrzeć mi w twarz.

– Tak oto stanę się wrogiem człowieka domownicy jego. Eli mnie nienawidzi. Znęca się nade mną i czerpie z tego przyjemność. Wie, że High Ridge House jest moją dumą. Wie, że cię lubię. Po prostu chce się na mnie zemścić.

– Może chłopak potrzebuje trochę uwagi?

Tylko popatrz na tego dzieciaka – pomyślałam, ale ugryzłam się w język.

– Być może.

– Jestem pewna, że z czasem się to zmieni. Nie przejmuj się moimi rzeczami. Nic przecież nie zginęło. – Postanowiłam zmienić temat. – jest ktoś w domu?

Ruby potrząsnęła głową.

– Pan McMahan pojechał chyba do Charlotte. Pana Ryana nie widziałam przez cały dzień. Pozostali już się wymeldowali.

Po raz kolejny do moich uszu doszło ujadanie Boyda.



– Boyd nie sprawiał kłopotów?

– Przez cały dzień zachowywał się niemożliwie. Chyba potrzebuje spaceru. – Mówiąc to, przyglądała spódnicy. – Idę do kościoła. Przynieść obiad, zanim wyjdę?

– Chętnie.

Pieczona wieprzowina i pudding z batatów podziały na mnie niczym środkiem uspokajającym. Jadłam i czułam, jak panika ustępuje miejsca samotności.

Przypomniałam sobie głos kobiety, która odebrała telefon w domu Pete'a i zaczęłam się zastanawiać, dlaczego zabolęło mnie to równie mocno jak cios w brzuch. Tak właśnie mruczą kobiety po dobrym, namiętym seksie. I co z tego? Pete i ja byliśmy dorośli. Zostawiłam go.

Miał prawo spotykać się z innymi.

Nie potępijaj, a nie będziesz potępiony.

Przez chwilę zastanawiałam się, co tak właściwie czułam do Ryana. Wiedziałam, że jest draniem. Czarującym draniem – dodałam w myślach. Do tego palił, ale był bystry, dowcipny.

Nieprzyzwoicie przystojny. No i zależało mu na ludziach.

Na mnóstwie ludzi.

Chociażby na Danielle.

Dlaczego jego numer wybrałam jako pierwszy? Na co liczyłam? Sądziłam, że znajduje się w pobliżu i przybędzie z odsieczą? A może był dla mnie kimś więcej niż tylko kolegą?

Kimś, kto zawsze mnie ochromi i pocieszy?

Pomyślałam o Primrose i poczułam wyrzuty sumienia. To ja wciągnęłam ją w całą tę sprawę. To przeze mnie zginęła. To ja ją zabiłam. Poczucie winy było przytłaczające i wiedziałam, że będzie prześladowało mnie do końca życia.

Dość tego, Brennan. Przeczytaj list, który przyniosła Ruby. Na pewno podziękują ci za wykład i stwierdzą, że odwaliłaś kawał dobrej roboty.

Nie myliłam się. Oprócz podziękowań znalazłam w kopercie kopię studenckiego biuletynu, a także fotografię, na której stałam w towarzystwie Simona Midkiffa.

Podczas gdy ja wyglądałam na kompletnie wymęczoną, Simon Midkiff prezentował się doskonale. Przyjrzałam się jego twarzy i zaczęłam zastanawiać się, o czym wtedy myślał. Czy został wysłany, żeby wyciągnąć ze mnie jak najwięcej informacji? A może przyjechał z własnej woli. W tej branży ludzie często pojawiali się na wykładach swoich kolegów. Czy to Midkiff przysłał mi faksem rozkodowaną listę ofiar? Jeśli tak, dlaczego wyjawiał swój udział w całej tej sprawie?

Rozmyślania przerwał dobiegający z dworu skowyt.

Biedny Boyd. Był chyba jedyną istotą na ziemi, w której lojalność nigdy nie zwątpiałam, a mimo to wciąż go zaniedbywałam. Zerknęłam na zegarek. Dwudziesta dwadzieścia. Do spotkania z Crowe zostało jeszcze czterdzieści minut. W sam raz na szybką przebieżkę.

Zamknęłam w szafie laptop i torbę, na wypadek gdyby Eli chciał po raz kolejny przeszukać mój pokój. Chwyciłam kurtkę i smycz, i zbiegłam po schodach.

Na atramentowym niebie lśniły miliony gwiazd, jednak nigdzie nie widziałam księżycy. Zapalone przed domem światła z trudnością rozpraszały gęsty mrok. Znow zaczęłam zadawać sobie kolejne pytania.

Co, jeśli ktoś mnie śledził?

Może Mściwy Młodzieniec o imieniu Eli.

Co, jeśli telefon nie był chorym żartem?

Nie dramatyzuj, Brennan – zbeształam się. Jest weekend po Halloween i dzieciaki szukają rozrywki. Poza tym, zostawiłaś wiadomości McMahanowi i Crowe.

A co, jeśli ich nie odbiorą?

Szeryf będzie tu za czterdzieści minut.

Ale ktoś inny może być tu już teraz.

Co może ci się stać w towarzystwie psa ważącego trzydzieści kilogramów?

W tej samej chwili Boyd zaskomlał żałośnie, tak więc ostatnie kilkanaście metrów przebyłam biegiem. Na odgłos kroków zwierzę oparło przednie łapy na siatce ogrodzenia i popiskując, czekało, aż podejść bliżej. Na mój widok Boyd kompletnie oszalał. Biegał po wybiegu i wskakiwał na siatkę niczym wdrapujący się na kółko chomik. Chwilę później zamarł w bezruchu, odchylił głowę i szczerknął.

– Nie zapuszczamy się dalej niż na koniec posesji – ostrzegłam go, unosząc do góry palec.

Boyd przekrzywił głowę, uniósł brwi i zaskomlał. Kiedy zapięłam, smycz, niemalże wywlóknął mnie z kojca i zaczął tańczyć wokół moich nóg.

– Skąd w tobie tyle energii, Boyd? – jęknęłam.

Pies polizał moją twarz. W odpowiedzi na te pieszczoty wyciągnęłam spomiędzy jego łap splątaną smycz i ruszyliśmy w kierunku drogi. Zapalone przed domem światła sięgały jedynie końca trawnika i zaledwie dziesięć metrów dalej byłam zmuszona włączyć latarkę. Widząc to, Boyd przystanął i warknął.

– To tylko latarka, piesku.

Wyciągnęłam rękę i pieszczotliwie poklepałam go po grzbiecie. Boyd obrócił głowę, musnął moją dłoń ciepłym, szorstkim jęzorem, przestąpił z łapy na łapę i przywarł do mojej nogi.

Zamierzałam ruszyć dalej, kiedy poczułam, jak jego ciało napręża się niczym struna. Pies opuścił łeb i wydał z siebie głęboki, gardłowy pomruk. Już nie reagował na mój dotyk.

– Co jest, piesku?

Warczenie przybrało na sile.

– Nie mów, że wyczułeś kolejną zdechłą wiewiórkę.

Sięgnęłam ręką, by pogłaskać go po grzbiecie i poczułam pod palcami zjeżoną sierść.

Niedobrze. Pociągnęłam za smycz.

– Chodź piesku, wracamy. Boyd stał jak wryty.

– Boyd.

Gardłowy pomruk przypominał teraz warczenie dzikiego zwierzęcia.

Skierowałam latarkę w kierunku, gdzie – jak mi się zdawało – spoglądał Boyd. Smuga światła musnęła nieruchome pnie drzew i utonęła w gęstym mroku. Po raz kolejny szarpnęłam smycz. Tym razem Boyd delikatnie przesunął się w lewo i szczeknął. Światło latarki podążyło za jego wzrokiem.

– To nie jest zabawne, piesku.

W tej samej chwili zobaczyłam czyjąś sylwetkę. A może tańczące w świetle latarki cienie zaczęły płatać mi figle? Zerknęłam na Boyda. Postać zniknęła. Przez chwilę zastanawiałam się, czy w ogóle ją widziałam.

– Jest tam kto? – krzyknęłam ściśniętym głosem. Odpowiedziało mi cykanie świerszczy i rechotanie żab. Złamane drzewo jęknęło na wietrze.

Nagle, gdzieś za plecami, usłyszałam, jak czyjeś stopy depczą wyschnięte liście.

Boyd rzucił się do przodu, napinając smycz do granic możliwości.

– Kto to?

Cisza.

Przełożyłam latarkę i smycz do jednej dłoni, a drugą sięgnęłam po telefon. Zanim zdążyłam wcisnąć autowybieranie, telefon wyslizgnął się spośród palców.

– Cofnij się! – wrzasnęłam.

Podniosłam latarkę na wysokość ramienia i najszybciej jak mogłam, schyliłam się po telefon. To wystarczyło, by Boyd wyrwał z moich dłoni smycz i z obnażonymi kłami rzucił się do przodu.

W tej samej chwili sylwetka, którą jeszcze chwilę temu widziałam w ciemności, zmieniła kształt. Ktoś lub coś wyciągnęło ramię.

Boyd skoczył do góry, niczym wystrzelony z procy kamień.

Zobaczyłam błysk i usłyszałam ogłuszający trzask.

Pies odbił się od sylwetki, zaskomlał i zastygł w bezruchu.

– Boyd!

Poczułam na policzkach palące łzy. Chciałam podbiec do niego i powiedzieć, jak wiele dla mnie znaczył; obiecać, że wszystko będzie dobrze. Jednak paraliżował mnie strach, a ze ściśniętego gardła nie wydobył się żaden dźwięk.

Teraz tajemnicza postać ruszyła w moją stronę. Natychmiast zawróciłam i rzuciłam się biegiem przed siebie. Nie zdążyłam. W tym samym momencie chwyciły mnie czyjeś mocne dłonie. Przeżrana, na chwilę zdołałam wyrwać się z uścisku. Napastnik natarł na mnie całym ciałem, a siła ciosu sprawiła, że runęłam w bok. Poczułam oddech, który niczym fala gorąca przetoczył się po mej twarzy. Chwilę później uderzyłam głową w magmową skałę.

Sen był przerażający. Znajdowałam się w miejscu pozbawionym powietrza. Nie mogłam się ruszać. Nic nie widziałam. Chwilę później coś musnęło mój policzek.

Otworzyłam oczy. Rzeczywistość przerosła koszmar.

Usta miałam zakneblowane i zaklejone taśmą, a panująca wokoło atramentowa czerń, uświadomiła mi, że mam zawiązane oczy.

Poczułam bolesny ucisk w okolicach klatki piersiowej.

Nie mogę oddychać!

Spróbowałam podnieść dłonie do twarzy, jednak miałam związane nadgarstki.

Ktoś zakneblował mi usta. Moje kubki smakowe rozpoznały nieprzyjemny, gryzący smak, a zawartość żołądka podeszła do gardła.

Zwymiotuję! Uduszę się!

Moim ciałem wstrząsnęły dreszcze.

Rusz się!

Spróbowałam się obrócić, jednak kokon, w który owinięto moje ciało, ruszał się razem ze mną. Poczułam woń kurzu, stęchlizny i zwiędłych roślin.

Wierzgnęłam i zaczęłam się szamotać, jednak wirujące przed oczami jaskrawe punkty sprawiły, że znieruchomiałam. Rozsadzający czaszkę ból musiał kiedyś ustąpić.

Oddychaj przez nosi Wdech. Wydech. Wdech. Wydech.

Pulsowanie złagodniało.

Myśl!

Byłam uwięziona w jakimś worku. Ręce i nogi miałam związane. Pozostawało pytanie, gdzie byłam i jak się tu znalazłam.

Jak przez mgłę przypominałam sobie kolejne fragmenty układanki. Kostnica. Pusta droga.

Zaniepokojona twarz Ruby. Primrose Hobbs.

Boyd!

O Boże! Tylko nie Boyd! Czy on też zginął przeze mnie?

Wdech. Wydech.

Przekręciłam głowę. Poczułam guza wielkości śliwki. Na samą myśl o nim zrobiło mi się niedobrze.

Wdech. Wydech.

Przed moimi oczami przepływały kolejne obrazy.

Ktoś mnie zaatakował. Człowiek bez twarzy.

Simon Midkiff? Frank Battle? Czy faktycznie padłam ofiarą jakiegoś durnego sędziego?

Wykręciłam dłonie z nadzieją, że może w ten sposób uda mi się poluzować taśmę. Nic z tego. Znów zebrało mi się na wymioty.

Zacisnęłam zęby i przewróciłam się na bok. Wiedziałam, że jeśli zwymiotuję, zacznę się krztusić.

Czułam, jak żołądek podchodzi mi do gardła.

Wdech. Wydech.

Chwilę później skurcze ustąpiły.

Leżałam, nasłuchując. Nie miałam pojęcia, jak długo byłam nieprzytomna. Nie wiedziałam nawet, jak się tu znalazłam.

Czy wciąż byłam w lesie nieopodal High Ridge House? A może zabrano mnie w jakieś inne miejsce? Byłam tu sama, czy może gdzieś obok czał się mój napastnik?

Oszalałe serce zwolniło na ułamek sekundy i poczułam, jak opuszcza mnie wszelka nadzieja.

Coś pełzało po moim policzku. Wszędzie dokoła słyszałam bzyczenie owadów. Miałam wrażenie, że siedzą w mojej głowie i łążą we włosach. Ich delikatne czułki łagodnie muskały moją skórę.

Chciałam krzyknąć, jednak głos uwiązł mi w gardle. Zaczęłam szaleńczo potrząsać głową.

Powrócił ból, a wraz z nim nudności.

Cicho!

Wrzasnęła w mojej głowie jedyna komórka, przedstawicielka zdrowych zmysłów.

Karaluchy! Pisnęły pozostałe.

Szarpnęłam kurtkę, w nadziei, że uda mi się zdjąć ją przez głowę. Myliłam się.

Nie ruszaj się!

Żebra zaprotestowały eksplozją nagłego bólu.

Nie ruszaj się. Nie ruszaj się. Nie ruszaj się.

Powoli się uspokoiłam.

Muszę się wydostać.

Uciec stąd.

A jeśli wpadnę w kolejną zasadzkę?

Myśl, Brennan.

Słuchaj.

Wiatr szarpiący nagimi gałęziami. Cykanie świerszczy i szelest wyschniętych liści.

Odgłosy lasu.

Skup się. Słyszysz coś jeszcze?

Woda obmywająca skały.

Odgłosy rzeki. Co jeszcze?

Odległy i prawie nierzeczywisty jęk, a zaraz po nim nienaturalny chichot.

Poczułam, jak moje ciało pokrywa się gęsią skórką. Wiedziałam już, gdzie jestem.

## Rozdział 32

Oddychałam płytko. Czy naprawdę słyszałam to, co wydawało mi się, że słyszałam?

Mijały kolejne minuty i powoli zaczęłam wątpić, czy aby na pewno się nie myliłam.

Wtedy właśnie do mych uszu po raz kolejny dotarł ten odgłos.

Chrapliwy jęk, a tuż po nim piskliwy śmiech.

Elektryczny szkielet!

Byłam nieopodal Riverbank Inn. W miejscu, gdzie jeszcze niedawno mieszkała Primrose.

W miejscu, do którego nigdy nie powróciła.

Po raz kolejny stanęła mi przed oczami jej blada, rozdęta twarz i dziesiątki niewielkich ran wygryzionych przez uczujące, podwodne stworzenia.

Ktoś zawiązał mi oczy, skrepował ręce i nogi, wrzucił do worka i zostawił nad brzegiem Tuckasegee River!

Musiałam się wydostać!

Ból rozsadzał mi czaszkę, a brudny knebel odcinał dopływ powietrza, zostawiając w ustach posmak cuchnących resztek. Taśma izolacyjna paliła policzki i usta żywym ogniem, a przed oczami śmigały jaskrawe, lśniące punkciki.

We włosach, na kurtce i nogawkach spodni czułam łaskoczące odnóża karaluchów. Na samą myśl o nich robiło mi się niedobrze.

Słuch. Tylko tyle mi pozostało.

Kiedy byłam już pewna, że dookoła nie ma żadnych ludzi, zaczęłam szarpać krepujące mnie więzy. Oddychałam przez nos.

Miałam wrażenie, że minęły wieki, a taśma, którą związano moje ręce, drgnęła zaledwie o milimetr.

Pod powiekami poczułam palące łzy.

Tylko się nie rozklejaj!

Wierzgałam nogami, szarpałam więzy na nadgarstkach i wykრęcałam dłonie, od czasu do czasu nasłuchując otaczających mnie odgłosów.

Czułam na twarzy dotyk dziesiątków maleńkich nóżek.

Wynocha! Mój mózg krzyczał. Spierdalajcie!

Mokre od potu włosy kleiły się do twarzy.

Miałam wrażenie, że opuściłam własne ciało, wzbiłam się do góry niczym nocny ptak i przez chwilę spoglądałam na siebie – żalosaną, bezsilną larwę porzuconą gdzieś pośród lasu. Wyobraziłam sobie otaczającą mnie ciemność i jak nigdy dotąd zapragnęłam znaleźć się w jednym ze znanych mi miejsc.

W dwudziestoczworgodzinym sklepie z kawą, punkcie pobierania opłat, pasażu handlowym, szpitalnej dyżurce pielęgniarek lub choćby na oddziale urazowym.

Nagle sobie otrzeźwiałam.

Skalpel!

Jak go dosięgnąć?

Podciągnęłam kolana do piersi i szarpnęłam poły kurtki. Chwilę później chwyciłam łokciami nylon i potrząsając nim, zaczęłam unosić biodra. Materiał delikatnie drgnął i podciągnął się do góry.

Niczym niewidomy podążający za stronicami zapisanymi alfabetem Braille'a, zdrętwiałymi palcami starałam się znaleźć przywieszkę przyczepioną do zamka. Po jakimś czasie chwyciłam ją opuszkami palców.

Wstrzymałam oddech i pociągnęłam w dół.

Spocone palce ześlizgnęły się z nylonu.

Niech to szlag!

Kolejna próba zakończyła się niepowodzeniem.

Powtarzałam ten rytuał raz za razem. Chwytałam, ściskałam i ciągnęłam aż do chwili, gdy straciłam czucie w dłoni.

Potrzebowałam innego planu.

Przyciskając przywieszkę do uda, wykręciłam prawy nadgarstek i spróbowałam zaczepić palcem o pętelkę. Wygięłam rękę pod dziwnym kątem, jednak zamek ani drgnął.

Chwilę później podjęłam kolejną próbę. Sięgnęłam prawą ręką najdalej, jak się dało, dopóki mięśnie nie zaprotestowały eksplozją bólu.

Kiedy już myślałam, że pękną mi kości, palec wskazujący natrafił na przywieszkę i zaczepił o nią. Delikatnie pociągnęłam w dół, czując, jak zamek powoli ustępuje. Teraz z łatwością wsunęłam palce do kieszeni i wyciągnęłam skalpel. Trzymając go w dłoniach niczym najcenniejszy skarb, przeturlałam się na plecy i położyłam ostrze na brzuchu.

Przez chwilę obracałam zawiniątko w dłoniach, z pietyzmem odwijając chusteczkę.

Następnie skierowałam ostry niczym brzytwa skalpel w kierunku ciała i zaczęłam powoli rozcinać taśmę na nadgarstkach.

Spokojnie. Uważaj. Nie przetnij żyły.



W niespełną minutę udało mi się uwolnić ręce. Zaraz potem zerwałam z ust taśmę. Ból był nie do wytrzymania.

Nie krzycz!

Wyciągnęłam kneblującą mnie szmatę i jak oszalała zaczęłam chwytać w płuca czyste powietrze. W ustach wciąż czułam obrzydliwy smak pleśni. Był tak intensywny, że zaczęłam się krztusić.

Chwilę później jednym szarpnięciem zerwałam taśmę z oczu i stłumiłam wrzask. Wraz z taśmą wyrwałam kawałki skóry i pojedyncze brwi.

Drżącymi rękami uwolniłam stopy.

Zamierzałam rozciąć worek, kiedy usłyszałam dźwięk, który sprawił, że moja dłoń zawisła w powietrzu.

Ktoś zatrzaskał drzwi samochodu!

Co robić? Udawać martwą?

Wiedziona siłą woli ręka mechanicznie dźgnęła płótno.

Czyjeś stopy nieubłaganie miażdżyły wyschnięte liście.

Czterdzieści pięć metrów.

Dłoń centymetr po centymetrze rozrywała kolejne partie worka. Góra, dół. Góra, dół.

Szelest liści przybrał na sile.

Trzydzieści metrów.

Zapierając się rękami, wcisnęłam stopy w niewielką szczelinę i naparłam na nią z całych sił. Dźwięk rozrywanego płótna rozniósł się dookoła niczym żałosny jęk.

Szuranie ustało i rozbrzmiało na nowo. Tym razem jednak było znacznie szybsze.

Dwadzieścia metrów.

Piętnaście.

– Lepiej zostań tam, gdzie jesteś – usłyszałam.

Wyobraziłam sobie uzbrojonego napastnika i moment, w którym moje ciało jest rozrywane przez kule. W zasadzie ta makabryczna wizja była w tej chwili bez znaczenia. Wcześniej czy później i tak będę martwa. Jeśli jednak istniała szansa, że przeżyję, lepiej o nią walczyć.

– Nie ruszaj się!

W tej samej chwili obróciłam się, chwyciłam rękami poszarpane krawędzie worka i szarpnęłam z całej siły. Ułamek sekundy później runęłam głową do przodu, upadłam na twarz, dźwignęłam się z ziemi i stojąc na uginających się nogach, próbowałam ocenić sytuację.

– Moja droga pani i tak jesteś już martwa.

Teraz, gdy miałam pewność, z której strony nadchodził mój oprawca, wiedziałam, dokąd uciekać.

Gdzieś po mojej lewej ręce bulgotała rzeka. Przede mną ciemność otwierała się niczym bezkresny tunel. Wyczuwałam jego gęste, wilgotne ściany. Na mojej drodze pojawiały się kolejne, zdradzieckie pułapki, zmuszające obolałe stopy do karkołomnych manewrów. Wciąż potykałam się o wyplute z wnętrza ziemi śmieci. Skałę pamiętającą początki świata. Zwalony pień. Wyschniętą złamaną gałąź. Staralam się utrzymać równowagę.

Rosnąca panika dodawała mi sił.

Zdawało mi się, że noc wstrzymała oddech i zafascynowana przygląda się mojej ucieczce. Nie słyszałam bzyczenia owadów ani cykania świerszczy. Jedynym dźwiękiem był mój własny, urywany oddech i słyszane gdzieś z tyłu kroki tratujące ziemię niczym potężna, leśna bestia.

Mokre od potu ubrania kleiły się do ciała. W uszach słyszałam oszalałe dudnienie krwi. Przez chwilę zastanawiałam się, czy to możliwe, by mój oprawca biegł na skrót. W jaką chorą grę bawił się ten człowiek? Czy był kotem, a ja myszką? Czekał na właściwy moment, gdy ofiara sama wpadnie w jego łapy?

Umęczone płuca płonęły żywym ogniem. Gdzieś pod żebrami poczułam przeszywający ból. Mimo to biegłam dalej.

Minutę. Trzy. Całą wieczność.

Bolesny skurcz prawego uda zmusił mnie, bym zwolniła. Zaczęłam utykać.

Kot również zwolnił.

Moje ciało odmawiało posłuszeństwa.

Biegłam teraz truchtem. Pot zalewał mi oczy.

Nagle, tuż przede mną wyrósł ciemny kształt, a wyciągnięta dłoń natrafiła na coś twardego. Łokieć złożył się niczym scyzoryk i wyrznęłam policzkiem w ścianę. Kolejna fala bólu eksplodowała w nadgarstku. Na policzku i dłoni poczułam ciepłą krew.

Oszołomiona, wyciągnęłam zdrową rękę.

Pod palcami wyczułam skałę.

Kamienna ściana zdawała się nie mieć końca.

Najwyraźniej dobiegłam do ściany klifu. Po lewej stronie miałam rzekę, po prawej gęsty las.

Kot już wiedział. Nie miałam dokąd uciec.

Nie panikuj!

Wyciągnęłam skalpel i schowałam go za plecami. Chwilę później oparłam się plecami o skałę i stawiałam czoła napastnikowi.

Zanim go zobaczyłam, usłyszałam ciężki oddech i stwierdzenie:

- Wybrałaś fatalną drogę. Poczulaś zjełczałą woń potu.
- Nie podchodź! – Wrzasnęłam z większą brawurą, niż mogłam się spodziewać.
- Dlaczego miałbym to robić? – zakpił.

Znałam ten głos. Należał do człowieka, który zadzwonił do kostnicy. Wiedziałam też, że rozmawiałam z nim osobiście. Pytanie tylko, gdzie i kiedy?

Usłyszałam chrzęst, a zaraz potem z ciemności zaczęła wyłaniać się sylwetka.

- Ani kroku dalej – syknęłam.
- W tej sytuacji to chyba nie ty powinnaś wydawać rozkazy.
- Podejdź bliżej, a zabiję cię. – Ścisnęłam w dłoni skalpel.
- Powiedziałbym, że utknęłaś między młotem a kowadłem, a właściwie między skałą i kowadłem.

Znowu chrzęst. Tym razem w ciemnościach wyraźnie zarysowała się męska sylwetka.

Szerokie ramiona i chude ręce z pewnością nie należały do Simona Midkiffa.

- Kim jesteś?
- Założę się, że już to wiesz.
- Zabiłeś Primrose Hobbs. Dlaczego?
- Ponieważ mogłem.
- Teraz chcesz zabić mnie.
- Z największą przyjemnością.
- Dlaczego?
- Twoje wścibstwo zrujnowało prawdziwą świętość.
- Kim jesteś?
- Kulkulcan.

Kulkulcan. Tego akurat znałam.

- Bóstwem, w które wierzyli Majowie?
- Po co miałbym udawać faraona czy któregoś z tych pedalskich, greckich bogów?
- Gdzie reszta twoich popieprzonych przyjaciół?
- Gdyby nie ta przeklęta katastrofa, nie wiedziałabyś o naszym istnieniu. Przez twoją cholerną dociekliwość wyszły na światło dzienne sprawy, o których nie miałaś prawa wiedzieć. Mnie przypadło w udziale dokonanie aktu zemsty.

Melodyjny głos był teraz pełen wściekłości.

– To koniec klubu Heli Fire.

– Heli Fire zawsze będzie istniał. Od zarania dziejów miernoty starały się powstrzymać wybitne jednostki. Bezskutecznie. Geniusz, w zależności od warunków, może przejść w stan uśpienia, jednak każda kolejna zmiana klimatu powoduje, że budzi się do życia.

Boże, co za cholerny, egocentryczny bełkot!

– Miałem wstąpić w szeregi świętych – ciągnął mężczyzna, jak gdyby nie zauważył, że jego wywody są mi zupełnie obojętne. – Znalazłem ofiarę, złożyłem ją, a ty sprofanowałaś ceremoniał rytuału.

– Jeremiaś Mitchell czy George Adair?

– To bez znaczenia. Ich imiona są nieistotne. Zostałem wybrany. Byłem gotów dostąpić świętości i podążałem właściwą ścieżką.

Pozwól mu mówić – pomyślałam. Ktoś przecież wie, gdzie jesteś. Ktoś cię szuka. I – Kulkulcan to bóg stworzenia. Ty niszczysz życie.

– Życie śmiertelników jest tak ulotne. Jedyne, co może przetrwać, to mądrość.

– Czyja?

– Mądrość wieków, okazywana tylko tym, którzy są jej godni.

– A ty dbasz o to, by przetrwała, gdy dokonujesz na ludziach rytualnych mordów?

– Ciało jest tylko materialną kopertą. Nie ma z niej żadnego pożytku. W końcu i tak się jej pozbywamy. Mądrość, siła, esencja duszy – oto wartości, które przetrwają wszystko.

Milczałam w oczekiwaniu na kolejne rewelacje.

– Najdoskonalszy z gatunków musi być pielęgnowany. Ci, którzy odchodzą, przekazują swą manę tym, którzy pozostają. Tylko tak można uwiecznić i wzmocnić mądrość wybrańców.

– Jak?

– Poprzez krew, serce, mięsień i kość. Dobry Boże, facet mówił prawdę.

– Myślisz, że jedzenie ciała innych ludzi podniesie twoje IQ?

– Ciało marnieje, a wraz z nim i siła. Jednak umysł, duch i intelekt są wieczne. Można przekazać je innym, albowiem żyją one w komórkach naszych ciał.

Ścisnęłam skalpel tak mocno, że zbielałe kłykcie eksplodowały bólem.

– Według Herodota, zamieszkujące Środkową Azję plemiona Scytów zjadały ciała współplemieńców, wierząc, że były one źródłem siły i władzy. To samo robiły klany

Irlandczyków, o czym pisał Strabo. Wiele wojujących plemion zyskiwało siłę, zjadając ciała swych wrogów. Zjedz słabszych i rośnij w siłę. Oto powiedzenie stare jak świat.

Pomyślałam o kościach neandertalczyków, ofiarach znalezionych w kiva nieopodal Mésa Verde i leżących w kostnicy szkieletach.

– Dlaczego starzy ludzie?

– Ponieważ to oni są prawdziwą skarbnicą wiedzy.

– A może dlatego, że byli łatwym celem?

– Moja droga panno Brennan. Wolałaby pani, aby pani ciało przyniosło pożytek jednostkom wybranym czy zostało pożarte przez czerwie?

Słyszając to, czułam, jak wzbiera we mnie gniew. Gniew tak wielki, że zagłuszał nawet lęk.

– Ty egoistyczny, obłąkany kutasie!

– Fee-fi-fo-fum, czuję angielską krew. Czy on żyje, czy też nie, z jego kości zrobię chleb. W oddali usłyszałam jęk, a tuż po nim obłąkańczy śmiech.

Miałam do czynienia z szaleńcem! Kim był ten człowiek? Skąd znałam jego głos?

Powoli zaczęłam przesuwając się wzdłuż ściany. W prawej dłoni, ukrytej za plecami, ścisnęłam skalpel. Nim uszłam dziesięć kroków, uderzył we mnie potężny, oślepiający snop światła. Przesłoniłam twarz ramieniem, chroniąc oczy przed bolesnym blaskiem.

– Gdzie się pani wybiera, panno Brennan?

Teraz, kiedy światło nie było już tak intensywne, zobaczyłam dolną część twarzy mojego oprawcy i zaciśnięte w morderczym szale usta.

Trzymaj się od niego z daleka!

Odwróciłam się, potknęłam i upadłam. Podczas gdy próbowałam dźwignąć się na nogi, cień urósł, odległość między nami zmalała, a utkana z mroku dłoń chwyciła mnie za kostkę.

Czułam, jak ziemia umyka mi spod nóg, a kolana uderzają w twarde podłoże. Skalpel wyslizgnął się spomiędzy spoconych palców.

– Ty przeklęta, zdradziecka krowo!

Jedwabisty głos aż kipiał z wściekłości. Spróbowałam kopnąć, jednak palce napastnika ścisnęły nogawkę spodni niczym stalowe imadło.

Przerażona jak nigdy dotąd, wbiłam łokcie w ziemię, próbowałam unieść biodra i z całych sił przyłożyłam napastnikowi z wolnej nogi. Ułamek sekundy później leżałam przygnieciona do ziemi. Kolano mężczyzny boleśnie wbijało się w mój kręgosłup, podczas

gdy jego dłoń przyciskała do ziemi moją twarz. W nosie i ustach poczułam wilgoć i zapach leśnego poszycia.

Szarpiąc się, drapiąc i kopiając, próbowałam zrzucić z siebie napastnika. Mężczyzna upuścił latarkę, której upiorny blask sprawił, że nasze splątane ciała przypominały w tej chwili wijącą się wśród drzew, dwugłową bestię. Wiedziałam jedno. Tak długo, jak będę w stanie się ruszać, nie pozwolę, by mnie uduślił.

Chwilę później moja dłoń natrafiła na coś poszarpanego i twardego. Palce automatycznie zacisnęły się na znalezisku. Uderzyłam na oślep.

Usłyszałam stłumiony dźwięk, jaki wydaje skała podczas zderzenia z kością, a po chwili coś metalicznego upadło na granit.

– Dziwka!

Rozwścieczony mężczyzna zacisnął dłonie w pięści i wymierzył mi potężny cios w prawe ucho. Zobaczyłam wszystkie gwiazdy.

Napastnik zwolnił uścisk i jak oszalały zaczął macać ziemię w poszukiwaniu broni.

Wykorzystując sytuację, wyrzuciłam do tyłu łokieć. Nie chybiłam. Cios zatrzymał się na szczęce mężczyzny. Jego głowa poleciała do tyłu.

Wrzask, jaki usłyszałam, przypominał wycie rannego zwierzęcia.

Odepchnęłam się od ziemi, a kolano mojego oprawcy ześlizgnęło się z moich pleców.

Sekundę później dźwignęłam się i zaczęłam pełznąć w kierunku latarki. Mężczyzna również rzucił się w stronę światła, jednak tym razem to ja byłam szybsza.

Cios, który zadałam chwilę później, trafił mężczyznę w skroń. Usłyszałam głuchy łomot i jęk. Napastnik runął do tyłu. Chwila przewagi; tylko tyle potrzebowałam. Wyłączyłam latarkę, wbiegłam między drzewa i przykucnęłam za potężną sosną.

Nie ruszałam się. Nie mrugałam. Próbowałam odzyskać jasność myślenia.

Nie wbiegaj między drzewa. Nie odwracaj się tyłem do napastnika. Może kiedy się podniesie, nie zauważy cię, a ty pobiegiesz w przeciwnym kierunku, dotrzesz do zajazdu i zawołasz pomoc.

W przerażającej ciszy słyszałam jedynie urywany oddech mężczyzny. Mijały kolejne sekundy. Miałam wrażenie, że czas stanął w miejscu. Cios w głowę sprawił, że czułam się zdezorientowana i nie byłam w stanie określić czasu, przestrzeni ani odległości.

Gdzie on był, do cholery?

– Znalazłem broń, panno Brennan.

Martwą ciszę rozdarł huk pojedynczego strzału.

– Ale przecież oboje wiemy, że teraz, kiedy w pobliżu nie ma już twojego przeklętego kundla, nie będzie mi ona potrzebna.

Głos zdawał się dochodzić spod wody.

– Obiecuję, że zapłacisz za wszystko. Naprawdę zapłacisz.

Mężczyzna dźwignął się z ziemi.

– Mam naszyjnik, który chciałem ci pokazać.

Wzięłam głęboki oddech, starając się oczyścić umysł.

Wiedziałam, że mówił o używanej przez zabójców garocie<sup>29</sup>.

Kątem oka dostrzegłam migotanie. Obróciłam się. Czy było to złudzenie, czy gdzieś z głębi lasu wyłaniały się trzy smugi światła, które zbliżały się do mnie?

– Nie ruszaj się! – chrapliwy kobiecy głos.

– Rzuć broń! – Tym razem odezwał się mężczyzna.

– Stój! – Kolejny męski głos.

W otaczającej mnie ciemności zobaczyłam wylot lufy, a chwilę później rozległy się dwa strzały.

Odpowiedź nadeszła błyskawicznie i odbiła się rykoszetem od kamiennej ściany.

Usłyszałam głuchy łoskot, wydech i odgłos ciała osuwającego się ze skały.

Upiorną ciszę przerwał tupot stóp.

– ... czuję tętno.

Nade mną pojawiły się twarze, rozkołysane i niewyraźne niczym majaczące nad rozgrzanym asfaltem miraż. Ryan. Crowe. Bezimienny zastępca szeryfa.

– ... ambulans. W porządku. Nie oberwała.

Bezruch.

Próbowałam usiąść.

– Nie podnoś się. – Czyjeś ręce łagodnie przycisnęły mnie do ziemi.

– Muszę go zobaczyć.

Wąski snop światła oświetlił ścianę. Martwy oprawca siedział oparty o skałę.

Okazał się nim Ralph Stover, niezbyt uprzejmy właściciel Riverbank Inn, który nie wpuścił mnie do pokoju Primrose. Teraz, zadarłszy brodę, wpatrywał się w ciemność niewidzącym wzrokiem, nieświadomy faktu, że jego mózg był już tylko rozmazaną na skałę, rudo-bordową breją.

---

<sup>29</sup> [Garota – sposób stracenia skazańców lub żelazny kołnierz, którym posługiwano się podczas tego typu egzekucji (przyp. red.)]

## Rozdział 33

Wyjechałam z Charlotte w piątek o świcie i przedzierając się przez gęstą mgłę, ruszyłam na wschód. Skłębione opary przeredziły się, kiedy wjeżdżałam na Eastern Continental Divide, a zniknęły dopiero gdy minęłam Asheville.

Zjeżdżając z autostrady 74 w Bryson City, wjechałam na Veterans' Boulevard, przecięłam zjazd do Fryemont Inn, na Main skręciłam w prawo i zaparkowałam naprzeciw starego budynku administracji hrabstwa, w którym teraz znajdował się dom spokojnej starości. Przez chwilę siedziałam w samochodzie i patrzyłam, jak promienie słońca tańczą na niewielkiej, złocistej kopule. Myślałam o ludziach, których kości znalazłam w domu Arthura.

Wyobraziłam sobie wysokiego, tyczkowatego mężczyznę, niewidomego i niemal zupełnie głuchego oraz kruchą, starszą kobietę z wykrzywioną twarzą. Myślałam o tym, że lata temu oboje chodzili po tych samych ulicach. Chciałam otoczyć ich ramieniem i powiedzieć, że wszystko było już w porządku.

Myślałam także o tych, którzy zginęli w katastrofie Air TransSouth 228. W dniu wypadku narodziło się tak wiele historii. Żadna z tych osób nie odbierze już dyplomu. Nie będzie świętować kolejnych urodzin. Nie wybierze się w żadną podróż. Tak wiele tragedii z powodu jednego, fatalnego lotu.

Jechałam do remizy strażackiej. Spędziłam miesiąc w Bryson City i dobrze je poznałam. Teraz przyszedł czas na powrót do domu. Moja praca dobiegła końca, jednak wciąż miałam kilka pytań.

Kiedy przybyłam na miejsce, McMahon pakował swoje rzeczy do kartonowych pudeł.

– Wyjeżdżasz? – spytałam, stając w drzwiach.

– Cześć mała, widzę, że wróciłaś. – Zdjął z krzesła plik dokumentów i zapraszającym gestem wskazał, bym usiadła. – Jak się czujesz?

– Posiniaczona i podrapana, ale gotowa do pracy.

Sama wciąż nie mogłam uwierzyć, że leśna szarpanina ze Stoverem nie okazała się oplakana w skutkach. Lekkie wstrząśnienie mózgu na kilka dni przykuło mnie do szpitalnego łóżka, skąd Ryan zawiózł mnie do Charlotte. Upewniwszy się, że nic mi nie jest, wrócił do Montrealu, podczas gdy ja resztę tygodnia spędziłam na Kanapie w towarzystwie Ptaśka.

– Kawy?

– Nie, dzięki.



- Nie będziesz miała nic przeciwko, jeśli skończę się pakować?
- Nie przeszkadzaj sobie.
- Czy ktoś w ogóle opowiedział ci całą historię?
- Część rzeczy wciąż pozostaje niejasna. Możesz więc zacząć od początku.
- H&F było poniekąd hybrydą Mensy i Billionaire Boys Club. Pierwotnie zrzeszało zaledwie garstkę biznesmenów, lekarzy i profesorów, którzy przyjeżdżali w góry, żeby polować i łowić ryby.
- To były lata trzydzieste.
- Tak. Obozowali na ziemi należącej do Edwarda Arthura. W dzień chodzili na polowania, a wieczorami organizowali całonocne libacje. Twierdzili, że są wyjątkowo inteligentni. Na przestrzeni lat stali się sobie bardzo bliscy i stworzyli tajne stowarzyszenie o nazwie H&F.
- Ojcem organizacji był Prentice Dashwood.
- Dashwood był pierwszym przeorem, cokolwiek to oznacza.
- H&F to skrót od Heli Fire – dodałam. – Idea Heli Fire narodziła się w umyśle Sir Francisza Dashwooda i rozkwitała w osiemnastowiecznej Anglii i Irlandii. Prentice Dashwood, z Albany w stanie Nowy Jork, był potomkiem Sir Francisza. Jego matka to bezimienna kobieta, która również należała do H&F. – Czas spędzony na kanapie nie poszedł na marne, a lektury okazały się prawdziwą skarbnicą wiedzy. – Sir Francis miał czterech synów o imieniu Francis.
- Brzmi jak George Foreman.
- Facet był najwyraźniej dumny ze swego imienia.
- Albo brakowało mu wyobraźni.
- Nieistotne. Pierwotnie Heli Fire cechował się sceptycyzmem wobec religii. Jego członkowie jawnie drwili z instytucji kościoła i nazywali siebie Rycerzami Świętego Franciszka. O swoich zgrupowaniach mówili „modlitwy”, a przewodniczących nazywali „przeorami”.
- Kim byli ci idioci?
- Bogatymi i wpływowymi Anglikami. Słyszałeś kiedyś o członkach cyganerii? McMahan potrząsnął głową.
- To elitarny, męski klub, którego członkami byli wszyscy republikańscy prezydenci, począwszy od Calvina Coolidge’a. Co roku spędzają dwa tygodnie na odludnym obozowisku w hrabstwie Sonoma, w Kalifornii, nazywanym Bohemian Grove.
- McMahan zamarł, ściskając w rękach akta.

– Brzmi znajomo. Nieliczni dziennikarze, którym udało się wejść na teren obozowiska, zostali, delikatnie mówiąc, wyrzuceni, a ich opowieści nigdy nie ukazały się na łamach gazet.

– Tak.

– Chyba nie chcesz powiedzieć, że nasze grube ryby planują tam kolejne morderstwa?

– Oczywiście, że nie. Chociaż założenie jest podobne: wpływowi ludzie gromadzą się w ustronnym miejscu. Były nawet zgłoszenia, że członkowie bohemy odprawiają rytuały naśladujące obrządki druidów.

McMahon zakleił taśmą kolejne pudło, odstawił je na podłogę i wziął kolejne.

– Złapaliśmy prawie wszystkich członków H&F, za wyjątkiem jednego. Teraz – krok po kroku – próbujemy odtworzyć całą historię, niestety wszystko to idzie zbyt opieszale. Nie muszę chyba mówić, że ludzie ci nie są chętni do współpracy i dosłownie obstawili się adwokatami. Każdemu z nich zostaną postawione zarzuty wielokrotnego morderstwa, jednak wciąż nie wiadomo, jaki udział w całej tej sprawie mieli pośledni członkowie grupy. Midkiff twierdzi, że tylko przywódcy brali udział w rytualnych mordach i kanibalizmie.

– Midkiff został zwolniony? – spytałam. McMahon skinął głową. – Większość informacji pochodzi właśnie od niego.

– To on wysłał listę ofiar?

– Tak. Zrekonstruował to, co sam pamiętał. Midkiff opuścił stowarzyszenie na początku lat siedemdziesiątych. Twierdzi, że nie był zamieszany w żadne z morderstw. Nie wiedział o Stoverze. Mówi, że w ubiegłym tygodniu dotarło do niego, co tak naprawdę się stało i że dłużej nie był w stanie wytrzymać tego wszystkiego.

Mówiąc to, McMahon zaczął wyciągać dokumenty z szafki i przekładać je do pudła.

– No i bał się ciebie.

– Mnie?

– Tak, ciebie, złotko.

Potrzebowałam chwili, by dotarły do mnie jego słowa.

– Gdzie jest teraz?

– Sędzia uznał, że Midkiff nie ma powodów do ucieczki i że nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo. Wciąż mieszka w wynajętej chacie, w rezerwacie Czirokezów.

– Po co Davenport dzwonił do niego na chwilę przed śmiercią?

– Chciał go ostrzec. Najwyraźniej pozostali przyjaciółmi, nawet po tym, jak Midkiff opuścił H&F. Zdaje się, że przez wszystkie te lata właśnie Davenport czuwał nad

bezpieczeństwem Midkiffa. To on przekonał członków klubu, że Simon Midkiff nie był dla nich żadnym zagrożeniem. W zamian za to Midkiff zobowiązał się milczeć.

– Aż do teraz.

– Aż do teraz.

– Co ci powiedział?

– Odkąd pamiętał, H&F zawsze liczyło sobie osiemnastu członków. Spośród nich sześciu szczęściarzy tworzyło tak zwane „wąskie grono”. To była prawdziwa elita. Pozostali członkowie mogli wstąpić do „wąskiego grona” tylko po śmierci jednego z jego członków. W trakcie inicjacji nie mogło zabraknąć czarnych krawatów, czerwonych szat z kapturem i deseru przygotowanego przez nowicjusza.

– Ludzkiego mięsa.

– Tak. Pamiętasz imię Hamatsa, o którym mi wspominałaś?

Skinęłam głowę. Obrzydzenie odebrało mi mowę.

– Tu było podobnie. Różnica polegała na tym, że nasi dżentelmeni zadowalali się mięsem z jednego z ud ofiary. Przypominało to braterskie więzy krwi. Mimo iż członkowie klubu spotykali się regularnie w chacie Arthura, Midkiff przysięga, że tylko elita wiedziała, co tak naprawdę działo się w trakcie inicjacji.

Pomyślałam o tym, co powiedział mi Ralph Stover. Znalazłem ofiarę.

– Tucker Adams został zamordowany w roku 1943, kiedy zmarł Henry Arlen Preston, a jego miejsce w „wąskim gronie” zajął Anthony Allen Birkby. Kiedy w roku 1949 utonął Sheldon Brodie, do elity dołączył Martin Patrick Veckhoff, a ofiarą była Edna Farrell. Dziesięć lat później w wypadku zginął Anthony Allen Birkby. To jego syn dołączył wówczas do elity, a na komunijnym stole wylądował Charlie Wayne Tremper.

– Czyli Tremper nie został zagryziony przez niedźwiedzia?

– I tu chyba młody Birkby oszukał swych towarzyszy. To właśnie na pogrzebie Trampera Parker Davenport poznał Simona Midkiffa. Midkiff znał Trampera dzięki badaniom, jakie prowadził w rezerwacie Czirokezów.

– Czy Simon wiedział, co stało się z Traperem?

– Twierdzi, że nie miał pojęcia.

– W jaki sposób Midkiff dołączył do H&F?

– W 1955 młody profesor przyjechał z Anglii. Rodzina prosiła go, by odnalazł ich starego przyjaciela – Prentice’a Dashwooda. To właśnie Dashwood zwerbował Midkiffa.

– Simon nie wstąpił do „wąskiego grona”?

– Nie.

– Ale Davenportowi się udało?

– Po pogrzebie Trampera Midkiff stopniowo przedstawiał Davenporta kolejnym członkom bractwa. Idea intelektualnej elity przemawiała do wicegubernatora, który niebawem zasilił szeregi H&F.

– Davenport pochodził z hrabstwa Swain i nie miał pojęcia o istnieniu chaty?

– Dopóki nie wstąpił do bractwa. Najwyraźniej nikt nie wiedział o domu Arthura. To zadziwiające, w jaki sposób ci kolesie ukrywali się przed światem. Przyjeżdżali i wyjeżdżali po zmroku, tak więc na przestrzeni lat nikt już nie pamiętał o istnieniu chaty.

– Nikt oprócz Edwarda Arthura i ojca Luke’a Bowmana.

– Tak. – McMahon przejrzał zawartość szuflady, jak gdyby nie miał pewności, co z nią zrobić.

– Klub dbał również o to, by cokolwiek, co mogło świadczyć o jego istnieniu, nie zostało spisane na papierze.

– W każdym razie jest tego bardzo mało.

Po tych słowach wyciągnął szufladę, wsypał jej zawartość do pudła i otworzył kolejną.

– Co to za cholerstwo? – Wyprostował się i spojrzał na mnie. – Wracając do chronologii, John Morgan zmarł w 1972 roku. Wtedy też zabito Mary Francis Rafferty, a do klubu dołączył F. L. Warren. W tym czasie Midkiff zaczął tracić zainteresowanie klubem. Wkrótce później odszedł.

– Wygląda więc na to, że faktycznie nie brał udziału w żadnym z morderstw.

– W przeciwieństwie do Davenporta. W 1979 wybrano go, by zastąpił Williama Glenna Shermana. Ofiarą wicegubernatora padł wówczas niezidentyfikowany, czarnoskóry mężczyzna.

– Czy to ważne, że ofiary były różnych ras i płci?

– Chodziło o to, by maksymalizować skalę duchowych doznań.

– Chryste.

– W 1986 Kendall Rollins zmarł na białaczkę, a jego miejsce zajął jego syn Paul.

– Ofiarą był Albert Odell?

– Tak.

McMahon opróżnił kolejną szufladę.

– Co się stało z Jeremiahem Mitchellem i Georgem Adairem?

– Ogólnie mówiąc, w H&F zapanował burdel. Kiedy w lutym zmarł Martin Patrick Veckhoff, jego miejsce miał zająć Roger Lee Fairely. Poinformowano go o wymaganiach, więc schwytał i zabił Mitchella. Jego nagła śmierć w czasie podróży na pogrzeb Veckhoffa

była nie lada problemem. Zaczęły się problemy ze znalezieniem odpowiedniego zastępcy, a ciało Mitchella wylądowało w lodówce.

– Kto je tam schował?

– Ralph Stover został poinformowany, że niebawem stanie się członkiem elity. Jak zwykle przedstawiono mu warunki i poproszono, by wykonał dla H&F kilka dodatkowych zadań. To on przechowywał ciało Mitchella w lodówce w Riverbank Inn.

Na samą myśl o tym wstrząsnęły mną dreszcze.

– Dlatego coś było nie tak z analizą lotnych kwasów tłuszczowych.

– Bingo. Na początku września ogłoszono, że Stover zostanie oficjalnym zastępcą Veckhoffa, a ciało Mitchella wyjęto z lodówki i zabrano do chaty, by przygotować je na ceremonię wprowadzenia. Wtedy rozpętała się prawdziwa burza. Niektórzy z „wąskiego grona” sprzeciwiali się inicjacji Stovera, mówiąc, że był on zbyt żarliwy i niezrównoważony. Wybuchły spory. Ciało Mitchella zaczęło się rozkładać, co oznaczało, że nie można go było użyć w trakcie rytuału. Dlatego zakopano je w jaskini.

– Wcześniej jednak znalazły je kojoty.

– Niech je Bóg błogosławi.

– Po raz kolejny Stover wykonał brudną robotę.

– Tak przypuszczamy.

McMahon opróżnił kolejną szufladę, zakleił pudło i podpisał je.

– W każdym razie po kłótniach, które ciągnęły się tygodniami, wygrała frakcja Stovera. George Adair został uprowadzony pierwszego października. Czwartego października doszło do katastrofy.

– Stopę znalazłam piątego października.

Agent położył pudło na podłodze i otworzył szafkę z dokumentacją.

– Jak wiesz, Stover zabił również Primrose Hobbs. W jego pokoju, w Riverbank Inn, Lucy Crowe znalazła stelazynę. Recepta została wypisana przez meksykańskiego lekarza na nazwisko Parkera Davenporta. W tamtą niedzielę Stover miał przy sobie cztery pigułki. Najwyraźniej użył stelazyny, żeby otumanić Primrose.

Spojrzał na mnie.

– Crowe znalazła też drut, którym prawdopodobnie uduszono panią Hobbs.

– Powiedział mi, że zrobił to, bo mógł.

– Mógł otrzymać rozkaz od członków elity albo działał na własną rękę. Być może obawiał się, że Primrose Hobbs natknęła się na jakieś informacje. Prawdopodobnie ukradł jej klucz i hasło, wziął stopę z kostnicy i podmienił akta.

– Znaleziono stopę?

– Prawdopodobnie nigdy jej nie znajdziemy. Zaczekaj chwilę.

McMahon zniknął w korytarzu, by chwilę później wrócić z kolejnym zapasem pudeł.

– Jak to możliwe, żeby w ciągu miesiąca nazbierało się tyle trupów?

– Nie zapomnij o gumowym wężu. – Mówiąc to, wskazałam na stojącą na biurku maskotkę.

– Zastanawiam się, skąd Crowe wiedziała, gdzie mnie szukać.

– Ona i Ryan przyjechali do High Ridge House na długo po tym, jak powinnaś już tam być. Znaleźli twój samochód, a ty jakbyś zapadła się pod ziemię. Zaczęli więc szukać. Kiedy znaleźli psa...

Przerwał. Spojrzał mi prosto w oczy. Staralam się zachować kamienną twarz.

– Najwyraźniej twój pies złapał Stovera za nadgarstek, jeszcze zanim ten oddał strzał. Ryan znalazł na ziemi bransoletkę z identyfikatorem medycznym, na którym widniało nazwisko Stovera. Crowe niemal natychmiast powiązała tę sprawę z czymś, co usłyszała od Midkiffa.

– Reszta to już historia.

– Tak, reszta jest historią.

McMahon wrzucił do pudła gumowego węża. Chwilę później zmienił zdanie i wyciągnął go z powrotem.

– Ryan wrócił do Quebecu?

– Tak.

Moja twarz nie zdradzała żadnych emocji.

– Nie znam go zbyt dobrze, ale śmierć partnera chyba naprawdę nim wstrząsnęła.

– Tak.

– Dorzucmy do tego jeszcze siostrzenicę i naprawdę nie wiem, jak ten facet to zniósł.

– Tak.

Siostrzenicę?

– Diabelska Danielle, tak ją nazywał.

McMahon podszedł do wiszącej na wieszaku kurtki i włożył węża do kieszeni.

– Powiedział, że pewnego dnia przeczytamy o niej w gazetach.

Siostrzenica?

Poczułam, jak w kącikach ust rodzi się uśmiech.

Czasami trudno udawać, że jest się obojętnym.

Zastałam Simona Midkiffa, kiedy ubrany w płaszcz, rękawiczki i gruby, ciepły szal drzemał przed domem na ogrodowej huśtawce. Czapka z daszkiem przesłaniała większość jego twarzy i nagle przyszło mi do głowy pewne pytanie.

– Simon?

Zaskoczony podniósł głowę i spojrzał na mnie wilgotnymi oczami.

– Tak?

Przetarł usta dłonią, pozostawiając na wełnie cienką strużkę śliny. Chwilę później zdjął rękawiczkę i grzebiąc pod warstwą ubrań, wyciągnął okulary.

Dopiero teraz widział mnie wyraźnie.

– Cieszę się, że nic ci nie jest. – Wiszące po obu stronach huśtawki łańcuchy kładły się na jego policzkach delikatnym cieniem. Skóra Midkiffa zdawała się blada i cienka jak papier.

– Możemy porozmawiać?

– Oczywiście, ale lepiej wejdźmy do środka. Udaliśmy się do niewielkiego pomieszczenia, które łączyło kuchenną wnękę z maleńkim pokojem gościnnym. W środku znajdowały się wyłącznie jedne drzwi, które zapewne prowadziły do sypialni i łazienki.

Meble z lakierowanej sosny wyglądały, jak gdyby zrobiono je w domowym warsztacie.

Na podłodze, tuż przy listwach, leżały rzędy książek, a na biurku i stole wały się notatniki i pojedyncze kartki. W drugim końcu pokoju ustawiono kartonowe pudła, z których każde opatrzone siatką współrzędnych.

– Herbaty?

– Chętnie.

Patrzyłam, jak nalewa wody do czajnika, wyciąga torebki herbaty Tetley i stawia filiżanki na spodeczkach. Wydawał się bardziej kruchy niż wtedy, gdy widziałam go po raz ostatni; słabszy i bardziej przygarbiony.

– Nieczęsto miewam gości.

Chwilę później usiadłam na sofie pokrytej afgańską tkaniną, a Midkiff postawił filiżanki na maleńkim stolyczku z pnia drzewa i dostawił sobie krzesło.

Piliśmy w milczeniu, słuchając warkotu silnika przyczepnego łodzi płynącej po Oconaluftee River. Czekałam, aż Simon Midkiff będzie gotowy na rozmowę.

– Nie mam pojęcia, jak o tym mówić.

– Wiem, co się stało, Simonie. Nie rozumiem tylko dlaczego.

– Nie było mnie tam na początku. To, co wiem, pochodzi od innych.

– Znałeś Prenticea Dashwooda.

Midkiff odchylił się na krzesło i zaczął snuć swą opowieść.

– Prentice był wiecznie głodny książek, a jego wiedza była wręcz oszałamiająca. Nie było rzeczy, która by go nie interesowała. Darwin. Lyell. Newton. Mendelejew. Filozofowie: Hobbs, Ainesidemos, Baumgarten, Wittgenstein, Laotze. Pochłaniał wszystko. Książki z dziedziny archeologii, etnologii, fizyki, biologii i historii.

Przerwał, by upić łyk herbaty.

– Miał też wyjątkowy dar snucia opowieści. Od tego wszystko się zaczęło. Prentice opowiadał historie o początkach klubu Heli Fire. Opisywał grupę zawadiaków, którzy spotykali się, by oddawać się rozpuście i prowadzić intelektualne dyskursy. Pomysł wydawał się nieszkodliwy i przez jakiś czas faktycznie taki był.

Usłyszałam brzęk filiżanki, gdy odstawiał ją na stolik.

– Ale Prentice miał także swoją mroczną stronę. Wierzył, że niektórzy ludzie są bardziej wartościowi od innych – dodał niemal szeptem.

– Lepsi pod względem intelektualnym – dokończyłam.

– Tak. W miarę upływu czasu, Prentice ulegał coraz większej fascynacji kosmologią i kanibalizmem. Czasem zdawało mi się, że zupełnie tracił kontakt z rzeczywistością.

Midkiff przerwał, jak gdyby zastanawiał się, co może mi powiedzieć.

– Zaczęło się od niewinnego bluźnierstwa. Nikt tak naprawdę w to nie wierzył.

– Nie wierzył w co?

– Że jedzenie zmarłych było zaprzeczeniem ich ostatecznej śmierci. Że jedzenie ludzkiego ciała pozwalało przyswoić sobie duszę, osobowość i mądrość zmarłego.

– W to właśnie wierzył Dashwood?

Midkiff poruszył wychudzonym ramieniem.

– Być może. Być może wykorzystał ten pomysł i wprowadził go w życie, dbając o to, by struktury klubu pozostały nienaruszone. To było jak grupowe oddawanie się temu, co przecież wszyscy uznawali za zakazane. Grupa wewnątrz grupy. Prentice rozumiał, że rytuały kulturowe istnieją po to, by wzmocnić więź pomiędzy tymi, którzy w nich uczestniczą.

– Jak to się zaczęło?

– Od wypadku.

Pociągnął nosem.

– Od krwawego wypadku. Pewnego lata w okolicach chaty pojawił się młody mężczyzna.

Bóg jeden wie, czego tam szukał. Było mnóstwo alkoholu, potem wywiązała się bójka i chłopak zginął. Prentice zaproponował, aby...



Przerwał, wyciągnął chusteczkę i przetarł nią oczy.

– Wypadek miał miejsce przed wojną. O wszystkim dowiedziałem się wiele lat później, kiedy przypadkiem podsłuchałem pewną rozmowę.

– Rozumiem.

– Prentice wyciął z uda chłopaka kawałki mięśni i nakazał wszystkim członkom H&F zjeść odrobinę. Wtedy nie było jeszcze podziałów na elitę i pozostałych członków grupy. Ciało chłopaka zakopano w lesie, a rok później utworzono tak zwane „wąskie grono” i zabito Tuckera Adamsa. Nigdy nie rozmawialiśmy o śmierci naszej pierwszej ofiary.

– Chcesz powiedzieć, że inteligentni, wykształceni ludzie godzili się na to szaleństwo? Ludzie, w których domach czekały żony i dzieci? Ludzie, którzy piastowali wysokie stanowiska?

– Prentice Dashwood był niezwykle charyzmatycznym człowiekiem. Wszystko, o czym mówił, miało sens.

– Kanibalizm też? – Staralam się nie podnosić głosu.

– Masz pojęcie, jak często motyw kanibalizmu pojawia się w kulturach wschodu? O ofiarach z ludzi wspomina nawet Stary Testament i Rigveda. Antropofagia jest motywem przewodnim wielu greckich i rzymskich mitów. To przecież również najbardziej istotny element katolickiej mszy. Spójrz na literaturę. Skromna Propozycja Jonathana Swifta, Tom Prest i jego Sweeney Todd. Filmy takie jak Zielona Pożywka; Smażone Zielone Pomidory; Kucharz, Złodziej, jego Żona i jej Kochanek; Weekend Jean-Luc Godarda. Nie zapomnijmy też o bajkach dla dzieci: Jaś i Małgosia, Piernikowy Ludzik i rozmaite wersje Królowej Śnieżki, Kopciuszka i Czerwonego Kapturka. Babciu, jakie ty masz wielkie zęby!

Przerwał, by zaczerpnąć powietrza.

– No i oczywiście przypadki, kiedy ludzie są wręcz zmuszani do kanibalizmu. Rodzina Donnerów, drużyna rugby, która po katastrofie samolotu utknęła w Andach, załoga jachtu „Mognonette”, Marten Hartwell – pilot, który utknął na Arktyce. Wszystkich nas fascynują ich opowieści, podobnie jak wszyscy obsesyjnie interesujemy się seryjnymi mordercami, którzy zjadali ciała swych ofiar.

Midkiff ponownie zaczerpnął powietrza i odetchnął głęboko.

– Nie potrafię tego wytłumaczyć i nie potrafię tego zaakceptować. Prentice sprawiał, że wszystko co mówił, brzmiało egzotycznie. Byliśmy bandą niegrzecznych chłopców, zafascynowanych makabrą.

– Fay ce que voudras.

Wyrecytowałam słowa wyrzeźbione nad wejściem do podziemnych korytarzy. W czasie rekonwalescencji odkryłam, że słowa Francois Rabelais, spisane szesnastowieczną francuszczyzną, zdobiły także wejście i kominki w Medmenham Abbey.

– Rób, na co masz ochotę – przetłumaczył Midkiff i wybuchnął wymuszonym śmiechem.

– To ironia. Kluby Heli Fire używały tego cytatu, aby usankcjonować swój rozwiązły tryb życia, podczas gdy Rabelais wychwala słowa świętego Augustyna. „Miłuj Boga i rób, co chcesz. Albowiem jeśli swą mądrością miłujesz Boga i pragniesz wypełnić jego wolę, to, czego pragniesz, nie może być złe”<sup>30</sup>

– Kiedy zmarł Prentice Dashwood?

– W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym dziewiątym.

– Czy ktoś wówczas zginął?

– Nikt nie był w stanie zastąpić Prentice’a, dlatego od jego śmierci nikt nie wstąpił do „wąskiego grona”. Ilość członków zmalała do sześciu i tak już pozostało.

– Dlaczego na faksie, który mi przesłałeś, nie było nazwiska Dashwooda?

– Spisałem wszystko, co byłem sobie w stanie przypomnieć. Lista nie jest kompletna. Niewiele wiem o tych, którzy wstąpili do klubu po moim odejściu. Jeśli chodzi o Prentice’a, po prostu nie mogłem... – Spojrzał gdzieś w bok. – To było tak dawno temu.

Przez długą chwilę siedzieliśmy w milczeniu.

– Naprawdę nie wiedziałeś, co się działo?

– Nabrałem podejrzeń w 1972 roku, po śmierci Mary Francis Rafferty. Właśnie wtedy odszedłem z klubu.

– I mimo to nic nie powiedziałaś?

– Tak. Nie mam na to żadnego usprawiedliwienia.

– Dlaczego więc naprowadziłeś Crowe na trop Ralpa Stovera?

– Stover dołączył do H&F po moim odejściu. Dlatego przeprowadził się do hrabstwa Swain. Od początku wiedziałem, że jest niezrównoważony.

Przypomniałam sobie, o co chciałam go zapytać.

– Czy to on próbował przejechać mnie w rezerwacie Czirokeezów?

– Słyszałem, że chodziło o czarne volvo. Miał taki samochód. Zajście, jakie miałaś na parkingu, przekonało mnie, że ten facet jest naprawdę niebezpieczny.

Machnęłam ręką w kierunku pudeł.

---

<sup>30</sup> [Tłumaczenie Anna Dobrzańska (przyp. tłum.)]

– Kopiesz tu, prawda?

– Tak.

– Bez pozwolenia z Raleigh.

– To miejsce ma szczególne znaczenie, jeśli chodzi o nagromadzenie kamieni, nad którymi obecnie pracuję.

– To dlatego kłamałeś w sprawie Departamentu Zasobów Kulturowych.

Midkiff smętnie pokiwał głową.

Odstawiłam filiżankę i dźwignęłam się z kanapy.

– Przykro mi, że wszystko potoczyło się inaczej, niż oboje sobie byśmy tego życzyli.

Jednak nie mogłam wybaczyć Midkiffowi, że wiedząc o wszystkim, nikomu nie pisał ani słowa.

– Kiedy ukaże się książka, ludzie zrozumieją wartość mojej pracy.

Słoneczny, chłodny dzień. W dolinach i na szczytach nie było już śladu mgły.

Dwunasta trzydzieści. Musiałam się pośpieszyć.

## Rozdział 34

Zważywszy na to, że Edna Farrell nie żyła od przeszło pięćdziesięciu lat, liczba osób, które przyszły na jej pogrzeb, była zdumiewająca. Oprócz członków rodziny i mieszkańców Bryson City na ceremonię przybyli przedstawiciele policji i biura szeryfa. Byli tam także Lucy Crowe i Byron McMahon.

Opowieści o klubie Heli Fire przyćmiły katastrofę Air TransSouth 228. Do Bryson City ścigali teraz reporterzy z całego południowego zachodu. Ośmioro starszych ludzi zaszlachtowanych i pogrzebanych w piwnicy górskiej chaty, zdyskredytowany wicegubernator i przeszło pół tuzina wpływowych obywateli za kratkami. Media nazywały ich Morderczymi Kanibalami, a ja popadłam w zapomnienie niczym zeszłoroczna seks-afery. Mimo iż żałowałam, że nie udało mi się ochronić pani Veckhoff i jej córki przed publicznym upokorzeniem, cieszyłam się, że to nie ja byłam tematem dnia.

W czasie uroczystości pogrzebowej trzymałam się na uboczu, rozmyślając o tym, na jak wiele sposobów rozstajemy się z życiem. Edna Farrell nie zmarła w swoim łóżku. Przeszła na drugą stronę przez przerażające wrota. Ten sam los spotkał Tuckera Adamsa, którego szczątki spoczywały pod podniszczoną tablicą. Na myśl o nich odczuwałam wielki smutek. Jedyne pocieszenie w tym, że w jakiś sposób przyczyniłam się, by ich ciała spoczęły na wzgórzu i położyłam kres mordowaniu niewinnych ludzi.

Kiedy żałobnicy opuścili cmentarz, złożyłam na grobie Edny maleńki bukietek. Chwilę później usłyszałam kroki. Odwróciłam się. W moją stronę szła Lucy Crowe.

– Dość szybko wróciłaś w te strony.

– To ta moja irlandzka głowa. Trudno ją rozbić.

Uśmiechnęła się.

– Tak tu pięknie. – Spojrzałam na drzewa, nagrobki, wzgórza i doliny ciągnące się po horyzont niczym pomarańczowy aksamit.

– Właśnie dlatego kocham góry. Istnieje czirokeski mit o stworzeniu, mówiący o tym, jak świat powstawał z błota. Nad ziemią leciał sęp. Tam, gdzie jego skrzydła opadały w dół, rodziły się doliny; tam, gdzie wzbijał się do lotu, wyrastały góry.

– Jesteś z plemienia Czirokezów?

Crowe skinęła głową.

Znalazłam odpowiedź na kolejne pytanie.

– Jak tam twoje stosunki z Larkiem Tyrellem?

Roześmiałam się.

– Dwa dni temu otrzymałam z Biura Naczelnego Lekarza Sądowego list pochwalny. Píše w nim, że biuro przyjmuje na siebie całą odpowiedzialność za nieporozumienie, oczyszcza mnie z wszelkich zarzutów i dziękuje za niewyobrażalny wkład, jaki wniosłam w śledztwo dotyczące katastrofy. Pismo zostało rozesłane wszędzie; no, może za wyjątkiem księżnej Yorku.

Opuściłyśmy cmentarz i szłyśmy asfaltówką w kierunku parkingu. Otwierałam drzwi samochodu, kiedy Crowe zadała kolejne pytanie.

– Zidentyfikowałaś gargulce przy wejściu do tunelu?

– Harpocrates i Angerona byli egipskimi bogami ciszy. Mieli przypominać członkom Heli Fire o przysiędze milczenia, jaką złożyli, wstępując do klubu. Kolejny pomysł zaczerpnięty z Sir Francisa.

– A imiona?

– Były literackimi lub historycznymi odniesieniami do kanibalizmu. Sawney Beane to Szkot, który w czternastym wieku żył w jaskiniach. Krążą opowieści, że wraz z rodziną mordował podróżników, a ich ciała zjadał na kolację. To samo mówi się o Christiem o' The Cleek. Wraz z bliskimi mieszkał w jaskini w Angus i pożerał ciała turystów. John Gregg podtrzymywał tę tradycję w osiemnastowiecznym Devon.

– A pan B?

– Baxbakualanuxsiwae.

– Dokładnie.

– Duch plemienia Kwakiutl. Przedstawiany jako niedźwiedziopodobny potwór, którego ciało pokryte było zakrwawionymi, wykrzywionymi ustami.

– Święty patron Hamatsa.

– Nie kto inny.

– A zakodowane imiona?

– Faraonowie, bogowie, odkrycia archeologiczne, bohaterowie pradawnych legend.

Henry Preston to Ilos – założyciel Troi. Kendall Rollins to Piankhy – starożytny, nubijski król. Posłuchaj tego. Parker Davenport wybrał azteckiego boga dwoistości o imieniu Ometeotl. Ciekawe, czy był świadomy ironii?

– Przyglądałaś się kiedyś uważnie pieczęci stanu Karoliny Północnej?

– Nie.

– Motto pochodzi z Eseju o Przyjaźni Cyncerona. Esse Quam Videri.

Crowe przewiercała mnie wzrokiem.

– Raczej być, niż tylko wydawać się.

\*\*\*

Zjeżdżając z Schoolhouse Hill, nie mogłam oderwać wzroku od nalepki na jadącym przede mną samochodzie.

Gdzie spędzisz wieczność?

Choć nie wybiegałam aż tak daleko w przyszłość, zadawałam sobie to samo pytanie.

Gdzie spędzę najbliższy czas? A co ważniejsze, w którym towarzystwie?

W czasie mojej rekonwalescencji Pete okazał się niezwykle troskliwy. Był nieocenioną podporą. Przynosił mi kwiaty, karmił Ptaśka, podgrzewał zupy w mikrofalówce. Oglądaliśmy stare filmy i prowadziliśmy wielogodzinne rozmowy. Kiedy go nie było, myślałam o przeszłości i wspólnym życiu. Pamiętałam dobre czasy. Pamiętałam kłótnie i drobne sprzeczki, które niczym gotowane na wolnym ogniu potrawy z czasem urastały do rangi prawdziwych awantur.

Wniosek był następujący: kochałam Pete'a i wiedziałam, że zawsze będziemy sobie bliscy. Bliscy sercu, ale nie w łóżku. Jakkolwiek przystojny, czarujący i kochany, mój byłobyobecny mąż miał w sobie coś z Sir Francisa i członków Heli Fire – nadmierne zainteresowanie płcią piękną.

Pete był niczym ściana, od której mogłam się odbijać całą wieczność. Byliśmy lepszymi przyjaciółmi niż małżonkami i dlatego chciałam, aby tak właśnie pozostało.

U podnóża góry skręciłam w Main.

Myślałam też o Andrew Ryanie.

Ryanie koledze. Ryanie gliniarzu. Ryanie wujku.

Danielle nie była kochanką. Była siostrzenicą i to mi się podobało.

Nadszedł czas, aby pomyśleć o Ryanie jako o mężczyźnie.

Facecie, który chciał ssać palce u mych stóp.

To było dobre.

Z powodu rany zadanej mi przez Pete'a, mój związek z Ryanem balansował gdzieś na krawędzi. Chciałam się do niego zbliżyć, jednak zawsze zachowywałam bezpieczną odległość.

Czy potrzebowałam faceta na co dzień?

Nie.

Czy chciałam faceta?

Odpowiedź brzmiała: „tak”.

Jak leciała ta piosenka? „Wolę żałować czegoś, co zrobiłam, niż tego, co nigdy się nie wydarzyło”.

Postanowiłam dać Ryanowi szansę i zobaczyć, co z tego wyjdzie.

W Bryson City czekał mnie jeszcze jeden przystanek. Przystanek, którego nie mogłam się doczekać.

Zaparkowałam obok budynku z czerwonej cegły, na rogu Slope i Bryson Walk. Kiedy przeszłam przez oszklone drzwi, kobieta w chirurgicznym fartuchu spojrzała na mnie i uśmiechnęła się.

– Jest już gotowy?

– Tak. Proszę usiąść.

Chwilę później zniknęła, a ja przycupnęłam na plastikowym krzeselku.

Wróciła w towarzystwie Boyda. Pies miał zabandażowaną klatkę piersiową i ogoloną jedną łapę. Zobaczył mnie i wyrwał się do przodu. Kiedy dotarło do niego, że nie był to najlepszy pomysł, pokuśtykał do krzesła i położył pysk na moim kolanie.

– Bardzo cierpi? – spytałam panią weterynarz.

– Tylko, gdy się uśmiecha.

Boyd podniósł wzrok, spojrzał na mnie i wywalił długi, purpurowy jęzor.

– Jak się czujesz, twardzielu? – Podrapałam go za uszami i przytuliłam policzek do jego łba.

Boyd westchnął.

Wyprostowałam się i spojrzałam na niego.

– Gotowy na powrót do domu?

Odpowiedzią było ciche skomlenie i teatralny taniec brwi.

– W takim razie ruszajmy.

Boyd szczechnął. Mogłabym przysiąc, że usłyszałam jego śmiech.

## Posłowie

Kiedy zaczęłam pisać tę książkę, nie spodziewałam się koszmaru, który rozegrał się 11 września 2001 roku. Rzeczywistość okazała się gorsza od fikcji.

Następstwa śmierci nie są mi obce. Pracuję dla koronerów i dwóch wymiarów sprawiedliwości. Zeznawałam przed Trybunałem Organizacji Narodów Zjednoczonych w sprawie ludobójstwa w Rwandzie. Spędziłam też mnóstwo czasu w masowych grobach na wyżynach Gwatemali. Na przestrzeni lat miałam do czynienia zarówno z ofiarami przemocy fizycznej, jak i psychicznej. Każda z tych osób przeżyła prawdziwe piekło.

Podobnie jak Tempe służę w DMORT – rządowej organizacji zajmującej się ofiarami katastrof. Pojechałam do Nowego Jorku, by pomóc ofiarom i rodzinom tragedii World Trade Center. Mimo iż uczucia straty i żałoby nie są mi obce, nic nie było w stanie przygotować mnie na tak bolesne doświadczenia. Bywały chwile, że czułam się kompletnie zdruzgotana skalą ludzkiego okrucieństwa. Bywały też chwile przytłaczającego smutku. Pocieszenie dała mi treść modlitwy, spisana przez jedną z uczennic szkoły niedzielnej, a także przepiękny transparent, namalowany przez grupę skautów.

Siłę dawali mi moi rodacy. Czułam dumę, wiedząc, że należę do niesamowitej grupy kobiet i mężczyzn, którzy w tamtych ciężkich chwilach nieśli pomoc, pocieszenie i budowali więź pomiędzy rodzinami, miastami i całym narodem. Przesłanie było jasne. Ten naród dźwignie się z kolan i rozkwitnie na nowo.

Kathy Reichs, październik 2001